

The book cover features a close-up photograph of several autumn leaves in shades of orange, red, and brown, scattered on a dark, textured surface. The leaves are the central focus, with their veins clearly visible. The overall mood is warm and contemplative.

Jacquelyn
Mitchard

TO
CO NAJWAŻNIEJSZE

Mitchard Jacquelyn

To co najważniejsze

Gdy namówiona przez koleżanki czternastoletnia Arley Mowbray wysyła list do przebywającego w więzieniu Dillona LeGrande, nie może wiedzieć, że uczucie, jakie się między nimi zrodzi, będzie równie gwałtownie, co niszczące, a jej udziałem stanie się los żony zbiegłego przestępcy i matki jego dziecka.

Arley i jej małej córeczce, poszukiwanych przez ogarniętego namiętnością i nienawiścią Dillona, stara się pomóc prawniczka Annie Singer, ofiarowując dziewczynie przyjaźń i macierzyńską miłość, których tamta nigdy nie zaznała.

**Ta książka jest dziełem wyobraźni - bohaterowie są fikcyjni,
akcja dzieje się w zmyślonych miejscach w Teksasie.
Do jej napisania zainspirowała mnie fascynacja mieszkańcami tego stanu.
Wszystkie osoby, organizacje, zdarzenia i miejsca wymyśliłam,
a jakiegokolwiek podobieństwo do istniejących osób, grup,
wydarzeń czy miejsc jest wyłącznie dziełem przypadku.**

PROLOG

ARLEY

Nawet teraz, wiele lat później, wiem, że czasem zdarzać się będą takie noce. Noce, kiedy obudzę się z koszulą przemoczoną do suchej nitki i przyklejoną do ciała. Gdy oddychając gwałtownie, z dna brzucha zamiast z piersi, będę pewna, że to nie sen. Wyda mi się, że pokój na Azalea Road jest snem. Że moja Desi, zaraz za ścianą, śpiąca w swym białym łóżeczku pod karawaną wozów konnych jadących na zachód, który dla niej namalowaliśmy w najjaśniejszych odcieniach różu, żółci i zieleni, jest tylko życzeniem, które niepostrzeżenie wkradło się do mego umysłu podczas snu. Jak gdyby nie udało mi się uciec; jakby nie udało mi się przeżyć tego koszmaru. Sen o pożarze i ten drugi, o pocałunku, wracają do mnie tak kolorowe i przepełnione dźwiękiem, że mogłabym przysiąc, iż znowu jestem w maleńkim, ciemnym domku w noc pożaru i obserwuję Desi wychodzącą w tańczące, pomarańczowe światło, bojąc się, że już nigdy nie ujmę w dłoń jej drobnych paluszków ani nie poczuję zapachu jej włosów.

Raz czy dwa, oba sny przyśniły mi się tej samej nocy; trzęsłam się pod kołdrą i nie mogłam zasnąć aż do samego rana.

Kiedy śnię o pocałunku, nie słyszę szalejącego ognia. Czuję, jak moje usta otwierają się pod naporem jego warg, jakby nigdy w życiu nie robiły nic innego - nie jadły, nie oddychały, nie modliły się - tylko czekały, by wypełnić misję powierzoną im przez Naturę i wreszcie poczuć się użyteczne... czuję to wszystko, jakby minęły zaledwie dwie minuty od tamtej chwili, a nie dwa lata. Ten sen przeraża mnie równie głęboko, jak tamten o pożarze, gdyż sprawia, że wiem, iż w głębi serca jestem równie zła jak on.

Nie mówię o tym Annie. Chyba nadal jestem zbyt niedojrzała albo dumna, by przyznać, że od początku miała rację co do Dillona. I nigdy tak naprawdę się nie dowiemy, czy nie myliła się co do niego dlatego, że

tamtej nocy na ganku postąpił tak, a nie inaczej... no, cóż... chyba jedynie on mógłby rozwiązać moje wątpliwości, lecz nie ma go już od tak dawna. Annie przychodzi do mnie, gdy tylko usłyszy że płaczę; przychodzi i siedzi przy mnie, jakbym była małym dzieckiem, które obudziło się w gorączce; nawet nie stara się mnie przytulić. To bardzo pomaga. Właściwie Annie pomogła mi na wiele sposobów. A jednak nie potrafię się jej przyznać, że wiem, iż byłam głupia. Często powtarzałam jej: „Annie, sama sobie posłałam, więc muszę teraz się wyspać”. Chciałam, żeby to brzmiało dumnie... ale nie miałam innego wyjścia. Postąpiłam źle, gorzej niż źle... uczyniłam tak po części dlatego, że wiem, iż to, co zrobił Dillon, było też moją winą. Ze w pewnym sensie postąpił tak dla mnie, i jakaś część mnie powinna być mu za to wdzięczna.

Wydaje mi się, że na długo przed tamtą nocą, zanim przyjechała policja i cała reszta, zaczęłam uważać Dillona za kogoś nadnaturalnego, kto mógł zrobić wszystko, na co tylko miał ochotę. W telewizji nazywali go „Wędrowcem”, dokładnie tak, jak tego chciał. W ten sposób wytworzył w sobie nową osobowość, której wcześniej nie znałam. Nie potrafiłam w myślach dotknąć jego twarzy ani przypomnieć sobie jej rysów; nie potrafiłam zmusić Dillona, by wrócił do mego serca. Już nie stanowiliśmy jedności... i potrafiłam myśleć tylko o Desi. Oczywiście, chwala Bogu, że potrafiłam tak do tego podejść - teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ale wtedy czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w piekle. Zupełnie jakbym przeszła samym środkiem autostrady Kings, naga, nieświadoma motywów swego postępowania. Zdałabym sobie sprawę z hańby dopiero wtedy, gdy ktoś pokazałby mi zdjęcia, na których utrwalono moje zachowanie. Czasem wydaje mi się, że to w ogóle mogłoby się nie wydarzyć... a jednak wiem.

Mam dowód.

Kiedy pojawił się Dillon, zasłonił niebo nade mną i nie potrafiłam już rozpoznać, co jest dobre, a co złe, co mądre, a co głupie. Wiem, jak to musi brzmieć, lecz jeżeli poczuje się coś takiego choć raz w życiu, to od razu wiadomo, że jest to coś więcej niż miłość. To tak, jakby ktoś wywrócił twój umysł do góry nogami i wysypał jego zawartość, niczym ubranie z szuflady komody. Człowiek tak koncentruje się na tej jednej jedynej osobie, że wszystko inne przestaje się liczyć. To tak, jakby obudził się z jednego snu i wpadł od razu w drugi, i nie wiedział, gdzie się pierwszy skończył, a drugi zaczął.

Kiedy wracam myślami do domu w Avalon, do restauracji Taco Heaven w San Antonio, lekcji prowadzonych przez panią Murray i biblioteki w powiecie Bexar, do trenera Diaza i naszej drużyny, wszystko wy-

daje mi się starym, czarno-białym filmem. Przez jakiś czas przyszłość wyglądała podobnie, lecz to już minęło. Teraz widzę ją w jasnych, pastelowych kolorach, które tak lubi Desi. I najczęściej już nie boję się zasypiać. Nie cierpię na depresję; nie trzeba jej mieć, by żałować tego, co godne jest pożałowania.

Czy ktokolwiek kiedykolwiek czuł to, co ja czułam do Dillona? Jakby był zwykłą skrzyneczką, wyglądającą szaro i zwyczajnie dla każdego innego, lecz ujawniającą swe skarby tylko mnie, gdyż wyłącznie ja miałam klucz. I jeżeli ktoś kiedyś wcześniej czuł podobnie, jak długo to trwało? Wiem jedno: nic na świecie nie wyjaśni, jak mogłam znać każdy oddech i każdy gest chłopca, który pisał dla mnie te cudowne wiersze, i jednocześnie czuć, że ten sam chłopiec jest kimś zupełnie mi obcym, kto popełnił wszystkie te straszne czyny. Jeżeli kiedykolwiek kochaliście kogoś tak szaloną miłością, nie możecie sobie wyobrazić jej przeciwieństwa - oddalania się od siebie, braku zrozumienia. Spotykasz ukochaną osobę na ulicy i nie czujesz szybszego bicia serca. Albo wręcz myślisz: O, do licha, nadchodzą kłopoty. Oczywiście, nie mogę mieć pewności, że podobnie stałoby się ze mną i z Dillonem. Nie wiem, czy kłócilibyśmy się lub rozwiedli, czy też zaczęli spotykać z innymi ludźmi. Nigdy nie wpadliśmy na siebie na ulicy ani nie trzymaliśmy się za ręce. Nie mieliśmy okazji dojść w naszym związku do niczego normalnego. Nadnaturalne było to, jak szybko stał się dla mnie wszystkim, a także to, jak szybko stał się niczym. Nie było nic naturalnego w tym, że znałam go zaledwie kilka dni. Nie spotkałam go, gdy chodził do szkoły, dorastał czy umawiał się z dziewczętami. Może to był prawdziwy Dillon, lecz ja na oczy go nie widziałam...

Jako dziecko tylko raz wyjechałam gdzieś dalej z Avalon niż pół godziny drogi autobusem do San Antonio - gdy wraz z mamą, babcią, bratem i siostrą pojechaliliśmy w odwiedziny do cici Debbie Lynn, do Galveston. Miałam wtedy niecałe sześć lat i nawet nie wiedziałam, że Teksas leży nad oceanem. Nikt mi o tym nie powiedział.

Debbie Lynn zawiozła nas na plażę samochodem; bezmiar wody był tak ogromny, że stojąc na brzegu nie widziało się drugiego końca. Biały pasek piasku odcinał się wyraźnie od zielonej wody Zatoki, która wyglądała jak ogromny, miękki materac. Nie potrafiłam objąć tego wszystkiego naraz wzrokiem; musiałam spuścić oczy i spojrzeć na swoje stopy. Pod nimi znajdował się kobierzec maleńkich muszelek, nie większych niż paznokieć, o kolorach porównywalnym tylko z tymi, które widywałam w oknach kościoła - różowym, szarym i lśniącym czarnym. Zaczęłam zbierać je i wsadzać do kieszeni, nawet w rozłożony podko-

szulek, spoglądając ukradkiem na wszystkich dokoła i zastanawiając się, dlaczego nikt inny ich nie zbiera? Jak to się dzieje, że ci ludzie nie chcą wziąć ze sobą do domu tych ślicznych maleństw, leżących w piasku i czekających, aż je ktoś podniesie?

Lecz później tego samego dnia, gdy muszelki wyschły, omal się nie rozplakałam. Nadal miały kształt delikatnych wachiarzyków, lecz nie były już kolorowe. Stały się matowe i wyblakłe; ledwie mogłam uwierzyć, że to te same, które lśniły, leżąc w piasku na plaży.

F^miętam, że spytałam ciotkę, które kolory muszelek są prawdziwe?

Aleją, tak samo jak moją mamę, nic nie doprowadzało do większej złości niż dziecko zadające pytania. Więc sama musiałam sobie odpowiedzieć na pytanie dotyczące muszelek, dokładnie tak samo, jak musiałam sobie odpowiadać na większość pytań, gdy byłam mała - dorośli nie udzielali mi informacji.

Doszłam do wniosku, że oba kolory muszelek są prawdziwe.

Wszystko zależy tylko od tego, gdzie się stoi.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ANNIE

Kiedy tamtego ranka wreszcie dotarłam do biura, biała, świeżo wyprasowana bluzka, którą miałam na sobie, już zwilgotniała i zmięła się na plecach po dziesięciominutowej jeździe w korkach. Byłam skonana; upał mnie dobijał, a na dodatek posprzeczaaliśmy się ze Stuartem. My się nie sprzeczymy - nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek jakoś poważnie się kłócili - a na przykład moja siostra i jej mąż fundują sobie dwa razy na miesiąc awanturę, a potem śmieją się z tego do łez. Don ma zwyczaj rzucania miskami i kubkami, tak że ich zawartość najczęściej rozpryskuje się na suficie, więc pewnego roku, na kolejną rocznicę ich ślubu, Rachie zatrudniła malarza, by namalował na suficie w kuchni plamy po wszystkim - od kawy po ketchup - tak aby nie odznaczały się efekty wściekłości Dona.

- On tylko warczy - powtarzała Rachel - ale nie gryzie. Nie jest groźny.

Donowi strasznie spodobało się malowidło na suficie; przytulił wtedy Rachie i rzekł z dumą w głosie:

- To właśnie dlatego tak bardzo cię kocham.

- Stawiają pomnik swej dewiacji - skomentował Stuart, gdy mu o tym opowiedziałam. - No, cóż... każda potwora znajdzie swego amatora.

Zamiast się kłócić, prowadziliśmy ze Stuartem długie, dręczące, dopracowane semantycznie dyskusje, w których usiłowaliśmy przechytryć się nawzajem -

jakbyśmy naprawdę wierzyli, że osobiste spory można rozstrzygnąć dzięki logice.

W wieczór poprzedzający pojawienie się Arley Mowbray w moim biurze rozmowa dotyczyła naszego małżeństwa, którego istnienie było zagrożone bądź nie, w zależności od tego, które z nas aktualnie mówiło. Stuart wydierał z gazet reklamy podróży, zostawiał je na szafce nocnej po mojej stronie łóżka i na głos rozważał zatrudnienie La Casity, by zorganizowała nam wesele i poda-

ła swe słynne „jajka po ranchersku”. Jednak ja w dalszym ciągu nie potrafiłam w najbliższej przyszłości wyobrazić sobie siebie w długiej beżowej sukni i słomkowym kapeluszu - a był to jedyny strój weselny, jaki mogłabym znieść.

Stuart uważał, że najlepszy pomysł to polecieć do Las Vegas i pobrać się wczesnym rankiem, by później cały dzień i noc spędzić w kasynie przy black jacku.

- Nie uważasz, że to byłaby przednia zabawa? - nagabywał mnie tamtego wieczora, gdy spłukiwałam resztki greckiej sałatki z talerzy, które niedawno kupiliśmy. - Moglibyśmy zamówić apartament z jedną z tych śmiesznych wanien w kształcie serca, jakie widzieliśmy w tych starych reklamach Poconos.

Wyobraziłam sobie, jak siedzimy w czerwonej emaliowanej wannie, i nie mogłam powstrzymać śmiechu. Teraz czasem zastanawiam się, czy tamtej jesieni Stuart czuł już zbliżającą się do nas falę, na długo zanim ja ją poczułam. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego nagle z takim zapałem zaczął odgrywać rolę namiętnego adoratora.

Ludzie zawsze powtarzają, że znają swych kochanków lepiej, niż oni sami znają siebie, lecz gdy Stuart wypowiadał te słowa, była to prawda. Na trzy dni, zanim zachorowałam na gripę, przepowiadał ją, twierdząc, że poznaje to po zmianie koloru moich oczu - i nigdy się nie mylił. Potrafił ocenić, jak zły miałam dzień po tym, jak długo otwierałam drzwi po powrocie do domu i od razu proponował masaż pleców (który, w odróżnieniu od tego typu propozycji składanych mi przez innych mężczyzn, nie zamieniał się w grę wstępną podczas pierwszych trzech minut). Moi rodzice pokochali Stuarta od razu, ale wybaczyłam mu to, choć czasem drażnił się ze mną, nakłaniając telefonicznie moją matkę do wyegzekwowania macierzyńskiej władzy: „Miriam, ona nie chce ustalić daty ślubu. Może po prostu oddasz mi jej rękę? Wydawało mi się, że tak to działa”. Po tego typu zagrywkach następowały zazwyczaj długie minuty ciszy, podczas których Stuart tylko uśmiechał się i kiwał głową, a ja zakładałam, że mama właśnie roztraca przed nim swoją wizję naszego ślubu. Wydanie za mąż brzydszej, starszej córki z pewnością byłoby dla niej nie lada zwycięstwem. Gdybym jej na to pozwoliła, udekorowałyby lampionami uginające się od potraw stoły, a przy każdym nakryciu pyszniłby się bukiet z bibułkowych róż, skręconych przez kuzyniutka z Chicago i Flagstaff. Nie mogłabym na to patrzeć, lecz Stuartowi wcale by to nie przeszkadzało. Pod tym względem był zadziwiająco łagodny i wyrozumiały; mógł zaangażować się w każdą ceremonię, dużą czy małą, byleby tylko skończyła jako jego

aż po sam grób. Jeżeli chodzi o mnie, nigdy poważnie nie myślałam o poślubieniu Stuarta. Albo o rozstaniu z nim. I jedno, i drugie wydawało mi się nazbyt abstrakcyjne.

Odkąd poznaliśmy się w Chicago, gdzie pracowaliśmy jako obrońcy z urzędu, a Stuart właśnie zaczynał swą działalność jako przeciwnik kary śmierci, nie mogliśmy się nadziwić, jak bardzo do siebie pasujemy. Nowojorczyki z dala od domu zawsze witają się z żalonym poczuciem ulgi, bez względu na to, gdzie się spotkają, ale nieomal od początku było jasne, że dzielimy z sobą znacznie więcej niż tylko miejsce narodzin. Zgadaliśmy się co do rzeczy, nad którymi nikt inny nigdy się nie zastanawia. Oboje uważaliśmy, że Dionne Warwick śpiewa sto razy lepiej niż Whitney Houston. Zamknęci w oddzielnych pokojach, mogąc wykonać tylko jeden telefon, zamówilibyśmy pizzę z zielonymi papryczkami, anansem i niewielką ilością żółtego sera. Oboje uważaliśmy, że Jack Nicholson jest najbardziej przecenianym aktorem świata, Jackie Gleason zaś - najbardziej niedocenianym. - Możesz sobie mówić, co chcesz - rzekł Stuart tego wieczora, gdy się poznaliśmy. - Możesz twierdzić, że „Chinatown” jest najlepszym filmem świata, możesz mi to samo powtórzyć o drugiej części „Ojca chrzestnego”, lecz ja zawsze będę twierdził, że najlepszym filmem wszech czasów jest „The Hustler”. Ten film to całe moje życie.

Mogłam liczyć, że nigdy nie powie „obecny” mając na myśli „bieżący”, a on wiedział, że potrafię zaśpiewać całą partię Belmondo, jeżeli on zaśpiewa partię Dion w „Runaround Sue”.

Dziesięć lat później nasze rutynowe zachowania były równie łatwe do przewidzenia, jak satysfakcjonujące. Cały tydzień harowaliśmy niczym dzikie woły, by w niedzielę mieć czas tylko dla siebie; jedynym odstępstwem od tej reguły mogła być egzekucja lub jej zapowiedź. Najczęściej jedliśmy w łóżku późne śniadanie, a potem jechaliśmy do jednego z maleńkich zameczków porozrzucanych w okolicy San Antonio. Po trzydziestominutowej jeździe samochodem miało się wrażenie, że czas cofnął się o trzydzieści lat - tak maleńkie były te miasteczka; wtedy jeszcze nie wiedziałam, że w podobnych wychowali się Arley i Dillon. Ludzie sprzedawali tu zabytkowe krzesła lub puchowe kołdry, każąc sobie płacić sumy, za jakie obraziłby się żebrak na Wschodnim Wybrzeżu. Mimo to nic nie kupowaliśmy podczas tych wypraw, powtarzając, że zrobimy to w przyszłości - lecz nigdy nie precyzowaliśmy, kiedy to nastąpi.

- Powinniśmy zachować meble, które już mamy, Anne - powiedział mi kiedyś Stuart. - Do czasu gdy kupimy sobie własny dom, one będą antykami.

Czy pamiętam niewypowiedziane myśli oraz słowa, które padły tamtego wieczora, zanim w moim życiu pojawiła się Arley, tylko dlatego, że pojawiły się przed nią? Czy niektóre sprawy wydają się bardziej znaczące tylko ze względu na późniejsze wydarzenia? Pamiętam, jak płukałam talerze i słuchałam słów Stuarta opisującego coraz to dziwniejsze szczegóły naszego ślubu; nagle pomyślałam: A kto weźmie tę nową zastawę? Dlaczego to mi przyszło na myśl?

Przeraziłam się.

- No, cóż... Stuarcie - odparłam w końcu. - Przynajmniej byłoby to wydarzenie, o którym moglibyśmy opowiadać wnukom. Tylko że my nie będziemy mieć wnucząt. I od tego się zaczęło; nie do końca nowa dyskusja, lecz raczej lekko zawoalowana wersja debaty, którą powtarzaliśmy już sześciokrotnie. Tę ostatnią oddzielał od poprzednich wyjątkowo poważny ton. Potrafiłam mu wyłuszczyć wszystkie powody, dla których nie chciałam wychodzić za niego za mąż, chyba że mamy mieć dziecko; czasem wydawało mi się, że nawet je rozumiał. Ale nie potrafiłam go zmusić, by przyznał mi rację. Twierdził, że nie chce mieć dzieci. To było poza wszelką dyskusją. Chodziło mu o to, że mieszkanie razem w naszym wieku jest albo lenistwem, albo perwersją - usiłowaniem udowodnienia czegoś ludziom, którzy albo już nie żyją, albo których od dawna nic to nie obchodzi.

Osobiście uważam, że usiłował coś komuś udowodnić. Pomimo całego zapału wyczuwałam w nim podejście do małżeństwa typu „zróbmy-to-i-miejmy-wreszcie-z-głowy”, tak brzmiały również westchnienia, jakie wydawał co rano, zanim wstał z kanapy, by pójść biegać, po dziesięciu minutach leżenia w pozycji fetalnej z rozwiązanymi sznurówkami. Wydawało mi się, że uważa, iż małżeństwo - podobnie jak bieganie - jest zdrowe dla człowieka, nawet jeżeli wyjątkowo nużące i wyczerpujące.

- Stuart, ty nie uważasz małżeństwa za przygodę - powiedziałam mu tamtej nocy.

- Ty także - odparł.

- Ale nie powinno się zawierać związku małżeńskiego po dziesięciu latach spędzonych razem tylko dlatego, że skończyły się nam inne pomysły.

- Wcale nie skończyły mi się inne pomysły. Po prostu zawsze zakładałam, że pobierzemy się wcześniej czy później, Anne. Jesteśmy najstarszymi konkubentami w Ameryce.

- Wcale nie - rzekłam, podnosząc wałek do ciasta i zamierzając się nim na niego.

(Nie znoszę w sobie tej cechy, tej gotowości, by przeciąć

napięcie za pomocą slapstickowych chwytów, gdy powinnam zachować lodowate milczenie, jak robią to inne kobiety). - Twój wujek Stan i panna LePollo są od nas starsi.

- Oni usiłują za wszelką cenę nie stracić swojej renty. Jeszcze trochę i nas też to czeka. No, to jak będzie, kochanie? Czy masz jakieś plany na przyszłą sobotę? Albo może niedzielę, jeżeli w sobotę jesteś zajęta? Zrobmy z ciebie wreszcie uczciwą kobietę, mimo iż jesteś prawnikiem.

- Właśnie tak zamierzasz to załatwić? Wpaść do urzędu stanu cywilnego powiatu Bexar i złapać na łąso pierwszego lepszego sędziego?

- Przecież już mówiłem, że zaskoczenie doda wszystkiemu romantyzmu.

- I co, chcesz mnie porwać do śródmieścia?

- No, cóż... przecież nie podobał ci się pomysł z kaplicą Elvisa. Więc co chcesz zrobić? Wynająć salę na tyłach restauracji mister Allegrettie-go w Hoboken? Pragniesz mieć welon i kieliszek do rozdeptania?

Mniej więcej o to właśnie mi chodziło. A z tego, i jeszcze kilku innych powodów, nie chciałam poddawać się w walce o dziecko. Nawet nie chodziło o to, że nie widziałam sensu w życiu bez macierzyństwa. Jednak tej zimy skończyłam trzydzieści dziewięć lat i zrozumiałam, że jeżeli naprawdę chcę mieć dziecko, muszę się o nie postarać jak najszybciej. W rzeczy samej, przez kilka ostatnich miesięcy uprawiałam rosyjską ruletkę ze środkami antykoncepcyjnymi, właściwie niby specjalnie nie ryzykując, lecz jednocześnie nie zabezpieczając się tak, jak powinnam, i czekając, co z tego wyniknie. Nic nie wynikło.

W odróżnieniu od moich żyjących samotnie przyjaciółek nigdy nie przeszłam aborcji ani nawet nie dręczył mnie poważniejszy niepokój, że mogę być w ciąży. Mój okres pojawiał się z regularnością wojskowego zegarka co miesiąc i trwał dokładnie cztery dni, od czasu gdy miałam trzynaście lat. Czyżbym była aż tak ostrożna? Albo niepłodna? W ciągu ostatnich kilku lat zaczęłam dostrzegać różnicę. Tamtej nocy długo wierciłam się w łóżku: nie byłam jeszcze gotowa, by mieć dziecko. Nie byłam także gotowa, by powiedzieć, że nigdy nie zechcę go mieć. Nie spędzałam całych dni na kartkowaniu pisemek dla młodych matek ani nie snułam fantazji na temat własnego potomstwa, lecz widziałam coraz mniej powodów do nieposiadania dziecka.

- Stuarcie, uważam, że wielu ludzi chce mieć dzieci, ale nie ma ich z bardzo ważnych powodów. Ja jednak nie dostrzegam przyczyny, dla której nie miałabym zostać matką.

Czyż to nie brzmiało rozsądnie?

- Kobieta nie ma dziecka, gdyż nie znajduje powodu, by je mieć, Anne. A ty znasz wiele argumentów przeciwko... Masz wyczerpującą, ciężką pracę...

- Na której przez większość czasu tak naprawdę wcale mi nie zależy - przerwałam mu. - Mogę robić pięćdziesiąt innych rzeczy. Nawet na pół etatu.

To właśnie była najważniejsza różnica między nami: uważałam moją pracę za ciekawą, czasem nawet za wyzwanie, lecz nie stanowiła powołania, jak w przypadku Stuarta. Dzięki temu unikaliśmy wielu nieporozumień: kiedy Stuart miał szansę dostać pracę w Teksasie (ekwiwalencie Jeruzalem dla prawnika zajmującego się sprawami z cel śmierci), pojechałam za nim, pewna, że znajdę dla siebie równie dobre zajęcie. I znalazłam. Mogłam nawet wyobrazić sobie, że pewnego dnia będę prowadziła prywatną praktykę. Zarabianie trzydziestu tysięcy dolarów rocznie nie zagroziłoby memu zbawieniu, gdyż nadal byłam meodrodną córką lekarza: lubiłam prześcieradła z grubej bawełny i dwa razy do roku kupowałam sobie buty do biegania, podczas gdy Stuart wyrzucał swoje dopiero wtedy, gdy były zdarte do grubości baletek. Kara śmierci, drużyna Knicksów i ja - właśnie w tej kolejności - to trzy powody, dla których Stuart rano wstawał z łóżka.

- Zbliżasz się do niebezpiecznego wieku - powiedział mi tamtego wieczora, rozpoczynając tym samym swą wstępną mowę oskarżyciel-ską.

Obrona sprzeciwiła się:

- Ludzie miewają dzieci znacznie później, Stuarcie. I dobrze o tym wiesz.

- Poza tym na świecie i tak jest już za dużo dzieci...

- A także zbyt wielu prawników.

- Anne - odparł proszącym tonem. - Wiesz przecież, kim jestem. Wiesz, czym się zajmuję. Kiedy wyobrażam sobie tę mieszankę z dzieckiem w środku...

Nie chodziło tylko o godziny pracy, stres i bezwzględne dane ekonomiczne. (Stuart i jego koledzy w Tekszańskim Centrum Obrony zarabiali niewielkie pieniądze, mimo że po przeliczeniu wychodziło, iż czasem pracują siedemdziesiąt dwie godziny na dobę. Prawda, że na takich podstawach nie sposób budować stabilne życie rodzinne, ale prawdziwym powodem, dla którego jego koledzy po fachu nie mieli dzieci, było to, że życie nie chce współpracować ze śmiercią.

Klientom Stuarta nie powiodło się w życiu wszystko, co tylko mogło się nie powieść. „Ociężałość umysłowa nie została uznana za oko-

liczność łagodząca, więc postanowili faceta usmażyć" - tak powiedział najlepszy teksański przyjaciel Stuarta, Tarik, o Willercie Stylesie, mordercy, o którego walczył przez trzy lata, a którego randka z przeznaczeniem (Stuart i jego koledzy mówią na egzekucję „randka z kolacją i kinem”) odbyła się kilka tygodni temu. „Dla nich był tylko workiem ze śmieciami wyposażonym w nogi i ręce; tylko że jego rodzice lepiej potraktowaliby worek ze śmieciami”.

- Jeżeli są aż tak bezwartościowi, to dlaczego jest tak ważne, by pozostali przy życiu? - nieraz pytała Tarika Jeanine, moja serdeczna przyjaciółka.

- Ważne jest tylko to, by nie umarli - odpowiadał jej niezmiennie Tarik.

Słyszałam te słowa już tyle razy, że w końcu zaczęłam w nie wierzyć. Byłam dumna z kariery Stuarta, lecz nadal czułam wszechogarniającą niechęć, gdy wyciągał w naszych dyskusjach kartę pod tytułem „kim jestem”. Od tej chwili każda rozmowa przypominała bieganie w gęstniejącym syropie. Kręciliśmy się w kółko w tym impasie niczym para rozsądnych ludzi: on mówił, że jego praca jest dokładnie tym samym co posiadanie dziecka - sprawia, że nie sypia po nocach i ma za mało czasu dla znajomych, a ja odpowiadałam, że jego praca nigdy nie dorośnie, nie zmądrzeje i nie sprawi, że będzie czuć się kochany.

Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

Punkt dla Stuarta. Przewaga Annie.

Żadne z nas nie chciało mówić o pewnym niepodważalnym fakcie -jedno z nas będzie musiało się wycofać. Nie ma miejsca na kompromis. Wiadomo było, że w pewnym momencie nasza rozmowa przybierze inny obrót: co się stanie, jeśli się nie pobierzemy? Będziemy nadal żyć tak jak do tej pory czy się rozstaniemy?

Wiedziałam, że życiowym celem Stuarta było, żebyśmy wieczne pozostali dobrymi kumplami i kochankami; jednak coraz częściej zastanawiałam się, czy ja także tego pragnę.

Tak więc tamtej nocy zaczęłam współczuć nam obojgu. Jakaż to ironia losu: mimo iż żadne z nas całkowicie się nie myliło, żadne też nie miało stuprocentowej racji. Smutny, nieomal skruszony Stuart zaczął delikatnie pieścić moje ramię: przez całe życie uważał, że dzięki seksowi można przetrząsnąć mosty nad wszystkimi ludzkimi bólami i niechęciami. Zazwyczaj nie miałam nic przeciwko temu, jednak tym razem żadne z nas nie potrafiło wykrzesać z siebie ochoty do seksu. Spoglądając na to z perspektywy czasu, widzę, że poczucie czegoś dobiegającego kresu musiało przygotować grunt pod wszystko, co zaszło między mną a Arley.

Oczywiście, gdybyście mnie wtedy o to zapytali, powiedziałabym, że kłopoty Arley były esencją wszystkiego, o czym marzą adwokaci zajmujący się prawami kobiet i dzieci. Czasem, wraz z przyjaciółkami, Patty Flanagan - zajmującą się tym samym co ja - oraz Jeanine, pracowniczką agencji adopcyjnej, kończyłyśmy radośnie spędzony wieczór w naszej ulubionej restauracji toastem za zdrowie Louise Marker Drew. Rani Drew była teksańską dziedziczką ogromnej fortuny, która jakieś dwadzieścia lat temu zaskoczyła swych krewnych, przeznaczając cały majątek na centrum wsparcia prawnego dla kobiet w tarapatkach. „Za pannę Drew - mówiła Jeanine unosząc kieliszek - która umożliwiła kobietom podejmowanie decyzji w tym pieskim życiu!”

Patty i ja często nie do końca rozumiałyśmy problemy naszych klientów. Odwaga i galanteria niektórych z moich klientów chwyciła mnie za serce, ale inni... czasem człowiek miewa ich dość. Pewna młoda kobieta przychodzi do twojego biura z rozciętą wargą i ogromnym brzuchem, ty wyglądasz dla niej wszystkie sprawy - załatwiasz pracę, mieszkanie - a półtora roku później zjawia się w twoim gabinecie z tak samo rozbitą wargą i wielkim brzuchem. Po siedmiu latach w tym zawodzie wypalenie nie jest tylko figurą retoryczną. Z początku - faktycznie, przez bardzo długi czas - wmawiałam sobie, że moje zaangażowanie w sprawy Arley jest tak ogromne, ponieważ stawiały mnie one na rozdrożach kariery: był to-albo początek czegoś nowego, albo też ostatni zryw przeszłości. Jednak nic nie jest takie proste. Od samego początku bardzo się do siebie przywiązałyśmy, łączyła nas nieomal biologiczna więź. Nigdy wcześniej nie miałam podobnych doświadczeń, więc jak miałam je rozpoznać, gdy wreszcie pojawiły się w moim życiu?

Tamtego grudniowego poranka chciałam tylko, by wszystkie źle przez los i mężczyzn traktowane i poniżane kobiety wzięły się wreszcie w karby i przestały podskakiwać na dywanie niczym karpie wyjęte z wody na widok czegokolwiek o owłosionych nogach wciśniętych w kowbojki albo pantofle ze skóry krokodyla. Miałam już dość wysłuchiwania, jak to jakiś popaprany świr jest podobny do Michaela Bolto-na, i jak mimo całego zła, które komuś wyrządził, w głębi duszy jest naprawdę słodki, czuły i kochający.

Teczka z napisem „Arlington Mowbray” leżała na samym szczycie sterty dokumentów znajdujących się na moim biurku. To właśnie cały Teksas - zdawać by się mogło, że wszyscy noszą imiona z serialu „General Hospital”. Rzuciłam okiem na początek wpisu do karty: „Biała kobieta, lat czternaście, mężatka, chce uzyskać...”, po czym wzięwszy ją wysłałam na korytarz, gotowa przekazać sprawę pierwszemu kole-

dze, który nawinie się pod rękę, Mattowi, Rauiowi, czy Patty. W końcu byłam tu szefem. Niby dlaczego to ja miałam co dzień prowadzić szarżę do doliny uciśnionych?

Lecz gdy tak szukałam mej ofiary, zobaczyłam dziewczynę siedzącą w poczekalni, skuloną w fotelu pod półką z kwiatami. Lilia, nasza sekretarka, właśnie spryskiwała wodą filodendron, a wysoka, ciemnowłosa nastolatka zadawała się nie zauważać kropelek wody osiadających na jej torebce, ramionach i oparciu fotela. I nawet nie chodziło o to, że była śliczna. Uderzyło mnie, że zdawała się jeszcze nie dotknięta dojrzewaniem. Lśniące, brązowe włosy opadały na ramię splecione w pojedynczy warkocz; nie nosiła żadnej biżuterii, a uszu nie przekłuła nawet w jednym miejscu - coś, co większość dziewcząt w jej wieku uznałoby za przejaw konserwatyzmu lub czegoś jeszcze gorszego. Co najdziwniejsze, jej skóra nie nosiła żadnych oznak zmian okresu dojrzewania - była biała i czysta niczym u ośmiolatki, wyjąwszy kruczoczarne brwi.

Kiedy tak obserwowałam ją tego pierwszego dnia, zobaczyłam, jak w zadumie sięga na plecy i przyciągając pędzelek końcówki warkocza do ust, przesuwając po nim wargami - był to gest, do którego w przyszłości miałam się przyzwyczaić równie mocno, jak do zapachu własnej poduszki. Arley czytała magazyn mody „Seventeen” w ten sam sposób, w jaki ja to robiłam, gdy byłam w jej wieku - wprost pochłaniała go wzrokiem. Potem przesunęła paznokciem kciuka po wewnętrznej krawędzi pisma, by wydrzeć równo stroniczkę; złożyła ją na pół i wsunęła do kieszeni wyprasowanych džinsów z zadziwiającą prędkością. Wiedziałam, po co to robi: by w przyszłości spróbować znaleźć duplikat tej oszałamiającej, kolorowej kreacji za dziewięćdziesiąt dolarów w lokalnym sklepiku, w którym kosztowałby jakieś 15,99 dolara, i który nosiłaby z zachwytem przez najbliższe trzy tygodnie, dopóki nie zaczęłyby rozłazić się w szwach.

Przychodzą mi do głowy najróżniejsze powody - mój zegar biologiczny, chwytająca za serce inteligencja Arley - lecz żaden z nich w pełni nie wyjaśnia natychmiastowej sympatii, jaką do niej poczułam. Widziałam naprawdę mnóstwo młodych kobiet w tarapatkach, które potrzebowały mojej opieki lub pomocy, wszystkiego, co tylko mogły ode mnie wyciągnąć... kilka z nich miało niesamowite wprost możliwości. Jednak z nich wszystkich tylko Arley - nie posiadająca wiedzy, by zrozumieć swe uczucia - usiłowała ofiarować mi coś w zamian. Popchnięta do działania, a potem przerażona własną potrzebą, bezbłędnie rozpoznała moją. Nie wiem dlaczego.

Nie mam pojęcia, jak długo ją obserwowałam; wiem tylko, że po jakimś czasie poczułam się jak podglądacz i zrozumiałam, że powinnam się odezwać, jednak żadne słowa nie przychodziły mi na myśl. Zobaczyłam, jak przygląda się sobie w lustrze, unosi włosy z karku i wpatruje się w nie z napięciem. Potem, spoglądając w stojące po przeciwnej stronie pokoju akwarium, jakby to było zwierciadło, zrobiła wściekłą minę. Po chwili spróbowała wyglądać na szczęśliwą, przywołując na twarz jeden z tych szerokich uśmiechów, które mówią „Jak ja się wspaniale bawię!” Przepadłam z kretesem, gdy zobaczyłam ją strojącą te głupie miny. Teraz już o tym wiem, podobnie jak Arley. Przez parę minut myślałam o tym, jak byłam w jej wieku - wiecznie nieszczęśliwa; groziłam, że popełnię samobójstwo, dopóki moja matka nie powiedziała mi: „No to zabij się już teraz. Nie ma na co czekać. Tylko przestań tak joczyć”.

- Nigdy ich nie ścinaj - odezwałam się do Arley, podchodząc i wyciągając do niej rękę na powitanie.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Wcale nie zamierzam, tylko będę je kłać co dzień, aż do końca stycznia, kiedy wreszcie się ochłodzi.

- A kiedy będzie już chłodniej?

- Wtedy poczuję się jak prawdziwa księżniczka.

- Więc warto się męczyć? A może nie do końca?

To ją zatrzymało; wyczuła, że chodzi mi o coś więcej niż tylko jej fryzurę i może miała rację,

- Muszę się spotkać z prawnikiem - rzekła, a na jej policzki wypłynął ciemny rumieniec. - Muszę to zrobić jak najszybciej, a potem wrócić do szkoły.

- Studiujesz? - spytałam, ciekawa, co odpowie.

- Na początku chciałam odpowiedzieć, że tak - odparła, patrząc mi prosto w oczy. - Ale i tak wie pani o mnie wszystko. Jestem jeszcze w średniej szkole. W pierwszej klasie.

- Co cię tu sprowadza?

Znowu przesunęła wargami po końcówce warkocza.

- Przyszłam, bo sądzę, że państwo powinno szanować prawa obywateli.

- A tym obywatelem jesteś ty, tak?

- Tak. I mój mąż, Dillon.

- Więc jesteś mężatką? Spojrzała mi twardo w oczy.

- A czy pani jest prawnikiem?

- Jestem jednym z pracujących tu prawników.
 - Ale czy zajmie się pani moją sprawą?
 - Możliwe... jeśli okaże się, że potrzebujesz pomocy prawnika.
 - W takim razie już pani wie, po co tu przyszłam. Opowiedziałam
 - o wszystkim tamtej pani,
 - Może sama mi o tym powiesz?
 - Jestem mężatką, zgodnie z prawem. Choć mam dopiero... cóż, niedługo będę mieć piętnaście lat.
 - Kiedy?
 - W kwietniu.
 - Powiedz mi, Arlington, jak to się...
 - Mam na imię Arley. Arley Mowbray. Właściwie teraz Arley Mow-bray LeGrande. Przepraszam, że pani przerwałam.
 - Ładne imię.
 - To nazwa miasta leżącego między Dallas a Fort Worth.
 - Czy stamtąd właśnie pochodzi twoja rodzina?
 - Nie... mama nazwała nas wszystkich, brata, siostrę i mnie, na cześć miast w Teksasie.
 - Dlaczego?
 - No, cóż... moja mama... - zaczęła, lecz rozmyśliła się i dodała: - Czy to ma znaczenie?
 - Nie, oczywiście, że nie. Po prostu staram się być uprzejma.
 - A, taak.
 - Więc jak to się stało, że w tak młodym wieku wyszłaś za męża?
 - Wcale nie w aż takim młodym. Niedawno czytaliśmy „Romea i Julię”, i ona była w moim wieku. - Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu i Arley to zauważyła. - Taak, wiem, że tamto niezbyt im wyszło na dobre - mruknęła.
 - Ale tobie się uda?
 - Mam nadzieję.
- Zaprowadziłam ją do mego gabinetu, gdzie od razu zaczęła się bawić gadżetami *typu perpetuum mobile* stojącymi na biurku, zupełnie tak samo jak każde dziecko, które kiedykolwiek tu weszło, ostrożnie uderzając o siebie stalowymi kuleczkami wiszącymi na drucikach. Przeglądając jej formularz zgłoszeniowy, myślałam to samo, co później usłyszałam od Stuarta - że historia Arley jest jakby żywcem wzięta z Almanachu Fatalnych Pomysłów. Nie każdy, kto idzie do więzienia, jest złoczyńcą, zwłaszcza w Teksasie, lecz wnosząc z opisu Dillon LeGrande należał do tego typu ludzi, którzy zawsze ładowali się w kłopoty z prawem i rzadko kiedy dożywali pięćdziesiątki.

Był najstarszym z czterech synów kobiety, która pierwszego męża straciła przy wybuchu na polu wiertniczym, a drugiego w bójce na noże. Zdawać by się mogło, że Dillon wychowywał się sam w maleńkim miasteczku Welfare, jednym z tych ponurych, biednych miejsc na przedmieściach San Antonio. Rodzina Arley mieszkała zaledwie kilkanaście mil na zachód, lecz ich drogi nigdy się nie spotkały, mimo iż chodzili do tej samej szkoły w Alamo Heights. Bracia Dillona byli typowymi rozwydrzonymi gówniarzami, którzy większą część dzieciństwa spędzili w zakładach opieki instytucjonalnej albo w zakładach poprawczych - za picie, wszczynanie bójek i włóczęgostwo; jednak Dillon -przynajmniej oficjalnie - trzymał się z dala od kłopotów, aż do nocy, w której wraz ze swym bratem Kevinem postanowili obrabować stację benzynową w Comfort, kilka mil na zachód od ich domu. Bezbronny chłopak pracujący przy kasie na stacji wylądował w szpitalu ze strzaskanym od postrzału lewym barkiem, a Dillon i Kevin - w więzieniu stanowym Solamente River. Jako starszy z nich dwóch i ten, który najprawdopodobniej pociągnął za spust, Dillon dostał osiem lat

Arley i Dillon zaczęli korespondować ze sobą we wrześniu; odwiedziła go tylko raz. Przysięgła jej miłość i wierność - i od dwóch tygodni byli małżeństwem.

Westchnęłam. Zazwyczaj zaczynałam rozmowę od wytyczenia głównych celów: Dlaczego się tu spotkałyśmy? Co się stało i czego dziewczynie potrzeba? Jednak tamtego dnia czułam ogromną chęć wpłynięcia na sytuację, która tak naprawdę wcale nie powinna mnie interesować.

Więc zadałam Arley podstawowe pytanie:

- Co też cię opętało, by zrobić coś podobnego? Co opętało twoją matkę, że się na to zgodziła? Czy Dillon był twoim chłopakiem, zanim poszedł do więzienia?

Arley potrząsnęła głową.

- Nie miałam żadnego chłopca przed nim. Poznałam go dzięki listom.

- Trzy miesiące temu.

- Tak, trzy miesiące temu. - Wyprostowała się i dodała: - On jest naprawdę dobrym człowiekiem. - No tak jest dobry, jak dobre może być dziecko czy zakonnica. -

Wiem, co robię. Może i mam dopiero piętnaście lat...

- Czternaście.

- Okay, ale i tak wiem, co robię, przynajmniej jeżeli chodzi o tę sprawę. Mój mąż, Dillon, dobrze się sprawuje w więzieniu i ma szan-

sę wyjść najpóźniej za dwa lata. Wszystko zapisano w tych dokumentach.

- Więc na czym polega problem?

- Proszę pani - rzekła Arley, czerwieniąc się po uszy - on chce być ze mną przed upływem tego czasu.

Widziałam, że dziewczyna strasznie cierpi, wypowiadając te słowa, i poczułam się okropnie. Za żadne skarby nie powiedziałyby głośno, że Dillon znaczy dla niej więcej niż własne poczucie przyzwoitości. Wtedy jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ważne jest ono dla niej ani dlaczego tak się dzieje. Z biegiem czasu przekonałam się, że poczucie przyzwoitości Arley jest takie samo, jak jej stosunek do gęstych włosów - na poły radosny, na poły niechętny.

- Więc chce wizyty małżeńskiej - zasugerowałam.

- Ja także tego pragnę.

- Ale wam odmówiono. -Tak.

- Chcesz się z nim kochać.

- Chcę... być przy nim. Podparłam brodę rękoma.

- No, cóż, pani LeGrande, jeżeli mówi mi pani całą prawdę i tylko prawdę, jeżeli nie ukrywa pani przede mną żadnych faktów na temat męża, jak na przykład, że jest uważany za niebezpiecznego dla otoczenia lub że może uciec z więzienia Solamente River, uważam, że jego petycja i twoja prośba powinny wystarczyć. Twoim obowiązkiem jest...

-Zapłacę... Westchnęłam.

- Oczywiście, że zapłacisz. Zazwyczaj nie mamy problemu, by dogadać się co do wysokości honorarium. Chciałam powiedzieć, że twoim obowiązkiem jest powiedzenie mi prawdy i okazanie nieco cierpliwości. Postaram się załatwić całą sprawę bez pozwu... to znaczy bez konieczności...

- Bez włączenia się po sądach.

- Tak. Uważam, że tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, z tobą i twoim mężem na czele, a także dla władz Teksasu i, Bóg jeden to widzi, dla mnie.

- Potrafię czekać.

Mam nadzieję; omal nie powiedziałam tego na głos. Patrzyłam na nią i myślałam: jak do tej pory nie byłaś zbyt cierpliwa; dlaczego nie możesz zaczekać, aż urośniesz jeszcze z cal czy dwa, zanim weźmiesz na barki ten ciężar? Chciałam jej powiedzieć: dzieciaku, ten krzyż nigdy nie bę-

dzie ani odrobinę lżejszy, z czasem będzie się stawał tylko cięższy i cięższy, aż wreszcie go nie uniesiesz. Jednak coś w jej spojrzeniu mnie powstrzymało - coś, co sugerowało, że już to wszystko zrozumiała: marny całokształt sprawy, nieodpowiedniość jej żądań, ryzyko i wstyd. A jednak nic nie było w stanie odwieść jej od raz powziętej decyzji.

Wyczułam w niej to, o czym później się przekonałam: i bez mojej pomocy odczuwała winę lub żal. Przez całe swe młode życie postrzegała świat jako niepewne miejsce; dowiedziałam się, że powodowana strachem, iż w dorosłym życiu będzie przypominać swą lekkomyślną matkę, stworzyła plan, własny Almanach Życiowych Celów - bolało mnie, że przy całej swej miłości do Dillona, wpisała do niego mnóstwo punktów dotyczących sportu, ubrań i sposobów zachowania, co okazało się równie bez znaczenia, jak ślady ptasich iapek na plaży. Kiedy wstałyśmy, z trudem opanowałam chęć poklepania jej po ramieniu. Nagle wskazała na purpurową teczkę, którą z sobą przyniosła.

- Zostawię to u pani. Ale jest jeszcze jedna rzecz, o której powinna pani wiedzieć. Westchnęłam.

- Co takiego?

-Jeżeli przeczyta pani nasze listy... o te... przekona się pani, że na początku skłamałam. Napisałam, że jestem starsza.

- Rozumiem. Ale teraz on już zna prawdę? Całą prawdę?

- Tak, proszę pani. Wie o wszystkim i wcale mu to nie przeszkadza. Spojrzałam na wąską talię Arley i pomyślałam: założę się, że mu nie przeszkadza, ale powiedziałam tylko:

- No, cóż... w takim razie i dla mnie nie powinno to przedstawiać żadnego problemu. Patrzyłam, jak zamyka za sobą drzwi, i doszłam do wniosku, że będę musiała wymyślić jakiś sposób, by ta dziewczyna zbyt nie sparzyła. Potem usiadłam przy biurku z kawą, która dawno wystygła, i zabrałam się do czytania „dowodów” przyniesionych przez Arley w purpurowej teczce, oznaczonej przyklejonymi literkami „Dillon i Arlington LeGrande”.

ROZDZIAŁ DRUGI

ARLEY

Kiedyś myślałam, że nic z tego by się nie wydarzyło, gdybym była wychowana w normalnej rodzinie. Ale może to nic nie zmienia. Spotkałam pewnego razu dziewczynę w Dallas, pochodziła z bogatej rodziny -jej ojciec był lekarzem. Powiedziała mi, że gdy chodziła do szkoły średniej, co dzień była pijana; od rana piła szkocką z mlekiem z termosu. To musiała być wina jej rodziców, lecz zupełnie nie rozumiałam dlaczego. Mówiła, że spełniali każdą jej zachciankę. Moim zdaniem wszystko zaczęło się od tego, że znalazłam sobie pracę w Taco Heaven; to był pierwszy krok. Najpierw Elena namówiła swoją matkę, by pozwoliła jej pracować na pół etatu; powiedziała, że dzięki temu stanie się „bardziej odpowiedzialna”, choć nawet nie wiedziała, czy uda się jej znaleźć jakąkolwiek pracę. Potem Elena poszła do Ginny Jack, właścicielki Taco Heaven (które mieściło się po drugiej stronie ulicy od naszej szkoły, gdzie Alamo Heights przechodzi w San Antonio). Przekonała Ginny, że powinnyśmy we dwie u niej pracować w tych samych godzinach - powiedziała, że to dla bezpieczeństwa, ale tak naprawdę chodziło o to, byśmy mogły się wspólnie wygłupiać. Potem ja namówiłam mamę, by pozwoliła mi pracować u Ginny; nie było to zbyt łatwe, lecz się uparłam. Miał to być główny punkt mojego planu ucieczki - zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy, żeby móc iść na studia, albo wyprowadzić się do własnego mieszkania. Niektórzy nauczyciele zaczęli mi już mówić, że miałabym szansę na stypendium. Kiedy zwierzyłam się mamie, burknęła, że lepiej zrobię zapominając o tym. Zabroniła mi pracować w soboty. Wyjaśniła, że nie chce, bym zadawała się z Elena - i to nie dlatego, że Elena była trochę szalona -gdyż pan G., jej ojciec, miał własną firmę budowlaną. Nie chciała, bym zaczęła wbijać sobie do głowy dziwaczne pomysły na temat tego, co

powinam mieć, a czego nie powinienam; jednak w głębi duszy nadal myślę, że nie chciała, bym przyjaźniła się z Eleną, gdyż Gutierrezowie pochodzili z Meksyku i uważała, że jesteśmy od nich lepsi. Dobrze sobie! Jakbyśmy mieli warunki, by rozmawiać o klasach społecznych! Ludzie z miasta mówili o nas „wsiochy” albo jeszcze gorzej, choć wcale nie mieszkaliśmy na wsi.

No, cóż... tak czy inaczej, uparłam się, że chcę pracować, bym mogła płacić za swoje ubrania, a mama powiedziała, że się nad tym zastanowi. Oczywiście, od razu wymyśliła inny argument przeciw; pewnego wieczora zaczekała na mój powrót do domu, co było dla niej bardzo kłopotliwe, gdyż pracowała na zmianę, zaczynając się o szóstej wieczorem i trwającą do piątej następnego dnia rano. „Nie ma mowy, byś wychodziła z tego domu w sobotę - rzekła. - W jakąkolwiek sobotę. To dzień przeznaczony na twoją pracę w domu. Nie rozumiesz, że nie będę mogła pracować w takich godzinach, w jakich pracuję, jeżeli ty nie zajmiesz się domem? To twój obowiązek, więc lepiej się z niego wywiążuj”. Chciałam się sprzeciwić, ale wiedziałam, że jeżeli to zrobię, odda mnie do sierocińca pod pretekstem, że nie daję sobie ze mną rady. Wiele matek straszy swe dzieci, że jeżeli nie będą grzeczne, oddaje państwu na wychowania, lecz nie mówi tego poważnie. Moja matka byłaby zdolna to zrobić.

Wtedy odwarknęłam - jeden z nielicznych razów, gdy odważyłam się jej odszczeknąć - i powiedziałam:

- Więc tak naprawdę wcale nie chodzi ci o rodzinę Eleny, tak?

- No, cóż... jak dla mnie mogą cię nawet adoptować - odparła. - Jeżeli odnoszą tak wielkie sukcesy, chyba nie będą mieć nic przeciwko jeszcze jednemu dziecku.

Matka Eleny faktycznie traktowała mnie jak jeszcze jedno dziecko w rodzinie; była bardzo szczęśliwa, gdy zaprzyjaźniłam się z Eleną. Znałyśmy się właściwie od zawsze, ale kiedyś, w ósmej klasie, złapałam ją na tym, że ściąga ode mnie na klasówce, a ona strasznie się rozplakała. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż zawsze uważałam ją za twardą dziewczynę; tak więc gdy nauczyciela zaskoczył jej wyjątkowo dobry wynik z klasówki, skłamałam mówiąc, że wcale ode mnie nie ściągała. Później Elena przyznała, że zachowałam się wyjątkowo lojalnie.

Kiedy znalazłyśmy sobie pracę, pani Gutierrez powiedziała:

- No, cóż... przynajmniej Arley ma na ciebie dobry wpływ, Eleno. Może wreszcie zaczniesz brać z niej przykład. Nie ma nawet połowy tego co ty, a patrz, jak ciężko pracuje.

Wprawiło mnie to w zakłopotanie, lecz jednocześnie rozpierała mnie duma; kiedy zaczęłam częściej bywać u Eleny w domu, zdarzało

się, że zostawiałam u nich zeszyty, by pani G. mogła się przekonać, jakie są schludne i czyste. Bardzo lubiłam, gdy powtarzała, że na pewno zostanę lekarzem albo prawnikiem, podczas gdy jej córka będzie, dajmy na to, sprzedawać kolczyki w centrum handlowym.

- Nie ma mowy, mamó - wtrącała się wtedy Elena. - Chcę być striptizerką, przecież wiesz o tym.

Pani G. mruczała wtedy pod nosem jakieś przekleństwa czy modlitwy po hiszpańsku i szła do kuchni, by przynieść nam ciasteczka. Elena wierzyła, że kiedy zacznie pracować, mama wreszcie przestanie się jej czepiać.

- To stara suka - warczała czasami, choć pani Gutierrez wcale nie była suką. Elena po prostu nie wiedziała, że bywają matki, które nawet nie widzą, że już skończyłaś podstawówkę i chodzisz do szkoły średniej. Gdy pani Gutierrez pytała: „Czy przygotowałaś się do testu z angielskiego, Eleno Louise?“, uważała, że matka chce ją kontrolować. Dla mnie zawsze było to równie wielkim przejawem czułości, jak otulanie kołdrą na dobranoc. Kiedy czasem w soboty nocowałam u nich, po dniu spędzonym z Eleną w centrum handlowym i wieczorze w kinie, pani G. zaczynała także i mnie gonić do nauki oraz narzekać, że zrujnuję sobie cerę, jedząc te wszystkie tłuste świństwa, a ja strasznie to lubiłam. Pokazywałam jej nawet moje cenzurki i wtedy kazała mi obiecywać, że nie zmarnuję mojego umysłu i wiedzy i nie zostanę kurą domową jak ona. „No - ponagliła mnie - powiedz: «Obiecuję, Luiso»“. Nie potrafiłam, co prawda, mówić jej po imieniu, lecz czasem, po cichutku, nazywałam ją „mamusią“. Uczucia pani G. względem mnie są jedną z tych rzeczy, które najbardziej boją. Oni są jedną z tych typowych, dużych, zżytych z sobą meksykańskich rodzin, w których uważa się na dziewczynki tak, jakby były zrobione z cukru i mogły rozpuścić się na deszczu. Co prawda, niewielki to miało wpływ na najstarszą siostrę Eleny, Gracie. Connie była łagodną siostrą, lecz Gracie to istny *desperado*; swego czasu spędziła kilka miesięcy w Evins Center w Edynburgu, po tym, jak przez pół roku unikała chodzenia do szkoły i rodzice wezwali na pomoc kuratora. Z drugiej strony Connie studiowała obecnie w Midtown Tech. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad pójściem na studia; tę chęć obudziła we mnie dopiero mama Eleny, powtarzając, jak bardzo różnię się od innych dziewczynek w moim wieku. Jaka jestem poważna. Dzięki temu zaczęłam uważać, że stanowią coś więcej niż tylko przedmiot oddany do dyspozycji mej kapryśnej matki.

Okazało się jednak, że pani Gutierrez także nie pozwoliła Elenie pracować w soboty; uważała, że jej córka potrzebuje przynajmniej jed-

nego dnia w tygodniu na odpoczynek i porządne odrobienie lekcji. Dogadałyśmy się więc z Ginny, że będziemy pracować we wtorki i czwartki po szkole i przedpołudniami w niedziele. Moja mama już miała się i na to nie zgodzić, gdy Elena wpadła na fantastyczny pomysł: może bym zaproponowała mamie, że będę jej co tydzień oddawać część zarobionych pieniędzy? Więc tak zrobiłam. Mama odparła „Okay, płać mi dwadzieścia dolców”. Ja na to, że nie ma mowy, mogę dać dziesięć. A ona na to „Dobra, przynajmniej wystarczy na fajki”.

I to wreszcie załatwiło sprawę. To doskonały przykład, jak Elena potrafi radzić sobie z ludźmi; ja mogę spojrzeć na problem z chemii organicznej i od razu „załapać”, o co w nim chodzi, lecz nie potrafię tak szybko rozgryzać ludzi jak ona. Taco Heaven wcale nie było najprzyjemniejszym miejscem na ziemi. Siostra Eleny Gracie, nazywała ją „Restaurante Cucaracha”*, ale nie była aż tak brudna. Dobrze się w niej bawiłyśmy i czułyśmy się takie dorosłe, dostając co tydzień czek, nawet jeżeli opiewał zaledwie na sześćdziesiąt dolarów.

Co by się stało, gdyby mama naprawdę mi zabroniła? Albo gdybyśmy zamiast pracować u Ginny, najęły się do supermarketu po drugiej stronie miasta? Musi istnieć jakiś plan znacznie większy i ogólniejszy od mojego. Annie powtarza: „Nic nie jest kwestią przypadku. Ludzie wierzą w zrzącenia losu, żeby nie brać na siebie odpowiedzialności i winy za swoje czyny”.

Ale nawet ona przechodzi przez próg tyłem, jeśli zapomni kluczy lub listy zakupów i musi wrócić do mieszkania. Rzuciła sól przez lewe ramię i wydaje dziwne odgłosy przypominające plucie za każdym razem, gdyż ktoś w jej towarzystwie wspomni o jakiejś tragedii. Twierdzi, co prawda, że to nie przesady, lecz żydowskie wudu.

„Dziedziczne szaleństwo” - tak to nazywa. Nie ma pojęcia, że tego typu pomysły - na przykład, że dziecko może się urodzić fizycznie doskonałe, lecz mieć w środku całe mnóstwo złych genów - przyprawiły mnie o gęsią skórę.

Tamtej niedzieli w Taco Heaven myślałam o chłopcach, lecz wcale nie o tym, by mieć z którymś dziecko; wydawało mi się dziwne, że w odróżnieniu od innych dziewcząt w moim wieku, nie wpisałam posiadania chłopca do mojego Almanachu Celów Życiowych. Jednak podejście mamy do mężczyzn - takt, jak bardzo rozwodziła się nad dłońmi jakiegoś lekarza w szpitalu, gdzie pracowała, oraz to, że mniej więcej raz na miesiąc sprowadzała do domu komiwojażerów albo kowbojów, któ-

* Restaurante Cucaracha - Restauracja Karaluchów (przyp. tłum.).

rzy wypijali cały nasz sok pomarańczowy prosto z kartonów, a także to, że mój brat Cam często ścigał sobie na noc do pokoju długowłose dziewczyny, które wychodziły od niego nad ranem spocone i cuchnące... wszystko to skutecznie odstraszało mnie od zakochania się w kimkolwiek. Kiedy byłyśmy w siódmej klasie, wszystkie dziewczęta nosiły wpinki, takie, jakie można dostać podczas każdej gry Rangersów, żeby tylko pokazać, że mają chłopca, lecz ja nawet nie chciałam o tym myśleć. Potem, gdy znalazłam się w pierwszej klasie szkoły średniej, każdy był ciekawy, kto z kim chodzi, ale ja się tylko uśmiechałam, słysząc podobne pytania. Elena powiedziała mi pewnego razu, że mam tak tajemniczy uśmiech, iż pewnie wszyscy pomyśleli, że chodzę z jakimś studentem. Jednak mnie to wszystko po prostu przerażało; było tak jak kiedyś w przedszkolu, gdy dzieciaki zamknęły się w klasie od środka i nie chciały wpuścić nauczycielki - one się śmiały, a ja zemdlałam. Kiedy nocowałam u Eleny, ona i dziewczyna, z którą się przez jakiś czas przyjaźniła, Chita, opowiadały mi, jak to jest czuć język chłopca w ustach. Mówiły, że ma się wtedy wrażenie, jakby żywe zwierzę dostało ci się do środka, jakby język nie należał do reszty ciała chłopca. Podobno z początku to przyprawia o mdłości, lecz potem gdy kogoś całujesz, wydaje ci się nienaturalne, jeżeli nie całujesz także jego języka. Opowiadały mi też, jak chłopcy starają się dotknąć twoich piersi nadgarstkami, zamiast dłońmi, aby wyglądało na to, że zrobili to przez przypadek. Elena chwaliła się, że trzem czy czterem chłopcom pozwoliła pieścić swoje piersi, a jeden dotknął jej nawet między nogami. Przyznała, że to było miłe. Jakby łaskotało. „To niesamowite” - odparłam, lecz jednocześnie myślałam: a jeśli tuż przedtem chłopak jadł musztardę? Jeżelibym się zadławiła? Ale nie powiedziałam tego głośno. Nie rozumiałam, dlaczego dziewczyna tak popularna jak Elena w ogóle chce się zadawać z takim chodzącym dziwadłem jak ja. Miała ciało zawodowej gimnastyczki, szczupłe kostki stworzone do chodzenia na wysokich obcasach i czerwone, wiecznie uśmiechnięte usta. Kiedy wychodziłyśmy wspólnie do miasta, chłopcy na jej widok wyli niczym kojoty na wzgórzach; a ja byłam tylko jej cieniem. Później nastał Dillon i bycie kobietą wydawało mi się zadziwiająco łatwe. Szło mi równie dobrze, jak biegi przez płotki - miałam wrodzony talent. Czulałam się piękna, odkąd przeczytałam pierwsze słowa, jakie do mnie napisał, na długo zanim po raz pierwszy mnie dotknął. Wiem, że to brzmi niemądrze. Tamtego wrześniowego dnia panował tak straszny upał, że gdy ktokolwiek otwierał drzwi Taco Heaven, by wejść czy wyjść, fała gorąca

wpływała do środka niczym podmuch znad rozgrzanego grilla i człowiek natychmiast zaczynał się pocić. Ludzie nie mają racji, twierdząc, że upały w Teksasie są łatwe do zniesienia, dzięki suchemu powietrzu; to bzdura. Raz jest tak duszno, a kiedy indziej tak sucho, że wstając rano i wychodząc na dwór ma się wrażenie, iż jest się plackiem tortilli, który ktoś najpierw zmoczył, a potem obtoczył w mące. Tamtego dnia, gdy tyłko nie obsługiwałam klientów, stałam na zapleczu przytulona do lodówki. Na palcach jednej dłoni mogłam policzyć, ile razy w życiu było mi zimno; w rzeczy samej miałam tylko jedną dżinsową kurtkę, dopóki Annie nie kupiła mi zielonego płaszcza, żebym miała w czym iść do sądu.

Ważnie obsługiwałam czworo studentów - dwie dziewczyny i dwóch chłopaków - gdy do Taco Heaven weszła starsza siostra Eleny, Connie. Wyglądała tak niezwykle, że omal nie upuściłam ołówka. Ci studenci także na chwilę zamilkli i przez kilka minut jedyny dźwięk, jaki rozlegał się w restauracji, stanowiły odgłosy wydawane przez pana Justisa siedzącego na tyłach. Był to stary, chudy człowieczek, który zawsze siadywał tu po szkole i grał na wymyślonych skrzypkach.

Martwiłam się o niego, gdyż Ginny Jack powiedziała, że mam go wyrzucić, jak tylko skończy pić trzecią filiżankę kawy, gdyż w przeciwnym razie będzie tu siedział w nieskończoność. Tak więc połowa mojej uwagi zwrócona była na staruszkę Justisa, a połowa na niezwykle uczesanie jednej ze studentek, które chciałam jak najdokładniej zapamiętać, a potem skopiować.

Jednak gdy tylko spojrzałam na Connie, zapomniałam o wszystkim innym.

- Jezu Chryste - mruknęła Elena, patrząc na siostrę. - Wyglądasz, jakby cię zabalsamowano.

Elena czasem jest wyjątkowo spostrzegawcza. Connie właśnie tak wyglądała: blada i gładka, niczym sklepowy manekin i jakby złożona z osobnych części - policzków, brwi i ust.

- Zamknij się - odparła Connie miłym tonem i zaraz się uśmiechnęła. - To się nazywa makijaż korekcyjny - wyjaśniła. - Dziś pracowałyśmy na sobie nawzajem. Mogę dostać coli?

Studentki, które obsługiwałam, musiały uczyć się na jakiejś renomowanej uczelni, gdyż patrzyły na Connie jak na gorszy gatunek człowieka. Wzięłam od nich zamówienia najszybciej, jak potrafiłam, żeby nie musieć słuchać ich sarkastycznych uwag na temat siostry mojej przyjaciółki. Przypięłam ich zamówienie do obrotowego bębena stojącego przy kuchni, po czym zaniósłam Connie colę, o którą prosiła. Aby okazać jej, że nie pochwalam zachowania tamtych studentek, kiwnęłam głową w ich kierunku i rzekłam:

- Ależ one zadzierają nosa.
- Ja już tego nawet nie zauważam, *querida*. Nie przejmuj się - odparła Connie z przesadnym hiszpańskim akcentem, którego używała, gdy naśladowała swą babcię i mówiła „czy” zamiast „ty”. Wszystkie trzy siostry uwielbiały udawać babcię Gutiérrez i jej wybuchy gniewu, w czasie których starsza pani wymachiwała swym szalem niczym torreador muletą. - Nie zwracaj na nie uwagi.
- Ale to nieprzyjemne - mruknęłam. - Powiedz, na czym polega różnica w twoim makijażu?
- Jak już powiedziałam, uczę się o kosmetykach korekcyjnych. -Z dużej czarnej torby wyjęła jakieś papiery i rozłożyła na stole. Aby przyjrzeć się im dokładnie, musiałam usiąść obok niej.
- Były to zdjęcia Meksykanki o ciemnej cerze, której jedną stronę twarz znaczyły brzydkie, nabrzmiałe czerwone blizny, oraz małej dziewczynki, która byłaby najłodszy stworzonkiem pod słońcem, gdyby nie ogromna paskudna plama zaczynająca się tuż pod linią jej włosów na czole i schodząca aż na jeden z maleńkich policzków.
- Co się stało temu dziecku?
- Urodziła się z tym znamieniem.
- Więc to nie blizna po oparzeniu? Connie dotknęła zdjęcia kobiety.
- To ona została oparzona. Ktoś wylał na nią wrzącą wodę - powiedziała cichym, złowieszczym głosem. - Chodziła z takimi bliznami przez sześć lat. Małe dzieci krzyczały z przerażenia, gdy widziały ją w autobusie. Była bardzo nieszczęśliwa; czuła się bezwartościowa.
- Connie położyła przede mną następne zdjęcie tej samej kobiety -tylko tym razem nie miała już blizn na twarzy!
- To zdjęcie zrobiono już po operacji, tak? - domyśliłam się.
- Ależ skąd - odpowiedziała Connie. - Tamto pierwsze zdjęcie zrobiono po operacji. Okazało się, że poparzenia są tak głębokie, że nie da się ich usunąć... albo chirurg był kompletnym idiotą, nie mam pojęcia. Tak czy inaczej, drugie zdjęcie zrobiono po tym, jak pokazano tej pani, jak posługiwać się kosmetykami korekcyjnymi, beztluszczowymi i wodoodpornymi.
- To doprawdy niezwykle - odezwała się Elena, spoglądając mi przez ramię; a potem, idąc do pana Justisa, by dać mu ostatnią filiżankę kawy, dodała: - Więc dlaczego ty wyglądasz, jakbyś przebrała się na Halloween o miesiąc za wcześnie? Connie ją zignorowała.
- Ta mała dziewczynka urodziła się z czymś, co popularnie nazywa

się winnym znamieniem - wyjaśniła. - To dlatego, że wygląda, jakby ktoś oblał ją czerwonym winem. Ale jej mama bardzo szybko nauczyła się pokrywać tę plamę tuszującym kremem, by ludzie nie mówili, że ma brzydkie dziecko. Takiemu maleństwu nie można zrobić operacji... trzeba poczekać, aż skóra dojrzeje czy coś takiego.

- Czemu się o tym uczysz? - spytałam.

- No, cóż, po części z czysto egoistycznych powodów - powiedziała Connie. - Ja też mam znamie, widzisz? - Odsunęła nieco dekolt bluzki, żeby móc dokładnie przyjrzeć się dużej, niebieskawej bliznie. - Nie zejdzie sama, a mam jeszcze dwie na pośladkach i dwie na udach... To dlatego nigdy nie chodzę z chłopcami na plażę jak Gracie.

Pomyślałam sobie, że jeżeli przez te znamiona Connie nie zachowuje się jak Gracie, to prawdopodobnie są one błogosławieństwem albo jakąś tarczą ochronną. A potem przyszło mi do głowy, jak bardzo cieszyliby się jej rodzice, gdyby była tak ładna, jak chcieli... i jak miło byłoby się do tego przyczynić.

Jednak powiedziałam tylko:

- Fajna sprawa! Czy ty będziesz uczyć ludzi takiego makijażu? Czy każdy może to robić?

- No, niezupełnie każdy - odparła Connie, patrząc na siostrę. Elena pochwyciła jej spojrzenie.

- Ona do mnie pije - burknęła. - Ale ja i tak wolałabym się uczyć makijażu na trupach, bo oni się nie wiercą. Poza tym ty i tak już wyglądasz jak nieboszczyk.

- Eleno La Braina, ty nigdy nie dostaniesz się na studia, bo nie potrafisz nawet znaleźć Teksasu na mapie Teksasu, biedna dziewczyno - odpowiedziała jej siostra.

- Przynajmniej mój chłopak nie siedzi w ciupie - odrzekła słodko Elena.

- Co takiego? Kto? - spytałam. Ale wtedy właśnie Cully, kucharz, walnął w dzwon, bym odebrała zamówienia studentów. Wstałam od baru, lecz zanim odeszłam, kazałam Connie nie mówić ani słowa, ani jednego słówka, dopóki nie wrócę. Kiedy stawiałam talerze ze stekami z kurczaka przed czwórką studentów, pan Justis właśnie podniósł się od swego stolika.

- Jesteś sto razy ładniejsza niż te panny z czerwonymi wstążkami we włosach - powiedział, przechodząc obok mnie. Chyba i on zauważył, jak nieprzyjemne były studentki, lecz i tak wydawało mi się dziwne, by stary człowiek prawił mi komplementy. Można by przypuszczać, że właśnie po takich słowach młoda dziewczyna powinna jak najdalej

odsunąć się od obleśnego starucha, lecz ja odebrałam je zupełnie inaczej. Odniosłam wrażenie, że pan Justis traktuje mnie raczej jak swoją wnuczkę. Uśmiechnęłam się do niego, a chwilę później pobiegłam do Connie, by wysłuchać jej opowieści.

- Kto siedzi w więzieniu, Connie? O co ci chodzi? Ale ona tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

- To już moja sprawa, panno Arley.

- No, nie! Nie bądź taka! Nie można powiedzieć tylko części prawdy, a od reszty się wymigać! To nie fair!

- Ja ci nic nie mówiłam - odparła Connie, wyciągając sobie jeszcze jedną colę z lodówki (Ginny Jack nigdy nie miała nic przeciwko temu). - To moja mała siostrzyczka wyhodowała sobie za długi jęzor.

- Connie!

- Okay, okay - odparła. - Tylko nie wrzeszcz tak, bo pobudzisz umarłych.

- Masz chłopaka w więzieniu? - To było tak przerażające i jednocześnie tak romantyczne, że wydawało się żywcem wzięte z serialu „Melrose Place”.

- Koresponduję i spotykam się z facetem, który w chwili obecnej odsiaduje wyrok - przyznała Connie.

- Kto to taki?

- Nazywa się Kevin LeGrande.

Wydaje mi się, że byłam jedyną osobą w Teksasie, która nie słyszała o braciach LeGrande. (Później o ich istnieniu dowiedzieli się mieszkańcy Kalifornii, Oklahomy i jeszcze kilku wschodnich stanów).

- Przecież ty studiujesz, Connie - odezwała się Elena. - Można by się spodziewać, że znajdziesz sobie jakiegoś przyzwoitego chłopaka. Mam rację, Arley?

Ale ja tylko spytałam:

- Jak go poznałaś, Connie?

- Moja ciocia Grace chodzi do kościoła mamy Kevina... właściwie to także jego kościół. Angielski... czy jak to się tam nazywa? Fani LeGrande jest drobnutką kobietą; opowiadała mojej cioci, że dwóch jej chłopców siedzi w Solamente River. Wpadli w tarapaty, bo jakiś Indianiec z Austin namówił ich do obrabowania stacji benzynowej, miał broń i...

- Czy zabili kogoś?

- Nie, skąd! Tylko postrzelili w ramię chłopaka, który tam pracował, a i to dlatego, że wyskoczył i strasznie ich wystraszył. Spirito, ten indiański chłopak, poszedł do zakładu poprawczego, bo miał tylko szesnaście lat, ale Kevin dostał trzy lata, a jego starszy brat, Dillon, osiem...

bo ma jakieś dwadzieścia pięć lat i podobno ponosi za wszystko odpowiedzialność.

- A ile lat ma Kevin?

- Dziewiętnaście.

- Przecież ty masz dwadzieścia!

- On ma prawie dwadzieścia. Tak czy inaczej, tylko raz się z nim spotkałam... rozmawialiśmy przez taką szklaną przegrodę.

- Czy tam jest strasznie i przerażająco?

Connie wyjrzała na ulicę, słońce już powoli chowało się za budynki na Alamenda Street.

- Kiedy zatrzasną za tobą te ogromne, zielone stalowe drzwi...

- Boże, Connie!

- Ale on jest naprawdę dobrym chłopcem.

- Dlaczego pojechałaś się z nim zobaczyć?

- Pisaliśmy do siebie przez pięć miesięcy... wszystko zaczęło się zeszłego lata. A potem spytał, czy chciałabym się z nim spotkać...

- Cóż za tupet! - warknęła Elena.

- No więc... spytał, czy moglibyśmy być kimś więcej niż tylko przyjaciółmi... A potem, bardzo szybko, dostał pozwolenie na wizytę kontaktową, żebyśmy mogli siedzieć obok siebie, trzymać się za ręce, rozmawiać i...

- Uważaj tylko, żeby nie stał z ciebie całego tego kremu korygującego, *querida!* - wrzasnęła Elena. Cieszyłam się, że w restauracji oprócz nas i starej Meksykanki, która prowadzi dom dla księdza z Mater Christi, nie było nikogo. Staruszka siedziała w rogu sali i spokojnie jadła pieczonego kurczaka, ani na chwilę nie odrywając wzroku od talerza.

- Zamknij się, Eleno! Tak naprawdę, ty *stúpida*, tego kremu nie można tak po prostu zetrzeć! Trzeba użyć specjalnego zmywacza i szmatki! Ha! I co ty na to?

- Ale dlaczego w ogóle zaczęłaś z nim korespondować? - nalegałam.

- No, dobrze... Jego mama spytała moją ciocię Grace, czy nie zna jakichś miłych dziewczyn, niekoniecznie katoliczek, które chciałyby pisać do Kevina i Dillona, bo oni czują się strasznie samotni w więzieniu.

- Dlaczego więc wybrałaś Kevina?

- Na początku pisałam do obydwu, ale Kevin mi odpisał, poza tym on lubi tańczyć...

- Connie wstała z okrągłego barowego stołka i zaczęła wolniutko obracać się po sali.

- Pomyślałam, że kimkolwiek są, jestem od nich lepsza, jako prawdziwa katoliczka, a nie episkopatka czy jak to się tam nazywa... ale on jest naprawdę słodki!

- Nie boisz się, że on kiedyś wyjdzie z więzienia?
- Niby dlaczego mam się bać?
- Jezu, Connie, przecież on już raz usiłował kogoś zastrzelić...
- Wcale nie! To nie on!
- Akurat - powiedziała Elena, na co jej siostra spojrzała na nią groźnie; wiedziałam, że chce, by Elena wreszcie dała jej spokój.
- To co on zrobił? - spytałam.
- Trochę narozrabiał. Ale nie ma ojca... ich tata zginął w strasznym wypadku - odparła Connie.
- Co zrobił Kevin? - nie dawałam jej spokoju.
- Wraz z paroma chłopakami zajechali kilka krów pikapem...
- Zajechali? Masz na myśli, że je przejechali?
- Nie... ale gonili je po drodze tak długo, że pozdychały ze zmęczenia.
- To straszne! Biedne krowy!
- Arley, na miłość boską. Przecież nie mówimy tu o szczeniaczkach czy jakichś innych miłych zwierzątkach.
- Myślę że tym krowom i tak nie było miło.
- I to w zasadzie wszystko, oprócz jeszcze kilku drobnych spraw...
- Jakich?
- Na przykład picia z kowbojami w namiocie rodeo na wiosnę. Jakby w naszym stanie był choć jeden chłopak, który nie upił się przed skończeniem dwunastego roku życia! No i jeszcze rozrabiał w szkole, trochę kradł...
- ~Co?
- Arley, nie mam pojęcia! Chyba płyty kompaktowe, ubrania i jeszcze jakieś rzeczy. Poszedł do zakładu poprawczego...
- Więc siedział już wcześniej!
- Przecież zakład poprawczy to nie więzienie!
- Czy twoja mama wie o tym? - zapytałam, patrząc Connie w oczy.
- Wie, że do niego piszę, ale nie ma pojęcia, że pojechałam się z nim zobaczyć. - Spojrzała twardo na Elenę. - Poza tym przecież właśnie mama uważa, że każdy zasługuje na drugą szansę.
- Taak, weźmy taką Gracie - wtrąciła jej siostra. - Ona miała więcej szans niż loteria stanowa.
- Dlaczego ty nie napiszesz do tego drugiego chłopca? - zapytałam Elenę. - Albo może Gracie...
- Mieliby mnóstwo wspólnego ze sobą - odparła Elena. Zaczęła wycierać szyjki butelek stojących na stolikach, które w ciągu dnia obrastały twardą warstwą zaschniętego ketchupu. Zauważyłam, że już nie-

długo skończy się nasza zmiana. - Osobiście uważam, że z chłopakiem siedzącym za kratkami nie ma żadnej zabawy.

Chodziło jej o seks. Gdy mówiła o „zabawie” tym śmiesznym, gardłowym głosem, zawsze właśnie to miała na myśli, choć nigdy nie byłam do końca pewna, czy chodzi jej o prawdziwy seks, czy niewinne pieszczoty. Później okazało się, że nie ma pojęcia o uprawianiu miłości, gdyż kiedy ja to wreszcie zrobiłam, wypytywała mnie o najdrobniejsze szczegóły. Bardzo nie lubiłam, gdy tak udaje twardszą i doroślejszą, niż jest naprawdę; kiedy udaje Gracie, zamiast być sobą, i ubiera się w króciutkie spódniczki i upina włosy. A potem Elena powiedziała, niezbyt przyjemnym głosem:

- Może tak ty byś do niego napisała, co, Arley? Jesteś taka dobra i czysta... może dzięki tobie on się nawróci?

Dlaczego postępujemy tak głupio? Chyba ze złości, a ja byłam wtedy strasznie wściekła. Pamiętam, że zarumieniłam się po same uszy i cieszyłam się, że mam tak ciemną cerę - ciemniejszą nawet niż Elena, choć to ona jest Meksykanką - iż nikt tego nie zauważył. Elenie wydawało się, że w porównaniu ze mną jest cholernie dorosła! Było mi gorąco i źle się czułam, jakbym na pusty żołądek wypila kubek zimnej kawy; miałam dość odrabiania lekcji po nocach; dość tego, że matka mnie nie zauważa, jeżeli tylko zapomnę złożyć jej bieliznę po praniu i poukładać ją w szafie kolorami. Mdlіл mnie zapach czosnku i chili na dłoniach, który nie zejdzie przez następne dwa dni, robiło mi się niedobrze na myśl o wszystkich rzeczach we mnie, które rzucają się w oczy i sprawiają, że nikt nie zauważa gęstych włosów i czystej cery: o piersiach przypominających drzwi do szafy z dwoma guziczkami po bokach i nosie tak płaskim i szerokim, że można by na nim postawić ołówek.

Czułam się jak małe, głupie dziecko, i miałam tego dość.

Pomyślałam: Już ja ci pokażę, Eleno!

- Daj mi jego adres - rzekłam do Connie, podczas gdy Elena wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

Poszłam potem do sklepu Oberly'ego i przez pół godziny przeglądałam papeterie; większość była okropna. Same szczeniaczki, kwiatki, tęcze i gwiazdki. Typowe papeterie dla smarkul, które chcą napisać życzenia urodzinowe do babci. A potem, w dziale ze zdrową żywnością, znalazłam papeterię w pastelowych kolorach zachodzącego słońca, która kosztowała tylko sześć dolarów, więc kupiłam aż dwa pudełka. Wszystkie listy do Dillona napisałam na tym papierze; to stało się naszą tradycją.

Lecz wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, że tak się wszystko potoczy. Pomyślałam tylko, że w sklepie może się skończyć zapas i postanowi-

łam kupić więcej. Śmieszne, jak przygotowujemy się na różnego rodzaju niespodzianki, które mogą wcale nie nadejść.

Prawdę mówiąc, wcale nie byłam wtedy przekonana, czy w ogóle napiszę jakiś list. Gdybym nie była pewna, że Elena będzie się ze mnie śmiać do końca życia, już wtedy zrezygnowałabym z tego pomysłu.

Przez długi czas odkładałam napisanie listu z dnia na dzień. Nawet nie chodziło o to, że byłam zbyt zajęta. Ja zawsze mam coś do roboty, lecz człowiek nigdy nie jest zbyt zajęty, by zrobić coś, na czym mu zależy. Elena aż dwa razy pytała mnie, czy już napisałam, i za każdym razem udawałam, że zapomniałam. Tak naprawdę trochę się bałam. Poza tym, co ja mogłam napisać do kogoś takiego? Czy był agresywny? Albo może żaloszny? Inteligencją chyba nie grzeszył. Wiedziałam, że powinnam mu współczuć, lecz na myśl o tym, że będzie trzymał w dłoniach, które wcześniej ścisnęły broń wycelowaną w drugiego człowieka, papier, znajdujący się w moich rękach, czułam dreszcze. A jednak siedział w Solamente i długo stamtąd nie wyjdzie. Tak więc strach mój, podobny był do obawy, jaką człowiek odczuwa, stojąc w wesołym miasteczku w kolejce do diabelskiego młyna - chcesz się wycofać, lecz jednocześnie wiesz, że nic złego nie może ci się zdarzyć.

Kiedy już postanowiłam, że to zrobię, musiałam jeszcze obmyślić plan działania. Nie mogłam napisać tego listu w pracy ani w szkole; już widziałam, jak mój nauczyciel matematyki, pan Hogan, albo pani Murray czy ktokolwiek inny zabiera mi go na lekcji i czyta, albo jak Elena wymachuje nim w stołówce w czasie przerwy na lunch. Nie chciałam, by zobaczył go mój głupi brat Cam, nawet jeżeli zazwyczaj nie zwracał uwagi na nic, co nie było pornografią albo czego nie śpiewała LeeAnn Rimes. Kiedy po raz pierwszy postanowiłam, że napiszę do Dillona, mama była w pracy, a ja zostałam w domu, by wykonać przydzielone mi zajęcie. Namówiłam więc Elenę, by wpadła i zrobiła za mnie pranie; w zamian za to miałam jej pomóc w napisaniu pracy z historii.

Prawdę mówiąc, nie musiałam zbytnio nalegać. Nie mogłam tego zrozumieć, lecz Elena strasznie lubiła do mnie przychodzić; musiało to być dla niej porównywalne z wycieczką do innego świata. Uważała, że wszystko tu jest niezwykle i ciekawe - oczywiście, nasz dom był o wiele mniejszy i biedniejszy niż dom państwa G., lecz w gruncie rzeczy nie o to chodziło. Tak naprawdę różnica polegała na tym, że wraz z Camem praktycznie mieszkaliśmy tu sami, a ponieważ mieszkanie z nim przypominało życie z wypchaną trocinami kukłą, wychowywałam się właściwie sama. Pani G. zawsze biegała za Elena, podnosząc rozrzucone ubrania i przypominając jej o wszystkim. Elena wprost nie

mogła uwierzyć, że moja matka o niczym nigdy mi nie przypomina. Nie rozumiała, dlaczego nie urządzam wielkiego przyjęcia za każdym razem, gdy mama pracuje w weekendy na dwie zmiany. W oczach Eleny byłam fatalnym przykładem dla wszystkich nastolatek.

- Jesteś zbyt posłuszna, mała dziewczynko - powtarzała, gdy nie mogłam iść z nią powłóczyć się po sklepach albo przykleić sobie sztucznych paznokci, bo miałam pracę do wykonania. - Jesteś za grzeczna... Od czasu do czasu trzeba napędzić rodzicom niezłego pietra. Powinnaś uciec z domu. Ja uciekłam, gdy nie chcieli mi kupić telewizora do sypialni. Przez osiem godzin siedziałam u kuzynki. Kiedy wróciłam do domu, mama płakała i odmawiała zdrowaśki.

- I co? Dostałaś telewizor?

- Nie, ale miałam niezły ubaw. Dałam im nauczkę.

Tamtej nocy Elena ładowała pranie do pralki, a ja siedziałam przy stole w kuchni nad swoją nową papeterią, gdy do środka wszedł Cam. Niebieskie džinsy wisiały mu na tyłku, koszulę miał dłuższą niż całe moje ciało, a jasne włosy jeszcze bardziej wybielone od letniego słońca, tak że nieomal srebrne, i drobnymi rzemyczkami związane w warkocz w indiańskim stylu. Nawet na mnie nie spojrzał. Ale właśnie wtedy do kuchni wpadła Elena, wracając z zakurzonej szopy, w której trzymaliśmy pralkę i suszarkę, krzycząc, że kona z pragnienia. Była zarumieniona i spocona, a kosmyki ciemnych włosów poprzyklejały się jej do czoła i policzków. Jeżeli mnie pamięć nie myli, Cam tylko raz rozmawiał z Eleną - kiedyś spytał ją, czy jest siostrą Gracie, i to wszystko. Jednak tym razem, gdy weszła do kuchni, zatrzymał się jak wryty i omal nie wypuścił kartonu soku, z którego pił; patrzył na nią bardzo długo, a ona odpowiadała mu równie bezczelnym spojrzeniem - wiedziałam, że chce go zmusić, by odwrócił wzrok. Rozcapierzyła palce obu dłoni i przeciągnęła nimi niczym grzebieniami przez splątane włosy, cały czas nie odrywając od niego wzroku. Stary Cam wreszcie się poddał, podszedł do lodówki, otworzył ją i zaczął wpatrywać się we wnętrze, jakby leciał tam jakiś film. Potem zatrzasnął drzwiczki i dwoma susami wypadł z kuchni, jak najszybciej zmierzając do swego pokoju. Przez cały czas czułam dominację Eleny, jak gdyby to ona była z nich dwojga silniejsza - jakby Cam chciał się dostać do drużyny, a ona była trenerem. Ta dziewczyna nigdy się nie denerwuje.

- Jakże on wyrósł... Jest już całkiem fajnym chłopcem - szepnęła Elena, gdy Cam znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Taak, jest już całkiem fajnym leniem - odparłam. - Tylko ładnie wygląda, to wszystko. Myślę, że ma jakiś defekt genetyczny, przez któ-

ry nie potrafi pozbierać swoich ciuchów z podłogi ani wrzucić ich do kosza na brudną bieliznę. A jak już przy tym jesteśmy, zupełnie nie rozumiem, dlaczego ja muszę prać jego brudy?

- Bo jesteś dziewczyną. - Elena wyszczerzyła zęby w uśmiechu i wyciągnawszy przed siebie nogi, założyła jedną na drugą, podziwiając je, jakby były rzeźbami. Wiedziała, że tego typu gadanie zazwyczaj doprowadza mnie do szału - jak to nawet w szkole chłopcy mają łatwiej, bo nauczyciele im podpowiadają, podczas gdy na dziewczęta patrzą z niechęcią. Jednak tym razem nie chciałam się z nią kłócić. Dlaczego rozmawiałyśmy o Ca-mie? Co miałam napisać do Dillona LeGrande, 8477298372, Więzienie Stanowe, Solamente River, w Teksasie? Czy miałam rozmawiać z nim jak z każdym innym człowiekiem i udawać, że nie popełnił żadnego przestępstwa? Miałam udawać, że wyjechał do szkoły za granicę? Kiedy Elena wreszcie znudziła się wciąganiem mnie w rozmowę o Camie, wyciągnęła podręczniki i zaczęła narzekać na historię europejską.

- A ja cały czas myślałam, że naziści mówili: „Hej, Hitler!” To by przynajmniej miało sens.

- *Heil* znaczy „wspaniały” - wyjaśniłam.

- Czyli wołali po prostu: „Naprzód, wspaniały Hitlerze”? Westchnęłam i zignorowałam ją. Zapatrzyłam się w przestrzeń, po czym spytałam:

- Wiesz, że więźniowie w obozach koncentracyjnych mieli wytatuowane na przedramionach numery? I że więźniowie w naszych więzieniach także mają przydzielone numery, których strażnicy używają zamiast nazwisk?

- Też wytatuowane?

- Boże, chyba nie. Kiedy dostałam to... - podałam jej kartkę z adresem Dillona, którą dostałam od Connie - ...z początku pomyślałam, że to numer jego telefonu. Ale tak nie jest... to numer przydzielony mu przez władze więzienia.

- Chodzi ci o tego chłopca w więzieniu? Tego LeGrande? Chyba nie chcesz do niego pisać? Arley, ja się tylko wygłupiałam. Przecież ty wcale nie chcesz się zadawać z takim chłopakiem. Wszyscy bracia LeGrande są źli do szpiku kości, z wyjątkiem tego najmłodszego, Phillipa, bo on jest jeszcze za mały, by być zły.

- Przecież ja tylko chcę napisać do niego list, sama mnie podpuściłaś. - Co też ona sobie wyobraża? Że zaraz zacznę jeździć autobusem do więzienia, by zawieźć Dillonowi ciasteczka z czekoladą? Że będę marnować dwie godziny w jedną stronę, które mogłabym przeznaczyć na odrabianie lekcji, pracę albo sprzątanie w domu?

- Zupełnie nie rozumiem, po co Connie zajmuje się tym Kevinem? Może i ma gruby tyłek, ale nie jest aż taka brzydka, by musiała zadawać się ze skazańcem.

- Moim zdaniem Connie jest śliczna.

- Jej dupa wygląda jak dwie świnie kłójące się w koszyku. Powtarzam jej: „Constanza, ty chyba widzisz każdego batonika, jakiego zjadasz”. Powinna się uczyć o odsysaniu tłuszczu równolegle z tymi bzdurami o makijażu korekcyjnym i zamontować sobie aparat w domu.

Właśnie te słowa o Connie i jej nauce skłoniły mnie do podjęcia decyzji, że skłamię Dillonowi. Zdałam sobie wtedy sprawę, że żaden dwudziestopięcioletni mężczyzna nie zechce odpisać na list czternastoletniej smarkuli, która chodzi do pierwszej klasy ogólniaka. Więc napiszę mu, że studiuje, a ponieważ i tak nigdy się z nim nie spotkam, będzie to bez znaczenia.

- Hej, Arley, moja słodka - jęczała Elena - opowiedz mi coś o Beer Hill Putsh. Po co mi te wszystkie wiadomości? Chyba wybuchnę, jeżeli panna Hunter jeszcze raz powie: „Musicie płynnie poruszać się po swej kulturze...” Jakiej kulturze? Przecież mieszkamy w Teksasie! Zauważyłaś, że ona już wtyka klucze w ten swój kok?

Ołówki już jej nie wystarczają. Jeżeli zaczniesz tam wkładać tamponsy...

Chciałam ją uderzyć. Nagle miałam dość wszystkiego i zapragnęłam zapaść się pod ziemię, jak w te letnie, upalne sobotnie noce, gdy bracia Nevada przejeżdżali obok naszego domu swym pikapem, z radiem grającym na całym regulator... muzyka dolatywała wtedy do mego pokoiku na poddaszu, a ja nie mogłam zasnąć i tylko przewracałam się z boku na bok, choć nic nie czułam do Ricky'ego Nevady. Niby dlaczego nie pisać do faceta, którym znajduje się miliard mil dalej? Dzięki temu miałabym się czym chwalić przed ludźmi w szkole, którzy uważali mnie za głupią lub naiwną tylko dlatego, że nie mieszkałam w jednym z tych ogromnych domów w Alamo Heights czy Regents Landing.

- Jak ci się zdaje, co jest we mnie najbardziej interesujące? - spytałam Eleny.

- Z całą pewnością twoja matka.

- Bądź poważna.

- No, cóż. - Oparła się o ścianę, siedząc za stołem naprzeciwko mnie, i założyła podręcznik do historii wskazującym palcem. - Chyba uroda.

- Cholera, wcale nie jestem piękna. Ty natomiast tak.

- Nie, ja jestem tylko rozrywkowa. - Elena roześmiała się gardłowo. - Ale ty jesteś naprawdę piękna... popatrz choćby na swoje włosy.

Możesz mi napisać o tym, jak myjesz twarz wodą z solą kuchenną, by nie mieć piegów, albo o tym, że nigdy nie obcinasz włosów.

To prawda. Zawsze tylko podcinałam końce i podpalałam zapalką, by się nie rozdważyły. Niedawno nauczyłam się robić szampon domowym sposobem - z płynu do mycia naczyń, miodu i cytryny. Ale co z tego? Chłopców nie obchodzi włosy. Powiedziałam to wszystko Elenie.

- Nie wiedziałam, że myślisz o nim w ten sposób, Arley. Jakby był twoim chłopcem... Po prostu wydawało mi się, że to interesujące. Wyglądasz jak Pocahontas z filmu. Powiedz mi o tym.

- Wcale nie myślę o nim jak o moim chłopcu. Po prostu nie chcę mu się wydać jeszcze jedną głupią dziewczuchą. Poza tym niby jak mam zacząć? Mam napisać „panie LeGrande”? Czy może „drogi przyjacielu”?

- A może „Hej, Hitler”? - zaproponowała Elena i obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Do pisania listu zabrałam się, gdy było już dobrze po jedenastej w nocy. Wiał wiatr i wydymał firankę, która ocierała się o moją twarz niczym pajęczyna. Wyjrzawszy na dwór, zobaczyłam Ricky'ego Nevadę myjącego samochód na sąsiednim podwórku; ubrany był tylko w granatowe dżinsy i śpiewał tę samą piosenkę, którą zawsze nucił pod nosem: „Bye, Bye, Love”. Zobaczył mnie w oknie i kilkakrotnie wytarł czoło ręcznikiem; widziałam kropelki wody czy potu lśniącego na włoskach pod jego pachami. Zaciągnęłam zasłonkę i usiadłam na łóżku.

Napisałam Dillonowi o swoich włosach - o tym, że nie obcinałam ich od dwunastu lat i że Cully, kucharz z Taco Heaven, musi mi dawać na nie specjalną siatkę, gdy wypada moja zmiana w kuchni.

Napisałam mu, jaką lubię muzykę, opisałam Cama i to, że lubi wyobrażać sobie, iż jest Kennym Wayne'em Shepherdem, albo jeszcze kimś lepszym; powiedziałam mu nawet, że moja mama nigdy nie wyszła za mąż - równie dobrze mogłam być z nim szczerą.

Tyle że nie byłam, bo napisałam mu także o korekcyjnych kosmetykach i że studiuje wraz z Connie. To było całkiem zabawne; zaczęłam wręcz filozoficzne rozważania: „Wszystko, co sprawia, że jest się innym, może także spowodować, iż ludzie nie będą chcieli mieć z tobą do czynienia, nie sądzisz?”, lecz szybko mi się znudziły; napisałam, że trenuję biegi przez płotki, bo wiedziałam, że dzięki temu będzie pewien, że mam doskonale ciało. A potem nie potrafiłam już wymyślić, o czym więcej mogę pisać. W końcu i tak naskrobałam już całkiem dużo jak na pierwszy list, i to w dodatku taki, na jaki właściwie nie spodziewałam się odpowiedzi.

A jednak cały czas miałam wrażenie, że napisałam za mało. Więc opowiedziałam mu o swoim śnie.

Co by się stało, gdybym tego nie zrobiła? Co by się wydarzyło, gdybym pozostawiła list bez tego opisu? Czy byłoby lepiej, gdyby na tym się wszystko skończyło? Czy byłabym szczęśliwsza, gdybym go wcale nie poznała, gdyby wszystko, co zaszło między nami, wsiąkło w ziemię niczym woda po długim okresie suszy? Czy mogę to powiedzieć, patrząc w oczy Desi? Albo samej sobie?

Teraz i tak nie ma to znaczenia. Opowiedziałam mu o śnie z wozami, który śnił mi się całkiem często, począwszy od wczesnego dzieciństwa. Przestał mi się śnić dopiero po narodzinach Desi. Zaczęło się od tego, jak w pierwszej klasie nauczycielka opowiedziała nam o zdobywaniu Dzikiego Zachodu i o tym, jak Teksas stał się oddzielną republiką, a potem stanem. Napisałam do Dillona: „Opowiedziała nam, jak biedne były rodziny pierwszych osadników, którzy przebyli prerię w wozach pokrytych płótnem; jak ich maleńkie dzieci umierały, gdyż matki miały za mało jedzenia, by mieć w piersiach mleko”. Najśmieszniejsze jest to, że zawsze wyobrażałam sobie wozy pierwszych osadników jako bajecznie kolorowe - żółte, seledynowe, różowe i błękitne. Wyobraziłam je sobie tak wyraźnie, że pewnego dnia w szkole namalowałam tabor nauczycielce - małe kolorowe banieczki rozciągnięte na ogromnej przestrzeni zielonej prerii. Kiedy śniłam o nich, widziałam, jak na horyzoncie unoszą się ku niebu. „Czasem - napisałam w pierwszym liście do Dillona - wydaje mi się, że ten sen niesie z sobą jakieś przesłanie; mówi, że czekam, aż przyjedzie po mnie kawalkada kolorowych wozów i wreszcie będę mogła się stąd wydostać i uciec jak najdalej”. I na tym skończyłam. Po prostu nie było już w moim życiu nic więcej, o czym mogłabym mu napisać. Tak czy inaczej, zapisałam już trzy kartki po obu stronach, i to maczkiem. Trzy dni później dostałam odpowiedź. Była to tylko jedna stroniczka, lecz nadeszła ekspresem; listonosz przyniósł mi go do domu. Dzięki Bogu, że mama wtedy pracowała!

Dillon napisał, że moje imię przepełnione jest „muzyką”, a mój sen jest iście „proroczy”. List kończył się słowami: „Nie chcę rozmieniać swych uczuć na drobne. Więc jeżeli uważasz, że pisanie do człowieka znajdującego się za kratkami to świetna zabawa i powód do przechwałek przed koleżankami, znajdź sobie innego skazańca do korespondencji. Jestem pewien, że wielu z nich nie będzie mieć nic przeciwko. Jednak ja jestem bardziej spragniony przyjemności prawdziwego życia, niż potrafię rozsądnie wyjaśnić, a odmawiano mi ich przez ostatnie dwa lata. Za-

tem jeśli chcesz do mnie pisać, odpowiem ci. Jeżeli chcesz szczerze dzielić się ze mną swymi przeżyciami, ja odwzajemnię ci się tym samym. Ponieważ opowiedziałaś mi o swoim śnie i o tym, że chcesz się wyrwać z zakurzonego, ciasnego piekła, w którym żyjesz, zaufałem ci i postanowiłem odpowiedzieć na ten pierwszy list. Ale jeżeli nie masz w sobie odwagi lub siły, nie pisz do mnie więcej; nie będę miał ci tego za złe".

List podpisany był: „Twój unizony sługa, Dillon Thomas LeGrande".

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Było mi tak wstyd, że omal się nie rozpłakałam.

Przejrzał mnie na wylot. Zupełnie jakby zobaczył mnie siedzącą w moim pokoiku i myślącą, że mogę użyć go jako symbolu... jako dowodu, by pokazać dzieciakom w szkole, że wcale nie jestem taką idealną córeczką i grzeczną dziewczynką. Właśnie tego się obawiałam.

Najsmutniejsze w tym wszystkim było - i to właśnie schwyciło mnie za serce - że mimo swych podejrzeń, jednak mi odpisał. Był tak samotny, że poniósł ryzyko narażenia się na zdradę. Był tak samotny, że zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Oczywiście, na podstawie tego pierwszego listu nie mogłam przewidzieć wszystkiego, co się nam później przydarzy. Wiedziałam jednak, co to znaczy być aż tak samotnym; ja także miałam czasem wrażenie, że na całym świecie nie ma ani jednej osoby, którą by tak naprawdę obchodziło, co się ze mną dzieje; że nigdy nie dam rady uwolnić się od wszystkiego, co krępuje mi ręce. Tak więc połączyła nas wspólna samotność i pustka, którą chcieliśmy wypełnić.

Oczywiście, teraz łatwiej jest mi mówić wszystko... z perspektywy późniejszych wydarzeń. A jednak od samego początku czułam się jakoś związana z Dillonem, gdyż on tak strasznie mnie potrzebował. Nikt nigdy nie zdołał mnie przekonać, że bycie pożądanym to słabsze uczucie niż pożądanie kogoś,

Annie kiedyś strasznie się na mnie wściekła, gdy usiłowałam jej to wytłumaczyć; omal nie oszalała ze złości. Powiedziała, że Dillon pewnie puszczał ten tekst o byciu samotnym do tuzina dziewcząt przede mną, używając litości jako haczyka na swą ofiarę, którą wreszcie złapał. Może ma rację. Ale wydaje mi się także, że od samego początku Annie była trochę zazdrosna o to, jaką władzę miał nade mną, i o uczucie, jakie nas łączyło. W końcu z doświadczenia wiedziała, jak to jest zakochać się - zakochać w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu i nawet ułożyć sobie życie z drugim człowiekiem - a jednak nie zdawała sobie sprawy, co myśmy z Dillonem do siebie czuli.

A może po prostu miłość wygląda inaczej dla takich ludzi jak Dillon i ja. Annie nie pochodzi stąd. Nieraz powtarza mi, że wszystko już widziała w swym biurze pomocy prawnej, lecz widzenie i czucie to nie to samo. Jeżeli Annie zapomni w niedzielę zadzwonić do matki, ona natychmiast do niej telefonuje, by dowiedzieć się, czy nic złego nie stało się jej dziecku. W domu, w którym ja się wychowałam, dzwoniło się do rodziny tylko po to, by powiedzieć, że ktoś poszedł do więzienia lub zginął. Kogokolwiek by się zapytać, ludzie zawsze mówią, że krew nie woda, ale dla różnych ludzi co innego te słowa znaczą. Kiedy dorastasz w rodzinie, w której krewni zawsze darzyli cię miłością, pewnie nie żyjesz z ciągłą nadzieją, że znajdziesz kogoś, kto wynagrodzi ci krzywdy wyrządzone przez krewniaków. Kogoś, kto zajrzy w sam środek twojego serca i znajdzie tam rzeczy, których nikt inny wcześniej nawet nie chciał się domyślić.

Oboje z Dillonem po prostu *wiedzieliśmy*. Może nie od samego początku, lecz prawie. To było tak, jakby całe życie czekało się na okrusek ciasta i wreszcie znalazł się on w twoich ustach... i nic więcej już ci do szczęścia niepotrzebne. To tak, jakby Bóg stworzył dwie osoby

o jednej duszy, które od samego początku wiedziały o sobie wszystko, nawet zanim się zobaczyły czy zamieniły choć dwa słowa.

Później Dillon powiedział mi, że to opis mojego snu przekonał go, iż jestem tą jedną, jedyną osobą, na którą czekał całe życie - ostatnia rzecz, jaką napisałam; ta, której omal nie opuściłam.

Dillon zawsze wierzył w magię liczb i uważał, że skoro w pierwszym liście opisałam mu pierwszy sen, jaki pamiętam z dzieciństwa,

to skoro on jest moją pierwszą miłością - było nam przeznaczone wspólnie przeżyć ów sen. Wydaje mi się, że była to jedyna i ostatnia rzecz, jaką miał do stracenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

ANNIE

Nie istniał żaden dostateczny powód, bym miała tamtej środy jechać do Avalon na spotkanie z Arley. W rzeczy samej, jak na razie nie miałam po co się z nią spotykać. Na mojej głowie znajdował się tuzin innych, znacznie bardziej naglących spraw, istniało jednak wiele rzeczy, które mogłam uczynić dla dobra Arley. Po pierwsze, powinnam zadzwonić do naczelnika więzienia Solamente River, Raya Henry'ego Southwynna, by się przekonać, czy kilka minut rozmowy nie pozbawi mnie długiego i kosztownego przewodu sądowego i nie przyspieszy całej sprawy. Jednak najpierw musiałam zgromadzić nieco więcej danych na ten temat. Nie ma dla mnie gorszej rzeczy niż głupota i zażenowanie, a nic szybciej nie rujnuje twojej opinii niż brak dostatecznych informacji.

Przejrzałam akta Arley; mogłam zadzwonić do jej nauczycieli albo do matki. Mogłabym zrobić całe mnóstwo rzeczy, gdybym tylko potrafiła usiedzieć spokojnie. Z niebezpieczną ochotą kupienia wszystkiego, co znajdowało się w automacie z zimnymi napojami, wyszłam na korytarz i poszłam do gabinetu Patty, żeby się przekonać, czy ma chwilę czasu, by ze mną pogadać; skończyłam jednak z torebką precelków i mrożoną kawą - specjalnością Lili.

Wróciwszy do gabinetu, postanowiłam, że zadzwonię do mojej siostry; nie rozmawiałam z nią od kilku tygodni. Zerknęłam na zegarek. Pewnie jeszcze była w domu; biegła po kuchni i upychała biznesplany klientów i prace domowe syna do tej samej ogromnej, znoszonej czarnej medycznej torby, której kiedyś używał mój ojciec, a która od lat służyła jej jako aktówka. Podniosłam słuchawkę i przez chwilę siedziałam, wsłuchując się w przeciągły sygnał, lecz nie wykręciłam jej numeru. Chciałam ją zapytać o coś, co dotyczyło sprawy Arley, lecz nie potrafiłam jeszcze sformułować pytania.

Nadal niespokojna, przysiadłam na parapecie i otworzyłam purpurową teczkę, przyniesioną mi przez Arley. Oto co napisał Dillon w jednym z wczesnych listów na temat nocy, podczas której popełnił przestępstwo: „Nie powinienem był się dać tak wykorzystać, jak stało się tamtej nocy. Dałem zrobić z siebie ofiarę chciwości. Najbardziej jednak mnie boli, że zebrałem baty za wszystkich; ale na cóż zda się narzekanie? Mógłbym ci długo opowiadać o tamtej nocy, żebyś lepiej wszystko zrozumiała, lecz i tak cenzorzy (witam panów) wszystko by wykreślili. Niech ci wystarczy, że do tamtego czasu strzelałem tylko do puszek na pastwisku za domem... choć muszę przyznać, że zawsze trafiam bez pudła...” Nic specjalnego, a w każdym razie, nie do końca. Mnóstwo „gadania twardego faceta” i wszechobecny posmak konspiracji. Wedle słów Stuarta, z jego doświadczenia wynika, że wielu złoczyńców chętnie dzieli się swymi wspomnieniami i jeszcze chętniej szczegółowo opowiada o popełnionych przez siebie zbrodniach. Jednak w mojej praktyce najczęściej spotykałam się ze ślamazarami, którzy właśnie szli na próbę chóru kościelnego lub na mecz Metsów, gdy w ich życie wkroczył zły los. Jakoś nie mogłam sobie pogodzić w myślach tej Arley, którą widziałam u siebie w biurze - choćby przez krótki czas - z dziewczyną, do której Dillon pisał pełne uzalania się nad sobą listy. Wydawało się, że ma w sobie tyle zdrowego rozsądku i gracji, niezwykłych jak dla dziewczyny w jej wieku. Przekonałam się, że zaledwie w ciągu kilku tygodni sprawy przybrały znacznie gwałtowniejszy obrót, że stały się czymś więcej niż zwykłą korespondencją dwóch samotnych duszyczek - od „Ojej, nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ty...” aż do „A może zamiast umawiać się ze mną na pierwszą randkę, poślubisz niebezpiecznego bandytę?”

Czytałam dalej. Wszystko było winą młodszego brata, Kevina, który „odkąd się urodził, jest szalony niczym letnia burza i zawsze dawał się naszej mamie mocno we znaki”. Ale wystarczy już o dobrej, starej matce, wracamy do punktu pierwszego: „Gdyby tylko ten chłopak na stacji benzynowej nie wyskoczył na mnie jak jakiś Sundance Kid - dziwi mnie, że nie zabił nas obu - nikomu nie stałaby się krzywda. Nie musiał tego robić. Nie powinien udawać bohatera, przecież Kevin chciał tylko drobne z kasy. A teraz ja siedzę w więzieniu; widzę jakieś cztery cale kwadratowe nieba przez okienko w głębi korytarza, naprzeciwko mojej celi. Najciekawiej jest, gdy gromadzą się chmury burzowe... kiedy zanoszą się na deszcz, wszyscy chłopcy robią się nerwowi. Siedzimy tu niczym bydło w oborze i usiłujemy wyczuć zmianę wiską w powietrzu”.

No, cóż... i o to właśnie chodziło: był mądrzejszy od innych.

Jednak faceci w więzieniu mają zbyt dużo wolnego czasu, który zazwyczaj wypełniają, czytając książki; zapożyczają z nich, co tylko mogą - nie spotkałam jeszcze skazańca, który nie miałby głowy nabitej naiwnymi, romantycznymi, wspaniałymi i mało sprecyzowanymi planami. Dillon także miał swój cel: chciał odnaleźć swe korzenie w powiecie Galway w Irlandii, skąd pochodzi rodzina jego matki. Chciał pisać wiersze - w końcu chyba było coś więcej w fakcie, że nazywa się Dillon Thomas (wszystko jedno, jak to się pisze). Chciał także zbierać antyki i mieć ogromne stado bydła, dokładnie tak jak jego dziadzio miał w przeszłości, zanim został zmuszony je sprzedać. „Tydzień później -pisał - w ziemi zaczęto wiercić w poszukiwaniu ropy i wszyscy z wyjątkiem Dillonów zarobili grube tysiące". Gówno prawda. Pewnie miał też psa, którego ktoś przejechał na szosie. Najwyraźniej rodzina Dillo-na LeGrande nie miała szczęścia, i co z tego?

Zaczęła mnie boleć głowa z tyłu, nad karkiem. Dlaczego w życiu Arley Mowbray nie było nikogo, kto by miał dostatecznie dużo rozumu, by jej powiedzieć, że ten związek nie ma sensu? Przecież nawet idiota zorientowałby się, że taka miłość nie ma przyszłości! Lecz nawet jeżeli ktoś by ją ostrzegł, czy miałoby to znaczenie? Nawet idiota, pomyślałam. Moja praca jakoś nie nauczyła mnie wiary w rozsądek rodu kobiecego. Z tego, co zdążyłam zaobserwować, wynika, że dla miłości mężczyzny wiele kobiet zamordowałyby najlepszą przyjaciółkę i sprzedały ją handlarzom ludzkimi organami. Dobry związek? Fatalny? To nie miało większego znaczenia. Doświadczenie z tego typu psychologią nauczyło mnie wyszukiwania różnego rodzaju atrakcji - na pierwszy rzut oka mogłam wytypować parę, która skończy w moim gabinecie wykończona nerwowo. Wystarczało, że zapoznałam się z kłopotami, jakimi zadręczali ich w młodości rodzice i które gotowi byli sami stwarzać w swym dorosłym życiu. Choć z drugiej strony to wcale nie tłumaczyło, dlaczego normalna kobieta z normalnie funkcjonującymi komórkami mózgowymi, wychowana w zwyczajnej rodzinie, mogła minąć próg i nie oglądając się za siebie, z niesamowitą prędkością rzucić się w ramiona najmniej odpowiedniego mężczyzny w pokoju. W moim przypadku miłość zawsze wyrastała na gruncie przyjaźni. W przypadku Stuarta koleżeńska zażyłość przetrwała, nawet gdy wygasł ogień namiętności. Podobnie było z chłopcami i mężczyznami, których miałam przed nim - właściwie tylko dwaj z nich byli poważnymi kandydatami do wspólnego życia: obaj spokojni, zrównoważeni magistrowie specjalizujący się naukach

humanistycznych; takie repliki mnie samej, tylko zapinające guziki na prawą stronę. Nie chodzi nawet o to, że nie wierzę w uroki zwierzęcej żądz; pożądanie to dobra rzecz. Niezależne od woli skurcze tkanek, łomotanie serca, poczucie zapadania się w otchłań bez dna, chęć roztopienia się w zapachu tej drugiej osoby. Dobry seks jest jak wspaniały masaż - dar cieszenia się z życia, bez którego nie można się obejść. Ale nigdy rozmyślnie nie balansowałam nad przepaścią, żeby tylko go doświadczyć. Spotkania z wieloma smutnookimi starszankami, które dopiero co obchodziły trzydzieste urodziny, nauczyły mnie, że w życiu nie warto podejmować pewnego ryzyka. I tak jest za krótkie.

Zaczęłam obgryzać długopis - oznaka stresu, jaka towarzyszyła mi całe życie, a której nigdy nie zauważałam, dopóki nie poczułam w ustach gorzkiego smaku atramentu. Przecież miałam tu do czynienia z czternastoletnią dziewczynką, nadal wierzącą w prawdziwość wszystkich piosenek o miłości, jakie słyszała w radiu. Ale czy to było fair?

Czyż nie wszyscy głupcy dają się nabrać tej skrzynce idiotów?

Ile to razy usiłowałam zdusić śmiech, gdy Stuart dławił się, usiłując śpiewać „Up on the Roof”, piosenkę, zawsze przypominającą mu o Mary Sullivan, bogini jego mieszkania z tarasem, która ubóstwiała go miłością szaleńczą, a potem porzuciła dla chłopca z seminarium duchownego. Dwadzieścia pięć lat później Stuart mówił, że nadal czuje waniliowy zapach jej rudych włosów. A Jeanine? Jeanine jest moją najlepszą przyjaciółką w Teksasie, twardo stającą po ziemi kierowniczką ośrodka adopcyjnego, która przysięgała, że w pracy spotkała ofiary wszystkich możliwych nieszczęść, jakie mogą spaść na głowę kobiety dzięki nosicielom chromosomów Y. Ale gdy na lotnisku poznała Bruce'a, bez wahania poleciała z nim na Key West, tylko po to, by tydzień później odbyć uświadamiającą rozmowę telefoniczną z jego (drugą) żoną.

Wystarczy spojrzeć na Rachael. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego tak o niej myślę. Carlos. Znalazłam nowy długopis i zaraz znowu zaczęłam go gryźć. Moja własna, zdrowa na umyśle siostra, księżniczka pruderii, kobieta, która już w szkole średniej postanowiła, że zostanie księgową. Rachael i Carlos. Ile już lat minęło, odkąd po raz ostatni o tym myślałam? O tym, jak moja siostra uciekała z lekcji i wykańczała rodziców karty kredytowe na benzynę, by spotkać się ze swym ukochanym w mieszkaniu, w którym mieszkał wraz z kilkoma setkami swoich ciotek, kuzynów i braci?

Moja siostra nie była giupia. Rachael to bystra, gorącokrwista dziewczyna, której temperament ujawniał się dopiero wtedy, gdy ktoś usiłował wpłynąć na powolne tempo podejmowanych przez nią decyzji

- bez względu na to, czy tyczyły się kupna stanika, czy wyboru studiów. Z wyjątkiem Carlosa - tego jedyne go razu. Wtedy zupełnie nie można się było z nią dogadać... ale ja nawet nie próbowałam. Dlaczego? No, cóż... Carlos pojawił się w jej życiu w niezręcznym czasie, gdy studiowałam na pierwszym roku prawa i nie miałam czasu na nic poza zdobywaniem wiedzy. A jednak Rachael to moja jedyna i ukochana siostra. Musiało być w tym coś więcej.

I było. Zawzięcie gryzłam niewinny długopis. Zbyt szybko się poddałam, gdyż najprawdopodobniej, jak każda siostra w pewnym momencie swego życia, chciałam, by Rachael się sparzyła.

I zdarzyło się jej to, przynajmniej do pewnego stopnia. Po raz pierwszy w życiu otwarcie sprzeciwiła się rodzicom. Na najmniejszą wzmiankę o tak długim związku córki żydowskiego lekarza z Upper West Side z portorykańskim łobuziakiem z Bronksu zamykała się w sobie niczym ostryga. Z odległego Wisconsin, gdzie studiowałam, podziwiałam spokój rodziców, równie odmienny od ich codziennego zachowania, jak obsesja Rachie. Dopiero teraz przypominałam sobie, jak bardzo zazdrościłam ich anielskiej cierpliwości do zepsutej smarkuli, która zawsze była ich oczkiem w głowie. Oczywiście, z perspektywy czasu rozumiem teraz, że właśnie ich wyrozumiałość pozwoliła Rachael odetchnąć i spokojnie rozejrzeć się dokoła.

Gdyby moi rodzice nie dali jej spokoju, pewnie obecnie siadywałyby samotnie w sobotnie wieczory w jakimś parafialnym kościółku w Jersey.

Kiedy już poszła na studia i zaczęła się umawiać z solidnymi obywatelami ulepionymi z tej samej gliny co ona, obie zachowywałyśmy się tak, jakby incydent z Carlosem w ogóle się nie zdarzył. Doszłam do wniosku, że Rachael czuła, iż zawiodła wszystkich; a ja czułam, się tak, jakbym ją zawiodła. Wzięłam jednak przykład z rodziców, którzy nigdy

- przynajmniej w mojej obecności - nie wymieniali imienia Carlosa.

Oznaczało to jednak tylko tyle, że istniało całe mnóstwo rzeczy na temat Rachael i Carlosa, o których nie miałam pojęcia. Rzeczy, które bardzo chciałam wiedzieć, lecz nigdy nie odważyłam się o nie zapytać. Moja siostra poznała Carlosa pewnego lata, gdy jej grupa prowadziła warsztaty dla trudnej młodzieży. Był od niej o dwa lata młodszy - miał zaledwie szesnaście lat - i znali się dwanaście godzin, gdy zaczęli się ze sobą kochać po raz pierwszy, na stojąco, na zapleczu miejskiej biblioteki. Było to coś, w co moja siostra nigdy by nie uwierzyła, gdybym jej

o tym opowiedziała miesiąc wcześniej. Zwierzyła mi się z tego, gdy pewnej nocy, po paru margeritach rozmawialiśmy w domu ciotki na Florydzie o naszych „pierwszych i najlepszych razach”. Takie tam siostrzane pogaduchy. Tego typu rewelacje nigdy nie stanowiły dla nas tabu. Zawsze uważałam, że mam prawo - jako jej siostra - znać myśli Rachie i motywy nią kierujące. Jednak nie pociągnęłam wtedy dalej tematu Carlosa ani nie zrobiłam tego już nigdy później.

Okay, chodziło głównie o to, że cała sprawa mocno śmierdziała. Wiedziałam, że przygoda Rachael z Carlosem skończyła się, gdy postawiono go przed wyborem - więzienie albo służba wojskowa. Wydaje mi się, że podeszłam do tego związku z podobnymi uczuciami, jakie towarzyszyły mi podczas rozmowy z siostrą o jej bulimii. Cieszyłam się, że mi o tym powiedziała, lecz byłam jeszcze bardziej zadowolona z faktu, że poradziła sobie z wszystkim beze mnie.

Dziwne, ale w pracy nie byłam aż tak nieśmiała. Bez skrupułów do-kopywałam się do najpaskudniejszych sekretów innych ludzi. W życiu prawnika najważniejsze jest zrozumienie motywów zachowania bliźnich.

Jednak wszystko wygląda inaczej, gdy dzieje się bliżej ciebie. Są rzeczy, których po prostu nie chcesz wiedzieć.

Ale przecież nie mogłam teraz zadzwonić do Rachie i spytać ją o Carlosa, gdyż wydawałoby się to trochę zbyt spóźnione. Minęło już tyle lat. Co ona dziś myślała o swej namiętności do ciemnoookiego, skorego do bójek latynoskiego chłopaka, którego kiedyś przysięgała kochać do końca życia? Czy ta część jej osobowości, która kochała Carlosa, zniknęła w kłębie dymu i nie pozostało po niej nic oprócz wspomnienia smaku siarki? Miałam dziś poważne i oczywiste powody, by z nią o tym porozmawiać; musiałam znać sytuację. Ale nawet podobieństwo do sprawy, nad którą pracowałam, nie wydawało się dostatecznym wytłumaczeniem do roztrząsania jednej z ciemniejszych plam na moich stosunkach z siostrą.

Na blacie przede mną leżały już trzy pogryzione długopisy. Miałam dość: cała ta retrospekcja nie była łatwa ani przyjemna. Śmieszne, jak jedna mała ścieżka myślowa może się stać ogromną czasową studnią bez dna, która wciąga w siebie większą część zatłoczonej środy. Dochodziła trzecia po południu. Do Avalon dojechałabym na czwartą; Arley pewnie wróci już do domu ze szkoły, chyba że dziś pracuje.

Zebrałam swoje rzeczy i zeszłam na dół do samochodu. Z telefonu komórkowego zadzwoniłam do informacji i zapytałam o Taco Heaven.

Kiedy wystukałam numer restauracji, czekałam dość długo, zanim ktoś podniósł słuchawkę i powiedział po prostu:

- Jack.
- Usiłuję skontaktować się z Arlington LeGrande.
- Mówi Ginny Jack.
- Tak. Chciałabym jakoś skontaktować się z pani pracownicą, Arlington LeGrande.
- Nikt o tym nazwisku tu nie pracuje.
- Nie ma żadnej Arley? Kelnerki?
- Aa, chodzi pani o Arley Mowbray. Dziś nie pracuje. Czy mogę wiedzieć, kto o nią pyta?
- Mówi Anne Singer. Jestem, hm... adwokatem pani LeGrande, adwokatem Arley.
- Wpadła w jakieś kłopoty? -Nie.
- Chodzi mi... oprócz tego, co oczywiste.
- Przepraszam, ale nie rozumiem.
- Pani LeGrande, dobre sobie!
- Hm... no, cóż... Nie, Arley nie ma żadnych kłopotów.
- To słodkie dziecko, wie pani?
- Tak mi się wydawało.
- Ma po prostu złe geny.
- Nie bardzo wiem, o czym pani mówi.
- Chodzi mi o małą Ritę, jej matkę... jeżeli ją pani spotka, zrozumie pani, dlaczego to dziecko jest dwa razy lepsze, niżby mogło być.
- Przepraszam, ale nie rozumiem.
- Nie, nie... ja przepraszam. Nie powinnam mówić takich rzeczy.
- Naprawdę to doceniam. Niewiele wiem o rodzinie i dzieciństwie Arley...
- Jest słodka i kochana.
- Wiem.
- Zbyt miła i dobra, by brać udział w podobnych awanturach. Po prostu w głowie mi się to nie mieści. Wszystko stało się tak szybko...
- Na to wychodzi.
- Chodziłam z Ritą do szkoły. Była dwa lata młodsza ode mnie, ale zanim ja przekroczyłam dwudziesty rok życia, ona zachowywała się tak, jakby miała sześćdziesiątkę na karku, jeżeli rozumie pani, co chcę powiedzieć.
- Czy mogę przyjechać i z panią porozmawiać, pani... pani Jack? Jadę dziś do Avalon i będę po drodze mijać pani restaurację...
- No, cóż... może... ale nie. Lepiej nie. Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy. Przykro mi. Mam tu teraz mnóstwo klientów,

więc musi mi pani wybaczyć. Do widzenia. Powiem Arley, że pani dzwoniła. Chciałam wiedzieć więcej. Pomimo poważnego błędu, jaki Arley popełniła, wychodząc za mąż za skazańca, nabroiła w swoim życiu znacznie mniej niż większość moich klientów, ich dzieci, żeby nie wspominać jeszcze o ich wnukach. Pewnego razu prowadziłam sprawę trzech pokoleń kobiet z tej samej rodziny, które zaszły w ciążę z tym samym mężczyzną. Wystarczyły mi zawilości testów genetycznych, by rwać włosy z głowy, nie musiałam nawet zagłębiać się w istotę ich związku. Arley mogłam sądzić tylko po zachowaniu i wrazeniu, jakie na mnie wywarła; była całkiem nieźle wychowana. Więc Rita Mowbray, cokolwiek by o niej sądziła koleżanka ze szkoły, musiała być opiekuńczą, wspierającą matką, jeżeli nie zwyczajną świętą. Znałam całe mnóstwo dobrych matek, które jakoś nigdy nie zdołały kupić odpowiednio długiej sukienki, by móc siedzieć z założonymi nogami. A Rita Mowbray, z tego, co mi powiedziała jej córka, była wykształconą, oficjalnie zarejestrowaną i pracującą pielęgniarką. Samo to już wymagało od niej pomysłu i odwagi, zwłaszcza że samotnie wychowywała dzieci. Już nie mogłam się doczekać spotkania z tą małą Ritą, która zachowywała się, jakby miała sześćdziesiątkę na karku.

Kiedy wreszcie znalazłam mały biały domek, stojący na rogu zakurzonej, wąskiej i żalostnej Jean-Marie Street i zapukałam do drzwi, otworzyła mi Arley. Nawet przez siatkę w drzwiach zobaczyłam, jak jej oczy rozszerzają się i ciemnieją niespodziewanie. Wyglądały niczym oczy konia - wypełniała je mieszanina strachu i wyzwania.

- Dzień dobry - odezwała się uprzejmie, lecz szeptem. Dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego tu przyjechałam; ten szept był potwierdzeniem, że Arley znajduje się w znacznie większych tarapatach niż jej dziwaczne, romantyczne małżeństwo. Chciała, żebym ją przed czymś ochroniła, lecz bała mi się o tym powiedzieć.

- Cześć, Arley - odrzekłam. - Wiem, że cię nie uprzedziłam o swoim przyjeździe, ale przecież obiecałam, że się odezwę.

- Mama jest w domu - powiedziała. - Moja mama jest dziś w domu.

- No, cóż... to nam chyba nie będzie przeszkadzać? Wydaje mi się, że powinnam ją poznać.

- Kto to? - rozległ się w tej chwili głos ze środka. - Kto przyszedł, dziewczyno?

Delikatnie popchnęłam Arley do środka i weszłam. W mojej pracy najważniejsze jest zrozumienie ograniczeń innych ludzi i podchodzenie do nich z szacunkiem; a jednak wepchnęłam się do domu Arley.

Rita stała w kuchni, przytupując i obserwując ronderek z wodą stojący na piecu. Kiedy zobaczyłam ją od tyłu, od razu pomyślałam, że wygląda jak siostra Cherry Ames, bohaterka książek, które czytałam w wieku dziesięciu lat. Miała na sobie biały, wykrochmalony i wyprasowany mundurek, którego już raczej nie spotyka się u pielęgniarek w nowoczesnych szpitalach. Wyglądał jak kostium, a jednak... w jakiś sposób był... seksowny? Barokowy? Wyglądała w nim jak zakonnica. Jednak gdy odwróciła się do mnie, dostrzegłam, że najlepsze dni Rita Mowbray miała już dawno za sobą. Jej twarz przypominała dobry but - była ogorzala, brązowa, poznaczona zmarszczkami, a jednak w pewien swoisty sposób przystojna. Lśniące, długie, gęste, równo obcięte włosy opadały jej na ramiona, lecz miały dziwaczny kolor - pomarańczowy, niczym żółtko kurzego jajka.

- Czym mogę pani służyć? - spytała; w jej głosie słychać było charakterystyczny, bardzo mocny akcent południowego Teksasu.

- Jestem adwokatem Arley, nazywam się Annie Singer - odparłam i podeszłam do niej pospiesznie, wyciągając rękę na powitanie. Ujęła ją delikatnie w trzy palce - coś, co u kobiety w moim wieku doprowadza mnie do furii. Zauważyłam, że pod obszernymi rękawami mundurka jej ramiona są równie muskularne, jak ręce Stuarta; prawdopodobnie bez trudu mogłaby sobie zarzucić mnie na ramię. Była niższa ode mnie i trochę szczuplejsza, ale najdziwniejsza była jej mina - jakby cały czas przysłuchiwała się jakimś sprośnym dowcipom płynącym z ukrytego głośniczka. Gdy rozciągnęła wargi w uśmiechu, przypominała psa, który szczyrzy zęby. I nagle zaczęłam się jej bać.

- Nie wiedziałam, że moja córka ma adwokata.

Arley skuliła się; nagle zniknęła gdzieś jej dumna, wyprostowana poza, nawet ramiona ściągnęła. Chyba wtedy zrozumiałam. Matka ją biła. Albo pozwalała, by cały ciąg jednonocnych „narzeczonych” wykorzystywał ją seksualnie. W tym pokoju czuć było strach, i nic więcej; Strach tak wszechobecny, że nikt z mieszkańców małego domku już od dawna nie zwracał na niego uwagi. Nic dziwnego, że dzieciak starał się uciec przy pierwszej okazji; nic dziwnego, że wpadła prosto w ramiona Dillona LeGrande. Jak się później okazało, miałam rację i myliłam się jednocześnie. Rita Mowbray nigdy w życiu nie uderzyła swoich dzieci; nie musiała tego robić.

- Gotuję jajko na twardo - odezwała się miłym tonem. - Dzisiaj jest mój dzień na jajko. Od piętnastu lat raz w tygodniu jem tylko jedno jajko na twardo i przez całe życie udało mi się nie przytyć ani kilograma.

- To godne podziwu - odrzekłam słabo, patrząc na jedno jajko gotujące się w rondelku. - Ja... przepraszam, że pani przeszkadzam.

- Cholera, nie ma sprawy - powiedziała Rita. - Jestem ciekawa, o co chodzi. Naprawdę bardzo mnie to interesuje. Może pani usiądzie?
- Stół w kuchni był właściwie piknikową drewnianą ławą. Nie pytając, czy mam ochotę, Arley przyniosła mi szklanek wody z lodem, po czym usiadła obok matki.
- Za pół godziny zaczynam dyżur - rzekła Rita.
- Pracuje pani w gabinecie jakiegoś lekarza?
- Nie, w szpitalu Texas Christian. Na oddziale chirurgicznym.
- Na nocną zmianę?
- Mnie to nie przeszkadza, a więcej płacą. -Pani Mowbray...
- Właściwie jestem panna Mowbray. Nigdy nie wyszłam za mąż.
- Okay. Ja., tak naprawdę chciałam się spotkać z pani córką. Muszę z nią omówić ten pozew, który mam wnieść do sądu w imieniu jej i... jej męża przeciwko naczelnikowi więzienia w Solamente River.
- Aa... o to chodzi. W takim razie to chyba nie moja sprawa.
- Chce pani powiedzieć, że nie ma nic przeciwko temu? Rita Mowbray zrobiła pół obrotu na ławce.
- Idź, obudź brata - powiedziała do Arley. - Nie może się znowu spóźnić do pracy. Arley pospiesznie wyszła z kuchni do pokoju obok; po chwili usłyszałam dźwięczny łoskot, jakby ktoś upuścił gitarę (później dowiedziałam się, że Cam miał zwyczaj spać w swym hamaku razem z gitarą, i czasem, wierząc się, zrzucał ją na podłogę).
- Panno Singer, szczerze mówiąc, bardzo się zdziwiłam, gdy usłyszałam, że Arley chce wyjść za mąż... choć z drugiej strony młodzież w dzisiejszych czasach wcześniej zaczyna. Moja córka Lang miała chłopca, zanim skończyła jedenaście lat.
- Więc dała im pani oficjalne pozwolenie...
- Wcale nie dlatego, żeby mi się to tak strasznie podobało. Ale oni i tak zrobiliby, co chcieli. Nauczyciele z jej szkoły nieraz powtarzali mi, że Arley jest zdolna, że ma szansę dostać się na studia... ale ja nie jestem jej sumieniem.
- Jest pani jej matką.
- To prawda. Inteligencja jest dziedziczna w naszej rodzinie. -Uśmiechnęła się, a mnie znowu zafascynowały jej ostre, białe zęby. Odwróciłam się do Arley stojącej w drzwiach kuchni.
- Może pójdziemy gdzieś na kawę?
- Ona musi jeszcze zrobić obiad dla swego brata - wtrąciła ostro Rita.

- Więc ma pani jeszcze jakieś młodsze dziecko? Małego chłopca? - zapytałam.

- A skąd! Ma już przeszło sześć stóp wzrostu - odpowiedziała dumnie Rita. - Niedawno skończył szesnaście lat i pewnie jeszcze urośnie.

- Czy jest upośledzony? - spytałam; Arley nagle się zakrztusiła. Dopiero po chwili zrozumiałam, że usiłowała w ten sposób powstrzymać wybuch śmiechu. Jednak gdy Rita bardzo powoli odwróciła się ku niej, Arley nagle zamarła i zaczęła przyglądać się swym stopom; serce zabiło mi mocniej. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego każdy gest Rity jeży mi włosy na karku i przyprawia o drżenie. Zrozumiałam to dopiero wiele miesięcy później, gdy wraz z Arley znalazłam się w szpitalu Texas Christian. To było dopiero nasze pierwsze spotkanie. -Przepraszam, nie chciałam nikogo urazić - dodałam pospiesznie.

- Cam nie jest bardziej upośledzony niż większość mężczyzn - rzekła Rita. - Niech pani posłucha, panno Singer. Jeżeli Arley nie da mu obiadu, po prostu wyżre sos do spaghetti ze słoika i rozchoruje się na żołądek, a ja potem będę musiała wydawać pieniądze na lekarzy. Arley gotuje od maleńkości i jeżeli nie znajdzie pani sposobu, żeby przeniosła się do Solamente River i prowadziła dom swego chłopca, będzie pracować w moim domu; albo może się wynieść gdzieś, żeby nie musiała jej utrzymywać. - Spojrzała na Arley, a potem przeniosła wzrok na mnie. -Naprawdę jest pani prawnikiem? Czy raczej pracownikiem społecznym?

- Prawnikiem.

- Ile ma pani lat?

- W styczniu skończę czterdzieści.

- Ma pani dzieci? -Nie.

- No, cóż... ja mam trzydzieści osiem, i gdy byłam w wieku mojej starszej dziewczyny, miałam już dwójkę dzieciaków. - Rita była młodsza ode mnie; miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Ciekawe, jak wyglądałyśmy obok siebie? - Moja mama urodziła mnie, gdy miała szesnaście lat, a jej mama ją, gdy miała piętnaście. Ja się wstrzymałam. Pierwsze dziecko urodziłam, mając siedemnaście lat.

- Wiem, że posiadanie dzieci to ogromna odpowiedzialność...

- No, cóż... właściwie jest dokładnie tak, jak uczą na biologii. Dzieci dają sobie radę; przeżyją nas, czy im w tym pomożemy, czy nie. Kiedy ja się uczyłam, dzień i noc, i znowu dzień, jednocześnie musiałam płacić za przedszkole, by moje dzieciaki mogły sobie bawować farbami, których nigdy nie mogłam sprząć z ich ubrań, i bawić się czystymi klockami, podczas gdy ja podmywałam zidiociałych pacjentów.

- Ale udało się pani. Zdobyła pani wykształcenie.

- A miałam jakiś wybór? Miałabym strzyc włosy? Albo sterczeć za barem? Był czas, kiedy jeszcze mogłam się sobą zająć albo znaleźć sobie kogoś, kto by się mną zaopiekował. Ale potem urodziłam ich wszystkich... - kiwnęła brodą w stronę Arley

- ...i byłam zbyt dumna, by iść po zasiłek do opieki społecznej. Zresztą z niego i tak nie da się wyżyć.

- Ale chciała pani mieć rodzinę...

- Nie trzeba chcieć, żeby się dorobić dzieciaków.

Drzwi do kuchni otworzyły się z trzaskiem i do środka wszedł jasnowłosy chłopiec z spodniach, jakie zazwyczaj noszą salowi w szpitalach, i podkoszulku z napisem „Pieńko zamarza”. Włosy miał koloru miedzianego, takie same musiały kiedyś zdobić głowę jego matki. Twarz gładką, przystojną jak u aktora filmów klasy B. Skinął nam głową bez uśmiechu.

- Mamo - mruknął - pszepiani.

Dzieciak z Teksasu zawsze tak cię powita i tylko on potrafi sprawić, że „pszepiani” będzie brzmieć obraźliwie. Jednak ten chłopak nawet na to nie miał siły.

- Jeżeli mamy iść, to lepiej od razu - wtrąciła się cicho Arley. Zaskoczona, pomachałam na pożegnanie Ricie i Camowi, po czym wycofałam się z kuchni niczym krab. Przyglądali się nam przez okno, gdy wsiadałyśmy do mojego samochodu.

Arley zapięła pasy, wygładziła džinsy i obciągnęła koszulkę. Oddychała trochę zbyt szybko, a jej twarz zasłaniały niesamowicie długie włosy.

- Arley? - spytałam, wycofując wóz i jednocześnie starając się nie uderzyć w motor, który, jak założyłam, należał do jej brata, a składał się głównie z taśmy klejącej. Nie odpowiedziała. - Arley, z twojej matki jest twarda sztuka, co?

Spojrzała na mnie i mrugnęła powiekami; tylko raz.

- Tak - odparła. - Robi, co chce.

- Życie z nią musi być niezbyt miłe, co?

- Ona właściwie... właściwie to nigdy nie ma jej w domu, więc to i tak bez znaczenia.

Prawdopodobnie nie potrzebowała porady, lecz i tak zaryzykowałam.

- Arley - zaczęłam - pewnie wiesz, że istnieją szkoły i ludzie, którzy pomagają dzieciom mającym kłopoty z rodzicami. Bez względu na to, co ci się przydarzyło, zdarzyło się to wielu dziewczętom przed tobą... i nie musi się powtarzać.

- O czym pani mówi?

- O napastowaniu, Arley. Biciu. Albo zaniedbywaniu. Uśmiechnęła się jakimś smutnym, starym uśmiechem, który upodobił ją do tych wszystkich zawołanych, sztywno wyprostowanych Meksykanek modlących się na stopniach kościoła w Dzień Niepokalanego Poczęcia.

- Mama nigdy nas nie bije.

- Czy... czujesz się z nią blisko związana? Nawet jeżeli nie jest dla ciebie dobra?

-Nie.

- Lubisz ją?

- No, cóż... wiem, że to zabrzmiało okropnie, ale lubiłam ją bardziej, gdy byłam młodsza.

- Co się zmieniło?

- Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, zrozumiałam, że to, co dzieje się w naszym domu, nie jest... normalne.

Zaraz dowiem się wszystkiego. O przypalaniu papierosem. O wścib-skich rękach „wujków”. Poczułam gęsią skórę.

- Co masz na myśli? - spytałam ostrożnie.

- To trudno wyjaśnić. Na przykład wiem, że niektórzy ludzie nie lubią gotować.

Mama Eleny gotuje bez przerwy i dla niej to nic takiego. Stale powtarza, że jedzenie powinno być sycące, lecz jednocześnie wyglądać apetycznie, bo nikt nie zechce go tknąć. - Odetchnęła głęboko, a ja poruszyłam się, zniecierpliwiona dygresją nastolatki. - A na przykład Ginny, moja szefowa, nie znosi gotowania, a przecież jest właścicielką restauracji! Nigdy jednak nie pamiętam, by moja mama coś ugotowała. Wiem, że musiała to robić, zanim ja byłam dostatecznie duża, by przejąć ten obowiązek; przecież pomarlibyśmy z głodu. Ale po prostu tego nie pamiętam. Nawet w Święto Dziękczynienia.

Opisywała mi spokojnie życie tak bardzo pozbawione radości i odpoczynku, że pasowałoby raczej do średniowiecznego mnicha. Matka Arley właściwie nie rozmawiała z dziećmi, a usta otwierała tylko po to, by wydać im polecenia; kiedy nie pracowała, umawiała się z mężczyznami i chodziła na tańce. Nie zaniedbywała swoich dzieci; to wymagałoby od niej znacznie więcej wysiłku, niż potrafiła z siebie wykrzesać. Szkoła była dla Arley ucieczką, a nie jeszcze jednym obowiązkiem. Rita po prostu jej nie kochała, a sukcesy odnoszone przez córkę w szkole i jej angażowanie się w dodatkowe zajęcia drażniły ją, gdyż niszczyły najtańszą siłą roboczą, jaką mogła sobie wyobrazić.

Usiłowanie ucieczki, nocowanie u Eleny i znalezienie sobie pracy było ze strony Arley czymś więcej niż tylko zwykłym buntem nastolat-

ki, wręcz rewolucją. Nic dziwnego, że dziewczyna tak martwiła się i denerwowała, co też matka jej zrobi „za Dillona”.

Dillon... Prawdopodobnie Arley zamieniła z nim więcej słów i wyraziła więcej uczuć, niż w ciągu pozostałych czternastu lat życia. Nic dziwnego, że jego zainteresowanie zawróciło jej w głowie i pozbawiło jasności myślenia.

- Czy miewacie gości? Przyjeżdża do was rodzina? Na przykład na Boże Narodzenie?

- Nie. My raz pojechaliśmy do siostry mamy, Debbie Lynn, do Galveston.

- To co robicie w święta?

- Mama najczęściej pracuje. W święta więcej płacą. My z Camem zazwyczaj sami się sobą zajmujemy

- A co twoja matka robi w domu?

- Właściwie nic. Najczęściej rozmawia przez telefon. Albo siedzi przy stole i pali papierosy. Nigdy nic nie je; tylko siedzi i przytupuje, czekając, aż ja i Cam skończymy jeść i posprzątamy naczynia. A potem idzie do pracy. Kiedy byłam mała, usiłowałam z nią rozmawiać. Pamiętam, jak kiedyś opowiedziałam jej o tarantuli, którą zobaczyłam w szkole w szklanym słoiku. Właściwie nawet się na mnie nie wściekła; po prostu patrzyła przeze mnie... jakbym była wodą czy czymś takim... -Uśmiechnęła się. - Strasznie brzmi, co? Ale ona właściwie wcale nie jest taka zła.

Chyba powinno mi ulżyć; żadnych zboczonych wujaszków, żadnych ukrywanych bliźni. A jednak gdy jechałam z nią przez Avalon do kafejki, opowieść Arley - choć pozbawiona najmniejszych śladów uzalania się nad sobą - poruszyła mnie znacznie bardziej niż większość łzawych historyjek o maltretowanych dzieciach, jakie słyszałam w ciągu wielu lat pracy. Jeżeli można znaleźć nazwę dla okrucieństwa wyrządzanego dziecku, można także mu zaradzić; nie jest to łatwe, bardziej przypomina wyciąganie kaktusowych kolców pęsetą - im więcej wyciągnęłaś, tym więcej widzisz następnych. Ale na to, co Rita zrobiła swoim dzieciom, nie potrafiłam znaleźć nazwy... nie uczyniła nic. Niczego nie można wedle litery prawa nazwać zaniedbaniem czy porzuceniem. Bardzo się pilnowała, uważała na każdy swój krok i nie popełniała błędów. Jednak nie zrobiła nic, by zapewnić swoim dzieciom godziwe życie.

Kiedy siedziałyśmy w przydrożnym barze i popijałyśmy dietetyczną coca-cole, Arley opowiedziała mi, jak ich życiowe warunki się poprawiły, gdy wraz z bratem wyrosli na tyle, by przestać korzystać z nocników, i zmądrzeli wystarczająco, by zapamiętać numery telefoniczne posterun-

ku policji powiatu Bexar i recepcji szpitala, w którym pracowała Rita. Ich matka zaczęła wtedy pracować nocami - aby zarabiać więcej pieniędzy -, „bo nikt nie musiał się nami zajmować, kiedy śpimy. Bywały takie tygodnie, gdy ani razu nie widziałam mamy, panno Singer”.

- Możesz mi mówić Annie - wtrąciłam. - A gdzie wtedy znajdowała się wasza starsza siostra?

- Ona musiała mieszkać z babcią.

- Wasza babcia się nią zajmowała?

- Nie. - Arley z zażenowaniem opuściła wzrok. - To nie tak. - Podniosła końcówkę warkocza do ust i przygryzła gruby pędzelek włosów. - Wiesz, Cam mi kiedyś pomagał, ale teraz nie robi zupełnie nic. Jakby był zupełnie martwy od szyi w dół. Trzy wieczory w tygodniu pracuje w Electric Mirage, ale przez resztę czasu tylko siedzi w swoim pokoju z gitarą i skrzypcami i pali papierosy. Albo jeździ na motorze z przyjaciółmi. Tak jest już od ponad roku; na początku strasznie się złościłam. Czasem mam ochotę zapytać go, czy to jakiś defekt genetyczny nie pozwala mu wcisnąć włącznika pralki. - Uśmiechnęła się do mnie. - Dlatego zaczęłam się dziś śmiać. Mama pozwala mu na to, bo jest chłopakiem. A ona... ona bardzo lubi mężczyzn. - Prostytutka, pomyślałam; to słowo jeszcze dziś mnie padło. Ale potem Arley dodała: - Tyle że ostatnio właściwie z nikim się nie spotyka. Nie była na randce chyba już od roku. - Zamyśliła się na chwilę, po czym rzekła: - Poza tym, Cam potrafi śpiewać.

- Śpiewać?

- Ma naprawdę ładny głos. Pewnego wieczora pomagał właścicielowi tawerny, do której mama chodzi razem z moją siostrą, kiedy tylko Langtry przyjeżdża do miasta... Cam pomagał w przemeblowaniu, a potem właściciel pozwolił mu wejść na scenę i zaśpiewać piosenkę Willie Nelsona... mama i Langtry omal nie siadły na dupie z wrażenia... to znaczy... przepraszam, za wyrażenie.

- Nie ma sprawy.

- Chodzi o to, że Cam jest genialny. - Arley podsłuchiwała, jak kiedyś matka mówiła znajomej przez telefon, że z tym głosem i dołkiem w brodzie Cam może zajść bardzo daleko. - Powiedziała też mojej siostrze, że dołek w brodzie nieładnie wygląda u dziewczyny, lecz u faceta jest strasznie seksowny. A moja siostra też ma dołeczek w brodzie. Taki nieduży.

- Ma na imię Langley?

- Langtry. To nazwa miasta, jak wszystkie nasze imiona. Mama mówi, że gdy ludzie patrzą na nie od tyłu, nie potrafią odróżnić, która z nich jest matką, a która córką. W barach często są brane za siostry.

- Co robi Langtry?
- Nie mam pojęcia; nawet nie wiem, gdzie mieszka. Ona po prostu pojawia się i znika. Znalazła sobie mieszkanie, gdy miała jakieś szesnaście lat. Nie wiedziałam o tym, dopóki Cameron - bo tak brzmi jego prawdziwe imię - nie powiedział mi, że w pokoju na strychu nie ma jej rzeczy. Wtedy ja się tam przeprowadziłam.
- Czy twoja matka nigdy nie chciała wyjść za męża? - zapytałam.
- Kiedyś miała oko na takiego lekarza.
- Umawia się z doktorami ze szpitala, w którym pracuje?
- Właściwie nie. To znaczy... czasami. Ona wprost uwielbia lekarzy. A ten doktor, który poskładał mi nogę, gdy ją złamałam, spadając z kozła na sali gimnastycznej, zabrał kiedyś matkę na kolację. Ale nie nocował u nas. Najczęściej faceci, z którymi się umawia, to idioci. Przychodzą do nas do domu, mieszkają jakiś czas, a potem znikają.
- Czy ona jest wtedy smutna?
- Nie płacze, tylko zdziera poszewki na poduszki, żebym je uprała, i każe mi wyrzucić wszystko, co po sobie zostawili. Brzytwy czy takie tam...
- Jak oni cię traktują?
- Nijak, z wyjątkiem takiego jednego, który kupił mi kiedyś spinki do włosów. Ale potem mama miała jeden ze swoich napadów szału i całkiem je podeptała. Najczęściej śpią całymi dniami i wieczorem się wynoszą. I strasznie chce im się pić. Wypijają wszystko, co mamy w lodówce, i nie kupują nic w zamian.
- A propos picia, masz ochotę na następną colę? Bo ja tak... - odezwałam się.
- Chętnie - odparła. - Ale tym razem ja zapłacę.
- Nie ma potrzeby. Chcesz może coś zjeść?
- Mam ochotę na krążki cebuli smażone w cieście. Mają tu najlepsze w całym mieście. Ale nie powinnam ich jeść. Wiesz, że jeżeli zjadasz tłuste potrawy, w twojej krwi wytwarzają się maleńkie bąbelki tłuszczu? To właśnie one zatykają arterie u starszych osób. Wyobrażasz sobie tłustą krew?
- Sądzę, że aby dostąpić podobnego wątpliwego zaszczytu, musiałabyś przez bardzo długi czas jeść ogromne ilości smażonych cebulek.
- Hm...
- Ja także strasznie je lubię. Kiedy byłam mała i mieszkałam w Nowym Jorku, chodziliśmy ze znajomymi do pewnej knajpki, gdzie sprzedawali je w ogromnych papierowych torbach... w ciągu kilku minut spód takiej torby przesiąkał tłuszczem...

- Tu jest zupełnie tak samo! - Arley uśmiechnęła się do mnie. Za-|/ mówiałam dwie torebki, a ona nagle spytała: - Chcesz zobaczyć, gdzie teraz jest moja babcia?

- Okay - odparłam, bezwiednie zerkając na zegarek; Arley to zauważyła.

- To nie potrwa długo - rzekła ze śmiechem. - Zobaczysz. Poprowadziła mnie do małego cmentarzyka w dół ulicy, którego z drogi praktycznie nie było widać. Poszłam za nią na zbocze porośnięte zielskiem i kwiatami. Stałyśmy przed małym czarnym nagrobkiem.

- Moja babcia - powiedziała Arley cichutko. - Amelia Mowbray. Dziadka nigdy nie znałam; podobno został pochowany w innym mieście. Ale babcie pamiętam bardzo dobrze. Miałam dziewięć lat, gdy umarła. Mieszkała niedaleko, na Miranda Street, z bratem mamy, Randallem, który cierpiał na schizofrenię... teraz przebywa w szpitalu stanowym. Zawsze uważałam, że jest miły... na swój sposób. Babcia też była miła. Cały czas martwiła się o Randalla, lecz niekiedy przychodziła do nas i grała ze mną w warcaby albo zabierała mnie na bingo. Langtry zostawała w domu z Randallem, a od czasu do czasu przychodził do nich nauczyciel. Langtry nigdy tak naprawdę nie chodziła do szkoły... Sprzątała w domu i gotowała dla babci. Szkoda, że mama nie nadała mi imienia po niej...

- Ale przecież masz śliczne imię.

- Tylko że to takie poniżające, gdy człowiek wie, skąd się wzięło. Widzisz, ona nazwała każde z nas... tak jak miasto... w którym... w którym...

- No, co?

- W którym zaszła w ciążę. Tak powiedziała. Jak miałam dziesięć albo jedenaście lat chciałam, żeby zmieniła moje imię na Amelia, odpowiedziała mi wtedy: „Dałam ci takie, a nie inne imię nie bez powodu. Po prostu ciesz się, że nie nazywasz się Brownsville albo Matagorda”. Opowiedziałam o tym Dillonowi na samym początku... trudno jest zwierzyć się z podobnego sekretu komuś zupełnie obcemu, a jednak już wtedy wiedziałam, że jest między nami coś wyjątkowego.

Arley usiadła na starym grobie niczym staruszka sadowiąca się w ukochanym fotelu.

- No, cóż... - rzekła, najwyraźniej zadowolona, że ma komu opowiedzieć historię swego życia. - Jakiś rok temu wdrożyłam w życie mój program.

- Program?

- Zaczęłam wszystko zapisywać. To zaczęło się wtedy, gdy Ricky Nevada powiedział, że widział Lang w San Antonio w Alamo Plaza ze

swoim wujem, Frankiem. Nie chodzi o to, że ta wiadomość mnie zdziwiła. Ona zawsze umawiała się ze starszymi facetami. Chodziła nawet z nauczycielem wuefu ze szkoły średniej, ale nie trwało to długo, bo wpadł przez nią w kłopoty. Była niepełnoletnia czy coś takiego... z drugiej strony, ja też... więc nie powinnam jej obgadywać. Jednak ze mną i Dillonem to inna sprawa. Mamy mniej więcej tyle samo lat, a on się ode mnie uczy wielu rzeczy. Z Lang było inaczej... chodziło jej o starszych facetów, którzy mają władzę, a wszyscy w mieście wiedzieli o wujku Ricky'ego.

- Co wiedzieli?

- Ze... no... że on ma już ponad pięćdziesiątkę - przyznała wreszcie Arley, gwałtownie gryząc pędzelek warkocza. - Ale to nie wszystko. On... podobno należy do mafii. Mówili o tym w wiadomościach.

- Powiedziałaś matce?

Roześmiała się; głośno i szczerze, jak dziecko, niczym mała dziewczynka.

- O, co to to nie! Ależ skąd. - Znowu spowaźniała. - Po prostu doszłam do wniosku, że muszę postanowić, co zrobić ze swoim życiem, żeby nie skończyć tak jak Lang. Więc sporządziłam plan... Kiedy ojciec Eleny wyjeżdża w interesach, zawsze zabiera ze sobą mapę... na czerwono oznacza drogę, którą będzie jechał, a gwiazdkami miejsca, w których musi zmienić autostrady lub zatrzymać się na noc. A więc w ten sposób zaplanowała swoje dzieciństwo. Zrobiła mapę. Musiała podjąć pewne decyzje. Dziewczeta, które czytały magazyn „Seventeen”, cieszyły się popularnością; popularna była Elena, „choć trochę dzika, ale nie do końca. Ona się tak tylko zgrywa”. Starsza siostra Eleny, Connie, to ładna, rozgarnięta dziewczyna, która w szkole średniej grata w piłkę ręczną i jeździła na międzystanowe zawody, a potem jako pierwsza w rodzinie Gutierrezów poszła na studia.

- Zdobyłam mnóstwo książek na temat zasad przestrzeganych przy chodzeniu na randki, i o chrześcijaństwie, a także o niskokalorycznej diecie i dobieraniu kolorów. Zaczęłam kreślić małe wykresy dotyczące tego, co jem... i postanowiłam co dzień robić choćby jedną rzecz, która sprawi, że będę lepsza. Ułożyłam tomiki poezji w porządku alfabetycznym według nazwisk autorów, pomalowałam swój pokój na strychu i uszyłam zasłonki. Potem dostałam się do drużyny sportowej. -Zerknęła na mnie nieśmiało. - Miałam wziąć udział w ogólnostanowych zawodach w biegu przez płotki, a gdy się jest dopiero w pierwszej klasie ogólniaka, to niemałe osiągnięcie.

- A potem?

- A potem zaczęłam się uczyć o poezji.
- Lubisz pisać wiersze?
- Oczywiście... to znaczy... - Spuściła wzrok na pędzelek warkocza. - Wydaje mi się, że wszystkie dziewczyny lubią pisać wiersze. Po prostu nic nie można na to poradzić. Czujesz tyle... że musisz gdzieś znaleźć ujście.
- Ale jesteś w tym dobra.
- Niezbyt. Chociaż pani Murray... ona...
- Co takiego?
- Mówi, że mam oko. Tylko dlatego, że kiedyś napisałam, iż powierzchnia liścia podobna jest do skóry...
- To bardzo spostrzegawcze.
- Wcale nie. To oczywiste. Jednak nie tylko z tego powodu się do tego wzięłam...
- A dlaczego jeszcze?
- Bo pani Murray powiedziała mi kiedyś, że bez względu na to, ile się wie czy nie wie, jeżeli człowiek często cytuje wiersze, inni uważają go za mądrego.
- Całkiem sensownie.
- Powiedziała też, że to nie sztuka cytować cały czas ten sam wiersz. To potrafi każdy... trzeba znać fragmenty różnych utworów, na przykład Yeatsa.
- Yeatsa?
- Tak, to ulubiony poeta pani Murray. Jego wiersze są piękne, ale strasznie trudne do zrozumienia... Trzeba się na nich okropnie koncentrować, dokładnie tak jak na sporcie. Kiedy czytasz wiersz, nie możesz myśleć o niczym innym... To oczyszcza.
- Chyba rozumiem, o co ci...
- To, oczywiście, okazało się dobre, bo Dillon także bardzo lubi poezję... choć nie zna zbyt wielu wierszy...
- Nie rozumiem.
- Mówi... że nie ma sensu czytać innych wierszy, skoro zna się utwory Dylana Thomasa... on jest najlepszy. - Aha, założę się, pomyślałam. - Choć tak naprawdę wydaje mi się, że to dzięki podobieństwu ich nazwisk...
- Wydaje mi się to nieco niedojrzałe. Spojrzała na mnie ostro.
- Wcale nie. Wielu ludzi mogłoby być naprawdę mądrych, jeżeli tylko dostaliby w życiu szansę... A Dillon nie dostał jej aż do tej pory.
- Wydaje mi się, że miał równie duże szanse jak ty.

- Wcale nie. - Zapatrzyła się w jakiś odległy punkt na cmentarzu; najwyraźniej straciła zainteresowanie swoją linią obrony. Po chwili dodała; - A na koniec zaprzyjaźniłam się z Eleną, znalazłam pracę i... poznałam Diliona.

- Wszystko w ciągu roku?

- Tak. Ale pani G. mówi, że dla mnie i Eleny rok życia to jak rok życia psa - trwa siedem lat. - Skinęłam głową. - Podoba mi się tutaj. Właściwie wcale nie jest tu chłodniej niż w mieście, a jednak przyjemniej. I nikt cię nie zauważy. Kiedyś często tu przychodziłam, by czytać... i rozmyślać.

- Dlaczego teraz już tak nie robisz?

- Trochę się boję - odparła, zniżając głos. - Niektórzy chłopcy przyjeżdżają tu pić piwo w biały dzień i czasem można się najeść strachu.

Skinęłam głową, a jednocześnie pomyślałam: Ale swojego chłopca z rewolwerem się nie boisz.

- Wydaje mi się, że pisanie do Diliona powinno być częścią tego wszystkiego.

- Częścią planu, tak? -Tak.

- On wszystko rozumie... pszepa... to znaczy, Annie. On rozumie, co czuję i dlaczego...

Robiło się coraz ciemniej, a gdy w Teksasie zapada zmrok, można to nieomal usłyszeć. Arley powinna jak najszybciej wrócić do domu albo czekają ją nieprzyjemności. Jednak nagle poczułam chęć, potrzebę, opowiedzenia jej o Rachael i Carlosie. Jeśli nie zrobię tego w tej chwili, zanim poznam ją lepiej, albo dłużej się nad tym zastanowię, chwila minie i nigdy już nie będę mieć drugiej okazji; zniknie równie szybko, jak złota otoczka dokoła drzew na zachodzie.

- Moja siostra zakochała się kiedyś w chłopcu podobnym do Diliona - rzekłam. - A w naszej rodzinie nigdy nie zdarzały się podobne rzeczy. - Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, jak dziewczyna unosi brwi. - Nie chodzi o to, że twoja rodzina... to znaczy... Ojciec był lekarzem. Oczywiście, twoja mama jest pielęgniarką... ale chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi - wtrąciła spokojnie Arley. - Możesz to po prostu powiedzieć. Więc tak zrobiłam. Opowiedziałam jej o pokoiku na zapleczu biblioteki i o tym, jak pięć ciotek Carlosa przyszło na obiad do moich rodziców. A także o bójce Carlosa w barze na terenie uczelni, gdy wydawało mu się, że inny chłopak patrzy na Rachie, i o tym, jak Bogu ducha winny dzieciak skończył ze wstrząsem mózgu.

- Ale jej to w ogóle nie obchodziło. Widziała, jak on wali tamtego chłopaka kuflem od piwa po głowie, i nic jej to nie obchodziło!

Jakie to głupie, pomyślałam. Jak absolutnie beznadziejne.

- To... co zrobił Dillon, jest dla mnie zupełnie nierealne - odezwała się cichutko Arley.

- Nie mam pojęcia, jak bym się poczuła, gdybym go zobaczyła z rewolwerem w dłoni. Staram się o tym nie myśleć... bo w swoich listach jest taki słodki i miły...

- Ale przecież wiesz, co zrobił!

- Annie, oczywiście, że wiem. Ale wielu chłopców robi złe rzeczy. Także wiele dziewcząt. Sama mogłabym zrobić coś podobnego. Wydaje mi się, że wiele dzieciaków, na których rodzice nie zwracają uwagi, popełnia złe uczynki tylko po to, by wreszcie ich zauważono.

- Przecież na ciebie matka też nie zwraca uwagi, a nie popełniłaś jeszcze żadnego przestępstwa.

- No, cóż... ale zrobiłam całe mnóstwo dobrych rzeczy. To daje podobny efekt.

Chciałam, żeby wszyscy... zauważyli, że istnieję. - Tarła usta ciemnym pędzelkiem włosów. -1 pomyśl tylko, co by było, gdybym spróbowała wszystkiego, a i tak nikt by mnie nie zauważył? Co by się stało, gdybym była gruba, powolna i nie załapała się do drużyny? Prawdopodobnie dlatego właśnie Dillon zrobił to, co zrobił. Chodzi mi o to, że pewnie chciał dobrze, ale nie był dostatecznie duży, silny albo mądry...

- Arley, sądząc z tego, jak o sobie pisze, mógłby robić, czego dusza zapagnie.

Mógłby budować domy, przenosić góry... gdyby tylko nie był taki...

- Ale przecież ty w to nie wierzysz, prawda? W magazynach piszą, że chłopcy tak często się chwala, bo brak im pewności siebie. Gdyby Dillon naprawdę potrafił robić wszystko, o czym pisze, wcale by mnie nie potrzebował. Przecież ja mam dopiero czternaście lat!

Przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Więc Dillon wcale jej nie nabrał; doskonale zdawała sobie sprawę, jaki był; przejrzała go na wylot dzięki tej odrobinie kobiecej mądrości, jaką zdołała zaczerpnąć z tygodnika ..Seventeen".

- Arley - odezwałam się z wolna. - Jesteś dobra... I wierzę ci, gdy mówisz, że Dillon potrzebuje twojej miłości. Ale co ty z tego będziesz mieć, w ostatecznym rozrachunku?

Nie odpowiedziała od razu. Wstała z nagrobka i ruszyła w stronę samochodu, wycierając dłonie o dzinsy.

- Nie wiem - odparła wreszcie.

- Co stanie się z twoim życiem? Pewnie mogłabyś dostać sportowe stypendium, skoro jesteś taka dobra w biegu przez płotki. Mogłabyś

pójść na studia. A co z twoim planem? Co stanie się z wszystkimi twoimi postanowieniami?

- No, cóż,.., - mruknęła, zerkając na zegarek na tablicy rozdzielczej, a potem wyjrzała przez okno. - Nie wydaje mi się, bym ze względu na miłość do drugiego człowieka musiała rezygnować z własnych planów. Albo znajomości z innymi ludźmi. Na przykład Dillon mówi, że jego mama jest bardzo samotna. Podobno kiedy urodził się jego najmłodszy brat, Phillipe, poczuła się zawiedziona, bo chciała mieć dziewczynkę. Ma schorowane plecy i nie może ciężko pracować, więc...

- Jego mama?

- Tak, podobno chciałyby mieć córkę.

- Co takiego?

- Chciałyby mieć córkę...

- Usłyszałam, co powiedziałaś - warknęłam, doprowadzona do rozpacz. Tylko tego Arley teraz potrzebowała: jeszcze jednej ofiary losu, którą trzeba się zajmować. - Dobrze się dogadujecie?

- Nigdy jej nie spotkałam. Pewnie odwiedzi go na Boże Narodzenie i wtedy Dillon powie jej o nas. - Odwróciła się do mnie. - Ale, Annie, bez względu na to, co się stanie, popatrz, ile już osiągnęłam! Gdybym nie nauczyła się tylu wierszy i nie starała się naprawić w sobie różnych złych cech, możliwe, że Dillon w ogólnie nie chciałby mieć ze mną do czynienia. Podobno miał okazję korespondować z wieloma dziewczętami, ale nie zrobił tego. Wybrał mnie... i chciał poślubić. Czasem budzę się rano i myślę: Boże, jestem mężatką... zaszłam o wiele dalej niż moja matka, choć mam dopiero czternaście lat. Czasem trudno jest mi w to uwierzyć. Poza tym, im lepiej znam Dillona, tym czuję się silniejsza. Kiedy ktoś cię kocha tak mocno jak on mnie, to chcesz dorosnąć do jego oczekiwań. Chcesz, by był z ciebie dumny. A ja czekałam całe życie, żeby ktoś był ze mnie dumny...

Przestraszyła się, gdy nagle zaczęłam płakać. Szczerze mówiąc, sama się tego przeraziłam. Nie jestem nerwowa ani nie zbliżał mi się okres; nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Oparłam czoło na kierownicy i nie mogłam przestać... płakałam i płakałam, aż rozboleła mnie głowa. Niezwykła czystość tego dziecka przypomniła mi... o mnie samej; tyle że ja nigdy nie miałam tak smutnej perspektywy, gdy byłam w jej wieku, nigdy nie miałam okazji zagrać głównej roli w filmie pod tytułem „Dziesięć sposobów, by na dobre spieprzyć sobie życie”. Patos i tragedia były moim chlebem powszednim; w życiu osobistym bardzo ceniłam sobie porządek i spokój. Czyżbym właśnie doszła do tego niebezpiecznego wieku, gdy całe życie bierze w łeb?

- Annie - powtarzała Arley, poklepując mnie po ramieniu. - Co ci jest? Źle się czujesz? Myślisz, że ta smażona cebulka ci zaszkodziła? Jest zbyt gorąco na takie jedzenie... Chcesz, żebym kogoś zawiadomiła?

Wreszcie na tyle odzyskałam nad sobą panowanie, by się wyprostować, położyć ręce na kierownicy i zawieźć Arley do domu. Potem popędziłam autostradą międzystanową... jak rodowity Teksaszczyk, wałąc w klakson za każdym razem, gdy ktoś stanął mi na drodze, i klnąc, na czym świat stoi. Kiedy wreszcie dotarłam do domu, nie zawracałam sobie głowy wjeżdżaniem do garażu; zostawiłam samochód na podjeździe, wbiegłam do środka i rzuciłam się na Stuarta, siedzącego na kanapie i czytającego „Timesa”.

- Czy to moje urodziny? - zapytał, patrząc na mnie z niedowierzaniem. Zazwyczaj, gdy było tak gorąco, musiałam wypić około pół litra wody z lodem, zanim zniosłam czyjkolwiek dotyk. - Czy jestem śmiertelnie chory, tylko jeszcze o tym nie wiem? Czy ty płaczesz?

- Nie. - Wsunęłam dłonie po koszulę na jego piersiach i wyczulałam serce mocno bijące pod żebrami. - Po prostu kocham cię. Kocham cię, bo każdego dnia jesteś taki sam. Kocham cię, bo jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Anne - szepnął - czy ty zawsze wiesz, co powiedzieć? Co? -Przyciągnął mnie do siebie i zmierzwił mi włosy, zanim pocałował mnie w usta. - Wszystko jedno. I tak nie mogę bez ciebie żyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ARLEY

Na początku naszej korespondencji z Dillonem wydawało mi się, że nigdy nie wyczerpią nam się tematy. Wydawało mi się, że dusiłam w sobie przez całe życie wiele spraw, których istnienia nawet nie podejrzewałam. Nie widziałam jego twarzy, więc przypominało to ćwiczenie śpiewu przed lustrem. Nie mogłam zobaczyć, jak się krzywi, gdy trafiam na drażliwy temat, co często się zdarzało, kiedy rozmawiałam z Eleną. Mogłam pisać wszystko, co mi przyszło do głowy. Przynajmniej miałam pewność, iż nie znudzi się i nie wyjdzie w połowie rozmowy po to, by pogrzebać przy swoim motorze czy umówić się z inną dziewczyną. Dzięki temu czułam się bardzo pewna siebie.

Pisanie listów do Dillona stanowiło najcudowniejszą rzecz i zawsze zajmowałam się tym po odrobieniu lekcji i wykonaniu prac domowych. Musiałam w samotności usiąść i skoncentrować się na myśleniu o nim. Nie potrafiłam w pełni skupić się na Dillonie w ciągu dnia, gdy pracowałam w pocie czoła lub znajdowałam się na bieżni, kolana mnie bolały z wysiłku, a krew huczała w uszach, kiedy zbliżałam się do następnej przeszkody. Więc zaczęłam koncentrować się na przyjemnych myślach, gdy przed położeniem się spać szczotkowałam włosy, mając już na sobie czystą koszulę nocną. Kiedy spoglądałam w lustro, widziałam siebie zachmurzoną, lecz ładną; nikt inny nigdy mnie wtedy nie oglądał.

Listy Dillona czytałam w szkole; tak naprawdę rzadko kiedy musiałam uważać na lekcjach. Po przeczytaniu ostatniego zdania zaczynałam planować odpowiedź.

Późnym wieczorem, wywieszając na ganku ścierki do naczyń, wpatrywałam się w ciemności. Na naszej ulicy stało mało latarni, a ponieważ Avalon jest tego typu miasteczkiem, z którego wyprowadzasz się, gdy dorastasz, mieszka w nim wielu starych ludzi, wcześniej kładących się spać, i ulic nie oświetlają lampy z domów. Wpatrując się w ciemności, zazwyczaj zastanawiałam się nad

mogącymi je opisać słowami, które notowałam w pamiętniku i których potem używałam przy pisaniu wierszy... nigdy nie wypowiedziałabym ich głośno w towarzystwie innych dzieciaków w swoim wieku, Jecz w stosunku do Dillona nie miałam takich oporów. Listy do niego stanowiły także formę pamiętnika; czasem zachowywałam kopie, by pamiętać, co napisałam na jakiś temat.

Jednej z takich właśnie nocy napisałam: „Właściwie tylko światła oddzielają nas od wszystkiego innego. Słyszę wiatr wiejący w dół zboczy i boję się go. Ten sam wiatr wyje w pokojach Alamo, w których od stu lat nikt nie mieszka; jęczy w kanionach, gdzie mogą leżeć ludzkie zwłoki albo szkielet, o którego istnieniu nikt nie ma pojęcia. Wydaje mi się, że nie ma bardziej samotnego miejsca na świecie niż Teksas, a czasem mam wrażenie, że w Avalon można się czuć bardziej samotnym niż w jakimkolwiek innym miasteczku w Teksasie. Choć z drugiej strony pewnie wszystkie małe miasteczka są do siebie podobne i samotność smakuje w nich tak samo. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł się czuć tak samotny w Dallas". Dillon odpisał i opowiedział mi historyjkę o swoim dziadku, który miał nieduże ranczo gdzieś w samym sercu prerii; kiedy jego mama, Kate, była jeszcze małą dziewczynką, narzekała, że doskwiera jej samotność. Jednak dziadek wyjaśnił jej wtedy, że na prerii jest mnóstwo różnego rodzaju zwierząt, których w naprawdę pustych miejscach nie sposób znaleźć - nietoperzy, jaszczurek, myszy i innych maleństw; ludzie najczęściej ich nie dostrzegają. Napisał, że więzienie także jest bardzo samotnym miejscem: „Niewiele się tu dzieje, jednak gdy dostaję twoje listy, nawet tu czuję przyływ sił i energii życiowej". Kiedy czytam podobne słowa, wszystko we mnie mięknie i oddech mi się rwie, jak niegdyś, gdy pod choinką zobaczyłam prezent.

Bywały też dni, gdy poczta gorzej działała lub on przez dzień czy dwa nic nie pisał; wtedy na niczym nie potrafiłam się skupić, albo zaczynałam dobijać targu ze szkolnymi zegarami - obiecywałam sobie, na przykład, że jeżeli nie spojrzę na tarczę wiszącą w klasie nad drzwiami przed upływem pięciu minut, będzie to oznaczało, że po południu dostanę list. Gdybym zerknęła na zegar przed upływem pięciu minut - napiszę do Dillona kolejny list, nie czekając na wiadomość od niego. Jeżeli podciągnę mój czas w biegu przez plotki choćby o dziesiątą część sekundy, dostanę list; jeśli zaś nie pobiję nawet Pauli, zostanę ukarana i nie otrzymam go. W takie dni wydawało mi się, że nie mam czym oddychać. Ale nigdy nie było tak źle, bym porzuciła nadzieję; podobało mi się nawet to czekanie na wiadomość od niego.

A potem, pewnego dnia, dostałam list, który zaczynał się tak jak wszystkie inne, jakbyśmy nadal byli w połowie rozmowy o tym, jakie to dziwne i śmieszne, że zbyt wiele przestrzeni dokoła potrafi uwięzić cię w jednym miejscu dokładnie tak samo, jak zbyt mało. Bez względu na to, jak odbieram pustkę, napisał Dillon, on i tak wie, że w głębi serca jestem prawdziwą Teksanką. „Wydaje mi się, że ty tak odrobinę lubisz swoją samotność, podobnie jak ja. Jankesi by tego nie zrozumieli, bo to zwykle mięczaki. Mam jednak nadzieję, że zbytnio nie cenisz swej samotności, bo zdaje mi się, że powinniśmy przedyskutować, jak i kiedy wciągnąć cię na listę odwiedzających, byśmy się wreszcie mogli spotkać”.

Przeczytawszy te słowa, tak bardzo się zdenerwowałam, że poczułam mdłości. Musiałam przerwać naukę historii i iść do łazienki. Chodzi o to, że skłamałam, pisząc mu, iż mam osiemnaście lat. I nie mówię tylko o tym, że dzieciak w moim wieku nie może tak po prostu pojechać do więzienia, by spotkać się z dorosłym mężczyzną; wiedziałam, że jeżeli Dillon mnie zobaczy, zrozumie, że jestem tylko dzieckiem i będzie po wszystkim. Wiedziałam, że nigdy nie zwróciłby na mnie uwagi, gdyby nie siedział zamknięty w Solamente River; nawet teraz jakaś część mnie jest o tym przekonana. O więzieniach mówi się, że ich zadaniem jest resocjalizacja, czyli ponowne dostosowanie więźniów do życia w świecie. Tamtego dnia pomyślałam, że kiedy Dillon wyjdzie z więzienia i przyzwyczai się do otaczającego go świata, bardzo szybko znajdzie sobie kogoś na swoim poziomie. Zdaję sobie sprawę, że jestem bystra, jak na dzieciaka w moim wieku, ale gdybym miała osiemnaście lat, wiedziałabym o wiele więcej. Przede wszystkim znałabym mnóstwo innych chłopców.

Musiałam porozmawiać z Eleną; ona wiedziała o wiele więcej ode mnie już w chwili narodzin, a poza tym miała dwie starsze siostry, z których nawet ta gorsza, Gracie, nie zniknęła w wieku dwunastu lat, jak Langtry. A jednak mimo wszystko bałam się opowiedzieć jej o Dillonie. Po pierwsze wiedziałam, że się wkurzy, zupełnie tak samo jak się wściekła, gdy Connie przyznała, iż kocha Kevina. Poza tym ona zawsze ściąga na siebie uwagę innych ludzi; wystarczy, że wejdzie do pokoju, i od razu wszyscy na nią patrzą, jak gdyby była ogniskiem płonącym w ciemnościach. Czasem trudno to dostrzec, gdyż człowiek sam też na nią patrzy, lecz na dłuższą metę nie sposób tego nie zaobserwować. Nawet nie chodzi o to, że podejrzewałam, iż będzie się starała odebrać mi Dillona - wtedy chyba nawet jeszcze nie byłam pewna, co tak naprawdę do niego czuję... Po prostu pomyślałam, że Elena pewnie

dopatrzy się w moim związku z Dillonem czegoś, co na zawsze zniszczy ów związek w moich oczach. Jednak później okazało się, że jej nie doceniałam. Przez cały czas zbierała skrawki informacji i wytworzyła sobie własny obraz tego, co się dzieje; poza tym była na mnie coraz bardziej wściekła o to, że nic jej nie mówię. Tamtej nocy, podczas imprezy, wszystko wybuchło z ogromną siłą i coś pomiędzy mną i Eleną na zawsze uległo zmianie. Czy gdyby nic się między nami nie zmieniło, wyperswadowałaby mi małżeństwo z Dillonem? Czy kiedykolwiek doszłoby do tego wszystkiego?

Na kilka tygodni przed tą imprezą, Dillon zapytał, czy mógłby do mnie zadzwonić w sobotni poranek, na mój koszt. „Jakże chciałbym widzieć twoją twarz, by móc ją dopasować do słów. Albo znać choćby dźwięk głosu, bym mógł stworzyć na jego podstawie wizerunek twarzy. Przepraszam, że to musi odbyć się na twój koszt, lecz w więzieniu tylko tak możemy się porozumiewać ze światem”.

Byłam zdesperowana. Nie istniał żaden sposób, by Dillon mógł zadzwonić do mnie do domu. Mama zwykle na nic nie zwracała uwagi, lecz rachunki telefoniczne studiowała z taką wnikliwością, jakby uczyła się przeprowadzać transplantację serca. Tej samej nocy, gdy dostałam list od Dillona, poszłam do Eleny na kolację; pani G. zrobiła wspaniałe tacos, toteż bardzo długo siedziałyśmy w kuchni, jedząc. Pani G. powtórzyła kilka razy: „*Querida*, dołóż sobie jeszcze trochę. Arley, jesteś tak chuda, że prawie cię nie widać”. Co, tak przy okazji, wcale nie jest prawdą. Ważę zaskakująco dużo jak na kogoś mojego wzrostu, ale nikt nie chce wierzyć, że aż sto czterdzieści funtów.

Po kolacji miałyśmy uczyć się matematyki w pokoju Eleny, lecz ona najpierw chciała sobie pomalować paznokcie u nóg. Zatem musiałam poczekać, mimo iż list palił mnie w kieszeni; wydawało mi się, że jest sztywny, a krawędzie ma tak twarde, że posiniaczą mnie, jeżeli tylko się poruszę. Zawsze przyglądałam się Elenie, gdy malowała paznokcie; wyglądała jak zawodowa artystka, gdy tak nakładała lakier na każdy małeńki paznokietek równymi pociągnięciami pędzelka, nic nie plamiąc. Ja na jej miejscu zaraz zapaćkałabym podłogę, palce i stopy. Z tej właśnie przyczyny nigdy nawet nie próbuję malować paznokci. Aż wreszcie doszłam do takiego momentu, kiedy wydawało mi się, że wybuchnę, jeśli czegoś nie powiem.

Wyciągnęłam więc list od Dillona i powiedziałam:

- Powinnaś to przeczytać.

Malowała dalej, lecz zerknęła na mnie z takim dziwnym wyrazem twarzy, jakby nawet nie była zaskoczona.

- Myślisz, że to dla mnie nowina? - spytała tak cicho, że od razu zrozumiałam, iż jest strasznie zła; zazwyczaj ma donośny, czysty głos.

- Wiem, że wiedziałas.

- Ale się nie zdradziłaś.

- Powiedziałam ci, że napisałam do niego list. Pomyślałam, że sama doszłaś do tego, iż on odpisał i że korespondujemy regularnie.

- Nie wiem, jak często.

- No, cóż...

- No więc? jak często?

- Bardzo często. Prawie co dzień. - Poczułam nagle, że samo wypowiedzenie tych słów może przynieść pecha.

Elena powoli zakreśliła swój czekoladowy lakier; ujęła list rozcapierzonymi palcami, płasko przyciskając je do papieru - zawsze tak robiła, by nie zniszczyć lakieru na paznokciach.

Czytała list bardzo długo; wydaje mi się, że robiła to specjalnie, by potrzymać mnie w niepewności. Jestem tego nieomal pewna. Doszła do końca drugiej strony, po czym wróciła na początek i przeczytała jakiś fragment w połowie pierwszej.

Wreszcie nie wytrzymałam.

- Eleno, na miłość boską... Przez całe życie nigdy nie czytałaś niczego tak długo.

- No, cóż... to się naprawdę dobrze czyta,

- Przestań.

- Masz inne zdanie?

- Przestań! - powtórzyłam. - Jesteś złośliwa.

- Wcale nie - odparła, lecz z uśmiechem, więc zrozumiałam, że jest zadowolona, iż to zauważyłam. - On tu pisze głównie o starej Langtry, nie sądzisz?

Prawdę mówiąc, sama już to wcześniej zauważyłam i byłam lekko zdziwiona.

Elena zaczęła czytać na głos:

- „Wyobraź sobie, jakie to dziwne, że tyle czasu mieszkaliśmy niedaleko od siebie, a nic o sobie nie wiedzieliśmy. Oczywiście, znałem twoją siostrę Langtry. Wcale nie chcę być nieuprzejmy, ale każdy facet z południowego Teksasu zna tę dziewczynę. Kilka lat temu spędziłem z nią niezapomniany wieczór; nie mogła mieć wiele więcej lat niż ty teraz. Dobry Boże, ależ ta dziewczyna potrafiła tańczyć! Wszyscy stali w kręgu, klaszcząc; nawet faceci z orkiestry bili nam brawo. Ta Langtry to ma dopiero ruchy! Jednak osobiście wolę nieco spokojniejsze kobiety...”

- Wystarczy - przerwałam jej.

- No jasne - odparła Elena, odkręcając na powrót buteleczkę z la-

kierem. Nie znoszę, jak tak robi. Potrafi czasem przerwać rozmowę w pół zdania i zająć się czymś zupełnie innym, podczas gdy ja odchodzę od zmysłów. Byłam strasznie nieszczęśliwa.

- Myślisz, że on lubi Lang?

- Trudno mi wyobrazić sobie, by jakikolwiek facet z kutasem nie lubił Lang.

- Zamknij się.

- Do diabła ciężkiego, Arley. Przecież ona sama to zaczęła.

Nie lubię, gdy ludzie tak mówią o mojej siostrze, nawet jeśli to prawda, a Elena tak naprawdę wcale jej nie znała. Odkąd zaprzyjaźniłyśmy się półtora roku temu, widziała ją dwukrotnie, a raz Lang miała niesamowite buty z jaszczurczej skóry - purpurowo-czerwono-żółte, wyglądające jakby zrobiono je ze skóry smoka. Elena spytała, skąd Lang stać na takie buty, które kosztują co najmniej trzysta dolarów. Poczulałam się wtedy głupio, bo zupełnie nie potrafiłam odpowiedzieć na jej pytanie. Langtry nigdy nie wróciła do naszego domu po śmierci babci; nie miałam pojęcia, gdzie pracuje, a wtedy nie wiedziałam jeszcze

o wujku Ricky'ego Nevady.

- Daj mi spokój - burknęłam do Eleny. - Może on naprawdę ją lubi i powinnam namówić Langtry, by do niego napisała.

- Nie wydaje mi się, żeby Lang chciała mieć z nim cokolwiek wspólnego - odrzekła Elena. - Poza tym odnoszę wrażenie, że on jest pedziem.

Usiadłam ciężko na fotelu obok jej łóżka, potrącając je przy okazji.

- Przestań! - zawołała Elena. - Przez ciebie krzywo pomalowałam!

- Co masz na myśli, mówiąc, że jest pedziem?

- A to, że cały czas powtarza ci, jaką to wspaniałą jesteś kobietą... normalni faceci nigdy tak nie mówią.

- A skąd niby możesz wiedzieć? - wrzasnęłam. - Dillon bardzo dużo czyta. Kogo ty znasz, oprócz głupich chłopaków z naszej szkoły?

- Moim zdaniem on się wyraża tak, jak nasz pan Żabojad. - Miała na myśli pana Jabeaut, który uczył nas francuskiego i prowadził kółko teatralne; to ona wymyśliła mu przydomek, gdy obejrzała film, w którym ktoś się tak nazywa. Uważałam, że to głupi i nieprzyjemny żart, choć pan Jabeaut potrafił czasem przeginać, i zawsze, nawet w lecie, nosił na szyi szalik. Głupie czy nie, przydomek było śmieszne; nawet gdy teraz je wymówiła, poczułam, że usta same składają mi się do uśmiechu, choć bardzo starałam się zachować powagę.

- Wcale nie masz racji - powiedziałam. - Jeżeli masz tak mówić, nie pokażę ci już żadnego listu od Dillona.

- Ojej, po co się zaperzasz? Po prostu, moim zdaniem, to jeden wielki palant. Wiesz, czytałam także listy Kevina do Connie - ona o tym nie wiedziała - i on jest taki sam jak jego brat. Uważa, że stanowa reprezentacja futbolowa tylko czeka, aż wyjdzie z więzienia i będzie mógł zasilić jej szeregi. Jak myślisz, za kogo ci LeGrande'owie się uważają?

Nic nie odpowiedziałam, lecz w głębi serca poczułam ukłucie wątpliwości; jednak zaraz później strasznie się wściekłam i złość przytłumiła zwątpienie.

- Posłuchaj, Eleno, jesteś moją przyjaciółką, a nie matką, okay? Spojrzała na mnie wyzywająco.

- No, no... też mi nowina. Twoja matka pewnie mogłaby ci lepiej doradzić w takich sprawach. W końcu sama ma doświadczenie. Dlaczego jej nie spytasz? - odparła, bardzo nieprzyjemnie.

- Eleno, wiem, że nie mówiłam ci o wielu sprawach, mimo iż obiecałam opowiadać ci o wszystkim.

To była prawda; zawarłyśmy pakt szczerości. Teraz wydaje się to dziecinadą, lecz wtedy traktowałyśmy przyrzeczenie bardzo poważnie; przysięgłyśmy mówić sobie o wszystkim, o największych i najmniejszych rzeczach, a także o najlepszych i najgorszych, oraz nigdy nie zawieść wzajemnego zaufania. Jak dotąd, zawsze się nam udawało. Miałyśmy nawet ustalony system; czasem, przy innych ludziach, Elena mówiła: „Ta sprawa jest SP”, czyli „ściśle prywatna”, i nikt, oprócz nas dwóch, nie może o niej wiedzieć. Chciałyśmy przysiąc na swoją krew, lecz ponieważ od małości wciskano nam do głów, że pod żadnym warunkiem nie można wymieniać się ważnymi płynami organicznymi z inną osobą, choćby się ją nie wiem jak kochało, poprzestałyśmy na wspólnym żuciu gumy. Elena powiedziała potem, że jesteśmy „ślinianymi siostrami”. Tak więc tamtej nocy popatrzyłam jej w oczy i powiedziałam:

- Wiem, że nie miałam racji, nie wspominając ci o tym, ale po prostu bardzo dziwnie się czuję... i nie ma powodu, byś na mnie naskakiwała.

Elena zmierzyła mnie wzrokiem; jestem nieśmiała, lecz nie znoszę, gdy ktoś zmusza mnie do spuszczenia oczu, więc po prostu się w nią wpatrywałam. W końcu zerknęła na swoje pomalowane paznokcie u nóg.

- Okay - rzekła. - Wcale mi się nie wydaje, by lubił Lang... uważam, że ty mu się podobasz. Ale uważam także, że pisze więcej, niż naprawdę czuje, bo przecież ani razu nie widział cię na oczy. Choć z drugiej strony trudno mieć do niego pretensję, skoro siedzi w więzieniu.

- A co z dzwonieniem na mój koszt? Chodzi o to, że skoro niby je-

stem wielce ważną studentką, to jak mam powiedzieć, żeby do mnie nie telefonował, bo mama zrobi mi piekło?

- Napisz, żeby zadzwonił do mnie.

- A rachunek telefoniczny przyjdzie do twoich rodziców? No, nieźle... po prostu genialnie.

- Przecież rachunek nie przyjdzie od razu. Możemy coś wymyślić. Kevin co chwila telefonuje do Connie, możemy powiedzieć, że to on...

- A Connie nie zorientuje się, że coś jest nie tak?

- Pewnie się zorientuje.

- Wyda nas?

Elena wybuchnęła śmiechem.

- No, pewnie! Mój tata za każdym razem dostaje ataku apopleksji, gdy widzi rachunek za telefon z więzienia... I to, że ona zwraca mu pieniądze, nic nie zmienia.

- Nie uda się nam. Masz jeszcze jakiś pomysł?

- Napisz mu, że na razie mieszkasz z matką, bo szukasz sobie nowego mieszkania. Tak zrobiłam.

Jednak w pewien sobotni ranek, gdy mama była w domu, zadzwonił telefon. Odebrałam. Mówił jak ten aktor, który przyszedł kiedyś do nas do szkoły, by przeczytać nam Marka Twaina. Miał słodki, niski głos, a nie szorstki czy przerażający... bardzo miły, z dość silnym akcentem. Głos prawdziwego mężczyzny.

- To rozmowa na koszt abonenta - usłyszałam głos panienki z centrali - od...

- Dillona Thomasa LeGrande, pszepani.

- Tu nie ma nikogo takiego - odrzekłam.

- To on do ciebie dzwoni, skarbie. - W głosie panienki dały się słyszeć ostre nutki.

- Och... no cóż... - mruknęłam, usiłując przeciągnąć telefon z salonu do kuchni, lecz kabel był za krótki. - Nie mogę przyjąć tego telefonu. Po prostu nie mogę. Nie teraz. Na szczęście mama nic nie zauważyła.

On jednak wcale tak szybko nie odpuścił! Usłyszałam, jak mówi do dziewczyny z centrali:

- Niech pani ją jeszcze raz zapyta, bardzo proszę. Niech pani zapyta, czy nie przyjmie... telefonu od Dillona LeGrande. - Zupełnie jakby prosił, bym to jego przyjęła.

Ale nie miałam innego wyjścia, więc powtórzyłam:

- Bardzo mi przykro... - Odłożyłam słuchawkę, a mama spojrzała

na mnie dziwnie; nie usiłowałam jej nic wyjaśniać, tylko powiedziałam; - Chyba pomyłka.

Teraz chciałam być sama; chciałam móc usiąść gdzieś w ciszy i spokoju i wszystko przemyśleć. Na początku byłam tak podekscytowana rozmową z Dillonem, zwłaszcza gdy słyszałam wyraźnie jego głos, że musiałam powtarzać sobie każde jego słowo, by uczynić go bardziej realnym.

Czułam się jak idiotka. Ale jakimś cudem Dillonowi udało się wysłać do mnie list tak, że dostałam go w poniedziałek. Napisał, że mój głos brzmi jak dzwonki.

„Muszę cię zobaczyć - pisał dalej - muszę spojrzeć ci w oczy, by się przekonać, że naprawdę istniejesz”.

W odpowiedzi opowiedziałam mu cały stek bzdur o tym, jak moja mama chce kupić nowy dom, więc naprawdę źle bym się czuła, obciążając ją rachunkami telefonicznymi za rozmowy międzymiastowe; jak nie wyrobiłam prawa jazdy, bo nie mam samochodu - napisałam, że nie stać mnie na samochód, bo muszę sama płacić za studia. Zaproponowałam, że wyślę mu swoje zdjęcie (stare - muszę napisać, że to bardzo stara fotka!). Następny list dostałam dopiero po paru dniach; ani słowem nie wspominał już o wizycie, więc omal się nie rozplakałam z ulgi.

Zapytał, kto jest moim ulubionym poetą. „Moim ulubieńcem jest Dylan Thomas - napisał. - W końcu to mój imiennik, czy mu się to podoba, czy nie”.

Ja najbardziej wtedy lubiłam Sarę Teasdale; wydaje mi się, że teraz już z niej trochę wyrosłam. Prawdę mówiąc, nadal strasznie ją kocham, lecz wiem, że jest wyjątkowo sentymentalna i głupiutka. Jednak gdy podczas którejś lekcji pani Murray uraczyła nas wykładem pod tytułem: „Sara Teasdale albo dlaczego ludzie piszą marne wiersze” - byłam zszokowana. Powiedziałam sobie, że to wszystko dlatego, że pani Murray nie rozumie i nigdy nie odczuwała emocji, o których pisała Sara Teasdale - jej poezję cechowa! tak straszny smutek, że w końcu biedaczka popełniła samobójstwo.

Do następnego listu dopisałam fragment jej wiersza; usiłowałam przekonać go, że nie trzeba przebywać z ukochaną osobą dwadzieścia cztery godziny na dobę tylko po to, by móc odczuć jej miłość.

Wystarczy mi za dnia

*spacerować po tej ziemi, którą on przemierza. Wystarczy mi co noc
widzieć gwiazdy, którymi on się przykrywa. * '*

*** Ten i następane wiersze w tekście przelożyła Małgorzata Kicana.**

Napisałam mu także, że nie mam zbyt wielu przyjaciół. „Właściwie można policzyć wszystkich Gutierrezów oraz Paulę Currain i Corę Allen z drużyny. No i Luz, trzecią kelnerkę pracującą na naszej zmianie w Taco Heaven”. Opowiedziałam mu także o panu Justisie. „To taki staruszek, który często przychodzi do restauracji; Ginny (właścicielka Taco Heaven) nie znosi go, chociaż on tylko siedzi w kącie, nuci coś pod nosem i gra na wyimaginowanych skrzypcach. Ginny mówi, że on kiedyś był muzykiem, a teraz jest tylko starym zapijaczonym szajbusem. Podobno nazywa się Remy Justis (czy Remy to też francuskie imię, jak LeGrande?) i nie ma własnego domu, tylko włóczy się z kąta w kąt. Jest bezdomny, ale ja i tak go lubię. Mówi do mnie „panno Mowbray”... kilka dni temu zaproponował, że zrobi dla mnie drewniany płotek, żebym mogła ćwiczyć biegi i skoki w domu. Chyba już wspominałam, że ćwiczę biegi z przeszkodami? Pomyślałam sobie, że to bardzo miło z jego strony, ale Ginny powiedziała: «Trzymaj się z dala od niego, moja mała. On jest bardziej szalony niż drozd przedrzeźniacz». Moim zdaniem to nie fair; każdy ma swoje problemy”.

Potem przykleiłam na list kilka nalepek, które kupiłam w sklepie papierniczym: parę kaktusów i nietoperzy; były może nieco dziecinne, ale pomyślałam, że może go rozweselą, przypomną czasy, które spędzał na ranczu dziadka. Odpisał mi bardzo szybko, ale tylko na kartce pocztowej. Napisał, że dobrego przyjaciela trudniej jest znaleźć na tym świecie niż porządny stek, co wydało mi się trochę dziwne, i że bardzo chciałby mieć moje zdjęcie. No więc wysłałam mu najlepsze, jakie miałam, które niedawno Elena zrobiła mi w czasie treningu - w spodenkach i koszulce; jednak później umieścili w gazetach inne zdjęcie. Na obu fotkach widać, że mam ładne nogi - to najlepszy element mojej osoby, oprócz włosów, rzecz jasna - choć tak naprawdę wcale nie są prowokujące.

A potem zaczął się tydzień, który zakończył się przyjęciem u Erica Doreya w sobotę wieczorem, co z kolei zaowocowało moim wyjazdem do więzienia tydzień później. Tamten tydzień zmienił wszystko.

Chodzi o to, że Dillon nie odpisał.

Nie dostałam od niego listu przez dwa dni, więc zaczęłam do poniedziałku; nie przyszedł także w środę, lecz wytłumaczyłam sobie, że poczta się spóźnia; w piątek odchodziłam od zmysłów.

W piątek miałyśmy drugi trening w tym tygodniu; na początku nawet nie było tak źle. Cały czas ćwiczyłyśmy wychodzenie z blochków startowych; trener kazał nam naśladować Paulę, bo ona wyskakiwała do przodu, nawet się nie prostując, niczym kula wystrzelona z rewolweru - podobno właśnie o to chodziło. Potem trochę biegałyśmy. Ludziom za-

wsze się wydaje, że skaczemy przez płotki - w końcu nawet te niskie wydają się dość wysokie - lecz prawda wygląda tak, że my nad nimi po prostu przebiegamy. Przerzucanie ciała nad przeszkodą jest częścią kroku; jeżeli masz odpowiednio długie nogi, wystartujesz z odpowiednią szybkością i dobrze wymierzysz długość kroków, szybujesz nad płotkiem bez najmniejszego wysiłku. Co prawda to nigdy nie jest łatwe, lecz wydaje mi się, że podobnie jest z primabalerinami, które przez cały wieczór muszą tańczyć na czubkach palców; to po prostu wchodzi w krew. Ja jestem urodzoną biegaczką; zazwyczaj trochę się denerwuję na treningach, gdyż staram się ze wszystkich sił, lecz gdy już zacznę biec, nie myślę o niczym innym. Tamtego dnia nic mi nie przeszkadzało; nawet gdy trener Diaz powiedział jakimś starszym dziewczynom, by uważnie mnie obserwowały i brały przykład - zazwyczaj jest to strasznie peszące - bie-' głam przed siebie jakby nigdy nic. Zdawało mi się, że słyszę w sobie wyjący silnik i wystarczyło, bym podążała za jego hukiem. Kiedy trener kazał nam biegać przez płotki tam i z powrotem, nawet nie liczyłam ich jak zwykle; cały czas było mi mało - dwadzieścia jardów, stop, powrót, dwadzieścia jardów, stop, powrót. Kiedy wreszcie przestałam, zauważyłam, że wszyscy inni już dawno poszli do szatni. Trener Diaz stał na brzegu bieżni z palcem zatkniętym za pasek i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Daj sobie na wstrzymanie, Mowbray. Zachowaj siły na treningi w następnym tygodniu - powiedział.

Kiedy w szatni weszłam na wagę, przekonałam się, że od rana straciłam cztery funty.

Właśnie wtedy, zaraz po wzięciu prysznic i przebraniu się w normalne ciuchy, poszłam na tyły bieżni i na specjalnym papierze, napisałam taką notkę:

Drogi Bilionie,

Jestem pewna, że masz sporo na głowie i znasz lepsze sposoby spędzania wolnego czasu, lecz minęło już tyle dni... Nie chodzi nawet o to, że tydzień to tak strasznie dużo czasu, ale ciągnie się w nieskończoność. Twoje listy naprawdę tak wiele dla mnie znaczą; to tak, jakbym za każdym razem dostawała od ciebie prezent. Jednak jeżeli nie chcesz już więcej pisać, zrozumieć to. Mimo wszystko bardzo będzie mi cię brakować.

Arley

Tak naprawdę chciałam mu napisać: czy teraz, gdy już zobaczyłeś moje zdjęcie, uważasz, że jestem zbyt brzydka, by do mnie pisać? Czyżbyś domyślił się, że mam tylko czternaście lat? Czy zbyt wiele ujawni-

łam, pisząc ten głupi wiersz? Czy masz już mnie dość? Ale nic z tego nie napisałam. Wysłałam list zaraz następnego dnia, choć wiedziałam, że to strata czasu - Dillon i tak nie dostanie go przed poniedziałkiem. Potem, w sobotę, czekałam na odpowiedź, lecz nie nadeszła.

Tamtego ranka wyjęłam z szuflady komody kartkę - nawet nie wiem, kiedy ją kupiłam - z rysunkiem małej rzeczki wpływającej do morza. Na dole widniał napis: „Największe wyzwania dopiero cię czekają...” Po drugiej stronie napisałam:

Drogi Bilionie,

Prawdopodobnie uważasz, że ci się narzucam, albo ci się już znudziłam. Może jesteś bardzo zajęty lub właśnie masz na głowie poważny kryzys rodzinny. Może poznałeś jakąś dziewczynę, która nie chce, byś pisał do kogokolwiek innego, nawet jako przyjaciel. Pragnęłabym wiedzieć, co się dzieje, lecz jeśli nie chcesz, nie musisz mi nic mówić.

Sprawdziłam twoje nazwisko w słowniku francusko-angielskim; właściwie nawet nie tyle nazwisko, ile jego fragment... jako zwykle słowo. Znaczą „wspaniały” albo „największy”, albo też „najbardziej”. Ta kartka jest właściwie noworoczna, lecz przysyłam ci ją teraz... awansem na Nowy Rok i twoje urodziny. Przypomniała mi o tobie, gdyż jest na niej napisane, że największe i najwspanialsze rzeczy nastąpią w nadchodzącym roku. Więc jeżeli już więcej nie napiszemy do siebie, będziesz przynajmniej wiedział, że ktoś życzy ci wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że ten przyszły rok przyniesie ci więcej szczęścia i nadziei niż wszystkie poprzednie.

Kochająca Arlington Mowbray

A potem po prostu poszłam do siebie na górę i położyłam się na łóżku. Nie mogłam przełknąć nawet wody. Tego dnia miałam zastępować jedną z kelnerek w Taco Heaven, lecz zrobiłam coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie zrobiłam - zadzwoniłam do Ginny i skłamałam, że się źle czuję i nie mogę przyjść. Doszłam do wniosku, że w takim stanie ducha raz dwa zrobię komuś krzywdę, dodając - na przykład - zielonego chili do sosu do sałatek, albo coś w tym stylu.

Elena przyszła do nas około drugiej po południu, wściekła jak sto diabłów, że musiała pracować za mnie. Nawet nie pofatygowałam się na dół, by jej otworzyć; mama była w tym czasie w pracy. Słyszałam, jak Elena krzyczy na parterze, a potem z tupotem wchodzi po schodach. Jest drobna i delikatna, lecz czasem potrafi poruszać się z gracją stada bawołów. Teraz nawet samochód prowadzi w ten sam sposób - głośno, szybko i nerwowo. Weszła do mojego pokoju i spytała:

- Chora jesteś czy co?
- Nie - odparłam. - Albo może tak. Troszeczkę.
- Dostałaś okresu? -Nie.

Usiadła obok mnie na łóżku i zrobiła jedną z tych maleńkich rzeczy za które ją kocham. Przyłożyła mi dłoń do czoła, jakbym była małą dziewczynką, tak jak pani G. nadal robi w stosunku do niej, i zapytała:

- Gorąco ci? -Nie.
- No, cóż... zamierzasz dziś wstać z łóżka? -Nie.
- Arley, powiedz, o co chodzi.

Właśnie dzięki jej głosowi, niskiemu i ciepłemu, tak bardzo do niej lgnę, nawet jeśli trener Diaz ma mi to za złe. I nagle się rozplakałam; a potem opowiedziałam jej wszystko: o tym, że kocham Dillona, a on mnie nienawidzi; o tym, że skłamałam mu co do mego wieku i że pewnie uważa mnie za brzydala; o tym, że chciał tylko mieć z kim porozmawiać, a ja mu właściwie wyznałam, że nie mogę żyć bez niego. Elena kołysała mnie łagodnie w ramionach i powtarzała, że jestem naiwna, że żebraków nie stać na wybieranie co lepszych kąsków i że Dillon powinien się cieszyć, iż jakakolwiek dziewczyna zechciała do niego napisać, wszystko jedno, czy ma sześć, czy sześćdziesiąt lat; powiedziała, że lepiej by mi było zakochać się w staruszku Justisie i jego niewidocznych skrzypkach, albo Cullym, kuchciku, który od pięciu lat nie,mył swoich dredów. Nie wierzyłam w ani jedno jej słowo, lecz dobrze mi było, gdy mnie obejmowała. Kiedy teraz o tym myślę i porównuję ze scenami z tej samej nocy, czuję się tak, jakby ktoś zaświecił mi latarką prosto w oczy: muszę odwrócić wzrok. Co prawda nieomal natychmiast się pogodziłyśmy i zawsze będziemy przyjaciółkami, ale po tej nocy już nic nigdy nie było takie oczywiste jak dawniej. Elena powtarza, że wychodząc za mąż za Dillona, zakończyłam nasze dzieciństwo, lecz moim zdaniem ono zakończyło się właśnie tamtej nocy. Kiedy wreszcie przestałam płakać, zeszyliśmy na dół i zrobiłyśmy sobie kanapki z masłem orzechowym.

- Nie idźmy dziś do kina - odezwała się Elena. - Chodźmy na imprezę.

Odparłam, że ja zostanę w domu. Przede wszystkim musiałam wreszcie zabrać się do pisania pracy semestralnej o „Trzech poematach Poe’go”; poza tym źle się czułam i znajdowałam się na krawędzi wyczerpania.

- Dziewczyno - odrzekła Elena - dobrze wiesz, że właśnie dziś powinnaś iść na imprezę i rozerwać się trochę. Teraz nie powinnaś siedzieć sama w domu, pisząc o jakiejś wronie.

- O Kruku - poprawiłam ją automatycznie - i o krainie nad morzem, a potem o Dzwonach. Ja lubię Edgara Allan Poe, a ty Patty Loveless.

- Wierszy Poego nie da się zaśpiewać.

- Przecież pani Murray zademonstrowała nam, jak każdy z poematów Emily Dickinson można zaśpiewać na melodię „The Yellow Rose of Texas”. - I zaczęłam nucić: - „Nieba strop stał posepny i szary, zwiędłych liści opadał plon suchy...”^{*} Wybuchnęliśmy śmiechem, a ja pomyślałam sobie: do diabła, dlaczego nie? W końcu pracę semestralną mogę napisać w jeden wieczór, a nie ma sensu, bym tu teraz siedziała i się zamartwiała.

Więc spytałam:

- U kogo jest impreza?

- U Erica Doreya - odrzekła. Właściwie nawet lubiłam Erica; siedział obok mnie na matematyce. Powiedział mi kiedyś, że zamierza zostać lekarzem, jak jego ojciec; uwierzyłam mu, gdyż już teraz ręce miał zawsze pomarszczone i wyblakłe od wiecznego mycia.

- Wyprawia ją z okazji urodzin?

- Nie, z okazji wyjazdu jego rodziców do Dallas na mecz futbolowy.

- Aha - mruknęłam. - O której się zaczyna?

- O dziewiątej.

- Dziewiątej? - wrzasnęłam. - Przecież my nigdy nie wracamy z kina później niż o wpół do dziesiątej! Co ja powiem mamie, skoro zabawa ma się zacząć o dziewiątej?!

- Arley, pomyśl przez chwilę - odparła Elena z lekką ironią w głosie - Załóżmy, że wyjdziemy z domu o siódmej, jak zawsze, i pójdziemy na hamburgera czy coś w tym stylu... a potem po prostu wsiądziemy do autobusu i pojedziemy do Erica. Jego rodzice mają taki wielki dom, prawie ranczo, zaraz za Angelus. Pomyśl, ile razy twoja mama by ła w domu, gdy wracałyśmy w sobotę z kina?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nigdy.

- A o której wraca do domu?

- Po zamknięciu wszystkich barów w okolicy albo rano, jeżeli pracuje.

- A twój ukochany braciszek Cam... myślisz, że zauważyłby, gdy-

*** Edgar Allan Poe „Ulalume” w tłumaczeniu Barbary Beaupre (przyp. tłum.).**

byś wróciła do domu o północy, prowadząc z sobą całą drużynę Chicago Bulls?

- Nie. - Śmiałam się już na głos. - Może gdyby to byli Spursi...

- No, więc nie ma sprawy, co, Arley? To czysta logika, tak jak pan Hogan nauczył mnie na lekcjach matematyki.

- Chcesz powiedzieć, pan Hogan nauczył mnie, a ja nauczyłam ciebie. W końcu uległam. Przez godzinę siedziałam nad pracą z literatury, czytając w kółko linijki wierszy Poe'go o straconej miłości. W jednej z książek, jakie wypożyczyłam z biblioteki, napisano, że Poe ożenił się z młodszą kuzynką, która miała zaledwie trzynaście lat. Wydawało mi się, że to Elvis tak zrobił, ale może się myliłam... Przeczytałam jednak, że byli razem bardzo szczęśliwi, a Poe nawet lubił swoją teściową; różnica wieku między nimi sprawiła, że zaczęłam znowu myśleć o Dillonie. Elena puściła na cały regulator magnetofon ze starymi piosenkami Lynyrd Skynyrd i buszowała po apteczce, odczytując etykiety na słoiczkach z tabletkami, które moja mama przynosiła ze szpitala, gdy ktoś umierał i zostawiał po sobie pigułki.

- Pożyczysz mi jakąś bluzkę? - zapytała w pewnym momencie. - Nie chcę wracać taki kawał do domu.

Poszłyśmy do mego pokoju; wsadziłam tomik poezji Poe'go na półkę obok innych książek, których nazwiska autorów zaczynały się na P. Wyciągnęłyśmy z szafy wszystkie moje ubrania i rozłożyłyśmy na podłodze; skończyło się na tym, że Elena włożyła elastyczny top do biegania tył na przód, a na to moją jedyną koszulę dzinsową, a mnie nie zostało już nic przyzwoitego, oprócz różowej bluzeczki, którą mama kupiła mi, kiedy w szkole robili zdjęcia. Włożyłam do niej dzinsy i czerwono-czarne kowbojskie buty zostawione tu kiedyś przez Langtry. Wyglądałam w tym wszystkim wcale nieźle. Potem poszłam umyć zęby, a gdy wreszcie znalazłam się w kuchni, zastałam Elenę gadającą ze starym Camem, co mnie trochę zszokowało.

- Arley - odezwał się, podnosząc na mnie wzrok - idę z wami na tę imprezę. Niby dlaczego nie?

Muszę przyznać, że zupełnie mnie zaskoczył. Cam właściwie nigdy nie wychodził z domu, chyba żeby posłuchać muzyki z tym dziwnym chłopakiem, Jessem Hudsonem - którego wszyscy przezywali „Drakula”, bo wiecznie nosił taki śmieszny płaszcz - albo na tańce ze starszymi dziewczętami do baru Chase'a. Nie do pomyślenia było, żeby Cam gdziekolwiek wychodził ze mną! Prędzej w piekle spadłby śnieg.

- To tylko impreza dla dzieciaków z pierwszych klas - rzekłam,

puszczając oko do Eleny; chyba nie chcemy, żeby Cam się dokoła nas pałętał, no nie?

- Wcale nie - wtrąciła Elena, a ja sobie pomyślałam: o co w tym, u diabła, chodzi? Przecież Cam nic dla niej nie znaczy... i wtedy przypomniałam sobie wieczór, w którym z takim napięciem się na niego gapila. - Erie jest w drugiej klasie - dodała moja przyjaciółka, co było prawdą. Obie robiłyśmy program z wyższego poziomu matematyki, ale tylko dlatego, że ja harowałam za dwie.

- No, cóż, Cam - rzekłam czując, że ogarnia mnie obrzydzenie. -Mógłbyś przynajmniej przeczesać włosy... chyba że robisz to tylko raz do roku, na Boże Narodzenie?

- Arley, dlaczego ty... - zaczął, lecz Elena mu przerwała:

- Oj, zamknij jadaczkę - warknęła i Cam odszedł niczym szczeniak ze spuszczoneym ogonem, a gdy wrócił, naprawdę doprowadził się do porządku; włożył najlepszą żółtą koszulę i porządnie związał włosy opaską z rzemyka. Całą drogę do przystanku autobusowego rozmawiali z Eleną o BoDeansach, a potem, u Fat Boya, Cam włączył starą maszynę grającą i Elena zaczęła tańczyć. Zjadłam połowę jej hamburgera, a Cam dwa. Potem poszliśmy ulicą Sama Houstona, a gdy zapalił papierosa, Elena powiedziała, że mógłby także ją poczęstować; przytrzymał jej dłonie między swymi ogromnymi łapskami, żeby osłonić płomień zapalniczki od wiatru. Gdybym go nie znała, pomyślałabym, że stara się ją poderwać. Pojechaliśmy autobusem do Erica i wysiedliśmy na przystanku jakieś dwie przecznice od jego domu. Nawet tu samochody stały przy krawężnikach zaparkowane jeden za drugim. Za każdym razem, gdy ktoś przejeżdżał ulicą, z cedrów rosnących wzdłuż chodnika dobiegało gniewne skrzeczenie ptaków.

Znalezienie Erica w jego własnym domu zajęło nam sporo czasu; w pokojach kłębiło się mnóstwo dzieciaków, a w każdym grała inna muzyka.

Wreszcie natknęliśmy się na starego Erica na wpół leżącego na sofie na patio za domem; obok niego stał spory pojemniczek soli i butelka Cuevro Reserva de La Familia.

- To piękne, bracie - powiedział Cam. - Musiało nieźle kosztować.

- Nie ja kupiłem - odparł Erie, uśmiechając się szeroko.

- Dajcie mi trochę - wtrąciła się Elena. Serce podeszło mi do gardła. Wiedziałam, że Cam i Drakula piją piwo, lecz nigdy nie widziałam, by ona to robiła. A jednak świetnie wiedziała, jak zrobić małą niszę między kciukiem i palcem wskazującym - podobno to się nazywa naturalną solniczką - którą Erie wypełnił solą, po czym podał jej kieliszek te-quili i plasterek cytryny. Elena odrzuciła długie czarne włosy do tyłu

i wychyliła alkohol jednym haustem, po czym schwyciła cytrynę, wgrzyzła się w nią i mruknęła:

- O, cholera!

- Cholera, dziewczyno - dodał Cam.

Zostawiłam ich samych. W salonie kilkoro ludzi snuło się po parkiecie, więc przyłączyłam się do nich, bo bardzo lubię tańczyć. Kiedy wróciłam na patio, zobaczyłam Elenę leżącą na sofie i Cama siedzącego obok niej. Erie rozciągnął się na podłodze, lecz nie wyglądał na strutego, tylko śpiącego.

- He wypiąś? - spytałam Elenę.

- Sześć - odrzekła. - Nie, czekaj... pięć.

Nagle Erie usiadł; zrobił to tak gwałtownie, że aż podskoczyłam ze strachu.

- Ty też chcesz jednego, Arley? - spytał, więc zrobiłam dziurkę między kciukiem a palcem wskazującym, tak samo jak wcześniej Elena, a potem wychyliłam duszkiem tequilę; nigdy nie przypuszczałam, że będzie smakować tak, jak pachną kaktusy... a jednak... była zupełnie jak kaktus. Zakręciło mi się w głowie.

- I co? Dobrze? - zapytał Cam.

- Taak... chyba tak.

- Musi ci wystarczyć. Nie będziesz więcej pić, masz dopiero czternaście lat - powiedział.

No, no, pomyślałam, przecież właśnie na twoich oczach wypiąłam, no nie? Przez jedną krótką chwilę znowu poczułam miłość i sympatię do Cama. Czułam się tak jak za dawnych lat, gdy oboje byliśmy mali i mama dawała mi dodatkową pracę za karę, a on mi przy niej pomagał za jej plecami. Ale nawet tak porządna dziewczyna jak ja, gdy ma tyle lat, co ja tamtej nocy, ma czasem chęć robić wszystko na opak - i wydaje się jej, że nie może się obejść bez zrobienia jakiejś absolutnie złej rzeczy. A może po prostu miałam dość wiecznego bycia grzeczną dziewczynką? Robienia wszystkiego, jak należy, na przykład rysowania ołówkiem cienkiej linii przy linijce na samym szczycie kartki w pamiętniku, by kolejna data była równo napisana. Co mi to dobrego przyniosło w życiu? Dillon nawet nie odpisał. Nalałam sobie kolejny kieliszek tequili i wychyliłam jednym haustem - Cam cały czas się przyglądał - ale to mnie tylko dobiło; bardzo ostrożnie odstawiłam kieliszek na podłogę, czując zawrót głowy. Weszłam do holu, a potem ruszyłam schodami na pierwsze piętro; na podeście spotkałam Ricky'ego Nevadę z jakąś dziewczyną - obejmowała go za szyję niczym mała małpka drzewo.

- Arley - odezwał się na mój widok - to jest Allison.

- Bardzo mi miło - odparłam i weszłam do łazienki; wszystkie stojące tu kosmetyki należały do mamy Erica. Umyłam twarz i ręce miętowym tonikiem, który pachniał tak jak moja pasta do zębów. Dopiero wtedy poczułam się lepiej i wiedziałam, że już nie zwymiotuję.

Kiedy wróciłam na dół, wszędzie panowały ciemności. Przez chwilę bałam się, że zasnęłam na górze i wszyscy poszli do domów, lecz potem zobaczyłam postacie leżące na kanapach i podłodze. Powoli poszłam w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz; na niebie wisiał ogromny księżyc.

Doszłam do patio i zatrzymałam się jak wryta na progu.

Elena leżała wyciągnięta na sofie, a Cam na niej; całowali się tak mocno, że ich głowy zdawały się zrośnięte. Potem jego dłoń przesunęła się w górę i złapała za pasek od jej legginsów; Elena uniosła biodra, by ułatwić mu ściągnięcie z niej spodni. Opadła z powrotem na sofę i rozchyliła szeroko uda.

Była taka piękna. Z pięćset razy widziałam, jak Elena rozbiera się, ale tylko w szatni, w szkole, albo gdy przymierzała ciuchy w sklepie. Teraz zobaczyłam ją tak, jak mógłby ją widzieć chłopak; miała idealnie płaski brzuch, ciemnoczekoladowy i ponętny. Cam dotknął jej tak delikatnie i ostrożnie, jakby sprawdzał, czy świeża farba już wyschła.

- Aleś ty ładna, dziewczyno - powiedział. Potem ściągnął z niej spodnie i rzucił na podłogę; zaczął unosić dżinsową koszulę, moją dżinsową koszulę, lecz odepchnęła jego rękę. - Pozwól mi patrzeć, Eleno - mruknął cichutko. - Tylko patrzeć, nic więcej.

Więc mu pozwoliła; pod moim topem nie miała nic... jej piersi w miejscach, gdzie ciało nie było opalone, w świetle księżyca wydawały się srebrne.

- Pozwól się pocałować - odezwał się znowu Cam; jego głos brzmiał tak, jakby kawałek chleba utknął mu w gardle.

- Ale to wszystko - rzekła głośno.

- Wszystko - obiecał.

Przysięgam, że czułam za dwie strony - smak sutka w ustach i jego ssące wargi na swoim ciele. Położyłam dłoń na piersi i ścisnęłam; wrza-śrój, dziewczyno, pomyślałam, uciekaj. Chyba jesteś zboczona, że podglądasz własnego brata zabierającego się do twojej najlepszej przyjaciółki. Ale właśnie wtedy Elena jakby zaczęła się unosić i Cam odezwał się:

- Zaczekaj, kochanie. Jest tak miło... Nie podoba ci się?

- No, cóż... nie jest tak znowu tragicznie - odrzekła. - Przecież jeszcze nie zwiłam.

- Czy kiedykolwiek kochałaś się z jakimś chłopcem?
- Nie ma mowy - odpowiedziała Elena. - Nie zamierzam złapać AIDS albo wszy...
- Chcę się z tobą kochać, naprawdę.
- ...nie chcę też mieć dziecka.
- Mógłbym założyć...
- Nie. Zejdź ze mnie, w tej chwili. - Ale nie uczyniła żadnego gestu, by go odgonić, i gdy Cam szybko przesunął dłoń na jej krocze i zaczął ją pieścić, tylko rozchyliła szerzej nogi i zamruczała coś cicho. Jego dłoń praktycznie zniknęła pod nią, tak że widziałam jedynie nadgarstek.
- Dotknij mnie - powiedział Cam.
- Sam się dotykaj - odparła Elena, lecz nie zaprotestowała ani się nie odsunęła, gdy zaczął rozpinać spodnie.
- Nie, dziewczyno. Ty to musisz zrobić.
- W takim razie schowaj ten interes. - Cam wciągnął z powrotem szorty, a Elena rozchyliła nogi tak szeroko, by mógł się na niej położyć, i zaczęła lekko unosić i opuszczać biodra. Cam jęknął gardłowo i ukrył twarz między jej piersiami; a wtedy Elena uniosła wzrok i zobaczyła mnie stojącą w drzwiach.
- Arley, ty gnido! - wrzasnęła i zerwała się z sofy tak gwałtownie, że stary Cam spadł na podłogę, lądując na gołym tyłku.
- Przepraszam! Dopiero co tu weszłam!
- Arley, ty jesteś zboczona, zboczona, zboczona! - darła się Elena, podnosząc spodnie i zwijając je w kulkę.
- Ja jestem zboczona?! - odpowiedziałam. - To przecież mój brat, do ciężkiej cholery!
- Ale ja nie jestem jego siostrą!
- Jesteś moją przyjaciółką!
- Już nie! Co ty, zazdrosna jesteś czy co?! Cały czas myślisz o tym starym zboczeńcu w Solamente River?
- O co chodzi? - spytał Cam; jego głos brzmiał dziwnie, jakby dobiegał z zepsutej kasety. Nie mogłam poradzić sobie z zapięciem paska u spodni. - Kto jest w Solamente River? W jednostce wojskowej?
- Wcale nie w wojsku! - wrzasnęła Elena.
- Zamknij się!! - odparłam, krzycząc jeszcze głośniejszym głosem niż ona. Odwróciłam się od nich i uciekłam, potykając się po drodze o parę leżącą na podłodze. Upadłam na kolana, lecz jakoś się pozbierałam i popędziłam dalej; nie miałam pojęcia, dokąd biegnę - chyba do przystanku autobusowego. Chciałam uciec od nich, bo choć wiedziałam, że nie

zrobili mi żadnej krzywdy, czułam się tak, jakby zdradzili mnie w najgorszy możliwy sposób.

Kiedy otworzyłam frontowe drzwi i wypadłam na dwór, na wpół oślepla od łez, omal nie zostałam przejechana przez samochód; na okrągłym podjeździe przed domem rodziców Erica jeździła cała banda chłopaków w furgonetce i jakiś fecet w starym niebieskim kabriolecie, zupełnie jakby ścigali się po torze w Dayton. Zobaczyłam, że na masce samochodu balansuje jakaś dziewczyna, trzymając się dachu, a na pace furgonetki stało i wrzeszczało kilku chłopaków. Muzyka dobiegająca z głośników wewnątrz półciężarówka grała tak głośno, że bolały mnie bębniaki w uszach. Wtedy obok mnie przepchnął się jeszcze jeden chłopak i pobiegł do jednego z tych pi-kapów o zbyt dużych kołach, które stały zaparkowane przy podjeździe.

- Wy sukiny! - krzyczał i śmiał się jednocześnie. - Zaczekajcie! Zaraz was dogonię!

Facet siedzący na siedzeniu pasażera w kabriolecie podniósł się z fotela i wychylił przez okno jak pies, który jedzie samochodem i chce złapać powietrze w pysk. Usłyszałam, że Cam coś do mnie woła, więc odwróciłam się, by wejść z powrotem do domu i wtedy rozległ się ogłuszający huk. Właściwie nawet nie huk, lecz odgłos zgniatanego metalu... straszliwy, trzeszczący; chwilę później ludzie zaczęli wrzeszczeć w panice. Usłyszałam płacz jakiejś dziewczyny.

- Nie! Nie! Nie! - powtarzała raz za razem.

- Arley! - Cam był cały spocony i miał krzywo zapiętą koszulę. - Co tu się dzieje, u wszystkich diabłów?

- Oni ścigali się dokoła... - Cam spojrzał ponad moim ramieniem; zobaczyłam, że zbladł, oczy nagle mu się rozszerzyły, a potem zamknął je gwałtownie.

- Natychmiast wracaj na patio - rozkazał, ściskając mnie za ramię tak mocno, że następnego dnia miałam w tym miejscu siniaka. A jednak usiłowałam z nim walczyć, zerknąć nad jego głowę i... Drzwi tego wysokiego pikapa o ogromnych kołach były szeroko otwarte, a po szybie ściekła krew, gęsta niczym syrop.

Wbiłam paznokcie w ramię brata.

- Cam! Ktoś jest ranny!

- Jakiś dzieciak się porzygał, to wszystko...

- Nie, Cam spójrz! To nie to!

- Arley, powiedziałem, żebyś wracała na patio!

Wtedy usłyszeliśmy syreny; Cam schwycił mnie wpół i zaciągnął na tyły domu, na patio. Zobaczyłam Elenę siedzącą na podłodze

w mojej koszuli, z rozmazanym makijażem i Erica starającego się wleźć jak najwyżej po murze z boku domu, by zobaczyć, co się dzieje od frontu. Chciałam mu pomóc, lecz Cam zmusił nas do ucieczki; popędziliśmy przez padoki, na których rozbudzone konie tupwały nerwowo i pochrapywały przestraszone, potem przez łąkę, aż na stare tory kolejowe. Dopiero wtedy poczułam się niedobrze, wymiotowałam cały czas, gdy Cam popychał mnie w górę nasypu. Zatrzymaliśmy się na górze, skąd widziałam podjazd przed domem Erica - stał już na nim ambulans, kilka radiowozów i sześciu policjantów w granatowych mundurach.

-Jakiś dzieciak się porzygał, to wszystko - powtórzył Cam. - Jezu... Ten Eric ma przechłapanie...

- Wiesz, że stało się coś jeszcze... ktoś został ranny.

- Co się wydarzyło? - zapytała Elena; oddychała z trudem. - Co się tam stało, u wszystkich diabłów?

- Byli pijani, to wszystko... Chodź do mnie, kochanie - odpowiedział jej Cam; spróbował ją do siebie przytulić, lecz odepchnęła go gwałtownie.

- Zostaw mnie w spokoju, do kurwy nędzy! - wrzasnęła. - Idę do domu! - dodała, brnąc przez wysoką trawę. Patrzyliśmy na nią z głupimi minami.

- Eleno, odprowadzę cię do domu - odezwał się Cam. Potem zerknął na mnie. - Zaprowadzę was obie.

- Odwal się - warknęła Elena. Nie mam pojęcia, dlaczego była tak cholernie zła na Cama; może się po prostu wstydziła lub bała, a nie chciała się do tego przede mną przyznać. - Zostaw mnie w spokoju.

I odeszła; w świetle księżycy widzieliśmy, jak zbiega z nasypu kolejowego, przechodzi obok domu stojącego za domem Doreyów i idzie w kierunku lepiej oświetlonych ulic.

- Co to za ulica? - spytałam Cama.

- Wydaje mi się, że autostrada Kings. Cholera, Arley, nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, ale na pewno uda się nam złapać autobus do domu. Nie zbliżymy się więcej do tego przeklętego miejsca.

Na podjeździe kręcili się nasi znajomi; z tej odległości wyglądali niczym małe plastikowe żołnierzyki, nie można było nawet rozróżnić chłopaków od dziewczyn, lecz zobaczyliśmy, jak rozstępują się przed ambulansem. Wszystkie światła w domu włączono, coraz nowe wozy patrolowe wjeżdżały na podjazd; ktoś zaczął biec w górę zbocza, w naszym kierunku, lecz policjant złapał go od tyłu i zawlókł z powrotem przed dom. Potem wyciągnął latarkę zza pasa i snop światła omiótł na-

syp kolejowy, na którym się ukryliśmy. Cam pociągnął mnie gwałtownie na ziemię, tak że upadłam na kolana.

- Czołgaj się! - polecił mi szeptem, gdy promień światła nas ominął. Szliśmy ponad godzinę. Co jakiś czas musiałam się zatrzymać, by wymiotować; usiłowałam mówić, lecz na próżno. Poza tym piekielnie bolała mnie głowa,

- Nigdy nie byłby ze mnie dobry pijak - powiedziałam Camowi, ale nie odrzekł ani słowa. Spróbowałam jeszcze raz: - Przepraszam...

Ale nawet na mnie nie spojrzął; bardziej niż czegokolwiek innego życzyłam sobie, by wszystkie wydarzenia tego wieczora mogły po prostu zniknąć. Ale gdyby tak się stało, nie pobiegłabym w poniedziałek rano na pocztę i nie wysłałabym kartki do Dillona z błaganem, by pozwolił mi do siebie przyjechać.

Wreszcie przy centrum handlowym złapaliśmy z Camem autobus jadący w odpowiednim kierunku. Kiedy znaleźliśmy się obok domu Eleny, usiłowałam dopatrzeć się najdrobniejszego poruszenia w oknie, by przekonać się, że nic jej nie jest; wysiedliśmy na przystanku trzy przecznice od naszego domu. Cam ruszył ogromnymi krokami; zanim doszłam do frontowych drzwi, już siedział w swoim pokoju. Usłyszałam, jak zatrzaskuje drzwi i zamyka zasuwkę. Mamy jeszcze nie było. Czułam łzy spływające po policzkach, złamałam obcas, a głowa mi pękała. Wzięłam z kuchni kawałek chleba i aspirynę i poczłapałam na górę, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co w życiu słyszałam na temat bycia pijanym. Kiedy już położyłam się na łóżku, usłyszałam dzwonek telefonu. Cam odebrał, lecz chwilę później rzucił słuchawką i wrzasnął:

- Nikt się nie odezwał!

Kiedy już zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać, Elena powiedziała, że nie dzwoniła, lecz ja i tak wiedziałam, że to nie był nikt inny.

Kilka minut potem usłyszałam motor podjeżdżający pod nasz dom; zanim zasnęłam usłyszałam, jak rusza. Byłam tak zmęczona i przybita, że nawet nie zerknęłam kto to. Wiedziałam, że wszystko się zmieniło, faktycznie uległy zmianie - w okropny sposób - także sprawy, o których wtedy nie miałam pojęcia i na które nie miałam żadnego wpływu, choć one odcisnęły piętno na moim życiu. Gdybym mogła cofnąć czas, chyba postąpiłabym zupełnie inaczej; zakończyłabym sprawę z Dillo-nem raz na zawsze - byłoby dla mnie o wiele lepiej, gdyby tak właśnie się stało. Choć z drugiej strony to do mnie niepodobne. Niełatwo rozpoznać własne przeznaczenie, dlatego że ukazuje się nam stopniowo; lecz gdy już wiesz, że należy do ciebie, kochasz je, wszystko jedno, czy jest smutne, czy wesołe, po prostu dlatego, że jest twoje.

Tamta noc z pewnością była końcem czegoś, ale i początkiem nowej, głębokiej zmiany we mnie. Zmierzałam w kierunku nieznanego, lecz wiedziałam jednocześnie, że nie mogę już zawrócić z raz obranej ścieżki. Wydawało się, że wiem o wszystkim, tylko jeszcze nie potrafię tego nazwać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ANNIE

Właściwie odpowiedzialność za to, że zostałam właścicielką domu, mogę zwalić na naczelnika więzienia Solamente River.

Nadal droczę się z Arley, że tak naprawdę to przez nią, a nie Raya Henry'ego Southwynna, czuję niegasnące przywiązanie do worka bez dna, jakim okazała się posiadłość pod numerem 4040 na Azalea Road. Ale Arley nie daje się łatwo; odpyskuje z ogromną pewnością siebie:

- To wszystko przez ten upał - powtarza, patrząc na mnie spod oka. - Wy, nowojorczy, nie potraficie sobie radzić z upałami, wiesz?

Wiem; naprawdę doskonale wiem, co ma na myśli. Ale nadal nie jestem na tym etapie, by żartować sobie z Arley na temat „upału” jak kobieta z kobietą.

Podejrzewam, że mimo wszystko nadal traktuję ją jedynie jak dziecko.

Po moim powrocie z Avalon przeżyliśmy ze Stuartem pierwszą dobrą noc od wielu miesięcy. Patrząc na to z perspektywy czasu, rozumiem, że po części wynikało to z mojej skruchy, a po części z odroczenia wyroku na Kimie McGrorym. Gdy jeden z klientów Stuarta miał wkrótce umrzeć, on odsuwał się ode mnie przy najłżejszym dotyku. Nie robił tego specjalnie; po prostu zbyt wczuwał się w rolę potępionej duszy zamawiającej krewetki, lody brzoskwińowe i przemyconą whisky na swą ostatnią kolację.

Jednak tamtego wieczora Stuart był pomiędzy kryzysami. Zebrał „Przeglądy koszykówki” z ostatniego pół roku i czytał je namiętnie („Przecież i tak już wiesz, kto wygrał mecze” - powtarzałam mu z irytacją, lecz on tylko zsuwał z nosa swe okulary do czytania i odpowiadał: „Tu nie chodzi o wynik, Annie, lecz o poziom rozgrywki”). Jednak udało mi się odciągnąć go od koszykówki - włożyłam na gole ciało jedną z jego ukochanych koszul od Brooks Brothers, a czemuś takiemu Stuart nigdy nie potrafił się zbyt długo opierać, i zainicjowałam ten rodzaj

absorbującej, wyćwiczonej miłości, którą dwoje partnerów może doprowadzić do perfekcji, jeżeli tylko mają wystarczająco dużo czasu. A potem, choć było już po dziesiątej, wstaliśmy, by zaparzyć kawę i obejrzeć film w telewizji; kiedy wreszcie zasnęliśmy, co prawda nie leżeliśmy przytuleni do siebie, lecz czułam się czysta, zaspokojona i szczęśliwa, niczym wygłaskane i dopieszczane kociątko.

Gdy obudziłam się rano, Stuarta już nie było. Czułam się świetnie, na każdego działa tak satysfakcjonująca noc - to był tego typu dzień, kiedy obcy ludzie zaczepiają cię na ulicy i pytają, jakie witaminy bierzesz, że wyglądasz tak wspaniale. Zadzwoiłam do Stuarta do pracy i zostawiłam mu wiadomość na automatycznej sekretarce: „Kim był ten zamaskowany nieznajomy? Chciałabym mu podziękować”. Dopiero potem zabrałam się do roboty.

Idealny mąż Estrality Gomez złamał kolejne ograniczenie nałożone na niego przez sąd - tym razem wrzucił jej do domu przez okno od frontu galonowy pojemnik z czerwoną farbą, a sam wskoczył za nim. Okazało się, że młoda matka z Port Arthur, której mąż odsiadywał wyrok za pobicie jej sześciorakiem coca-coli, tak że doznała uszkodzenia czaszki, zostawiła trójkę niemowląt (skąd, u diabła, wzięła aż trójkę?!) w schronisku z notką, że przekazuje je każdemu, kto jest w stanie wychować dzieci lepiej niż ona. Zadzwoiłam do opieki społecznej - naskrobałam w podręcznym notatniku. Zadzwoiłam do Jeanine.

A potem zatelefonowałam do siostry i wysłuchałam komunikatu na jej automatycznej sekretarce: „Tu Rachael Singer... wiem, że twoje kłopoty finansowe nie mogą czekać, lecz podobnie uważa osoba, u której jestem w tej chwili, zatem zostaw wiadomość, a na pewno oddzwonię”. Zostawiłam wiadomość, która - mam nadzieję - wzbudzi w niej choć odrobinę poczucia winy, coś o tym, że nie słyszałam głosu mojej jedynej siostry od czasu Święta Pracy.

Wreszcie kazałam Lili odszukać numer telefoniczny Raya Hen-ry'ego Southwynna; to on zabronił młodemu państwu LeGrande wizyty małżeńskiej, więc on też może odwołać swą decyzję bez włączenia wszystkich po sądach. Ray Henry to nieomal mój przyjaciel - miły facet, który swego czasu (Boże dopomóż!) pracował jako opiekun społeczny w San Antonio. Uprzejmy i hojny, Ray Henry uwielbia kobiety (choć nigdy nie posuwał się tak daleko, by urazić swą cudowną żonę, Fleury) i uważa wszystkich mężczyzn za winnych, dopóki nie udowodni się ich niewinności. Był także chodzącym zbiorem przeciwieństw: zagorzałym demokratą, który w głębi swego metodystycznego serca święcie wierzył, iż każdy z więźniów w Solamente River pozostający pod jego opie-

ką jest winny zarzucanych mu czynów; nie znosił obecnego gubernatora; gorąco sprzeciwiał się karze śmierci i twierdził, że nigdy nie pracowałby w zakładzie, w którym używano celi śmierci. Fleury zasiadała w zarządzie organizacji charytatywnej, która pomagała samotnym matkom, i to stanowiłoby rozsądną wymówkę, żeby zapomnieć o całej historii z Arley, jeżeli posunie się zbyt daleko. Miałam nadzieję, że jako niesamowicie dumny ojciec dwóch córek (z czego jedna, Miranda, studiowała prawo na uniwersytecie stanowym) znajdzie w sobie współczucie dla Arlington Mowbray, jeżeli mu opowiem o jej problemach. Moglibyśmy załatwić całą sprawę między sobą, nie wzniesając zbyt dużego szumu, jak sam by to pewnie ujął. Ray Henry nieraz mi powtarzał, zwłaszcza po wypiciu kilku piw na różnego rodzaju uroczystościach, że chciałby, aby jego dziewczynki, włącznie z Melissą (która w tej chwili ma już pewnie szesnaście lat), zrobiły kariery, o jakich marzą, były lepsze w tym, co robią, od połowy mężczyzn, a jednocześnie pozostawały oddanymi żonami i matkami, posłusznymi nakazom Pana. Cóż, zdaje się, że Arley, na swój własny sposób, właśnie taka starała się być. Ze wszystkich więzień znajdujących się na bezkresnych przestrzeniach Teksasu - a stan ten ma zadziwiająco dużo placówek resocjalizacyjnych - Solamente River było najlepsze, gdyż w tym wypadku mogłam spokojnie porozmawiać z człowiekiem stojącym pomiędzy młodymi kochankami. Mogłam wysłuchać jego opinii na ten temat bez groźby zawału i być może wyrwać Arley z całego tego bałaganu bez pisania długich wypocin do wymiaru sprawiedliwości, na temat przestrzegania praw człowieka. Pomimo niepokojącego wrażenia, że obecny bałagan jest tylko przedsmakiem tego, co czeka dziewczynę w przyszłości, obiecałam Arley, że zrobię, co w mojej mocy; poza tym była jeszcze kwestia zasad ogólnoludzkich.

- Witaj, Rayu Henry, mój stary przyjacielu, co tam słyhać na twojej szerokości geograficznej? - zapytałam wypróbując moją najlepszą imitację „starej kowbojki z Teksasu”, gdy wreszcie za trzecim razem udało mi się z nim połączyć. Zazwyczaj to uwielbiał: mała Żydówka z Nowego Jorku usiłująca ujeżdżać dzikie konie; rozpoznał mój głos bez najmniejszego wahania.
- Dla pani jestem naczelnikiem Southwynnem, pani mecenas - odparł ponuro.
- Chcesz mi powiedzieć, że... między nami wszystko skończone?
- Czyżbym przypominał sobie jakąś odległą obietnicę postawienia mi corony? Za ostatnią przysługę, jaką ci wyświadczyłem, czy też mo-

ja słodka żona ci wyświadczyła... nie pamiętam już teraz zbyt dokładnie... zwłaszcza że mam pięćdziesiątkę na karku i żyję pod wpływem ciągłego stresu.

- Chcesz powiedzieć, że twoje więzienie jest przeludnione, Ray? Ze szerzy się skorbut? No, o co chodzi? Poza tym, że corona smakuje jak siki.

- A pewnie, pewnie, panno Singer. Dlatego podaje się ją z plasterkiem cytryny.

- Jak się mają dziewczynki?

- To dwa słoneczka mojego życia.

- Doskonale.

- Zadzwoń, by spytać o dzieci?

- Nie. Rayu Henry, mam problem, który tylko ty, na całym bożym świecie, możesz rozwiązać.

Westchnął; usłyszałam, jak otwiera szufladę biurka, by znaleźć coś metalowego, czym mógłby się bawić podczas naszej rozmowy; ten facet nie potrafił ani chwili usiedzieć spokojnie.

- Wal - mruknął chwilę później rzeczowym tonem. Jak zwykle zadrżałam, przypominając sobie, że ten człowiek ma żelazny kręgosłup i naprawdę uważa swą pracę za służbę dla społeczeństwa. W jego więzieniu lokatorzy nie byli napastowani, lecz jednocześnie nikt nie traktował ich tak, jakby ich papiery dostały się do Solamente River przez pomyłkę. Ogólnie rzecz ujmując, więźniowie - którzy na ogół, jak przekonałam się z upływem lat, byli spokrewnieni, ożenieni lub zaręczeni z większością moich klientek - lubili Raya Henry'ego i uważali go za sprawiedliwego człowieka.

- Ray, masz u siebie gościa o nazwisku Dillon LeGrande... - zaczęłam.

- Taak, jego brata również. Ci chłopcy to niezłe ziółka. Nic dobrego.

- No, dajże spokój... znasz przecież sytuację. Dziewczyna, z którą się ożenił, przyszła do mnie, twierdząc, że odmówiła im wizyty małżeńskiej i...

- Doskonale wiem, czego ona chce, a co więcej, wiem także, o co jemu chodzi. Nie zamierzam nawet palcem kiwnąć, by dostali swoje. Zwłaszcza ona... powinnaś mi za to podziękować, Annie.

- Nie będę udawać, że nie wiem, o czym mówisz.

- Doprawdy. - To nie było pytanie.

- Nie, Rayu Henry. Ale spotkałam się z tą dziewczyną. Ty także ją widziałeś...

- Ojej, oczywiście. Musiałem być obecny przy rozczulającej ceremonii zaślubin.

- A jednak nie sprzeciwiłeś się jej.
- Nie sprzeciwiam się prawu stanu Teksas, szanowna pani. Mała miała pozwolenie matki na ślub z więźniem, którego sobie wybrała... a on skończył już dwadzieścia jeden lat i jest pełnoletni, choć mózg ma nie większy niż królik.
- Ale ona...
- Ale ona nic, Annie. Ta mała dziewczynka jest śliczna jak obrazek i ma swój rozum, powiem ci jednak prawdę... Tylko że to między nami i jeżeli usłyszę, że gdziekolwiek cytujesz moje słowa, zwałę ci się na głowę niczym piorun z jasnego nieba... nie pozwolę temu śmieciowi jej przelecieć, tak samo jak nie pozwoliłbym mu przelecieć którejs z moich...
- Więc w tym sęk.
- Co takiego? - Po drugiej stronie słyszałam metaliczny grzechot, jakby Ray toczył po biurku zszywacz lub inne duże narzędzie.
- Dla ciebie to sprawa osobista.
- Annie, to nic osobistego. I nie ma nic wspólnego z faktem, że ta mała jest nawet młodsza od Melissy, choć jest i niech mnie szlag trafi, jeśli mnie to nie obchodzi, nawet jeżeli jej własna matka ma to w dupie. Ta wizyta małżeńska może mieć fatalne skutki. Facet śmiał się do rozpuku z prawa o nietykalności osób nieletnich z tysiąc razy.
- To nas nie dotyczy.
- Naprawdę? To co powiesz na to: jedna z dziewcząt, które kochał pan Dillon, podcięła sobie żyły, gdy rodzice zmusili ją do przeprowadzenia się z nimi do innego miasta. Twój pan LeGrande sypiał z nią w ich domu, wieczorami wchodził przez okno do jej sypialni...
- Jezu, chyba żartujesz? - jęknęłam; lepiej bym zrobiła, gryząc się w język.
- Wcale nie żartuję. A niektórzy twierdzą, że jej w tym pomógł...
- W próbie samobójstwa?
- Tak.
- Ależ, Rayu Henry, to nie jest sprawa kryminalna... sprawa z dziewczyną, nawet jeżeli jest prawdziwa...
- Jest. Jednak także i to nie ma nic wspólnego z moją decyzją. Muszę dopilnować, by więźniowie przeszli pomyślnie proces resocjalizacji, a wizyta małżeńska w niczym panu LeGrande nie pomoże. To proszenie się o problemy... a biorąc pod uwagę jego naturę i przeszłość...
- Więc już wcześniej miewał poważne kłopoty?
- Prawdopodobnie urodził się z predyspozycją do nich, jak większość facetów jego pokroju.

- Ale czy był notowany, wielokrotnie, za antyspołeczne zachowanie w twoim...

- Annie, nie zaczynaj ze mną - odparł łagodnie, lecz w tle słyszałam coraz głośniejsze brzęczenie. - Nie. Więzień Dillon LeGrande ma czystą kartotekę. Jego zachowanie w Solamente nie pozostawia nic do życzenia. Jest uczynny i chętny do współpracy...

- Więc naprawdę nie uważasz, że wpływ czułego i bliskiego związku...?

- Uważam, że jeżeli ta mała przyjdzie tu na noc, on i czterdziestu siedmiu innych facetów przez najbliższy miesiąc będą tu wyć do księżyca. Jeżeli naprawdę chce zadowolić swego mężczyznę, niech z tym zaczeka... najbliższe sto lat. Jeżeli LeGrande nadał będzie się zachowywał tak jak do tej pory, wkrótce wyjdzie na zwolnienie warunkowe. Ale teraz nie przyłożę do tego nawet palca... to zabronione. Uważam, że stosunek z nieletnią jest przestępstwem i dlatego zabraniam go w moim zakładzie karnym.

- To byłoby przestępstwo, gdyby nie byli małżeństwem, Rayu Henry. Ale są, na mocy prawa ustanowionego przez stan, który płaci ci pensję. Wiesz, że będę cię musiała zawlec do sądu, jeżeli teraz tego nie załatwimy.

- Znajdujemy się w samym sercu Teksasu, Annie, i mam gdzieś, czy skończymy w sądzie. Obronimy tę odmowę z rękoma związanymi na plecach, ponieważ możemy sprowadzić psychologów, którzy za zamkniętymi drzwiami powiedzą wiele nieprzyjemnych rzeczy o więźniu. A fakt, że w naszym stanie honoruje się ślub nieletnich dziewczynek, argumentując, że jeżeli są dostatecznie wysokie, to są jednocześnie dostatecznie dorosłe, wcale mnie nie wzrusza.

- Coś mi się zdaje, że jeżeli zrobi się zadyma, będziesz mi winien piwo, Rayu Henry. Kto wie, może nawet z pół kilo zimnych krewetek do tego.

- Nie rób tego, Annie. Choć raz w życiu potraktuj moją decyzję jako coś właściwego, a nie jako coś, z czym można walczyć. Mówię poważnie. Wiesz, że to nie będzie dobre dla małej... Jasne, że widziałem już w życiu gorsze przypadki. - Usłyszałam, jak zamyka z trzaskiem szufladę biurka, co sygnalizowało, że zakończyliśmy naszą rozmowę. - Ale to wcale nie znaczy, że od czasu do czasu nie chciałbym widzieć tych lepszych...

Chciałam oprzeć czoło na blacie biurka i zawyć ze złości.

- Znam się na mojej pracy, panie naczelniku Southwynn, a ona polega nie na rozsądzaniu, czy ludzie postępują rozsądnie, tylko czy przestrzega się ich praw. Nie jestem Salomonem, Rayu Henry.

- Ale ja jestem, Annie. W tej placówce, w tych sprawach jestem nim.
- Pewnie czasem masz przez to kłopoty z zaśnięciem, co?
- Masz rację, ale potrafię z tym walczyć.
- Do zobaczenia w sądzie, Rayu Henry.
- Dobrze wiesz, że się tam nie zobaczymy. Spotkasz się z moim adwokatem, Lee Pettym.
- Aa, tak, Lee. Niektórzy ludzie wyglądają jak ich psy... a niektórzy jak ich imiona, nie sądzisz?

Ray roześmiał się głośno, lecz szybko się opanował.

- Wiem, że Lee zna się na swojej robocie. - Mieliśmy podobne zdanie na temat tego szczególnego pracownika wymiaru sprawiedliwości i oboje wiedzieliśmy, jakie ono jest, tak samo jak wiedzieliśmy, że w tej chwili nie ma co kontynuować tej rozmowy.

- Cóż, cieszę się, ze względu na ciebie, że on poprowadzi tę sprawę.

- Ja również.

- Przekaż ucałowania Fleury.

- Jasne. - I rozłączył się. Chciałam zwalić na niego winę za swoją porażkę; chciałam poczuć wściekłość, która zazwyczaj ogarniała mnie, gdy krzywdzono niewinnych, lecz nic się nie działo. A teraz musiałam zadzwonić w jeszcze jedno miejsce, lecz miałam dziwne opory - nie chciałam z Arley zaczynać przygotowań do naszej sprawy w sądzie. Co prawda te przygotowania i tak byłyby znikome - podpowiem jej, w co się ubrać i co mówić, jakby szła na spotkanie niedzielnego chóru, a nie do sądu. Zabijałam czas, wykonując telefony, które do tej pory odroczyłam: upewniłam się, że Matt ubiega się o nakaz aresztowania - co będzie równie nieefektywne, jak wyrok sądu zabraniający zbliżania się -szalonego męża Estrality Gomez.

Zastanawiałam się, komu (Patty czy Mattowi) powierzyć zadanie umówienia mnie z sędzią powiatu Galle-on, który w tym tygodniu wylosował zajmowanie się skargami więźniów z Solamente River.

Po kilku minutach zastanawiania się wysłałam Mattowi e-mail, wyjaśniający zawartość ponad funta papierów, które miał zawieźć do biura w powiecie Galleon. Właściwie samo miasteczko, z jednym skrzyżowaniem, położone nieopodal więzienia Solamente River, przypominało osadę mieszczącą się dokoła manufaktur w okresie przedindustrialnym, tyle że w tym wypadku zakłady nie produkowały samochodów, lecz tablice rejestracyjne. Najpierw Matt będzie musiał zadzwonić do samego pana Dillona LeGrande (wiedziałam, że ja powinnam to zrobić, lecz jakoś nie potrafiłam się zmusić) i upewnić się, że pozew sądowy odzwierciedla je-

go prawdziwe intencje, ponieważ z technicznego punktu widzenia nie mieliśmy żadnych dowodów jego zamiarów, oprócz kopii jego listu do naczelnika więzienia, którą Arley przyniosła mi w swej purpurowej teczce. Oczywiście, potem musiałam się wreszcie wziąć do napisania pozwu - „Więzień Dillon Thomas LeGrande przeciwko Rayowi Henry'emu Southwynnowi" i tak dalej, i tak dalej, i jeszcze kilku innych załączników, włącznie z prośbą o zasądzenie kosztów sądowych stronie przegranej, oraz ich kopii, które później Matt wysłał wszystkim zainteresowanym z mecenasem Pettym na czele.

Późnym popołudniem do mego biura weszła zmordowana Patty i padła na obrotowy skórzany fotel, który kiedyś wyblagałam dla siebie po remoncie w sądzie okręgu Ballou.

- Napastowanie dziecka - odezwała się cicho.
- Tego nie lubimy - odrzekłam, kiwając głową.
- Szkoda, że nie palę papierosów - mruknęła Fatty.
- Ja jem, żeby zapomnieć - wyjaśniłam.

Sprawa, którą Patty się zajmowała z przerwami od dwóch lat, wykańczała ją nerwowo; nawet dla opieki społecznej był to twardy orzech do zgryzienia. Ojciec i matka katowali swe dzieci, jakby byli specjalnie wyszkolonymi strażnikami obozu jenieckiego gdzieś w Ameryce Południowej, ale pięcioro dzieci znalazło stabilny i szczęśliwy dom z eks-przyjacielem matki. Niestety ówże eks-przyjaciel niedawno dowiedział się, że jest nosicielem wirusa HIV; pracownicy opieki społecznej stwierdzili, że nie ma innego wyjścia, jak tylko umieścić dzieci pod opieką rodziny zastępczej. Nasze stanowisko polegało na tym, by przyznać przyjacielowi prawa rodzica zastępczego oraz przydzielić mu na stałe pomoc z opieki społecznej do zajmowania się dziećmi. Przecież nikt nie zechce zaadoptować piątki mocno steranych życiem dzieci. Podobno opieka społeczna obawia się o „przyszłość" dzieci.

-Jaką „przyszłość"? Czy nie lepiej zapewnić im zdrową teraźniejszość? - Patty była na skraju rozpacz. - Chyba najlepiej będzie, jeżeli to ja je w tej chwili adoptuję... już dłużej tego nie zniosę.

Bardzo ją lubiłam; nie tylko nie była typowym, wrednym przedstawicielem naszego zawodu, ale na dodatek charakteryzowała się większą wrażliwością niż przeciętny człowiek. Szalenie łatwo było ją zranić, a ból odczuwała wyjątkowo dotkliwie. Nie nadawała się do tej pracy, lecz zatrudniłam ją nie tylko ze względu na fantastyczny dyplom z uczelni Notre Dame, ale także tę niebezpieczną empatię. Zrobiłam, co w mojej mocy, by ją pocieszyć, a gdy wyszła, zadzwoniłam do Jeanine.

- Chodźmy do kliniki i podreperujmy się trochę - zaproponowałam;

„kliniką" nazywałyśmy teksańsko-meksykańską kafejkę, której nazwa, po hiszpańsku - jak upierał się Stuart - oznaczała „smutnooką damę z nizin". Jednocześnie było to miejsce spotkań młodych lekarzy; Jeanine uwielbiała się im przyglądać, bawiąc się w jedną ze swych ulubionych gier pod tytułem: „Czy ma pan może ochotę...?"; druga nazywała się: „Jesteś zbyt śliczny, jak na hetero..." Restauracja ta mieściła się w powiecie King William, na południe od śródmieścia, nad rzeką, gdzie ogromne domy niemieckich właścicieli ziemskich rozrosły się w dziewiętnastym wieku, chyliły do ziemi w połowie dwudziestego, a obecnie stały się mieszkaniem przystojnych młodych zabijaków wzniecających piekło i młodych przystojnych homoseksualistów, którzy starali się przetrwać ten sztorm. Uwielbiałam tę dzielnicę; tu również mieścił się mój ukochany sklepik z pamiątkami, Tienda Corina, w którym zawsze kupowałam prezenty dla przyjaciół niemieszkających w Teksasie - na przykład maleńkie srebrne posążki lub srebrną biżuterię na każdą okazję - zwłaszcza z okazji obchodzonego w Meksyku katolickiego Święta Wszystkich Zmarłych. Najbardziej podobały mi się malutkie srebrne guziczki w kształcie czaszek z turkusowymi oczkami.

Stuart się ich brzydził, nawet gdy mu wyjaśniłam, że El Dia de los Muertos jest świętem pełnym radości, gdyż wtedy właśnie wszyscy zmarli wracają na ziemię, by robić to, co zawsze lubili. Miałam cztery czy pięć maleńkich posążków na tę okazję, wszystkie wykonane przez meksykańskiego artystę; jeden z nich przedstawiał szkielety oblubienicy i pana młodego. Strasznie chciałam kupić sobie szkielet tulący do siebie małe szkieleciątko, lecz Stuart z okropną miną wypadł ze sklepu, gdy mu go pokazałam.

- Najbardziej dobija mnie nie to, że tobie tak podobają się te świństwa - warknął, kiedy powiedziałam, że szkieletowa madonna wydaje mi się wyjątkowo wzruszająca - ale to, że uważasz moją reakcję za śmieszna.

- Chyba trochę przesadzasz.

- A mnie się wydaje, że usiłujesz być jakąś latentną katoliczką!

- Wcale nie! Moim zdaniem to po prostu cudowny sposób dawania do zrozumienia, że... nasza prawdziwa nieśmiertelność ukrywa się w życiu, które teraz wiemy. Czy coś w tym stylu...

- Najwyraźniej wymyślili to ludzie, którzy nigdy nie widzieli zdjęć z miejsc zbrodni. Aj, ten Stuart, zawsze można na niego liczyć, że przywoła cię do rzeczywistości.

Zadzwoiłam teraz do niego i zostawiłam mu wiadomość, by spotkał się z nami na obiedzie i przyprowadził ze sobą Tarika, gdyż Jeanine beznadziejnie się w nim durzyła. Była środa wieczór, a w tej części miasta to czas umawiania się na różnego rodzaju spotkania. Restauracja, Amor Ausente, powoli wypełniała się mieszaniną anglo-hiszpańskich profesjonalistów, rozluźniających krawaty i ściągających pomięte sportowe marynarki, oraz dzielnicowymi artystami i robotnikami, których ubrania tak samo pochłapane były farbami, a jedni od drugich różnili się tylko tym - jak zauważyła Jeanine - że artyści nosili jeszcze szaliki. Kelner, Luis, był naszym kumplem.

- Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą, Anne - odezwał się na powitanie; jego skóra lśniła niczym świeżo wyłuskany kasztan. Miał może ze dwadzieścia trzy lata.

- Nic mi nie jest, Luis - odrzekłam. Właśnie wtedy przyszła Jeanine w humorze nie lepszym niż Patty po południu. - Najwyraźniej to *mia amiga* potrzebuje pocieszenia.

- Aha. A w czym problem?

- Chodzi o dzieci. - Jeanine westchnęła. - O dzieci, których dzieciom muszę znaleźć rodziców, kiedy powinnam znajdować rodziców dzieciom, które rodzą następne dzieci.

- Masz ochotę na margeritę? - zapytał Luis słodko. - Właściwie to mam ochotę na dziecko, Luis, wiesz? - Znowu

westchnęła. - Chciałabym mieć własną rodzinę... ale w tej sytuacji to mi się nigdy nie uda. Do końca życia będę pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, tworząc i rozwiązując rodziny innych ludzi i umawiając się z facetami, którzy jeszcze przed rozwodem przeszli wazek-tomię.

- A więc masz ochotę na margeritę?

- Luis - odparła Jeanine - czy chciałbyś mieć dziecko?

Co też wisiało dziś w powietrzu? Czy to pełnia księżycy ściągająca pod jeden dach wszystkie kobiety po trzydziestce, które nagle odkryły swój zegar biologiczny?

Jeanine była młodsza ode mnie co najmniej o siedem lat i nieraz mi powtarzała, że wystarczy jej zerknąć do akt którejkolwiek ze swoich spraw, by na zawsze znienawidzić ród męski.

- Chyba żartujesz - powiedziałam teraz, patrząc na nią ze zdumieniem.

- Nie, mówię bardzo poważnie. Nigdy nie byłam tego bardziej pewna. Co ty na to, Luis?

- Okay - zgodził się zapytany. - Kończę o dwunastej. Możesz na mnie poczekać tak długo?

- Mieszanka włosko-irlandzka, taka jak ja... i Meksykanin... wiesz, ciemna skóra i jasna... - ciągnęła Jeanine.

- Picie i modlitwy... - dodał Luis.

- Kłótnie i śpiew... - zgodziła się Jeanine.

- I poczucie winy - wtrąciłam. - Nie zapominajcie o poczuciu winy.

- Dostaniesz to, czego ci naprawdę trzeba - przerwał mi Luis, odchodząc w kierunku baru.

- Naprawdę chcę mieć dziecko - odezwała się Jeanine, gdy Luis zniknął z zasięgu jej głosu. - Mój pediatra uważa, że najlepsze we mnie jest to, że jestem kobietą oddaną swej pracy i nie chcę, wedle jego własnych słów, go uwiązać. Tylko że on nie miał nic przeciwko byciu uwiązanym przez swoją byłą żonę i posiadaniu z nią dwójki dzieci. A policjant nigdy nie zechce mieć dzieci, bo podobno przy jego zawodzie to zbyt duże ryzyko.

-Już to kiedyś słyszałam.

- Mówi, że nie może aż tak ryzykować.

- To także już słyszałam. Dlaczego nie zaadoptujesz jednego z dzieci, których sprawy prowadzisz?

- Bo chcę mieć wszystko... męża, dom... chcę przez dziewięć miesięcy zmiatać wszystko z talerza... - Urwała, jakby dopiero teraz usłyszała moje słowa. - Co to znaczy, że już to kiedyś słyszałaś?

Na chwilę głos mnie zawiódł, jak źle zagrany akord na gitarze. -Ja... kiedy rozmawiam ze Stuartem o dzieciach... on mówi, że... no, cóż... nie sądzi, by kiedykolwiek miał czas się nimi zajmować...

- Nie miałam pojęcia, że rozważyliście ze Stuartem taką możliwość. Przecież ty ubóstwiasz życie, które wiecie, Annie!

- Tak, to prawda... ubóstwiam je.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że chciałybyś mieć dziecko. Założyłam po prostu...

- Nie powinnaś była nic zakładać.

- Ale ty i Stuart...

- Nie chodzi o to, że musimy się decydować w tej chwili.

- Ale już wkrótce, tak? - naciskała Jeanine. - Ty masz już... właściwie, ile masz lat, Annie?

- Jezu. Zaraz stuknie mi czterdziestka, Jeanine. Zadowolona? Na stole pojawiły się nasze drinki.

-No, cóż... nie miałam nic złego na myśli. - Pociągnęła łyżeczek z kieliszka. - To nie jest margerita. Luis! - zawołała cicho, więc odwrócił się od baru. - Przecież to nie jest margerita!

- Ano nie! - Jego miła twarz miała nieomal smutny wyraz. - Do-

szedłem do wniosku, że margerita to za mało jak na dzisiejszy wieczór.

Postanowiłem sam wybrać dla ciebie drinka... to moja misja. W tym przybytku oferuje się gościom z niezaprzeczną dumą aż trzydzieści różnych odmian tequila, a barman nie bez kozery nazywa się Jesus. Zdaj się na mnie.

Uwielbiam tequilę. To jedyny trunk, który mi nie szkodzi. Kiedy Stuart wreszcie zjawił się przy naszym stoliku, na blacie pomiędzy mną a Jeanine stało już osiem pustych kieliszków, ustawionych w równą piramidkę. Osad na denkach wysechł i zabarwił je na różne odcienie złoto, od pomarańczowego po platynowy, a w jednym kieliszku wyglądał jak rysunek psychotycznego dziecka - rozmazana plama z czerwonym punkcikiem w środku, zupełnie jak zapłodnione kurze jajko.

- To Marsjański Cycek - powiedziała Jeanine.

- Wcale nie. - Nagle wydało mi się bardzo istotne, by Stuart otrzymał właściwe informacje. - To Wenecki Sutek.

Stuart uśmiechnął się półgębkiem, przy czym, jak zawsze, przypominał Steve'a McQueen, i pomógł mi z powrotem usiąść za stołem.

- Bez względu na nazwę wydaje się mieć piorunujące działanie.

- O, jeszcze jak - przytaknęła Jeanine. - Przyłącz się do nas.

Właśnie wtedy wszedł Tarik, jak zawsze ubrany w markowe ubranie i miękkie pantofle, wyglądający na modela GQ; w jaki sposób stać go było na ekstrawaganckie ubrania przy jego pensji obrońcy z urzędu, nie miałam pojęcia.

- Ma bogatych krewnych - wyjaśnił mi kiedyś Stuart.

- Jakich znowu krewnych? - zapytałam wtedy. - Może raczej sponsora?

- Albo sponsorkę - odparł.

Żadne z nas nigdy nie słyszało, by Tarik, równie gładki i ładny jak jego ubrania, umawiał się z kimkolwiek, facetem, dziewczyną, zwierzątkiem czy roślinką.

Panowie dosiedli się do nas i zamówili po piwie; na stole stały już chipsy i salsa, a także talerz fasolowych burros, przeznaczonych do wspólnego jedzenia. Stuart cały czas wpatrywał się w długą szyjkę butelki piwa, jakby szukając tam odpowiedzi na swe pytania; naprawdę nie chciałam go o to pytać, szczerze, z głębi duszy nie miałam na to ochoty, lecz wreszcie nie zostało mi nic innego.

- O co chodzi, kochanie?

- O Kima McGory'ego - odrzekł.

- Czy to ten facet, który zabił wszystkich swoich gości po obiedzie z okazji Święta Dziękczynienia? - wtrąciła radośnie Jeanine.

- Jest moim klientem - rzekł Stuart.
- Dostał odroczenie wyroku - wyjaśnił Tarik. - Biegły psychiatra...
- Otruł wszystkich, nieprawdaż? - nalegała Jeanine. - Czy dobrze kojarzę faceta? Powiedział, że to botulizm...
- Wcale tego nie powiedział - odparł Stuart słabo. - W ogóle nic nie powiedział. Przez dwa tygodnie leżał w szpitalu... Ktoś inny zatrzał mięso...
- Nie, Stuarcie... przecież ja o tym czytałam - powiedziała Jeanine. - Podobno napastował swoje wnuczki, a sam przedawkował aspirynę czy coś podobnego. Tak naprawdę wcale nie chciał się zabić...
- No, cóż, Jeanine, nigdy nawet nie usiłuję sprzeczać się z mediami. Jednak dziś Kim naprawdę usiłował popełnić samobójstwo.
- Co takiego? - zapytałam. - Przecież powiedzieliście przed chwilą, że dostał odroczenie...
- Bo on wcale nie chce ponownego przesłuchania biegłych, wcale nie zależy mu na powoływaniu następnego psychiatry - kontynuował Stuart cichym głosem. - Odkąd pamięta, jego matka była co jakiś czas zabierana do szpitala psychiatrycznego; kiedy miał sześć lat, podpaliła ich dom, a prawo do opieki nad nim dostała babka, która zmuszała go do mieszkania w końskim boksie...
- Wszystkie te historyjki są strasznie wzruszające. - Jeanine uśmiechnęła się i uniosła szklaneczkę z Weneckim Sutkiem w stronę Tarika; obaj panowie wzruszyli ramionami - w powietrzu wyczuwało się napięcie, rozdźwięk między ich zdesperowaniem a lekko zaprawioną alkoholem irytacją Jeanine. Usiłowałam jakoś dać jej do zrozumienia, by zaczęła flirtować z Tankiem, a sprawę skazańca zostawiła w spokoju, lecz na próżno. Miała ochotę się czegoś czepić i sprawa była już z góry przegrana. - Dzieci z tej rodziny, która umarła po obiedzie ugotowanym przez Kim, zapewne także wiele przeszły...
- W rzeczy samej, Jeanine - odpowiedział Stuart. - Napastowanie dziecka przez rodzica jest przekleństwem przekazywanym z pokolenia na pokolenie.
- No, cóż... Kim zadbał, by następne pokolenia nie cierpiały.
- Powinnaś zostać jego obrońcą, Jeanine - rzekł Stuart nieprzyjemnie. - Jego wcześniejszy adwokat był tak strasznym kretynem, że powiedział w sądzie mniej więcej to, co ty teraz.
- A pewnie, że musiał być skończonym kretynem, skoro podjął się obrony faceta, który otrął całą swoją rodzinę, o sąsiadach nie wspominając.
- Ale ty jesteś od niego mądrzejsza, co, Jeanine? Jesteś doskonale

poinformowaną obywatelką, tak? - ciągnął Stuart. - Więc do twojej wiadomości: Kim nigdy nie przyznał się do zamordowania kogokolwiek... i nigdy nie udowodniono mu winy, a w chwili obecnej bardzo możliwe, że śmiertelny zastrzyk wcale nie będzie mu potrzebny, bo doskonale się sobą zajął.

- Cóż za niepowetowana strata dla społeczeństwa!

- Rozchmurz się, Jeanine! Kim zapadł w śpiączkę i nikt nie wie, jak długo wisiał w celi na jednej z tych gumowych lin do ćwiczeń gimnastycznych. Strażnicy jakoś nie zwracają większej uwagi na więźniów w celi śmierci... zwłaszcza gdy tak sobie dyndają z kraty w oknie, wiesz?

- Stuart... - zaczęłam prosząco.

- Oj, Anne, nie muszę wysłuchiwać tych bzdur... Ale Jeanine mu przerwała.

- Dlaczego państwo nie zacznie wydawać pieniędzy na umożliwienie lepszego życiowego startu dzieciakom, żeby nie zostały seryjnymi zabójcami, zamiast marnować je na...

- A gdzie przebiega linia graniczna? Od którego pokolenia powinniśmy zacząć? Czy trzynaście lat to za mało? A może siedemdziesiąt za dużo?

- Jesteś zaślepionym liberałem, Stuarcie - mruknęła Jeanine; w tej chwili łokieć osunął się jej po blacie stołu, puknął w kieliszki i omal nie rozwalił naszej starannie ustawionej piramidy.

- Masz wyjątkowo silne poczucie sprawiedliwości społecznej, jak na pracownika agencji adopcyjnej, Jeanine - burknął.

- Oj, zamknijcie się - wtrąciłam się, patrząc to na jedno, to na drugie. Ta kłótnia nic a nic nie sprzyjała mojemu trawieniu; zastygająca na talerzu fasolka i chipsy wyglądały dla mnie w tej chwili równie zachęcająco, jak haggis*, i choć wiedziałam, że powinnam coś zjeść, nie mogłam się do tego zmusić. Przed oczyma widziałam tylko światło odbijające się od piramidy kieliszków.

A potem, nagle, Stuart wstał od stołu i wyszedł z restauracji, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

- Wróci - mruknął Tarik.

- Albo i nie - odparłam ponuro. - Mam nadzieję, że tak będzie lepiej. Jednak wiedziałam doskonale, że nie mam wyboru, że muszę iść za nim. Jednak mówiąc szczerze, w tamtej chwili nie miałabym nic przeciwko pożyczeniu od Kima McGory'ego gumowej liny i uduszeniu nią

*** Haggis - tradycyjna potrawa szkocka z podrobów baranich ugotowanych z kaszą (przyp. tłum.).**

zarówno Stuarta, jak i Jeanine. Tarik zaczął mówić, że odprowadzi Jeanine do domu, ale zapewniłam go, że tylko przejdziemy się po okolicy; to powinno ostudzić gniew Stuarta. Na zewnątrz było wspaniale; nastąpiła jedna z tych nocy, dzięki którym ludzie uwielbiają Teksas - tropikalna, gorąca niczym dojrzały owoc, lecz jednocześnie bez wilgoci niesionej przez lato. Niepotrzebny był sweter, lecz lekki wietrzyk przypominał, że chłód należy doceniać; z mroku pod cieniłą galerią ktoś grał na gitarze starą piosenkę „Por un amor”. Ujęłam Stuarta pod ramię i zaczęłam coś paplać o tym, jak to każdy z nas miał ciężki dzień; w rzeczy samej nawet ja miałam fatalny dzień - zaczęłam mu go dokładnie opisywać, dopóki nie zobaczyłam przerażenia w szeroko otwartych oczach. Jego zmartwienia zawsze były poważniejsze od moich nieszczęść; jego życie zawsze było trudniejsze niż moje. Poza tym, mimo iż miałam przebłyski trzeźwości, ruchy moich rąk i nóg nie mogły się zsynchronizować. Zatrzymałam się w pół kroku i podniosłam wzrok. I nagle zobaczyłam ten dom. Rudera z czerwonej cegły, miszmasz wszystkich możliwych stylów, jakby żywcem wzięta z podrzędnego horroru.

- Ten dom ma więcej skrzydeł niż Buffalo w sobotnią noc - mruknął Stuart, odprężając się nieco pod wpływem kojącego chłodu nocnego powietrza.

Projektant budynku spieprzył dokumentnie całą robotę - ponad wysokimi oknami wisiały całe jarzy kamiennych okapów rzeźbionych w fantastyczne wzory, żelazne poręcze dokoła balkonów oplatało dzikie wino, pnące się aż od gałęzi drzew rosnących w ogrodzie. Trawnik od frontu wyglądał jak pole bitwy; Stuart powiedział później, że niemal spodziewał się tam znaleźć zakopany samochód terenowy. Na chodniku wiodącym od furty do schodów leżało kilka zmaltretowanych skrzynek na listy.

- Najwyraźniej od dawna nikt tu nie mieszka - zauważył, po czym dodał spokojnie; - Dlaczego masz takich okropnych znajomych?

- Wcale nie mam okropnych znajomych - odparłam. - Dlaczego ty masz tak straszne maniery?

- Ona jest tak strasznie... pospolita, Anne. Wszyscy powtarzają „Dlaczego nie wydaje się więcej pieniędzy na dzieci zamiast na utrzymanie więźniów?” Jakby to naprawdę były równoważne możliwości; no, wiesz... niczym adopcja lub aborcja.

- Stuarcie, to są akurat poglądy ogółu społeczeństwa. Nikogo nie interesuje, czy ktoś, kto zamordował całą swoją rodzinę, miał trudne dzieciństwo.

- Wiesz, co mi ten dom przypomina? - zapytał nagle Stuart, jakby zupełnie nie słyszał tego, co powiedziałam.

Od razu zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Tak. Wiem.

- On wygląda zupełnie tak samo, jak ten ogromny stary dom z filmu „Cudowne życie”.

- Masz rację. Dokładnie tak. Mary i George wracali do domu z tańców i temu, które pierwsze zbiło szybę, spełniało się życzenie... - Stuart już zdążył podnieść z ziemi nieduży kamień; zawsze miał dobre oko, tym bardziej że regularnie grał w drużynie koszykarskiej złożonej z adwokatów naszej palestry, jednak nie udało mu się zbić ani jednej szyby. Właśnie podnosił z ziemi drugi kamień, gdy go powstrzymałam.

- Hej, zaczekaj! To nie w porządku, teraz moja kolej!

Z początku popatrzył na mnie tak, jakby mnie obok niego wcale nie było. Dopiero wtedy zrozumiałam, że on nie odtwarza scen ze starego filmu Capry, lecz odreagowuje swój gniew, swą chłopcę wściekłość. W tym momencie zza chmur wyszedł księżyc i oświetlił wysokie frontowe okna, za którymi - jak postanowiłam - znajduje się moja sypialnia. Stuart był uczciwym partnerem i podał mi kamień; przypomniał jednocześnie, by brać zamach, angażując również ramię, a nie rzucać tylko, że tak powiem, z nadgarstka. Trafiłam prosto w szybę, której wymiana kosztowała mnie potem ponad sto dolarów. Odwróciłam się do Stuarta i klepiąc się z uciechy po udach, zawołałam:

- Ha! Tak to się właśnie robi! Teraz spełni się moje życzenie! Ale on tylko spoglądał gdzieś ponad moim ramieniem, z niepokojem na twarzy.

- Co takiego? - wyszeptalam, po czym obróciłam się na pięcie i omal nie zderzyłam się z ogromnym blondynem, który niósł w ręku wielki, zastrzony kołek. Mało brakowało, a walnęłabym go czołem w okolice pasa. Zerknęłam do góry i cofnęłam się o kilka kroków, sięgając po rękę Stuarta; potem z ulgą zdałam sobie sprawę, że to nie Tarzan przyszedł, by bronić swego siedliska... Potężny blondas niósł w ręku jakiś znak i miał na sobie granatowe ogrodniczki, i czapeczkę baseballową. Zwykły, wielki teksański chłopak. Żaden potwór.

- Nie powinna pani tak psuć czyjegoś domu - odezwał się. - To bardzo nieładnie.

Czyżby Lenny*?

*** Lenny - niedorozwinięty umysłowo bohater powieści Johna Steinbecka „Myszy i ludzie” (przyp. tłum.).**

- Przepraszam - powiedziałam pospiesznie. - Po prostu się wygłupialiśmy... My chętnie... zapłacimy za szkody.

Blondyn spojrział na zwieszające się z balkonów wino.

- Nie wiem, komu miałyby pani zapłacić. Właścicielka...

- Taak?

- No, cóż... nie żyje, proszę pani - odparł, wbijając w ziemię znak „Na sprzedaż”, tuż obok jednej ze skrzynek pocztowych leżących na trawniku.

- Czy pan jest jej synem? - zapytałam idiotycznie, usiłując posortować nowo nabyte wiadomości.

- Nie... ja po prostu zajmuję się naprawami i takimi tam robotami w okolicy.

Niektórzy ludzie mają tu piękne ogrody... doglądam ich. Ta pani, co tu mieszkała, miała naprawdę śliczne roślinki, szkoda patrzeć, jak się wszystko rujnuje. Ktoś to pewnie wykupi i postawi sklep albo inne cholęstwo.

Nadal czujny, lecz już spokojniejszy, Stuart zapytał:

- Od jak dawna ten dom stoi opuszczony?

- Nie wiem - odrzekł blondyn. - Chyba z pięć lat. Stara pani na pewno żyła jeszcze, gdy chodziłem do college'u... a to było jakieś osiem, dziewięć lat temu... Ale dom nie wytrzyma zbyt długo w tym klimacie, jeżeli ktoś się nim nie zajmie.

- Czy ona... miała jakąś rodzinę?

- Nigdy nikogo nie widziałem. Chyba ktoś wreszcie postanowił sprzedać dom... w środku jest naprawdę piękny, a tu - wskazał na trawnik z walającymi się skrzynkami pocztowymi - był kiedyś wspaniały ogród. - Nawet w ciemnościach widziałam uśmiech na jego twarzy. - Rosły tu hibiskusy, kaktusy... i takie pomarańczowe kwiatki znad Rio Grandę. Widzicie tamto drzewo, które ma pień tak samo zielony jak gałęzie? To paloverde. Wszędzie też rosną pierwiosnki. Ja mieszkam o dwa domy stąd... ogrodnictwo jest moją pasją, lecz nawet ja nie wyhodowałem tak wspaniałego ogrodu. Czy tyle przestrzeni, co tutaj...

- Już wyobrażam sobie ten dom... i ogród - powiedziałam cicho, na co Stuart spojrział na mnie dziwnie. Stanie w pionie sprawiało mi nieco kłopotów. - Coś mi się wydaje, że kupię ten dom, Stuarcie. Nie sądzisz, że powinnam tak zrobić? Ile on może kosztować?

- Nie mam pojęcia, proszę pani, ale na pewno niezbyt wiele. Wpadłem dziś po południu na agenta z biura pośrednictwa handlu nieruchomościami... właśnie spieszył się na mecz baseballowy swego synka... i poprosił mnie, bym wbił tu ten znak...

- Cóż za mile stosunki sąsiedzkie - mruknął Stuart; niezbyt grzecznie, jak mi się wydawało.

- Oceniając według mego domu - ciągnął tamten - sędzę, że może... jakieś sześćdziesiąt tysięcy. Ale... tu trzeba włożyć mnóstwo pracy.

- No, cóż... moglibyśmy...

- My? - zapytał Stuart. - Nie to mówiłaś. Powiedziałaś, że to ty mogłabyś kupić ten dom!

- Ale miałam na myśli nas - odparłam. - Stuarcie, chcesz kupić dom? Ze mną na spółkę? - Odwróciłam się i odchylając głowę do tyłu, spojrzałam blond olbrzymowi w oczy. - Co to za typ domu?

Odsunął z czoła swą baseballową czapkę.

- To styl królowej Anny.

- Widzisz? - Odwróciłam się do Stuarta. - Jesteś zadowolony?

- Niby co mam widzieć, Anne? - zapytał.

- Spójrz tylko na adres... czterdzieści czterdzieści... a jaka to ulica?

- Azalea Road.

- Czterdzieści czterdzieści Azalea Road, a ja niedługo skończę czterdzieści lat. I rozbiłam szybkę... i... i... rozmawiałam dziś z naczelnikiem więzienia Solamente River; powiedział, choć się z tym nie zgadzam, że nie trzeba robić wszystkiego tylko dlatego, że jest to możliwe...

- O co ci chodzi? - spytał Stuart lodowato.

- O to, że w luźnej interpretacji oznacza to, że nie powinno się unikać robienia pewnych rzeczy... tylko dlatego, że można wymyślić tysiąc argumentów przeciwko nim.

- Anne, niepotrzebny nam dom. Nawet jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy się...

- Przestań. Chcę mieć ten dom! - Miałam ochotę usiąść na frontowych schodkach i płakać jak dziecko. - I chcę wrócić już do Amor Ausente.

- Ja także lubię tę restaurację - wtrącił blondyn. - A tak przy okazji, nazywam się Charley Wilder. Moja matka i jeden z braci mieszkają tu w okolicy. A czym wy się zajmujecie?

- Ja jestem prawnikiem - rzekł Stuart.

- Ja także - dodałam.

- Para prawników? - Dosłyszałam pełen irytacji pomruk Stuarta, lecz miałam nadzieję, że ten miły dzieciak nic nie usłyszał; Stuarta czasem złościł spokój i powolność rodowitych mieszkańców Teksasu. - Para, która mieszka naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, także zajmuje się prawem... Choć obaj to mężczyźni... - Stuart prychnął tym razem głośno, lecz ja nagle odniosłam dziwne wrażenie, że blond ol-

brzym drażni się z nim i cały czas trzyma mocno wodze konwersacji. -A właściciel Amor Ausente mieszka tam... - zdjął czapkę i jasne włosy rozsypały mu się dokoła twarzy - ...zaraz za rogiem ulicy.

- Nigdy go nie poznałam - przyznałam Charleyowi Wilderowi - ale często u niego jadamy... i chodzimy na drinki. - To ostatnie było najprawdopodobniej oczywiste.

- Ramon... właściciel nazywa się Ramon, a nazwa restauracji znaczy „Stracona Miłość”... pewnie znacie tę historię?

Odwrociłam się do Stuarta.

- Przecież powiedziałaś mi, że to oznacza „Smutnooka...”

- Anne, powiedziałem to tylko dlatego, że ciągle zadawałaś mi pytania. Znasz hiszpański lepiej ode mnie, wiesz, co znaczy *amor*.

- Ale dlaczego ci uwierzyłam?

W tym momencie wtrącił się Charley:

- Facet otworzył restaurację, gdy jego żona uciekła z kowbojem... -1 teraz je, by zapomnieć - rzekł Stuart.

- Hej, to moja kwestia!

- Przepraszam bardzo - przerwał nam Charley. - Czy mam zostawić tu ten znak?

- Pewnie będziemy rzucać w niego kamieniami - odparłam.

- Albo w siebie nawzajem - dodał Stuart.

Charley wbił kołek w ziemię kilkoma potężnymi uderzeniami.

- No, cóż... tym razem sami to między sobą załatwcie - mruknął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ARLEY

Rano musiałam pracować, choć było mi niedobrze jak psu, który na-żre się trawy. Elena wpadła do pracy mniej więcej o tej samej porze co ja, lecz wyglądała, jakby ostatnią noc spędziła w salonie piękności, z włosami upiętymi nad jednym uchem i wysokimi kośćmi policzkowymi podkreślonymi jasnym różem. Przez pierwszą godzinę zrobiła całe mnóstwo idiotycznych rzeczy - na przykład umyślnie zepchnęła z baru dwie szklanki z zamówionymi przez moich klientów napojami, oblała mnie ketchupem i rozmawiała głośno po hiszpańsku z chłopakiem, który zmywa naczynia, Eduardem, pokazując na mnie palcem, ile razy zerknęłam w ich stronę. Jednak nie dałam jej poznać, że cokolwiek zauważam.

Po prostu powiedziałam Cully'emu, że talerze są niedomyte; nie pozwoliłam, by jej zachowanie mnie ubodło. Annie powtarza, że jestem bardzo opanowana... ale czasem mówi, że siedzi we mnie demon. Chyba ma rację. To pewnie bierze się stąd, że tak wiele czasu spędzam w samotności; kiedy ludzie mnie popychają albo są niemili, w pewnym momencie po prostu przestaję to zauważać. Zupełnie jak w bieganiu: po pokonaniu jakiejś mili stwierdzasz nagle, że mogłabyś biec tak w nieskończoność, gdyby nie fakt, że by cię to zabiło.

Tamtego ranka w pracy nagle poczułam rozbawienie, gdy obserwowałam, jak Elena aż się skręca, bym wreszcie zauważyła jej sztuczki. Starłam się po prostu zapomnieć o wydarzeniach poprzedniej nocy i wymyślić, co mam napisać do Dillona, by wreszcie mi odpowiedział. „Jadę się z tobą zobaczyć. Jeżeli nie chcesz, odpisz jak najszybciej”. Kiedy już się na to zdecydowałam, wcale nie czułam się opanowana czy pewna siebie, lecz usiłowałam zachować pozory. W ten sposób bardzo szybko nauczyłam się udawać pewność siebie w różnych sytuacjach, znacznie groźniejszych niż ta.

W czasie przerwy poszłam na róg Alameda i Honora Street - którego nie widać było z restauracji - i zadzwoniłam do Connie G,

- Arley - usłyszałam w słuchawce jej głos. - Kochanie, nic ci nie jest?

Wstrzymałam oddech; to szaleństwo, pomyślałam. Chyba że Elena opowiedziała siostrze o Camie i całej reszcie.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałam powoli. - Naprawdę, wszystko w porządku, Connie.

- Wiem, że byłaś tam wczoraj wieczorem. Młodsza siostra Tiny Se-corry, Allie, powiedziała mi, że widziała tam ciebie i Cama. Wiem też, że Elena bardzo lubi tego chłopca, Erica... Albo lubiła. Podejrzewam, że teraz już nie będzie się z nim spotykać...

To było jak szalony wiatr ze wzgórz, o którym opowiadała nam pani G.; sprawiał, że Apacze zabijali swych braci pod osłoną nocy. Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Czy naprawdę aresztowanie kogoś nieletniego za picie jest takie straszne? A potem przypomniałam sobie o szybie pikapa i światłach ambulansu.

Musiałam ją o to zapytać, choć tak naprawdę wcale nie chciałam wiedzieć.

- Czy widziałaś coś z tego? - spytała Connie. Odparłam:

- Connie, wiem, co Elena sobie myśli, ale ja naprawdę nic nie widziałam.

- A ona? Czy ona widziała?

-Ja... chyba... Dlaczego jej nie spytasz?

- Nawet nie wiedziałam, że się zdarzyło podobne nieszczęście, dopóki nie przyszedłam do pracy.

-Aha.

- Czy Elena wie? Czy to Cam odwiózł was do domu?

- Pojechaliśmy autobusem... - Dopiero teraz zrozumiałam, że chodziło jej o wypadek. Dzięki Ci, Boże - pomyślałam opierając się o chłodne szkło budki telefonicznej. Było lodowate, a kurtkę musiałam zostawić w domu, w pralce, gdyż cała przesiąkła wymiocinami. - Nawet nie wiem, który z dzieciaków oberwał...

- Dziewczyno! Jeden z chłopców Nevada.

Żołądek mi się skurczył gwałtownie. Przypomniałam sobie odgłos motoru podjeżdżającego w nocy pod dom.

- Ricky czy Gary?

- Nie, nie oni... jeden z ich kuzynów. Corty. Ten, co mieszka nieopodal naszego domu.

- Nawet go nie znam. Zawieźli go do szpitala? Czy może tylko na posterunek policji? Ile ma lat?

Connie milczała tak długo, że wystraszyłam się, iż połączenie zostało przerwane.

- Arley - odezwała się wreszcie, tak łagodnie, że wiedziałam, iż cokolwiek powie, będę przez to płakać. - Arley, zabrali go do kostnicy, dziewczyno. Nieomal oderwało mu głowę...

- Co takiego?

- Wywiesił się przez okno od strony pasażera z wozu ojca tego Erica Doreya...

jakiegoś forda, kabrioleta... Dzieciak o nazwisku Raiford wyprowadził go z garażu i jeździł nim dokoła podjazdu przed domem... a potem inny dzieciak, nie pamiętam nazwiska, lecz w wiadomościach mówili, że nie miał jeszcze szesnastu lat, otworzył drzwi od pikapa, które prawie oderwały głowę Corty'ego Nevady od jego ciała...

- Nie chcę słyszeć już nic więcej! - wrzasnęłam. - Och, biedny, biedny Corty. Biedny Erie. To taki dobry chłopak...

- Wiem.

- A przecież on tylko pił, nic więcej. Nie robił nic poza tym. Dobry Boże... trzeba powiedzieć Elenie. Nie... chwila, ty zadzwoń i jej to powiedz, okay?

- Dlaczego, Arley? Co się stało?

- Nic! Nic! Po prostu ja nie mogę jej tego zrobić, a ona o niczym nie wie. A jeżeli wie, to chyba oszalała, bo od rana śmieje się do rozpuku.

- Arley, jesteś za młoda, by chodzić na takie przyjęcia...

- Tak! - odparłam. - Wiem o tym!

- Kochanie, czemu do mnie zadzwoniłaś?

Byłam tak zdenerwowana, że musiałam mocno przygryźć wargi, by powstrzymać ich drżenie.

-Ja... uch... chciałam wiedzieć, kiedy będziesz następnym razem jechać do Solamente River.

- Hmm... w następną sobotę.

- Zostajesz tam na noc? W motelu, na przykład?

- Nie, wracam tego samego dnia. Pozwalają tylko na godzinne wizyty.

- Jedziesz tam samochodem?

- Nie mam samochodu, Arley, a ten należący do Gracie jest obecnie w warsztacie. Jadę autobusem... Greyhoundem.

- Czy mogłabym pojechać z tobą?

- To publiczny środek transportu.

- Och, okay, okay.

- Przepraszam cię, Arley, kochanie. Jasne, że możesz jechać ze mną. Więc chcesz się zobaczyć z Dillonem?

- Chcę... chcę... - Dopiero wtedy zrozumiałam, jak strasznie mi na tym zależy. - Connie, tylko nie mów Elenie, że jadę z tobą. Nic jej nie mów. Chcę jej sama wszystko wyjaśnić, okay?

- Okay - odparła łagodnie. - Więc to dlatego on tak bardzo o ciebie wypytywał...

- Wypytywał o mnie?

- No, nie osobiście, ale przesłał mi liścik przez Kevina. Chciał wiedzieć o tobie jak najwięcej, czy masz na stałe jakiegoś faceta i takie tam... Powiedziałam Kevinowi... no, cóż... wtedy nie miałam pojęcia, co ty o tym myślisz.

- Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że dorosły facet w wieku Dilbna nie powinien tak bardzo interesować się dziewczynką z pierwszej klasy liceum.

Ocet, którym nasiąkły kanapki zeszłego wieczora, podszedł mi do gardła i musiałam pochylić się, by wypluć cały ten niesmak. W tej samej chwili zobaczyłam pana Justisa, opierającego się o słup sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu. Widząc, że coś jest ze mną nie w porządku, ruszył w moją stronę, więc odwróciłam się od niego, oparłam o ścianę budki i przymknęłam oczy. Nogi się pode mną ugiwały, zupełnie tak jak gdy wypiliśmy za mało wody przed treningiem. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, jak staruszek odchodzi w drugą stronę.

- ...wydaje mi się, że to nikomu nie wyrządzi żadnej krzywdy; w końcu nie pozwalają na nic, oprócz rozmowy - mówiła Connie. - Poza tym właściwie to moja wina, bo ja ci o nim opowiedziałam na samym początku...

- Powiedziałaś mu, że mam dopiero czternaście lat?

- Co takiego?

- Muszę lecieć, Connie - odparłam. - Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze? Tu jest... strasznie gorąco.

Odrzuciłam słuchawkę, która nawet nie spadła na widełki, lecz dyndała na drucie, i popędziłam z powrotem do restauracji, jakby mnie wszyscy diabli z piekła gonili. Nie biegłam dłużej niż dwie minuty, ale jeszcze nie weszłam do środka, gdy Elena wypadła na dwór, cała zapłakana, z potarganymi włosami, i złapała mnie w pół, omal nie wytrącając z równowagi. Jak Connie udało się tak szybko do niej zadzwonić?

- Przepraszam - łkała moja najlepsza przyjaciółka. - Tak mi przykro! Byłam na ciebie wściekła, chciałam się na tobie odegrać za to, że masz przede mną tajemnice... przepraszam, że zachowałam się jak

idiotka, z Camem... Och, Boże, słyszałaś, co się stało z Cortym? Och, Boże, Arley... Erie Dorey pójdzie za to do więzienia... Wszystko zdarzyło się w jego domu... Tuliłam się do niej i też płakałam jak bóbr, wdychając waniliowy zapach jej włosów niczym tlen prosto z butli; ulżyło mi, że moja najlepsza przyjaciółka nadal pachnie tak samo i tak samo mocno tuli. Jednak szczerze mówiąc, tylko na wpół płakałam z powodu naszej kłótni i śmierci Corty'ego Nevady; nic by mnie nie obeszło, gdyby każdy chłopak w powiecie Bexar roztrzaskał sobie głowę jak dojrzały melon! Płakałam, gdyż byłam pewna, że Dillon nienawidzi mnie za wszystkie kłamstwa, których mu naopowiadałam, i że już nigdy do mnie nie napisze; zdałam sobie sprawę, że jakiś czas temu cały mój świat zaczął krążyć wokół Dillona i że bez niego nie poradzę sobie.

Nie mogłyśmy przestać płakać, nawet gdy wróciłyśmy do pracy i wycierałyśmy stoły, więc Ginny Jack zwolniła nas wcześniej do domu. Dzień skończyłyśmy, jedząc lody w centrum handlowym Alamo Plaza; Elena pomogła mi ułożyć list do Dillona, choć cały pomysł nadal niezbyt się jej podobał, a zwłaszcza - jak to ujęła - „moje nagabywanie go”. Zaproponowała tekst, był wprost genialny: „Wiem, że wiesz już o wszystkim i bardzo cię przepraszam, jednak ludzie sporo ode mnie starsi popełniali znacznie większe błędy z powodów znacznie mniejszych. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, ale pewnego dnia będziesz z tego zadowolony”.

- A co to ma niby znaczyć? - zapytałam.

- To znaczy, że nigdy jeszcze nie spałaś z żadnym chłopcem. Pewnie będzie chciał być tym pierwszym dla ciebie.

- Ellie, ja nie zamierzam iść z nim do łóżka!

- Pewnego dnia zechcesz. Jeżeli go kochasz... mam na myśli, za pięć lat, gdy wyjdzie na wolność.

- A czy ty... zamierzasz zrobić to z Camem?

Zlizła odrobinę lodów waniliowych z górnej wargi, i zdjęła opaskę z włosów, które rozsypały się za nią tak, jak na reklamach szamponów w telewizji - nigdy nie widziałam, by komukolwiek włosy układały się w ten sposób.

- Nie wiem - odparła. - Chyba nie. Bo może po tym nie chciałabyś się już ze mną przyjaźnić. Ale on jest... podniecający.

- Wy prawie...

- Nigdy jeszcze nie posunęłam się tak daleko jak wczoraj wieczorem, Arley...

- Wyglądałaś tak, jakbyś doskonale wiedziała, co robisz...

Z niesamowitą szybkością złapała okruszek wafelka, zanim upadł na moją nogę.

- Więc jednak widziałas!

- Nie! Wcale nie!

- Widziałas! Bądź ze mną szczerą...

- Okay, trochę widziałam... Niby co miałam zrobić? Wrzasnąć: „Hej, już jestem!”

- Tak się zastanawiam - odezwała się Elena, z powrotem ściągając włosy - jak to jest być martwym? - Na jej twarzy nadal znajdowały się smużki rozmazanego od płaczu tuszu do rzęs, lecz jakoś nie wyglądała na bardzo smutną, gdy zadawała to pytanie. Raczej na podnieconą, jakby wiedziała, że powinna przestać, lecz nie mogła się do tego zmusić. I wtedy zaczęliśmy rozmawiać o Cortym, dzieciaku, którego żadna z nas nigdy nie widziała i nigdy już nie zobaczy, i o tym, jak to jest, gdy coś odrywa ci głowę od ciała. W jednej chwili widzisz i słyszysz wszystko, a w następnej cię nie ma. - A potem podobno unosisz się ze swego ciała i widzisz je, poszarpane, leżące na ziemi...

- Gdy o tym pomyślę, robi mi się niedobrze - odpowiedziałam.

- Myślisz, że to się czuje? - zapytała Elena. - Kiedy już nie żyjesz? Czy czujesz wszystko duszą? Myślisz, że on przyjdzie na swój pogrzeb i będzie patrzył, jak wszyscy płacemy?

Powiedziałam, że nie mam pojęcia. Wiedziałam jednak, że już przewyciężyliśmy przerażenie i poczucie winy związane ze śmiercią i powoli dochodziłyśmy do punktu, w którym zaczyna się nam ona podobać. Pierwszy raz zetknęłyśmy się z makabryczną historią, którą dzieciaki w szkole będą sobie opowiadać przyciszonymi głosami jeszcze przez wiele miesięcy, a może nawet lat. Ludzie będą nas wypytywać; w końcu bawiłyśmy się tam... wstyd mi na samą myśl o tym, w jakim wtedy znajdowałyśmy się stanie.

Autobus się spóźnił, więc jakiś czas później zdjęłyśmy nasze buciki i białe skarpetki, by poopalać nogi; siedziałyśmy na brzegu ogromnej fontanny, pośrodku której marmurowa dama trzymała na ręku orła. Nagle Elena syknęła do mnie:

- Arley! Za tobą! Zobacz, co ten stary kretyn wyprawia!

Miała na myśli pana Justisa; w jednej ręce trzymał wyświechtaną czapeczkę Spursów, a drugą niby wodził po powierzchni wody, lecz tak naprawdę wyjmował monety, które ludzie powrzucaли do fontanny. Nieraz widziałam, jak zakochane pary albo dzieci z rodzicami przychodzą tu, stają tyłem do fontanny i rzucają za siebie drobne, żeby życzenia im się spełniły.

- Udawaj, że go nie widzisz - dodała EJena, prawie wcale nie poru-

szając ustami, jak prawdziwa brzuchomówczyni. Ale nie potrafiłam udawać; tego dnia zbyt wiele się wydarzyło i wszystkie moje uczucia znajdowały się tuż poniżej punktu wrzenia, przy samej powierzchni. Wstałam i palnęłam bez zastanowienia:

- Panie Justis, poznaje mnie pan? Jestem Arley Mowbray. Niech pan tego nie robi, okay? Tak nie można.

Poderwał wzrok i spojrzał na mnie; usta mu się otworzyły, a zaraz później mocno zacisnął powieki, jakby go słońce poraziło.

Oczywiście, natychmiast pożałowałam swoich słów - wystarczyło mi spojrzeć na jego minę. Pobladł tak straszliwie, że nawet zaczerwienione z przepicia policzki wydały mi się naraz źle umalowane. Dokładnie w ten sam sposób można określić po fotografii, jak jakieś dziecko będzie wyglądać, gdy dorośnie; w ciągu ułamka sekundy zobaczyłam pana Justisa tak, jak musiał wyglądać za młodu, gdy jego organizm potrafił jeszcze oprzeć się alkoholowi - był pewnie przystojny, szczupły i śniady, o oczach w kolorze swoich spłowiałych dżinsów.

- Przepraszam - dodałam pospiesznie. - Bardzo pana przepraszam, proszę, niech pan weźmie... - Wyrzebałam z kieszeni kelnerskiego mundurka kilka dolarów i parę miedziaków, pieniądze z dzisiejszych napiwków. - Bardzo proszę, niech pan to weźmie...

- Czyś ty oszalała?! - ryknęła Elena.

- Przepraszam. - Ułożyłam pieniądze na marmurowym obrębie fontanny. - Przepraszam, że to zobaczyłam, i bardzo mi przykro, że wprawiłam pana w zażenowanie.

- Arley - powiedział cicho pan Justis. - Nie powinnaś tego robić. Jestem chory, to wszystko. Przykro mi, że mnie na tym przyłapałaś.

- To nie pańska wina.

- Przecież wiesz - odrzekł ze smutkiem, bardzo powoli - że to wyłącznie moja wina.

- Proszę, niech pan weźmie pieniądze - błagałam; zobaczyłam, jak pan Justis się prostuje, a drobne monety wypadają z jego dłoni z powrotem do fontanny.

- Nie, Arley - rzekł. - Nie mogę tego zrobić.

- Znowu pan wszystko psuje! - krzyknęłam. - Najpierw usiłował pan wykraść te wszystkie życzenia innych ludzi...

- Arley, czy ty zupełnie zwariowałaś? - wrzasnęła ponownie Elena, z wyrazem absolutnego niezrozumienia na twarzy.

- A teraz chce pan mnie wprawić w zakłopotanie, bo nie ma pan pieniędzy! To nie w porządku. Niech pan je weźmie! Niech mi pan wyświadczy tę przysługę!

Zepchnęłam pieniądze z fontanny na ziemię; w tej chwili Elena pociągnęła mnie za rękę, gdyż właśnie na przystanek podjechał nasz autobus. Popędziłyśmy do niego jak szalone, z białymi bucikami dyndającymi na szyjach. Pan Justis patrzył za nami, stojąc z rękoma opuszczonymi po bokach.

Jednak gdy już siedziałyśmy w autobusie, zza przyciemnionej szyby zobaczyłam, jak podnosi moje pieniądze i ostrożnie wkłada do kieszeni spodni. Kiedy autobus odjeżdżał z przystanku, uniósł czapeczkę, jak gdyby mi salutując, i uśmiechnął się szeroko.

- Oddałaś mu całą dniówkę - warknęła Elena.

- Jest biedny i chory, a poza tym... na świecie i tak pleni się tyle zła - dokończyłam między jednym szlochem a drugim.

- Powinien po prostu zabrać te miedziaki z fontanny. Poza tym miasto łoży na ich utrzymanie.

- Czyje?

- Biedaków.

- Przecież nie mogłam mu na to pozwolić! To wróżyłoby nieszczęście! Nigdy więcej nie dostałabym żadnego listu od Dillona! Zdarzyłoby się coś okropnego... to znaczy coś jeszcze, oprócz tego wypadku! Przecież wiesz, że nieszczęścia chodzą parami... Oczywiście, nie wierzyłam w takie przesady, ale miałam dość wszystkiego.

Przecież skończyłam zaledwie czternaście lat; muszę o tym pamiętać. Dopóki nie wydarzył się tamten okropny wypadek, nigdy nie łączyłam śmierci z osobami w moim wieku. Szczerze mówiąc, nawet po tamtej tragedii nie bardzo to do mnie docierało. Wypadek Corty'ego był jak śmierć na filmie - dramatyczny, lecz odległy. Tamtego popołudnia w parku, gdy wraz z Eleną biegłyśmy do autobusu, zostawiając za sobą staruszkę Justisa i tragedię minionej nocy, schowałyśmy myśli o śmierci do kieszeni wraz z pończochami i siatkami na włosy. Ukryłyśmy jak napiwki w kieszonkach fartuszków i zapomniałyśmy o nich, dopóki nie zrozumiwałyśmy, jak straszny sekret nosimy.

Oczywiście nieszczęścia chodzą parami; nie miałam wtedy jeszcze pojęcia, jak szybko i dobitnie przekonam się o tym... nie wiedziałam, jak szybko przyjdzie mi znowu myśleć o śmierci i odpowiadać na pytania jej dotyczące. Już wkrótce nie miałam wyboru, mogłam tylko ująć Jej kościstą dłoń i zaakceptować Jej obecność w swoim życiu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ANNIE

- To jest niesamowite - powiedziała Jeanine.
- Konstrukcja jest całkiem solidna - odparłam.
- Straszne... monumentalne... jak jakieś ruiny czy coś w tym stylu - ciągnęła Jeanine.
- Jest ogromny, Annie... naprawdę wielki. Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Był grudniowy poranek i właśnie stałyśmy na chodniku przed domem przy Azalea Road 4040. Moja chęć kupienia tej posiadłości została potraktowana z niebywałą radością i pośpiechem. Agent pośrednictwa handlu nieruchomościami zachowywał się jak rybak, który chce jak najszybciej pozbyć się cuchnącej ryby. Żaden prawnik nie potrafi pozbyć się uczucia, że ktoś inny go nabiera. „Rozchmurz się pan, chciałam mu powiedzieć za każdym razem, gdy się z nim spotykałam; ja naprawdę chcę wiedzieć, w jak fatalnym stanie jest ten dom, ale kupię go tak czy inaczej”. Chciałam mu wyjaśnić, że kupno tego splechłego ziemi i stojącej na nim rudery stało się dla mnie bardzo ważną sprawą osobistą, choć tak naprawdę nie potrafiłam wytłumaczyć dlaczego.

Od czasu naszego wieczornego rzucania kamieniami (jak Stuart zawsze określał ów spacer przy księżycu do tego ogrodu czarów) kilkanaście razy śnił mi się piękny ogród, a raz, w samo południe, serce zaczęło mi dziko kołatać w piersi; nie było innego wytłumaczenia, jak tylko napady lękowe. Nerwy przed transakcją. Czysto *pro forma*. Ale nie wycofałam się, po części dlatego, że wiedziałam, iż Stuart, z tą swoją nieznośną wyższością, właśnie tego po mnie oczekiwał. Czterokrotnie z Jeanine, raz z Patty, a raz nawet z Arley, przejeżdżałam obok domu, starając się spojrzeć na niego pod takim kątem, który ukaże mi go w całej brzydocie i wreszcie przywróci rozum. Nic podobnego się nie wydarzyło. Kompletnie mnie jednak zauroczyło kilka rzeczy: wieżyczka, w której mogłaby sypiać małeńka księżniczka (w rzeczy samej,

w przyszłości taka tam zamieszkała), ręcznie zrobiona, zarośnięta dzikim winem świątynia w ogrodzie na tyłach domu i nieduży łuk zrobiony z kamieni z koślawym, mozaikowym napisem z kolorowych szkiełek „Santa Cecilia”. Jeanine, autorytet we wszystkich sprawach dotyczących katolicyzmu, powiedziała, że święta Cecylia wynalazła organy; najprawdopodobniej była też patronką nauczycieli gry na fortepianie -później dowiedziałam się, że poprzednia właścicielka zaliczała się właśnie do ich grona. Czy Santa Cecilia czuwała nad muzyką płynącą w tym domu, nawet gdy staruszka coraz bardziej chyliła się ku ziemi, a na strychu zamieszkały nietoperze? Często narzekałam, że w chwili obecnej najbardziej potrzebuję świętego zajmującego się murarzami, tynkarzami i ogrodnikami. Stuart rzadko wspominał o domu, ale pewnej nocy powiedział mi, że to niedobra dzielnica dla Żydów. „Lista dobrych żydowskich stolarzy jest wyjątkowo krótka - rzekł. -1 popatrz tylko, co się przydarzyło ostatniemu”.

Stuart ograniczył swoje zaangażowanie w kupno domu do jednorazowego pojechania tam ze mną w celu zebrania co większych śmieci; w tym celu pożyczył nawet pikapa od kolegi - było to tego samego dnia, gdy podpisałam dokumenty w banku na pożyczkę. Podczas gdy ja biegłam w górę i w dół po solidnych, spiralnych żelaznych schodach, on stał pośrodku korytarza i wytykał mi najdrobniejsze szczegóły; zwrócił też uwagę na fakt, że poprzedni właściciel chyba trenował tu konie wyścigowe, tak zdarta jest podłoga. Nie chciał nawet wejść na górę, by obejrzeć „naszą” sypialnię, a ja byłam zbyt dumna, by nalegać; cały czas miał podejście w stylu - jak to później opowiedziałam Jeanine - „niech mała Annie wyśpi się w łóżku, które posłała”.

Ani razu nie usiłował odwieść mnie od kupna domu przy Azalea Road 4040, ani razu nie zaproponował mi, że zapłaci połowę należności. Nigdy nie powiedział, że się tam ze mną nie wprowadzi, lecz nigdy też nie rozmawiał ze mną o przeprowadzce. Kiedy tylko jego wzrok padł na moją teczkę z dokumentami, raporty z inspekcji budowlanej czy formularze z agencji handlu nieruchomościami, zachowywał się jak stara dyrektorka szkoły dla panienek: zaciskał wargi, przechylał głowę na bok i długo mi się przyglądał, po czym zaczynał gwałtownie kręcić głową z dezaprobatą. Pewnego dnia, na jakiejś wyprzedaży, znalazł tomik opowiadań Faulknera i zostawił je na nocnym stoliku obok łóżka, z wyraźnie zaznaczoną czerwoną wstążką „Różą dla Emily”.

Rzuciłam w niego tą książką; co za dużo, to niezdrowo.

Tylko dlatego, że kupno domu pod wpływem impulsu zupełnie zaskoczyło Stuarta - zwłaszcza że nie spodziewał się tego po swojej An-

nie, gdyż znalazł ją na wylot i każdy jej ruch potrafił przewidzieć; kobiecie, która kiedyś powiedziała, że akwarium w domu zbyt by ją uwiązało i przeszkadzało w wypełnianiu obowiązków - nagle zaczął mnie uważać za jakąś nawiedzoną wariatkę, która jeszcze trochę i zacznie nocami spacerować po wzgórzach ubrana jedynie w nocną koszulę.

Doszłam do wniosku, że Stuart pogodzi się z myślą o przeprowadzce na Azalea Road i nie rozmyślałam zbyt wiele o tym, co się stanie, jeżeli odmówi. Żyliśmy spokojnie, nie rozmawiając na ten temat, graliśmy w piłkę z drużyną adwokatów z naszej palestry w Garner Park, kupowaliśmy wspólnie prezenty urodzinowe dla moich siostrzeńców i ogólnie rzecz biorąc, unosiliśmy się na fali naszych codziennych spraw. Kim McGory obudził się ze śpiączki, zły i apatyczny, wcale nie zachwycony tym, że nadal żyje. Jeżeli stracenie go wcześniej było grzechem, to teraz wydawało się istnym bestialstwem - w końcu był kiedyś tylko biednym, zahukanym gnojkiem, który nie miał szczęścia do adwokatów, a obecnie mózg tak strasznie mu przeżarło, że nawet sam nie potrafił mówić w swoim imieniu. Stuart w pocie czoła gromadził dowody na to, że wyznaczenie następnej daty egzekucji w niczym Ki-mowi nie pomoże; jednocześnie przygotowywał się do obrony kolejnego zabójcy, Tylera Talleya - „Gotowy-Do-Biegu-Start” jak mówiono o nim w zainteresowanych kręgach - dziewiętnastolatka, gwiazdy drużyny futbolowej, przeciętnego ucznia, biednego jak mysz kościelna, który zamordował w okrutny sposób dwóch sprzedawców w sklepie. Z tego typu klientami, nawet za najlepszych czasów, nieczęsto widywałam go w domu.

Jednak w tej chwili nie było między nami najróżowiej - dwie kolejne samotne noce z rzędu, Stuart odwrócił się ode mnie wściekły, nie chciał się ze mną kochać, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Zrzucił winę na okropny upał i niewyspanie, ale czułam, że go to gryzie. Stuart nigdy nie zachowywał się jak ogier rozplodowy, lecz w głębi duszy naprawdę wolał towarzystwo kobiet od kompanii mężczyzn i uważał, że seks - wraz z koszykówką, stekami i filmami braci Mara - jest jedną z tych rzeczy, które wynagradzają człowiekowi świadomość śmierci.

Było już bardzo późno, gdy właśnie takiej nocy leżeliśmy w ciemnościach; na moich ustach zastygły już całe tony pocieszeń w stylu: „Nie ma sprawy” czy „Nie przejmuj się tym tak bardzo”, które z całą pewnością nic mu nie pomogły, gdy nagle Stuart odwrócił się do mnie i powiedział:

- Wiesz, od jakiegoś czasu myślę o tym, jako o prokreacji...
- Stuart, nie masz racji. Nie zrobiłabym ci tego.

- Wiem. Chodzi mi o to, że zdaiem sobie sprawę, że cała ta namiętność... pasja jest połączona z prokreacją...

Nagle miałam ochotę go spoliczkować.

- Stuart, kochanie, właśnie po to wymyślono seks...

- Przestań! - przerwał mi i przez chwilę miałam wrażenie, że się rozplacze; jednak ja byłam zbyt nakręcona, by zostawić go w spokoju.

- Co mam przestać? - zapytałam. - Niby co mam przestać? Mam nie myśleć o wszystkich rzeczach, których pragnę? Stuart... nie wiń mnie za dzisiejsze zdarzenie!

- Oczywiście, że to nie twoja wina, lecz nasz wspólny problem, Anne. Chodzi mi o to, czy jesteś szczęśliwa? Przez dziesięć, ogólnie rzecz biorąc fajnych lat, to jedno zawsze wychodziło nam fantastycznie. Mnóstwo trzygwiazdkowych orgazmów, niezapomnianych przeżyć. Dlaczego wszystko, co dobre, musi się kiedyś kończyć?

- Chyba dlatego, że nie każdy uważa, że stałość jest pożądana. Życie powinno być progresywne... iść naprzód.

- To mi dopiero progres, Anne.

Z mojego punktu widzenia decyzja o kupnie domu była jak moratorium na decyzję o posiadaniu dziecka. Sam dom dostarczy nam mnóstwa roboty, jednak Stuart widział to dokładnie na odwrót - jako wyzwanie i ultimatum jednocześnie. Tak więc moje obawy dotyczące tego, czy stać mnie na tak ogromny dom albo czy w ogóle chcę go mieć, musiałam zdusić; nie mogłam się nimi podzielić z najbliższą mi osobą.

Siedziałam więc w naszej sypialni, czekając aż grudniowa noc zamieni się w ranek i pod oknami zacznie się unosić zapach rozgrzewającego się asfaltu, a słońce nawet jeszcze nie wstało. Może Stuart miał rację. Może nie do końca deklarowałam moją chęć prokreacji, ale ogromny dom z pięcioma sypialniami chyba coś oznaczał...

chciałam mieć gdzieś korzenie, własne miejsce na ziemi.

Ale nawet to nie zniszczyło radości z powodu kupna domu pod numerem 4040 przy Azalea Road; za każdym razem, gdy przejeżdżałam tamtędy samochodem czy zaparkowawszy nieopodal Amor Ausente, szłam pod rozłożystymi gałęziami drzew wzdłuż hacjend zbudowanych w meksykańskim stylu czy ogromnych kolonialnych posiadłości, by dotrzeć na własny ganek, czułam się jak zdobywca nowych lądów.

Jak Meriwether Lewis* wszystkich samotnych białych kobiet tuż przed czterdziestką. Czułam się złączona z czymś, co jednocześnie pociąga-

*** Meriwether Lewis (1774-1809) - amerykański podróżnik, pierwszy poprowadził wyprawę transkontynentalną z Saint Louis nad Ocean Spokojny (przyp. tłum.).**

ło mnie i przerastało. Kiedy podjechałam pod dom z Arley, powiedziałam:

- Przymknij oczy, użyj wyobraźni i powiedz mi, jak on będzie kiedyś wyglądać.

- Wcale nie muszę udawać - szepnęła. - On jest zupełnie jak zamek, Annie. To najpiękniejszy dom na świecie.

Podzielałam jej opinię.

Jednak w jaskrawym świetle dnia, tamtego poranka z Jeanine, poczułam się dziwnie; oparłam się o przerdzewiały kołek płotu i cała konstrukcja zachybotała się tak gwałtownie, że upadłabym, gdyby Jeanine mnie nie podtrzymała.

- W każdym razie możesz wybierać w skrzynkach pocztowych - mruknęła.

Faktycznie, choć wyeliminowaliśmy większość, ponad tuzin leżało jeszcze na trawniku; jedna miała kształt staromodnego powozu - chciałam ją odremontować i powiesić przy furtce, a pozostałe przeznaczyć na skrzynki do kwiatków. Odsuwając nogą jedną z nich z drogi, wyciągnęłam z kieszeni ogromny klucz i wsadziłam go do klejącego się od brudu zamka. Agent pośredniczący przy zakupie tego domu zaproponował, że przyjedzie tu jeszcze raz, by - już jako właścicielkę - oprowadzić mnie po posiadłości, lecz podziękowałam mu uprzejmie i powiedziałam, że doskonale sama sobie poradzę. Teraz zastanawiałam się, czy nie będę przypadkiem musiała wrócić do biura i poprosić kogoś z chłopaków o pomoc przy otwieraniu drzwi. Jeanine ponownie mnie spytała, kiedy zjawi się Stuart, i znowu miałam ochotę ją zignorować. Jeanine wyczuwała kłopoty na milę, a fakt, że nigdy ze Stuartem nie kłóciliśmy się ani nie dogryzaliśmy sobie publicznie, wprawiał ją w zdumienie i podziw.

- Czy istnieje ryzyko, że dom wszystko między wami popsuje, Annie? - spytała z czymś, co podejrzenie przypominało źle ukryte zadowolenie.

- Stuartowi nic nie będzie - odrzekłam, nadal mocując się z zamkiem w drzwiach. - Ludzie się zmieniają, Jeanine. Trzeba zachować giętkość i zdolność przystosowania się do każdej sytuacji. Nie zawsze chce się robić te same rzeczy.

Nie wątpiłam, że Stuart będzie dzielił ze mną koszty codziennego życia, choć moja pensja zupełnie by mi wystarczyła, nawet jeżeli liczyć, że na dokonanie remontu muszę wydać tysiąc dolarów. Cena za sam dom była śmiesznie niska; ojciec zostawił mi na automatycznej sekretarce wiadomość: „Posłuchaj, Annie, nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale sześćdziesiąt tysięcy dolarów za dom z pięcioma sypialnia-

mi daje trochę do myślenia... jesteś pewna, że to nie jakaś wyjątkowo niebezpieczna dzielnica?" I to mówi człowiek całe życie mieszkający na Manhattanie, w mieście, w którym istnieje najwyższy odsetek popełnianych zbrodni na całym pięknym i szerokim świecie.

- Nie zrobiłabyś tego, gdyby to miało w jakikolwiek sposób zachwiać waszym związkiem, prawda, Annie? - nalegała Jeanine, która tak paranoicznie bała się, że każdy mężczyzna, którego pokocha, ją rzuci, że wytworzyła swoisty system: flirtując z pediatrą, w zanadrzu chowała gliniarza z drogówki, którego poznała, gdy skosiła kilka tuzinów słupków drogowych na autostradzie numer 10 w powiecie Kendall, jadąc z wielkim pośpiechem do jednej ze swych młodych matek w potrzebie.

- Nie ma obawy - odpowiedziałam; w tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadłam do holu, uderzając kolaniem o próg.

- Zachowaj choć trochę godności, Annie; teraz jesteś właścicielką ogromnego domu - odezwała się Jeanine z uśmiechem i złapała mnie za łokieć. Kiedy już pomogła mi się pozbierać, weszliśmy do środka. Zaczęła szukać kontaktu, lecz w zasięgu wzroku nie było ani jednego. Kolano bolało mnie tak, jakby ktoś wystrzelił w nim z korkowca; sięgnęłam, by je rozmasować, i poczułam coś śliskiego.

- Spójrz - powiedziałam. - Krew mi leci.

Jeanine wyszła z powrotem na ganek, by zawołać kogoś do pomocy. Pokuśtykałam do schodów, by usiąść na najniższym stopniu; masowałam właśnie bolące kolano, gdy usłyszałam głos Jeanine - miał tę zadziwiającą barwę, którą zawsze przybiera, gdy moja przyjaciółka rozmawiała z mężczyzną. Gdy wróciła do środka, prowadząc za sobą jasnowłosego olbrzyma, który tamtej pamiętnej nocy wbijał słupek z tablicą ogłoszeniową, byłam nieco zirytowana, lecz wcale nie zaskoczona. Jeanine zupełnie zapomniała zarówno o moim zranionym kolanie, jak i fakcie, że miałyśmy wspólnie podziwiać moją nową własność. Gdy wysoko w górze widziała szerokie bary i jasne włosy, w okamgnieniu przeobrażała się w Heather Locklear. Proste jak drut.

- Cześć, Charley - mruknęłam.

- To wy się znacie? - zapytała Jeanine ze zdziwieniem i lekkim zawodem. Nie wiem dlaczego, ale poczułam drobny dreszczyk satysfakcji.

- To mój sąsiad - wyjaśniłam uprzejmie.

Charley pomógł mi wstać; był naprawdę tak miły i uczynny, że poczułam wyrzuty sumienia, iż wraz ze Stuartem nazywaliśmy go „Hitlerjugend”.

- Widziałem, jak tu jedziecie - rzekł. - Właśnie piłem kawę na rogu, gdy zobaczyłem, jak przejeżdżacie. Oczywiście, nie miałem poję-

cia, że zajdzie potrzeba udzielenia pierwszej pomocy, ale i tak chciałem zaoferować swoje usługi.

Wiedziałam, co myśli sobie Jeanine, i mogłam mieć tylko nadzieję, że Charley się nie domyśli. Poczułam rumieniec wypływający mi na policzki.

- A co... ty... hm?

- No, cóż... jak już powiedziałem, naprawiałem wiele z tych domów. Znam się na stolarce, elektryce... na wszystkim po trochu. I niedużo sobie liczę. - Nie mogłam spojrzeć Jeanine w oczy, a Charley dodał: -Krwawisz.

- To tylko zadrapanie - zapewniła go Jeanine radośnie. - Gdzie mieszkasz, Charley?

- Dwie przecznice stąd. W takim dwupiętrowym domu, który jest w remoncie już od dziesięciu lat... ale mam bieżącą wodę. Chodźmy do mnie i przemyjmy twoją nogę - powiedział, patrząc na mnie. - Może powinnaś iść do szpitala, by zrobili ci zastrzyk przeciwtężcowy... Wiesz chyba, że w Teksasie bakterie mnożą się jak szalone?

- Taak, wiem - burknęłam. - Tam gdzie się wychowałam, też istnieją. Dlaczego Teksasńczycy uważają, że to oni wszystko pierwsi wymyślili? Wszystko jedno, czy dobre, czy złe? Nic mi się nie stało... przemyję kolano tutaj.

- Tu nie ma bieżącej wody - odezwał się Charley łagodnie.

- Skąd wiesz? - zapytałam. - Facet z agencji powiedział mi, że jest po prostu wyłączona, to wszystko.

- Tu od wielu lat nie ma wody... Widzisz te zacieki na ścianach... choć może teraz nie podchodź do nich zbyt blisko.

- Więc muszę po prostu zadzwonić do pogotowia wodociągowego.

- To ci nic nie da...

- Dlaczego?

- No... widzisz, rury popękały tak dawno temu, że...

- Więc potrzebuję nowych rur, tak? -Tak.

- Wystąpię z pozwem do sądu.

- Przeciwko komu?

- Nie wiem; komuś,

- Cóż, taniej chyba wyjdzie po prostu wymienić rury.

- A wiesz, gdzie można kupić tanie rury?

- Nie ma czegoś takiego jak tanie rury.

- A mnie się zdawało, że powiedziałeś, iż potrafisz zrobić wszystko, i to tanio.

- Nie, nie... powiedziałem tylko, że moje ceny są rozsądne.
 - Ale najpierw muszę kupić nowe rury, tak?
 - No, cóż... tak. Ale wiem, gdzie możesz kupić wszystko, włącznie z utensyliami; w Mariposie właśnie burzą całkiem dobrze trzymający się dom...
 - Więc ty podkradniesz się nocą, podczas gdy powinieneś być zupełnie gdzie indziej, na przykład podlewać komuś trawnik...?
 - Wiesz przecież, że nic nie powinno się marnować? Nie warto palić czy wyrzucać dobrych rzeczy.
 - Taak, nikt nie wyrzucił nawet moich skrzynek pocztowych... Więc mam być pierwszym prawnikiem w historii, który zamontuje w swoim domu kradzione rury i utensylia?
 - Powtórz sobie po cichu: nie kradzione, tylko dobrze wykorzystane - odparł Charley i nagle wybuchnął śmiechem.
- Kiedy już zamknęliśmy drzwi i wsiadaliśmy do mojego samochodu, Jeanine powiedziała:
- Ależ on jest słodki,
 - Ostatnim razem, kiedy mi się zwierzałaś, miałaś już kilku dryblasów za pazuchą - odrzekłam. - Czy oni ci nie wystarczają?
 - Mówimy tu o mojej przyszłości, Anne. Nigdy nie zaszkodzi mieć paru w odwodzie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ARLEY

8477298372 Więzienie stanu Teksas Solamente River, Teksas

Droga Arley!

Męczy mnie straszliwa niepewność. Przesyłam ci ten list specjalnym kurierem, niech szlag trafi wydatek, gdyż chcę, byś wiedziała, co myślę, zanim zdecydujesz się tu przyjechać w przyszłym tygodniu. Zostawię tę decyzję tobie, ale zanim ją podejmiesz, powinnaś poznać pewne fakty.

Dylan Thomas napisał kiedyś, że „puste słowa i kłamstwa słodkie mogą przynieść cierpienie, lecz zarazem uzdrowić cały mój ból”.

Zaufaj Irlandczykowi. (Jest moim ulubionym poetą. W rzeczy samej nazywam się Dillon Thomas LeGrande, choć nazwano mnie tak na cześć mamy ~ jej panieńskie nazwisko brzmi Dillon. Ja jednak uważam, że niektóre zbieżności wcale nie muszą być zamierzone, nie sądzisz?)

Ale wracajmy do sprawy; omijałem ją do tej pory, gdyż jest dla mnie bardzo bolesna. Skłamałaś mi.

I nawet jeżeli zrobiłaś to z jakiegoś ważnego powodu, sprawiło, że straciłem sporo wiary w siebie.

Najpierw zacytowałaś w swoim liście wiersz Sary Teasdale i od razu Poczułem się jak w siódmym niebie. To było tak, jakbyś chciała mi przysłać jakąś zaszyfrowaną wiadomość. Nigdy nie czytałem jej wierszy, ale odniosłem wrażenie, jakby znała nas osobiście. Zaraz potem zacząłem pisać wiersz, specjalnie dla ciebie.

A kilka dni później przypadkiem rzuciłem okiem na listę odwiedzających i zobaczyłem, że nie kto inny, jak tytko sama Constanza Gutiérrez przychodzi do starego Kevina chyba po raz setny w tym roku.

Mam takiego znajomego strażnika, prawie kumpla, więc poszedłem do niego i pytam, czy mógłby mnie wypuścić na dół, na jedną małą

chwile, bym mógł przekazać Connie wiadomość dla ciebie. Chciałem jej także podziękować, bo w końcu dzięki niej do siebie piszemy. Strażnik się zgodził, więc w sobotę poszedłem na salę odwiedzin i podeszedłem do Kevina i Connie. To była ich pierwsza wizyta kontaktowa, więc kleili się do siebie niemiłosiernie, dotykając i całując. Tak czy inaczej, zawołałem do niej: „Hej, Connie!”, a ona wstała z szerokim uśmiechem na ustach i przywitała się ze mną. Kevin wcale nie był zachwycony moją obecnością, bo pewnie dalej chciał ją obejmować... w każdym razie, gdy do mnie podeszła, powiedziałem: „Dziękuję ci, miła pani, że przywiodłaś do mnie Arlington”.

A Connie odparła: „Och, więc jednak do ciebie napisała? To słodka dziewczyna. Od dawna przyjaźni się z moją siostrą, Eleną, chodzą razem do Travis”. A ja sobie pomyślałem, Travis? Z tego, co ostatnio słyszałem, to przecież liceum w Avalon, więc mówię: „Connie, chyba chcesz powiedzieć, że chodziła do Travis, nie? Przecież teraz jesteście razem na studiach, nie?” A Connie tylko zaczęła potrząsać głową, jakbym zupełnie oszalał, i wali: „Przecież to jeszcze maleństwo... chodzi dopiero do pierwszej klasy ogólniaka...”

Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Strażnik zaprowadził mnie z powrotem do celi i bardzo długo po prostu leżałem na twardej pryczy, patrząc w sufit. Opowiedziałaś mi o sobie tyle rzeczy, w które uwierzyłem, a które okazały się kłamstwem. Może to zabrzmiało naiwnie w ustach skazańca odsiadującego wyrok, ale naprawdę wierzę w uczciwość między ludźmi.

Aż do tamtej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo zmieniają się moje uczucia względem ciebie. Poglębiały się; nigdy w życiu nie doświadczyłem nic podobnego.

Minęło wiele dni, zanim mogłem się nad tym wszystkim spokojnie zastanawiać; wiesz, co mam na myśli?

Gdybyś była starsza, nie miałoby to ogromnego znaczenia. Gdybym ja miał powyżej trzydziestki, a ty więcej niż dwadzieścia lat, różnica nie byłaby taka duża. Bogaci faceci często żenią się z o wiele młodszymi od siebie kobietami. Jako dwudziestolatek chodziłem z dziewczyną, która miała tylko siedemnaście lat, jej ojciec chciał wysłać za mną listy gończe. Powiedział, że jestem śmierdzącym skunksem, który chce tylko jednego od jego ukochanej córeczki; tak na marginesie - wyjątkowo chętnej, zdolnej i usłużnej w tych sprawach.

Przyśiągłem sobie wtedy, że nigdy nie popełnię tego błędu po raz drugi. Więc czy powinniśmy posunąć się dalej? Nie wiem... Kiedy zaufanie zostało zburzone, nie bardzo jest na czym budować. Może powinniśmy zo-

stać tylko przyjaciółmi, w zależności od tego, jak zdefiniujemy przyjaźń... Muszę już kończyć. Ten list strasznie mnie zmęczył.

Twój uniżony sługa Dillon Thomas LeGrande

Drogi Dillonie!

Ja także wysyłam ten list pocztą kurierską, gdyż nie przyjdę się z tobą zobaczyć, jeżeli to, co napisałeś w liście, jest prawdą. Mój widok tylko przypomni ci, że mam zaledwie czternaście lat i jak bardzo cię zawiodłam. Nie miałam pojęcia, że twoje uczucia dla mnie przybierają na sile. Wiem tylko, że moje uczucie do ciebie jest tak potężne, że bywają noce, gdy siedzę na łóżku, nie mogąc zasnąć, i tylko patrzę na księżyc. Gdy przez ten ostatni tydzień nie otrzymałam od ciebie żadnego listu, wydawało mi się, że przestanę jeść i umrę. W rzeczy samej, nie mogłam nic przelknąć (straciłam chyba trzy czy cztery funty).

Muszę ci jednak przypomnieć, że sam ZAŁOŻYŁEŚ, iż jestem w wieku Connie, a ja po prostu nie wyprowadzałam cię z błędu; nie miałam odwagi.

Niby dlaczego mężczyzna w twoim wieku miałby korespondować z dziewczyną z ogólniaka? Nigdy rozmowa z kimkolwiek nie sprawiała mi większej przyjemności niż z tobą. Wiedziałam, że jeżeli powiem prawdę, wszystko się skończy i będę musiała wrócić do mojego nudnego życia.

Wierz mi, że wiele myślałam o przyszłości, ale wszystko wydawało mi się takie odległe; kiedy wyjdiesz na wolność, będę miała już szesnaście lat, albo i więcej. Może wtedy sprawy przybiorą inny obrót. Gdybyś wtedy chciał się ze mną spotkać, wytłumaczyłabym ci wszystko; choć z drugiej strony, miałbyś już prawie trzydzieści lat

Wiem, że nie mam prawa prosić cię o wybaczenie. Właściwie nawet nie spodziewam się dostać od ciebie następnego listu.

Więc najlepiej będzie, jeżeli od razu powiem ci wszystkie rzeczy, które napisałabym ci w przyszłości... Już teraz życzę ci wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, choć to jeszcze nie grudzień. Ja przysłam na świat pierwszego kwietnia i Elena zawsze się ze mnie śmieje z tego powodu. Patrząc jednak na ten cały bałagan, jakiego tu narobiłam, może ma rację... coś jest ze mną nie tak. Tak czy inaczej, życzę ci dużo szczęścia. „Joie LeGrande” -bo przecież twoje nazwisko oznacza „najwięcej”, nieprawdaż? Chcę ci też wysłać gratulacje z okazji twojego przyszłego zwolnienia; znajdź sobie pracę, kogoś, kto byłby godzien twojej miłości, i miej udane, szczęśliwe życie.

Arley Mowbray

PS Prawdopodobnie i tak to wiesz, ale Dylan Thomas pochodził z Walii, nie z Irlandii

8477298372

Więzienie stanu Teksas Solamente River, Teksas

Najdroższa Arley!

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Także z wyprzedzeniem.

Ale nie dlatego, że nie będę do ciebie pisał w dniu urodzin czy później... czy nawet do końca twojego życia.

Wydaje mi się, że po przeczytaniu twojego listu coś się we mnie odrodziło.

Był tak szczery i pełen dobroci, że nie mogłem się długo na ciebie gniewać. Zdaje się, że obecnie czternastoletnie dziewczynki są dojrzalsze, niż byty, kiedy ja miałem tyle lat co ty. Albo może raczej ty jesteś wyjątkową osobą, bez względu na wiek?

Chciałbym móc cię dotknąć, by wyrazić uczucia, których nie sposób oddać za pomocą słów, na przykład wybaczenie. Przekonałem się, że popełniłaś błąd, gdyż chciałaś za wszelką cenę utrzymać naszą znajomość; wyczułem w tym ostatnim liście więcej emocji niż we wszystkich poprzednich.

Może okazujemy innym nasze uczucia dopiero wtedy, gdy nie mamy nic do stracenia. Ja już nie mam nic do stracenia, oprócz ciebie, a tego bym nie zniósł.

Możliwe, że cały świat uznałby, że to, co zaraz powiem, jest złe i brzydkie, ale moim zdaniem świat jest strasznie oziębłym sędzią i nie uznaje odrębności innych ludzi - więc powiem po prostu - zaczynam się w tobie zakochiwać. Inic mnie nie obchodzi, że jesteś jeszcze dziewczynką. W głębi umysłu i serca jesteś także wspaniałą kobietą.

Moja babcia miała zaledwie trzynaście lat, gdy wyszła za mąż za dziadka, a przeżyli wspólnie ponad sześćdziesiąt szczęśliwych lat; mieli siedmioro dzieci, w tym moją mamę, Kale, która przyszła na świat piąta w kolejce. Kiedy moja babcia urodziła pierwsze dziecko, była tak młoda, że wciąż jeszcze rosła, a przynajmniej tak mi opowiadała. Nigdy wcześniej nie nocowała poza domem swojej mamy, a gdy odeszła z dziadkiem, on miał zaledwie siedemnaście lat. Kiedy umierała, powiedziała mi: „Przez połowę czasu, jaki z nim spędziłam, ten stary dziad nie był warty prochu potrzebnego, by go wysłać do piekła”. A ja na to - bytem wtedy mały - zapytałem, dlaczego więc spędziła z nim całe życie? A ona: „Z powodu tej drugiej połowy czasu. Ot co”.

Jestem od ciebie o wiele lat starszy, dziewczyno, Uczgdybyśmy się spotkali na neutralnej ziemi, wolni i równi, kto wie, może nawet zimny świat by się do nas uśmiechnął. Chciałbym mieć szansę zobaczenia cię w przyszłości. Dasz mi ją?

Nie chcę, żebyś myślała, iż to tylko dokuczająca mi w więzieniu samotność sprawia, że piszę do ciebie te słowa. Nie jestem aż taki brzydki (sama sprawdź - wysyłam ci fotografię). Nawet tu miałem okazje poderwać niejedną kobietę, ale nie skorzystałem z nich, gdyż czekałem na ciebie, Arley. Jeżeli w to wątpisz, przeczytaj wiersz, który załączam, a który nazwałem na twoją cześć.

Dillon

Kiedy **przeczytałam** wiersz zatytułowany „Arlington”, wiedziałam, że to jest to. Tak po prostu.

Wiedziałam, że to dobry wiersz, pomijając wszystko inne. Nie myliłam się co do Dillona; pomimo całego zła, jakie wyrządził, w głębi duszy był bardzo wrażliwy. Później, gdy Annie czytała ten wiersz na głos i widziałam reakcje słuchających, czułam niesamowitą dumę.

Przebiegając oczyma te słowa, kiedy nazwał mnie „miejscem, do którego stale dąży”, nie mogłam powstrzymać łez. Płakałam cały czas; przeczytałam go pięć razy i nauczyłam się na pamięć, choć zazwyczaj zajmuje mi to więcej czasu. Był o mnie, tylko o mnie, prawdziwy i wyjątkowy jak moje linie papilarne, tylko obrysowane z miłością przez Dillona, niczym serce dokoła dwóch imion na drzewie. Ten list z załączonym wierszem dostałam tydzień przed pierwszym spotkaniem, zapoczątkował część naszego wspólnego życia, o której nikt inny nie wiedział. Oprócz Annie, lecz i jej nie wszystko powiedziałam. No i Eleny, oczywiście, ale też nie do końca. Już nigdy więcej nie pokazałam jej żadnego listu; nie chciałam się z nikim dzielić tym fragmentem życia.

Ze względu na młody wiek musiałam liczyć na innych ludzi, że pozwolą mi się zobaczyć z Dillonem, więc zaczęłam się zbliżać do Connie. Nie po to, by ją wykorzystać, ale dlatego, że przechodziła przez to samo z bratem Dillona; mimo że znacznie ode mnie starsza, była jakby moją szwagierką czy kimś w tym rodzaju, nieomal krewną, dobrą przyjaciółką. Poza tym była jeszcze bardzo niedojrzała; nadal jest, ale teraz przynajmniej nie spotyka się już z Kevinem LeGrande. Po jego udziale w tym, co się później wydarzyło, posiedzi w Solamente River bardzo, bardzo długo, a nawet Connie nie ma tyle cierpliwości, i dobrze.

To właśnie ona powiedziała mi, że Dillon musi przed każdymi odwiedzinami sporządzić listę osób, z którymi chce się zobaczyć, i wyjaśnić, kto jest kim (napisał, że jestem przyjaciółką rodziny, którą poznał w kościele swojej mamy), żeby naczelnik więzienia mógł to zaaprobować. W przeciwnym razie po prostu by mnie do niego nie wpuścili;

i nawet nie zadzwoniliby, żeby uprzedzić, po prostu nie przesztabył przez drzwi. Connie powiedziała także, że zostanie przeszukana, ale obejrzą tylko torebkę i kieszenie. Bardzo mi pomogło, gdy opowiedziała mi o wszystkim, krok po kroku: o tym, jak zamykają za tobą ogromne, zielone metalowe drzwi, jak przez to brak ci powietrza, nawet jeżeli wiesz, że za godzinę cię wypuszczą i pozwolą wrócić do domu.

Przez kilka dni poprzedzających odwiedzin w więzieniu byłam tak podniecona, że nie potrafiłam myśleć o niczym innym. W domu całymi godzinami wpatrywałam się w jego zdjęcie, które przykleiłam sobie w podręczniku do francuskiego, i usiłowałam sobie wyobrazić, jak wygląda w rzeczywistości. Jednak zdjęcie było marnej jakości; stał oparty

o drzewo i patrzył gdzieś w dal. Miał na sobie zwykłe ubranie; wtedy jeszcze nie wiedziałam, że więźniowie noszą na co dzień dżinsy i podkoszulki. Sądziłam, że noszą pidżamy w paski albo coś na kształt fartuchów lekarskich. Miał długie i muskularne nogi, ale nie mogłam za dobrze rozpoznać rysów twarzy, choć szczerze mówiąc, nigdy zbyt długo się jej nie przyglądałam. Im dłużej się w nią wpatrywałam, tym większy czułam ból i niepokój, i potem nie mogłam zasnąć całą noc. Nawet gdy siedziałam sama, zawsze czułam zażenowanie, gdy tak się wpatrywałam w jego zdjęcie, zupełnie jakby nad moją głową stało z pięćdziesiąt osób i komentowało. Czułam się tak, jakby sam Dillon mógł mnie zobaczyć - jakby mógł widzieć, że wpatruję się w każdy skrawek jego twarzy, szyi i ramienia tuż poniżej krótkiego rękawka koszulki, jak dziecko zlizujące ostatnie kropelki lodów, zanim się rozpuszczą.

Kiedy byłam w szkole, nie ośmielałam się zerkać na fotkę; bałam się, że wszyscy to od razu zauważą. Zobaczyliby, że się czerwienię

1 oczy zachodzą mi łzami, i od razu wszystkiego by się domyślili. Przekonaliby się, że myślę o czymś, co jeszcze niedawno było dla mnie zupełnie niedostępne; nie mogłam tego ogarnąć - miałam Dillona tylko dla siebie. Dorosłego mężczyznę, o pięknych oczach i historii pełnej żartów i smutków, i przeczytanych książek i piosenek, które znał na pamięć... był cały mój, do poznania, do kochania, i może nawet dotykania. Cały ten wspaniały mężczyzna był tylko mój. Chciałam go poznać jak najlepiej; chciałam połknąć jego przeszłość jak kromkę chleba, żeby lepiej ją poznać i by na zawsze pozostała we mnie. Wtedy wiedziałabym, kiedy po raz pierwszy mył swój samochód, nie mając na sobie koszuli, albo kiedy przeleżał całą noc na brzegu jeziora Charles, wpatrując się w gwiazdy i słuchając radia samochodowego. Jakże chciałabym móc to wszystko zobaczyć. Pragnęłam naprawdę poczuć pierwszy raz, gdy uładliła go osa, poznać dokładnie te sześć miesięcy, gdy

nie jadł nic oprócz płatków śniadaniowych i bananów; spędzić z nim wszystkie te dni, gdy uczył się chodzić w kowbojskich butach na obcasach, i poznać jego strach, kiedy starał się zatamować krwotok swojej suce Donut, która została ranna po utarczce z kojotem. Chciałam leżeć obok tej nocy, gdy jego ojciec spłonął, i słyszeć płacz i zawodzenie jego matki; kiedy chodził do szóstej klasy, wypadł mu ząb, a ponieważ Dillon nie wiedział, że wszystkim dzieciom wypadają mleczone zęby, wydawało mu się, że zrobił coś strasznego. Chciałabym widzieć, jak łązi po drzewach w parku botanicznym, by zaimponować dziewczynom -no, o tym to nie do końca lubiałam myśleć, ale wydaje mi się, że gdyby chciał się ze mną podzielić tym wspomnieniem, także bym je przyjęła, gdyż było częścią jego, i choć nie podoba ci się myśl o twoim chłopcu z inną dziewczyną, jedną z przyczyn, dla których go pragniesz, jest fakt, że inne też się za nim oglądają. I wtedy, i wcześniej, wiele dziewcząt miałoby ochotę na Dillona bez względu na to, co zrobił. Był taki śliczny! Annie nadal dostaje szału, gdy tak mówię, ale nie przestanę tak uważać tylko dlatego, że jej to przeszkadza.

Wreszcie nadeszła sobota; miałam spotkać się z Connie G. na przystanku Greyhounda, co oznaczało, że musiałam dojechać do centrum dwoma różnymi autobusami.

Powinłam wyjść z domu z samego rana, czyli prześliznąć się tuż obok mamy, co było porównywalne z przemykaniem obok szwadronu egzekucyjnego. Żadna wymówka nie wybroni mnie od sobotnich domowych obowiązków.

Z początku odniosłam wrażenie, że po prostu mnie zignoruje, i po raz pierwszy w życiu byłam z tego zadowolona.

Ale jednak mnie zauważyła.

- Dokąd to się wybierasz, dziewczyno? - spytała cicho; siedziała pochylona nad kawą, niczym pszczoła nad kwiatem.

- Muszę wyjść.

- Gdzie?

- Spotkać się z przyjaciółką. Naprawdę muszę już wychodzić.

- Wracaj tu natychmiast, Arlington. Wiesz, że masz dziś dużo roboty; nigdzie nie pójdziesz w sobotę.

Ale nawet nie spojrzała na mnie; z pewnością nie będzie się jej chciało podnieść z za stołu.

- Pa, mamó - powiedziałam, otworzyłam drzwi i wybiegłam, jakby mnie gonili wszyscy diabli. Zatrzymałam się dopiero na przystanku. Wsiadłam do autobusu, zapłaciłam, potem w mieście przesiadłam się w następny, którym dojechałam do stacji Alamo. Tam czekała już na mnie

Connie, z plecakkiem niedbale przerzuconym przez ramię. Znowu zapłaciłam i usiadłyśmy z tyłu autobusu, lecz nie za blisko toalet. Connie zaczęła wyciągać prezenty, które wiozła Kevinowi: elektryczną maszynkę do golenia, pudełko cukierków miętowych i talię kart do tarota.

Ja nie wzięłam ze sobą nic; absolutnie nic. Popatrzyłam na Connie i rozplakałam się.

- Czy zawsze przynosi się im jakieś prezenty?

- No... niekoniecznie. Nie każdy coś przynosi. - Wiedziałam, że po prostu usiłuje mnie pocieszyć i poczułam się jeszcze gorzej.

- Myślałam tylko o nim... i zapomniałam o wszystkim innym - usiłowałam jej wyjaśnić.

- Pokaż mi, co masz w torebce, dziewczyno - odrzekła Connie, więc wyjęłam wszystko, co miałam: paczkę krówek, nową szczotkę do włosów, portfel, kosmetyczkę i mały tomik poezji, który kupiłam, by lepiej przygotować się do pracy o wierszach Poego, i z którego obecnie uczyłam się na pamięć „Wędrowca”, żeby zaimponować pani Murray. Connie uniosła szczotkę pod światło i powiedziała:

- Nie martw się... jest tak, jakbyś wszystko wcześniej zaplanowała. Oni potrzebują ładnych rzeczy. - Podniosła książeczkę i położyła sobie na kolanach. - Wygląda, jakby nikt jej jeszcze nie otwierał. Masz tu pióro i napisz mu jakąś ładną dedykację, którą na zawsze zapamięta.

Wzięłam od niej wieczne pióro i napisałam na pierwszej stronie: „Dil-lon. Zawsze będę pamiętać. Kocham cię, Arley M.”, a potem pokazałam to Connie, które spojrzała na mnie, po czym pokręciła głową bardzo powoli, jakby nie do końca wierzyła w to, co widzi. Później przyciągnęła mnie, a gdy oparłam głowę na jej ramieniu, kołysała mnie długi czas, jakbym była pięcioletnim dzieckiem, które boi się burzy. Zasnęłam przytulona do niej i obudziłam się dopiero, gdy autobus zatrzymał się w ogromnym zielonym parku, który wcale nie okazał się parkiem, lecz sztucznie zalesionym terenem otaczającym więzienie o zaostrzonym rygorze.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak Connie opowiadała. Duże, grube strażniczki o włosach krótszych niż większość chłopców obmacały nas dokładnie w poszukiwaniu broni (albo fiolek z lekarstwami czy marihuaną, jak mnie potem uświadomiła Connie; wytłumaczyła mi też, że strażniczki dlatego tak krótko obcinają włosy, że nie chcą ryzykować, by któryś z więźniów złapał je za nie). Ponieważ włosy miałam spięte w kok na karku, kazały mi go rozpleść, by sprawdzić, czy czegoś pod nim nie ukryłam.

Potem pożegnałam się z Connie i usiadłam, jak mi kazano, na małej ławeczce w korytarzu, po którego obu stronach znajdowały się rzę-

dy drzwi z oknami przypominającymi wielkością koperty. Jedne z takich drzwi się otworzyły i wyszedł przez nie strażnik, który poprowadził mnie wąskim korytarzem z oknami po jednej stronie. Przed każdym z okienek stała metalowa ławka przyśrubowana do podłogi. Niektóre były puste, lecz przy większości siedziały kobiety i rozmawiały przez telefony. Kiedy przechodziłam obok, zauważyłam, że po drugiej stronie siedzieli mężczyźni w czarnych podkoszulkach i dżinsach, także mówiący do telefonów, oddzieleni od kobiet ogromnymi pleksiglasowymi szybami wzmocnionymi drutem. Jeden z tych więźniów był najgrubszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Wałki tłuszczu na jego ciele zaczynały się pod podbródkiem i tylko rosły w dół ciała.

A potem strażnik się zatrzymał i zobaczyłam go. Po drugiej stronie szyby siedział mój Dillon. Kiedy mnie ujrzał, poderwał się pospiesznie, na chwilę spuścił wzrok, a potem spojrzał na mnie i uśmiechnął się takim dziwnym chłopięcym, rozbijającym uśmiechem. Pomyślałam wtedy, że chyba nigdy w życiu nikogo nie pokocham tak strasznie mocno. Jedno jest pewne - wtedy nic nie wiedziałam o seksie... tylko czułam, że z tą osobą, w tej chwili jest mi po prostu dobrze.

Pokazał, bym podniosła słuchawkę telefonu.

- Hej! - odezwał się. - Arlington. Arlington.

- To ja.

- Taak, to ty.

Uśmiechnęliśmy się do siebie jak para idiotów; po chwili musiałam odwrócić wzrok.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak, oczywiście. - Gardło miałam tak ściśnięte, że ledwo wymówiłam te parę słów.

- Bardzo ci dziękuję za prezenty. - Strażnik najwyraźniej zaniósł mu szczotkę do włosów i tomik poezji, zanim mnie tu przyprowadził.

- Nie ma o czym mówić... To nic specjalnego.

- Dla mnie są wyjątkowe... A ty jesteś śliczna.

- Ty także - odrzekłam, po czym dodałam pospiesznie: - To nie tak... Nie chciałam, żeby tak zabrzmiało.

- Nie ma sprawy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Mamy tylko godzinę - odezwał się Dillon. - Musisz się przyzwyczaić do tego... i zrozumieć, że nie ma czasu na cze gadki. - Skinął na mnie. - Przysuń się bliżej. -1 tak zrobiłam. - Przyłóż dłoń do okna.

Zrobiłam, o co mnie prosił, a wtedy on także przyłożył dłoń do dzielącej nas szyby, jakbyśmy się dotykali. Jego ręce były wielkości moich;

stwierdziłam, że jest dość niewysoki jak na mężczyznę, lecz widziałam, że jest strasznie muskularny. Nic co prawda nie czułam, lecz wyobraziłam sobie, że szkło rozgrzewa się od ciepła naszych rąk.

- Arley, czy ty mnie kochasz? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałam.

- Czy jestem pierwszym mężczyzną, w którym się zakochałaś? Co on sobie wyobrażał? Przecież miałam dopiero czternaście lat!

Wtedy powiedział mi - choć wiedziałam o tym już wcześniej - że wiele dziewcząt w moim wieku już dawno robiło z chłopakami dosłownie wszystko. Zastanawiał się, czy może któryś z kochanków mojej mamy mnie dotykał albo robił mi coś gorszego, ale wyjaśniłam, że nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Chciał wiedzieć, co robiłam z chłopcami, więc odpowiedziałam mu zgodnie z prawdą, że nic.

Absolutnie nic.

- Za moich czasów ludzie zaczęli baraszkować dopiero w liceum. Ale wiem z własnego doświadczenia - i wybaczone, że to mówię - że na przykład Gracie Gutierrez robiła to z chłopakami, kiedy chodziła do siódmej klasy podstawówki. Ale nie ze mną... Ja zaczęłam nieco później, znam jednak takich, którzy ją mieli. Z drugiej strony Connie to dobra dziewczyna. Wiem, że jeszcze nie spała z Kevinem.

- No bo niby jak? Przecież on... jest tutaj.

- Zdziwiłabyś się, Arley.

- Czy wy nie jesteście stale obserwowani?

- Nie zawsze. Czasem strażnicy przymykają oczy na to, co się dzieje podczas odwiedzin. Niektórzy faceci tu właśnie zaczynają... - Roześmiał się, lecz zaraz zaczerwienił i spoważniał. - Przepraszam, Arley, nie powinienem tak mówić przy tobie.

- Nie ma sprawy... już to wcześniej słyszałam.

- Okay. I wiesz co jeszcze? Parom małżeńskim pozwalają na wspólne spędzenie nocy... Nawet tutaj. Mają takie specjalne miejsce.

- Hotel?

- Nie, kochanie, nie hotel. Raczej coś w rodzaju przyczepy campingowej... Choć nigdy jej na oczy nie widziałem. W zeszłym miesiącu facet się ożenił... szkoda, że cię nie było, żeby to zobaczyć. Pocztą pantoflową doszło do wszystkich, że jest ze swą oblubienicą w przyczepie i chłopaki mało po ścianach nie chodzili!

- Naprawdę? -Jeszcze jak!

- Wyobrażam sobie.

- Mężczyźnie w zamknięciu brakuje tego typu rzeczy, Arley. Czasem, w nocy, nie sposób myśleć o niczym innym. Nie pozwalają nam tu

nawet na czytanie świerszczyków i wiedzą, co robią. Mężczyźni... potrzebujący fizycznego rozładowania są trudniejsi do opanowania.

- Czy oni was biją? -Kto?

- Strażnicy.

- Nie, mnie nie. Nigdy jeszcze mnie nie uderzyli. Pilnuję własnego nosa; pracuję w bibliotece i w pralni... Nie wtykam palców między drzwi. Po prostu chcę się stąd wydostać jak najszybciej.

- Ja też tego chcę, Dillonie, dla twojego dobra.

Wtedy spojrział na mnie tymi niesamowicie zielonymi oczyma; prawie nigdy nie mrugał, jak inni ludzie. Mógł ci się przyglądać w nieskończoność; to przyprawiało o dreszcze tych, którzy go nie znali. Patrzyłam mu w oczy bez drgnienia i nagle odniosłam wrażenie, że światła w pokoju przygasają - widziałam tylko jego oczy... otoczone ciemnością.

- „Nie odchodź potulnie w mroki tej dobrej nocy...” - powiedział cicho.

- „Buntuj się, buntuj, przeciwko umierającemu światłu dnia...” -dokończyłam, usiłując sobie przypomnieć dalszy ciąg.

- „Buntuj się, buntuj, przeciwko umieraniu światła dnia...” - poprawił mnie spokojnie. - Powiedz mi teraz ten wiersz Sary Teasdale... wiesz, o tym, że na całym szerokim świecie nie ma nikogo takiego jak on...

- Nie mogę. Nie znam go całego na pamięć.

- Więc powiedz mi coś innego. Jakiś wiersz, który znasz na pamięć.

- Nie znam żadnego do końca.

- To bez znaczenia.

Więc zaczęłam „Wędrowca”, lecz czułam w ustach straszną suchość.

Wyrecytowałam mu wszystko o tym, jak księżyc żegluje między chmurami, a wędrowiec galopuje, galopuje do starej karczmy drzwi.

Dillon nachylił się ku mnie.

- Daj mi swe usta, kochana - mówiłam, czując, że coraz bardziej zasycha mi w buzi.

- Dziś w nocy zdobędę, com chciałam, lecz wrócę do ciebie z rana, nim słońce obejrzy świat; lecz jeśli mnie pogonią i dnia nie starczy mi, nocą po ciebie wrócę, przy świetle księżyca wrócę, z księżycem po ciebie wrócę do starej karczmy drzwi,

- Przy świetle księżyca - powtórzył Dillon.

- Nie zjawiał się o świtaniu - ciągnęłam, recytując fragment, gdy to Bess, czarnooka córka karczmarza zastrzeliła się, by ostrzec ukochanego przed czekającą na niego pułapką.

- Zabiła się? - spytał Dillon bez tchu.

- Tak - odrzekłam; oboje szeptaliśmy. - Ostrzegła go swoją śmiercią.

- Był bandytą?
- Rabusiem. Ale nie sędzę, by był tak do końca zły.
- Czy zabijał ludzi?
- Nie, tylko zabierał im wszystko, na co mu tylko przyszła ochota... Prawdopodobnie rabował bogaczy... To było jeszcze przed wojną 0 niepodległość.
- Daj mi swe usta, kochana... -Tak.
- Zdobędę to...
- Dziś w nocy zdobędę, com chciał. - Skinął głową, jakby był tylko małym chłopcem przygotowującym się do snu, a ja nadal mruczałam: -Lecz jeśli mnie pogonią i dnia nie starczy mi...
- Arley - przerwał mi tak cicho, że ledwie go usłyszałam. - Kochasz mnie?
- Kocham cię bardziej niż... Oczywiście, że cię kocham.
- Czy zrobiłabyś to? Żeby mnie ostrzec?

Pytał, czybym się zastrzeliła. Serce podeszło mi do gardła i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie wiedziałam, co on chce ode mnie usłyszeć.

- Chyba tak - rzekłam w końcu. - Gdyby nie było innego wyjścia.
- Kochasz mnie, Arley? - zapytał znowu.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam; zazwyczaj jestem bardzo nieśmiała - w zasadzie wstydzę się swego ciała. Nawet przed zawodami trudno jest mi się przełamać i przebierać w tym samym pomieszczeniu z innymi dziewczętami. Więc to, co zrobiłam, niejako zaskoczyło także mnie; zdawało mi się, tylko podążam za wskazówkami wypisanymi w oczach Dillona. Wiedziałam, że w każdej chwili może wejść strażnik - godzina szybko zbliżała się ku końcowi - ale wszystko działo się tak wolno jak na gangsterskich filmach, gdy ktoś zostaje zastrzelony, lecz pada powoli, powolutku opryskując krwią wszystko dokoła... a nie tak, jakby działo się naprawdę, w mgnieniu oka.

Odłożyłam słuchawkę; nie odrywając wzroku od Dillona, rozplotłam kok i pozwoliłam włosom opaść swobodnie na plecy; to było bardzo mile uczucie, jakby ktoś zawinął mnie w gruby, ciepły ręcznik, a tam było tak potwornie zimno. Dillon zmarszczył czoło i skrzywił usta, jakby go coś bolało; nie odwracałam wzroku... Schwyciłam koszulkę za dolny róg i podciągnęłam do góry; pod spodem miałam jeden z tych sportowych topów, które zawsze używam zamiast stanika, bo są o wiele wygodniejsze. Podciągnęłam także i ten top, po czym pochyliłam się i przycisnęłam cały tors, miękką ciepłą skórę, do chłodnej szyby, któ-

ra nas dzieliła; serce waliło mi tak mocno, że miałam wrażenie, iż lada moment wyskoczy mi z piersi. Usiłowałam zachować spokój, jakby pokazywanie mężczyźnie moich niedużych piersi było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem; byłam przerażona, onieśmielona i dumna zarazem. Dillon także odwiesił telefon i przytknął dłonie do szyby dokładnie naprzeciwko moich piersi, jakby ich dotykał, jakby mnie obejmował. A potem, przez chwilę, naprawdę poczułam ciepło bijące od niego przez szybę. Musiałam przymknąć oczy, a gdy je z powrotem otworzyłam, zobaczyłam, że Dillon także ma zaciśnięte powieki. Staliśmy tak chyba dobrą minutę. Na szczęście strażnik nie przyszedł. Dillon odjął ręce od szyby w chwili, gdy z powrotem opuściłam bluzkę. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Jesteś piękna, dziewczyno. Jesteś piękna jak królowa albo jakiś posąg. Jesteś czarnooką córką karczmarza.

- Kocham cię - odparłam.

- Wyjdź za mnie, Arley - rzekł wtedy Dillon.

Z trudem przełknęłam ślinę. Otworzyłam usta, lecz nie mogłam wydać z siebie żadnego dźwięku. Zamknęłam buzię i otworzyłam ją jeszcze raz. Tym razem udało mi się wykrztusić słabe:

- Okay.

Jeszcze teraz widzę tę dziewczynkę; widzę, jak siedzi na metalowej ławce i ciężko oddycha, usiłując na powrót zapleść włosy w kok, a jej oczy są ogromne i czarne niczym filiżanki pełne kawy. Widzę strażnika, który wchodzi do pokoju i rozgląda się po nim z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć, że nic na tym świecie nie jest w stanie go zdziwić; potem podciąga Dillona na nogi i zakuwa w kajdanki; gdy drzwi się za nimi zamykają, widzę jeszcze jasną czuprynę Dillona znikającą w okienku wychodzącym na korytarz. Odejmując dłonie od twarzy, ze zdumieniem spostrzegam, że są mokre od łez.

Kiedy teraz myślę o sobie stojącej w tym małym pomieszczeniu przy brudnej szybie i czekającej na strażnika, który otworzy drzwi i wypuści mnie na zewnątrz, przypominam sobie fragment wiersza Carla Sandburga, którego wtedy jeszcze nie znałam.

Nie znam całego poematu na pamięć, tylko krótki fragment.

„Tak daleko, jest w nim napisane, tak szybko; tak szybko, tak daleko”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ANNIE

Moja siostra Rachie zastanawia się właśnie nad zostaniem „dojeżdżającą księgową”. - Ludzie przez cały zeszły miesiąc odwoływali spotkania ze mną - wyznała mi przez telefon; niezbyt wyraźnie ją słyszałam, gdyż dzwoniła z aparatu w samochodzie. - Podobno są zbyt zajęci; dzieciak złamał obojczyk albo właśnie muszą jechać na zakupy. Zaczynam dochodzić do wniosku, że powinnam załatwić sobie jeden z tych czerwonych mikro-busików i napisać na nim: „Rozliczanie podatku dochodowego plus globalna obsługa księgowa!” - Nagle jej głos podniósł się o jakieś pięćdziesiąt decybeli: - Do ciężkiej cholery, idioto jeden, to ja miałam tu pierwszeństwo przejazdu! To wprost niesamowite. Ludzie zachowują się tak, jakby dopiero sobie przypomnieli, że gwiazdka w tym roku będzie o tej samej porze co zwykle. Po raz pierwszy odkąd przeprowadziliśmy się do Teksasu, nie wyjeżdżaliśmy ze Stuartem na święta Bożego Narodzenia do domu i wpadłam z tego powodu w wyjątkowo zły nastrój. Oczywiście, nie obchodziliśmy samych świąt, ale był to czas, kiedy wszyscy nasi przyjaciele nagle pojawiali się w mieście. Pod wpływem impulsu chodziliśmy na Broadway i za pół ceny kupowaliśmy bilety do loży, jadaliśmy kolacje i obiady w zaciemnionych restauracjach, albo na wpół zdemolowanych jadalniach znajomych, którzy właśnie zdecydowali się na remont mieszkania. Bardziej przez wzgląd na sentymenty niż formę, właściwie po to, by nasi rodzice mogli mieć swoje dzieci marnotrawne tylko dla siebie, w Nowym Jorku nie sypialiśmy wspólnie, lecz każde u swoich rodziców, we własnym starym dziecięcym pokoju, wydzwaniając do siebie bez przerwy z telefonów stojących przy łóżkach, zanim jeszcze którekolwiek z nas pomyślało o San Antonio, prawie czy drugiej połowie. W domu moich rodziców wymienialiśmy się maleńkimi ozdo-

bami z okazji święta Chanuka i zapalaliśmy menorę, który Rachael zrobiła w liceum. W Wigilię chodziliśmy z rodzicami Stuarta, jego bratem, bratową i ich dziećmi do chińskiej restauracji na kolację, a potem do hotelu Carillon na staromodne tańce. Wszystkie moje przyjaciółki zazdrościły mi Stuarta ze względu na jego umiejętności taneczne, chyba z tego powodu. Jak jego ojciec przed nim, Stuart był nie tylko entuzjastycznym tancerzem, ale i wyśmienitym; znał nie tylko boogie-woogie, ale i tango, zawstydzając wszystkich mężczyzn z naszego pokolenia, którzy zachowywali się tak, jakby oddawali krew, kiedy poprosiłeś ich o wstanie i zatańczenie na czyjejs bar micwie. Te długie godziny spędzone na powolnym tańczeniu w Carillonie, wysoko ponad Central Parkiem, były najśłodsze w moim dorosłym życiu.

Fakt, że tego roku nie pojechaliśmy do Nowego Jorku, sprawił, że coraz bardziej czuliśmy, jak coś się zmienia między nami; pewnie mogłabym tę zmianę zatrzymać, gdybym nagle nie zaczęła jej postrzegać jako własnej ewolucji. Jednak można czuć się w głębi serca równocześnie smutnym, i szalenie dumnym z siebie.

Wreszcie usiedliśmy wspólnie, kilka dni przed tym, jak Stuart miał zrobić rzecz nie do pomyślenia - wyjechać do domu beze mnie.

- No, dobrze - odezwał się. - Zawrzyjmy pokój. Powiedz mi, o co ci, tak naprawdę, chodzi.

Oddaliśmy się od siebie, chciałam zawołać. Nie widzimy tak samo spraw, które w życiu dwojga ludzi nie powinny podlegać negocjacjom

I jednocześnie nie potrafimy o nich rozmawiać. Dom nie ma tu żadnego znaczenia, jest tylko symptomem!

Ale powiedziałam jedynie:

- Nie stać mnie na to, by pojechać.

- Anne - odrzekł na to Stuart. - Kupiłem ci bilet. Boże drogi, zmiłuj się! Nie mogę znieść myśli o tym, że będziesz siedziała sama w tym domu Usherów, zeskrobując farbę ze ścian czy co tam jeszcze...

- Przestań! Ja także nie mogę tego znieść! - Ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Stuarcie, chciałam mu powiedzieć. Musimy stawić czoło naszemu problemowi i jakoś go rozwiązać. - To zbyt wiele pieniędzy...

- To raptem czterysta dolarów, Anne. Też mi wielkie rzeczy!

- Za czterysta dolarów mogę wyremontować podłogę w trzech pokojach. Tak czy inaczej, nie mogę się zgodzić, byś kupił mi bilet; sama wykopałam pod sobą ten dołek i sama muszę się z niego wygrzebać. Tobie się ten dom nie podoba... Nie wyobrażasz sobie, ile już na niego wydałam, i właściwie wcale cię to nie obchodzi.

- Kochanie - przerwał mi. - Daj spokój. Jedźmy wspólnie do No-

wego Jorku i zapomnijmy o całym tym gównie, choćby na jakiś czas. Jezu, Anne, mnie naprawdę potrzebny jest urlop. - Słyszałam to każdej zimy. - Pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę...

- Ja także pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę, Stuarcie, a w tym czasie usiłowałam jeszcze doprowadzić dom do porządku. Dla nas.

- Nie kupiłaś tego domu dla nas. -Jak to nie?!

- Kupiłaś go dla siebie. Kupiłaś go tylko po to, by nakreślić jakąś gówniarską linię nie do przekroczenia. Czas, by się ustatkować! Czas dorosnąć i wziąć na siebie odpowiedzialność! Ale mnie na to nie weźmiesz, Anne! Wiedliśmy razem dobre życie...

- Jak miło, że z taką łatwością mówisz o tym w czasie przeszłym...

- Nie chcę się z tobą kłócić. Nie zamierzam wyjechać, czując się winny, gdyż opuściłem biednego, bezradnego szczeniaczka, gdyż ty to robisz specjalnie, Anne. Robisz to tylko dlatego, że jesteś tak cholernie uparta. Nie mam wyboru; muszę jechać. Mój wujek i ciocia przyjadą na święta i to najprawdopodobniej ostatni raz w swoim życiu!

Westchnęłam głośno. To było dziecinne, ale nie aż tak dziecinne, jak chciałam się zachować; miałam ochotę usiąść na podłodze i zacząć ryczeć. A ponieważ wszystko było wyłącznie moją winą, chciałam walnąć za to w łeb Stuarta.

Zmarszczył brwi.

- No, dobrze, Annie... ale oni są moją rodziną. Nie wiesz, że rodzina jest najważniejsza na świecie? - Wyjął z kieszeni sportowej marynarki biało-czerwony bilet lotniczy i położył go na blacie kuchennym. -Jedź do domu, albo nie jedź. To twoja decyzja, lecz nie rób ze mnie okrutnika. - Zaczął już odchodzić, lecz gdy się obejrzał, pewnie wreszcie zobaczył moją nieszczęśliwą minę, bo wrócił, nachylił się i pocałował mnie w usta, na chwilę delikatnie łapiąc moją dolną wargę zębami. - Nigdy się nie zmieniaj, dziecinko - szepnął.

W ostatniej chwili zdecydowałam się odwieźć go na lotnisko; specjalnie ubrałam się na tę okazję w ładny komplet bielizny, niemal przezroczystą bluzkę i jedwabne spodnie, które kołysały się jeszcze w parę sekund po tym, jak przestałam się ruszać. Długo pieściliśmy się w samochodzie i gdy dotarliśmy wreszcie na lotnisko, Stuartowi nieco brakowało tchu. Zachwycona własną pomysłowością, pulsująca od niezaspokojonej żądzy, życzyłam mu miłego lotu i pocałowałam w usta, podczas gdy nasze ręce zawzięcie pracowały pod przyciśniętymi do siebie płaszczami.

Musiałam pojechać do dzielnicy King William, by dać Charleyowi Wilderowi czek na zakup różnego rodzaju koniecznego sprzętu, lecz w tej chwili nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Dawanie czeków Charleyowi stało się dla mnie robotą weekendową i nigdy nie byłam pewna, dlaczego za każdym razem, gdy go widzę, mam ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. A widywałam go trzy, czasem cztery razy w tygodniu, gdyż zdawało się, że każde z nas ma zawsze kilka spraw do skonsultowania z drugim. Z czasem nauczyłam się doceniać Charleya: jego niewzruszony spokój, przywiązanie do okolicy i łagodny stosunek do mnie. Był istnym geniuszem, jeżeli chodzi o roboty stolarskie, lecz gdy zobaczyłam jego kosztorys doprowadzenia domu przy Azalea Road 4040 do stanu używalności, ogarnęła mnie czarna rozpacz. Dom okazał się skarbonką bez dna, z której ciągle uciekały włożone pieniądze.

Na przykład w łazience na dole brakowało wyposażenia hydraulicznego, w dwudziestowiecznym tego słowa znaczeniu. Najwyraźniej poprzedni właściciel radził sobie, donosząc wodę w wiadrach z sąsiadującej z łazienką ubikacji. Charley zasugerował, aby wyburzyć ściany między tymi dwoma pomieszczeniami i stworzyć przestronną łazienkę, odpowiednio dużą, by swobodnie pomieściło się w niej dwoje dorosłych ludzi.

- Taak, to jest zawsze ważne w łazience - burknęłam.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł radośnie.

- Ale dlaczego mamy zatrzymywać się na ścianach? Może od razu wyburzymy też podłogę i sufit?

- Prawdę mówiąc, kiedyś w przyszłości warto byłoby się zająć sufitem... - przyznał Charley, poprawiając kolorową bandanę na czole.

- Co takiego?

- Żeby wstawić świetlik. Jeżeli założysz tu oświetlenie... i tak nic ci ono nie da, Anne. Mimo wszystko będzie tu wyglądać jak w gabinecie madame Tussaud, gdyż winorośl zbyt szczelnie zarasta okno, a drzewa rzucają mnóstwo cienia.

- Przynajmniej drzewa są zdrowe.

- Tak, masz rację - odparł. - A gdy już usuniesz wszystkie gałęzie, które kładą się na dachu... każda z nich jest wielkości małego drzewka... ściągnięcie ich na dół może kosztować i tysiąc dolarów...

- Jezu! Dlaczego nie możemy ich po prostu ściąć piłą łańcuchową?

- Coś wymyślimy - odparł Charley pocieszająco. Naprawdę był urodzonym pocieszycielem - zdawać by się mogło, że nic na świecie nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. Dopiero zaczynałam zdawać sobie sprawę, co Charley robi całymi dniami i nocami, że jest tak wiecznie zajęty. Z drobnych półsłówek, jakie mu się czasem wy-

mykały, wynikało, że pracuje na zlecenie w różnych częściach miasta; odnawia maleńki, antyczny budynek w centrum miasta, tapetuje ogromną posiadłość w Habitat (najczęściej w soboty), ma też zlecenie na wykonanie dużego projektu ogrodu botanicznego w centrum starej części miasta. Bez względu na to, do jakiej dzielnicy byśmy się udali na jedną z misji rozbiórkowych, zawsze wiedział, dokąd iść i z kim gadać. Okazało się, że zajmuje się także projektowaniem ogrodów i wnętrz restauracji, jak na przykład dla Wrześniowego Ogrodu, śmiesznej, małej chińskiej knajpki z kamiennymi mostkami od frontu, które tak samo podobały się Teksańczykom, jak przejeżdżającym turystom. Jednym z atutów takiej pracy były darmowe wszystkie posiłki, a właściciel robił z odwiedzin Charleya wielką ceremonię.

Kilka dni przed wyjazdem Stuarta jadłam tam z Charleyem lunch, który w końcu trwał trzy godziny i był na tyle fascynujący, że później odtworzyłam go siostrze przez telefon nieomal słowo w słowo. Sprawy, które fascynowały Charleya Wildera, były mi zupełnie obojętne. Jestem osobą przyzwyczajoną do chodników i jasnego światła, i jeżeli o mnie chodzi, mroki listowia i gęstwiny krzaków mogą zachować swoje tajemnice dla siebie.

Jednak frapowała mnie pasja, z jaką odnosił się do wszystkiego; nie była może do końca dziecinna, lecz... zupełnie nowa, łapiąca za serce swą niezwykłością. Czasem wydawało mi się, że Charley czerpie swój entuzjazm i radość z baterii słonecznej, nie mającej nic wspólnego z pieniędzmi, na których nadmiar z całą pewnością nie narzekał. Z czasem zaczęłam wyczekiwać jego zaproszeń na kolejną eskapadę i, jak zwierzyłam się mojej siostrze - na co usłyszałam w odpowiedzi tylko „Hm” - Charley Wilder stał się moim dość niekonwencjonalnym kumplem.

Tamtego dnia we Wrześniowym Ogrodzie rozmawialiśmy o dwóch ogromnych dębach, stanowiących ozdobę misternego ogródka skalnego przy restauracji. Pod jednym właściciele wybudowali bar, a pod drugim - mniejszy barek dla dzieci, w którym podawano owoce i mrożoną herbatę. Dzieci siedziały przy własnym barze, podczas gdy dorośli mieli czas dla siebie, zaledwie dwadzieścia stóp dalej, i mogli w spokoju rozkoszować się koktajlami.

- Kilka lat temu chcieli wyciąć te dęby - powiedział Charley. - Właściwie te bary to mój pomysł... sposób na zagospodarowanie terenu bez niszczenia wspaniałych drzew.

- Muszą mieć ze sto lat!

- Znacznie więcej niż sto. Te drzewa były tu zapewne jeszcze za czasu leśnych Indian, może osiemset lat temu, a może i więcej. W po-

ludniowym Teksasie odkryto święty cmentarz, a rzeczy znajdujące się w nim mogą mieć i ze trzydzieści tysięcy lat... najdziwniejsze jest to, że niektóre z całą pewnością nie pochodzą z tutejszych terenów... na przykład małe maski zrobione z muszli przywieziono zapewne z Florydy.

- Więc byli nomadami?

- Raczej handlarzami. Wydaje mi się, że mieli kogoś w rodzaju naszych komiwojażerów.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Tak mi się po prostu wydaje.

- I chcesz mi powiedzieć, że te drzewa żyły, kiedy...

- Nie żyły...

- Przecież nie były martwe!

- Ich fragmenty, które żyją teraz, wtedy jeszcze nie istniały. - Kelner stanął przy naszym stoliku, więc poprosiłam go o kartę, lecz Charley powiedział, że we Wrześniowym Ogrodzie lepiej jest nie posługiwać się kartą dań. Zabawa polegała na tym, by pozostawić inwencję twórczą szefowi kuchni i chwalić każdą niespodziankę, jaką przygotowuje specjalnie dla nich. - Chyba że jadasz wyłącznie koszerne potrawy - dodał.

- Nie.

- Wiem, że jesteś Żydówką.

- Ale nie przestrzegam zasad koszerności. Tak czy *inaczej*, skąd wiesz, że jestem Żydówką?

- Przypominasz mi moją ciotkę z New Jersey. Kiedy dorastałem, wszystkie wakacje spędzałem u nich, nad brzegiem oceanu.

-Jakiego oceanu?

- Atlantyckiego.

- A mnie się wydawało, że jesteś stąd.

- Bo jestem, ale moi rodzice rozwiedli się, gdy miałem pięć lat. My, dzieciaki, co lato byliśmy wysyłani na Wschód. Ty mówisz jak mieszkanka New Jersey.

- Właściwie Nowego Jorku. Long Island,

- Dawno już nie słyszałem tego akcentu.

- A jednak i tak masz niezłe ucho, jak na Teksańczyka.

Nagle zapadła między nami niezręczna cisza; w tej samej chwili on zaczął mi opowiadać dalej o tych na wpół żywych, na wpół martwych starych dębach, a ja zaczęłam zadawać mu pytanie. Spuściliśmy wzrok na nasze szklanki. Właśnie w takich momentach zastanawiałam się, ile Charley może mieć lat; dwadzieścia pięć? Dwadzieścia trzy?

- Chodzi mi o to - ciągnął, z wyraźną przyjemnością wdychając parę unoszącą się nad miską pełną klusek, którą postawił między nami

kelner - że dęby wcale nie są wiecznie żyjącymi drzewami. Jeżeli ruszysz stąd autostradą międzystanową numer 90 w stronę Uvalde, a potem skręcisz przy sądzie i pojedziesz kilka przecznic na zachód, zobaczysz ogromny metalowy warsztat wybudowany dokoła żyjącego dębu. To drzewo ma chyba ze trzysta lat, ale obecnie tylko część znajdująca się na zewnątrz żyje. Gdybyś usiłowała się dokopać do samego serca drzewa i znaleźć maleńki patyczek, z którego przed wiekami wyrosło, przekonałabyś się, że jest martwy. Może być idealnie zakonserwowany, ale z całą pewnością nie żyjący. Żywe fragmenty drzewa znajdują się na jego powierzchni, może cał w głąb... i nie są wcale tak bardzo stare... może w moim wieku.

- Ale jako całość drzewo żyje...

- Tak samo jak rafa koralowa. Cały czas się rozrasta i żyje, ale to, z czego wyrosła, znajduje się głęboko w środku... To jak wspomnienie o przeszłości. Więc drzewa tak naprawdę mają pokolenia...

- Jak rodzina.

- Właśnie tak. No, może nie do końca. - Charley zsunął bandanę z czoła, ostrożnie ją rozprostował, potem złożył i rzucił obok swego talerza. Sztywne włosy rozsypały się dokoła jego twarzy niczym włosy stracha na wróble i byłoby to śmieszne, gdyby nie wyraz ogromnej koncentracji na jego twarzy. - Część żyjąca musi przetrwać wszystkie wichry i sztormy, musi sama goić swoje rany i żyć na własny rachunek. Ale pod tym fragmentem, który widzimy, istnieje serce drzewa, całokształt wszystkich poprzednich pokoleń... - Z uwagą zawiązał z powrotem bandanę na czole. - Zupełnie tak samo, jak mój ojciec żyje we mnie. Wszystkie jego dobre i złe cechy. On pił, a ja nie, lecz to także jest we mnie. Podobnie jak jego ojciec, i dziad... jak moja matka i jej przodkowie. Każda z gałęzi drzewa ma odrębną historię, a jednak tworzą całość, ale w odróżnieniu od niego rodzina ludzka składa się z oddzielnych osób. Może wyprodukować nowe osobniki zapylając inne drzewo, lecz owoce opadają na ziemię i muszą zaczynać swoje życie jako osobne drzewa. - Urwał i zjadł kilka klusek. - Ale chociaż stanowi indywidualny twór, wcale nie jest stare, gdyż zawsze produkuje nową skórę... zawsze znajduje nowe sposoby, by sięgnąć jeszcze wyżej. - Kluski, które udało mi się unieść na wysokość podbródka, opadły z powrotem na talerz. - To prawdopodobnie znacznie więcej, niż chciałaś się dowiedzieć i zanudziłem cię na śmierć...

- Ależ skąd - przerwała mu. - To, co mówisz, wcale nie jest nudne. Ja... po prostu nie wiem, co powiedzieć. Nigdy wcześniej nie porównywałam życia człowieka z życiem drzewa czy rafy koralowej.

- A ja o niczym innym nie myślę. - Charley uśmiechnął się. - No, może trochę przesadziłem...

Wreszcie udało mi się donieść kluski do ust, i opadły do mojego żołądka, wydzielając przyjemne ciepło; dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem głodna. Ostro je przyprawiono, lecz smakowały jak kaczidło, jak spalone kwiaty. Musiałam odłożyć pałeczki i wziąć do ręki widelec, by za każdym razem wkładać do ust większą porcję. Kelner postawił na naszym stoliku dwie miseczki z knedlami - jasnożółty-mi i czerwonymi, niczym greckie pisanki - oraz tuńczyka pieczonego w polewie z tartych migdałów.

- To nie jest zwyczajne chińskie jedzenie - zauważyłam.

- Tutejszy szef kuchni lubi... trochę zaszaleć. To artysta... i jednocześnie bardzo dobry człowiek. Mówi o sobie jako o Kreolu z Tajwanu. Co parę lat dobudowuję mu kilka pokoi, żeby miał gdzie pomieścić następne adoptowane dzieci.

- Od jak dawna się tym zajmujesz?

- Dla niego?

- Nie... ogólnie.

- No, cóż... otworzyłem własny interes w wieku siedemnastu lat, możesz mi wierzyć lub nie. Zacząłem zaraz po ogólniaku. Więc dwanaście lat... trochę więc niż dwanaście.

- Ale mówiłeś, że chodziłeś do college'u...

- Pewnie.

- No, to jak godziłeś to z własną firmą?

- Chodziłem do college'u kilka razy w tygodniu, na zajęcia z architektury, planowania przestrzeni i takie tam... - Charley podał mi znowu miseczkę z czerwonymi knedelkami; dwa zsunęłam sobie na talerz, choć czułam, jak pasek dżinsów zaczyna mi się boleśnie wrzynać w ciało. - Macie dzieci?

- Stuart i ja? - spytałam. Oczywiście, że Stuart i ty, stara idiotko; niby o kogo mógłby pytać. - Nie. Właściwie nawet nie jesteśmy małżeństwem... na razie.

- Jasne, oczywiście. Teraz sobie przypominam. Po prostu wyglądacie na małżeństwo.

- Widać, co?

- To nic wielkiego. Zapomnij. - Zaskoczona dziwnym tonem, spojrzałam na niego, lecz nie zobaczyłam nic, oprócz zwyczajnej spokojnej miny; jakby miał twarz pomalowaną farbą. - Kiedy planujecie się pobrać? - zapytał z szerokim uśmiechem. Był słodki. Naprawdę przystojny, w tym typie przystojnego blond olbrzyma, który nigdy wcześniej na mnie nie działał.

- Wcale nie jestem pewna, czy i wtedy będziemy mieć dzieci - powiedziałam; czułam się odprężona i lekko przyćmiona, jakbym po miłym pikniku nad rzeczką właśnie miała ochotę się zdrzemnąć. Chciałam zwinąć flanelową koszulę, którą Charley powiesił na oparciu swego krzesła, i podłożyć ją sobie pod głowę jak poduszkę, by zasnąć przy cichym szepcie dębów, Ale właśnie wtedy Charley powiedział mi, że ma córkę.
- Miałem nieco ambiwalentne uczucia, gdy się o tym dowiedziałem
- rzekł.
- Ja też. - Kiwnęłam głową i zamarłam na moment; nadal mi się wydawało, że rozmawiamy o dobrych i złych stronach posiadania dzieci.
- Co takiego?
- A co powiedziałeś? Roześmiał się.
- Ze miałem ambiwalentne uczucia, gdy się po raz pierwszy dowiedziałem, że będziemy mieć dziecko. - Nieomal zazgrzytałam zębami; jakże ja nie znoszę tego powiedzenia. To kobieta ma dziecko, a nie facet. -I nie chodziło nawet o samo dziecko, lecz o czas, w jakim to się stało.
- A co myślała twoja żona?
- Nie była wcale moją żoną; i nadal nie jest. Nigdy zbyt wiele nie planowaliśmy... Lakin i ja.
- To... matka dziecka?
- Taak. Byliśmy ze sobą jakieś dziewięć miesięcy, bez żadnego podtekstu.
- Aha.
- Nic takiego nie planowaliśmy.
- Czym ona się zajmuje?
- Dopingowaniem drużyny futbolowej.
- Och, Boże - wyrwało mi się nieomal bezwiednie.
- No, cóż... ona wcale nie jest ucieleśnieniem stereotypu. Naprawdę. Ale nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, poza oczywistym...
- A oczywiste doprowadziło was do takiej sytuacji...
- Taak - odrzekł. - Nie chcę, żebyś odniosła mylne wrażenie... Nie wykorzystywałem Lakin tylko dlatego, że była taką... lisicą, choć była.
- Moje zaspanie prysło; siedziałam teraz wyprostowana, wojownicza i nieprawdopodobnie wściekła. - Zgodziliśmy się, że nasz związek opiera się na teraźniejszości, a nie przyszłości. Wydaje mi się, że takie rzeczy są możliwe...
- Jak zatrudnienie na ograniczony czas pracy?
- Jeżeli obie strony się zgadzają.

- Więc co się stało?

Charley naprawdę się zarumienił.

- Wydaje mi się... że Lakin mnie lubiła. Wiesz, ona naprawdę jest dobra. I miała ładny głos; nieraz, gdy szliśmy gdzieś do baru, stała na podium i śpiewała z kapelą, a ja ją do tego zachęcałem...

-Noi?

- No i traktowałem ją naprawdę dobrze.

- Traktowałeś ją naprawdę dobrze, ale nie było w tym przyszłości?

- Chodzi mi o to, że traktowałem ją dobrze i ona odniosła wrażenie, że... jest coś między nami... na innym poziomie...

- Nie musisz mówić nic więcej.

- Nie - powiedział Charley - równie dobrze mogę dokończyć. Będiesz jeszcze jeść ten ryż? - Przesunęłam miskę w jego kierunku. - Powiedziała mi dopiero, gdy była już w czwartym miesiącu ciąży, bo nie chciała zbyt wcześnie wyciągać wniosków, sama rozumiesz. Wtedy już nie widywaliśmy się od jakiegoś czasu, a ja zawsze bardzo uważałem...

Jeszcze chwilę wcześniej myślałam o Charleyu jako o złoczyńcy, a o słodkiej Lakin jako o teksańskiej wersji Nicole Kidman, ofierze własnej urody. Jednak nagle wszystko się odwróciło. Przecież chyba Charley, z całą swoją wiedzą na temat ekosystemu i połączenia seksualnego, nie mógł być aż takim idiotą, by nie zdawać sobie sprawy ze zwykłych biologicznych zależności.

Patrzyłam, jak zajada swój ryż; nigdy nie widziałam, by ktoś równie szybko posługiwał się pałeczkami.

Może jednak był aż takim idiotą?

- Myślisz, że istnieje prawdopodobieństwo, że to tylko ty uważałeś, Charley? - spytałam.

- Rozważałem taką możliwość - odparł. - Ale Lakin była bardzo pewna siebie i od razu mi powiedziała, że nie chce dzieci.

- I naturalnie założyłeś, że mówi szczerze...

- Nie miałem powodu, by sądzić inaczej.

- Może byłeś pierwszym facetem, który potraktował ją jak człowieka, i nie chciała, byś od niej odszedł. Może zaczęła umawiać się z tobą, czując jedno, a skończyła, czując zupełnie coś innego? Może dlatego czekała aż cztery miesiące, żeby ci o wszystkim powiedzieć... chodzi mi o to, Charley, że każda osoba zdrowa na umyśle wie, że jest w ciąży przed upływem czterech miesięcy.

- Chciała mieć pewność.

- Nie chciała ewentualnej aborcji - odparłam prosto z mostu; nagle

usłyszałam to tak, jak on musi to odbierać, jak przemowę dziwki pozbawionej uczuć. - Wydaje mi się, że chciała, byście się pobrali.

- No, cóż... to nie było możliwe.

- Jasne.

- Nic się nie zmieniło. Wciąż wszystko grało, lecz to nie był związek partnerski... Nie chciałem mieć z nią czegoś podobnego. Lakin i ja... nie mieliśmy...

- Czego? Wspólnych wartości?

- Nie... nie to. Nadal mamy podobne poglądy na wiele spraw.

- Więc co?

- No, cóż... nie mieliśmy podstaw do prowadzenia ze sobą rozmów przez całe życie... i wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale ona nie chciała mieć dzieci. A ja chciałem... i to więcej niż tylko jedno. Więc uważałem, że przez jakiś czas będziemy ze sobą szczęśliwi...

- Ale przecież ona miała dziecko, Charley. Urodziła twoje dziecko.

- Wcale tego nie chciała. Nie planowała...

- Twoim zdaniem.

- Tak, moim zdaniem. Jest dobrą matką, ale to nie to samo co pragnienie... jest dobrą matką, bo dziecko stanowi nieodłączną część jej życia...

- Czy kontaktujesz się z dzieckiem?

- Anne - powiedział Charley, odsuwając bandanę z czoła i wpatrując się we mnie. - Kocham moją córeczkę. Łożę na jej utrzymanie i odwiedzam ją, jak często mogę. To, że nie utrzymuję trwałego kontaktu z jej matką, wcale nie oznacza, że nie utrzymuję go z córką. Mam nadzieję, że kiedyś w przyszłości będę mieć inne dzieci... Ale chciałbym je wychować z kobietą, którą będę kochać... jednak ona zawsze będzie moją pierworodną.

- Jak ma na imię?

- Claude.

- Claude?

- Tak, Claude. Bo Lakin ma na nazwisko Monet. Możesz w to nie uwierzyć, ale tak jest naprawdę. Właściwie sam tego nie wymyśliłem, lecz teraz mi się podoba. Kiedy wstawałam, ujął mnie pod łokieć w jakimś dżentelmeńskim geście pochodzącym z zupełnie innego wieku. Czułam potrzebę przeproszenia go za zbyt pochopne podejrzenia, lecz gdy usiłowałam wymówić choć słowo, Charley niecierpliwie machnął ręką. Zastanawiałam się, co tak naprawdę zaszło między Charleyem a Lakin i wcale nie chodziło mi o ich wesołą, naiwną przyjaźń.

Myślałam o... oczywistym.

Niewiele rozmawialiśmy podczas drogi powrotnej, a ja poszłam do biura, gdy tylko opony jego ciężarówki dotknęły krawężnika przed moim domem. Reszta dnia upłynęła mi na obgryzaniu ołówków i długopisów, i nic konstruktywnego nie udało mi się zrobić.

Kiedy już opowiedziałam tę rozmowę Rachie, która w tym samym czasie usiłowała przebić się przez popołudniowy korek na Manhattanie, postanowiłam zmienić temat. Moja decyzja wynikała częściowo z tego, że Rachie od dłuższego czasu milczała, a ciszy nie mogłam zwalić tylko na wadliwe połączenie z jej telefonem komórkowym; musiała usilnie nad czymś medytować.

- Tak więc po części nie jestem w tym roku z wami na święta z powodu mego nowego domu. Zanim choćby rozłożę karimatę na podłodze w salonie, muszę tu odnowić, albo odbudować właściwie... wszystko... Potrzeby tego domu są niezwykle... Przegromne.

- Kolosalne.

- Herkulesowe.

- Tytaniczne.

- Niczym Patrick Ewing remontu.

- Ale w Teksasie wszystko jest duże, Annie.

- Taak, z wyjątkiem sumy na moim koncie bankowym. Nie mam ani grosza, słonko.

- Ale masz przystojnego stolarza...

- Taa...

- Annie? - rzekła nagle Rachie i bezbłędnie rozpoznałam to jej „Annie?” z naszego dzieciństwa: sugerowało nowy, dotąd niewyeksplloatowany kierunek w rozmowie.

- Czy ty go lubisz?

- Kogo? Charleya?

- Taak, właśnie jego. Wjeżdżam już na podjazd przed domem, Annie... za chwilę usłyszysz dzikie wrzaski swych ukochanych siostrzeńców.

- Oczywiście, że go lubię. Pozwalam mu do końca zniszczyć swój nieomal całkowicie zniszczony dom!

- Mówisz jak prezenterka w wiadomościach telewizyjnych. Dom nie może być całkowicie stworzony albo całkowicie zniszczony. Samo słowo „zniszczony” zakłada już w sobie całkowitość i nieodwracalność zjawiska.

- Tęsknię za tobą.

-Ja za tobą też. Ale posłuchaj, lubisz go?

- Chcesz powiedzieć, czy mi się podoba? To znaczy, czy chciałbym się z nim przespać?

- Taak.

- Jezu, Rachie, on... on ma chyba ze dwadzieścia dziewięć lat. I jest tylko długowłosym misiem, którego...

- A mnie się zdawało, że jest inny.

Mimowolnie sięgnęłam dłonią do krocza; czułam tam stale bijący puls, który mnie rozpraszał.

- Myślisz, że się puszczam ze stolarzem?

- Myślę, że cholernie długo opowiadałaś mi o rozmowie, jaką przeprowadziłaś podczas lunchu z facetem, który dla ciebie pracuje. Zajęło ci to jednaście minut...

- Nie mów mi, że zmierzyłaś czas!

- Byłam ciekawa. Poza tym opowiadałaś mi to jak zadurzona nastolatka; „On powiedział, a ja na to, a wtedy on powiedział...”

- Daj spokój, Rachie! To tylko próbka lokalnego kolorytu.

- Doprawdy?

I wtedy odważyłam się ją zapytać:

- Rachie, czy ty kiedykolwiek myślisz o Carlosie?

Nawet się nie zająknęła; nie syknęła też przez telefon, co zazwyczaj oznacza: „Natychniast zejdz z tematu”, odparła po prostu:

- Oczywiście, że myślę o nim... może nie co dzień, ale od czasu do czasu.

- I co o nim myślisz? Kiedy o nim myślisz?

- Annie, dlaczego nagle ma to dla ciebie tak wielkie znaczenie?

- Bo znam takiego dzieciaka... - odrzekłam i nagle opowiedziałam jej całą historię Arley i Dillona.

Wkrótce dotarłam do swego mieszkania i weszłam, nadal rozmawiając przez telefon komórkowy. Potem się rozłączyłyśmy, ale tylko po to, by iść do łazienki i wziąć sobie coś do picia - ona w New Jersey, a ja w Teksasie - i usiadłyśmy, by spokojnie porozmawiać: ona w łazience, gdyż było to jedyne miejsce, w którym mogła się ukryć przed swoimi rozwrzeszczanymi synalkami, a ja na półksiężycowym balkoniku wychodzącym na boisko szkoły Summit, gdzie meksykańskie dzieci wечно się kłóciły albo grały w gumę.

- To, co widziałam, wcale mnie od niego nie odstraszało - powiedziała Rachael. -**1** wiesz co, Annie? Ja naprawdę widziałam wiele, tylko że nic z tego nie wydawało mi się tak naprawdę złe.

- Czy on robił złe rzeczy?

- Nie w stosunku do mnie. - Usłyszałam, jak wzdycha i grzecho-

cze lodem w szklance. - Czasem myślę o swoim życiu jak o jednym z kół powstających na wodzie, gdy rzuci się kamieniem. Jedno koło to ja. Drugie moje dzieci. Czasem, na przykład, gdy są jeszcze bardzo małe, nasze koła... nieomal się dotykają... jak przy zaćmieniu księżyca. Wszystkie aspekty twojego życia są związane z ich życiem. Ale w przypadku Carlosa tylko drobne fragmenty z naszych kół zachodziły na siebie. Nie pochodziliśmy z tej samej dzielnicy, nie uczęszczaliśmy do tej samej szkoły ani nie mieliśmy tego samego kręgu przyjaciół, o których można by rozmawiać. Nie czytaliśmy tych samych książek ani nie chodziliśmy na te same filmy do kina. Byliśmy tylko my... i nasza miłość. Jak planeta z atmosferą, którą tylko my dwoje mogliśmy oddychać.

- Ale wszystko inne... no, wiesz... przecież...

- Taak, pod koniec okazało się, że nie można żyć tylko samą miłością. Pamiętasz tę japońską przypowieść o tym, że ryba i ptak mogą się kochać, ale nigdy nie zbudują wspólnego domu? To, co nas wiązało, było prawdziwe i wtedy stanowiło dla mnie cały świat. Ale to nie jest jedna z tych rzeczy, na które patrzysz po dwudziestu latach i pytasz sama siebie: „O czym ja wtedy myślałam?”

- No, a o czym myślałaś?

- Wcale nie myślałam, Annie. Może bałam się wniosków, do których mogę dojść? Wiedziałam tylko, że kiedy on... kiedy jest ze mną -wiesz, we mnie - nie istnieje żadna część mojego ciała, która nie byłaby z nim połączona. To tak, jakby każdy haust powietrza, jaki brałam do płuc, pochodził od niego. Pachniałam tak jak on... Kiedy poruszał ramieniem, nie byłam pewna, czy to jego ręka się rusza, czy moja...

- To seks, Rachie. Seksualny haj, który nie trwa długo...

- Nie, to było coś więcej. -Jak to, więcej?

- No, więcej niż tylko seks. Więż między nami wykraczała poza ramy zwykłego seksu... czy nawet przyjaźni. To był prawdziwy związek... Ale mogliśmy tę więź wyrazić tylko w jeden sposób - poprzez seks. Lecz z całą pewnością nie pochodziła ona z niego. Po prostu nie mieliśmy tych wszystkich sposobów dostępnych innym ludziom, by stworzyć długotrwały, trójwymiarowy związek.

- Czy zrobiłabyś to jeszcze raz?

Nie odpowiedziała. Oddychała wolno i głośno, lecz nie były to westchnienia. W tle słyszałam wrzaski moich siostrzeńców, którzy zdawali się bić na śmierć i życie niczym ludzie jaskiniowi o ostatnią porcję mięsa mamuta, podczas gdy tak naprawdę chodziło im o coś równie trywialnego, jak pilot do telewizora.

- Teraz?
- Nie, niekoniecznie teraz. W ogóle.
- Miałam okazję, później. Zadzwoił do mnie kilka razy... zaraz po moim ślubie z Donem.
- I co robił?
- No, cóż... nie studiował na wydziale języków obcych w Oxfordzie, Annie; ale nie był też w San Quentin... Miał jakiś bar nocny ze stripti-zem... był jego współwłaścicielem wraz z wujkiem czy kuzynem, nie pamiętam. Utkwiła mi w pamięci tylko nazwa: „Aleja Zachodzącego Słońca”... Znajdował się w Brooklynie i pewnego wieczora tam pojechałam...
- I znowu go zobaczyłaś?
- Nie. Nie weszłam do środka.
- Dlaczego?
- Wiedziałam, co by się stało. Bo nawet gdyby był kompletnie łysy albo gdyby jego oddech śmierdzał whiskey, albo gdyby był cały w tatuażach i nosił skórzane spodnie, nadal byłby tym czarnookim chłopakiem, w którym się zakochałam. I znowu zrobilibyśmy to samo. Jednak wtedy byłoby to złe... już nie mogłabym zwalić winy na młodość i hormony.
- Księżyc wpłynął na niebo i blade promienie oświetlały moją dłoń; wyglądała niczym wypolerowana, lśniąca dłoń szkieletu. Srebrny pierścionek na moim palcu, kocie oko z Tienda Corina, wydawał się tylko ciemniejszą plamką. Powinnam wejść do środka, włączyć światło, muzykę i zacząć przygotowywać obiad. Lecz cały czas siedziałam na balkonie, obserwując, jak upalny dzień zamienia się w chłodną noc, zupełnie jak gdyby moja siostra znajdowała się tuż obok mnie. Kiedy chodziłyśmy na studia, często siadywałyśmy przy otwartym oknie w sypialni rodziców, balansując na kolanach kubkami z kawą.
- Powód, dla którego nie mogłam zostać z Carlosem jako dorosła kobieta, nie miał nic wspólnego z nim czy ze mną, Annie - odezwała się naraz. - To wiązało się z... otoczeniem. Na tym świecie nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego... Może gdybyśmy wyjechali wspólnie do Nowej Zelandii, jakoś by się wszystko ułożyło. Ale nawet wtedy... Wiesz, że ja wszystko przeżywam w głowie, nie? Sprawy intelektualne mają dla mnie ogromne znaczenie. Chciałabym, potrzebowałabym tego typu stymulacji...
- A więc jednak wszystkie drobne szczegóły mają znaczenie. I wyszło na to, że są dla ciebie ważniejsze niż związek z Carlosem.
- Nie do końca.

-Jak możesz tak mówić, Rachie? To... tak beznadziejnie romantycznie brzmi w twoich ustach.

- Nigdy tak naprawdę nie sprawdziłam siły naszego uczucia, Annie. Ale to było jak w „West Side Story”... my mieliśmy rację, a cały świat dokoła nas się mylił.

- Daj spokój, Rachie. Nie sądzisz, że to trochę zbyt melodramatycz-ne...?

- To po prostu ludzkie uczucia, Annie.

- Ale... tego typu uczucia mogą cię zniszczyć. Przecież oprócz jednego jedyne go wypadku nie egzystujesz na podobnych zasadach. Nikt z nas tego nie robi. To nierozsądne.

- To było rozsądne. To, co działo się z moim serce, umysłem i ciałem, mówiło, że mam rację, że postępuję słusznie. Po prostu nie pasowało do reszty mojego życia.

- Nawet wtedy?

- Taak, nawet wtedy... bo już wtedy wiedziałam, jaka będę w dorosłym życiu.

- Trochę... konwencjonalna?

- Taak. - Umilkła na chwilę. - Brzmi to jak nazwa jakiejś choroby skóry, co? Westchnęłam; nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Lecz Rachael znowu się odezwała:

- Chciałabym po prostu, żebyś nie uważała, iż nigdy się nie zastanawiałam nad tym, co się wydarzyło między mną a Carlosem, albo że nie zrobiłabym tego, gdybym się wcześniej zastanowiła. Właściwie, wiesz co, Annie?

-Co?

- Przez długi czas, dłuższy niż mogłabyś się spodziewać, nie miałam zbyt wiele szacunku dla świata. Czułam, że zawsze będzie miejscem, w którym chłopiec taki jak Carlos nigdy nie będzie mógł żyć szczęśliwie z dziewczyną taką jak ja.

Uważałam, że to cholernie niesprawiedliwe. I wiesz co, Annie?

-Taak?

- Czasem nadal tak uważam.

Była już chyba dziewiąta wieczorem, gdy wreszcie dojechałam do mojego domu na Azalea Road; nie mam pojęcia, co chciałam tam robić - po prostu siedzenie w domu i rozmyślanie o Rachie i tym, jak bardzo za nią tęsknię, oraz o Stuarcie i tym, że pewnie w tej chwili doskonale bawi się z naszymi przyjaciółmi w którymś z barów SoHo i wcale

0 mnie nie myśli, było zbyt przygnębiające. Z telefonu w samochodzie zadzwoniłam do Arley; słuchałam powtarzającego się sygnału i wyobrażałam sobie aparat stojący na czerwonym stoliku w holu, jak dzwoni i dzwoni, niczym żywe stworzenie usiłujące zwrócić na siebie uwagę właścicieli. Potem przypomniałam sobie, że są ferie, więc pewnie gdzieś wyszła z Eleną. Zatelefonowałam do Patty, lecz chwilę później przypomniałam sobie, że kilka godzin wcześniej wyjechała do New Jersey. Jeanine spędzała święta z rodzicami na Kay Biscayne - wedle jej słów, jedynym miejscu bardziej przygnębiającym w święta niż Teksas.

W chwili gdy wyłączyłam silnik, usłyszałam muzykę, lecz pomyślałam, że dobiega pewnie przez otwarte okno z domu któregoś z sąsiadów. W końcu była noc poprzedzająca Wigilię i wszystkim zwała się na głowę rodzina. Dopiero podchodząc do własnych drzwi, zrozumiałam, że dobiega z wnętrza mego domu, że to gra jakby nieco zdarta płyta. Schwycił mnie nagły strach i poczułam przyływ adrenaliny, dopóki nie rozpoznałam piosenki; moja mama często ją śpiewała... nosiła tytuł „Jak pięknie dziś wyglądasz”. Czując się jak idiotka, zapukałam do drzwi, które po chwili otworzył mi... Duch Wigilijnej Przeszłości -Charley od stóp do głowy pokryty białym gipsowym pyłem; nawet włosy miał kompletnie białe.

- Anne! - Nerwowo złapał jakąś szmatkę i zaczął nią wycierać ręce i twarz. Nie widzieliśmy się od owego pamiętnego lunchu, który jedliśmy w zeszłym tygodniu. - Nie sądziłem, że zostaniecie w mieście... wymyśliłem, że uda mi się w kilka godzin oskrobać sufit i na nowo za-gipsować... Do tej pory pracowałem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w tym centrum historycznym i...

- Nie ma problemu, Charley. To twoja sprawa, kiedy tu pracujesz. Po prostu nie pojechałam do domu, jak wcześniej planowałam... Stuart poleciał sam.

- Oj, Anne... szkoda.

- Nie, nic się nie stało. Po prostu... muszę tu pozałatwiać kilka spraw. Nic poważnego.

- Kiedy wraca?

- Nic mi nie jest, Charley. Jestem dużą dziewczynką. Zlustrował mnie od stóp do głowy.

- Wcale nie taką znowu dużą.

- Chodziło mi o to, że jestem już dorosła.

- A ile masz lat?

- A cóż to za pytanie?

- Wydaje mi się, że całkiem proste.

- Mam czterdzieści lat, Charley.

- Nie wyglądasz na tyle.

Weszłam do środka i natychmiast pożałowałam, że nie przyniosłam ze sobą swetra. Zdawało się, że w tym domu chłodne powietrze gromadzi się niczym w jakimś bankowym skarbcu. Nawet na Nowej Fundlandii musi być cieplej.

- Czy jest tu klimatyzacja, Charley? - zapytałam.

-Jeszcze nie. Właściwie powinniśmy o tym porozmawiać. Okablowanie nie wytrzyma przeciążenia spowodowanego klimatyzacją... więc jeżeli będziesz chciała ją założyć, to koszty nieco wzrosną...

- Powinieneś mieć to wypisane na koszulce, Charley. „Koszty nieco wzrosną”. Myślisz, że kiedykolwiek od ciebie usłyszę: „Hej, Anne, mam wspaniałe wieści, wyszło taniej, niż się spodziewaliśmy!”.

- To byłby pierwszy raz w historii renowacji jako takiej.

- Poza tym, dlaczego każdy musi mi od razu powtarzać: „Nie wyglądasz na tyle”?! Jakby to był jakiś komplement! Dlaczego każdy uważa, że dobrze jest wyglądać młodziej?

- Wcale nie powiedziałem, że wyglądasz młodziej.

- Że co?

- No, cóż... nie wyglądasz na czterdziestkę, ale też niewiele młodziej... Może trzydzieści siedem albo coś w tym stylu. Po prostu jeszcze nie siwiejesz ani nic takiego...

-Jezu, wielkie dzięki, Charley. Jak ładnie to ująłeś.

- Sama zaczęłaś.

- Faktycznie mam dopiero trzydzieści dziewięć lat... aż do następnego miesiąca.

- Miałem przeczucie.

- Naprawdę?

- Tamtej nocy, gdy przyszliście pod dom ze Stuartem, powiedziałaś, że chcesz go kupić ze względu na adres...

- Byłam pijana. - Przyjrzałam się tynkowi opadającemu z sufitu, odpadającym okiennicom i pęknięciom na ścianach długim jak Nil. - Szkoda, że teraz nie jestem.

- Masz ochotę na piwo? - Okazało się, że w niedużej, przenośnej chłodziarce ma sześć butelek lone star. Wzięłam jedno i zdjęłam kapsel, używając metalowej dziury w skrzynce na listy. - Hej, zdolna jesteś! - skomentował Charley z podziwem.

- Charley, co to była za muzyka? - spytałam nagle. - Jakby ze starego gramofonu.

- Bo to był gramofon.

Zaprowadził mnie do dawnego pokoju muzycznego, gdzie na wyblakłym granatowym suficie ktoś namalował gwiazdy; Charley miał nadzieję odrestaurować go w całości. Gramofon stał w wypolerowanej kasetce z wiśniowego drewna; Charley znalazł go na jakimś śmietniku, odremontował i od tamtej pory zbierał wszędzie stare winylowe płyty.

- Podoba mi się ten dźwięk, wiesz? Nawet nie chodzi o to, że jest dobry jakościowo, gdyż nie jest... ale jest taki, boja wiem, odległy.

- Taak, jak gwizdek pociągu.

- Właśnie. - Uśmiechnął się do mnie, a kurz umorusał jego przyprószoną na białą twarz. - Chcesz posłuchać? Mam tu „Błękitny walc”. - Nie znałam tej piosenki. - Jest strasznie stara... chyba jeszcze z lat dwudziestych.

- Skąd się znasz na takich starociach?

- Bo jestem synem pary nauczycieli muzyki. Stąd też znałem poprzednią właścicielkę tego domu... uczyła gry na fortepianie. Lubisz tańczyć?

- Pewnie. I to właśnie zawsze robiliśmy podczas świąt Bożego Narodzenia - całą rodziną chodziliśmy na tańce... na ostatnie piętro takiego pięknego hotelu, Carillon. W środku mają zawsze cudowne, żywe choinki naprawdę pięknie udekorowane... i ślicznie pachnące...

- Czy to nie obraża twoich uczuć?

- Co, choinki?

- Taak, wielu Żydów czuje się tak, jakby katolicy wpychali im je do gardel na każde święta.

- Gdy byłem mała, czułam się podobnie. Myślałam, że ktoś nas oszukał... jakby ktoś obdarzył nas przemiłymi świętami, w czasie których trzeba trzy razy dziennie zmywać naczynia... A teraz właściwie lubię święta, bo to nie my musimy martwić się pieczeniem ciast czy gotowaniem potraw, czy też kupowaniem milionów prezentów...

- Ale nie przychodzi też do was Święty Mikołaj.

- Ale do was przychodzi. Czy córka przyjeżdża do ciebie na święta?

- Nie w tym roku. Zamieniamy się... teraz jest kolej Lakin. Ale nie ma problemu... kiedy tu przyjedzie za rok, będzie miała cztery lata i naprawdę nie mogę się doczekać jej reakcji. Choć z drugiej strony moja mama jest strasznie smutna, że nie zobaczy wnuczki.

- A ty nie?

- Nie ma sensu smucić się czymś, na co nie masz wpływu.

- A jednak ja się smucę.

- No, cóż... - odparł, a potem nagle spytał: - Masz ochotę zatańczyć, Anne?

Wiedziałam, że jeżeli tylko zbliżę się do niego na odległość choćby trzech stóp, moja piękna bluzka i czarne jedwabne spodnie całe będą w gipsie, lecz odsunęłam tę myśl. Skinęłam głową i wyciągnęłam ramiona.

- Skąd umiesz tańczyć? - zapytałam. - Faceci zazwyczaj nie tańczą.

- Moja starsza siostra nauczyła mnie wszystkiego. Była królową balu na zakończenie ogólniaka, ale nie miała partnera i to ja musiałem ją zaprowadzić...

- Nie mów mi, że musiała pójść z młodszym bratem?

- Aha... Jest ładna, lecz strasznie złośliwa. - Charley roześmiał się głośno. - Poza tym znam całe mnóstwo chłopaków, którzy chodzą do kowbojskich barów, żeby potańczyć. Po prostu lubią dobrą muzykę.

- Ale walc... Jesteś pewien, że potrafisz tańczyć walca? A może tylko zwykły wolny taniec? Wydawało mi się, że walc zginął wraz z poprzednim pokoleniem.

- No, cóż... może jestem trochę staroświecki. - Charley uśmiechnął się i objął mnie. Och, Boże, pomyślałam, niech tylko za dobrze nie tańczy. Ale tańczył świetnie.

Może nie tak doskonale jak Stuart, lecz jednak świetnie. Nie potrafił tak lekko wywijać jak mniejsi od niego mężczyźni; nie był jednym z tych chłopców, którzy wiele dni uczą się podstawowych kroków, by potem dodać do nich własne wariacje... tańczył swobodnie, z gracją ogromnego niedźwiedzia świadomego swej wagi. Brudny, śmierdzący terpentyną, z dzinsami przetartymi na kolanach, Charley złożył ręce na moich plecach tak, że tylko kciukami dotykał mego ciała. Babcia Esthery uczyła mnie swego czasu, że prawdziwi dżentelmeni tylko tak obejmują partnerkę, by nie pognieść jej kreacji.

W objęciach Charleya poczułam się nagle jak maleńka kobietka, unoszona przez olbrzyma.

Miał poważną i skupioną minę, gdy w idealnych figurach okrążaliśmy porysowaną podłogę pokoju muzycznego. Przyszło mi do głowy, że być może Charley przygotowuje się do poderwania mnie, ale nie zrobił nic, by przyciągnąć mnie bliżej; nic nie rozpraszało jego skupienia ani rytmu naszego tańca. Kiedy piosenka się skończyła, po prostu nałożył następną płytę.

Wreszcie to ja wykonałam pierwszy ruch i przysunąwszy się bliżej, oparłam czoło o jego pierś, na co Charley nie zareagował ani spięciem mięśni, ani mocniejszym przyciągnięciem mnie do siebie. Po prostu trzymał mnie w ramionach jak stary przyjaciel, dopóki igielka na płycie nie stanęła.

Przez otwarte okna słyszałam cichy szum samochodów jadących autostradą Kings. Z jakiegoś sklepu dochodził to wznoszący się, to opadający dźwięk dzwoneczków, tak że z sekundy na sekundę człowiek właściwie nie był pewny, czy cokolwiek słyszał. Gdy powiew wiatru wpadał przez okno, znowu się go słyszało. Ktoś musiał wystawić na ganek elektrycznego aniołka, przynajmniej tak mi się zdawało.

- Paskudny hałas - mruknełam.

- Taak - odparł, nadal nie wypuszczając mnie z objęć. - Ale dzieciom się podoba.

Claude uważa, że muzyka puszczana w sklepach brzmi piękniej niż chór anielski.

- Bo dzieciom najbardziej podoba się otoczka.

- To jest w nich najpiękniejsze... Że doceniają szczegóły i potrafią się nimi cieszyć.

- Ty też powinieneś się cieszyć, Charley. Powinieneś doceniać fakt, że masz Claude. Westchnął.

- Doceniam... Po prostu wolałbym, żeby zjawiała się na tym świecie w inny sposób.

- Ale przynajmniej ją masz. Ja nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała dziecko.

Zycie jest takie krótkie.

- Wiesz co, Annę? - odparł, powoli odsuwając mnie na odległość ramienia. - Ludzie zawsze to powtarzają... ale mnie się wydaje, że życie jest długie. Przynajmniej wystarczająco długie.

Odwrócił się i wyłączył gramofon, po czym ostrożnie zamknął wieczko. Stałam, patrząc na niego, i nagle zrozumiałam, że czekam na jakąś propozycję z jego strony, na wpół mając nadzieję, że nie nadejdzie. Kiedy się tak jednak nie stało, poczułam ukłucie zawodu i bólu.

- No, cóż... życzę ci miłych świąt - powiedziałam w końcu i zaczekawszy jeszcze ułamek sekundy, wyszłam z domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ARLEY

Kiedy Annie zabrała mnie na zakupy tamtego dnia po szkole, musiałam co chwila sobie powtarzać, że jestem już mężatką i nie kupujemy ubrań na moją wyprawę, choć tak właśnie się czułam. Nie chodzi nawet o to, że po raz pierwszy w życiu byłam na zakupach; razem z Eleną nieraz włóczyłyśmy się po sklepach w centrum handlowym, dobierając różne zestawy ubrań, przymierzając poszczególne ciuchy i licząc, ile nas będą kosztować. Ale to było tylko chodzenie po zakupy.

Teraz naprawdę kupowałyśmy i było to znacznie fajniejsze.

Z początku czułam się strasznie głupio; wszystkie pieniądze - a nie było ich wiele - które zarobiłam w Taco Heaven, wydawałam na ubrania do szkoły, zeszyty, ołówki i inne niezbędne rzeczy. Powiedziałam to wszystko Annie i dodałam, że nie stać mnie na specjalne ubranie do sądu. Ale ona odparła, że w pracy mają specjalny budżet przeznaczony na podobne wydatki, choć faktycznie korzystają z niego kobiety, które w środku nocy uciekły od swych mężów, nie biorąc ze sobą nic, nawet szczoteczki do zębów. Teraz wydaje mi się, że ten specjalny budżet tak naprawdę pochodził z kieszeni Annie, choć ona gorąco temu zaprzecza.

Pojechałyśmy do sklepu Dillarda i Annie powiedziała, żebym wzięła, co mi się podoba; miałam sobie wybrać ubrania, w których wyglądałabym jak dorosła studentka, jak te dziewczyny na okładkach „Seventeen”.

- Arley - rzekła Annie - wiem, że jesteś ładną dziewczyną, ale jeżeli zjawisz się w sądzie w dżinsach i kusym podkoszulku, spod którego wystaje twój opalony brzuch, wszyscy pomyślą, że jesteś... no, taką dziewczyną, która mogłaby wyjść za mąż za faceta siedzącego w więzieniu. - Westchnęła. - A ty taka nie jesteś... Choć właśnie to zrobiłaś... Aj... Przecież wiesz, o co mi chodzi.

Zaraz za drzwiami skręciłyśmy do działu młodzieżowego i na pierwszy rzut oka mogłabym wybrać ze dwadzieścia strojów, które mi się podobały, lecz Annie nie była zbyt zachwycona żadnym z nich.

- To jest wstrętne - powiedziała, wskazując palcem na sweterek z dużymi oczkami (a był taki słodki, malinowy z długim rzędem haftek i koników z przodu). -**1** w fatalnym gatunku.

W miarę upływu czasu przekonałam się, że był to jej ulubiony sposób określania ubrań (prawdę mówiąc, jej ciuchy nigdy nie kosztują mniej niż trzysta dolarów za sztukę). Westchnęła ciężko.

- Wcale się na tym nie znam... W końcu sama zawsze chodzę ubrana tak samo...

Miała rację, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Wszystkie ubrania Annie, z wyjątkiem dzinsów i kowbojskich butów, są takie same - długa lub krótka spódnica i coś w rodzaju powiewnej tuniki na górę. Ona uważa, że dzięki takim ubraniom wydaje się wyższa i szczuplejsza, choć to czyste wariactwo. Annie wcale nie jest gruba, ale czasem mówi prosto z mostu, że wygląda jak żółw. Długi czas później, gdy pewnego wieczora jadłyśmy kolację w meksykańskiej restauracji, tylko ona, ja i Desi w swym nosidełku, Annie troszkę się wstawiła i powiedziała mi coś takiego: „Wyglądam jak Annette. Ale przecież ty nie wiesz, kim jest Annette Funicello... To taka aktorka, która występowała w telewizji, kiedy byłam mała. Śliczna dziewczyna, ale choćby ważyła pięćdziesiąt funtów, zawsze wyglądała grubo, gdyż miała krótką szyję i mnóstwo włosów. A miała chyba z pięć stóp wzrostu, nie więcej”. Annie jest dokładnie tego samego wzrostu, lecz wydaje się o tym nie pamiętać, gdy z całym przekonaniem mówi Charleyowi i innym ludziom, że ma pięć stóp i dwa cale. A może tylko naciąga nieco prawdę? Jestem od niej wyższa o cztery cale i cięższa o dwadzieścia funtów, lecz ona zawsze zachowuje się tak, jakby była ode mnie większa, jak tamtej nocy w szpitalu, i chyba robi to nie tylko dlatego, że jest starsza.

Tamtego dnia u Dillarda zaprowadziła mnie do działu z ubraniami dla dorosłych. Musiałam mieć mocno niepewną minę, gdyż wszystkie te stroje przypominały sukienki pani Murray, które wkładała na dzień wywiadówek z rodzicami. Szybko się stamtąd zmyłyśmy i przeszłyśmy do działu z ubraniami sportowymi.

- Zawsze mnie to drażni - odezwała się Annie takim głosem, jakby była spikerką w telewizji i właśnie ogłaszała komunikat o kłęsce żywiołowej. - Chodzi mi o to, że ubrania sportowe powinny być przeznaczone do uprawiania sportu, nie? Na przykład do gry w tenisa albo biegania... A w tych ciuchach nie odważyłabym się wyjść nawet do parku na spacer.

- To takie same ubrania, jakie nosiłabyś do pracy... gdybyś pracowała w centrali telefonicznej - odparłam.

Spojrzała na mnie przeciągle, po czym mruknęła:

- Masz rację.

W tamtych czasach miałam dokładnie jedną spódnicę odziedziczoną po Langtry, więc była o jakąś stopę za krótka; wybrałam jedną z wieszaka, ładną, ze stretchu, jasnozieloną, lecz Annie pokręciła głową i kazała mi wziąć granatową.

- Ależ Annie - odparłam. - W całym Teksasie nikt nie nosi granatowego... dlatego właśnie tyle ich tu zostało.

W końcu doszyliśmy do kompromisu i wybrałam sobie ładną, szarą flanelową spódniczkę i dwa bawełniane sweterki, do włożenia jeden na drugi; oba były w kolorze spranego dżinsu i nawet gdyby się je prało przez sto lat, i tak nie czyniłoby to większej różnicy. Przymierzyłam je w szatni i Annie skinęła głową. Dopiero wtedy zauważyłam jedwabną bluzkę w kolorze dzikiej róży, taką jakby zebraną w tali. Na jej widok przypomniałam sobie stare zdjęcia tancerek rewiiowych z Paryża. Annie przyglądała się długą chwilę, jak tulę do niej policzek i wreszcie spytała:

- Wolisz jednak tę bluzkę?

- Muszę się zdecydować - odparłam. - To mi zajmie kilka minut. Gdyby miała ją kupić za własne pieniądze, od razu wyszłabym ze sklepu; może zajrzałabym do kilku innych, żeby się przekonać, czy nie dostanę czegoś równie ładnego za pół ceny? Albo przespałabym się z tym; gdybym wróciła tu następnego dnia i nie wisiałaby na wieszaku, znaczyłoby to, że nie była dla mnie przeznaczona. Nauczyłam się z tym żyć i dawać sobie radę z rozczarowaniami, jakie przynosiło mi życie. Ale Annie zaczęła nerwowo przytupywać.

- Weź jedno i drugie - rzekła wreszcie. Poczułam wtedy ukłucie winy i czasem odczuwam je do tej pory, bo złapałam bluzkę i przycisnęłam do siebie, jakbym była jakimś dzieckiem z sierocińca, które nigdy w życiu nie widziało ładnego ubranka. Nadal uwielbiam tę bluzkę, lecz rzadko ją noszę. Nie pozwoliłabym Annie jej kupić, gdybym wiedziała, że chce mi jeszcze sprawić inne rzeczy.

- Dziękuję, Annie - powiedziałam jej, lecz machnęła niecierpliwie ręką. Mimo wszystko dodałam: - A jednak uważam, że powinnam komuś podziękować. Chyba napiszę list do tej twojej agencji.

Annie uśmiechnęła się.

- W końcu i tak trafiły do moich rąk - powiedziała. - Poza tym usiłujemy zbytnio nie przypominać radzie dyrektorów, na co wydajemy zebrane przez nich pieniądze. Prawdopodobnie zapytaliby mnie, dlaczego nie nauczyłaś się szyć ubrań w szkole, na zajęciach przygotowujących do życia w rodzinie.

- Nie chodziłam na nie - odparłam.

- Za moich czasów cieszyły się sporą popularnością, bo łatwo było dostać dobrą ocenę - odpowiedziała Annie. - Wtedy było inaczej; nauczyciele zakładali, że zaraz po szkole zostaniesz żoną i matką, i do końca życia będziesz gotować, szyć i pracować swojej rodzinie. - Po chwili dodała: - Wiesz co? Stuart uczęszczał na kursy gospodarstwa domowego. Kiedyś uważałam, że to wyjątkowo seksowne...

Podobało mi się, że jest takim feministą... Ale później przyznał się, że zrobił tak, by poznać więcej dziewczyn. - Roześmiała się. - A jednak jestem z tego bardzo zadowolona... przynajmniej mam w domu wykwalifikowanego kucharza.

- Pewnie mnie też by się przydały - powiedziałam i westchnęłam. - W każdym razie nauka gotowania i sprzątanía. Moja mama nie zna się na tym zbyt dobrze, a nawet jeżeli cokolwiek wiedziała, nigdy nie próbowała mi przekazać swojej wiedzy. Annie przyglądała mi się, jakbym całkiem zwariowała, a potem lekko skinęła głową.

Opowiedziała mi, jak to Stuart był jedynym chłopcem w liceum w Hoboken, który zapisał się na lekcje szycia i podczas studiów dorabiał sobie jako krawiec; nauczył się nawet podłuzać własne spodnie.

- Kiedyś w ciągu godziny zrobił mi spódniczkę, taką zawijaną wokół pasa, spinaną na kłamrę i to tylko dlatego, że potrzebowałam na jakąś okazję czarnej spódnicy. Jak ci się to podoba?

Szczerze mówiąc, wydawało mi się okropnie głupie.

- Nie uważasz, że on zachowywał się trochę jak baba? - zapytałam, i to nie ze złośliwości, tylko dlatego, że naprawdę chciałam wiedzieć.

- Arley, mężczyzna, który potrafi wykonywać kobiece czynności i nie czuje się przy tym głupio, jest jedyny w swoim rodzaju; z takim chciałabym spędzić życie.

- Chyba tak.

- Ze co? - spytała chyba ostrzej, niż zamierzała.

- No, na przykład Dillon pisze wiersze.

Westchnęła, odwróciła się ode mnie i zaczęła przeglądać płaszcze wiszące na wieszaku.

- Masz jakiś płaszcz?

- Tylko kurtkę dżinsową.

- Nie masz prawdziwego płaszcza?

- Zazwyczaj nie jest mi potrzebny. Tu nigdy nie było tak zimno, oprócz jednego roku, gdy w zimie aż dwa razy spadł śnieg.

- No, to wybierz sobie jakiś - kazała. Było to jeszcze trudniejsze niż zdecydowanie się na spódnicę. Wisiało ich strasznie dużo, a niektó-

re miały nawet podpinkę. Powiedziałam Annie, że one kosztują znacznie więcej, lecz odrzekła mi, że to nie ma znaczenia, bo chyba nie planuję spędzić reszty życia w San Antonio. Musiałam jej wyjaśnić, że tak się najprawdopodobniej skończy, lecz spytała mnie, co ze studiami. Przymierzyłam czarny płaszcz przeciwdeszczowy, a potem granatowy; wyglądałam w nich jak strażnik graniczny. Wreszcie znalazłam taki, który mi się naprawdę podobał; był jasnozielony, jak mała żabka drzewna... poza tym jego kolor przypominał mi oczy Dillona, tyle że w nich z bliska widać było małe złote punkciki; tego już nie powiedziałam Annie. Westchnęła, gdy się jej w nim pokazałam.

- Będiesz wyglądać jak mała syrenka - rzekła, ale nawet ona musiała przyznać, że płaszczyk jest miły, miękki i tańszy niż większość. Nazywał się Mgła Londyńska i Annie powiedziała, że w końcu mi się znudzi i oddam go do Armii Zbawienia (skąd, szczerze mówiąc, zazwyczaj brałam większość moich ubrań). Wiedziałam jednak, że nigdy go nie oddam - oczywiście, że nie - chyba że zrobię się za gruba i nie będę się już w niego mieścić.

Do południa miałyśmy torby pełne zakupów - buciki i bielizna, w tym taka specjalna koszula, do której nie trzeba wkładać stanika, i która strasznie mi się spodobała, gdyż już wtedy miałam nieduży brzusek. Na koniec Annie kupiła mi szyfonowy szlafrok w gwiazdy, którego właściwie nawet nie potrzebowałam. Annie powiedziała, że jako mała dziewczynka zawsze marzyła o takim, lecz jej matka twierdziła, że wyglądałaby w nim jak Blanche DuBois w „Tramwaju zwanym pożądaniem” i nie chciała go kupić. Niosłyśmy więcej toreb, niż ludzie noszą w czasie Bożego Narodzenia, i nagle zaczęłam mieć smutne uczucia, że nikt nigdy nie będzie wiecznie młody i posiadanie aż tylu ubrań musi być grzechem. Potem jednak powiedziałam sobie, że tylko jestem głodna i zmęczona, i podniecona wszystkimi pięknymi świecidełkami, które oglądałyśmy.

Wyszedszy od Dillarda usiadłyśmy w restauracji, która wyglądała jak ogromna cieplarnia i jadłyśmy sałatkę z kurczaka, gdy znowu poruszyłam temat wierszy Dillona.

- Nie pokazałam ci ich wcześniej - wyjaśniłam - bo są bardzo osobiste.

- Uważasz, że sam je napisał? - zapytała Annie. Z początku myśl o tym, że podejrzewa go o przepisywanie wierszy i wysyłanie ich do mnie jako własne strasznie mnie zszokowała, lecz później zastanowiłam się nad nią.

- Jestem pewna, że sam je napisał.

- Skąd ta pewność?
 - Bo nie wszystkie są dobre - odparłam i choć wcale nie miałam nic złego na myśli, Annie roześmiała się głośno. - Chodzi mi o to, że moim zdaniem są ładne... ale wiem, że nie są tak dobre jak wiersze Dy-lana Thomasa.
 - Albo Williama Butlera Yeatsa.
 - Albo Williama Szekspira.
 - Albo Williama Wordswortha.
 - To nie fair. Nie znam więcej poetów, którzy mieliby na imię William - powiedziałam. - Ty pewnie znasz, bo chodziłaś do college'u.
 - Ty też pójdziesz i nauczysz się całego mnóstwa zupełnie niepotrzebnych rzeczy - odparła. - Wiesz, jesteś naprawdę mądra. Chciałabym usłyszeć jeden z twoich wierszy.
 - Mogę ci je pokazać, gdy odwieszysz mnie do domu.
 - Nie znasz żadnego na pamięć?
 - Znam, ale czułabym się wyjątkowo głupio, recytując je - przyznałam.
 - To może powiesz mi któryś z wierszy napisanych przez Dillona?
- Oczywiście, że znałam je na pamięć - w końcu tak często je czytałam! Zaniósłam je nawet do zalaminowania w szkolnej pracowni, by kartki nie porozpadały się od zbyt *częstego czytania*. Pomyślałam, że powiem jej wiersz o moim imieniu, bo dostałam go na samym początku i nadal należał do moich ulubionych, ale nie miałam pojęcia, jak mogę go wyrecytować tak po prostu, na środku restauracji.
- No, dalej - rzekła Annie, - Jestem twoim adwokatem, a to oznacza, że możesz mi powiedzieć dosłownie wszystko. - Wtedy pomyślałam sobie, że to by oznaczało opowiedzenie jej także o tym, co się wydarzyło, gdy po raz pierwszy odwiedziłam Dillona w więzieniu i chyba zarumieniłam się po czubki uszu, bo dodała: - Wcale nie musisz mi go mówić, jeżeli nie chcesz... mogę przeczytać później. Ale to właściwie nic innego, jak na przykład śpiewanie piosenki, która właśnie leci w radiu, gdy jedziesz samochodem.
- Więc to zrobiłam. Powoli, tak jak uczyła nas tego pani Murray, wyrecytowałam jej wiersz, który Dillon zatytułował „Arlington” - ale cały czas wpatrywałam się w stół. Kiedy podniosłam wreszcie wzrok, Annie patrzyła na mnie błyszczącymi oczyma.
- To piękny wiersz - powiedziała. - I o tobie... oddaje to, kim jesteś. Poza tym jest naprawdę dobry. A teraz chciałabym usłyszeć coś, co sama napisałaś.
- Powiedziałam jej wtedy wiersz zatytułowany: „Dla Dillona w dniu naszego ślubu”.

Miłość jest porą Gdy skolatanę serce może wreszcie odpocząć.

Miłość jest wiatrem szalonym, na którym serce może wrócić do domu.

Kiedy skończyłam, Annie przez długą chwilę siedziała, wpatrując się we mnie i nic nie mówiąc.

- To śliczne - powiedziała wreszcie. - Czy twoja matka wie, że potrafisz pisać takie piękne wiersze?

Nie odpowiedziałam, a ona zaraz zapytała o mój ślub. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie opowiadałam, z wyjątkiem Eleny, rzecz jasna. Chciała być moją druhną, ale pani G. się nie zgodziła - nawet nie mogę mieć do niej o to pretensji, bo w końcu i ja nie pozwoliłabym iść Désirée do więzienia, nawet na czyjś ślub.

Prawda wygląda tak, że moja mama też nie chciała mi pozwolić tam iść. Wiedziałam o tym, chociaż nie powiedziała mi słowa. Kiedy położyłam przed nią formularz pozwolenia na ślub, nawet nie włożyła swoich okularów do czytania, tylko jednym płynnym ruchem podpisała się: Rita B. Mowbray.

Opowiedziałam Annie, jak zapytałam ją wtedy, od czego jest to B? Odparła, że to skrót od jej drugiego imienia. Zapytałam, jak ono brzmi; spojrzała na mnie, jakbym była muchą chodzącą po jej talerzu i rzekła: „Od Belle. Belle”.

- Ładne imię - skomentowałam, składając formularz i wkładając do kieszeni wraz z aktem urodzenia.

- Gówniane - burknęła. - Brzmi jak imię jakiejś cholерnej krowy; Rita Belle.

- Dlaczego go w takim razie nie zmienisz? - spytałam; była to chyba najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadziłyśmy w Życiu, i nawet nie spodziewałam się, że mi odpowie.

- Tak naprawdę to nic już nie można zmienić - odrzekła. Potem wstała i przeszła do łazienki; chwilę później usłyszałam, jak włącza prysznic, i zaczęłam płakać. Wiedziałam, że to głupie, nie spodziewałam się, że pojedzie ze mną czy choćby złoży mi życzenia, ale przecież zawsze masz nadzieję, że ludzie zmieniają się w ostatniej chwili, nieprawdaż? Zawsze chcesz wierzyć, że będą lepsi, choć tak naprawdę doskonale wiesz, że to, co spotyka cię od nich dzień

po dniu, świątek piątek, i tak jest najlepszym, co mają do zaoferowania.

Kiedy Connie podjechała pod dom, musiała zatępić chyba ze sześć razy, zanim wyszłam, ale ja i tak nie mogłam przestać płakać. Connie pomyślała, że zmieniałam zdanie i dopiero po dłuższych wyjaśnieniach zrozumiała, że nie... że to tylko moja mama... Wtedy ona też się rozpląkała. Pożyczyła samochód od Kate LeGrande; osoby, która już dziś wieczorem będzie moją teściową, a ja jej jeszcze ani razu na oczy nie widziałam. To Connie do niej zadzwoniła i spytała, czy może pożyczyć samochód, bo państwo G. nie pozwolili jej wziąć ich wozu do takiego celu. Pani LeGrande także nie chciała jechać na nasz ślub, lecz nawet nie zapytałam Connie dlaczego; nie wiedziałam, czy po prostu nie popiera naszego małżeństwa (później dowiedziałam się, że tak właśnie było; uważała, że sprowadzę zgubę na jej syna, co biorąc pod uwagę fakt, gdzie się już znajdował, stanowiło chyba lekką przesadę), czy też ma jeden z tych swoich ataków korzonków (później okazało się, że faktycznie to też). W każdym razie Connie miała z nią mnóstwo problemów i długo opowiadała mi, jak to przekonywała Kate, że potrafi prowadzić samochód ze zwyczajną skrzynią biegów, choć tak naprawdę nigdy w życiu tego nie robiła.

- Przysięgam ci... miałam wrażenie, że rozpieprzę całe to cholerstwo, zanim jeszcze zjechałam ze wzgórza obok ich domu - powiedziała. — Ale udało mi się, choć cały czas modliłam się do Santa Catariny.

To był dopiero drugi raz, gdy Connie widziała matkę Kevina i Dillona; poprzednio poszła specjalnie do jej kościoła, by ją poznać.

- Jaka ona jest? - zapytałam. Jazda do więzienia strasznie się dłużyła, zaczynałam się już denerwować; nigdy wcześniej nawet nie byłam z żadnym chłopcem w kinie, a teraz miałam wyjść za mąż za dorosłego mężczyznę! Oto nadszedł największy, najważniejszy dzień mojego życia, a ja nie mogłam się nawet skoncentrować! Cały czas zadawałam sobie pytanie, jakie to będzie małżeństwo, skoro on pozostanie w więzieniu, ja u mamy, i nie będziemy się codziennie widywać. Co powiem znajomym? Czy będę musiała zmienić nazwisko w dokumentach szkolnych?

- Jest bardzo malutka - odpowiedziała Connie. -1 strasznie nerwowa. Ten typ kobiety, który moja mama nazywa „nerwową blondynką”. Ma piegi na twarzy i rękach... i wcale nie jest podobna do Kevina czy Dillona. Podczas mszy, na której byłam, rozpląkała się nagle i jakaś taka duża pani musiała usiąść obok niej i ją pocieszać. Chyba zaczęła wtedy myśleć o mężu...

Nic nie wiedziałam na temat śmierci ojca Dillona, oprócz tego, że była straszna. Był spawaczem i wybuchła jakaś rura w rafinerii...

- Umierał trzy dni - opowiadał mi Dillon przez telefon. - Co za nieszczęście... Był tak cholernie ostrożny, że nie pozwalał nam nawet stać w szopie, gdy spawał, bo bał się, że będziemy patrzeć w iskry i uszkodzimy sobie wzrok. A my wtedy stawaliśmy ramię przy ramieniu z nosami przyklejonymi do brudnego okienka i wpatrywaliśmy się w te lśniące iskierki, co przypominały gwiazdy z nieba...

Potem był jakiś pozew sądowy o odszkodowanie i pieniądze, ale Kate - powiedziała Connie - wydała wszystkie na jakieś głupie plany związane z ziemią, które wbili jej do głowy bracia i ojciec. Potem wyszła za mąż za tego Kreola, a on przepił resztę i zginął niedługo później w jakiejś bójce. To dlatego Kate była tak zgorzkniała na co dzień i czasem płakała w kościele, (ftni G. była innego zdania i uważała, że wcale nie powinniśmy się litować nad Kate; mówiła, że Kate Dillon jest bardziej napalona na facetów niż jakakolwiek inna baba i że przeżyje jeszcze dziesięciu, wyciągając z tego korzyści - obie z Connie uważałyśmy, że to bardzo niemiłe z jej strony). Tak czy inaczej, gdy Connie przedstawiła się jej po raz pierwszy, Kate spytała; „To ty znasz Kevi-na?“, a kiedy Connie odparła, że są prawie zaręczeni, usiłowała jak najszybciej ją ominąć. Powiedziała, że musi wracać do domu, żeby wylewić ogród i ugotować obiad dla Kiera i Phillipa.

- Wtedy donikąd z nią nie doszłam. - Connie westchnęła. - Ale powiedziałam, że dam jej wszystkie próbki z moich lekcji makijażu za darmo - te do najjaśniejszej cery - i w końcu zgodziła się pożyczyć mi samochód. Zadzwoiła do mnie dziś rano, żebym nie zapomniała o tych próbkach... Dała mi też kilka rzeczy z kościoła dla Kevina, z całą pewnością mu się spodobają!

Roześmiałyśmy się, choć niezbyt głośno. Czułam się znacznie lepiej i powiedziałam, że kiedy już będę żoną Dillona, mogłybyśmy pójść kiedyś do niej we dwie i zabrać ją na lunch.

- Chyba tak - odrzekła Connie. - Ale najpierw załatwmy tę sprawę... Jesteś pewna, że chcesz tego? Mogłabyś jeszcze przemyśleć sprawę przez jakiś czas. Przecież on nigdzie ci nie ucieknie, kochanie.

- Jestem pewna, Connie.

Podła mi więc torbę z najlepszą sukienką Eleny, a ja położyłam się na tylnym siedzeniu, by się przebrać. Powiedziałam potem Annie, że to najładniejsza rzecz, jaką w życiu miałam na sobie, a ona mi przypomniała, że przecież widziała zdjęcia ze ślubu. Sukienka, biała, a zarazem niemal żółta, przypominała puszek kaczuszki, i choć była na mnie

ciut za krótka, Connie rzekła, że wyglądam przepięknie. A potem dodała: „Musimy ci kupić bukiet, moja mała”. Tuż przed Solamente River zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej, obok której znajdował się mały sklepik. Connie powiedziała, że na pewno będą mieć kwiaty, lecz nie mieli ani jednego, oprócz czekoladowej różyczki zawiniętej w folię. Pojechałyśmy dalej, ale ja znowu się rozplakałam i nie przestałam, dopóki Connie nie skręciła z autostrady w boczną dróżkę, nie zatrzymała się na poboczu i nie nazrywała mi w polu chabrów. .

- Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy - mruknęła. - Widzisz je cały czas, ale zupełnie nie pamiętasz, że na północy są sprzedawane w kwiaciarniach.

Kiedy jadłam wraz z Annie lunch po zakupach, opowiedziałam jej wszystko, co zapamiętałam z dnia mojego ślubu. O czerwonych plastikowych okularach sędziego, udzielającego nam ślubu - cały czas się na nie patrzyłam, bo to była jedna z tych rzeczy, o których nie można powiedzieć na sto procent, czy są prawdziwe, czy tylko dla zgrywu. O tym, co powiedział naczelnik więzienia, patrząc na mój akt urodzenia.

- Co powiedział? - zapytała Annie ostro.

- Że tusz jeszcze nie wysechł.

O tym, jak stałam obok Dillona, trzymając go za rękę - pamiętam, jak była sucha, ciepła i mocna - i o tym, jak po raz pierwszy mogłam poczuć jego zapach. Pachniał jak drewniane wiórki, które trzymaliśmy kiedyś w klasie dla chomika. Jego skóry nie pokrywał trądzik, jak u większości chłopców, gdyż był już dorosłym mężczyzną; miała złoty kolor, oprócz ciemnych sińców pod oczami. Powiedział, że nie mógł zasnąć poprzedniej nocy. Nie byłam w stanie nawet spojrzeć na niego, gdyż obawiałam się, że serce wyskoczy mi z piersi z nadmiaru szczęścia niczym gołąb z klatki. Zerkałam na niego ukradkiem co jakiś czas - widziałam, jak stoi wyprostowany i spokojny tuż obok mnie - lecz cały czas miałam wrażenie, że jego twarz jest zbyt jasna, bym mogła na nią długo patrzeć.

Był szósty grudnia, dzień mojego ślubu, którego rocznicę będę obchodzić co roku aż do dnia śmierci, a nie mogłam nawet spojrzeć na mężczyznę, któremu oddawałam całe swoje życie. Słyszałam, jak łańcuch dokoła jego nóg brzęka i stuka, gdy zmieniał pozycję; na szczęście zdjęli mu kajdanki z rąk. Cały czas zastanawiałam się, czy zdołam wykrztusić „tak”, kiedy nadejdzie ta chwila... a gdy wreszcie nadeszła, tak bardzo szumiało mi w uszach, że Connie musiała mnie lekko pchnąć. Potem okazało się, że nie mamy obrączek i Connie zrobiwszy pełną obrzydzenia minę, ściągnęła bliźniacze srebrne kółeczka, które

nosila na palcach; Dillon wlozył mi jedno na serdeczny palec lewej ręki, lecz drugie za nic nie chciało wejść na żaden z jego palców, oprócz małego, a i to tylko do połowy.

- Nie ma sprawy - mruknął z ustami tuż przy moim uchu. - To nowy trend w modzie. Wszystko zajęło nie więcej niż dziesięć minut. Kapelan miał ochotę odprawić całą długą ceremonię, lecz naczelnik powiedział mu, że ma się streszczać. A gdy tamten rzekł: „Teraz może pan pocałować pannę młodą”, naczelnik nagle strasznie się rozkasłał. Dillon okazał się prawdziwym dżentelmenem; wiem, że najprawdopodobniej miał ochotę przycisnąć mnie do siebie, ale tylko położył mi dłoń na plecach - do tej pory czuję tę gorącą suchą dłoń na krzyżu - i lekko musnął wargami moje usta. Connie powiedziała później, że go podziwia za opanowanie, bo więźniowie zazwyczaj rzucają się na kobitki jak dzikie zwierzęta.

Nadal czuję ten pocałunek, niczym odbicie wszystkich innych, gorących, głębokich albo lekkich i czułych. Już nie widzę przed oczyma jego twarzy, lecz nadal czuję dotyk ust i zapach. Dopiero niedawno, gdy złapałam grypę i poszłam o szpitala na kontrolę, zdałam sobie sprawę z tego, czym Dillon pachniał - jak jeden z tych drewnianych patyczków, którym lekarz przyciska ci język, zanim każe powiedzieć „Aa”. Kiedy doktor na chwilę wyszedł z pokoju, wzięłam ze słóiczka jeden taki patyczek i schowałam do kieszeni; po drodze do domu, gdy w autobusie strasznie rozboleła mnie głowa, a gardło piekło mnie, jakby było wysypane kruszonym szkłem, po prostu trzymałam go przy nosie i głęboko wciągałam powietrze. Nie powiedziałam o tym Annie, ani wtedy, ani nigdy później. Nigdy też nie wspomniałam, co wydarzyło się podczas mojej pierwszej wizyty u Dillona, o tych kilku minutach, o których do tej pory myślałam jako o prawdziwej ceremonii małżeńskiej. Pomimo późniejszych wydarzeń byliśmy małżeństwem, Dillon i ja. Można czuć się winnym, brudnym i mieć straszne wyrzuty sumienia, można chcieć odwrócić się plecami od własnego życia i nigdy więcej na nie nie patrzeć, ale nawet wtedy niektórych rzeczy nie można tak po prostu zapomnieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ANNIE

Sąd powiatu Solamente zbudowano w ozdobnym florenckim stylu, jedyna pozostałość po boomie naftowym, który już dawno temu przeminął w tym rejonie. Wykwitał pośrodku smutnego miasteczka, niczym orchidea w samym sercu prerii. Arley nie mogła oderwać wzroku od biało-czarnych mozaikowych kafelków w holu zwieńczonym szklaną kopułą.

- W głowie mi się od tego kręci, Anne - powiedziała, łapiąc się za balustradę, a potem odchylając do tyłu i patrząc w sufit. - Tu jest jak w kościele.

- Jeżeli kręci ci się od tego w głowie, to nie patrz - odparłam, znacznie ostrzej niż zamierzałam. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, to Arley zachowującą się w sądzie niczym jakiś niedorozwinięty, wiecznie żujący gumę garkotłuk z równin. Dokonałam końcowej lustracji; odniosłyśmy sukces. W jedwabne bluzce i szarej flanelowej spódnicy wyglądała na nieco starszą niż czternaście lat, a lekko podmalowane oczy i usta tylko dodały jej uroku i podkreślały naturalną powagę, a nie sprawiały, że wyglądała jak nastoletnia kurewka, co groziłoby większości dziewcząt w jej wieku. Włosy związała w luźny francuski warkocz, w który wplotła szkarłatną wstążkę. Kiedy jechałyśmy do Solamente, obiecała mi uroczyście, że nauczy mnie zaplatać taki warkocz, żebym mogła sobie wreszcie poradzić w tym klimacie z moją bujną, nieposłuszną czupryną. Jediną rzeczą, która mnie martwiła, były jej kowbojskie buty, ale Arley odmówiła włożenia czegokolwiek innego, nawet ślicznych sandałów na płaskiej podeszwie, które specjalnie dla niej kupiłam. Nie, te buty miała na sobie w dniu ślubu, więc pójdzie w nich także do sądu.

No, cóż... w końcu to Teksas.

Przysiadłyśmy na jednej z mahoniowych ławek stojących w korytarzu i raz jeszcze przeprowadziłam Arley krok po kroku przez wszyst-

ko, co ma powiedzieć w sali rozpraw; że rozumie powagę przestępstwa swego męża, ale że wierzy, iż on usilnie stara się odpokutować za swe grzechy, i że choć zdaje sobie sprawę ze swego młodego wieku, uważa, że potrafi poradzić sobie z obowiązkami gospodyni i żony, gdyż robiła to od bardzo dawna w domu swej matki. W rzeczy samej miałam nadzieję, że Arley nie będzie musiała nic mówić do sędziny, Harriet Clay, z wyjątkiem: „Tak, wysoki sędzie”.

Woźny zawołał: „LeGrande przeciw więzieniu stanowemu Solamente River i Rayowi Henry'emu Southwynnowi” i weszliśmy na salę. Ray Henry wyglądał zdumiewająco dobrze - Fłeury powiedziała mi niedawno, że zaczął biegać trzy razy w tygodniu, by jakoś dać upust wiecznie rozsadzającej go energii - ale towarzyszył mu łasicowaty Polyester Petty, jego adwokat, który w zadziwiający sposób gromadził w sobie wszystkie wyobrażenia na temat tego, jak zły prawnik powinien wyglądać, od rozbieganych małych oczek, po krzywe, szare zęby. Skrzywił się na mój widok, a Ray Henry zrobił minę, która każdego innego dnia mogłaby uchodzić za przyjacielskie mrugnięcie. Pochyliłam się i poklepałam Arley po ręce. Była napięta niczym struna, nawet palce trzymała sztywno wyprostowane, a gdy z powrotem podniosłam wzrok, zobaczyłam, jak strażnik wprowadza na salę Dillona. Nigdy wcześniej go nie widziałam; nie dostarczono mi nawet jego zdjęć z aresztowania, a na dwóch fotkach, które pokazała mi Arley, nie było go widać zbyt wyraźnie. Na polaroidzie ze ślubu miał odwróconą głowę, tak że nie dostrzegłam nic oprócz drobnej postury i szopy jasnych włosów. Teraz zobaczyłam silnie zarysowany podbródek, opalone policzki pod wysokimi kośćmi policzkowymi, szeroko osadzone zielone oczy i zabawny, wąski, nieomal elfi nos. Jego włosy były strasznie gęste, nieomal platynowe i tak długie, jak tylko pozwalała na to więzienna dyscyplina; kiedy odwrócił się do Arley i posłał jej leniwy uśmiešek, który uniósł tylko jeden kącik ust, pomyślałam, że chyba nigdy nie widziałam przystojniejszego mężczyzny. Wyglądał niczym idealny posążek kowboja - niepewny, lecz wyprostowany i czysty, trochę dziecinny, trochę ironiczny i czuły. Widziałam jak w Arley gromadzi się energia; nie poruszyła się, i tylko jej usta rozchyliły się nieco... oddychała szybko i płytko. Potrząsnęłam głową.

Sędzina weszła na salę i usiadła za swym biurkiem tak szybko, że woźny nawet nie miał czasu zawołać, byśmy wstali i tylko podskoczyliśmy w górę i w dół, niczym Wańki-wstańki. Harriet Clay była jedną z pierwszych czarnych kobiet, które zasiadły w fotelu sędziowskim w Teksasie i obecnie jedyną; dobiegała sześćdziesiątki i nadal pełniła

swe stanowisko, choć nie ze względu na oddanie dla zawodu, lecz - jak powiedziała kiedyś dziennikarce z pisma „Kobiety Teksasu” - dlatego, że jest uważana za symbol. Miała ogromną czuprynę czarnych włosów i pincenez, który ciągle ześlizgiwał się jej z nosa, oraz minę nie zachęcającą do wygłupów.

- Przejrzałam te dokumenty - odezwała się na wstępie sędzieja Clay - i doprawdy nie bardzo rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Natura tego konfliktu jest dla mnie niejasna, gdyż widzę całe mnóstwo splątanych emocji i ani odrobiny prawa. Wskazała na mnie otwartą dłonią, niczym kaznodzieja nakazujący kongregacji podniesienie się z ławek.

Odparłam, że pozew mówi sam za siebie.

- Moja klientka i pan LeGrande są oficjalnie małżeństwem zgodnie z prawem stanu Teksas, wysoki sędzie - rzekłam. - Oto poręczona notarialnie kopia ich aktu ślubu wraz z pozwoleniem na ślub podpisanym przez matkę mojej nieletniej klientki; a tu jest prośba pana LeGrande o pozwolenie na wizytę małżeńską oraz pisemna odmowa naczelnika więzienia, niezgodna z prawem, które obowiązuje w naszym stanie - pospiesznie sprawdziłam notatki - ...od stu sześćdziesięciu lat, tylko z jednym wyjątkiem... - zerknęłam na mecenasa Petty'ego - ...kiedy małżonką była strażniczka zatrudniona w więzieniu, gdzie przebywał jej mąż, i która usiłowała pomóc mu zbiec. Próba ucieczki jednak się nie powiodła. Nikt nie odniósł ran...

- A mąż i żona mieszkają obecnie w tym samym więzieniu - dokończyła za mnie sędzia Clay.

- Zgadza się, wysoki sędzie.

- A pan, panie Petty? Jakie jest pańskie stanowisko?

- Mojemu klientowi, Raymondowi H. Southwynnowi - zaczął Petty - powierzono, wysoki sędzie, opiekę nad więźniami przebywającymi w więzieniu Solamente River. Jest on odpowiedzialny nie tylko za zdrowie i dobro wyżej wspomnianych więźniów, lecz także wszystkich mieszkańców powiatu Solamente oraz całego stanu...

Sędzia Clay przerwała mu z westchnieniem.

- Doskonale zdajemy sobie sprawę z obowiązków pana Southwyn-na względem tego stanu, mecenasie Petty,

- Raporty z różnych agencji społecznych oraz raporty z badań więziennego psychiatry może i nie wskazują na obecne antyspołeczne nastawienie pana LeGrande - ciągnął Petty, jednocześnie przekazując woźnemu plik dokumentów oraz kopie dla mnie. - W rzeczy samej, w obecnej chwili więzień prowadzi całkiem normalne życie, jednak

w tych dokumentach znajdują się dwie bardzo ważne informacje, wysoki sędzie. Powiedziałbym, że nad wyraz istotne dla sprawy. - Sędzia Clay popatrzyła na niego sponad okularów i uniosła brwi. - Po pierwsze, w raporcie z października, sprzed sześciu lat, widzimy skargę na pana LeGrande, mówiącą o gwałcie dokonany na nieletniej dziewczynie, która wtedy miała zaledwie piętnaście lat...

Podskoczyłam z miejsca ze znacznie większą energią, niż było to konieczne.

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Pan Petty wie doskonale, że Dillon LeGrande został skazany za rozbój z bronią w ręce i to wszystko. Wcześniej nie miał żadnych zatargów z prawem... Oskarżenie o gwałt, jak pan mecenas wie, zostało wycofane... a naprawdę dotyczyły romansu dwojga młodych ludzi, gdyż w tamtym czasie pan LeGrande sam nie miał jeszcze dwudziestu lat.

Petty kontynuował:

- Mamy tu też kopie listów dostarczone nam przez rodzinę owej młodej damy, która obecnie mieszka w Corpus. Z listów tych wynika, że pan LeGrande może być niebezpieczny...

Sędzia wodziła wzrokiem od Petty'ego do mnie, i z powrotem.

- Czy te listy wskazują na niebezpieczne, groźne dla społeczeństwa zachowania pana LeGrande?

Petty i ja odpowiedzieliśmy jednocześnie: „Tak” i „Nie”, dokładnie w tej samej chwili. Widziałam te listy; były zwykłymi pompatycznymi wynurzeniami nastolatka na temat seksu, mówiące o tym, jak to Dillon marzy, by Rebeka leżała pod nim, jak chce ją rozbierać i tego typu bzdury...

No, cóż... miała zaledwie piętnaście lat.

Ale sam Dillon miał niecałe dwadzieścia.

A jednak bardzo mi się to nie podobało. Bez względu na to, co sobie powtarzałam, różnica wieku między nimi wywoływała u mnie dreszcze. To, co napisał, przerażało mnie jeszcze bardziej: „...gdybyśmy oboje nie żyli, lecielibyśmy obok siebie po niebie, niczym para ptaków na wietrze”, choć podobnie brzmiały słowa wielu piosenek. Czy gdyby to naciągnąć, można by te słowa uznać za nawoływanie do samobójstwa? A może nie? Moje uczucia opiekuńcze wobec Arley dawały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Zerknęłam na męża mojej klientki; był tylko zwykłym ciemnym, niedoświadczonym dzieciakiem z Teksasu. Musiałam w to wierzyć.

- Biorąc pod uwagę te okoliczności i inne, a zwłaszcza wyjątkowo młody wiek dziecka, o które tu chodzi, jedyną rozsądną decyzją, jaką podjął naczelnik Southwynn, było odmówienie pozwolenia na wizytę

małżeńską tej dziewczynki u wiele od niej starszego, doświadczonego mężczyzny - ciągnął Petty. Sędzia Clay zerknęła na Dillona, który siedział wyprostowany, z pochyloną głową i dłużył w kurzajce na kciuku, niczym ministrant czekający na swą kolejkę przy ołtarzu. - W rzeczy samej powinniśmy być wdzięczni naczelnikowi Southwynnowi za...

- Rayu Henry?

- Słucham, wysoki sędzie?

- Chcesz coś dodać?

- Nie, to byłoby tyle... Powiedzenie czegoś więcej mogłoby obrazić wysoki sąd.

- Czy jesteś pewien, że twoja odmowa nie ma nic wspólnego z osobistymi pobudkami?

- Nie mam co do tego wątpliwości, wysoki sędzie.

- Panno Singer?

- Naczelnik Southwynn i pan mecenas doskonale wiedzą, że ta odmowa została udzielona w oparciu o urażone poczucie sprawiedliwości pana naczelnika, i że w obliczu prawa nie powinno mieć to żadnego znaczenia. Wysoki sędzie, nie wiemy na przykład, z kim umawiał się Dillon LeGrande, gdy jeszcze chodził do szkoły średniej, ani czy zawsze pamiętał, by przepuścić dziewczynę w drzwiach... - Trochę się zagalopowałam i potwierdziła to niezadowolona mina sędzi Clay. - Wydaje mi się, że z korespondencji między Arlington a Dillonem jasno widać, że łączy ich tkliwy i bliski związek. - Nie zaplanowałam tego, lecz nagle dodałam: - Jest to związek ważny dla obojga i obojgu ułatwiający życie, gdyż są wyjątkowo samotnymi osobami. - O czym ja, u diabła, mówię? - Za pozwoleniem wysokiego sądu, chciałbym odczytać jeden z wierszy, jakie Dillon LeGrande napisał do żony. Nikt mnie nie powstrzymywał, więc przeczytałam z kartki papeterii, którą Arley załaminowała.

Arlington

W jakimś dziwnym przyływie szalonej mądrości Mama nadała ci imię nie na cześć osoby, lecz miasta,

Kochanie, przypominasz mi wszystkie biedne miasteczka W Teksasie, brązowe, spalone słońcem, trochę szalone

I trochę smutne też. Ty jesteś wysoką doliną poznaczoną cieniami spokojnie płynących chmur

*Ty jesteś wąską kotliną tuż za miastem,
gdzie kwitną kwiaty, gdy padnie pierwszy deszcz.
Ty jesteś miejscem, do którego zdążam,
jak żółte światło, wylewające się z otworzonych
drzwi, jak ciemność w sypialni
z sukienką przerzuconą przez poręcz krzesła.*

Nikt się nie odezwat i w sali słychać było tylko ciche brzęczenie wiatraka u sufitu. Potem, gdzieś za oknem, dziecko zawołało: „Wypadasz z gry! Wypadasz z gry!”, i Petty, odkaszlnąwszy cicho, jęknął:

- Wysoki sędzie, nikt z nas nie spodziewał się tak dramatycznego... Rozejrzałam się po sali; Dillon uniósł głowę i jego czoło przecinała teraz pojedyncza zmarszczka, gdy z napięciem, lecz bez zbytej wojowniczości wpatrywał się w oczy sędzi Clay. Spuściła wzrok, nagle zmieszana. Usłyszałam, jak Ray Henry mamroce: „Słodki Jezu na krzyżu” i zobaczyłam, że Arley ma łzy w oczach.

Sędzia Clay wstała równie gwałtownie, jak weszła, i powiedziała:

- Muszę to dokładnie przeczytać i zaraz do was wrócę, okay? Wyszła, zanim biedny woźny zdążył nam kazać wstać, i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Nagle poczułam, że muszę opuścić salę; nie chciałam już dłużej patrzeć na wymianę gorących spojrzeń między Arley a Dillonem, gdy strażnik wyprowadzał go z pomieszczenia. W dole korytarza znajdowała się łazienka używana przez adwokatów; zwyczaj nakazywał wrzasnąć powitanie od progu, aby uniknąć zamieszania spowodowanego różnicą pici. Zamknęłam drzwi za sobą i przyjrzałam się memu odbiciu w brudnym lustrze - policzki miałam okrągłe i zaczerwienione niczym owoce granatu. Wyglądałam tak, jakby trawiła mnie gorączka, Z jakiegoś powodu cały czas słyszałam głos Stuarta, z jego udawanym akcentem z New Jersey, który przybierał, gdy dzwonił do mnie do pracy, albo kiedy po kłótni czy nieoczekiwanej zmianie planów musieliśmy osobno spędzić weekend.

- Annie! Kocham cię! - wykrzykiwał do słuchawki. - Jestem twoim największym fanem! Szaleję za tobą.

Szaleję za tobą.

Zmoczyłam papierowy, ręcznik w zimnej wodzie i przyłożyłam do twarzy. Kiedy wyszłam na korytarz, zobaczyłam, że Ray Henry przytrzymuje drzwi do sali sądowej. Skinął na mnie głową, więc szybko

wślizgnęłam się pod jego ramieniem i zajęłam miejsce, chwilę przed tym, jak sędzia Clay z powrotem zasiadła w swym fotelu.

- Proszę strony o powstanie - rzekła, a ja i Petty poderwaliśmy się gwałtownie. - Przejrzałam zgromadzone materiały i podjęłam decyzję co do tego pozwu, lecz zanim ją przekażę, chciałabym podzielić się pewnymi spostrzeżeniami. Z mojego doświadczenia wynika, że złe małżeństwa zawierane są co dzień, ale my, prawnicy, ze względu na nasz autorytet, znacznie bardziej przejmujemy się konsekwencjami tych małżeństw, gdy dotyczą one ludzi pozbawionych pieniędzy lub środków do życia. - Zdjęła okulary i spojrzała na Arley, która poderwała się z ławki i stała teraz obok mnie. - Młoda damo, popełnia pani błąd. Choć mam gorącą nadzieję, że się mylę i że twoje małżeństwo będzie szczęśliwe; statystycznie i realistycznie rzecz ujmując, raczej to ja mam rację. Możliwe, że wasz związek zada kłam statystykom, ale nie widzę nic, co by na to wskazywało. - Potem odwróciła się do mecenasa Petty'ego. - Muszę przyznać, że w głębi serca uważam, iż naczelnik Southwynn nie myli się w swoich podejrzeniach i uprzedzeniach... Może się nie myli, ale postępuje wbrew prawu. Gdybym miała jakikolwiek wpływ na tę sprawę, jedyną panią LeGrande byłaby matka tego chłopca. Jednak ani ten sąd, ani więzienie stanowe czy jego urzędnicy nie mają prawa decydować, kto będzie zawierał związki małżeńskie, a kto nie. - Westchnęła ciężko. - Panno Singer, proszę przygotować dokument stwierdzający, że sąd nakazuje naczelnikowi Southwynnowi umożliwienie wizyty małżeńskiej pani LeGrande, do czego upoważnia ją prawo stanu Teksas. Ten dokument zostanie podpisany przeze mnie i uznany za prawomocny... Życzę wszystkim miłego dnia. - A po chwili dodała ciszej: - **1** powodzenia.

Dillon odchylił się w drewnianym krześle i zahaczył kciuki o szlufki dżinsów na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki. Na jego twarzy zobaczyłam zwycięski uśmiech i... jakieś przedziwne okrucieństwo, które sprawiło, że miałam ochotę schwycić Arley za ramię i uciec z nią jak najdalej stąd; albo podbiec do Raya Henry'ego i błagać go, by wrzucił Dillona do izolatki, poturbował go albo wykastrował... Ale Arley objęła mnie mocno w pasie, przytuliła się i szeptała: „Och, Annie, dziękuję, dziękuję, dziękuję...”, a strażnik wyprowadzał Dillona z sali. Znowu, beznadziejnie, pomyślałam o Rebecce; była już teraz mężatką, młodą matką... Nadal mogłam odnaleźć jej numer telefonu, zadzwonić...

Nie byłam w stanie patrzeć na promienną twarz Arley, więc tylko zgarnęłam wszystkie papiery z biurka do teczki, zesłałam na dół i poży-

czywszy od kogoś maszynę do pisania, wypełniłam nakaz, podczas gdy Arley nieomal podskakiwała z radości obok mnie.

Potem wyszliśmy z budynku sądu i usiadliśmy w parku po przeciwnej stronie ulicy pod rozłożystymi dębami, obok dwóch starszków w baseballowych czapczkach, którzy grali w szachy. Bez pytania kupiłam dwie lemoniady. Arley wzięła swą w milczeniu i tylko skinęła mi głową w podziękowaniu; potem wygładziła nową spódniczkę i nerwowo podniosła do ust koniec warkocza.

- Wygrałyśmy; czyżbyś była na mnie zła, Annie? - zapytała wreszcie.

Nie mogłam jej odpowiedzieć. Po prostu potrząsnęłam głową nie dowierzając ustom, że bez drżenia wymówią słowa. Byłam wściekła -na Arley, owszem; na siebie także; i również na cały stan Teksas - z powodów, których nawet nie miałam siły nazywać. Jednak przede wszystkim wściekła byłam na jasnowłosego chłopaka o niesamowitych oczach, który nie odezwał się do mnie ani słowem, nie wykonał ani jednego nieodpowiedniego gestu, a jednak stał się moim wrogiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ARLEY

Siedziałam w swoim pokoju razem z Elena, gdy zadzwoniła Annie z informacją, że ustaliła datę naszego spotkania.

Była sobota rano, więc pomyślałam, że może to Dillon dzwoni, i zbiegłam po schodach jak na skrzydłach, żeby jak najszybciej złapać słuchawkę. Obecnie miałyśmy z mamą wypracowany system: co tydzień oddawałam jej ze swojej wypłaty sumę, która akurat pokrywała koszt piętnastominutowej rozmowy w sobotni ranek.

Ale tamtego dnia Elena usłyszała moje sapnięcie i przybiegła za mną na dół. Podskakiwałam w górę i w dół, jakbym właśnie szła na bosaka do basenu po gorącym asfalcie w Święto Czwartego Lipca.

Zakrywając dłonią słuchawkę, pisałam do niej:

- Wiesz co? Wiesz co? Będę mieć wreszcie noc poślubną! Ważna noc nastanie szesnastego stycznia, w czterdzieste urodziny

Annie; miałam się spotkać z Dillonem o szóstej po południu i opuścić go o szóstej rano następnego dnia. Annie powiedziała, żebym zjadła dużą kolację, choć w przyczepie miał znajdować się zapas coca-coli i chipsów.

- Niespecjalnie mam ochotę wieźć cię do Solamente River po to, byś najprawdopodobniej doznała najboleśniejszego przebudzenia w swym życiu - burknęła, lecz potem jej głos złagodniał i dodała: - Przepraszam cię, Arley. Za dużo mówię... Nie mam pojęcia, co mi się stało. Po prostu... martwię się o ciebie, ot co. Ale w końcu to twoje życie.

Nadal nie mogłam wyjść z podziwu, że odwiezie mnie do Solamente River; nie wiedziałam, że to także należy do obowiązków adwokata.

- Nie musisz tego robić - powiedziałam. - Pojadę autobusem, jak wcześniej... Albo Connie mnie podwiezie, jeżeli akurat będzie jej po drodze.

- Szesnasty jest w piątek - odrzekła. - Czy Connie nie jeździ tam przypadkiem w weekendy?

O tym nie pomyślałam.

-I jeszcze jedno - ciągnęła Annie - czy naprawdę chcesz tam jechać sama? Czy masz choćby najmniejsze pojęcie, jakie to uczucie, gdy strażnik każe ci się rozebrać i cię przeszukuje? Oni nie pozwolą Connie pójść z tobą.

- Przeszukują?

- Arley. Kochanie. Nie mogę ci powiedzieć, żebyś wreszcie dorosła, bo to nie jest wykonalne. To także nie twoja wina. Ale twój mąż jest skazańcem! Muszą się upewnić, że nie przynosisz mu... tego wszystkiego, co zawsze starają się przeszukować żony skazańców swym mężom! Pilnika do metalu... brzytwy czy małej, składanej broni... czegoś, czego potem mógłby użyć do zabicia strażnika i ucieczki z więzienia. Czegoś, czym mógłby zabić ciebie, a potem siebie... Świństwo tego typu często jest powodem, dla którego ci ludzie się pobierają. Uważają, że nikt przed nimi tego nie wymyślił. Wiesz, Arley?

Daj mi swe usta, kochana, pomyślałam. Poczulałam się tak, jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Ale przecież mówiłyśmy o Dillonie... on nie tknąłby włosa na mojej głowie. Czy nie mówił mi tysiące razy, że najgorszym przestępstwem w więzieniu jest skrzywdzenie kogoś słabszego? Najgorzej traktowani byli przez współwięźniów ci, którzy trafili za kratki za pobicie żony czy napastowanie dziecka. Zwyczajni więźniowie nawet nie chcieli jadać z nimi posiłków przy wspólnym stole.

- Wiem - powiedziałam do Annie. - Chyba masz rację. Ale Dillon nie jest taki.

- No, cóż... lepiej, żebyś o tym wiedziała, Arley. To nie będzie zwykła randka. Jesteś pewna, że na pewno właśnie tego chcesz...?

Pomyślałam o okienku w pokoju odwiedzin w więzieniu.

- Tak, oczywiście - rzekłam, choć tak naprawdę wcale nie byłam pewna. - Opowiedz mi o tym przeszukaniu. Czy to coś podobnego do zdjęcia rentgenowskiego?

Usłyszałam, że Annie się zakrztusiła, zupełnie jakby usiłowała się napić zbyt gorącej kawy; zawsze to robi, nigdy nie może zaczekać, aż wystygnie.

- Nie, Arley. Strażnik włoży plastikowe rękawiczki i przeszuka twoją pochwę. I odbył.

- Odbył? - spytałam.

- Oj, Arley - odparła Annie. - Sprawdź w słowniku!

Elena siedziała na podłodze w saloniku i obserwowała mnie. Odwróciła głowę bokiem, żeby lepiej słyszeć; w dzieciństwie przedziurawiła sobie błonę bębenkową, wpychając ołówek do ucha, i teraz zawsze tak robiła, gdy nie chciała stracić ani słowa z rozmowy. Czasem wyglądała przez to, jak gdyby miała niedowierzającą minę. Gdy usłyszała, jak wypowiadam słowo „odbyt”, przewróciła się na plecy i wybuchnęła śmiechem. Miałam ochotę ją zamordować. Potem zaczęła pokazywać palcem na tyłek i... zrozumiałam. Odbyt, pomyślałam, o Jezusie Chrystusie. Odwróciłam się tyłem do Eleny, nieomal wrywając kabel telefoniczny ze ściany. Moja najlepsza przyjaciółka aż wstrzymała oddech, żeby tylko usłyszeć następne słowa.

- I przywieź ze sobą kondomy, Arley... - ciągnęła Annie.

- Ale przecież jesteśmy już po ślubie - zaprotestowałam. - Przecież... po ślubie już nie trzeba... - Przynajmniej tyle wiedziałam na pewno.

- Arley, posłuchaj - rzekła Annie. - Chcesz wyjść z więzienia w ciąży, w wieku czternastu lat? Czy masz podpisane oświadczenie lekarskie, że Dillon nie jest zarażony wirusem HIV albo jakąkolwiek inną chorobą weneryczną? - Mówiła to takim samym tonem, jakim dorośli wymawiają słowa, których dzieci nie powinny rozumieć.

- Faktycznie, mam - odparłam triumfalnie. - I ty także!

Karta medyczna Dillona została dołączona do naszego pozwu sądowego. Dillon był czysty jak łąka, nawet zęby mu się nie psuły. Annie ucichła na moment.

- No, cóż - mruknęła w końcu. - Ale ten raport jest sprzed miesiąca. Czyżby uważała, że Dillon uprawia seks w więzieniu? Poza tym, przecież jest żonaty! I z kim? Z jakąś strażniczką? Annie wiedziała, że Dillon nie jest homoseksualistą. No, chyba wiedziała...

- O to się nie martwię, Annie - powiedziałam.

A może był? Seks z innym mężczyzną? Nigdy wcześniej o tym nie myślałam.

Poczułam się tak fatalnie, że miałam ochotę natychmiast odłożyć słuchawkę.

Czułam, że zwieracz mi za chwilę puści i zawartość pęcherza wyleje się na podłogę, niczym woda z balonika na asfalt. Wreszcie powiedziałam Annie, że do niej oddzwonię, i wróciliśmy z Eleną na górę.

Moje myśli krążyły jak oszalałe; wiedziałam, że postępuję słusznie, chciałam tego, lecz szczerze mówiąc, jednocześnie byłam śmiertelnie przerażona. Wydawało mi się, że załatwienie tej wizyty małżeńskiej potrwa znacznie dłużej, może nawet kilka miesięcy, mimo iż Annie wystąpiła o natychmiastowe wykonanie polecenia sądu.

Myślałam, że będę-

dę mieć już piętnaście lat, gdy po raz pierwszy prześpię się z Dillonem. Do tej pory tylko śniłam na jawie, obracając na palcu srebrną obrączkę Connie G.; czasem zdarzało się, że stawałam na środku korytarza w szkole, podczas gdy strumień dzieciaków przepływał obok mnie i myślałam: „Arlington Mowbray, naprawdę jesteś już mężatką. Możesz podejść do pani Murray i powiedzieć: «Mój mąż zadzwonił wczoraj wieczorem i...» albo mogę iść do lekarza i przedstawić się w recepcji jako pani Dillonowa T. LeGrande". Choć tak naprawdę jeszcze nie zdecydowałam, jakiego będę używać nazwiska.

Kiedy Annie zadzwoniła tego ranka, siedziałyśmy wraz z Eleną u mnie w pokoju i przeglądałyśmy wszystkie moje papiery: stare klasówki szkolne, świadectwa, książeczkę Honorowego Krwiodawcy, odznakę członka Ogólnonarodowego Stowarzyszenia Szkolnych Biegaczy Przez Płotki, i usiłowałyśmy rozsądzić, czy mam zmieniać na nich wszystkich nazwisko, czy zachować całą sprawę w tajemnicy. Zupełnie jakbyśmy siedziały nad moją szkatułką z biżuterią, nagle zaczęłyśmy rozmawiać o moim ślubie i w końcu obie się popłakałyśmy. W ostatnim miesiącu tak często beczałam, że Elena powiedziała, że jeszcze trochę i będą mi potrzebne sole trzeźwiące. Oczywiście obie strasznie bolałyśmy nad faktem, że Elena nie mogła być moją druhną. Kiedy już z powrotem usiadłyśmy na łóżku, powiedziała:

- Wychodzi na to, że i tym razem nie będę z tobą w czasie najważniejszej chwili w życiu... - i uśmiechnęła się takim jakimś chytrym uśmieszkiem.

Odparłam, że ma natychmiast przestać.

- Posłuchaj - dodałam. - Musisz mi w tym pomóc. Nawet jeżeli ma nam być głupio. Musisz mi powiedzieć, co on robi i co ja mam robić...

- Przecież sama wiesz - rzekła Elena, nagle odwracając wzrok. - Sama wszystko doskonale wiesz.

- Właśnie o to chodzi, że nie wiem - powiedziałam, obracając ją tak, by wreszcie spojrzała mi w oczy. Wtedy usłyszałyśmy trzask frontowych drzwi i choć obie wiedziałyśmy, że to tylko głupi Cam, zamarłyśmy. A potem roześmiałyśmy się głośno, niczym para dzieci w nawiedzonym domu.

-Ja wcale... ja nigdy tego tak naprawdę nie robiłam - przyznała się Elena. - Najdalej posunęłam się z twoim bratem... przecież ci mówiłam... Hej, wiesz, że nie będą wysuwać oskarżenia przeciwko Ericowi Dore-yowi? Bo do tej pory nic jeszcze nie przeszkrobał, no i ma bogatych rodziców... Notabene wysłali go do jakiejś szkoły wojskowej na wschodzie...

- Naprawdę?

- Tak słyszałam. A może się przeprowadzili...?
- Zmieniasz temat - przypomniałam jej spokojnie.
- No, cóż... Arley, tak naprawdę wiem tylko tyle, że jeżeli będziesz leżeć spokojnie i dostatecznie długo całować się z chłopcem, to się po prostu stanie i już. Znam tylko jedną osobę, która na pewno poszła na całość i jest to moja własna siostra Gracie, a ona twierdzi, że gdy dochodzi co do czego, to po prostu samo wszystko się dzieje. Nawet nie wiesz, kiedy zdjęłaś ubranie.
- Ale kto je zdejmuje? On czy ty?
- Nie mam pojęcia.
- Ellie, liczyłam na ciebie w tej kwestii!
- Możemy zadzwonić do Gracie.
- Żeby wiedziała, co chcę zrobić? Może lepiej do Connie?
- Ona jeszcze tego nie robiła.
- Ale pewnie robiła więcej niż my.
- A o co się najbardziej martwisz? Czego się boisz?
- Wcale nie boję się tego, że będzie bolało. Bieganie przez płotki nauczyło mnie, że każdy ból można znieść. Ale martwię się... że się będę wstydzić.
- Ale przecież nie jesteś gruba.
- Jak to, gruba?
- No, jeżeli byłabyś gruba, mogłabyś się martwić, czy leżąc w tej a tej pozycji nie masz na przykład podwójnego podbródka albo czegoś w tym stylu. Ale ty jesteś... doskonała, więc nie musisz się martwić. Zresztą ja nigdy o tym nie myślałam, kiedy całowałam się z chłopcami. Po prostu leżysz pod nim, a on zachowuje się tak, jakbyś właśnie dała mu milion dorców czy coś w tym rodzaju.
- Naprawdę? A czy to jest... mile?
- No, cóż - odparła Elena unosząc swoje gęste, ciemne włosy z karku - muszę przyznać, że owszem. To jest tak, jak... wiesz, jak to jest, gdy się dotyka...? Od razu wiedziałam, o co jej chodzi, ale powiedziałam, że tego też nigdy nie robiłam. Nawet przypadkiem? - chciała wiedzieć Elena. Nie, odparłam, choć naprawdę czułam niekiedy dziwne rzeczy. Od pierwszej wizyty w więzieniu miewałam dziwne sny i czasem budziłam się cała złana potem. Elena zaczęła znowu przeglądać moje papiery i między nimi znalazła wiersz, który napisałam tuż przed ślubem. Wcześniej go jej nie pokazywałam, ale doszłam do wniosku, że teraz może przeczytać. Byłam z niego dumna... a to nie to samo co pokazywanie listów. Przeczytała go na głos, lecz cichutko:

*Każda panna młoda
w noc poślubną trzyma w sercu nadzieję na przyszłość
Oto przyszłość,
której pragnę - wystarczająco dużo czasu, by spowszednieć,
by wieczory
stały się jak miesiące,
byśmy siedzieli
na schodkach werandy w ciemności tylko we dwoje
w świetle żaru twego papierosa i przy zapachu
pierwszych kropli deszczu nie mając przed sobą nic oprócz jutra w perspektywie
i następnego dnia za nim.*

Kiedy skończyła, westchnęła lekko.

- Właśnie tego chcesz? - zapytała.

- Niby czego?

- Chcesz tylko tak siedzieć na jakiejś głupiej werandzie?

- No... nie wiem. Ale chyba by mi to wystarczyło.

- No, ładnie, Arley. Z twoją inteligencją! Zawsze mi się wydawało, że chcesz więcej osiągnąć... Ze chcesz zaznać trochę rozrywki. Albo przeprowadzić się" do miasta... wyjechać do college'u. No, wiesz...

- Nie mogłabym pójść do college'u, Ellie.

- Ależ dlaczego?

- Bo mnie na to nie stać.

Ale przez nią zaczęłam myśleć o wszystkich tych rzeczach, które mnie ominą z powodu raz podjętej decyzji, i zrobiło mi się smutno.

- Są jeszcze stypendia, Arley.

- Owszem... - Ale równie dobrze mogła to już być jedna z rzeczy dla mnie niedostępnych; może już nigdy nie dostanę szansy? - Wiesz co, Eleno? Bycie żoną Dillona jest dla mnie ogromnie ważne. To więcej, niż miałam przez całe życie. Nie chcę nic innego. - Czy mówiłam prawdę? Czy naprawdę właśnie tego chciałam? Tylko to widziałam, tylko o tym myślałam, siedząc w moim ciemnym, małym pokoiku; więc chyba musiała być to prawda. Była. Bardzo długo siedziałyśmy w milczeniu, ramię przy ramieniu; jest to jedna z tych chwil, które na zawsze zostały mi w pamięci, choć wydaje się, że zdarzyły się tak strasznie dawno temu.

Tamtego popołudnia, przed naszą nocą poślubną, na godzinę przed przyjazdem Annie usiadłam na schodkach przed domem i zaczęłam myśleć o tych sprawach. Wstałam jeszcze przed świtem, a przez całą noc nie zmrużyłam oka. Zadzwoiłam do szkoły, by powiedzieć, że nie mogę przyjść na lekcje, ale ponieważ mama była w pracy, nie wiedziałam, czy dyrektor usprawiedliwi moją nieobecność. Długo rozmawiałam z Eleną przez telefon; zrobiłam zapiekankę dla mamy i Cama i wstawiłam do lodówki. Potem przypomniałam sobie, że zapomniałam dodać soli, co sprawia, że zapiekanka jest niezjadliwa, więc wyjęłam ją i dałam Grotowi, psu Gary'ego Nevady. Poskładałam pranie i zrobiłam zadania z matematyki na zapas. Wzięłam prysznic i cztery razy zmieniałam fryzurę, gdyż za każdym razem wystawały mi kosmyki włosów tam, gdzie akurat nie powinny. Miałam zupełnie zdrętwiałe palce. Włożyłam tę samą bluzkę i spódnicę, które miałam na sobie w sądzie, bo Dillon napisał mi po rozprawie, że wyglądałam tak ślicznie, że ledwie się powstrzymał przed dotknięciem mnie. Jednak gdy tylko sobie o tym przypomniałam, nie potrafiłam już myśleć o niczym innym; poczułam gorąco w podbrzuszu, lecz jednocześnie zęby mi zaszczękały.

Kiedy po południu siedziałam przed domem i czekałam na Annie, nagle zjawił się pan Justis. Ostatnimi czasy Ginny Jack w ogóle zabroniła nam wpuszczać go do Taco Heaven, a nawet kiedy się już nad nim zlitowała, wołała, by to Luz mu usługiwała, a nie ja, choć wiedziała, że się lubimy. Nie widziałam już staruszka od długiego czasu.

- Cześć, dziewczyno - powitał mnie, kiedy był już nieomal na wysokości naszego domu. - Aleś się wystroiła. Nigdy nie widziałem, byś wyglądała śliczniej niż dziś.

- Wyjeżdżam z miasta - odparłam. - Jak się pan miewa, panie Justis?

- Och, jestem w ciągłym ruchu, Arlington. W ciągłym ruchu. Prawdę mówiąc, nie wyglądał najlepiej; był chudszy niż zazwyczaj i nieogolony. Nawet z pewnej odległości czuło się bijący od niego zapach alkoholu. Zerknął na swe buty, a potem wsadził dłoń w kieszeń dziurawych dżinsów.

- Nadal ćwiczysz bieganie?

- Czasami - odrzekłam. Do diabła, od dawna już nie trenowałam, a na pewno nie w domu; treningi po szkole nie wystarczały, bym mogła utrzymać sprawność i szybkość. Zastanawiałam się, czy nie będzie lepiej w ogóle rzucić bieganie, bo z korespondencją z Dillonem, szkołą i obowiązkami w domu i tak mam aż za dużo roboty. - Trener Diaz powiedział, że jeżeli nadal będę trenować tak, jak do tej pory, to na wiosnę wezmę udział w zawodach ogólnostanowych,

- Powinnaś to zrobić - odpowiedział pan Justis. - Jeżeli potrafisz robić w życiu coś naprawdę dobrze, to powinnaś się tego trzymać.

- Jestem mężatką, panie Justis - wypaliłam nagle ni stąd, ni zowąd. Bóg jeden wie, czemu to powiedziałam.

Staruszek spojrział w odległy kraniec ulicy, a potem prosto w słońce, mrużąc oczy.

- Wiem - mruknął wreszcie.

- Naprawdę? Skąd?

- Słyszę to i owo, Ludzie uwielbiają plotkować, a facet, taki jak ja, jest praktycznie niewidoczny. - Wcale nie mówił jak szaleniec; uśmiechnął się do mnie, a w jego niebieskich oczach zalśniły iskierki. Odwzajemniłam uśmiech. - Słyszałem też, że twój mąż siedzi w więzieniu. Ale to nie zawsze jest takie złe... Niektórzy dobrzy ludzie też tam kończą przez zwykłą głupotę, wiesz, Arlington? Ale większość więźniów zasłużyła na swój los. Mam nadzieję, że twój mąż zalicza się do pierwszej kategorii.

- Tak jest.

- Jesteś taka młoda, dziewczyno - powiedział. - Ale istnieje sposób, żeby się przekonać, czy to, czego chcesz, jest naprawdę tym, co powinnaś zrobić... bez względu na wiek.

Trochę mnie przestraszył. Może jednak ludzie mówili o nim prawdę? Rozejrzałam się; na ulicy nie dostrzegłam żywego ducha. Nawet samochodu.

- Jak? - odważyłam się wreszcie zapytać.

- Myślisz o tym, co będzie za pięć lat od tej chwili... od tej minuty i czekasz, co poczujesz tutaj. - Dotknął dłonią żołądka. - To, czego

chcesz, wcale nie musi być dla ciebie dobre, więc lepiej zaczekaj, aż to tu poczujesz.

- Ale jak?

- No... nie wiem. - Uśmiechną! się znowu i tym razem zobaczyłam, że ma ładne zęby. Może sztuczne? - Straciłem tę umiejętność już bardzo dawno temu. Pamiętam jednak, że się sprawdzało.

Zobaczyłam, jak czarna camry Annie skręca z ulicy Church w naszą.

- Muszę już iść, proszę pana - powiedziałam z żalem panu Justisowi.

- W takim razie przyjmij moje najlepsze życzenia - odparł. - Jeżeli tylko znajdę kawałek drewna, który pragnie być czymś ładnym, zrobię dla ciebie prezent ślubny.

- Nie musi pan...

- A jak się miewa twój brat? - Mój brat? No, cóż... w końcu pan Justis od początku świata kręci się po tym mieście, więc chyba wie, kim jest Cam.

- Wszystko u niego w porządku. Całymi dniami gra na gitarze.

- Wychodzi mu?

- Taak, bardzo dobrze gra. Czasem też próbuje na skrzypcach. Pan Justis nałożył z powrotem czapkę na głowę i naciągnął daszek na czoło.

- Przyjechała niebieska dama z północy - mruknął cicho, a potem zadrżał. - Chłodno dziś, co? Skrzypki, co? Skrzypki... No, no... a przecież ma jasne włosy, nie?

No, cóż... ten pan Justis chyba jednak nie miał po kolei pod sufitem.

- Kto to był, u licha? - spytała Annie, wyskakując z samochodu. Miała ze sobą cztery pudełka - takie jak dzieci noszą do szkoły z kanapkami - z jedzeniem i cztery kubki kawy, jakbyśmy były autobusem pełnym dzieciaków. Dzięki Bogu, że mama pracowała dziś na dwie zmiany; wiedziała, co zamierzam zrobić, ale nie powiedziała ani słowa.

Annie wyglądała... dziwnie. Przyzwyczaiłam się do widywania jej w oficjalnych kostiumach, beżowych, granatowych czy czarnych. Tamtego dnia miała na sobie krótki turkusowy sweterek narzucony na długą sukienkę w kwiatki, a do tego na nogach niebieskie kowbojki z turkusowymi jaszczurkami do ozdoby. Zerknęła na nie chwilę po tym, jak wysiadła z samochodu.

- To prezent urodzinowy od Stuarta - wyjaśniła. - Uważam, że są super.

- Ładne - odparłam. - Cholenie ładne.

- Cholenie?

- Tak mówią dzieci, żeby mamy nie krzyczały, że przeklinają.

- No, cóż... mnie się, w każdym razie, podobają. Sprawiają, że nie czuję się na moje sto pięćdziesiąt lat.

- Annie, przecież wcale nie jesteś stara.

- Arley, skończyłam dzisiaj czterdzieści lat i nie jestem mężatką, a ty masz czternaście lat i męża na dodatek, i ja wiozę cię dzisiaj na noc poślubną do cholernego więzienia... co za świat, prawda?

- Czy ty i Stuart zamierzacie się pobrać?

- Chyba tak. Z drugiej strony, sama nie wiem. Wiesz, jego praca jest szalenie absorbująca... usiłuje ratować ludzi przed karą śmierci.

- Czy zrobiłby to także dla Dillona? Przyjrzała mi się uważnie.

- Dillon... Dillonowi nie zagraża kara śmierci. On... tylko odsiaduje zwyczajny wyrok.

- Ale gdyby zrobił kiedyś... coś naprawdę okropnego...? - Mój umysł zrobił sobie chyba wolne z nadmiaru stresu.

- Miejmy nadzieję, że to się nigdy nie stanie - odparła Annie i zapięła mój pas bezpieczeństwa, jakbym miała trzy latka. Szczerze mówiąc, było mi miło, że to zrobiła. - Wydaje mi się, że prędzej czy później pobierzemy się ze Stuartem. Ale nie mam pojęcia, czy będziemy mieć dzieci. On potrafi być wyjątkowo uparty.

- Och - powiedziałam - uważam, że nie powinien na ciebie naciskać.

Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się szeroko. Dopiero wtedy zauważyłam, jaka jest ładna. Annie wprawdzie nie reprezentuje typowej teksańskiej urody, lecz jest rzeczywiście śliczna. Ma brązowe oczy, lecz nie takie prawie czarne jak moje, tylko jaśniejsze, z odcieniem czerwieni, jak zeschnięty jesienny liść. Ich kąciki są lekko uniesione, jakby się wечно uśmiechała.

- To nie on na mnie naciska, Arley, lecz ja na niego. Stuart nie sądzi, by się sprawdził jako ojciec... To ja strasznie chcę mieć dziecko. To znaczy, uważam, że chcę... Kiedyś...

- Nie myślałam, że możesz... -Co?

Równie dobrze mogę to powiedzieć; i tak tkwiłam już w bagnie po uszy.

- Nie myślałam, że można mieć dziecko po menopauzie. Annie roześmiała się głośno.

- Arley, ja jeszcze nie przechodziłam menopauzy. To następuje zazwyczaj dopiero około pięćdziesiątki. Wiele kobiet, zwłaszcza aktywnych zawodowo, ma dzieci około czterdziestki.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Wiesz przecież, że nie chciałam po-

wiedzieć nic złego. Po prostu pomyślałam, że skoro masz już czterdzieści lat...
- Arley, czterdzieści lat to dużo, ale nie aż tak strasznie. Jeszcze wcale nie za późno... na pewne rzeczy. Gdybym chciała zostać primabaleriną, byłaby inna sprawa...

Odjechałyśmy sprzed domu, w którym się wychowałam; pomyślałam, że odjeżdżam stąd jako dziewczynka, a wrócę jako kobieta. Jednak po piętnastu minutach jazdy zamknęłam oczy i zasnąłam; obudziłam się na stacji benzynowej tuż pod Solamente River. Annie potrząsała mnie za ramię. Chciała wiedzieć, czy mam ochotę się odświeżyć, zanim ruszymy w dalszą drogę. Weszłam do łazienki, która była tak błękitna - sufit i ściany, i kafelki - że przez to chyba zwymiotowałam całe moje śniadanie. Umyłam twarz i ręce mydłem, wypłukałam usta i trochę podmało-wałam rzęsy.

Pojechałyśmy dalej. Annie mówiła strasznie szybko - jak się później przekonałam, jest to typowe dla wszystkich nowojorczyków -

O tym, jak to pierwszy stosunek może boleć i że często kobieta przy pierwszych paru razach nie ma orgazmu, że Dillon pewnie od dawna nie był z kobietą i pewnie będzie trochę szorstki, o tym, że powinniśmy robić wszystko powoli i bez pośpiechu... że dobrze, byśmy zdawali sobie sprawę, że co jakiś czas strażnicy będą nas kontrolować, prawdopodobnie przez weneckie lustro... I o tym, że jest jeszcze czas, bym zmieniła zdanie, i że to wcale nie będzie oznaczać wycofania pozwolenia, tylko zmianę terminu wizyty... o tym, że często po pierwszym stosunku może dojść do zakażenia przewodu moczowego, więc jeśli wróciwszy do domu, poczuję pieczenie, to mam jej powiedzieć i wtedy ona da mi jakiś specjalny krem... Brzmiało to jak wykład z higieny w szóstej klasie i miałam ochotę zakryć uszy rękoma i zacząć śpiewać byle co na całe gardło, żeby nie słyszeć głosu Annie, lecz się nie odważyłam. Wiedziałam, że tylko chce być miła, ale i tak nie mogłam wchłonąć tego wszystkiego, co mi mówiła.

A potem dojechałyśmy już na miejsce. Annie rozmawiała z niewysoką strażniczką, używając tego swojego tonu ostrej pani adwokat:

- Moja klientka jest nieletnia, więc chciałbym pójść z nią...

- To niemożliwe - przerwała strażniczka, nawet na nią nie patrząc. Podsunęła mi jakiś formularz do podpisania, lecz Annie wzięła go i przeczytała uważnie. Potem strażniczka kazała mi przejść przez detektor metalu, a Annie sięgnęła i złapała ją za ramię.

- Proszę - powiedziała. - Proszę, niech pani tylko na nią spojrzy. Proszę mi pozwolić pójść z nią przynajmniej na przeszukanie... błagam...

Strażniczka spojrzała na nią i na jej niebieskie buty; potem przekrzywiła głowę na jedną stronę i pozwoliła iść z nami.

Wiem, że gdyby tam nie stała, obeszliby się ze mną znacznie gorzej- Po prostu wiem. Po całym upokorzeniu, jakie przeżyłam w tym małym pokoiku, pobyt w szpitalu przy narodzinach Desi nie był dla mnie niczym nadzwyczajnym. Darzyłam Annie pewnym uczuciem, ale prawdę mówiąc, do tamtej chwili o tym nie myślałam. Sądziłam, iż musi przecież wiedzieć, że jestem jej wdzięczna i że ją szanuję. Kiedy strażniczka mnie przeszukiwała, Annie przytrzymała kolorową jedwabną bluzkę na moich ramionach, podczas gdy palce w rękawiczkach wciskały się we mnie, właściwie nie wywołując bólu, tylko wstyd. Oparła moją głowę na swym ramieniu, gdy palcami przeczesywali mi włosy, i opowiedziała mi długi dowcip o facecie, który złapał gumę gdzieś w Brooklynie i chodził od domu do domu, prosząc, by ktoś pożyczył mu lewarek do kół, i był tak rozeźlony ciągłymi odmowami, że gdy właściciel ostatniego domu otworzył mu drzwi, facet wypalił: „Możesz pan sobie zatrzymać swój cholerny lewarek!”

Kiedy już się ubrałam, wyjęła z torebki dwa pakunki; w jednym znajdowały się chusteczki higieniczne i mała paczuszka kondomów.

- Bałam się, że nie kupisz lateksowych, tylko jakieś inne, Arley -wy tłumaczyła. - Tylko lateksowe naprawdę nie przepuszczają bakterii... a reszta jest na... potem. Gdy wymawiała te słowa, zaschło mi w gardle; zapomniałam przywieźć z sobą kondomów, które po usilnych błaganiach i namowach kupiła dla mnie Connie G. Zostawiłam je w torebce pośrodku stołu w kuchni, niczym paczkę z kanapkami. O mój Boże. Udało mi się jednak uśmiechnąć, a Annie wyciągnęła drugą paczuszkę i pomogła mi ją otworzyć. W środku była koszulka nocna z chińskiego jedwabiu, haftowana w chmurki.

-Jak w tym śnie, o którym opowiadałaś Dillonowi, Arley. W liście. Brakuje tu tylko kolorowych wozów jadących na zachód. - Rozpłakałam się i uściskałam ją z całej siły. - Bądź szczęśliwa, Arley. Kiedy jutro rano będziesz wracać do domu, przyjadę po ciebie.

- Nie musisz tego robić.

- Ale chcę. - Annie gryzła wargi. Widziałam, że jeszcze chwila i się rozpłacze. - Czekaj, poprawię ci włosy - dodała, a ja wyciągnęłam z kieszeni czerwoną wstążkę i Annie pomogła mi zapleść z powrotem warkocz. Strażniczka polerowała w tym czasie rękawem swoją odznakę i starała się na nas nie patrzeć. A potem Annie nie zostało już nic więcej do zrobienia. Podniosła torebkę.

- Kocham cię - powiedziałam cicho.

I wtedy naprawdę się rozplakała; jak tamtego dnia w samochodzie, gdy przyjechała do mnie, do Avalon. Wreszcie wykrztusiła:

- Ja też cię kocham.

Strażniczka i strażnik z karabinem odprowadzili mnie na tyły więzienia, gdzie stały trzy przyczepy; za ogrodzeniem z drutu kolczastego, jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, kilku więźniów pracowało nad naprawą ceglanego muru. Dlaczego oni to robią? Przecież to szaleństwo! Jak kopanie własnego grobu. Wszyscy nagle oderwali się od swej roboty i przyglądali, jak idziemy do przyczepy; jeden z nich powiedział coś bardzo głośno po hiszpańsku i zawył, niczym kojot na stepie. Strażnik odbezpieczył karabin, a strażniczka otworzyła drzwi przyczepy kluczem wybranego spośród wielu, jakie miała przypięte do pasa na ogromnym kółku. Strażnik wycelował z karabinu prosto w drzwi, a ja weszłam do środka; tam czekał na mnie Dillon. Siedział na ładnej, czystej kanapie, jak każdy normalny człowiek, w ślicznej zielonej zamszowej koszuli, bez kajdanek na rękach czy nogach. Pobiegłam do niego i rzuciłam mu się w ramiona. Stojąc przytulona do niego, wysłuchałam, jak zgadza się na wszystkie zasady, i że będzie z własnej woli co dwie godziny otwierał drzwi na inspekcję. Potem usłyszałam trzask zamykanych drzwi, zgrzyt zamka... i zostaliśmy sami.

Mimo wszystkiego, co się potem zdarzyło, co przyszło i co odeszło, co wyrosło i co się zawaliło, za nic w świecie nie oddałabym tej nocy. Dillon ujął moją twarz w obie ręce i powiedział:

- W Biblii jest taki fragment... o spoglądaniu w twarz ukochanej osobie i wychodzeniu jej na spotkanie. Idzie to tak: Odnalazłem cię. Wreszcie cię odnalazłem. Jesteś tu, Arley, i jesteś moja...

Potem pocałował mnie i posadził na kanapie; wyjął dwie cole z lodówki i włączył radio. Siedzieliśmy tuż obok siebie, a on wypalił dwa papierosy jeden po drugim i tylko gładził mnie po włosach; za każdym razem, gdy chciałam coś powiedzieć, przerywał mi, mówiąc:

- Zaczekaj, kochanie. Po prostu daj mi minutkę.

I wtedy, gdy właśnie zaczynałam się denerwować, że może odkochał się przez to długie czekanie, skinął głową w stronę radia, i usłyszeliśmy głos spikera:

- A ten kawałek będzie dla Dillona i Arley, w waszą noc poślubną. Bądźcie grzeczni i bądźcie dobrzy dla siebie nawzajem.

Po prostu nie mogłam w to uwierzyć; jak udało mu się namówić kogoś z zewnątrz, by zadzwonił do stacji radiowej i poprosił o nadanie takiego komunikatu? Właśnie w tej chwili? Piosenką specjalnie dla nas

okazała się „I will always love you” w wykonaniu Dolly i Vince'a; czyli ta dobra wersja, a nie smutne zawołanie Whitney. Leżałam na kanapie i całowałam się z Dillonem, w końcu wsunął się na mnie; kiedy piosenka już się nieomal skończyła, znowu rozległ się głos disc jockeya:

- Zróbmy to jeszcze raz, kochani... w końcu macie przed sobą tylko jedną noc z miodowego miesiąca.

I zagrali ją jeszcze raz od początku.

Muszę przyznać, że było dokładnie tak, jak mówiła Elena. Kiedy otworzyłam wargi i Dillon wsunął mi język do ust, troszkę na początku, a potem ciut głębiej, wcale nie zrobiło mi się niedobrze. To było jak picie z fontanny w upalny dzień, gdy jesteś tak spragniona, że właściwie nie możesz myśleć o niczym innym, oprócz wody. Dillon nawet nie usiłował dotknąć mnie przez ubranie. Po prostu sięgnął mi za plecy i jedną ręką rozpiął stanik, znacznie szybciej niż zrobiłabym to sama; później ściągnął mi bluzkę przez głowę, dokładnie tak samo, jak ja obecnie rozbieram Desi. Co prawda ja jej mówię: „Rączki do góry”, a on nie powiedział nic podobnego, lecz ja i tak podniosłam ramiona, by mu ułatwić zadanie. Leżałam później pod nim, na wpół naga, wtulona w jego miękką koszulę i nawet nie czułam zimna. Milczeliśmy przez kilka minut, aż Dillon zaczął mówić do mnie wolno i cicho:

- Nie bój się, Arley. Jestem twoim mężem i kocham cię z całego serca. Nie zrobiłbym nic, żeby się skrzywdzić. Jeżeli coś ci się nie będzie podobało, po prostu powiedz, żebym przestał, i przestanę.

Zsunął ze mnie spódnicę i zdjął rajstopy, ani razu nie prosząc, bym wstała; ani razu nie sprawił, że poczułam się brzydka, niezręczna czy zawstydzona. A potem już leżałam pod nim, całkiem naga. Jeszcze kilka cali, kilka warstw materiału i poczuję całe jego ciało przyciśnięte do mojego. Tak wiele się działo, że musiałam się zmusić do koncentracji: mięśnie jego nóg napinały się i rozluźniały, jego broda delikatnie drapała mój policzek, nasze usta zwarły się tak ciasno, że właściwie stanowiły całość. Następnego dnia okolice dolnej wargi miałam tak obrzmiałe i podrażnione przez brodę Dillona, aż Elena się ze mnie śmiała.

Dillon nagle odsunął się ode mnie i wstał, a ja zacisnęłam powieki i zsunęłam ramiona, by zakryć moją nagość.

- Muszę na ciebie patrzeć, Arley - powiedział; potem usłyszałam, jak otwiera zamek błyskawiczny u spodni i cichy szelest, z jakim jego ubranie spadło na podłogę.

- Nie - odparłam. - Nie ma mowy. Nie znamy się jeszcze dostatecznie dobrze.

- Jak to nie znamy się dostatecznie dobrze? Kochanie, jestem twoim mężem.

- Ale to wcale nie oznacza, że cię znam.

Nie miałam pojęcia, co robić. Kanapa wydawała mi się większa od boiska baseballowego; nie wiedziałam, czy mam się przetoczyć na brzuch, czy zwinąć w kulkę. W radiu grali teraz „You can never tell”... Dillon pomógł mi się podnieść - nadal nie chciałam otwierać oczu - i otworzył sofę, zamieniając ją w podwójne łóżko, a potem położył mnie na nim i przykrył prześcieradłem. Przez zamknięte powieki zauważyłam, że zgasił światło i to dodało mi odwagi. Jedyнным światłem w pomieszczeniu była przesuwająca się wolno wiązka promienia z wieży wartowniczej... najpierw po łóżku, potem przez moje ciało i na Dillona... wtedy zauważyłam, że jest całkiem nagi... i szalenie piękny. Musiałam zamknąć z powrotem oczy, jednak zanim to zrobiłam, zobaczyłam jego penisa sterczącego pod brzuchem, purpurowego i wyprostowanego - zupełnie innego, niż sobie wyobrażałam.

To się nie może udać, pomyślałam i natychmiast oblałam się potem. Z całą pewnością nie może się udać, bo jeżeli on wsadzi go we mnie, to albo się uszkodzi, złamie czy coś, albo rozerwie mnie na pół, jedno z dwojga. Potem jednak doszłam do wniosku, że on chyba jednak wie, co robi, więc rozpostarłam ramiona, a on położył się obok mnie. Przyłożyłam usta do jego ramienia - smakowało jak ten gumowy ochraniacz, który nosiłam w ustach w czasie gry w hokeja na trawie - jak czysta guma, delikatna i gładka. Powiedział mi, że chce mnie pocałować tam, na dole, lecz błagałam go, by tego nie robił. Nie mogłam sobie wyobrazić, by naprawdę tego chciał, choć słyszałam, że wielu chłopców to robi.

- Nie bój się - odezwał się łagodnie. - Najpierw cię dotknę, tak delikatnie... a jeżeli nie będzie ci się podobało, to od razu przerwiemy.

I przeciągnął ręką w dół mego ciała, aż dotarł do wzgórka łonowego i położył na nim dłoń; najpierw pocierał mnie lekko i wolno, a potem coraz szybciej. Wiem, że to nie brzmi zbyt ładnie, ale mogę to opisać tylko jako łaskotanie. Zanim się spostrzegłam, już wyginałam ciało w kierunku jego ręki i wydawałam ciche odgłosy, jakby brakowało mi powietrza.

- Arley - rzekł Dillon - czy ty płaczesz, kochanie? Boisz się? Sądziłam, że nie uda mi się wykrztusić ani słowa, lecz odparłam cichutko, z ustami wtulonymi w jego bark:

- Nie płaczę. - Więc zaczął mnie znowu pocierać, powoli i choć tym razem bardzo się starałam nie wydać żadnego dźwięku, znowu jęknęłam. - Przepraszam - wykrztusiłam.

- Niech ci nie będzie przykro - odpari Dillon. - To tylko oznacza, że jest ci dobrze. To bardzo dobry znak...

Przyłożył usta do mojej szyi, a potem do lewej piersi, a ja przez chwilę zobaczyłam przed oczyma Cama i Elenę. Więc tak to wygląda. Wreszcie tego doświadczam. Ja, Arley Mowbray, która nigdy nawet nie pozwoliła chłopcu się pocałować, z wyjątkiem Curtisa Melby'ego w drugiej klasie. Otworzyłam oczy i zerknęłam na dół, na jasną głowę Dillona i moje falujące piersi... a potem zamknęłam oczy i przestałam myśleć o czymkolwiek.

- Chcę cię trochę possać, kochanie - usłyszałam głos Dillona i choć tak naprawdę wcale nie miałam na to ochoty, pozwoliłam mu; wtedy nie wydawało mi się to już takie dziwne.

Patrzyłam na światło z wieży wartowniczej przeszukujące pokój niczym oko jakiegoś olbrzyma i czułam usta Dillona ssące moje najbardziej wrażliwe miejsca, jego język w środku mnie i nerwy eksplodujące rozkoszą, której nigdy sobie nie wyobrażałam ani której nie potrafię teraz nawet opisać. I nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Naciągnęłam prześcieradło na głowę, a Dillon pospiesznie wciągnął spodnie i przeszedłszy przez pomieszczenie, otworzył drzwi.

Na progu stał ogromny, potężnie zbudowany mężczyzna w zielonym mundurze, którego wcześniej widziałam w sądzie. Nie miał broni, a ręce trzymał w kieszeniach.

- Jestem tu, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, panie LeGrande, oraz aby sprawdzić bezpieczeństwo pańskiej żony, jak wymaga tego ode mnie prawo...

- Nic jej nie jest, panie Southwynn - odparł Dillon syczącym, nieprzyjemnym głosem. - Nic się nie zmieniło od czasu, gdy tamci wyszli. Nie zrobiłem jej nic złego.

- Przykro mi, że muszę wam przeszkodzić, ale obserwacja przez okienko chyba nie jest najlepszym rozwiązaniem, co Dillon? - spytał naczelnik cicho.

Dillon milczał przez moment, po czym odparł:

- Ano chyba nie.

- Proszę usiąść, pani LeGrande. - Wystawiłam głowę spod prześcieradła, lecz nadal nie otwierałam oczu. - Nic pani nie jest? Potrzebuje pani czegoś? - Głos naczelnika był miły, lecz brzmiało w nim zmęczenie.

- Nic mi nie jest - odparłam i usłyszałam, jak drzwi się zamykają. Dillon wrócił do mnie i po chwili znowu leżeliśmy obok siebie.

- Dotknij mnie - poprosił. - Przywróć mnie do życia. - Oczywiście, nigdy wcześniej nie dotykałam żadnego chłopca, ale doszłam do

wniosku, że to nic straszego, jeśli tylko nie będę musiała nic widzieć. - Poprowadzę twoją dłoń - dodał i wziął moje palce w rękę. To było znacznie gorętsze niż reszta jego ciała i miękkie, mięciutkie jak płatki róży. Zupełnie nie rozumiem, czemu mówi się o tym, że jest twarde jak skała. I wydawało się żyć własnym życiem, poruszać; urosło pod moją dłońią poruszającą się w górę i w dół w rytm ruchów ręki Dillona.

- Nie zrób... sobie krzywdy - powiedziałam cichutko.

- Kochanie, to nie boli - odrzekł. - Mężczyzna może znieść znacznie mocniejsze ruchy. - I nagle przestał, wciągnął gwałtownie powietrze i odsunął się ode mnie. - Chcę się z tobą kochać, moja żono. Dobrze? - Skinęłam głową, a on przetoczył się na mnie i poczułam jego jedwabiste włoski laskoczące mnie po udach. Wtedy przypomniałam sobie o czymś innym.

- Musimy użyć... no, wiesz... - powiedziałam, siadając; włosy rozsypały mi się z warkocza. - Musimy użyć gumek.

Dillon westchnął. W ciszy nocy rozległ się głos z megafonu, lecz nie potrafiłam rozróżnić słów, a potem smutny głos gwizdka. Capstryk, mruknął Dillon, skończył się czas wolny i nadeszła pora, by wracać do cel. Więc to jest więzienie, pomyślałam. Jezu Chryste. Chciałam uciec do Annie. Sięgnęłam do ręki Dillona.

- Arley - odezwał się szorstko, pocierając moją dłoń, jakby chciał zetrzeć z niej plamę. - Nie mam żadnej choroby... ani nic takiego.

- Wiem.

- W gumce nie jest już tak miło... Nie czuje się tego wszystkiego, co powinno się czuć... Chcę cię wypełnić, dziewczyno.

- Nie mogę zająć w ciążę.

- Jesteś pewna? - spytał. - W takim razie o co się martwisz?

- Chodzi mi o to, że nie mogę, nie powinnam, nie chcę. Nie teraz... nie dzisiaj.

- Jesteś już mężatką.

- Ale mam dopiero czternaście lat, Dillon. Mieszkam w domu mojej mamy i nie mam własnych pieniędzy. Nie mogę mieć dziecka, bo mama by mnie zabiła... Bez żartów.

- Nie musisz u niej mieszkać. Mogłabyś przeprowadzić się do mojej mamy... - Oboje umilkliśmy. - No, dobra... to może nie najlepszy pomysł. Ale mogłabyś przejść pod opiekę państwa.

- Tego nie zrobię.

- Dlaczego nie? Przecież jesteś tylko dzieckiem. Poza tym byłoby tak tylko do czasu, aż ja stąd wyjdę.

-Nie... nie chcę być nieletnią matką... taką, o których piszą we wszystkich magazynach. Nie ma mowy. Wyciągnął prezerwatywę z pudełeczka.

- Pozwól, że tylko raz w ciebie wejść. Raz. Na początku... żeby tym pierwszym razem to był naprawdę ja. - Położyłam się z powrotem na plecach. - Rozchył uda, kochanie. Rozchył je dla mnie. - Pocałował mnie lekko; potem to poczułam, jakby ktoś napierał na drzwi. Pchał, jak ślepiec. Dillon ujął go w rękę i popchnął. - Arley, kochanie, to może trochę zabołec. - Jego twarz była czerwona, policzek gorący tuż przy moim, lodowatym. Czerwona wstążka, którą wplotłam w warkocz, wyslizgnęła się z włosów, przedostała na ramię i jakimś cudem zaplątała w moje usta. Dillon odsunął ją, ujął w dłoń i lekko owinął wokół palca.

- Po prostu zrób to! - jęknęłam, więc zrobił; jakby przebiła mnie igła, gruba niczym nóż. Wbiłam palce w jego barki, a on sapnął, lecz potem ból się rozmył, i mięśnie mi się rozluźniły... i choć to nie było całkiem naturalne, wychodziło nam całkiem niezłe. Kocham się z facetem, pomyślałam, ja, Arley Mowbray. O, Boże.

- Zaczekałbym na ciebie, kochanie - odezwał się Dillon przez zaciśnięte zęby - ale nie mogę...

- Więc załóż go! - warknęłam. Otworzył paczuszkę zębami i nasunął kondom. Nie wyczułam żadnej różnicy, oprócz tego, że jego ruchy stały się bardziej zdecydowane, jakby sprawa nagle zrobiła się bardzo poważna. Cały był spocony, chłodny, niczym po deszczu, sapał i wyginał się nade mną, prawie tak, jakby mnie nie zauważał. Potem strzepał kropelki z włosów i spojrzał na mnie.

- Zapisiał numer pioruna, który we mnie rąbnał? - zapytał; potem wstał. Wyglądał tak, jakby przed chwilą stoczył bójkę. - Arley, Arley, Arley - szepnął. - Teraz jesteś moja. - Ja także zaczęłam się podnosić, lecz popchnął mnie delikatnie z powrotem na plecy i raz jeszcze przeczesał włosy palcami, aż zaczęły mu śmiesznie sterczeć na głowie. -Miałem cię, lecz jeszcze z tobą nie skończyłem. Poszedł po papierosa, zapalił go, a potem zaczął głaskać mnie po brzuchu i znowu to zrobiliśmy.

Później musiałam skorzystać z łazienki; znajdowała się w niej toaleta i zlew oraz trochę papierowych ręczników; oddzielona była od reszty pomieszczenia przepierzeniem, które nie sięgało nawet sufitu. Prawdopodobnie strażnicy zakładali, że jeżeli się z kimś kochasz, to możesz też swobodnie przy nim siusiać, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić przy Dillonie, żeby nie zapaść się pod ziemię ze wstydu.

- Muszę iść do łazienki - powiedziałam. - Czy nie mógłbyś wyjść na zewnątrz i poczekać? Strasznie się wstydzę.

- Kochanie, jesteśmy tu zamknięci - odrzekł i roześmiał się głośno. - Myślisz, że chcieliby, żebym stąd wyszedł razem z tobą i tak po prostu złapał autobus do Laredo? - Oczywiście, miał rację. - Nie będę zwracać na ciebie uwagi... rozumiem. Tutaj musisz korzystać z toalety przy otwartych kratkach w celi... tu ludzie nie myślą o zachowaniu prywatności. Ale wiesz co? Zrobię głośniej radio i nie będziesz się musiała wstydzić.

Naciągnęłam bluzkę i wstałam, nawet jej nie zapinając... i wtedy zobaczyłam krew. Nie odrobinę, jak mówiły Annie i Elena, ale całą mapę Argentyny zrobioną z jezierek i strumyczków krwi.

- Dillon - jęknęłam słabo. - Tylko spójrz...

- Och, na rany koguta! - odrzekł. - Cholera. Przyniosłaś coś ze sobą?

- O co ci chodzi? Niby co? Transfuzję?

- Nie... na przykład chusteczki?

- Właściwie... tak. - Przypomniałam sobie paczuszkę Annie. - Ale...

Przeszedł do łazienki i wrócił z wilgotną szmatką, ciepłą wodą i kazał mi się położyć. Umył mnie delikatnie, a potem podkręcił radio dostatecznie głośno, bym mogła się spokojnie wysiusiać. Krwawiłam tylko troszkę i niedługo. Zjedliśmy chipsy i śpiewaliśmy część piosenek, które leciały w radiu; potem przyszedł do nas na kontrolę jeden ze strażników, a ja włożyłam moją koszulkę nocną od Annie i obróciłam się w niej kilka razy, podczas gdy Dillon palił papierosa i klaska! w dłonie. Usiadłam po turecku na łóżku i przeczytałam mu cały poemat o „Wędrowcu”, powtarzając fragmenty, które znałam na pamięć. Pod koniec tego też zaczął mi bić brawo.

- Moja żona poetka - powiedział. - Ale to nie jest nawet w połowie tak dobre, jak twoje wiersze, Arley.

- Jest znacznie lepsze. To napisał sławny poeta...

- Arley, posłuchaj. Ty piszesz jak osoba dorosła. Nie żartuję. Znam się na tych rzeczach, Arley. Dużo czytałem, na długo, zanim się poznaliśmy, i wiem, co mówię. Powinnaś iść do college'u i studiować, a potem zostać słynną pisarką.

- Ty też mógłbyś.

- Ja chyba jednak skończę tylko na twardej szkole życia, dziewczyno.

- Wcale nie... nie musi tak być.

- Może i nie, dziecinko.

Wyglądał na strasznie smutnego, wstałam z łóżka i usiadłam mu na kolanach; zdjęłam koszulkę i rozpięłam mu koszulę, i przez długi czas

siedzieliśmy przytuleni do siebie; jego sutki były tak samo nabrzmiałe jak moje, a pierś gładka i bezwłosa, choć twarda od mięśni. Jego skóra była jasna, nieomal złota, podczas gdy moja miała ciemny, prawie brązowy kolor. Wyglądaliśmy razem kontrastowo i bardzo ładnie. Podobno kobiety uwielbiają mocno owłosionych mężczyzn, lecz mnie podobała się gładka skóra Dillona. Erick obrasta futrem na piersi jak jakieś zwierzę - co prawda nigdy nie widziałam go nagiego, lecz nawet spod koszulki czasem wystają mu rudawe kłaczki, a gdy przytulisz się do niego, słysząc, jak ocierają się o koszulę. Nie chodzi nawet o to, że nie uważam tego za nieatrakcyjne, ale gdy przyglądałam się mężczyznom w czasopiśmie i magazynach, to zawsze mój wzrok przyciągają ci gładcy i zastanawiam się, jak by to było się do nich przytulić. Nawet wiele miesięcy później, gdy wspomnienie tamtej nocy już tylko przypominało koszmar, nadal rumieniłam się na myśl o tym, co wtedy robiłam. Ale wciąż mnie to podnieca tak bardzo, że gdyby nie ogromny brzuch, jaki przecież wtedy miałam, chętnie przetoczyłabym się na własną rękę i pieściła, aż zasnęłabym cała splakana.

Uniosłam się, jakbym siedziała na koniu i ująwszy go w rękę, wsadziłam go sobie do środka... czułam jak rośnie i twardnieje, aż wreszcie trochę mnie to przeraziło. Nadal byłam cała obolała, lecz już po chwili ból zniknął... wiedziałam, że nie mogę przerywać, bo umrę. Od czasu do czasu Dillon zaczynał się poruszać coraz szybciej i miłe uczucie mijało, jak ręką odjął. W końcu się rozszłościłam.

- Zaczekaj! - powiedziałam. - Po prostu się nie ruszaj, okay?

I balansując na długich nogach, o mięśniach wyrobionych od wielu lat biegania przez płotki, unosiłam się na nim i opadałam... aż doszło do takiego momentu, w którym nic by mnie nie obchodziło, gdyby strażnik wszedł do środka i wziął sobie colę z lodówki. Nawet wtedy bym nie przestała.

- Weź kondom! - sapnęłam. - Załóż go!

- Arley, kochaliśmy się już dwa razy! Nie miałbym siły zrobić ci nawet kurczaka, a co dopiero dziecka!

- Mimo wszystko załóż go! - odrzekłam. - Annie powiedziała, że musimy ich używać.

- Annie - warknął z obrzydzeniem i w ogóle przestał się ruszać. - Annie nie jest twoim mężem!

- Daj spokój, Dillon - jęknęłam, chcąc, by wróciło miłe uczucie. -No, proszę...

Ale on w odpowiedzi złapał mnie za biodra i zaczął przyciągać do siebie w powolnym rytmie; cały czas patrzył mi w oczy, a usta miał

mocno zaciśnięte, jakby był na mnie zły. Wychodził ze mnie na tak długo, że bałam się, iż więcej nie wróci, lecz wtedy zagłębiał się z powrotem znowu na strasznie długo. Wiedziałam, że powinnam go powstrzymać, lecz już wkrótce zupełnie nie miałam siły. Ciepło rozchodzące się z mego krocza, gorąco przenikające każdy nerw ciała były tym, na czym mi zależało. Zapomniałam o rozsądku, i tylko zacisnęłam ręce na barkach Dillona, wbiłam zęby w jego ramię i walczyłam o oddech, powtarzając „Proszę, błagam, błagam...”, dopóki nie poczułam serca podskakującego mi niemal do gardła i dopóki głowa nie opadła mi na jego ramię, moje długie włosy rozsypały się dokoła nas, niczym płaszcz.

Niestety musieliśmy się obudzić następnego ranka; chciałam umyć zęby, lecz nie miałam czym. Dillon wyglądał okropnie, jak stary człowiek, gdy włożył pomięty podkoszulek, który znaleźliśmy pod kanapą. Jego oczy miały szalony wyraz, jak oczy bohatera „Wędrowca”.

- Opuścisz mnie - powtarzał.

- Nigdy cię nie opuszczę - odpowiadałam raz po raz, aż wstało słońce i rozświetliło wnętrze starej, brzydkiej przyczepy, która jeszcze poprzedniego wieczora wydawała się taka miła, schludna i ciepła. Wreszcie z powrotem włożyłam spódnice, na szczęście krew nie zaczęła mi znowu lecieć i nie poplamiała ubrania. Potem przyszedł po mnie naczelnik Southwynn, lecz nie chciałam wyjść i zaczęłam płakać, a gdy zjawił się strażnik, by zakuć Dillona w kajdany, rozryczałam się jeszcze głośniej. Ledwie byłam w stanie się do niego przytulić i pocałować go na do widzenia; naczelnik w końcu się zirytował i poszedł po Annie. Przyniosła z samochodu koc i okryła mnie nim, tak że gdy wracałam między budynkami, a więźniowie przyglądali mi się z posepnymi uśmiechami, przykryta byłam aż po czubki butów. Annie szła tuż obok i w tamtej chwili wydawała się większa od Dillona, większa od strażników, większa nawet od samego więzienia; przeprowadziła mnie przez korytarz, przez bramę i wsadziła do samochodu, gdzie położyłam się na tylnym siedzeniu i zasnęłam. Przespałam skulona całą drogę do domu, budziłam się tylko od czasu do czasu, widziałam tył głowy Annie przede mną i zastanawiałam się, czemu czuję moje serce bijące gdzieś na dnie żołądka.

Dźwięk dzwonów

Zawsze będę pamiętać naszą pierwszą noc gdy byliśmy razem; ty zarumieniona i nieśmiała a ja wiedzący, co robić, lecz też przestraszony, bo jesteś pierwszą, którą pokochałem.

*Przekazaliśmy sobie swą samotność,
wypełniliśmy pustkę w życiu
i ciemne zakątki tego miejsca radością.
Widząc cię nagą, poczułem czułość zalewającą mi serce.
Myślę o twoich szczupłych, wyprostowanych plecach silnych nogach i widzę twe
włosy na poduszce, widzę twoje ciemne oczy i wypowiadam imię. Arlington. Jest jak
dźwięk dzwonów w kościele.
Dillon Thomas LeGrande*

Pole miłości

*Myślałam, że miłość to coś wielkiego jasność nie do pojęcia, jak narecze
eksplodujących fajerwerków. Teraz
wiem, że miłość to małe cuda. Złote włoski na twych przedramionach i nieco
ochryply głos,
kiedy wypowiadasz moje imię,
twój kciuk na mojej szyi i pierwszy dzień,
gdy obudziliśmy się razem, nie dotykając się, lecz wiedząc.
Arlington Mowbray LeGrande*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ANNIE

Zawsze uwielbiałam w Stuarcie jego bojowość; całe życie uważał się za twardego faceta; chyba dlatego też został prawnikiem i starał się zwalczyć karę śmierci. W końcu czy można wymarzyć sobie potężniejszego przeciwnika niż sama Śmierć? Jest potężniejsza od rasizmu, od kłamstwa; jest największym z potencjalnych przeciwników, którego pokonanie może dostarczyć satysfakcji facetowi z Hoboken mającemu zaledwie pięć stóp i dziewięć cali. Ale dla Stuarta nawet nie to było najważniejsze. Nie szczędził najróżniejszych przykrych uwag pod adresem nieletnich matek, które były moimi klientkami - powtarzając na przykład, że tego typu usługi powinny być odpłatne oraz że większość dziewcząt sama sobie zasłużyła na los, jaki je spotkał - lecz jednocześnie zawsze potrafił znaleźć w sobie iskrę sympatii i współczucia dla najgorszych zbrodniarzy przesiadujących w celach śmierci. Powtarzał, że nikt nie staje się takim z własnego wyboru; że nikt nie wybiera bycia złym. Ojciec tego dzieciaka Talleya zginął w Wietnamie, matkę zatłukł na śmierć na jego oczach jej kochanek, który trudnił się rozprowadzaniem narkotyków. Kim McGory miał pięć lat, gdy babka zamknęła go w szopie i tej samej nocy dostała wylewu; policjanci znaleźli dziecko dopiero po czterech dniach. - Widzicie? - pytał Stuart nawet mało znanych mu ludzi. - Widzicie, o co mi chodzi? Potrafił zrozumieć obywateli popierających karę śmierci jako abstrakt - ale w odniesieniu do jednostki? Do kogoś, kogo się zna? Jak można? Litość, ból i wściekłość były zbyt wielkie. Nie postrzegał tej sprawy nawet jako sporu między konserwatystami a republikanami, lecz między tym, co ludzkie, a co nieludzkie. Stuart uprawiał sport z większym zacięciem niż umiejętnościami i pilnie śledził ważniejsze wydarzenia sportowe w kraju. Jednak tak naprawdę zależało mu tylko na pracy, to był jego Mundial, U.S. Open, World's Cup.

W walentynkową noc, jeden z naszych ostatnich wspaniałych wieczorów spędzonych razem, Stuart po raz kolejny opowiadał mi wstrząsającą historię o Trevorze Bentleyu, który przez trzy dni z rzędu wyjadał dzieciom w szkole kanapki, dopóki pewnego dnia Stuart nie postanowił położyć temu kresu.

Właśnie znajdował się w szczytowym punkcie opowieści, kiedy to mały Stuart stawia czoło potężnemu zabijace - który przez lata urósł do wielkości Złego Joe Greena - w walce przypominającej bójki rodem z Dzikiego Zachodu. Kiedy o niej opowiadał, odegrałam moją zwyczajową rolę, drażniąc się z nim, dopóki nieomal wpadł w złość.

- To pewnie moja wina, Stuarcie, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić gangstera o imieniu Trevor - wtrąciłam, wykorzystując jego nieuwagę i pozbawiając go szansy zjedzenia ostatnich moreli z talerza pełnego wołowiny w słodkim chińskim sosie.

- Anne, przecież cię tam nie było - odpowiedział. Potem wyrzucił w powietrze swoje pałeczki i złapał je jedną ręką, szczerząc zęby w triumfalnym uśmiechu. Każde z nas miało własne pałeczki i Stuart zawsze się dąsał, gdy używałam jego, które, jak twierdził, były idealnie wyważone do rzucania. Naprawdę ćwiczył chwytanie ich jedną ręką, by zabawiać naszych znajomych. - A jego brat bliźniak był jeszcze paskudniejszy... jadał surowe mięso baranie.

- A jak się nazywał? Grace?

- Nie... Tristram - odparł Stuart, bardzo cicho. -Aha!

- Annie, dla twojej wiadomości, Tristram był jednym z rycerzy Okrągłego Stołu...

- Podobnie jak Parsifal...

- To właśnie Tristram stłukł mnie później na kwaśne jabłko.

- Stuarcie, tego nigdy mi do tej pory nie opowiadałeś! I wtedy zadzwonił telefon. Powiedziałam, żeby nie odbierał; byłam pewna, że to jakieś pilne zlecenie, które nas rozdzieli; oddalony wniosek o odroczenie wyroku czy nowe dowody w sprawie. Okazało się, że znacznie gorzej. Gdy Stuart wrócił na taras, wyglądał, jakby mu przybyło dziesięć lat.

- Co się stało? - zapytałam. - Kto umarł?

- Tekszańskie Centrum Obrony - odpowiedział cicho.

Mike Akers, szef Stuarda, weteran po fachu, miał tak wysokie notowania u mediów i milionerów z Teksasu, że założył Centrum, które doskonale funkcjonowało przez ostatnie pięć lat.

Teraz staruszek już nie żył i zanim trawa zdążyła porosnąć jego grób, wdowa po nim ukróciła całą sprawę. Gwiazda Broadwayu, znana z dobroczynności i wspierania kampanii przeciwko AIDS, powiedziała, że Centrum może pracować najwyżej do końca roku, najprawdopodobniej nawet i nie to.

Usiadłam Stuartowi na kolanach, a on zaczął się bawić moimi włosami.

Wiedzieliśmy, że ta chwila kiedyś nadejdzie; prawnicy zajmujący się sprawami więźniów skazanych na śmierć musieli - walizki na kółkach - być w ciągłym ruchu. Wielu z nich zajmowało się jednocześnie kilkoma sprawami w paru stanach; obecnie nowe możliwości dla tego typu pracoholików otwierały się na Florydzie, gdzie - jak powiedział Stuartowi jeden z dawnych kolegów - panowała „łagodna doktryna państwa policyjnego”.

Tamtego wieczora zupełnie nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Szalone pomysły przebiegały mi przez głowę: moglibyśmy... otworzyć prywatną praktykę. Stuart mógłby zacząć pracować jako obrońca z urzędu. Mógłby zostać wysokiej klasy obrońcą w sprawach kryminalnych, a niektóre firmy lubiły się chlubić dobrze rozegranymi sprawami *pro publico bono*. Jednak najprawdopodobniej będziemy musieli się przeprowadzić, będę musiała sprzedać dom.

Jeżeli mieliśmy zostać razem.

Kiedy Stuart zaproponował, abyśmy przeszli się - jak to ujął - „do twojej dzielnicy” i odwiedzili klinikę, zgodziłam się z ulgą. Niektóre nerwy związane jak postronki nie rozplączą się bez dawki tequili. W samochodzie zrobiliśmy coś, czego nie robiliśmy od lat - trzymaliśmy się za ręce, a po jakimś czasie Stuart przyciągnął mnie bliżej, by móc mnie objąć.

W Amor Ausente roilo się od turystów, którzy uciekli z północy na wakacje, a przy stolikach siedziały głównie parki. W końcu dziś były Walentynki. Przez nowiny Stuarta zupełnie o tym zapomniałam - Święto Zakochanych. Odkąd Charley opowiedział nam historię nazwy lokalu, wypatrywałam melancholijnego właściciela i w końcu zauważyłam go siedzącego przy oknie, głuchego na gwar głosów i brzęk sztucców, wpatzonego w okno wychodzące na autostradę Kings, jakby spodziewał się zobaczyć tam upadłą damę wracającą do niego na ognistym rumaku. Luis znalazł nam stolik pod parasolem na dworze i przyniósł margarity, podczas gdy my zabawialiśmy się wymyślaniem historyjek o pozostałych klientach. Radziliśmy sobie naprawdę nieźle.

- A oni - powiedział Stuart *sotto voce*, kiwając głową w stronę dobrze ubranej pary pod pięćdziesiątkę, zajętej wojowniczo prowadzoną rozmową - oni są zadurzonymi w sobie kochankami, którzy nie... ba-

raszkowali ze sobą... od, powiedzmy, pół roku. On jest żonaty... lecz jego żona od dawna już jeździ na wózku inwalidzkim...

- Stuart!

- No, cóż... a ona to Kobieta Numer Dwa, o której od tej pory będziemy mówić jako o Tej Drugiej, właśnie się dowiedziała, że Małżeństwo Numer Jeden kupiło domek na Cape Cod i że jadą tam jutro, by spędzić weekend z wnukami...

- I czyż nie jest to jeszcze jedna z tych rzeczy, które warto byłoby przedyskutować przed podjęciem zobowiązań? Poza tym, jak on może znieść tak długą rozłąkę z nią?

- I dlaczego ona nie rozumie, że to wszystko stanowi tylko część planu, kochanie?

Zonie spodoba się domek na wschodzie tak bardzo, że zamieszka tam przez większą część roku, dzięki czemu oni będą mieć tu więcej czasu dla siebie...

- Czasu dla siebie? Do tej pory powinni byli się już dawno pobrać! Co najmniej z pięć lat temu!

- Tylko teraz nie zaczynaj! Przecież wiesz, czym się zajmuję! Ona chce mnie zrujnować, a teraz ty także tego pragniesz. Zejdę z tego świata przed sześćdziesiątką...

- Okay, okay - przerwałam. - Wystarczy tego dobrego.

Ale nawet ta chwila niewinnej gry rozgrzała nas oboje. Większość ludzi, których widywaliśmy, nie wyglądała na tak szczęśliwych... tak zżytych z sobą... jak my, mimo dziesięciu lat wspólnego mieszkania. Może nawet nigdy tak nie wyglądali? My po prostu więcej się razem śmieliśmy. I to wszystko.

- Przejdźmy się - zaproponował Stuart, gdy już zjedliśmy to, co leżało na talerzach. - Ludzi tu dziś pełno jak mrówek w mrowisku. - Skinął na kelnera, prosząc o rachunek.

- Każdy przyszedł tu z ukochaną osobą,

- Taa... Ci goście prawdopodobnie nie zaprosili żon na kolację od tego samego dnia w zeszłym roku...

- Ale jeżeli nie zaprosiliby jej w Walentynki, słuchaliby o tym przez następny rok...

- Czy ja zaprosiłem cię gdziekolwiek rok temu? Roześmieliśmy się oboje.

- Nie pamiętam!

Jakaś para minęła nas w pośpiechu; mężczyzna wygrzebywał z kieszeni kluczyki.

- Ci już nie mogą się doczekać, kiedy znajdą się w łóżku... - mruknął Stuart. -

Ciekawe... jego czy jej? Które bliżej...

- Nie - odparłam. - Oni są dobrymi rodzicami. Muszą zdążyć do domu, zanim opiekunka do dziecka się zmyje...

- Cóż za nuda! Wyobraź sobie, musisz wracać do domu o określonej porze!

- Wcale nie myślałam o tym w ten sposób - odparłam i nagle zdałam sobie sprawę, że mówię poważnie.

- To o co ci chodzi? - Był zdezorientowany.

- Ja tylko... zawsze myślisz o wszystkim z takiej pozycji, jakbyś wciąż był dzieckiem, a nie osobą dorosłą.

- Annie, ty chyba oszalałaś.

- Nie, naprawdę tak jest. Identyfikujesz się z dziećmi.

- A ty może nie?

- Nie. Ja widzę... prawdopodobieństwo zatrudnienia opiekunki raz na jakiś czas. Od dwudziestu lat wychodzę wieczorami na kolację i drinka, wiesz?

- Więc wyobrażasz sobie siebie siedzącą w domu i bujającą dziecko w kołysce? Albo pomagając Juniorowi w odrabianiu lekcji...?

- No, tak. Czasami.

- Annie, zanudziłabyś się na śmierć w ciągu dwóch tygodni.

- Niekoniecznie.

- Dzwoniłabyś do Patty, żeby znalazła ci jakąś robotę...

- Nie, nieprawda...

- Oglądałabyś relacje z rozpraw sądowych w telewizji i gadałabyś do ekranu...

- Przestań!

- No, cóż... Anne. Uważam, że zbyt romantycznie podchodzisz do życia.

- A ja uważam, że to raczej twoja działka, kochanie - odparłam, myśląc o łzach w jego oczach, gdy dowiedział się, że Kim McGory usiłował popełnić samobójstwo. - Po prostu wzruszają nas inne rzeczy. Stuart uśmiechnął się, lecz widziałam zmęczenie na jego twarzy.

- Wiesz co? Pewnie masz rację.

Przez chwilę staliśmy na chodniku przed Amor Ausente, wsłuchując się w szum fontanny na dziedzińcu restauracji. Wysoka kolumna, mająca jakieś osiem stóp, wypływała wodę na szereg mis w kształcie muszli, te znajdujące się najniżej były większe i grubsze od reszty. Spadająca woda wydawała odgłosy w różnej tonacji, przypominające muzykę.

- To Charley ją zbudował - wyjaśniłam Stuartowi.

- Charley-stolarz? - spytał. - Wydawało mi się, że to facet głównie od brudnej roboty...

- Nie, jest też architektem zieleni, i przestrzeni...
- I w ogóle fajnym facetem, co?
- Chciałabym rzucić monetę i pomyśleć sobie życzenie - rzekłam ni stąd, ni zowąd. - Obawiam się tylko, że nie mam w torebce ani jednego miedziaka. Dasz mi centa? Sięgnąwszy do kieszeni, podał mi błyszczącą monetę, którą uniosłam wysoko, po czym wrzuciłam do jednej z muszli fontanny. Przez dłuższą chwilę stałam tam z mocno zaciśniętymi powiekami i dłońmi zwiniętymi w pięści.
- O co chodzi? - zapytał Stuart.
- Myślę sobie życzenie.
- Wygląda to na bolesny proces - odparł.
- Już prawie skończyłam... - powiedziałam, życząc sobie w myślach, raz za razem... szczęścia rodzinnego. Doszłam do wniosku, że to pokryłoby wszystkie moje pomniejsze życzenia. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że Stuart potrząsa głową i szczerzy zęby w uśmiechu.
- Jesteś stuknięta - powiedział. - Chodź, sprawdzimy, czy Pani Śmierć siedzi na twoim ganku.

W rzeczy samej, w oknie jednego z pokoi przy Azalea Road 4040 paliło się światło. Charleya już nie było, lecz na moją prośbę zostawiał co noc zapalone światło w jednym z pokoi na górze. Chciałam, żeby mój dom jak najszybciej zaczął wyglądać na zamieszany. W ciszy zmierzchu prezentował się znakomicie, a delikatna firanka wymykająca się z okna mej sypialni jakby zapraszała nas do środka. Pomyślałam wtedy, że ten dom i ja stanowimy parę... osiągnęłam wiek, w którym światło na ganku staje się najlepszym przyjacielem. Wraz ze Stuartem oparliśmy się o płot i opowiedziałam mu o postępach w remoncie z zeszłego tygodnia: jeszcze trochę i instalacja wodna oraz elektryczna będą na miejscach i mój dom osiągnie poziom prymitywnej stacji harcerskiej. Charley obiecał, że z początkiem wiosny zacznie sadzić roślinki w ogrodzie. Powiedział, że posadzi u mnie sadzonki wszystkich roślinek z ogrodów znajdujących się pod jego opieką. Symfonia dla moich uszu - wreszcie za coś nie będę musiała płacić.

- Oj, Stuarcie - powiedziałam, wskazując na portyki nad oknami. - To jest moje wiano, moja bezpieczna starość... wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam. Mój własny mały kawałek świata.

- Annie - odparł mi wtedy - mam dla ciebie prezent.

Wyciągnął z kieszeni niedużą, owalną paczkę, wyglądającą jak kieszonkowe lusterko albo puderniczka. Na górze, pod szklaną kopułką, znajdowała się kościana madonna, odziana w mchowe łachmany i trzy-

mająca na ręku mały szkielecik. U jej nóg wiły się maciupieńkie kwiatuszki.

- Och, Stuarcie... - szepnęłam z niedowierzaniem, zachwycona.

- Tak naprawdę, to jest chore, Annie - odparł radośnie. - Więc pomyślałem, że ci się spodoba...

- Jest śliczne, piękne, cudowne... nie mogę uwierzyć, że mi ją dałeś...

- Co? Nie spodziewałaś się, że taki ze mnie sentymentalny facet?

- Przecież tobie się to nie podoba. Stuarcie, nie powinno się dawać ludziom rzeczy, o których uważa się... że nie są dla nich odpowiednie.

- No, cóż... - odrzekł po dłuższej przerwie. - Więc prawdopodobnie powinienem dać ci jeszcze to.

Nie był to diament, lecz perła osadzona w dołeczku pomiędzy dwoma arabskimi skrzydłami ze złota.

- To pierścionek zaręczynowy, Annie - dodał Stuart. - Poza tym mamy Walentynki, nie myśl, że o tym zapomniałem. Niech to będzie dzień, w którym się zaręczyłaś. To nie jest pierścionek zaręczynowy podobny do jakiegokolwiek innego, bo ty jesteś zupełnie inna niż wszystkie znane mi kobiety. Chcę, byśmy się zaręczyli, ale to nie będą zaręczyny podobne do wszystkich innych, bo od dziesięciu lat w oczach społeczeństwa, jak się to mówi, żyjemy jak mąż i żona. Chciałbym także, żeby okres narzeczeństwa był tak krótki, jak to tylko możliwe. Na przykład, żeby potrwał do weekendu.

- Jest cudowny... wspomniały - powiedziałam z pełnym przekonaniem, unosząc dłoń i przyglądając się światłu księżyca prześlizgującemu się po powierzchni perły. - Czy to prawdziwa perła?

- O, Jezu, Anne.

- Nie, to nie tak... Chodziło mi o... no... wiesz...

- Tak, jest to prawdziwa perła. Prosto z Teksasu.

- Jest prześliczny. Strasznie mi się podoba i kocham cię za to, że mi go dałeś. Ale, Stuarcie, czy naprawdę teraz jest odpowiednia pora? Nie wliczaliśmy w to zmiany pracy i tej starej przeciekającej nory...

- Oj, Anne... - Stuart wsadził ręce do kieszeni spodni i zapatrzył się w granatowe niego nad naszymi głowami i na niesamowity kształt czubka drzewa rosnącego tuż przed gankiem. - Żyjemy w Teksasie... Mamy tu dom. - Objęłam go za szyję, zanim zdążyłam się nad tym zastanowić. - Zawsze mogę znaleźć sobie jakąś pracę na państwowej posiadzi. A jeżeli to nie wyjdzie, pewnie zdołamy jakoś opchnąć tę chałupę... - Serce podskoczyło mi w piersi. - Albo mógłbym otworzyć prywatną praktykę; mamy mnóstwo możliwości.

- Taak, tylko że ty ich wcale nie chcesz. Chcesz tego, co robisz w tej chwili. Przygryzł dolną wargę.
- To prawda... Ale kocham cię, Anne.
- A jeżeli chodzi o małżeństwo, to co z...
- Nie martw się, już wszystko sprawdziłem. Przeprowadziłem naprawdę dokładne dochodzenie... i ogólnie rzecz biorąc, to jest bardzo proste. Ja mówię „tak”, a potem ty także mówisz „tak”, nawet jeżeli masz kupę wątpliwości, i już po wszystkim.
- Tak - szepnęłam z ustami tuż przy jego szyi. Był taki słodki; pachniał Lilac Vegetal, i był to dla mnie równie znajomy zapach, jak Opium Rachie, który dobiegał z każdego kąta i szafy w jej domu. - Naprawdę tego chcę.
- Ale chciałaś powiedzieć, „...to co z dzieckiem?”, nieprawdaż?
- No, cóż... nie zmieniłam zdania. To znaczy, kochanie, jeszcze się na sto procent nie zdecydowałam. Bardzo możliwe, że będę chciała mieć dziecko. Właściwie jest to wysoce prawdopodobne.
- No i?
- Stuart?
- No to będziemy mieli dziecko.
- Mówisz poważnie?
- Posłuchaj, Annie. Ja wcale nie żartuję, jeśli tego się obawiasz. Nie sędzę, by był ze mnie w przyszłości idealny ojciec, nie wiem, czy chcę mieć dziecko ani czy będę w stanie je spłodzić. Ale nie zamierzam równocześnie liczyć na to, że po zawarciu małżeństwa moje niewątpliwe uroki osobiste tak cię zaślepią, że nie będziesz chciała dzielić życia z nikim, oprócz mojej skromnej osoby. Choć właśnie tego bym pragnął.
- To nie brzmi zbyt obiecująco, Stuarcie.
- No, cóż... przecież nie dałaś mi dokończyć. Ale z drugiej strony, nigdy mi nie dajesz.
- Przepraszam.
- Chciałem powiedzieć, że nie jestem przekonany, czy kiedykolwiek będę gotowy, lecz jeżeli mam być gotowy, to tylko teraz i tylko z tobą.
- Stuarcie...
- Bo chcę być twoim mężem znacznie bardziej, niż nie chcę być ojcem. Poza tym wcale nie jest tak, że nie chcę być ojcem. Jestem pewien, że wspólnie stworzylibyśmy wcale słodkiego potomka.
- Ale ja nie jestem tego pewna - odparłam. - Przecież wiesz, że czasem ryzykowaliśmy i nic się nie stało...

- Słonko, co ty wiesz o ryzyku... Pomyśl tylko o ryzyku, jakie ja podejmuję, zeniąc się z tobą.
 - Stuarcie, mów poważnie.
 - Mówię poważnie, Anne. Ciało ma też głowę, wiesz? Tak naprawdę do tej pory wcale nie próbowaliśmy zrobić dziecka. Wydaje mi się, że ty tego chcesz...
 - Jasne, Stuarcie. Jak ci wszyscy ludzie w Ruandzie i Biafrze...
 - No, cóż... sam nie wiem. Jezu, Anne, nie stawiaj mnie w pozycji, w której mam cię nakłaniać do czegoś, czego sam nie pragnę...
 - Powiedziałaś, że wcale nie jest tak, że nie chcesz. Powiedziałaś, że tylko nie jesteś pewny!
 - Ale ty też nie jesteś pewna, czy chcesz mieć dziecko. Zdaje się więc, że płyniemy na tej samej łodzi.
- Wiedziałam, że to nie jest prawda. Nie do końca.
- Masz klucz do tego okropieństwa? - spytał nagle Stuart, polerując rękawem koszuli mosiężną tabliczkę z numerem 4040, wpasowaną w żelazną bramkę.
 - Pewnie - odparłam, a on... przeniósł mnie przez próg.
 - O mój Boże - powiedział, rozglądając się dokoła, gdy już postawił mnie na podłodze. - A gdzie się podziała Morticia? I Lurch?*
 - I tak jest znacznie lepiej, niż kiedy ostatnio tu byłeś.
 - No, cóż... przynajmniej na noc wyniosły się nietoperze. Westchnęłam. Faktycznie gnieździły się tu nietoperze, lecz gdybym powiedziała o tym Stuartowi, z całą pewnością popsułoby to nastrój... który z minuty na minutę zaczynał być coraz bardziej romantyczny i erotyczny. Za każdym razem, gdy dotykaliśmy się przypadkowo - ocierając biodrami czy ramionami podczas oglądania korytarza - rosło w nas napięcie, fizyczna potrzeba.
 - Chodź, zerknij na to - powiedziałam, prowadząc go do biblioteki, gdzie Charley rozłożył gruby materiał na podłodze, by nie zachlapać podłogi; zaczął już odrestaurowywać sufit pokryty gwiazdami. Wyciągnąwszy rękę, pokazałam Stuartowi wiernie odtworzone konstelacje, zaczynające się już u brzoza kopułowato sklepionego sufitu.
 - Anne - odezwał się po chwili, tłumiąc śmiech. - Ty świecisz w ciemnościach. W małym lustrze w łazience zobaczyłam, o co mu chodzi. Moje włosy, a nawet brwi i rzęsy, upstrzone były złotym pyłem, który musiał opaść z sufitu.
- * **Morticia i Lurch - członkowie upiornej Rodziny Addamsów, bohaterów komiksów i filmów dla dzieci (przyp. tłum.).**

- Zdaje się, że Charley jeszcze tu nie skończył... - mruknęłam.

- Mnie się podoba. Powinnaś co dzień tak wyglądać... pasuje do tego domu.

Pocałował mnie w kark, a potem wsunął ręce pod sweter i jednym, wyćwiczonym ruchem rozpiął stanik. Pieścił moje piersi dłońmi, wzmacniając nacisk, dopóki nie zaczęłam lekko sapać. Oparłam się o zlew, czując napór jego ud, a on ściągnął mi sweter i nadal ssał i pieścił mój kark i ramiona. Przytuliłam się, czując potrzebę jak najbliższego kontaktu cielesnego.

- Chcę, żebyśmy byli nadzy - mruknęłam. - Chodźmy do łóżka.

- Przecież nie masz tu łóżka, Anne.

- No, więc zrobmy to tutaj. Teraz.

Rozpięłam dzinsy i pozwoliłam im upaść na podłogę; jednocześnie słyszałam, jak Stuart mocuje się z własnym ubraniem. Sięgnął do przodu, by mnie pieścić, lecz odepchnęłam jego ręce.

- Jestem gotowa - sapnęłam. - Chodź... jestem gotowa...

Kiedy się tak kochaliśmy na stojąco, obserwowałam w lustrze swoją twarz; patrzyłam, jak moje usta się rozchylają i nabrzmiewają, i jak złote plamki na włosach i twarzy błyszczą w świetle wpadającym z pokoju. Twarz i głowa Stuarta były za mną ukryte w cieniu. W przyćmionym lustrze sama sobie wydawałam się duchem, wraz z moim eterycznym kochankiem. Ruchy Stuarta stały się mocniejsze, bardziej rytmiczne... pomyślałam przez chwilę, że mogłabym poczekać, ale zaszłam już zbyt daleko i gwałtownie łapiąc powietrze, oparłam się ciężko o niego. Chwilę później Stuart złapał mnie za ramiona... i gwałtownie odsunął się ode mnie, wytryskując dziwnie gorącą strugą na moje chłodne plecy.

- Co? - zapytałam. - Co się stało? Co było nie tak?

- Przepraszam... siła przyzwyczajenia - odparł, z trudem łapiąc oddech. -

Przypomniałem sobie, że nic nie użyliśmy...

- Och, Stuarcie! - krzyknęłam, nagle strasznie zła. - Dopiero co postanowiliśmy się pobrać; czy te kilka miesięcy naprawdę ma aż takie znaczenie...?

Wściekła wyszłam, zostawiając go w ciemnej łazience ze spuszczoneymi spodniami.

- Zaczekaj, kochanie! - Ruszył za mną do biblioteki i zwinął się przy mnie, gdy położyłam się na stercie szmatostawionej przez Charleya. Zauważyłam też przykryty gramofon stojący w kącie i przypomniałam sobie nasz taniec w Wigilię. - Ale przecież nie postanowiliśmy mieć dziecka tak od razu, Annie. Nie dzisiaj. - Ton jego głosu działał mi na nerwy.

- No, cóż... prawdopodobnie i tak nie zaszłabym w ciążę. Najprawdopodobniej jestem już od dawna bezpłodna.
- W takim razie nie będziemy mieć dziecka, albo adoptujemy jakiegoś.
- Po tym, jak dopiero co kochałeś się ze -mną jak jakiś niedoświadczony studenciak, powinieneś mnie pocieszać, a nie myśleć logicznie, Stuarcie.
- Okay - odrzekł. - Powiem ci coś naprawdę pocieszającego. Przepraszam. - Milczałam. - Okay? - nalegał. - Czy mam wypowiedzieć trzy najpiękniejsze słowa w języku angielskim?
- Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.
- Nie miałem racji.
- Okay, okay. - Skinęłam głową, - Nie ma sprawy.
- Wiesz, kiedy kupowałem ten pierścionek... zastanawiałem się, czy nie jest już za późno?
- Za późno?
- No, co będzie, jeżeli powiesz „nie”?
- Oj, daj spokój...
- Nie, Anne, właśnie o to mi chodzi. Nigdy nie uważałem tego za pewnik. Mam szczęście, Annie... mam cholerne szczęście.
- Nie ty jeden.
- Co takiego? - Stuart nagle się wyprostował i przeczesał włosy palcami. - A przez cały ten czas myślałem, że masz tylko mnie! Czyja dla ciebie nic nie znaczą?
- Oj, przestań się wygłupiać.
- No, cóż... ja wcale nie jestem w tym taki dobry... Nigdy tego nie ćwiczyłem. Po prostu chcę... no, wiesz... żebyś... wiedziała o tym. Czy teraz możemy już zacząć planować ślub?
- To ja jestem dziewczyną. Czy nie ja powinnam to powiedzieć?
- W ciągu tej długiej i spokojnej nocy dużo rozmawialiśmy, aż wreszcie objęci poszliśmy spać. Uzgodniliśmy, że pobierzemy się w kwietniu - Stuart chciał, by nasza rocznica wypadła w najgorętszym miesiącu, a ja pomyślałam, że może uda mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy na kupno ładnej sukienki. Charley pewnie zdążyłby sprzątnąć w ogrodzie i wydalibyśmy tu przyjęcie weselne; prawdopodobnie do tego czasu można by się było wprowadzić do domu, a tak mi się przynajmniej wydawało - choć okazało się później, że mogłam to zrobić dopiero pod koniec lata. Gdzieś w środku nocy obudziliśmy się i kochaliśmy jeszcze raz (rzadko się nam to zdarzało w ciągu dziesięciu lat naszego pożycia, ale z drugiej strony równie rzadko się zaręczaliśmy).
- Stuarcie - zapytałam, kiedy już skończyliśmy - czy ty się nie bo-

isz? Tego małżeństwa? I mnie? Przecież zawsze powtarzasz, że w życiu liczy się wycucie czasu. A jeżeli nasz moment na zawarcie małżeństwa już minął, a my nawet o tym nie wiedzieliśmy?

- To się rozwiedziemy, Anne. Oboje jesteśmy prawnikami, a żadne z nas nie ma majątku ziemskiego - zerknęłam na gwieździsty sufit i on podążył za mym wzrokiem - oczywiście, poza tym zamkiem Drakuli, ale wydaje mi się, że z tym wyjątkiem nie będziemy mieć problemów. Nasi rodzice byliby znacznie szczęśliwsi, gdybyśmy najpierw wzięli ślub, a potem się rozwiedli, jak przyzwoici ludzie, zamiast po prostu...

- Ja nie żartuję.

- Okay.

- To wielkie ryzyko. Do tej pory żyliśmy jak para studentów...

- Czy to takie złe, Annie?

- Po prostu podejmiemy ogromne ryzyko. - Westchnęłam. - No, cóż... Fortuna wspomaga odważnych.

- Kto to powiedział?

- Szekspir.

Dlaczego chciało mi się płakać? Przecież zawsze wygłupialiśmy się w ten sposób.

Tylko dlaczego teraz też... w noc naszych od dawna odkładanych zaręczyn?

Stuart milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Annie, leżę tu z tobą, w środku nocy, w rozpadającym się domu i deklaruję chęć zostania twoim mężem i ojcem naszego dziecka, mimo niezachęcających danych demograficznych i mego zaawansowanego wieku, więc muszę być odważnym facetem.

- Przez ciebie czuję się jak stara idiotka.

- I nigdy się nie zmieniaj, dzieciно.

Westchnął i zawinął w czysty róg szmaty, by zasnąć z powrotem; po dłuższej chwili ubrałam się i także zasnęłam.

Następnego ranka obudził nas Charley; podzielił się z nami swym śniadaniem złożonym z kawy i naleśników; w pewnej chwili Stuart kopnął mnie w kostkę.

- No, powiesz mu wreszcie czy nie? - zapytał trochę rozeźlony.

- O czym? Ze zostaliśmy tu na noc?

Stuart wskazał na mój pierścionek i omal nie podskoczyłam, przypominając sobie, co oznacza perła na mojej ręce.

- Zobacz - powiedziałam wtedy do Charleya. - Zaręczyliśmy się.

- Śliczna - odrzekł Charley, unosząc moją dłoń tak delikatnie, jakby był rycerzem i chciał właśnie pocałować pierścień swej damy.

- Masz na myśli Annie czy pierścionek? - Stuart roześmiał się za-

dowolony, a Charley uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową. Stuart tego nie zauważył, lecz ja owszem.

- Moje gratulacje - mruknął. - Podobno perty przynoszą łyzy, ale mam nadzieję, że ta przyniesie wam mnóstwo szczęścia i radości.

Wiedziałałam, że nie przesłyszałam się, słysząc trochę smutku w jego głosie, i poczułam się jakoś dziwnie. Dopiero po kilku dniach zrozumiałam, że czułam się nieco zażenowana, jakbym zrobiła coś za jego plecami albo jakby mała perła na palcu oznaczała koniec naszego wspaniałego porozumienia, stworzonego w tym domu. Przez następne kilka tygodni z rozmysłem trzymałam się z dala od Azalea Road, choć kilka razy przejeżdżałam tamtędy nocą, by się przekonać, czy furgonetka Charleya stoi zaparkowana przed numerem 4040.

A potem, pewnej nocy na początku marca, zadzwonił domofon w naszym mieszkaniu i głos, którego wtedy już nie poznałam, zapytał o Annie Singer. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam na progu Arley; przez ramię miała przerzucony zielony płaszczyk, a na podłodze obok niej stała pasiasta torba z naszytym z boku diabłem tasmańskim.

- Cześć - odezwała się cicho. - Miałam nadzieję, że dasz mi jakieś numery telefoniczne albo adresy...

- Adresy czego...?

- Miejsc... do których mogłabym pójść. Jestem w ciąży, Annie, a moja siostra Langtry wprowadza się do domu, by pomóc mamie...

- Pomóc twojej mamie? A co to ma wspólnego z twoją ciążą, Arley?

- No, bo mama wyrzuciła mnie z domu...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ARLEY

Prawdę mówiąc, choć Stuart to dobry człowiek, naprawdę nie podobała mu się moja obecność w ich domu. Nie tylko dlatego, że wtedy byłam takim dzieckiem - choć przebywanie pod jednym dachem z nastolatką nie mogło stanowić zbyt wielkiej przyjemności dla faceta tak zmęczonego i znerwicowanego jak on. Do szału doprowadzały go stosunki między mną a Annie; chyba był o mnie zazdrosny. Przy mnie Annie zachowywała się jak jakaś starsza przyjaciółka, może siostra. Kiedy zjawiłam się na jej progu, spodziewałam się, że powie coś w stylu: „No, cóż... musimy porozmawiać o tym z Dillonem i twoją matką...”, jak powiedziałyby większość dorosłych, zupełnie jakby mieli jakąś niepisaną umowę między sobą, żeby zbytnio nie ułatwiać ci życia. A jednak nie zrobiła tego. Zaparzyła herbatę i zaczęła wieszać moje ubrania w szafie. Później, gdy zadzwoniła do mojej mamy, usłyszałam, jak mówi podniesionym głosem:

- Aleś ty wspaniałomyślna, Rito, po prostu cudowna... No, jasne, że na to nie zasłużyłaś... Właściwie, to mam cię w dupie... idź do diabła... Pewnie, że poradzę sobie lepiej niż ty!

Bardzo mnie te słowa zaboląły, ale tylko odwróciłam się na sofie, na której miałam spać pierwszej nocy, i wtuliłam twarz w poduszki.

Z drugiej strony cieszyłam się, że Annie to powiedziała. Mama zasłużyła sobie na każde słowo.

Zawsze wiedziałam, że jest samolubna, ale nie spodziewałam się, że gdy dowie się o mojej ciąży, od razu powie, iż już na wiele się jej nie przydam, a dziecko nie będzie miało dla niej żadnej wartości. Dodała jeszcze, że Lang od dawna chciała wrócić do domu i że teraz to ona zajmie się prowadzeniem gospodarstwa i przygotowaniem posiłków dla niej i Cama. Dała mi czas do następnego piątku i powiedziała, że to i tak szalenie uprzejmie z jej strony. Bez gadania. Bez wygłupów. Od

tamtej pory wiele nauczyłam się na temat psychologii, więc podejrzewam, że dokładnie to samo spotkało i ją w przeszłości. Kiedy babka dowiedziała się, że mama jest w ciąży, pewnie od razu wywaliła ją za drzwi. Kochałam babcię Amelię, ale wątpię, by chciała zawracać sobie głowę ciężarną dziewczyną, zwłaszcza niezamężną. W tamtych czasach pewnie uchodziło to za duży skandal. Poza tym babcia nie lubiła zajmować się dziećmi ani nawet własnym domem; zawsze ktoś jej w tym pomagał, najpierw mama, potem Lang. Ponadto pamiętam opowieść, że gdy młodsza siostra mamy, Debbie Lynn, ukończyła szkołę średnią, przyniosła dyplom do domu i zaczęła się uważać za strasznie mądrą, następnego ranka zastała wszystkie swoje rzeczy spakowane w stare walizki i wystawione na ganek. „Pora, byś wykorzystała jakoś swoją wiedzę” - powiedziała jej babcia.

Wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, dlaczego ludzie zachowują się tak, a nie inaczej. Ale nawet gdybym wiedziała, nic by mi to nie pomogło; prawdopodobnie i tak nie zrozumiałabym, dlaczego mama każe mi się wynieść z domu, w którym mieszkałam całe życie. Wcale nie była na mnie wściekła, wcale się nie złościła. Powiedziała tylko, że skoro jestem wystarczająco dorosła, by mieć dziecko, jestem też wystarczająco duża, by zacząć życie na własny rachunek. Zapytałam, co mam ze sobą zrobić, a ona na to, że nie ma pojęcia, ale przecież jestem taka bystra, że na pewno coś wymyślę. Zasugerowała, że powinnam zadzwonić do rodziców Eleny - zupełnie jakby jej się wydawało, że cały boży świat wie już o mojej ciąży, podczas gdy ja dopiero co zrobiłam sobie test. Nie powiedziałam nawet Dillonowi, bo nie *miałam* kiedy nie mam pojęcia, co bym zrobiła bez Annie. Zachowywała się tak, jakbym, pojawiając się na jej progu niczym szczenię w deszcz, przyniosła jej ogromny prezent. Cóż innego mogłam zrobić? Pójść do przytułku czy co? Nie chciałam podejmować takiego ryzyka ze względu na dziecko, bo choć było zaledwie garstką komórek, myślałam o nim jako o osobie z krwi i kości.

Annie cały czas powtarzała, że „to” byłoby „całkiem proste w tym stadium” i dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że mówi o aborcji. Kiedy tylko zrozumiałam, wyjaśniłam jej, że nie chcę usuwać ciąży, że pragnę zatrzymać dziecko. Muszę przyznać, że zachowała się bardzo miło i po prostu przyjęła to do wiadomości. Oczywiście, miała ogromne doświadczenie w pomaganiu niezamężnym młodym matkom - I choć ja miałam męża, nie sprawiało to większej różnicy.

Stuart znajdował się wtedy pod wpływem ogromnego stresu; wkrótce miał przestać pracować tam, gdzie do tej pory, i pewnie martwił się, co

będzie teraz z nim i Annie, choć przed chwilą się zaręczyli. Chyba byt zazdrosny o stosunek Annie do mnie.

A ona od razu zmieniła mi lekarza i nalegała, bym zaczęła chodzić do jej doktora. Wzięła wolne w pracy, by zapisać mnie do Medicaid*, a także zawiozła mamie do szpitala dokumenty do podpisania, stwierdzające, że mimo nieletniości mogę o sobie decydować. Annie wyjaśniła, że to mnie ochroni, w razie gdyby mama chciała położyć łapę na jakiegokolwiek mojej własności. Kupiła mi także całą masę nowych ubrań, gdyż nieomal natychmiast przestałam się mieścić w stare dzinsy. A gdy zaczęłam krwawić w trzecim miesiącu ciąży, nie pozwalała mi wstawać z łóżka, nawet po to, bym przygotowała sobie coś do zjedzenia - choć później gotowałam obiady dla nas wszystkich i prałam; nie prasowałam jedynie koszul Stuarta, bo uważał, że robię to nie tak, jak trzeba. Ale podczas mojej niedyspozycji, Annie zostawiała mi na stoliku przy łóżku małe przekąski złożone z kanapek i owoców („musisz jeść surowe owoce sześć razy dziennie”) przez całe dwa tygodnie, dopóki lekarz nie powiedział, że znowu mogę wstawać. Kupiła mi nawet uniwersalnego pilota, abym leżąc w łóżku mogła włączać telewizor, radio albo sprzęt stereo. Kiedy skończyły się krwawienia, powinnam była wrócić do szkoły, ale nie do mojego liceum; miałam wziąć udział w specjalnym programie, przeznaczonym dla dzieciaków z zagrożonych środowisk, lecz odmówiłam. Poszłyśmy do tamtej szkoły na jedną godzinę i wystarczyło - dzieciaki, które tam chodziły, nosiły broń, żyletki, brzytwy i kije baseballowe, więc bałam się, że mogą zrobić krzywdę mojemu nienarodzonemu dziecku. Potem Annie starała się, by nauczyciel przychodził do mnie do domu (oczywiście na koszt państwa), lecz to także nie wyszło - okazało się, że stan Teksas wcale nie jest taki wspaniały, jeżeli chodzi o zaangażowanie w edukację młodzieży.

Annie strasznie się wtedy wkurzyła i powiedziała, że powinna pozwać do sądu liceum Trávisa, dystrykt szkolny Alamo Heights, kuratorium i cały pieprzony stan Teksas, ale ja bardzo tego nie chciałam; wolałam nie ściągać na siebie zbytnej uwagi. Wtedy Annie postanowiła, że będzie mnie uczyć w domu, co skończyło się na tym, że głównie sama siedziałam nad podręcznikami, bo ona całymi dniami przebywała w pracy. Pani Murray przesyłała dla mnie zadania faksem do Annie do biura, a nawet przyszła się ze mną zobaczyć parę razy, Z początku pan

*** System zdrowotnych ubezpieczeń społecznych, przeznaczony dla najbiedniejszej warstwy ludności (przyp. tłum.).**

Hogan przysyłał zadania z matematyki, ale potem - jak się zdawało - stracił całe zainteresowanie moją osobą, może dlatego, że wcześniej pracował jako agent DEA*, a ja byłam w jego oczach tylko żoną skazańca odsiadującego wyrok? Im bardziej byłam ignorowana, tym bardziej Annie się wściekała. Zaczęła mieć wobec mnie ambitne plany; powiedziała, że mam cały czas pracować i zdać maturę... jeszcze w tym roku! Miałam powiedzieć radzie szkolnej, że może iść do diabła. Kupiła laptopa od przyjaciela Stuarta, Tarika, i podłączyła go do Internetu; zdobyła od kogoś wymagania maturalne oraz pytania testowe z ostatnich lat i dała mi je mówiąc: „Masz, chyba potrafisz sobie z tym poradzić, nie?” Nie chciałam jej o tym mówić, bo widziałam, że naprawdę wierzy we mnie, ale byłam śmiertelnie przerażona. Kiedy zobaczyłam punkty takie jak „podstawy geometrii wykreślnej” czy „najważniejsze wydarzenia w historii Stanów Zjednoczonych”, zupełnie spanikowałam, bo to materiał drugiej klasy, a ja byłam dopiero w pierwszej. Pewnego dnia Annie poszłyśmy do psychologa i kazała mi zrobić test na inteligencję; otrzymałam 129 punktów, co według słów Annie graniczy z geniuszem. Dodała też, że gdyby teksański system edukacyjny stał na nieco wyższym poziomie, już dawno ktoś by to zauważył; strasznie się wściekała. Następnego dnia zaproponowała, że możemy powtórzyć test i sprawdzić, czy może jestem autentycznym geniuszem, lecz odpowiedziałam, że pogranicze geniuszu zupełnie mi wystarcza; od tego martwienia się testami, Dillonem i dzieckiem dostawałam gęziej skórki na całym ciele.

Z początku Annie chciała pożyczyć plany lekcyjne ze wszystkich szkół państwowych i uczyć mnie w domu, tak abym szła zgodnie z programami nauczania, ale bardzo szybko się jej to znudziło. Skończyło się na tym, że co tydzień wypożyczała mi z biblioteki całe sterty książek - o wynalazkach technicznych, wojnie secesyjnej i carach w Rosji. Jeżeli ich nie rozumiałam albo były zbyt trudne, przynosiła mi powieść o tym samym. Na przykład, wypożyczyła mi „Andersonville” o wojnie secesyjnej, która naprawdę mnie wciągnęła, gdyż opowiadała o więzieniu i zakochanej młodej dziewczynie oraz o potrzebie dużej ilości czystej wody. Annie miała w nosie to, że nie znam nazw miast, obok których toczyły się wszystkie najważniejsze bitwy; czasem mówiła: „Po prostu poczytaj o tym; zrozumiesz, jakie to ważne, dopiero gdy będziesz dorosła”.

*** Drug Enforcement Agency - Agencja do Zwalczenia Handlu Narkotykami (przyp. tłum.).**

Najgorsza była dla mnie geografia. Nadal uważam, że Szwajcaria powinna leżeć w Skandynawii, a nie w zachodniej Europie i gdyby nie te wszystkie mapy, które przeglądałam w Internecie, nadal bym uważała, że tak właśnie jest. Coraz więcej czasu zaczęłam spędzać w sieci; przeglądałam różne kąciki z informacjami i rozmawiałam z dzieciakami mieszkającymi na przykład w Illinois. To było bardzo miłe i rozładowywało stres.

Podobnie jak nasze sesje taneczne.

Annie była świetną tancerką; potrafiła zrobić na parkiecie właściwie wszystko, od tanga, przez mechaniczny taniec robotów, taki jak nieraz widziałam na teledyskach Madonny, aż po boogie-woogie, którego mnie nauczyła, a które za jej młodych lat dzieciaki namiętnie tańczyły na każdej dyskotecie. Kilka razy w tygodniu wkładaliśmy płyty do odtwarzacza Stuarta - mieścił dwadzieścia pięć różnych krążków CD naraz - wszystko, od starych płyt Michaela Jacksona, przez Arethę Franklin, po Rebę McEtyre i Coolia i tańczyliśmy w kuchni i w salonie, dopóki nie popadałyśmy ze zmęczenia; śmiałyśmy się przy tym tak bardzo, że po raz pierwszy doprowadziło mnie to do porannych nudności. Przydarzyło mi się to dopiero w czwartym miesiącu ciąży i na dodatek wieczorem, więc Annie nazwała to „wieczornymi nudnościami”. Nigdy nie przypuszczałam, że z dorosłymi można się tak świetnie bawić, choć zawsze lubiłam towarzystwo starszych.

Czasem Stuart wchodził do domu i przyglądał się nam z uśmiechem, lecz najczęściej mówił tylko: „Proszę, ściszcie to trochę, bo muszę zadzwonić w parę miejsc w obronie życia jednego biedaka...” Wtedy śmiałyśmy się jeszcze głośniej, choć nie z niego, lecz z nas samych i naszego złego zachowania. W takich razach czułam się nieco winna, lecz nie wystarczająco, by przestać się śmiać.

I nawet nie chodzi o to, że Stuart często nam przerywał. Można by pomyśleć, że skoro twoje biuro się zamyka, możesz sobie odpuścić nieco roboty, lecz Stuart, Tarik i ci wszyscy inni faceci zupełnie inaczej do tego podchodzili. Musieli robić jeszcze więcej niż do tej pory, gdyż każdy następny wypełniony wniosek, wniesiony do sądu pozew, czy przesłuchanie, oznaczało jeszcze jednego faceta w celi śmierci w Huntsvil-le, który może dostać od życia drugą szansę. Na początku, w pokoju, w którym zamieszkałam, wszędzie wałały się dokumenty Stuarta; wcześniej byt to ich wspólny gabinet. Wreszcie Stuart zebrał wszystkie do pudełek i wyniósł do swego biura w mieście.

- Nie przejmuj się tym - mruknęła wtedy Annie.

Ale nie musiałam być geniuszem, żeby zauważyć, jak destrukcyjnie wpływałam na ich życie, mieszkając z nimi. Czasem, gdy leżałam

u siebie w pokoju, pisząc list do Dillona albo wiersze, czy też rozmawiając przez telefon z Eleną, słyszałam, jak Stuart się wścieka. Nie krzyczał ani nic takiego, lecz zaczynał powtarzać: „Anne! Anne! Daj spokój, Anne!”, jakby raz za razem uderzał otwartą dłoń w ścianę; słysząc tę litanie zawsze lekko podskakiwałam, zwłaszcza że wiedziałam, iż rozmawiają o mnie. Słyszałam, jak omawiają przeprowadzkę i sprzedaż tego cudownego domu Annie na Azalea Road.

- Ależ nie mogę go teraz tak po prostu oddać, Stuarcie - mówiła w takich razach Annie cichym głosem, a ja miałam ochotę ugryźć Stuarta za jego nieczułość. - Jest w gorszym stanie, niż gdy go kupowałam. - A gdy Stuart odpowiadał coś nieprzyjemnego, mówiła: - Przecież to nie wina Charleya. To tylko jeden człowiek, a przy pieniądzach, które mu płacę, pewnie traci za każdym razem, gdy tam pracuje. Wszystkie telefony, jakie otrzymywałam, zwłaszcza te od Dillona, były na koszt abonenta, i to także doprowadzało Stuarta do szału. Pewnego razu Dillon wściekł się, gdy usłyszał, jak Stuart mówi do mnie:

- Przepraszam, Arlington, ale to jest telefon na nasz koszt, a rozmawiasz już siedemnaście minut,

- Czy on ma tam stoper? - zapytał Dillon.

- Cicho - odpowiedziałam, ale Stuart uznał, że mówię do niego i wypadł z pokoju strasznie zły.

Minutę później przyszła Annie i szepnęła:

- Nic się nie martw. Może możesz rozmawiać zbyt długo, ale nie przejmuj się Stuartem. Nie lubi facetów siedzących w więzieniu, chyba że są seryjnymi mordercami zamkniętymi w celi śmierci.

Skończyłam wtedy rozmowę, lecz było mi smutno, gdyż mieliśmy z Dillonem mnóstwo spraw do obgadania. Przed wszystkim rozmawialiśmy o tym, jak u diabła zaszłam w ciążę, skoro mnie zapewniał, że nie ma już na to siły.

- Musiał zostać we mnie jeden superplemnik - odparł Dillon. - O nas, LeGrandach, mówi się, że jesteśmy silni jak byki. Czy mój tatuś nie spłodził trzech synów? Rozmawialiśmy także o innych rzeczach; na przykład, czy będę go częściej odwiedzać? Jak nazwiemy dziecko, jeżeli będzie to chłopiec (Ian, po ojcu Dillona, który miał na imię John; Dillon uważał, że „Ian” to anglosaski odpowiednik „Johna” i nie miałam serca tłumaczyć mu, że tak naprawdę to nie „Ian”, lecz „Sean”) a jak, jeżeli dziewczynka. Dillon nie miał w tym wypadku żadnych szczególnych preferencji, lecz chciał, byśmy nazwali ją Kate, po jego matce; tu od razu się sprzeciwiłam, gdyż nie chciałam, żeby któraś z naszych matek miała wpływ na

moje dziecko. Na szczęście nie upierał się przy swoim pomysle, ani tym, ani następnym - że powinnam zamieszkać wraz z dzieckiem u jego matki, w zamian za to, że „pomagałabym jej w domu”. Od razu zorientowałam się, do czego mogłoby to doprowadzić, i odmówiłam. Choć nie miałam pojęcia, co stanie się ze mną i z Annie, wiedziałam, że ufam jej bardziej niż komukolwiek na świecie, nawet Dillonowi, zwłaszcza po tym, jak zaszłam z nim w ciążę. Miałam poczucie, że to nasienie jest niczym kotwica - i nawet gdybym w przeszłości miała inklinacje do robienia nieodpowiedzialnych i głupich rzeczy, teraz po prostu nie miałbym na to siły. Na przykład, od razu zadzwoniłam do szpitala i umówiłam się na badania prenatalne; w rzeczy samej, mama dowiedziała sięo wszystkim dlatego, że pielęgniarka oddzwoniła do mnie, gdy byłam w pracy, i to ona odebrała telefon.

Dillon powiedział, że teraz czuje się ze mną bliżej związany. Dzięki temu pierwsze kilka tygodni minęło mi w cudownym zauroczeniu; nawet zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży, tęskniliśmy za sobą tak strasznie, że nieomal sprawiało nam to przyjemność. Przestał mi wiersz, który do tej pory należy do moich ulubionych.

Co jest prawdziwe

Najtrudniej powiedzieć to, co prawdziwe. Nie jesteś pierwszą ani jedyną, lecz, kochanie, gdy myślę o tym, jak przyszedł do mnie; jak twe ciemne włosy rozsypały się po mej twarzy, a ciało

drżało pod moimi dłońmi, miękkie i chłodne jak woda, czuję się czysty jak Jezus i zdaje mi się, że to wszystko, na czym mi kiedykolwiek zależało. I to mi wystarcza.

To takie smutne; powinnam była zrozumieć, o czym myśli. Z pewnością znałam go już wystarczająco dobrze. Gdy teraz patrzę na ten wiersz, rozumiem wszystko; przecież jest tam napisane czarno na białym, nieprawdaż? Zupełnie jakby wiedział, że nie czeka go już żadna radość w życiu i jakby usiłował przyzwycząić się do myśli, że to, co najlepsze, ma już za sobą.

Dlaczego to do mnie nie dotarło? Czy dlatego, że życie stało przede mną otworem, jak jeszcze nigdy dotąd? Zupełnie tak samo, jak jego musiało się kurczyć? Wszystko było dla mnie nowe. Miałam Dillona i mieszkałam u Annie, zupełnie jakbym była na wakacjach. Poza tym

strasznie podniecała mnie myśl o dziecku; pewnego razu Dillon powiedział przez telefon, żebym zaczęła zwracać na niego choć trochę uwagi i przestała trajkotać ciągle o dziecku, i dziecku, i dziecku. Powiedział, że przeniesiono go z biblioteki, bo za dużo czasu spędzał na pomaganiu innym więźniom w pisaniu pozwów sądowych dotyczących lepszego jedzenia i innych rzeczy, zamiast na odkładaniu książek na miejsce i sprzątaniu. Odesłali go z powrotem do pralni, ale doszedł do wniosku, że bardzo mu się to podoba, gdyż kilka razy w tygodniu przyjeżdża ciężarówka z zewnątrz z dostawą detergentów i innych specjałów i wtedy przez kilka minut ma „niczym nie zakłócony widok na skrawek błękitnego nieba i jest to jak śliczny obrazek w ramce”.

Jeśli zaś o mnie chodzi, to z biegiem czasu stawałam się coraz bardziej rozkojarzona, a wszystko w moim życiu skupiało się na dziecku. Wydawało się, że tylko o tym piszę w listach do Dillona. „Nasz maluch ma obecnie półtora cala - napisałam do niego pod koniec drugiego miesiąca ciąży, kiedy nie wiedział o tym jeszcze nikt, z wyjątkiem Annie. -Jego serduszko już bije, choć lekarz mówi, że nie będzie tego słyszeć jeszcze przez kilka następnych tygodni. Wyglądam nadal tak samo; może nawet jestem jeszcze szczuplejsza! A może po prostu masa ciała rozkłada się nieco inaczej. Zdaje się, że nie będę mieć nigdzie rozstępów, oprócz tych na piersiach... urosły mi całkiem duże cycki... choć z drugiej strony, pewnie są normalnej wielkości, tylko ja do tej pory miałam takie maleństwa!” Napisanie czegoś podobnego wiele mnie kosztowało, lecz w końcu mąż z żoną chyba powinni tak ze sobą rozmawiać. Czułam... ogromną namiętność, w pierwszych tygodniach ciąży. Moje wargi były wiecznie nabrzmięte i czerwone, włosy zrobiły się jeszcze gęstsze i zaczęły się kręcić, po raz pierwszy w życiu! W pracy faceci zaczęli się za mną oglądać i zostałam zaproszona na randkę z dziesięć razy (wreszcie! Tylko jak na złość w czasie, kiedy już zupełnie nie mogłam przyjąć takich zaproszeń!). Cały czas rozmyślałam o nocy spędzonej z Dillonem i o tym, jak mnie dotykał; nieraz budziłam się roztrzęsiona i spocona; wiedziałam, że znowu mi się to śniło. Jednej z takich bezsennych nocy napisałam wiersz pod tytułem „Wiatr”.

Wiatr

Twa miłość szarpie mnie niczym teksański wiatr rwący me ubrania i rozplatający namiętnie

*włosy. Ciągnie mnie tu i tam silnymi pakami, dotykając żył
na mych nadgarstkach, aż grają i śpiewają niczym harfa. Twa miłość drażni
się ze mną, przyciąga i odpycha, aż niespokojna i porażona otwieram się dla ciebie.*
Dopiero później zdałam sobie sprawę z tego, jak można odczytać tę ostatnią linijkę i
pomyślałam, że to chyba niezbyt miłe dla Dillona, zwłaszcza że siedzi tam całkiem
sam. Faktycznie, niezbyt dobrze na niego zareagował. Zrobił się całkiem
nieprzyjemny.

- Czyżbyś pokazywała swoje wielkie cycki jakiemuś gachowi, dziewczyno? -
zapytał, co mnie strasznie wkurzyło.

Zupełnie jakby mnie podejrzewał.

Drażniło mnie, że każde działanie, jakie chcę podjąć, Dillon odbiera, jakby było
skierowane przeciw niemu.

Na przykład, gdy Annie zaczęła mi przynosić katalogi college'ów, które od dawna
leżały w biurze, by zachęcić jej klientki do zrobienia czegoś ze swoim życiem. Były
z różnych miejsc - uniwersytetu w Houston, stanowego z Luizjany, politechniki w
Georgii, uniwersytetu w Wirginii i jeszcze innych. Na moją prośbę Connie G.
przysłała mi materiały dotyczące kursu makijażu korekcyjnego i nad tym też się
zastanawiałam. Byłoby miło móc zarabiać przyzwoite pieniądze, gdy dziecko już
będzie na świecie, a Dillon wyjdzie z więzienia. W jednej z ulotek dotyczących
kursu przeczytałam, że można po nim zatrudnić się przy filmach jako specjalista od
efektów specjalnych. Kiedy napisałam o tym Dillonowi, odpisał mi w tym stylu:
„No, jasne, dziewczyno! Ja mógłbym zacząć pracować jako aktor, a dopóki nie
zostanę gwiazdą, będę twoim utrzymankiem!”

Pewnie nawet by mu się to udało; w końcu był naprawdę przystojny. Tylko dlaczego
myślał jedynie o sobie, a nie o nas jako rodzinie?

Może większość facetów działa w ten sposób i zawsze myśli wpierw o sobie, bo tak
właśnie zostali wychowani przez swoje mamy

sie, jak moja mama wychowuje Cama? A może to jest zupełnie na odwrót i zostali wychowani w tak zimnej atmosferze, że nie myślą o sobie tyle, ile powinni, i są chciwi, i boją się, że mogą przegapić coś w życiu, jeżeli sami się o to nie upomną? Ale to nie dotyczy Charleya, rzecz jasna. Charley jest słodki i praktycznie rozmawia mi się z nim lepiej niż z większością dziewczyn. Choć z drugiej strony, Charley nie jest zwyczajnym facetem.

No, a poza tym Dillon wcale się aż tak bardzo nie mylił. Czasem miałam wrażenie, że potrafi przejrzeć mnie na wylot, jakby przeczuwał, że zaczynam myśleć o rzeczach, które nie miały z nim nic wspólnego. Wstydziłam się ich i nic mu nie mówiłam, lecz chyba i tak wiedział o wszystkim.

Pierwszy raz zdarzyło się to, gdy Annie i Stuart mieli polecieć do Nowego Jorku na weekend, by świętować z rodzicami swe zaręczyny. Annie strasznie się przejmowała; nie chciała, żebym została sama, choć tak naprawdę połowę życia spędziłam sama. Kiedy wreszcie ją przekonałam, że nie muszę jechać z nimi (Stuartowi znacznie ulżyło, to jedno mogę wam powiedzieć), nalegała, żeby przenocowała tu ze mną Elena albo Paula. Annie lubi Elenę, choć uważa, że jest nieco szalona - i ma raq'ę -choć wcale nie w negatywnym sensie. Z drugiej strony każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, mógłby powiedzieć: „Hej, jak ktokolwiek może mieć zły wpływ na dziewczynę, która pierwszy kontakt seksualny miała w wieku lat czternastu w przyczepie campingowej za murami więziennymi? " Ale Annie nie myśli w takich kategoriach, niech ją Bóg za to błogosławi. W każdym razie zadzwoniła do pani Gutierrez i powiedziała coś w stylu: „Tak, rozumiem, ale całkowicie jej ufam... Po prostu nie chcę jej zostawiać tu samej... na wszelki wypadek, jakby wynikły jakieś komplikacje. Owszem, też uważam, że byłoby im znacznie lepiej w państwa domu, lecz nic złego się nie stanie, jeżeli sprawdzi pani, co się tu dzieje, po prostu telefonując. W końcu to tylko dwie noce, co się może zdarzyć?" No i pani G. w końcu się zgodziła, żeby Elena mogła spędzić ze mną weekend w domu Annie i Stuarta.

Kiedy tak leżałam, na wpół śpiąc i podsłuchując ich rozmowę, pomyślałam sobie, że byłoby ciekawie mieć matkę, która przejmowałaby się mną w pełnym wymiarze godzin; matkę, która sprawdzałaby, czy nic nie zbroiłam, i która wyciągałaby mnie za uszy z tarapatów. Oto ja, niedługo już młoda matka, właśnie zaczynałam mieć to mam-już-dość-przestań-mnie-traktować-jak-dziecko uczucie, które jest chlebem powszednim wszystkich normalnych dzieci i które właściwie mi się podobało, choć przecież już z niego wyrosłam. Wtedy przez chwilę pomyślałam, czy nie

byłoby lepiej, gdybym była tylko sam na sam z dzieckiem? Albo po prostu sama? Nigdy w życiu nie rozważałam poważnie możliwości oddania Desi do adopcji, a już na pewno nie po tym, jak ją pierwszy raz zobaczyłam, ale uderzyło mnie, że wyszłam za mąż za Dillona i oddałam się pod opiekę Annie z tego samego powodu - żeby choć raz, w ciągu czternastu lat życia, poczuć się jak dziecko.

Nie mogłam się doczekać spotkania z Eleną sam na sam. Teraz, gdy mieszkałam w San Antonio, choć nadal często rozmawialiśmy przez telefon, rzadko się widywałyśmy, gdyż pracowałam w Taco Heaven przedpołudniami. No i nie odwiedzałam jej już tak często jak kiedyś; wstydziłam się mojej obecnej sytuacji i bałam się, że pani G. mnie znienawidzi. Elena naprawdę się cieszyła, że mieszkam u Annie i że Annie mnie uczy w domu - uważała, że po prostu znudziło mi się bycie niewolnicą mamy i uciekłam z domu. Choć zadawała mi mnóstwo pytań na temat nocy z Dillonem i seksu, nie miała pojęcia o dziecku.

Chciałam jej to powiedzieć w cztery oczy.

Pierwszą przeszkodą do pokonania było odprowadzenie Annie za drzwi; najpierw kazała mi pokazać, gdzie leżą zapasowe klucze, potem kazała przynieść listę telefonów, a wreszcie chciała zadzwonić do Jeanine, żeby tu do nas wpadła, lecz Stuart stracił cierpliwość.

- Na miłość boską, Annie! - warknął. - Spóźnimy się na samolot...

- Chcę się tylko upewnić, że dadzą sobie radę...

- Jezu. Dzieciak praktycznie całe życie sam dawał sobie radę, a ty zachowujesz się tak, jakby została wychowana na pensji dla dobrych panienek...

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by Annie powiedziała Stuartowi choć jedno złe słowo, ale teraz obróciła się do niego i - przy Elenie - wypaliła:

- Zamknij się, Stuarcie!

Spuścił wzrok i przez dłuższą chwilę nie odezwał się ani słowem, aż wreszcie wymamrotał:

- Przepraszam, Arley. Bardzo cię przepraszam. Annie pocałowała mnie w policzek i wreszcie wyszli.

Elena podskoczyła z radości i odwróciwszy się do mnie powiedziała, że także ma dla mnie nowiny.

Kiedy tylko za Annie i Stuartem zamknęły się drzwi, oznajmiła mi, że przede wszystkim zamierza się przespać z Rickym Nevadą; już następnej nocy, w tym mieszkaniu, w łóżku Annie. Urządzimy imprezę, a reszta przyjdzie sama. Ricky Nevada miał osiemnaście lat - wydawało mi się, że każda dziewczyna z Avalon i okolic w pewnym wieku się

w nim durzyła - zjawi się tu ze swoimi kolegami, z których jeden, dwudziestojednoletni, przyniesie beczkę piwa... Natychmiast powstrzymałam ten słowny potok. Po pierwsze, ładnie bym podziękowała Annie i Stuartowi za ich dobroć, urządzając popijawę w ich domu; poza tym było wielce prawdopodobne, że ktoś by nas nakrył.

- Ellie, oni są prawnikami - rzekłam; Elena nie wiedziała, że jeżeli ma się choć jedno wykroczenie na koncie, nie można pracować w tym zawodzie, a przy drugim odbierają ci prawo do wykonywania zawodu na terenie całego kraju. Poza tym, czy naprawdę musiałam jej przypominać tę noc w domu Erica Doreya? Co ona sobie wyobraża? Wreszcie wycofała się z pomysłu imprezy, lecz nalegała, by móc zaprosić Ricky'ego na noc i mieć go tylko dla siebie.

Tu nie miałam zbyt wiele pola do manewru.

- W końcu ty to zrobiłaś - powiedziała Elena.

- Ale ja jestem mężatką - odparłam. - A ty nawet nie kochasz Ricky'ego.

- Kocham go właśnie w ten sposób, żeby się z nim przespać.

- Eleno, każda dziewczyna w południowym Teksasie kocha go w ten sposób. A co z całą tą twoją gadaniną, że nie pójdiesz z chłopakiem do łóżka, jeżeli nie będziesz go kochać i nie będziesz pewna, że on kocha ciebie? A jeżeli zajdziesz w ciążę?

Nadal nie była przekonana. Wtedy zapytałam, co ja miałabym niby robić, podczas gdy oni będą się tarzać w pościeli Annie. Oglądać opery mydlane w telewizji? Na to nie mogła już tak łatwo znaleźć odpowiedzi.

- Ale to nie fair - mruknęła wreszcie, krzywiąc się żałośnie. - W ten sposób zdam do drugiej klasy i wciąż będę dziewczcą.

Byłyśmy strasznie głodne, więc wyrzuciłyśmy sałatkę z kurczaka i wątróbki oraz inne śmiecie zostawione nam przez Annie i zrobiłyśmy sobie prawdziwą frijolę z ryżem i całym mnóstwem ostrego sosu. Wreszcie Elena odzyskała dobry humor i spytała, czy potrafię zgadnąć, jaką ma dla mnie drugą niespodziankę.

Wypróbowałam kilka rzeczy: jej mama zabiera ją na wycieczkę do Puerto Rico w odwiedziny do krewnych. Nie. Na przyszłe urodziny rodzice obiecali jej samochód. Nie. Zostawała wytypowana na przedstawicielkę pierwszych klas na tegorocznym balu maturalnym.

- Blisko - odrzekła. - Ale znacznie lepiej, spróbuj jeszcze raz. Przyniosła ze sobą kilka maleńkich buteleczek wina, jakie można

dostać w samolocie. Zwinęła je ojcu i zaproponowała mi trochę, lecz odmówiłam.

Ponieważ nie miałam pojęcia, co jeszcze mogę wymyślić, powiedziała mi: w zeszłą sobotę, bez niczyjej wiedzy poszła na jarmark

w San Antonio i stanęła do konkursu na Księżniczkę Kwiatów występującą w Fiesta de San Antonio, która odbywa się w czerwcu. W konkursie brało udział ze trzysta dziewcząt, w tym wiele studentek, lecz to ona została wybrana, wraz z sześcioma innymi!

Wydałam radosny okrzyk. Wprost nie mogłam w to uwierzyć.

Jeżeli dorasta się w tych okolicach, Księżniczki z fiesty są dla ciebie czymś w rodzaju gwiazd filmowych; ich zdjęcia zawsze widnieją w gazetach, rozdają róże na placu Daltona w soboty przed Dniem Matki i przekazują puchary zwycięskim drużynom po meczach futbolowych. Pierwszego dnia fiesty (która jest jak ogromny, trwający cały tydzień karnawał) każda z księżniczek dostaje własną platformę; każda jest w innym kolorze, pasującym do koloru sukni i kwiatów poszczególnej Księżniczki. Nie mam pojęcia, kto za to wszystko płaci, chyba miasto, ale suknie kupują rodzice dziewczyny. Pan G. na początku udawał, że jest strasznie niezadowolony, lecz wiem, iż rozpiekała go duma, a nawet wiele lat później Gracie G. kpiła ze zdjęć Eleny z tej fiesty ustawionych u niego na biurku i nazywała je „Kaplicą Santa Marii de Vaca”. Podczas ostatniego dnia fiesty Księżniczki były gośćmi honorowymi na ogromnym balu; Elena powiedziała, że mogłabym pójść z nią jako jej siostra.

Miała być Księżniczką Begonii, czerwoną.

- Tę zawsze najbardziej lubiłam! - powiedziałam zgodnie z prawdą. Oczywiście, coś, co dotyczy bezpośrednio twojej przyjaciółki, natychmiast ci się podoba, choć gdy byłam jeszcze mała, zawsze wypatrywałam Księżniczki Pierwiosnków, gdyż jej żółta suknia zawsze przywodziła mi na myśl strój Kopciuszka z balu.

Elena uśmiechnęła się lekko, bez zwykłej zarozumiałości.

- Niesamowite - odezwała się. - Nadal nie mogę w to uwierzyć.

- Kiedy się dowiedziałas?

- Wczoraj wieczorem! Kiedy Annie rozmawiała z mamą przez telefon, już wiedziałam. I umierałam z ochoty, żeby ci o tym powiedzieć!

- Co musiałaś zrobić, żeby cię wybrali?

- Po prostu przejść się po scenie w różnych ciuchach... w sukience i dżinsach z kowbojkami...

- Skąd wiedziałaś, jak to zrobić?

- No... po prostu przeczytałam w ulotce, którą znalazłam... na mieście. W muzeum. To chyba nie była Elena, którą ja znałam.

- Co ty robiłaś w muzeum, El? Składałaś do kupy dinozaura? -Nie.

- Więc co?

- Poszłam tam z Brin Dennison.

- Aha - szepnęłam. - Ona jest bardzo miła.

Naprawdę, Brin była strasznie miła... i bardzo popularna. Potrafiła śpiewać i tańczyć. Grała Julię i lady Makbet w naszych szkolnych przedstawieniach, a była już w drugiej klasie. Dlaczego Elena trzyma się z drugoklasistką? i to na dodatek taką? Kocham Elenę, lecz ona nie należy do miłośników teatru. Lecz czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka.

- Poszłam z nią na przesłuchanie - przyznała się Elena. - **1**... zostałam zaangażowana do „West Side Story” i numeru Steviego Nicka. Brin też dostała się do obu, więc będziemy razem.

- Ale co będziecie robić?

- Tańczyć.

- A ty potrafisz tańczyć?

- Arley, przecież wiesz, że tak.

- Chodzi mi o to, czy potrafisz tańczyć na scenie.

- No, nie wiem, czy jestem taka znowu rewelacyjna, ale potrafię się ruszać. Poza tym muszę robić coś oprócz zasuwania w Taco Heaven i włączania się po centrum handlowym całkiem sama. Zdaje się, że twoje zdolności matematyczne i to, że biegałaś w drużynie, założyło mi za skórę. Może jednak miałaś na mnie dobry wpływ?

No, cóż... mogłam wtedy coś odpysknąć. Zapytać, a jaki ona miała na mnie wpływ? Oto ja, eks-gwiazda drużyny, czternastolatka w ciąży, ale nie mogłam tego powiedzieć. Po prostu było mi strasznie smutno.

Przynajmniej nie cierpiałam na paranoję - obawiałam się tego; Brin Dennison była obecnie najlepszą przyjaciółką Eleny. Wiedziałam, że Ellie nigdy się nie przyzna, ale właśnie to mówiła mi między wierszami. Brin była jej teraz bliższa niż ja... i nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego to się stało tak szybko? Było dokładnie tak, jak powiedziała kiedyś pani G.: nasz rok liczy się jak rok życia psa. Przełknęłam ślinę i starałam się nie rozplakać.

- Kiedy wszystko się zaczęło? Wzruszyła ramionami.

- Jakiś miesiąc temu... Może trochę więcej. Po tym, jak się tu przeprowadziłaś. Daj spokój, Arley... Ja tylko... przecież ty cały czas myślisz o Dillonie, albo piszesz do niego, albo wysyłasz mu jakąś paczkę...

- On jest moim mężem, Ellie!

- No, cóż, a ja nie mam męża! Mam dopiero piętnaście lat! Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu; obie przyglądałyśmy się przez okno chłopakom grającym w koszykówkę na boisku pod blokiem.

~ Przecież to ty nie mogłaś się już doczekać, kiedy wydorosłejemy i będziemy mogły wyprowadzić się od rodziców.

- Ale nie mówiłam, żebyśmy to zrobiły od razu, do ciężkiej cholery - warknęła.

Wypiła cały kieliszek wina i zabrała się do ulubionego tematu. - Nie chcę się z tobą kłócić, Arley. Przecież nadal jesteśmy przyjaciółkami, nie? Nie marnujmy wspólnie spędzanego czasu na głupie kłótnie, co? A teraz muszę wszystko wiedzieć. Powiedz mi, jak to było, ze szczegółami. Kiedy wsadził ci go po raz pierwszy, czy bardzo bolało? Cały czas czy tylko na początku?

Jej jawna fascynacja trochę mnie przeraziła; a jednak nadal pamiętałam, jak się czułam, gdy w przeddzień ślubu wypytywałam ją dokładnie o to samo. Postarałam się jej opowiedzieć wszystko, najlepiej jak potrafiłam. W tym czasie skończyła pierwszą butelkę wina i wyciągnęła następną.

- Przecież nie będę dziś prowadzić - powiedziała wesoło i dodała: - Nikt nie będzie wiedział, jeżeli i ty się napijesz, moja ty Panno Świętoszko Mężatko Ubóstwiająca Seks.

I wtedy powiedziałam jej o dziecku; mało trupem nie padła.

Nigdy nie widziałam, by coś szybciej przywróciło Elenie rozsądek. Zadzwoiła nawet do Ricky'ego Nevady i powiedziała mu, żeby nie przyjeżdżał, bo wynikła bardzo poważna osobista sprawa.

- Do diabła! - powtarzała raz po raz. - Do diabła, Arley. Niech to szlag! Niech to szlag trafi! - Aż wreszcie spytała: - Pozbędziesz się go?

- Oczywiście, że nie. Przecież jestem mężatką.

- Nawet będąc mężatką, można usunąć ciążę.

- Wcale nie jestem o tym taka przekonana - skłamałam.

- Ale ja jestem.

- No, cóż... nawet jeżeli mogłabym, to nie chcę. Chcę mieć dziecko... Chodzi mi o to, że odkąd pamiętam, zawsze chciałam mieć dziecko. Może nie w tak młodym wieku... ale może tak właśnie było mi pisane.

- Boisz się?

- Czego?

- Ze to będzie bolało, na miłość boską!

- Taak.

- Taak, i co dalej...?

- Bardziej boję się tego, co się wydarzy, kiedy ono się już urodzi. Co ja dalej zrobię?

- Nie wiesz, jak się nim zająć?

- Nie... na ten temat mam już całe mnóstwo książek. Chodzi mi o to,

jak będę zarabiać na życie. Nie chcę przejść na utrzymanie państwa, ale nie wiem, gdzie mogłabym mieszkać... a Dillon nie wyjdzie z więzienia wcześniej niż za dwa lata, a i to tylko przy dobrym sprawowaniu.

- Jakoś sobie poradzisz... a Annie na pewno ci pomoże.

Ale to jeszcze nie było wszystko; tak naprawdę, w głębi serca, martwiłam się, jaką będę matką - bo jeżeli tylko istnieje gen odpowiedzialny za złe rodzicielstwo, z całą pewnością go mam, gdyż jednego z moich rodziców nigdy nie znałam, a drugie zachowywało się tak, jakby nie chciało znać mnie. Chciałabym móc zapytać mamę, czy był kiedyś taki czas - może nawet bardzo krótki - kiedy radowała się na myśl o tym, że mnie urodzi, i nie mogła się doczekać, by zobaczyć, jak wyglądam i jakie zdolności posiadam. Gdybym wtedy wiedziała, dlaczego moja mama tyle podróżowała za młodu i dlaczego mamy takie imiona, a nie inne, chyba nie marnowałabym czasu na szukanie diamentów ukrytych w pudełkach po płatkach śniadaniowych, gdyż rozumiałabym, że Cam, Lang i ja byliśmy tylko środkiem do osiągnięcia celu; może wszystkie dzieci są. Bo liczy się tylko cel i to, jaki on jest. Zaraz po urodzeniu Desi zaczęłam mieć znowu ten dziwny sen o kolorowych wozach jadących przez prerię i założyłam, że jestem jak każda z tych nastoletnich matek, o których piszą w magazynach. Myślałam, że dzięki urodzeniu dziecka stanę się ważna i dorosła, że to odmieni moje życie i nada mu sens. Urodziłam dziecko, bo chciałam mieć kogoś do kochania, kto nie mógłby mnie opuścić; coś jak żywą lalkę, do ubierania, karmienia i zabawy.

W pewien sposób, wszystko to prawda. Nigdy w życiu nie miałam nic, co warto byłoby kochać, oprócz Dillona. Ta miłość zupełnie mnie odmieniła; otworzyła przede mną drzwi, które już od jakiegoś czasu uważałam za zamknięte. Nie miałam wtedy jeszcze pojęcia o istnieniu Annie ani o tym, co nas połączy, ani o poznaniu Charleya i Jeanine, i wszystkich innych... ani o tym, jak coś, co zaczęło się tak daleko od całego świata, jaki do tej pory znałaś, może się tak szybko stać jego częścią. A ze wszystkich ważnych rzeczy, o których istnieniu nigdy wcześniej nie myślałam, najmniej prawdopodobna wydawała mi się Desi.

Myślałam, że kiedyś wreszcie Dillon i ja będziemy mieć własny domek, może nawet całkiem duży, jak kiedyś jego ojciec; wiedziałam, że oboje będziemy pracować, ale że posiadanie dziecka - cudownego, żyjącego dowodu naszej miłości - może okazać się luksusem, na który, bardzo możliwe, że nie będzie nas stać. Desi była dla mnie wtedy jeszcze tylko pomysłem, jak wiersze, które pisałam o małżeństwie i przebywaniu razem, gdy tak naprawdę nie miałam zielonego pojęcia o ni-

czym, oprócz uprawiania miłości. Jak mogłam wyobrazić sobie dziecko jako osobę? I skąd mogłam wiedzieć, że ktoś, kto nawet nie potrafi jeszcze mówić, nauczy mnie więcej o świecie niż wszystkie mówiące osoby z mego życia razem wzięte? Z całą pewnością nie miałam o tym wszystkim pojęcia, gdy tamtego wieczora rozmawiałam z Eleną w mieszkaniu Annie, bo choć siedząc z nią na łóżku, opowiadałam o wszystkich swoich zmartwieniach i wspaniałych niespodziankach -w końcu wspanialszych niż jej nowiny, choć szczerze mówiąc wstydziłam się tego trochę, zamiast świętować - naprawdę zastanawiałam się nad tym, jak to by było zostać wybraną na Księżniczkę Begonii. I dopiero wtedy zrozumiałam.

Mogłabym zostać Księżniczką Begonii albo może nawet samą Księżniczką Pierwiosnków. Po prostu nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, a teraz jest już za późno. Chodzi o to, że zawsze zależało mi na dobrych stopniach, wygłaszaniu przemówień na szkolnych akademiach i odnoszeniu sukcesów w sporcie, lecz tak naprawdę nigdy nie zwracałam sobie głowy zabawą jako taką. Mama nigdy mi nie mówiła, że jestem piękna niczym księżniczka i że gdybym tylko chciała, mogłabym włożyć wspaniałą suknię i przejechać przez miasto na platformie wypełnionej jasnożółtymi kwiatami, które pachną, jakby cała ogromna łąka zstąpiła z nieba. Nic podobnego mi nie mówiła, a jeżeli nie wiesz pewnych rzeczy, to po prostu nie wiesz. Chciało mi się wyc z rozpacz. Ależ ze mnie idiotka! Wyszłam za mąż za najprzystojniejszego faceta, jakiego w życiu widziałam, noszę jego dziecko i mieszkam w pięknym mieszkaniu z przyjaciółką, i płaczę nad tym, że nigdy nie zostanę Księżniczką podczas fiesty! Czy to możliwe, żebym cofała się w rozwoju umysłowym?

Ale to był tylko początek wszystkich zmian, jakie zaczęły we mnie zachodzić.

Czy Dillon wyczuł je, oddalony ode mnie o wiele mil, samotnie siedzący w swej celi w bloku C więzienia Solamente River? Czy budził się niespokojnie w środku nocy i zastanawiał, gdzie też podziewa się jego żona, Arley, jeżeli nie ciałem, to przynajmniej duchem? Czy czuł, że mnie traci i że będzie musiał mnie odzyskać w najbardziej szalony sposób, gdyż cała miłość nie wystarcza, bym przy nim została? Nie wydaje mi się. Lecz nie mogę też zaprzeczyć, że zaczęłam się zmieniać.

Podczas tych miesięcy, gdy chodziłam ciężarna z Desi, nie tylko rosłam objętościowo; powiększał się nie tylko mój brzuch, lecz także ja sama... rosłam, dorastałam, dojrzywałam, na różne sposoby, których nigdy wcześniej się nie domyślałam. Annie zmuszała mnie do tego, stawiając

przede mną coraz to nowe wyzwania. Gdy teraz spoglądam za siebie, wierzę, że to dobrze, iż tak wielu rzeczy nie byłam pewna; dzięki temu łatwiej zniosłam wszystko, co się potem wydarzyło... po prostu na wiele byłam przygotowana. A jednak nadal się martwię. Nadal zastanawiam się, czy mogło być inaczej...? Fiesta zawsze odbywa się w czerwcu, więc do tego czasu ciąża już była dość zaawansowana. Napisałam do Dillona o fiście i występie Eleny, która właśnie od pięciu dni nie jadła nic oprócz owoców. Chciała schudnąć pięć funtów. „A przecież już jest strasznie szczupła! - napisałam w liście. - Ja sama pewnie wyglądam okropnie grubo i nieładnie w porównaniu z innymi dziewczętami”. Pomyślałam, że to może go zranić, gdyż w końcu przez niego tak wyglądam, więc dodałam, że większość ludzi, włącznie z facetami, częściej zwraca na mnie uwagę i właściwie mało kto wie, że jestem w ciąży.

To chyba było głupie. A może chciałam, żeby stał się o mnie ciut zazdrosny? W ciągu kilku tygodni poprzedzających fiestę wydarzyło się sporo ważnych dla mnie rzeczy; przede wszystkim przystąpiłam do egzaminu maturalnego i zdałam go! Annie była tak podniecona, że wymyśliła dla mnie wspaniałą niespodziankę: zabrała mnie na wycieczkę do Nowego Jorku. To druga ważna sprawa.

No bo niby jak mam wam o tym opowiedzieć? Nigdy w życiu nie byłam na lotnisku. Właściwie nie znałam nawet samego Teksasu, a najdalej położonym miastem, do jakiego pojechałam, było Galveston. Z naszej doliny, w której leży Avalon, cały świat wydaje się jak średniowieczna mapa z zaznaczoną tylko Florencją i Chinami, a potem są już tylko dziwaczne kształty i rysunki potworów morskich. Na mojej mapie zaznaczono tylko trzy punkty: mój dom; San Antonio, gdzie mieszkała Annie, znajdowała się szkoła oraz praca; Solamente River, gdzie przebywał Dillon i gdzie wymówiłam słowa małżeńskiej przysięgi oraz zostawiłam po sobie krew na czerwono-niebieskim prześcieradle pokrywającym składane łóżko, stojące w przyczepie tuż obok boiska otoczonego wysoką palisadą ozdobioną od góry kolczastym drutem.

Wydaje mi się, że przez trzy dni, które spędziłam w Nowym Jorku, przespałam może ze dwie godziny. Annie po prostu nie mogła mnie utrzymać w mieszkaniu swej przyjaciółki Penny na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Zanim jeszcze zrobiło się jasno na dworze, chciałam wyjść i chodzić po ulicach, zobaczyć wystawy sklepowe, małe straganiki, na których ludzie sprzedawali owoce i kwiaty i usłyszeć nieustający zgiełk

klaksonów samochodowych, który nie milki nawet w środku nocy. Następny dzień spędziłyśmy wraz z siostrą Annie; poznałam także dwóch synków Rachael, znacznie młodszych ode mnie. A potem pojechałyśmy z Annie i Rachael do miasta, żeby obejrzeć „Karuzelę”. To była najpiękniejsza noc w moim życiu. .

Wydaje mi się, że Annie wybrała akurat tę sztukę nie dlatego, że zapłaciła mniej za bilety, lecz dlatego, że było w niej o złym Billym Bi-gelowie, który uderzył swoją ukochaną, a potem zmarł, zostawiając ją samą na świecie i na dodatek w ciąży.

Wydaje mi się, że chciała, abym dostrzegła podobieństwa naszych sytuacji - ale mówię wam, pragnęłam, by i ona je dostrzegła. Na koniec, gdy Billy przyszedł, by z daleka przyjrzeć się swojej córeczce podczas rozdania świadectw szkolnych, rozplakałam się. Płakałam tak strasznie, że Annie i Rachael postanowiły mnie natychmiast zabrać do domu, bo bały się, że może mi się stać coś złego. Ale ja chciałam iść do restauracji, jak mi to obiecały, i napić się herbaty ze śmietanką, o której tyle słyszałam. Powiedziały, że wpadam w histerię, co tylko jeszcze pogorszyło sprawę.

- Chcę zobaczyć jak najwięcej! - wykrzyknęłam. - To moja ostatnia szansa!

- Twoje oczy są jeszcze większe niż brzuch - odrzekła mi Rachael, naprawdę łagodnie, lecz nic to nie pomogło,

- Nic na tym świecie nie może być większe od mojego cholernego brzucha! - wrzasnęłam w odpowiedzi i nagle poczułam się strasznie, Annie chyba też. Pewnie było jej wstyd za dzieciaka z Teksasu, którego przywiozła pokazać rodzinie, jakbym była jakimś wielkookim kotem przywiezionym w pudełku z Peru. Zaczęła potrząsać głową, patrząc na mnie, lecz Rachael załagodziła sytuację.

- Annie, ona pewnie jest tylko przemęczona - powiedziała. - Kiedy jest się w tak zaawansowanej ciąży, wszystko wydaje się strasznie dziwne... Masz uczucie, jakbyś tonęła we własnym ciele.

Wzięłyśmy więc herbatę ze śmietanką z restauracji na wynos i wypiliśmy ją na ganku u Rachael; opowiedziała mi wtedy o swoich czasach w college'u i o tym, że istnieją specjalne rządowe fundusze przeznaczone dla inteligentnych młodych matek, które chcą studiować.

- Ich dzieci wcale nie muszą być inteligentne - rzekła. - Nie ma takiego wymogu. - Kiedy odparłam, że chyba raczej nie poradzę sobie nigdzie poza Teksasem, też od razu rozwiała moje wątpliwości. - Możesz wyrosnąć na ignorantkę, wychowując się w rodzinie bogatego doktora z Nowego Jorku, Arley. Ludzie stąd wcale nie mają predyspozycji do bycia mądrzejszymi od wszystkich innych, tylko tak się zachowują.

Zaskoczyło mnie, że obca osoba jest dla mnie tak miła, i to tylko dlatego, że Annie mnie kocha.

Po powrocie do domu wiele rozmyślałam i szczerze mówiąc, często czułam się zagubiona. Budziłam się w środku nocy i chciało mi się płakać, i modliłam się, by mój umysł wreszcie zrobił sobie wolne, przestał pracować na tak wysokich obrotach i wreszcie ułożył się do snu. Jednak myśli nie dawały mi spokoju; nie mogłam przestać rozmyślać

0 Nowym Jorku i o college'u; zastanawiałam się także nad wróceniem do biegów przez płotki - w końcu Mary Slaney po urodzeniu dziecka biła wszelkie rekordy, podobnie jak Jackie Joyner-Kersey - i miałam nadzieję, że dziecko okaże się dziewczynką zamiast chłopcem, na którym tak strasznie zależało Dillonowi. Po raz pierwszy, gdy pisałam listy i wiersze do Dillona na mojej pięknej papeterii, czułam, jakbym mu kłamała: mimo iż powtarzałam to w kółko, nie był dla mnie jedynym marzeniem na świecie, jak ja dla niego. Nadal go kochałam, tego jestem pewna, ale nie potrafiłam wytłumaczyć mu zmian zachodzących we mnie, których nie było widać, dopóki nie spotkaliśmy się jakiś czas później.

Podczas dwóch wizyt, na które Annie zawiozła mnie do Solamente River, właściwie nie rozmawialiśmy; Dillon po prostu całował mnie i dotykał na wszelkie sposoby, na jakie mogliśmy sobie pozwolić w pokoju pełnym skazańców i ich dziewcząt robiących dokładnie to samo. Mimo iż Dillon starał się nad sobą panować, cały czas pocierał moje piersi przedramionami, podczas gdy dłońmi gładził moje włosy i całował mnie po twarzy. Czułam się wtedy wyjątkowo niezręcznie. Z jednej strony czułam jego bliskość i to mnie podniecało, a z drugiej, jakaś część mnie patrzyła na nasze obściskiwanie się z wyższości swego macierzyństwa i potrząsając głową, powtarzała: Nie, nie... dokładnie tak, jak zrobiłaby to Annie. W takich wypadkach nieomal wyczuwałam jej nastrój, gdy siedziała w poczekalni, żując gumę i ze zniecierpliwieniem spoglądając na zegarek. Nie lubiła Dillona, a on nie lubił jej; nazywał ją moim „klawiszem”, gdyż zawsze miała dla mnie sto spraw do załatwienia w weekendy: od wybierania z Charleyem kwiatów do ogrodu, przez chodzenie z nią, by obejrzeć meble przeznaczone do domu na Azalea Road, aż po słuchanie wykładów i pogadanek o macierzyństwie prowadzonych przez ludzi z agencji Jeanine, zajmujących się pomaganiem młodym matkom, które chciały przeznaczyć swoje dzieci do adopcji. A to wszystko, rzecz jasna, powodowało, że miałam mniej czasu na spotkania z Dillonem. Za pół roku będziemy mieć prawo do wystąpienia o następną wizytę małżeńską i uczepliłam się tej myśli z nadzieją, że

wtedy pewnie wszystko się między nami na powrót ułoży. Tymczasem często rozmawialiśmy przez telefon, a ja pisałam mu o moim codziennym życiu i nadziejach na własne mieszkanie.

Własny kącik, nawet jeżeli miałby to być tylko jeden pokój gdzieś na stacji, stał się dla mnie bardzo ważny. Po tym, jak jeden z jego klientów dostał śmiertelny zastrzyk i został pochowany, Stuart wpadł w depresję; złożył podania o pracę na Florydzie i w Nowym Jorku i cały czas pytał Annie, czy i ona je rozsyła, lecz ja nie widziałam, by robiła coś podobnego. Najwyraźniej sytuację zaogniało użeranie się z jeszcze jedną osobą w ich mieszkaniu, więc Annie i Jeanine zaczęły rozmawiać

O tym, żeby załatwić mi jednopokojowe mieszkanie, jakie przysługuje samotnym matkom współpracującym z agencją adopcyjną.

Jeanine to naprawdę niezłe ziółko. Annie mówi o niej, że zawsze nadinterpretuje sytuację na korzyść poszkodowanego.

- Chodzi mi o to, że istnieją warunki, w których musiałabyś oddać dziecko do adopcji - odezwała się kiedyś do mnie.

- Taak - odrzekłam. - Gdyby nagle walnął mnie autobus. Jeanine przyłożyła wtedy palec do ust i powiedziała:

- W takim razie, technicznie rzecz biorąc, możesz zostać uznana za jedną z osób, którym przysługuje mieszkanie...

Jednak wszyscy wiedzieliśmy, że wszystko to jest szalenie krótkoterminowe. Bez względu na rozwój wypadków, prędzej czy później, Annie zamierzała przeprowadzić się na Azalea Road, przynajmniej na jakiś czas. Kilka razy pytałam ją, po co cały czas remontuje dom, skoro i tak zamierza znaleźć sobie pracę i przeprowadzić się do innego stanu, i wtedy jej oczy wypełniały się łzami.

- Czasem wydaje mi się, że wolałabym tu zostać, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas - odpowiadała.

Annie i Stuart mieli się pobrać najpóźniej w ciągu lata, lecz nie byłam pewna, czy ona w końcu się zdecyduje. Choć uczyłam się i pracowałam jak szalona, nie potrafiłam udawać, że myśl ojej przeprowadzce sprawia mi przyjemność. Bardzo lubiłam, gdy opowiadała mi o swych planach związanych z domem przy Azalea Road i wysłaniem mnie na studia. W końcu doszło do tego, że myśląc o przyszłości, miałam przed oczyma Annie i moje dziecko, a nie męża.

Dillon najprawdopodobniej wcale nie był zachwycony tym, że zamiast o naszej miłości, piszę do niego o innych rzeczach: na przykład o zbiorze książek oprawionych w skórę, który dostałam od Annie na piętnaste urodziny; do jej ulubionych należały „Zabić drozda” i „Drzewo w Brooklynie”, dwie historie o dziewczynkach w trudnych sytu-

acjach. Może uważa, że się przed nim przechwalam? A może sądził, że jego prezent, wiersz o przebywaniu w celi i tęsknocie za wolnością, wypadł błado w porównaniu z tym? Napisałam mu, że ten wiersz strasznie mi się podoba, ale że jednocześnie uważam go za przerażający. Zaraz potem opowiedziałam mu o kaktusowym ogródku w ogromnej glinianej misie pomalowanej w gwiazdy i księżyc, który dostałam od Charleya.

„Może zobaczysz go kiedyś w naszym własnym domu” - napisałam.

A później zadzwoniła do mnie mama.

Dillon nigdy by się o tym nie dowiedział, lecz właśnie wtedy odbywaliśmy naszą cotygodniową rozmowę na koszt Annie. Nie rozmawialiśmy jeszcze nawet pięciu minut, gdy panią z centrali nam przerwała i powiedziała, że jest do mnie bardzo ważny telefon od Rity B. Mowbray.

No, no, pomyślałam, pewnie Cam zabił się w wypadku samochodowym, bo po co niby miałyby do mnie dzwonić. Ale do Dillona powiedziałam tylko:

- Pewnie nie daje sobie rady beze mnie w roli pokojówki.

- No, cóż, kochanie - odparł jakoś tak szybko - może powinnaś jednak do niej wrócić, przynajmniej do czasu urodzin dziecka. Uważam, że powinnaś teraz przebywać z rodziną. W końcu krew nie woda.

Wtedy wydawało mi się to strasznie dziwne, bo wiedział, jak wyglądają stosunki między mną a mamą, lecz później zrozumiałam, że chodziło mu tylko o to, bym wyprowadziła się od Annie.

- Dobrze, kochanie, przemyślę to - mruknęłam, lecz panią znowu weszła nam na linię:

- Zamierzacie się rozłączyć czy nie?

Pożegnaliśmy się więc i Dillon odłożył słuchawkę, a chwilę później usłyszałam głos mamy:

- Arley, chcę, żebyś do mnie przyjechała.

- Do domu? - zapytałam. - Po co?

- Po prostu przyjedź... - Wydawało mi się, że na chwilę zakryła dłonią słuchawkę - ...we środe. Na kolację.

- Na kolację? Mama roześmiała się.

- Taak, dziewczyno, na kolację. - A potem się rozłączyła. Nie rozmawialiśmy nawet minuty; pomyślałam sobie, no ładnie, przepadła moja rozmowa z Dillonem, zupełnie bez powodu. Teraz muszę czekać aż do następnego tygodnia.

Okazało się jednak, że nie będzie już następnego razu, tylko skąd ja mogłam wtedy o tym wiedzieć. Nie wiedziałam, że w nadchodzących dniach będę tak bardzo zajęta festiwalem, że po raz pierwszy zapomnę do niego napisać.

Już nigdy więcej nie wysłałam do niego żadnego listu.

Gdy tym razem mnie zignorował, kiedy nie chciał do mnie pisać, omal nie oszalałam. Czy on też oszalał, czekając na moje listy? Czy dało mu to czas na wsłuchanie się w niedopowiedziane rzeczy, w znaczenia pomiędzy wyrazami i doszedł do wniosku, że wszystko każe mu działać? Czy tego typu rzeczy wymykają się na zewnątrz, lecą z wiatrem, przenoszą się po drutach telefonicznych na własnej częstotliwości pomiędzy ludźmi, których uszy wyczulone są na najmniejsze zmiany w głosie drugiego? Dillon zawsze wierzył w znaki.

Tak czy inaczej, kilka dni później Annie zawiozła mnie do domu mamy.

Od razu, gdy tylko weszłam, zauważyłam, że wszystko się pozmieniało. Na miejscu starego, porysowanego sosnowego stołu, na którym jadaliśmy od - jak się zdawało ~ tysiąca lat, stał delikatny komplet z giętego metalu, który bardziej pasowałby na patio jakiegoś eleganckiego domu na południu Francji; zniknęły stare zasłonki, których nie znosiłam, lecz które prałam i prasowałam tyle razy, że kolorem zaczęły przypominać owsiankę, zastąpione przez miniżaluzje, jasnozielone, zaciągnięte, żeby nie wpadało słońce. Mama zawsze powtarzała, że od słońca blakną kolory. Obie z Lang siedziały w saloniku, pałac papierosy, i oglądały talk-show Oprah Winfrey.

- Ale tu pozmieniałyście - powiedziałam, żeby zacząć rozmowę.

- Zaczekaj, aż zobaczysz resztę - odparła Lang z ciemnego pokoju. - Odnawiamy całą górę, kupujemy nowe zasłony i wszystko inne.

Ich twarze, oświetlone blaskiem telewizora, były tak podobne do siebie, że gdybym nie znała głosu siostry, mogłabym je pomylić. Nie wiem, od jak dawna nie widziałam Lang - chyba z rok? - ale gdy wstała, przekonałam się, że jest chudsza i bardziej podobna do mamy, niż pamiętałam. Nawet jej włosy nabrały tego pomarańczowego odcienia, który mama nazywała truskawkowym blondem.

- Dziewczyno - dodała po chwili. - Jesteś gruba niczym maciora.

- Będę mieć dziecko, Lang.

- Słyszałam. Słyszałam, że należą ci się gratulacje, moja mała siostrzyczko! - Mama i Lang omal nie padły ze śmiechu. Potem Lang wyjęła z lodówki talerz z kanapkami z serem i ogórkiem oraz miskę musu jabłkowego. - Mieszkasz teraz z LeGrandami w Welfare?

Dopiero wtedy zrozumiałam i omal nie siadłam; dopóki nie weszłam do tego pokoju, nie rozmawiały o mnie ani o moim małżeństwie nawet przez sekundę. Miały własne życie wypełnione nowymi mebelkami, żaluzjami i zasłonami, a ja byłam dla nich jak natrętna mucha i nie przywiązywały do mnie większej wagi niż do właśnie takiej muchy. Mama nawet nie powiedziała Lang, gdzie mieszkam ani co robię, z wyjątkiem tego, dlaczego pozwoliła jej wrócić do domu. Głowa zaczęła mnie boleć, jak wtedy, gdy zbyt mocno zwiążę warkocz i ciągnie mnie skóra nad czołem.

- Gdzie jest Cam? - spytałam, lecz żadna z nich mi nie odpowiedziała. Mama mruknęła coś na wpół do siebie, na wpół do Oprah, jakby to kopnęła faceta w zadek i wysłała na księżyc, gdyby spróbował z nią podobnego numeru, więc powtórzyłam pytanie: - Gdzie jest Cam? Nie żyje?

- Jest w pracy - odparta wreszcie mama. - Rzucił szkołę. Zostawił ci list.

Na stole leżała zaklejona koperta, rozerwałam ją. „Cześć, Arley -przeczytałam. - Jak się masz? Może moglibyśmy zjeść razem lunch. Twój brat, Cameron Mowbray". Wzruszające, pomyślałam. Ale chwilę później zrozumiałam, że to wcale nie jest takie złe. Lang siedziała przy stole, jedząc kanapkę, i gestem poprosiła, bym się przyłączyła. Mama powiedziała, że idzie się przebrać w domowe ubranie.

- To przystojny facet - odezwała się Lang.

- Cam?

- Dillon LeGrande.

- Tak, dziękuję.

- A co? Sama go wymyśliłaś, kochanie?

- Nie, chodzi mi o to, że miło z twojej strony, że tak mówisz.

- I jesteście naprawdę małżeństwem? W obliczu prawa i inne takie bzdury?

-Tak.

- Nigdy mnie nie miał; nie tak, jak chciał - rzekła wtedy Lang, patrząc w okno za moimi plecami. - Dałam mu trochę, lecz nie wszystko, co chciał.

- Ty ? Co?

- Kiedy byliśmy razem. Przecież wiesz o tym. -Nie.

- No, cóż... teraz to i tak bez znaczenia. Czasy się zmieniają i ludzie też. Teraz spotykam się z bankierem z Dallas. On ma już czterdziestkę na karku! Mama jest strasznie zazdrosna. Zamierzamy wybrać się w rejs, ale mama też chce jechać... -

Lecz wtedy właśnie

mama wróciła i położyła przede mną teczkę z dokumentami, a Lang zamilkła.

- Masz - powiedziała mama. - Podpisz to.

Światło było tak słabe, że nic nie mogłam rozczytać, lecz żadna z nich nie uczyniła najmniejszego ruchu, jakby chciała włączyć lampę.

- Co to jest, mamó?

- Polisa. Nie twój interes. Wszystko jest już spłacone.

- Polisa? Polisa ubezpieczeniowa? - Pomyślałam, że pewnie chce mi dać pieniądze, żebym po porodzie mogła zacząć z dzieckiem normalne życie. Bóg jeden wie, skąd wziął mi się tak szalony pomysł, ale przez sekundę pomyślałam, że wszystko skończy się tak, jak w tym programach telewizyjnych, gdzie ludzie, którzy od lat się do siebie nie odzywali, nagle wyznają sobie uczucia i śmieją się razem, i opowiadają o rzeczach, którymi chcieli się ze sobą podzielić od dwudziestu lat.

Ale potem mama, moja prawdziwa mama, znowu zaczęła mówić.

- Założyłam wam wszystkim polisy ubezpieczeniowe, gdy byliście jeszcze dziećmi, i wpłacałam na nie pieniądze każdego roku. Twoją właśnie niedawno spłaciłam, więc podpisz to, bym mogła ją zrealizować.

- Zrealizować?

- Żebym mogła wyciągnąć pieniądze. Muszę już zacząć coś odkładać na emeryturę... no i chcę też trochę popodróżować.

- Chodzi ci o ten rejs?

- Skąd o tym wiesz? - Oczy mamy nagle zaczęły błyszczeć.

- Lang mi powiedziała - odparłam, a mama wzięła kanapkę z ogórkiem i zaczęła ją skubać. Jednak ja nadal nie do końca wszystko rozumiałam. - Czy te pieniądze są dla mnie i dla mojego dziecka?

Mama tylko popatrzyła na mnie.

- A czy ty wpłacałaś na nią pieniądze?

- Powiedziałaś, że polisa jest na mnie.

- To polisa ubezpieczeniowa na życie, dziewczyno. Gdybyś umarła w dzieciństwie, dostałabym za ciebie trochę pieniędzy, ale ponieważ nadal żyjesz, chcę odzyskać moją forszę.

- Więc nie chcesz, żebym do ciebie wróciła?

- Co takiego?

- Żebym wróciła do domu. Zamieszkała z tobą.

- Nie mam tu miejsca dla dziecka, Arley. Razem z Lang liczymy dni, kiedy i Cam wreszcie się stąd wyniesie. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się tym wszystkowiedzącym uśmiechem, jakby życie było żartem, którego tylko ja nie rozumiem. - Poza tym słyszałam, że zamierzasz wprowadzić się do tego dużego domu razem z twoją adwo-

katką. Słyszałam, że ma ogromną chałupę z dwoma piętrami i wszystkim...

- Skąd wiesz o domu Annie?

- Nie twój interes. Mam swoje źródła. - Nie wiedziałam wtedy i nadal nie wiem, o jakich źródłach mogła mówić. Jednak moja mama była zdolna do wszystkiego; po tamtej nocy nigdy niczego nie uznaję za niemożliwe z jej strony. - No, to co? - dodała, jakbyśmy właśnie zjadły razem wspaniałą, sycący posiłek. - Podpiszesz te papiery? Powiesz mi, jak się miewa dziecko? Moje pierwsze wnuczę. I pomyśleć, że nie mam jeszcze czterdziestu lat...

Wiedziałam, że to dla niej ogromny wysiłek i prawie chciałam ją do tego zmusić, by zadała mi pytania, które zadałaby swemu dziecku każda normalna matka. Chciałam zmusić ją do zainteresowania, którego nie rozumiała, nie mówiąc już nawet o odczuwaniu, żebym nie musiała wstać i wyjść z tej cholernej nory, trzaskając za sobą drzwiami bez podpisywania jej piekielnych dokumentów.

Lecz w końcu je podpisałam.

Nawet nie zapytałam, czy mogę zadzwonić. Po prostu wyszłam stamtąd i udałam się do sąsiadki, starej pani Jewell, i od niej zadzwoniłam po Annie. Kiedy podjechała, nic jej nie powiedziałam, lecz chyba sama wszystko sobie wykombinowała. Gdy wracałyśmy do domu, zdałam sobie sprawę, że nawet nie pożegnałam się z siostrą, choć wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, że widzę ją po raz ostatni. Ani przez chwilę nie uwierzyłam w to, co chciała mi wmówić o sobie i Dillonie... że niby mieli jakiś romans przed laty. Nadal w to nie wierzę. Lang zawsze była taka, że chciała wziąć dla siebie wszystko, co tylko zobaczyła u innych. Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, co wydarzyło się tamtej nocy w moim dawnym pokoiku na poddaszu... zanim krew rozpryskała się po ścianach... ani o następnych nocach... Po prostu nie chcę wiedzieć.

Następnego dnia umyślnie wzięłam wolne, żeby dobrze wypocząć przed ostatnim dniem fiesty. Ale już przed południem okazało się, że wcale nie jest tak wspaniale - choć było piekielnie gorąco, czułam się fatalnie. Cały czas się pociłam, a gdy stałam naga przed lustrem w łazience, widziałam, jak coś w moim brzuchu porusza się i pulsuje, niczym w „Obcym”. Trochę mnie to przeraziło, lecz mimo iż brzuch miałam tak napięty, gdy włożyłam ubranie, wyglądałam tylko na odrobinę grubszą. Naprawdę nie mogłam znaleźć przyzwoitego stroju na bal Eleny, i było mi strasznie źle. Wreszcie Annie zaczęła się dobijać do drzwi łazienki.

- Na miłość boską, Arley. Wyjdź stamtąd wreszcie! Pozwól i innym skorzystać z toalety.

Lecz gdy wyszłam, i kiedy zobaczyła, że płakałam, bez słowa odłożyła swoją robotę i poszłyśmy po zakupy na targ meksykański.

Wchodziłyśmy i wychodziłyśmy z maleńkich sklepików, przymierzając różne ubrania i wygłupiając się niemiłosiernie. Usłyszałyśmy, jak jakaś stara Meksykanka mówi *su hija* i *embarazada*, co wcale nie oznacza „zaambarasowania”, lecz „ciążę”.

- Ona wcale nie jest moją córką - odparła Annie. -1 nie jest w ciąży. Po prostu strasznie się wstydzi nadwagi.

Nie miałam pojęcia, że tak świetnie zna hiszpański!

Strasznie się wtedy śmiałyśmy ze staruszki, ale właśnie tam kupiłyśmy sukienkę dla mnie, kremową, zwiewną, zrobioną z meksykańskiej koronki z szalem, który można było przyczepić na karku i zamienić w szerokie rękawy. Kiedy już wracałyśmy do domu, przeszłyśmy obok salonu fryzjerskiego nieopodal Taco Heaven, do którego zawsze chciałam pójść, gdyż wyglądał strasznie nowocześnie i szykownie.

Zatrzymałyśmy się na moment i powiedziałam do Annie:

- Chcę tu ściąć włosy.

- Arley, o Jezu - odparła. - Nie twoje śliczne włosy... tylko nie to...

No, cóż... tu popełniła błąd, gdyż w następnej sekundzie już znalazłam się w środku i pytałam o cenę. Potem usiadłyśmy w kafejce przy tortillach z jabłkami i cynamonem i czekałyśmy na moją kolejkę u fryzjera. A po chwili siedziałam już w fotelu i śliczna wysoka Meksykanka wołała o aparat fotograficzny, by zrobić mi zdjęcie przed ścięciem włosów, i pytała raz po raz, czy na pewno tego chcę.

Kiedy stamtąd wyszłyśmy, trzymałam w ręce torebkę własnych włosów, które ciążyły mi jak ubrania sportowe po zawodach. Fryzjerka zostawiła tyle włosów, by sięgały dobrze za ramiona, lecz jednocześnie jakoś je podniosła i podkręciła, że właściwie nie czułam ich wagi. Kiedy spojrzałam w lustro, ubrana w nową sukienkę, zobaczyłam młodą kobietę zamiast dziewczynki o dużym brzuchu i warkoczach.

Nawet Stuart, gdy mnie zobaczył tego wieczora, gwizdnął cicho i mruknął:

- *Muy linda!*

Kiedy zważyłam się przed snem, byłam o pięć funtów lżejsza.

Tuż przed wyjściem dostałam paczkę ekspresową od Dillona, co wcale nie było takie dziwne, gdyż czasem się niecierpliwił i przysyłał mi w ten sposób list albo wiersz; raz nawet przysłał swoje zdjęcie w stroju więziennej drużyny baseballowej. Tym razem jednak ledwie mogłam otworzyć przesyłkę, gdyż właśnie miałam wychodzić z tatą Eleny, który

nie widział mnie od czasu ślubu i teraz stał skonsternowany na progu i jąka! się, rozmawiając ze Stuartem. Szczerze mówiąc, ich widok strasznie mnie rozbawił; wyglądali jak dwaj zdenerwowani ojcowie przed pierwszą ważną randką córek. W kopercie znalazłam kremową kartę, taką, jaką wysyła się nowożeńcom z wiadomością, czy przyjdzie się na wesele, oraz wstążkę; właściwie nawet nie jedną wstążkę, lecz pięć, w różnych odcieniach czerwonego, splecionych w jeden warkocz. Na karcie było napisane: „Daj mi swe usta, kochana”.

Przez chwilę pomyślałam, że Dillon chce, bym założyła tę wstążkę na bal, lecz przecież nie miał pojęcia, że w ogóle na niego idę. A potem przypomniałam sobie czarnooką córkę karczmarza i to, że przepłotła długie czarne włosy czerwoną wstążką i przez moment nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Potem zastanowiłam się, co Dillon pomyśli o mojej nowej fryzurze? Zniknęła większość włosów, którymi okrywał się podczas naszej pierwszej wspólnej nocy. Teraz były normalnej długości, jak powiedziała Annie, długie, lecz nie za bardzo. Nie miałam pojęcia, jak mu o tym powiedzieć; poza tym teraz nie chciałam o tym myśleć - wspomnienie Dillona pod tym szperającym światłem z wieży strażniczej było ostatnią rzeczą, jaką chciałam zanieść ze sobą na bal ostatniego dnia fiesty. Więc odłożyłam list na biurko; wstążkę mam do dziś.

Bal odbywał się w ogromnym pawilonie tuż nad rzeką, do którego w jakiś sposób podłączono klimatyzację; dokoła stały platformy Księżniczek, wyglądające jak kolorowe wozy z mego snu, pastelowe i zwiewne tak, że nawet z bliska trudno było się dopatrzeć konstrukcji pod mnóstwem kwiatów. Elena wybiegła mi na powitanie; wyglądała jak jakaś modelka albo aktorka; może właśnie tym zostanie w przyszłości. Może ten bal był jej pierwszym kroczkiem ku sławie?

- Ściąłaś włosy! - wrzasnęła. - Ściąłaś włosy, Arley Mowbray! Przedstawiła mnie wszystkim innym Księżniczkom i podczas gdy

one pozowały do zdjęć, ja zatańczyłam z Rickym Nevadą. Powiem wam jedno - ten chłopak jest stworzony do noszenia fraka! Ricky jest właściwie prostym mechanikiem samochodowym, lecz gdy się wymyje, wygląda jak model od Calvina Kleina, a tej nocy aż pachniał mydłem. Zachowywał się jak należy, a ja trochę się z nim droczyłam.

- Tylko mnie nie całuj, Arley, bo na powrót zamienię się w dynię. - Śmiał się głośno.

- W żabę, Ricky. Zamieniłbyś się z powrotem w żabę. Śmieliśmy się tak bardzo, że nie zauważyłam nawet Erica Doreya, dopóki do nas nie podszedł. Powiedział „odbijany” zupełnie tak, jak chłopcy

w książkach, które pożyczyła mi Annie zeszłego lata, gdy Desi wyrzyna-ły się ząbki i nie mogłam spać po nocach. Z początku prawie go nie poznałam. Nie widziałam go od wielu miesięcy, ponieważ rodzice wysłali go do szkoły wojskowej w Kiflen po tym wypadku podczas imprezy. Zmienił się nie do poznania, jak większość chłopców w tym wieku. Wcześniej nie był wyższy ode mnie, lecz teraz znacznie mnie przerósł, szczupły i długi - miał co najmniej już ze sześć stóp! - głos także mu się zmienił i już nie widziałam w nim jasnowłosego elfa z lekcji matematyki.

- To ty, Erie? - spytałam.

Musiał zapewne myśleć to samo co ja; aż się zarumieniłam, gdy zauważyłam, jak mi się przygląda - jakby podobało mu się to, co widzi, lecz jednocześnie nie był pewien, co się dzieje.

- Jestem w ciąży - wyjaśniłam, kiedy tak staliśmy pośrodku parkietu, wolno obracając się wokół własnej osi. Dłonie splotłam na jego karku. - To już prawie szósty miesiąc.

- Oj, Arley - odparł cicho i odwrócił wzrok, jakbym mu powiedziała, że mam raka czy coś w tym stylu.

- Nie, nie ma sprawy. Jestem mężatką. - Dlaczego od razu mu nie powiedziałam, kto jest moim mężem? Albo gdzie jest w chwili obecnej? Po prostu nie powiedziałam, a on nie pytał. Przetańczyliśmy tę piosenkę i następną, a potem Elena mi go odbiła, wpadając między nas niczym czerwona papuga, lecz później znowu do mnie wrócił. Rozmawialiśmy na różne tematy. O szkole i o tym, jak to częściowo go zachwycała, a częściowo jej nie znosił, choć jego ojciec także był żołnierzem. O tym, że chce zostać naukowcem albo może lekarzem i pracować z ofiarami poparzeń, albo biec się z eksperymentami genetycznymi, lub być biologiem, który hoduje próbki ludzkiej skóry z małych kawałków, jakie zostały po wypadkach... Ja opowiedziałam mu o kursach kosmetyki korekcyjnej i o tym, że może pójść do college'u albo zaraz zacznę pracę. Chyba nie za bardzo mu się to podobało, choć ja myślałam o tym tak samo, jak on o swojej pracy -jako o pomaganiu ludziom upośledzonym przez los.

- Jesteś na to za dobra, Arley - powiedział, jakby był na mnie zły. -Jesteś zbyt inteligentna, by zostać kosmetyczką.

- To nie o to chodzi.

- No, cóż... nieważne, o co chodzi, i tak jesteś na to zbyt mądra. Powinnaś zostać nauczycielką albo pisarką... Albo wielką sportsmenką...

- Pewnie, że jestem wielka - odparłam, wskazując na mój brzuch; właśnie wtedy dziecko jakby się przetoczyło i poruszyło między nami. Erie podskoczył jak oparzony.

- Wszystko w porządku? - spytał, a ja się roześmiałam.

- Oczywiście, że tak. Dziecko jest żywym stworzeniem, wiesz?

- To żyyyje! - wrzasnął i dopiero wtedy zobaczyłam, że nadal jest tylko chłopcem, choć dobrym człowiekiem jak zawsze. Potem trzymał mnie już nieco ostrożniej, a ja zaczęłam się tak trochę dziwnie czuć, jak wtedy gdy chcesz, by dotknął cię ktoś, kto tak naprawdę nie powinien tego robić. Strasznie mnie to zawstydziło i oderwałam się od niego; mimo to cały wieczór spędził przy mnie. Razem obserwowaliśmy, jak Elena dostaje swoje kwiaty i bierze udział w marszu, i tak dalej. A potem mali chłopcy zaczęli biegać po pawilonie i przekłuwać baloniki, bez względu na to, jak bardzo ochrona starała się ich powstrzymać. To Erie odwiózł mnie z powrotem do domu, cały czas powtarzając mi, że bym do niego pisała, bo został mu jeszcze jeden rok szkoły wojskowej przed pójściem do college'u...

Wydaje mi się, że zobaczyliśmy wóz policyjny w tej samej chwili.

Najpierw pomyślałam, że coś się stało Annie. Omal nie oszalałam; moje myśli natychmiast zaczęły krążyć wokół jednego: Och, nie, nie... Och Boże, jakiś szajbnięty mężulek jednej z jej porabianych klientek napadł na nią i zabił przed jej własnym domem... już jej nie zobaczę, a ona nigdy nie pozna mojego dziecka... ale prawie natychmiast powiedziałam sobie, że to niemożliwe; gdyby stało się coś złego, oprócz wozu patrolowego stałby tu ambulans, jak tamtej nocy pod domem Erica, kiedy zginął Corty. Nie dostrzegłam żadnego samochodu oprócz tego jednego; wiedziałam, iż stało się coś złego. Nawet nie przyszło mi *ćo* głowy, że policja przyjechała do którejkolwiek z sześciu rodzin mieszkających w tym samym budynku.

Wyskoczyłam z samochodu, lecz najpierw pocałowałam Erica mocno w usta; nie tak jak robią to zakochani, nie otwartymi ustami, lecz po prostu mocno i długo, jakbym żegnała go na zawsze. A potem pobiegłam najszybciej, jak tylko mogłam, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zahaczyłam butem o brzeg sukienki i porwałam ją - potem musiałyśmy oddać ją do naprawy. Kiedy dobiegłam na nasze piętro, zobaczyłam, że Annie i Stuart pędzą w moją stronę. Oboje zaczęli mnie dotykać i oglądać, cały czas powtarzając:

- Nic ci się nie stało? Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? Wysłali po mnie policję na festyn, lecz sama wcześniej wróciłam do domu.

Mój mąż uciekł z więzienia, zabijając po drodze człowieka.

Wszystko stało się zaledwie kilka godzin wcześniej, mniej więcej w czasie, gdy dostałam przesyłkę. Jednak połączenie Dillona ze mną

zajęło policji trochę czasu, a potem jeszcze więcej odnalezienie mnie. Uciekło ich czterech, powiedziała mi Annie. Kevin LeGrande, indiański dzieciak, który wraz z nimi brał udział w napadzie na stację benzynową, i facet, który kiedyś studiował stomatologię, a siedział za sprzedawanie narkotyków; nie oddalili się nawet od muru, kiedy niedoszłego dentystę postrzelili strażnicy. Ktoś ich zobaczył i krzyknął, a on spanikował i zaczął uciekać. Na szczęście rana nie była poważna; to on opowiedział naczelnikowi w Solamente River, jak zaplanowali ucieczkę -głównie on i Dillon, jeżeli można wierzyć jego słowom.

Zaprószyli ogień w pralni, a gdy kierowca ciężarówki, która zazwyczaj dowoziła zapasy, przyszedł sprawdzić, co się dzieje, załatwili go bardzo szybko, za pomocą słuchawki telefonicznej zawiniętej w skarpetkę. Potem odjechali ciężarówką, przebrani w jego ubranie i używając jego identyfikatora. Za murem więzienia porzucili ciężarówkę; Kevin powiedział potem policji, że była za wolna.

Zabili szeryfa federalnego. Nawet nie był na służbie. Po prostu usłyszał o ich ucieczce w radiu, gdy wracał do domu ze sklepu. Zobaczył na parkingu Diliona i Kevina, usiłujących ukraść samochód, i podszedł do nich. Kevin opowiadał, że Spirito, Indianin, wyskoczył z tylnego siedzenia z szybkością błyskawicy i zwałił szeryfa z nóg, uderzając go głową w brzuch. A potem jeden z nich odebrał mu rewolwer... Szeryf miał trójkę dorosłych dzieci.

Wątpię, czy ktokolwiek z nas zmrużył oko tamtej nocy.

Gdzieś w środku nocy Annie odebrała telefon; podniosłam słuchawkę w moim pokoju i niestety jej nie odłożyłam, lecz gdy usłyszałam głos mężczyzny po drugiej stronie, nie potrafiłam tego zrobić. To był ten sam człowiek, którego widziałam w sądzie, i w więzieniu w dniu naszego ślubu i potem jeszcze, gdy przyszedł do nas do przyczepy i wydawał się zły na Dillona i strasznie smutny jednocześnie.

- Ray - szepnęła Annie, jakby serce jej pękało.

- Ależ pomogło temu twojemu LeDraniowi wsparcie rodziny i bliskich...

- Rayu Henry, czy naprawdę uważasz, że chciałam, by do tego doszło?

- Uważam, że mogłaś mnie posłuchać, Anne. Uważam, że mogłaś choć raz mi zaufać, gdy mówiłem, że mam podle przeczucie co do tej całej sprawy. Nawet przemądrzała adwokatka z Nowego Jorku...

- Nie. Nie rób tego. To tani chwyt.

- Wiem. - Naczelnik westchnął ciężko. - Wiem. - Urwali. Naprawdę odłożyłabym słuchawkę, gdyby nie to, że wiedziałam, iż usłyszą

trzask w aparacie. - Anne, policja musi wiedzieć, czy ten ptaszek powiedział coś swojej małej dziewczynce... Jeżeli ona coś wie...

- Ona nic nie wie, Rayu Henry. Przysięgam ci na własne życie.

- Bo jeżeli wie...

- Powiedziałyby mi o tym, Ray...

- Okay, okay, Anne. Po prostu znałem tego szeryfa. Znałem jego żonę i dzieci.

Trudno o lepszego faceta...

- Błagam, Ray... Proszę. Wiem, że muszę tego wysłuchać... wiem, że na to zasługuję... - Nagle zaczęła wydawać z siebie dziwne, płaczliwe dźwięki, niczym mały głodny szczeniak. Oczy wypełniły mi się łzami. Och, Annie.

- Nie płacz, Anne. Teraz nie ma co płakać. Nikt cię nie obwinia.

- Sama się obwiniam.

- Po prostu zapytaj Arlington jeszcze raz. Może wie cokolwiek... Okay?

- Okay.

Odłożyła słuchawkę i ja też.

Kiedy następnego ranka policja złapała Kevina w domu jego matki, zaraz się z nami skontaktowała. Kevin powiedział, że nigdy nie wyobrażał sobie, by sprawy mogły się im aż tak wymknąć spod kontroli, jak stało się to na parkingu przed sklepem.

Przyznał, że strasznie się tego wstydzi i wie, że nie powinien był słuchać Dillona, tylko odsiedzieć swój następny rok. Nigdy nie powinien był usłuchać Dillona, który zawsze pakował go w tarapaty.

Kiedy policja go aresztowała, Kevin miał przy sobie rewolwer, z którego zastrzelono szeryfa federalnego.

Ale powiedział, że to Dillon pociągnął za spust.

O ile wiem, nikt nigdy więcej nie zobaczy] Spirita w Teksasie; nadal jest na liście najbardziej poszukiwanych. Jack Becker, chłopak Jeanine, który jest policjantem, i tamta pani z FBI mówią, że Spirito był z nich wszystkich najmądrzejszy.

Prawdopodobnie przekroczył granicę meksykańską przed zmrokiem i do tej pory gdzieś tam siedzi.

Dillon także wykazał się sprytem. Możliwe, że przekroczył granicę jeszcze tej samej nocy, wiemy na pewno, że próbował tego później. Gdyby mu się udało, mógłby zniknąć na zawsze. Jednak wrócił do Stanów, lecz nie dlatego, że był za głupi, by zaszyć się w Meksyku, lecz dlatego, że pragnął czegoś jeszcze oprócz wolności.

Albo mnie się tak wydaje.

Tamtej nocy chciałam wstać z łóżka i wdrapać się Annie na kolana, by ukołysała mnie do snu niczym dziecko. Ale nie mogłam tego zrobić.

Niedługo sama miałam zostać matką, więc powinnam przestać zachowywać się jak dziecko. Poza tym strasznie się wstydziłam. W ciągu kilku miesięcy znajomości przysporzyłam jej więcej kłopotów niż komukolwiek innemu w ciągu całego mojego życia. I nawet nie byłam jej dzieckiem.

Może gdybym wtedy pozwoliła Annie się ukołysać, przypomniałabym sobie o kartce od Dillona, którą dostałam ekspresem. Oddałabym ją policji, wiem, że tak bym zrobiła, choć i tak nie na wiele by się to zdało. Jednak przypomniałam sobie o niej dopiero kilka nocy później, gdy znalazłam ją wetkniętą pomiędzy strony książki, którą czytałam. Podniosłam ją i przytuliłam do policzka; miałam uczucie, jakby mnie piekła. A potem odłożyłam ją w to samo miejsce; pewnie tkwi tam do tej pory.

Marzenia w celi

Późno w nocy: śnię, coś dzikiego

pcha mnie do przodu niczym kamyk

po diabelnej ścieżce; coś naprawia się we mnie -

a może psuje jeszcze bardziej, szaleje, jak mówią.

Moje życie przypomina spacer w burzliwą noc - każdy

wiosek powstaje na mej głowie, każdą komórkę przenika dreszcz;

nic nie ma przede mną i nic za mną nie widnieje.

Później: tania whisky odkupienia pali mnie w gardło, przynosi ukojenie nocną porą.

Jeszcze później: światła przydrożne (teraz

śnię o tobie) i tysiące mil autostrady; noc brzęcząca

muzyką - samotni kowboje i anielskie dziewczęta,

i śmierć; o drugiej nad ranem kaznodzieja country

zeznaje i kołysze się w Duchu.

Musimy zatrzymać się w motelu, odsunąć prześcieradła

i złączyć się, zespolić, wołając: „O, Panie!”

podczas gdy nad nami gwiazdy wypalają dziury

w materiale nocy.

Dillon Thomas LeGrande

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ANNIE

Kiedy już umieściliśmy ją w mieszkaniu, trop ostygł; reporterzy nadal mogli mnie nachodzić, lecz po jakimś czasie znudziło im się siedzenie w poczekalni i gawędzenie z Lilią myjącą filodendrona, więc w końcu poszli.

A potem usiłowali dotrzeć do „prawdy” innymi drogami.

W końcu historia była naprawdę fajna - zdesperowany przestępca i jego nastoletnia żona w ciąży. Ale tym, co sprawiło, że odyseja Dillona urosła do rangi legendy, oprócz sposobu, w jaki przyjął nowe imię, była dokumentacja moich prawniczych zdolności - bez jaj, bez kitu, jak powiedziałyby Arley: był to wiersz wyciągnięty przez jakiegoś gryzpiórka z dokumentacji sądowej, dotyczącej rozprawy „Małżonkowie LeGrande przeciwko stanowi Teksas i Rayowi Henry'emu Southwynnowi”.

Omam trupem nie padłam, kiedy dowiedziałam się, że historia pozwu Arley i Dillona oraz wiersz z dnia na dzień stały się ogólnonarodową sensacją.

A to był tylko początek. Prezenterka telewizyjna z San Antonio dostała skądś teczkę z chronologicznie posegregowanymi wierszami Arley i Dillona. W wieku lat piętnastu i w ósmym miesiącu ciąży, Arley dostała wyjątkowego zaszczytu zobaczenia swoich wierszy wydrukowanych w magazynie „People”, tuż obok swego zdjęcia z zawodów sportowych - młoda dziewczyna w obcisłym stroju z długim warkoczem przerzuconym przez ramię, wyglądająca zbyt dorośle i ponętnie, by w ogóle być Arley, którą ja znam. Za każdym razem, gdy pojawiały się wiadomości o Dillonie, aż do nocy pożaru, a w zasadzie jeszcze długo później, poezja zawsze stanowiła nieodłączny składnik wiadomości. Jakiś kretyn ułożył muzykę do wiersza „To, co prawdziwe”, dodał do niego kilkanaście własnych linijek o piekle i samotności w celi i zrobił z niego piosenkę, dzięki czemu ludzie zaczęli znowu powtarzać, jak

bardzo utalentowany był... Dillon. I, oczywiście, gdy tylko pojawiały się jakieś nowe odcinki legendy o „Wędrowcu”, w gazetach ukazywały się następne zdjęcia Arley - zrobione po kryjomu - ciężarnej, siedzącej na balkonie w moim mieszkaniu, na balu w ostatni dzień fiesty z Eleną, ale zawsze i wszędzie jej zdjęcie z zawodów. Kiedy Arley zobaczyła je po raz pierwszy, zareagowała jak typowa nastolatka.

- Świetne zdjęcie! Nigdy wcześniej go nie widziałam... Skąd oni je wytrzasnęli? Mogę sobie zatrzymać?

W magazynie „People” ogromny artykuł, zatytułowany „Dobre dziewczynki i źli chłopcy” został poświęcony kilku podobnym sprawom z niedalekiej przeszłości, lecz głównie skupiał się na Arley oraz rodzaju prawa, żeby nie wspominać o rodzaju prawników, którzy pozwolili czternastoletniej dziewczynie wejść w mury więzienia o zaostrowym rygorze, by przespała się z mężczyzną dwa razy od niej starszym. Każdy z moich pracowników zobaczył ten artykuł, podobnie jak członkowie zarządu - jestem pewna, że byli nim zachwyceni. Ray Henry przysłał mi wycinek tego artykułu wraz z liścikiem na więziennej papeterii z prośbą o autograf; nigdy mu nie odpowiedziałam.

Tamtego miesiąca Stuart kupił mi prezent: rewolwer Smith & Wesson, kalibru dziewięć milimetrów, z plastikową rękojeścią oraz, wedle dokumentacji, „suwakiem celownika”.

- I co ja mam z tym zrobić? - zapytałam, patrząc z przerażeniem na broń.

- No, cóż... nasze wspólne życie dało mi okazję do powiedzenia kilku rzeczy, o czym zawsze marzyłem - odparł Stuart. - Na przykład: Annie, chwyć za broń.* Jeżeli ten świr się na ciebie zasadzi, bo sądzi, że ukrywasz przed nim jego żonę, podziękujesz mi za sposobność noszenia tego ciężaru w torebce... przynajmniej dopóki go nie złapią.

- Stuarcie, nie wiem, czy potrafiłam strzelić z tego do...

- Nawet żeby ocalić własne życie?

Tak więc w następną sobotę poszliśmy na strzelnicę wraz z słodkim policjantem chłopakiem Jeanine, Jackiem. Wyszło na to, że mam wcale niezłe oko - szczerze mówiąc, sama nigdy nie spodziewałam się, że to powiem.

Trzeba przyznać, że mieliśmy wtedy ciekawy miesiąc: pierwszy, gdy Dillon był na wolności, i pierwszy, gdy naprawdę widać było ciążę

* „Annie, chwyć za broń” - w oryginale „Annie, Get Your Gun” - tytuł popularnego musicalu (przyp. tłum.).

po Arley; również najgorętszy z całego pochodu gorących, bijących rekordy miesięcy w stanie znanym z upalnego lata. Starzy ludzie topili się w betonowych blokowiskach, a moje biuro pękało w szwach od najróżniejszych spraw dotyczących molestowania dzieci. Nie było ani chwili wytchnienia, ani chwili przerwy, lecz i tak cała moja uwaga skupiona była na Arley.

Mimo iż dni mijały, a policja stanowa połączyła swe wysiłki z FBI, nikt nie miał pojęcia, gdzie szukać Dillona i jego kumpla Saumela San-cheza, zwanego Spirito. Okazało się, że Spirito trafił do więzienia Solamente River zaledwie miesiąc wcześniej za udział w bójce na noże z chłopakami z farmy, w której pobliżu ukrywał się po napadzie na stację benzynową, dokonanym z braćmi LeGrande. Kiedy Dillon nie zjawiał się na moim progu ani w domu Rity czy w Pierwszym Banku Stanowym Teksasu, zniecierpliwiona publiczka zaczęła narzekać na brak akcji, więc media znowu ułagodziły ją dawką poezji; jednak zmartwionej i coraz grubszej Arley nic nie było w stanie utulić. Nie potrafiłam odciągnąć jej od telewizora, gdy zaczynały się wieczorne wiadomości; nieraz widziałam, jak siedzi w salonie z poczuciem winy i paniką wypisanymi na twarzy i od nowa odtwarza taśmy wideo, na których zarejestrowaliśmy wiadomość o ucieczce Dillona, tylko po to, by zatrzymać je na jego zdjęciu z aresztu śledczego. Martwiła się - jak mi raz powiedziała i omal mnie szlag nie trafił - że ktoś zrobi Dillonowi krzywdę, zanim będzie miał okazję wszystko wyjaśnić.

Nie chciałam Arley spuszczać z oczu, a załatwianie mieszkania dla niej wydawało mi się w tej chwili szalonym ryzykiem. Jednak Stuart i Jeanine przekonali mnie, że naprawdę będzie bezpieczniejsza w jednym z domów agencji Jeanine, gdzie Dillon jej nie znajdzie. Ponieważ młode matki oddające swe dzieci do adopcji bardzo często miewają trudną sytuację rodzinną, mieszkania opłacane przez agencję zarówno z prywatnych, jak i państwowych funduszy często przenoszono z dzielnicy do dzielnicy i nikt nie miał dostępu do danych o aktualnym miejscu zamieszkania osoby biorącej udział w programie. Kiedy Jeanine zaprowadziła mnie do Tarasu - który, jak rzekła z naciskiem, znajdował się zaledwie sześć minut jazdy samochodem od mego własnego mieszkania - wyglądał tak znajomo, że nie mogłam uwierzyć, iż nigdy wcześniej tu nie byłam; w mieszkaniach za podobnymi drzwiami i okiennicami opatrywałam tysiące poranionych twarzy moich klientek.

Nieunikniona ruina tych mieszkań była widoczna w już zatartych fasadach nowości; Taras wyglądał wspaniale, niczym tandetne ubrania w sklepiku - wspaniale na wieszaku, lecz bezkształtne i brzydkie już po

kilku miesiącach używania. Za rok ten jasny budynek będzie wyglądał jak domy na Alameda, gdzie trawę wydeptały do gołej ziemi hordy bosonogich dzieciaków, a drzwi krzywo wiszą na spaczonych zawiasach. Pocięczałam się jedynie tym, że za rok Arley będzie mieszkała ze mną na Azalea Road lub na Florydzie, albo gdzieś w akademiku w college[^] - choć, oczywiście, była jeszcze za młoda, by ktokolwiek zechciał ją przyjąć na studia, w każdym razie nie tutaj.

Choć strasznie się o nią martwiłam i choć ona szalała z rozpaczy z powodu Dillona, te kilka tygodni, które Arley spędziła w Tarasie, należały chyba do najspokojniejszych w jej życiu. Inne dziecko w tym wieku być może nie poradziłoby sobie z samodzielnym mieszkaniem, lecz dla Arley wykształconej przez Ritę było to małe piwo. Kiedy patrzę na Donniego, mojego siostrzeńca - który obecnie ma tyle lat co Arley wtedy - widzę ogromną różnicę między nimi. Donnie nadal jest smarkaczem, któremu trzeba przypominać, by wieczorem mył zęby i zmieniał pościel co parę miesięcy. On i mój szwagier co jakiś czas strasznie się kłócą nad jakimś projektem z fizyki, a potem szwagier przez całą noc skleja styropianowe kulki w model atomu, podczas gdy jego syn spokojnie śpi na kanapie. Jednak czas spędzony w Tarasie umożliwił Arley po raz pierwszy w życiu odpowiadać tylko za siebie. Nawet gdy mieszkała ze mną i Stuartem, była przykładem dobrej gospośki - robiła nam pranie, nigdy nie musieliśmy odkurzać i często gotowała nam posiłki. Wypominałam to Stuartowi, mówiąc, że dzięki niej mamy znacznie mniej pracy i to właściwie tylko za cenę jej wyżywienia. (Ale on nie zgadzał się ze mną - mówił, że „Arley narusza jego prywatność”).

Kiedy pewnego dnia o świcie, eskortowane przez nieoznakowany wóz policyjny pojechałyśmy do jej nowego mieszkania, zaskoczyła mnie radość, z jaką powitała nieznanne otoczenie. Patrząc na nią, czułam radość i poczucie winy, co w przypadku mojej osobowości często jest jednym i tym samym. Mieszkanie umeblowano w stylu z lat osiemdziesiątych - „wszędzie nowe ekologiczne tony”, ale Arley strasznie podobała się pękata sofa w pomarańczowym kolorze, przypominająca dynię, na której sam widok robiło mi się słabo. Rozpakowała swoje książki, oprawne w skórę tomiki poezji i małe bibeloty, które kupiła w Goodwillu: zebnę z porcelany, tęczową makatkę nad kołyskę dziecka i lampkę w kształcie staromodnego wozu z Dzikiego Zachodu. Choć dzwoniłam do niej dwa razy dziennie i odwiedzałam praktycznie co dzień, uwielbiała swą samotność - była sama, lecz nie jako niewolnica Rity Mowbray. Nieraz myślę o ślubnym zdjęciu Arley, które trzymała przy łóżku w ramce w kształcie serduszka, które Elena „im” dała

w prezencie ślubnym. Była to naprawdę śliczna rzecz, zwłaszcza że ich dziewczęce gusty zdawały się raczej przedkładać rysunki kociaków lub zdjęcia piosenkarzy nad tego typu pamiątki. Myślę o Arley na tym zdjęciu, w kremowej sukience Eleny i czerwono-czarnych kowbojkach -które musiała odstawić do szafy, gdy w drugim trymestrze ciąży nogi zaczęły jej puchnąć w kostkach - z zarzuconą na ramiona dżinsową kurtką, gdyż - jak mi później wyjaśniła - była to jej jedyna błękitna rzecz. Uśmiechała się na tym zdjęciu, jakby za chwilę miała opuścić pawilon z Oscarem w dłoni. Pomimo wszystkich moich odczuć związanych z wpływem Dillona LeGrande na jej życie, kiedy tylko patrzyłam na to zdjęcie, chciałam dla dobra Arley cofnąć wskazówki zegara i przywrócić jej radość, jakkolwiek iluzoryczną, którą cieszyła się, gdy Dillon był jeszcze tylko postacią abstrakcyjną, spokojnie zamkniętą przed nią w odległym więzieniu Solamente River, wraz z podnieceniem związanym z jej pierwszymi samolubnymi odczuciami, na które nikt bardziej niż ona nie zasługiwał. A jednak z każdym mijającym dniem utwierdzałam się w przekonaniu, że Arley lepiej jest bez niego - nic nie wiedziałam o tajemnych liścikach ani o jej strachu czy bezsilnym poczuciu odpowiedzialności za to, co Dillon zrobił. Wątpiłam szczerze, byśmy go jeszcze kiedyś zobaczyły na oczy; chyba że nie był w końcu tak inteligentny, jak się wydawał.

Do tej pory zdołałam namówić Charleya, by darował sobie przygotowywanie domu na Azalea Road do wielkiego weseliska i po prostu zrobił wszystko, co w jego mocy, by dało się mieszkać w tej starej ruderze. Musiałam podjąć okrutne decyzje; czy chcę mieć stół i krzesła, czy klimatyzację? (Oczywiście, że klimatyzację). Okazało się, że kiedy wraz z Arley i Stuartem - nadal uważałam, że zdoła znaleźć sobie pracę w Teksasie, przynajmniej jako lobbysta - wprowadzimy się wreszcie do mego domu, będziemy mieć mnóstwo czystej, chłodnej i doskonale oświetlonej przestrzeni, praktycznie bez żadnych mebli.

Ponieważ chcieliśmy przyspieszyć datę przeprowadzki, a tak przynajmniej sama sobie powtarzałam, zaczęłam pomagać Charleyowi w robotach wykończeniowych. Kiedy opowiadałam mu o Arley i swoich obawach, zrobił coś, czego do tej pory nie doświadczyłam ze strony żadnego mężczyzny. Po prostu mnie wysłuchał. Zadał mi kilka pytań, na które naprawdę chciał usłyszeć odpowiedzi; nie pouczał mnie. Nie powiedział, żebym się nie martwiła - wysłuchał mnie. Zachęcał, bym przywoziła ją z sobą na Azalea Road i tak też czasem robiłam.

Praca z nim w tych dniach pełnych napięcia na wszystkich innych frontach dawała mi poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Staliśmy obok

siebie, on wysoko na drabinie, a ja obok na ziemi i pokrywaliśmy ściany staroświeckim bielidłem, które sam przygotował. Czasem staliśmy tak, malując ściany przez wiele godzin, a gdy Arley przekonała się, że składniki chemiczne farby nie zaszkodzą dziecku, także się do nas przyłączała. Przy akompaniamencie szumu szerokich, płaskich pędzli i cichej muzyce płynącej z gramofonu nietrudno było nam wyobrazić sobie, że cofnęliśmy się w czasie i jesteśmy rodziną, dla której przygotowanie własnego domu jest sprawą najważniejszą.

A potem nastąpiło niezapomniane popołudnie; cykady śpiewały w ogrodzie wyjątkowo głośno, a ja malowałam na piętrze ściany w sypialni. Nagle rozległ się śmiech Arley, tak szczery i przenikliwy, że zostawiłam robotę i wyszłam zobaczyć, co się dzieje.

Charley właśnie sadił w ogrodzie sagowce i starał się odciągnąć Arley od pomysłu pomagania mu w tym.

- Nasiona i owoce są szalenie trujące - powtarzał jej. - Nie wolno tego jeść, Arley. Jeżeli je zjesz, możesz dostać choroby Parkinsona za dwadzieścia lat.

- Charley, dlaczego, u wszystkich diabłów, uważasz, że mam ochotę to zjeść?

- No, cóż... mogłoby ci to przyjść do głowy przez pomyłkę, a poza tym jesteś w ciąży...

- Nie cofnęłam się w rozwoju umysłowym tylko dlatego, że zaszłam w ciążę! I nie mam zwyczaju nic zjadać przez pomyłkę!

Dopiero wtedy Charley mnie zauważył.

- Spójrz, Annie! - zawołał. - To tak, jakbym przyprowadził ci do ogrodu prawdziwe dinozaury! Te rośliny oglądały tyranozaury spacerujące po powierzchni ziemi... no, może akurat nie te...

- Ojej! - wtrąciła Arley. - Cieszę się, że to dodałeś, bo inaczej pomyślałabym, że te palmy mają po kilka milionów lat!

Charley ujął mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- Zignorujmy ją - powiedział. - Podobno dzieci powinno się ignorować... Widzisz, to sagowiec rodzaju żeńskiego, a to męskiego. Kiedy są malutkie, wyglądają zupełnie tak samo, ale gdy rosną, zaczynają się różnić. Ten tutaj to osobnik żeński, jego liście będą szerokie i otwarte, niczym u ogromnej stokrotki; a u osobnika męskiego będą mieć kształt szyszki. Kiedy ulegną zapyleniu, osobnik żeński wytworzy jasnoczer-wone nasiona...

Ujął moją dłoń i pokazywał na niej różne stadia rozwoju roślin; nagle nasze twarze znalazły się blisko siebie i poczułam bijący od niego zapach soli i talku. Wiedziałam, że widzi, jak wdycham go głęboko.

Oboje poderwaliśmy głowy nieco zawstydzeni, a Arley, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje, nagle zniknęła w cieniu ganku. Tamtej nocy po raz pierwszy śniłam o tym, że kocham się z Charleyem; obudziłam się, pewna, że jęknęłam na głos, i przebudziłam Stuarta... i długo nie mogłam z powrotem zasnąć. Pomyślałam, że wszystkiemu winny jest upał albo może jakieś zmiany hormonalne zachodzące w moim organizmie. A potem, zaledwie dwie noce później, przyśniła mi się kolejna wersja tego samego snu.

W tamte upalne, ciągnące się dni wpadłyśmy w rutynę: wizyty Arley u lekarza; moje dni w biurze i w sądach; praca przy domu; okazjonalne wyjścia do restauracji z Patty, Jeanine i - często - Arley. I jeszcze rzadsze wieczory spędzone ze Stuartem, kiedy tylko zdołał wyskrobać kilka godzin z ostatnich konwulsyjnych dni pracy na rzecz skazanych złoczyńców. Przez ponad połowę czasu - jak dziś pamiętam - miałam wrażenie, że śnię na jawie, a wszystkie wydarzenia dzieją się gdzieś poza mną i bez mojego wpływu. Czasem musiałam sobie przypominać, że to Arley jest w ciąży, a nie ja.

Zabrałam Arley na zajęcia do Lamaze. Pulchniutkie i lśniące matro-ny z ośrodka usiłowały domyślić się, czy jestem matką Arley, czy też może kimś o znacznie bardziej pikantnej roli. Jednak po ukazaniu się wiadomości o ucieczce Dillona, widać było zrozumienia na ich twarzach i od razu można było rozpoznać, która czytuje poranną gazetę, a która ogląda wiadomości na CNN. Staraly się nie przyglądać Arley zbyt nachalnie, ale ona musiała słyszeć szepty i ukradkiem rzucane spojrzenia, a mimo to zachowywała spokój, patrząc mi w oczy, ćwicząc oddychanie czy prosząc o poduszkę. Widząc jej pełne godności zachowanie, pęczniałam z dumy.

Wiedziałam jednak, że zżera ją napięcie; okazywała to bardzo rzadko, najczęściej gdy dzwoniła do nas policja. Nie chciała z nimi sama rozmawiać, lecz kiedy odkładałam słuchawkę, unosila brwi. Słyszając, że nie ma nowych wieści, odwracała się i cicho wychodziła z pokoju.

Zaczęłam żyć od wypłaty do wypłaty, pomiędzy Arley a domem na Azalea Road, co nie zdarzyło mi się od czasów studenckich. Pewnego dnia wyłożyłam pięćdziesiąt dziewięć dolarów na fotelik do samochodu dla dziecka, po tym, jak Arley pokazała mi z głupkowskim uśmiechem ten, który dostała od jakiejś pani w Mater Christi, a któiy wyglądał tak, jakby przeszedł już niejednym wypadkiem. Nieraz wychodziłyśmy po koncentrat pomidorowy czy inne głupstwo, a kupowałyśmy mebelki dla dziecka, przypadkowo przechodząc obok jakiegoś sklepu. Czy macie pojęcie, ile kosztują spodnie i staniki ciążowe? I to tylko dlatego, że ci

dranie widzą, iż nie masz wyboru i musisz je kupić? Pozwalałam Stuartowi wierzyć, że wysyłam pieniądze do fundacji charytatywnych, kupuję włoskie buty i zatrudniam Leonarda da Vinci, by odrestaurował boazerię na Azalea Road. Nawet Jeanine, której serce było już tyle razy klute przez brak miłości, że dziwię się, iż do tej pory jeszcze nie przecieka, zupełnie nie rozumiała, dlaczego mam łzy w oczach, kiedy opowiadam jej o tym, jak Arley powiesiła w swym pokoju lśniący zielony płaszcz, który jej kupiłam, jakby było to dzieło sztuki przeznaczone do podziwiania, a nie do noszenia. Wdzięczność tej dziewczyny nie miała w sobie nic z manipulacji; Arley wcale nie udawała, że nie cieszy się z wszystkiego, co jej daję i co razem robimy. Nawet smutne twarze moich klientek i ogromne brązowe oczy ich dzieci pełzających po podłodze w moim biurze nie wzbudzały we mnie takiej opiekuńczości. W porównaniu z przekarmionymi i naburmuszonymi nastoletnimi dziećmi moich rówieśników, które uważają miłość za szczególny sposób wtrącania się w ich życie, Arley przypominała dziką roślinkę, która żywi się powietrzem i istnieje dzięki przypadkowi.

W dzień, na który Arley miała wyznaczony czas porodu, poszliśmy do kliniki, na ultrasonografię. Asystentka lekarza, jedna z tych piersia-stych panienek w pornograficznie przezroczystych białych spodniach, powiedziała nam, że widzi małe dziecko, prawdopodobnie z wrodzonym upośledzeniem. Powiedziała nam, że jest to bardzo popularne u nastoletnich matek, które zazwyczaj jedzą tak mało, że same ledwo żyją. Tak czy inaczej, dodała radośnie, przekroczenie daty porodu to nic strasznego: „bardzo młode matki” często „mylą daty”.

- No cóż... ta akurat nie mogła pomylić - warknęłam. - Ona kochała się z facetem tylko raz w życiu.

Zanim jeszcze dokończyłam te słowa, zanim zobaczyłam wszystkowiedzący uśmiech na twarzy pielęgniarki, zrozumiałam, że bezczelna asystentka uważa mnie za skończoną idiotkę. Dla niej Arley musiała wyglądać jak najgorszy koszmar każdego ginekologa - lolitka z pierwszej klasy ogólniaka. Z wielkim wysiłkiem darowałam sobie ciętą uwagę, podczas gdy wyjaśniała mi, że „doktor” wyjeżdża na urlop w przyszłym tygodniu, więc zadzwoni do szpitala i umówi Arley na przyjęcie w następny czwartek, chyba że „coś wcześniej wyskoczy”.

Wyskoczy.

Dobry Boże.

Wtedy był piątek.

W sobotę wbrew własnego rozsądkowi zadzwoniłam do matki Arley i powiedziałam, że mogą wystąpić komplikacje.

- A pewnie - odparła Rita - ja też nie miałam lekko. Kłopoty krążą w naszej rodzinie... żadna ich nie uniknie.

Rita pracowała w tym samym szpitalu, do którego Arley miała zostać przyjęta w przyszłym tygodniu. Czy w czwartek będzie w pracy? Czy przyjdzie do córki, kiedy nadejdzie czas porodu?

- Nie, nie... bardzo mi przykro, ale nie. W czwartek mam wolne. Pewnie nie wrócę do domu przed wieczorem. Ale zadzwonię do pani, co? I powie mi pani, co słyhać. Ogarnęła mnie wściekłość, lecz czegoż innego mogłam się spodziewać. Byłam pewna, że Arley pęknie serce, gdy się dowie, że matka nie chce do niej przyjechać na czas porodu. Już kot jest bardziej przywiązany do człowieka niż ona do swych dzieci.

A potem, w niedzielę - żeby żaden dzień tygodnia nie minął mi bez bolesnych wrażeń - Stuart zaprosił mnie na drinka.

- Wpisz mnie w harmonogram dnia - powiedział i już wtedy zaczęłam coś podejrzewać.

W Amor Ausente, pomiędzy tłumem stażystów cieszących się bądź oplakujących nowe przydziały w szpitalu, Stuart opowiedział mi o ofercie pracy, którą otrzymał od firmy prawniczej z Florydy. Miałby szansę robić mniej więcej to samo co tu, w Teksasie, lecz dla wypłacalnych klientów, a z poparciem firmy także dla wielu, którzy nie mieliby jak zapłacić. Dostałby dwa razy więcej niż do tej pory.

- Cieszę się, że ci się udało - rzekłam, lecz potem pomyślałam, że brzmi to strasznie sucho. - To znaczy, bardzo się cieszę... Ale na Florydzie...

- No, cóż... Anne. - Stuart westchnął. - Oferty, jakie miałam tu i w Nowym Jorku, są po prostu zbyt... zwyczajne. Interesujące, lecz za mało ciekawe. Nie jestem jeszcze gotowy, by przejść do rezerwy. Ta praca naprawdę daje satysfakcję i zmienia świat, Anne; jeszcze nie czas, bym ją rzucił...

Praca, nie „moja praca”, pomyślałam. Praca, jak jakaś nadrzędna wartość.

- Kiedy chcą, byś zaczął?

- W przyszłym tygodniu.

- W przyszłym tygodniu, Stuarcie?! I spodziewasz się, że rzucę pracę i przeprowadzę się w ciągu tygodnia na Florydę?!

- Nie, Anne. Wcale tego nie oczekuję. Dam ci tyle czasu... ile ci będzie potrzebne.

- A to niby co ma znaczyć?

- Właśnie to, co powiedziałem.

- Stuart, nie znamy się od wczoraj. Doskonale wiem, kiedy coś pie-przniętego chodzi ci po łbie.

- To nic takiego. Po prostu... Jezu, Anne, byłaś tak strasznie zainteresowana moją karierą...

- No, cóż... miałam kilka spraw na głowie, wiesz? A jeżeli do tej pory nie zauważyłaś, Arley lada dzień ma rodzić! A ja wzięłam ostatnie kilka dni urlopu, by jej pomóc w przyszłym tygodniu! Więc nie mogę nawet wziąć wolnego, by wyjechać z tobą i pomóc ci się tam urządzić...

- Wcale się tego nie spodziewałem - odrzekł. - W każdym razie nie teraz. Ale, Jezu, Anne... Arley. Arley. Arley. Jak myślisz, co się stanie z Arley? Żeby już nie wspominać o jej dziecku... Nie uważasz, że ona do końca życia będzie na twoim garnuszku?

- Ona wcale nie jest na moim garnuszku, Stuarcie!

- Raz na twoim, raz na Jeanine, co za różnica. Czy naprawdę sądzisz, że stworzycie jedną szczęśliwą rodzinę, kiedy już urodzi? Myślisz, że nie znajdzie sobie kogoś jeszcze gorszego niż fantastyczny pan LeGrande? I to jak najszybciej?

- Ona wcale nie należy do tego typu dziewczyn, Stuarcie. A nawet gdyby tak było, to jestem jej przyjaciółką... i prawnikiem. Nie jestem jej matką, wiesz?

- Bardziej zajmuje cię jej życie niż nasze.

- Wcale nie. Po prostu ostatnio pojawiło się kilka kryzysów i to wszystko.

- No, cóż... ja też obecnie przechodzę kryzys, Anne.

No, jasne, pomyślałam, potrząsając lodem w szklance. Ale twoje kryzysy są wyjątkowe; kryzys to twoje życie, a wybrałaś je tylko dlatego, że wiedziałaś, iż nie pozwoli ci na zaangażowanie się w nic innego, może oprócz mistrzostw koszykówki. Dla ciebie wszystko jest grą, Stuarcie; ogromną, ważną grą życia przeciwko śmierci. Wyroki skazujące na śmierć zawsze będą nadlatywać niczym gliniane gołąbki i ty zawsze będziesz się starała je zestrzelić. Jeżeli nie tu, to na Florydzie; jeśli nie na Florydzie, to w Utah. Pomyślałam o moim domu i o Charleyu, i o tym, z jaką cierpliwością pokazywał Arley, jak malować ściany szerokim pędzlem.

- Wiem, w jakim ostatnio żyjesz stresie - zaczęłam ostrożnie.

- Jakoś nie zauważyłem.

- No, cóż... ja też nie wiem, czy zauważyłaś, co ja ostatnio przeżywam, wiesz?

- Wiem, że pałasz jakąś nienormalną żądzą odgrywania mamuśki dla tego dzieciaka...

- To nieprawda - odparłam, teraz już wściekła. - Stuarcie, mówisz bzdury.
- Ależ to oczywiste. Każdą noc spędzasz z nią i Panem Ogrodnikiem, robiąc Bóg wie co...
- Co takiego? Jak śmiesz?.'
- Jakby siedem lat w tej pracy nic cię nie nauczyło...
- Stuarcie, a czy twoi klienci są chodzącymi przykładami prospołecznego i rozsądnego zachowania?
- Żeby nie wspominać o tym, że nie masz już czasu na nic, oprócz jej i tego domu; więc co by się stało, gdybyś spełniła swoje marzenie i miała dziecko? Pewnie widywałbym cię w weekendy, gdybyś mogła mnie wepchnąć między...
- To ty jesteś wiecznie zajęty, Stuarcie! To ty pracujesz po osiem dni tygodniowo! To twoja doba ma trzydzieści godzin! I jeszcze śmiesz wymagać, bym czekała w domu na każde twoje skinienie...
- Anne, przestań - przerwał mi. - To podłe. Miał rację.

Długi czas siedzieliśmy w milczeniu.

Resztę tygodnia także milczeliśmy; Stuart ze smutkiem pakował do pudeł przedmioty, z którymi nie chciał rozstawać się nawet na kilka tygodni: z piłką baseballową podpisaną przez Nolana Ryana, z adidasami do biegania, i dwoma płytami CD z kolekcją „Duetów” Franka Sinatry. Czas ten miał spędzić w kawalerce wynajętej dla niego przez nową firmę w Miami. Właściwie rozmawialiśmy tak, jakbym miała dołączyć do niego nieomal natychmiast - a przynajmniej gdy tylko z Ar-ley wszystko się ułoży - żeby poszukać dla siebie pracy na Florydzie. I raz jeden Stuart przyznał, że praca na Florydzie może mu nie odpowiadać i że być może bardzo szybko wróci tu do mnie. Nic nie wspominaliśmy o ślubie.

Wczesnym rankiem w środę, gdy Stuart miał wyjeżdżać, zadzwoniła do mnie Arley, cała we łzach.

- Nie chcę, byś przeze mnie tęskniła za Stuartem! - płakała, lecz szybko ją uciszyłam. Powiedziałam, że to nie tylko przez nią zostaję w Teksasie i dopiero wtedy zrozumiałam, że tak jest naprawdę. Zostawałam przez cały wszechświat, mój własny wszechświat zbudowany dokoła pracy i obowiązków: Arley, domu na Azalea Road... i Charleya Wildera. Nie mogłam zignorować faktu, że nie chciałam opuszczać Charleya i jego szalonych, wciągających anegdotek o farbach, architekturze, historii i roślinach. Kilka nocy wcześniej zapytałam go, z czego robił specjalizację na studiach.

- Wiesz, nie zrobiłem żadnej do końca - odparł. - Mam chyba ze trzy czwarte specjalizacji z angielskiego, prawie całą z grafiki i jeszcze jedną, nieomal skończoną, z ogrodnictwa. - Zastanowił się i dodał po chwili: - Chyba już wtedy wiedziałem, czym będę się zajmować. Znasz to stare powiedzenie: możesz doprowadzić kurwę do kultury, lecz nie możesz jej zmusić do myślenia. Żaden inny mężczyzna nie potrafił mnie tak serdecznie rozbawić tymi wszystkimi szowinistycznymi i seksistowskimi dowcipami.

Jednak cały ten mój wszechświat nie wystarczył, bym powstrzymała się od łez na lotnisku. Stuart sprawiał wrażenie trochę zaskoczonego; w końcu nie żegnaliśmy się na wieki. W ciągu naszego wspólnego życia wiele dni i nocy spędziliśmy oddzielnie, a jednak nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o tym naszym pożegnaniu na lotnisku ani o tym, co mogło oznaczać. Stuart pocałował mnie i wysiadł z samochodu; ale potem, jakby po namyśle, nachylił się jeszcze raz do okna. - Nigdy się nie zmieniaj, dziecino - powiedział; jakże kochałam to jego słodkie oblicze, typową twarz żydowskiego chłopaka, którą znałam równie dobrze, jak moją własną. Wydawało mi się nie do pomyślenia, byśmy kiedykolwiek mogli się rozstać.

Nagle wszystkie nasze kłótnie, nieporozumienia, niedopowiedzenia i zawody przestały się liczyć; przez całą drogę do domu użalałam się nad sobą, jaka jestem biedna, sama i opuszczona. Bez Stuarta byłabym sama, zagubiona w wielkim świecie. Już tak się czułam.

A potem pomyślałam, że mogłabym pojechać zobaczyć się z Char-leyem; nieomal od razu ubodło mnie poczucie winy: jak możesz, Anne?

W każdym razie to i tak nie miało znaczenia.

Kiedy dojechałam do domu, zastałam na progu Jacka Beckera i niejaką Carłę Merrill, agentkę Federalnego Biura Śledczego.

Okazało się, że Langtry Mowbray, dwudziestojednoletnia biała kobieta, zniknęła z zamkniętego domu swej matki w Avalon, w stanie Teksas, zostawiając wszelkie ziemskie dobra - o ile można było ocenić - oprócz pary kolorowych kowbojskich butów. Przesikniętą krwią nocną koszulę znaleziono na ziemi pod oknem jej pokoju na drugim piętrze, w którym niegdyś spała Arley. Zakrwawione były także ściany w pokoju i otwarte okno, lecz nie metalowa drabina pozostawiona w krzakach dali. Matka Langtry, Rita Mowbray, pracowała w szpitalu, kiedy jej córka zniknęła z domu. Pani Mowbray zachowała niezwykle spokojny, a najbardziej martwiła się o drabinę, którą - jak wyjaśniła funkcjonariuszom - pożyczyła od sąsiadów, i nalegała, by jak najszybciej usunąć ją z klombu, zanim zniszczy kwiaty.

- Gdzie jest Arley? - zapytałam Jacka, usiłując powstrzymać się od krzyku. - Gdzie ona jest?

- W swoim mieszkaniu - odparł. - Posłaliśmy do niej dodatkowy radiowóz. Teraz chłopcy siedzą nie tylko od frontu, ale i na tyłach jej domu.

- Czy wie o tym, co się stało?

- Nie potrafię czytać w myślach, słonko - odparł Jack Becker. - Ale jeżeli ogląda telewizję, na pewno już wie.

Złapałam torebkę i obróciłam się, by jak najszybciej wrócić do samochodu, jednak w tej chwili wtrąciła się agentka FBI.

- Musimy porozmawiać z panią LeGrande.

- Nie dzisiaj.

- Panno Singer, prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa...

- Ona ma urodzić dziecko jutro o szóstej rano! Ma dopiero piętnaście lat!

- Jeżeli kontaktowała się z mężem...

- Nie kontaktowała się ani z nim, ani z kimkolwiek innym oprócz mnie. -

Odwróciłam się do Jacka. - Przecież wiesz, że mówię prawdę, Jack! Jej własna matka nie ma pojęcia, gdzie Arley mieszka...

- To prawda. - Skinął głową.

- Nie mówię, żebyście z nią wcale nie rozmawiali. Ale to dziecko naprawdę wiele już przeszło. Za kilka godzin...

- Za kilka godzin trop może wystygnąć - wtrąciła Carla Merrill.

- To mogłoby być naprawdę fatalne dla jej stanu zdrowia, panno Merrill - odrzekłam, zbierając w sobie całą prawniczą energię i puszczając ją w ruch. - Chyba zdaje pani sobie sprawę, że poród w przypadku tak młodej dziewczyny wiąże się z poważnymi komplikacjami.

Przez długą chwilę żadne z nich nie chciało spojrzeć mi w oczy.

- No, cóż... - odezwała się w końcu Carla Merrill, wbijając wzrok w krawężnik.

Wiedziałam, że dadzą Arley przynajmniej jedną noc spokoju. Jack zgodził się utrzymywać ze mną stały kontakt telefoniczny - powiedziałam, że będę nocować u Arley. Lecz gdy odchodziłam, by zabrać z mieszkania teczkę i torbę z koszulą nocną i szczoteczką do zębów, agentka Merrill dotknęła mego ramienia i spojrzała mi w oczy.

- Wie pani, że to może nie mieć nic wspólnego z Dillonem LeGrande - rzekła;

Langtry, jak wyjaśniła mi dalej, miała całe mnóstwo dziwnych kumpli: była całkiem nieźle prosperującą call-girl i kręciło się wokół niej wielu podrzędnych meksykańskich łobuzów.

Ale było jeszcze coś. Carla Merrill zawahała się.

- Co? Co takiego? Proszę mi powiedzieć!

Powiedziała, że to nie może dostać się do mediów; kazała mi przyrzec.

Miałam ochotę rąbnąć ją w twarz; lecz w końcu mi powiedziała. Na scenie zbrodni znaleziono kremową kartkę, na którą ktoś poprzyklejał literki wycięte z gazety i ułożył w zdanie.

- Jakie? - spytałam. - Jakie zdanie?

- „Przy świetle księżycy wrócę” - rzekła wreszcie agentka Merrill.

Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy ze znaczenia tego fragmentu wiersza; pomyślałam, że kartka znaleziona w domu Rity jest po prostu przerażająca i tyle. Ale oczywiście znaczyło to coś więcej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ARLEY

Jeżeli istnieje piekło, to na pewno się w nim znajdę - pamiętam, że gdy wreszcie dowiedziałam się o zniknięciu Lang, zepsuło mi to pierwsze miesiące z Desi. W końcu Langtry była mi całkiem obca i nawet się z nią tak często nie widywałam; pojawiała się w moim życiu raz na rok, czasem rzadziej. Po urodzeniu Desi czułam się fatalnie i nerwy miałam tak zszarpane, że gdy jeszcze na dodatek dowiedziałam się o Lang, zupełnie nie mogłam karmić dziecka piersią. Poza tym Annie cały czas zachowywała się tak, jakby naziści chcieli porwać mnie i małą. Wszędzie nosiła ze sobą ten mały, paskudny rewolwer i wywiozła mnie do chaty z prędkością światła, zanim w ogóle wolno mi było opuścić szpital.

Z początku nawet nie przypuszczałam, że zniknięcie Lang ma jakikolwiek związek z Dillonem. I z całą pewnością nic nie wiedziałam o żadnej kartce znalezionej w domu mamy. W przeciwnym razie powiedziałabym im wszystko. Naprawdę. O mojej kartce i czerwonej wstążce. O karcie, którą Dillon mi przysłał, i o karcie, którą znalazłam.

Wiem, że brzmi to strasznie i niewiarygodnie, ale naprawdę wtedy nie wydawało mi się to ważne. Nie od początku. Nie do czasu, aż następnego ranka pojechałam do szpitala i rozpoczął się poród. Pomyślałam, że to może być żart. Co prawda, byłam prawie pewna, że Dillon nigdy nikomu nie powiedział o tym, co razem robiliśmy, ani o tym, co mówiliśmy.

A jednak nie miałam stuprocentowej pewności. Mógł zdradzić Kevinowi.

W głębi duszy podejrzewam, że Dillon wystąpił nasze wiersze tej reporterce z telewizji w San Antonio. Ściąganie na siebie uwagi w ten sposób -to do niego podobne. Jednak tamtego ranka, w dzień przed narodzinami Desi, właśnie wyciągałam pocztę ze skrzynki. Najczęściej dostawałam

ulotki reklamowe, lecz od paru dni czekałam na płytę CD, którą zamówiłam w specjalnej ofercie Muzycznej Biblioteki Ameristar; facet powiedział, że przyślą ją w ciągu trzech dni, a minęło już sześć. Przeglądałam koperty, szukając jakiejś tekturowej, i wtedy to zobaczyłam.

Lśniącą czarną kopertę; taką, w jakiej można wysłać szykowne zaproszenie na ślub albo odlotową kartkę urodzinową. Nie było na niej żadnego znaczka.

Otworzyłam ją i wyciągnęłam ze środka karteczkę; nie taką, jaką wtedy dostałam ekspresem z więzienia, lecz zwykłą białą kartkę, na której naklejono literki wycięte z książki. Bardzo malutkie; układały się w zdanie: „Przy świetle księżycy wrócę”.

Wystraszyłam się tak bardzo, że upuściłam ją przy skrzynce na listy i pobiegłam do mieszkania. Bałam się wrócić i zabrać ją z sobą. Wiedziałam, że dostarczył mi ją Dillon; wiedział, gdzie mieszkam. Jednak przecież o tym miał nie wiedzieć nikt oprócz Annie i Jeanine. Telefonu do tego mieszkania ani adresu nie umieszczono w żadnej książce telefonicznej. Nikt w całym mieście nie wiedział, że tu mieszkam.

Poza tym, niby co ta kartka miała oznaczać? Spotkanie z Dillonem? Czułam, że serce dziko łomocze mi się w piersi; przez ciężę i tak ledwie mogłam oddychać.

Pomyślałam, że chyba zemdleję, tu, na środku kuchni. Gdzie jest Dillon? Czy chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, że przyjdzie po mnie i po dziecko? Chce wywieźć nas do Meksyku? Nie miałam ochoty jechać aż tak daleko; nie chciałam wychowywać dziecka w jakimś starym domu stojącym pośrodku pustyni. Nie chciałam wychowywać go bez pomocy Annie. Ale z drugiej strony pragnęłam być z Dillonem, choćby przez krótką chwilę. Przynajmniej jedną noc. Pragnęłam spojrzeć mu w oczy i kochać się z nim do białego rana. Przekonać się, czy naprawdę zastrzelił tamtego człowieka, czy -jak cały czas podejrzewałam - zrobił to Kevin, czy tamten Indianin, podczas gdy Dillon chciał tylko wydostać się na wolność. Zastanawiałam się, jak mnie znalazł. Ktoś musiałby widzieć, jak wprowadzam się do mieszkania pierwszej nocy... Przecież to nie miało sensu. Przecież Dillon nie był duchem, lecz człowiekiem, choć czasem myślę o nim jako o istocie niematerialnej. Nie mógł znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie... Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy być przerażona...

Gdybym słyszała już o zniknięciu Lang, byłabym śmiertelnie przerażona.

Lecz wtedy niewiele miało dla mnie sens. Zdawało mi się, że mój umysł i ciało są od siebie oddzielone.

Mówi się, że kobieta nie pamięta porodu - bo wtedy nigdy w życiu nie zgodziłaby się na powtórkę. Ale ja pamiętam każdą chwilę narodzin Desiree. To, co byto tuż przedtem i tuż potem, jest dla mnie mgliste. Właściwie nie pamiętam nic z ostatniego miesiąca ciąży i pierwszego miesiąca w chacie, gdy Annie siedziała ze mną dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ja prawie cały czas spałam. Jednak sam poród był piękny, choć Annie - w jej obecnym stanie - nigdy głośno tego nie przyzna. Wtedy porównywała wszystkie fizyczne aspekty, zwłaszcza podłączanie mnie do monitorów i kroplówek, z tym, co dzieje się ostatecznie z większością klientów Stuarta; powtarzała nawet, że jazda do szpitala o szóstej rano jest równie okropna, jak budzenie o północy na własną egzekucję.

Wieczorem, przed wyjazdem do szpitala, była cała roztrzęsiona; myślałam, że to z powodu wyjazdu Stuarta.

Ale tak naprawdę strasznie się bała.

To dlatego tyle paplała; gadała o celi śmierci i egzekucjach. Szczerze mówiąc, niewiele mi to pomogło, ale i niewiele zaszkodziło.

- Tylko się zastanów, Arley. - Zrobiła nam spaghetti, lecz zebrała talerze i zaczęła je myć, zanim jeszcze zdążyłam skończyć swoją porcję. - Pomyśl, jak to jest po twojej ostatniej kolacji... okropne, co? Powiedzmy, że wszystko jest już posprzątane, to co robisz przez resztę nocy? Oglądasz stare seriale w telewizji? Na pewno nie zaśniesz... na to nie ma szans. Nie możesz nic robić, wycofać się, odejść... Po prostu musisz czekać na swoją kolej... tak jak my teraz czekamy. Nie! Dobry Boże! Nie chciałam użyć takiego porównania! Po prostu bełkoczę bez sensu... przepraszam.

- Annie, wyluzuj się - odparłam. - Daj spokój. Coś mi się zdaje, że jesteś jeszcze bardziej przerażona niż ja!

- Ja wiem, że jestem bardziej przerażona od ciebie!

Wtedy właściwie już nie pamiętałam o kartce; nie wiem, co się z nią stało. Pewnie ktoś ją zmiotł do śmieci. Byłam tak zmęczona, że całą noc przespałam jak dziecko. Ale Annie nie spała; co chwila sprawdzała okna i bawiła się telefonem. Nie pozwalała mi włączyć telewizora.

- Ten dźwięk doprowadziłby mnie do szału - mruknęła. Wtedy nie miałam pojęcia, że po prostu nie chce, bym trafiła na wiadomości, a zwłaszcza żeby zobaczyć jeden z tych okropnych przerywników, jakie wtrącają do programu, gdy zdarza się coś odpowiednio krwawego. Ponieważ nie miałam pojęcia o tym, co stało się w domu mamy (choć wydawało mi się nieco dziwne, że Annie odbiera tyle telefonów w ciągu nocy i to w nie swoim mieszkaniu), wierzyłam, iż jest tak

podminowana moim porodem i wyjazdem Stuarta, które zbiegły się w czasie. Później Annie opowiedziała mi, że przez całą noc wyglądała na parking przed domem; za każdym razem, gdy usłyszała szelest liści dębu rosnącego za oknami, spoglądała w tamtą stronę przekonana, że zobaczy za szybą twarz Dillona. Przez okrągłą noc wozy policyjne przejeżdżały pod oknami niczym rekiny krążące w mroku i wypatrujące zdobyczy. Siedząc samotnie w ciemnym pokoju, zastanawiała się, czy może nie powinna mnie zabrać do szpitala jeszcze tego samego wieczora i czy przypadkiem Dillon nie spróbuje mnie porwać, gdy wyjdę rano przed dom. Podobno też cały czas zastanawiała się nad tym, co się stanie, jeśli Dillon będzie chciał mnie zabrać. Czy pójdę z nim dobrowolnie? Czy pobiegnę do niego, nie oglądając się za siebie? Nie miała pojęcia, jak bardzo oddana jestem dziecku; a żadna z nas nie wiedziała, jak bardzo jestem oddana jej, Annie. Tak więc nie odprężyła się, dopóki nie usłyszała śpiewu budzących się ptaków. I nie pisnęła ani słówkiem.

Obudziłam się około piątej rano, słysząc, jak drzwi do mego mieszkania otwierają się i zamykają. Wstałam i włożyłam ubranie, które na-szykowałam poprzedniego dnia. Kiedy podeszłam do okna, zobaczyłam, że Annie rozmawia z kimś siedzącym w wozie policyjnym; Charley nauczył mnie rozpoznawać nieoznakowane wozy; mają czworo drzwi i szerokie opony. Wtedy zadzwonił telefon - podniosłam słuchawkę. Dzwonili ze szpitala; powiedzieli, że w tej chwili nie mają miejsca, że moja operacja została przełożona na późniejszy termin i że oddzwonią do mnie w ciągu dnia, by przekazać więcej informacji.

Doktor Carroll miał ręce pełne roboty. Bardzo im przykro.

Wcale nie brzmiało to tak, jakby było im przykro.

Rozpłakałam się.

W tej chwili weszła Annie. Kiedy zobaczyła mnie płaczącą na środku pokoju, upuściła torebkę z wielkim hukiem - miała w niej rewolwer - i zawołała:

- Gdzie on jest?!

Spojrzałam na nią i aż skuliłam się na kanapie. -Kto?

- Dillon! Jest tutaj?

- Ależ Annie! - odpowiedziałam tak zszokowana, że przestałam natychmiast płakać.

- Tu nie ma nikogo oprócz mnie.

Oddychałam ciężko i boleśnie, jakbym dopiero co przebiegła całą milę, skacząc przez płotki.

- Więc co się stało, kochanie? Boisz się?

- Nie. Dzwonili ze szpitala. Powiedzieli, że nie mogę mieć dziecka. Annie omal się nie roześmiała.

- Na to już chyba trochę za późno, jak mi się zdaje. Co naprawdę mówili?

- Ze... nie mają miejsc. Ze nie mają dla mnie wolnego łóżka, więc wywołają poród w przyszłym tygodniu czy coś takiego.

- Przecież wiesz, że to musi być jakaś pomyłka, kochanie. Wczoraj osobiście rozmawiałam z doktorem Carrollem.

- Wiem! Też im to powiedziałam! Chciałam z nim pomówić, ale odparli, że doktor Carroll jest zajęty. Mają oddzwonić później!

Annie stała pośrodku pokoju i nieomal widziałam dym wściekłości unoszący się z jej uszu.

Później powiedziała mi, że całkiem poważnie po raz pierwszy zastanawiała się nad użyciem swego rewolweru - pójdę do głównego holu szpitala i otworzeniem ognia. A potem złapała słuchawkę i kazała mi iść do drugiego pokoju. Mimo zamkniętych drzwi usłyszałam co nieco.

- ...nieporozumienie... Arlington LeGrande miała zostać przyjęta dziś rano... niebezpieczeństwo, owszem, ale to nie ma nic wspólnego z dzieckiem... Och, tak, oczywiście... Lepiej, żeby to nie było z tego powodu! No, jasne. Och, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć. Przyjedziemy za jakieś pół godziny i spodziewam się, że natychmiast zaczniecie operację.

Annie otworzyła drzwi do mojej sypialni i powiedziała:

- Bierz swoją torbę, Arley.

Zrobiłam, jak mi kazała; torbę do szpitala spakowałam już parę dni temu. Annie cały czas trzymała przy uchu słuchawkę telefoniczną.

- Posłuchaj mnie, ty duszo potępiona - powiedziała teraz. - Jestem Anne D. Singer, adwokat pani Arlington LeGrande. W zeszłym tygodniu podczas regularnego kontrolnego badania prenatalnego byłam świadkiem podjęcia przez lekarza prowadzącego decyzji o konieczności sztucznego wywołania porodu u mojej klientki, żeby dalej nie narażać na niebezpieczeństwa ani jej, ani dziecka. Młoda kobieta jest słabego zdrowia, a płód wykazuje niepokojące oznaki. Wczoraj potwierdziłam to telefonicznie z doktorem Carrollem... Nie! To, co zdarzyło się wczoraj, nie ma tu nic do rzeczy, do ciężkiej cholery! Przykro mi, ale nie. Sytuacja wygląda tak: jako lekarz prowadzący Arlington LeGrande od ósmego tygodnia ciąży, tylko doktor Carroll ma prawo postanowić o odsunięciu zabiegu wywołania porodu... tak... tak... a i on może podjąć tę decyzję, opierając się wyłącznie na przesłankach medycznych. Ale proszę mu przekazać, że jeżeli teraz ją podejmie i żaden inny lekarz nie

zechce natychmiast zająć się Arley, w rezultacie czego ucierpi na zdrowiu ona bądź jej dziecko... a stanie się tak z powodów innych niż czysto medyczne... możecie się spodziewać, że pozwiemy jego i cały szpital za to zaniedbanie.

Czekała; zdaje się, że w szpitalu się naradzają.

- Wyłącz światła, Arley - dodała Annie.

- Dlaczego na dole stoi wóz policyjny?

- Skąd wiesz, że policyjny?

- Wiem, każdy potrafi je rozpoznać.

- No, cóż... po prostu upewniają się, że wszystko jest w porządku. Przecież to ich obowiązek.

- Jesteś pewna?

- No, jasne. Wiedzą, że Dillon pewnie zdaje sobie sprawę, iż dziecko powinno się na dniach urodzić i... Tak, tak... rozumiem - mówiła znowu do słuchawki. - Nie, nie ma najmniejszego problemu... Jestem pewna, że dopilnujecie, by pani LeGrande jak najszybciej znalazła się na sali.

Ten wóz policyjny jechał za nami przez całą drogę do szpitala; w holu w szpitalu także widziałam kilku umundurowanych funkcjonariuszy.

- W miejskich szpitalach zawsze kręcą się gliniarze - powiedziała Annie. - Szkoda, że nie widziałas, jak niebiesko jest w szpitalu w Bel-Ievue.

Kiedy tylko wysiadłyśmy z windy, podeszła do nas młoda dziewczyna, technik medyczny, by pobrać ode mnie próbki krwi.

- Idź sama, jak długo możesz - poradziła. - Może w ten sposób nie trzeba będzie sztucznie wywoływać porodu. W moim przypadku zadziałało.

W ciągu dziesięciu minut znalazłam się w przydzielonym mi pokoju; chwilę później weszła pielęgniarka.

- *Sientes hien, mi kija?* - spytała słodko.

- Nie mówię po hiszpańsku - odparłam, starając się nie mówić jak przemądrzała smarkuła. - Nie jestem Meksykanką... Po prostu mam ciemną karnację. ,

Annie strasznie się wściekła, bo pielęgniarka od razu założyła, że muszę być Meksykanką, skoro mam tylko piętnaście lat i nie ma ze mną męża. Ale okazało się, że ta pielęgniarka, Shelley, nie miała najmniejszego pojęcia, kim jestem, ani nigdy nie słyszała o Dillonie LeGrande. Po prostu nie była typem dziewczyny, która ogląda wiadomości, ale to i tak wcale nie zmniejszyło złości Annie. Niewiele brakowało, by wybuchła.

- No, cóż... zawsze staram się poćwiczyć hiszpański - rzekła pielęgniarka, a potem spytała Annie: - Czy zostanie tu pani z panią LeGrande? Czy jest pani odpowiedzialna za podejmowanie decyzji medycznych w jej imieniu?

- Jestem jej adwokatem i przyjaciółką, więc tak, zostanę. Jej mąż... nie mógł przyjechać.

- Rozumiem - odparła Shelley.

Zabrała moje ubrania, a ja wzięłam prysznic; Annie została ze mną, lecz wcale mi to nie przeszkadzało. Potem dali mi bawełnianą koszulkę w czerwone gwiazdki.

Później dowiedziałam się, że specjalnie ściągnęli ją dla mnie z oddziału dziecięcego, bo pomyśleli, że może mi się spodobać. Bardzo miło z ich strony. Kiedy przyczepiali mnie do tych wszystkich tubek oraz do monitora sprawdzającego tętno dziecka, Annie wyszła na kawę. Gdy wróciła, poprosiłam ją, by zadzwoniła do mamy, tak dla spokoju mojego sumienia i by tradycji stało się zadość.

- Już próbowałam - odpowiedziała Annie. - Nie mogę jej złapać. No, cóż. Więc trudno. Zeby ochronić się przed smutkiem, zaczęłam przyglądać się Shelley i drugiej pielęgniarce, które majstrowały przy przyciskach i pokrętłach monitora.

- Widzisz? - Shelley wskazała na linię płynnego światła. - To bicie serca twojego dziecka: jeden-sześćdziesiąt, jeden-trzydzieści, jeden-czterdzieści, jeden-osiemdziesiąt. Nie wiadomo, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Strasznie się wierci.

Nagle poczułam, że dziecko jakby przeciąga się we mnie.

- Poruszyło się - powiedziałam. Dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Po wielu miesiącach gimnastyki dziecko prawie nie drgnęło... nawet nie pamiętam, od jak dawna. Po prostu nie zwróciłam uwagi.

- Czyżby nie ruszało się cały czas, kochanie? - spytała Shelley.

- Nie, prawie nigdy - odrzekłam. - Od wielu dni nie. Czy to bardzo źle?

Zobaczyłam, że Annie i pielęgniarki wymieniają spojrzenia. Ta druga pielęgniarka wyszła na korytarz, a chwilę później zjawił się doktor Carroll i przywitał się z Annie. Od wielu lat była jego pacjentką, lecz teraz nie patrzyli na siebie zbyt przyjaźnie.

- Doktorze - odezwała się do niego Shelley. - Pani LeGrande mówi, że nie czuje ruchów dziecka.

- Może maluch nie bardzo ma miejsce, żeby się ruszać. No, cóż... właśnie po to tu dziś jesteśmy.

- Okay - mruknęłam.

- Anne - rzekł wtedy doktor Carroll, bardzo cicho. - Moja córka

także jest prawnikiem. Często powtarza, że podstawową zasadą prowadzenia praktyki nie jest bieganie za komarem z działem przeciwpancernym, bo wtedy najtrudniej trafić.

- Nie wiesz, przez co ona przeszła i przez co jeszcze będzie miała przejść - odpowiedziała mu Annie.

- W rzeczy samej nikt nie miał zamiaru zdenerwować czy odesłać Arlington z kwitkiem dziś rano. Zaszło nieporozumienie i zostałyby naprawione w ciągu paru minut, gdybyś nie...

- Ona o tym nie wiedziała. Ja także nie.

- Ale ja wiedziałem - rzeki twardo doktor Carroll. - Ani status pacjenta, ani powiązania z Medicaid, a w szczególności problemy rodzinne nie mają wpływu na jego traktowanie w tym szpitalu. Jestem pewien, że w swoim zawodzie trzymasz się tych samych reguł.

- Wszystkich klientów traktuję tak samo - odparła Annie. - Z wyjątkiem jej. Doktor Carroll uśmiechnął się.

- Wiem, że to dla ciebie szalenie stresująca sytuacja. Wiem to, zarówno jako twój lekarz, jak i przyjaciel. - Odwrócił się do mnie. - To jak? Urodzimy to dziecko?

- Bardzo proszę - rzekłam.

Na chwilę zostawili mnie sam na sam z Annie; nawet Shelley wyszła z pokoju. Mieliśmy dużo czasu; podobno sztucznie wywołany poród trwa zazwyczaj bardzo długo.

- Mówi się, że po pitocinie poród jest cięższy, ale to nieprawda - uświadomiła nas Shelley, gdy wróciła do pokoju. - Pójdzie ci równie gładko, jak wszystkim innym. - Popchnęła drzwi biodrem, a gdy się otworzyły, z korytarza dobiegło nas zwierzęce wycie. - Następny mieszkaniec stanu nadchodzi. - Uśmiechnęła się, a ja złapałam Annie za rękę. Ta pani krzyczała tak, jakby umierała, a nie rodziła dziecko; to przypominało horror.

Musiałam się czymś zająć.

- Pooglądajmy telewizję - powiedziałam do Annie. - Obejrzyjmy wiadomości.

- Nie - odparła Annie. - Musisz się skoncentrować.

Teraz wiem, dlaczego tak powiedziała, ale wtedy wydawało mi się to strasznie niesprawiedliwe; w końcu nie ona miała rodzić dziecko, tylko ja.

Poza tym konałam z głodu.

- Zdaje się, że nie pozwolą mi tu nic jeść, prawda? - Nie.

- Jestem strasznie głodna. Mogłabym zjeść konia z kopytami.
- W takim razie im szybciej urodzisz dziecko, tym lepiej.
- Może spróbuję się zdrzemnąć.
- Dobry pomysł.

Ale to ona zasnęła. Przymknęła oczy i rozluźniła chwyt na mojej dłoni i sekundę później już cichutko pochrapywała z głową oparta o mój wielki brzuch, który twardniał niczym boki wulkanu, gdy nadchodziły skurcze. Nawet nie bolało. Słońce wstawało i wpadało przez na wpół zasunięte żaluzje, tworząc paski światła na twarzy śpiącej Annie. Jęknęła przez sen. Kiedy Shelley przyszła zobaczyć, co u mnie słyhać, Annie nawet się nie poruszyła.

- W korytarzu stoi policjant - szepnęła Shelley.
- Bo ja jestem gwiazdą filmową - odparłam, również szeptem. Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Ale ona od razu poznała, że się wygłupiam.
- Nie miałam pojęcia - odparła, lecz nadal nie wiedziała, o czym mówię. Jednak gdy przyszła do mnie następnym razem, chyba już wiedziała, o co chodzi, bo pokiwała na mnie palcem, jakby chciała powiedzieć: „Niegrzeczna dziewczynka”.
- Moje małe biedactwo - szepnęła. - Przecież sama jesteś jeszcze dzieckiem. Założę się, że chciałabyś, żeby teraz tu był, co?
- Chyba tak. Cały czas zastanawiam się, gdzie teraz jest... i czy może czuć to, co się ze mną dzieje...

Coś obudziło Annie, która natychmiast powiedziała, żebym przestała się niepotrzebnie podniecać.

- Wcale się nie podniecam - odparłam, ale zdawałam sobie sprawę, że ma rację. Chciałam tylko, żeby Shelley wiedziała, że nie jestem zwykłą dziewczyną gangstera. - Ci pozostali chłopcy którzy uciekli... Dillon wcale nie jest taki. Shelley wyszła z pokoju, a Annie i ja spojrzaliśmy po sobie. Skurcze stawały się coraz częstsze i dłuższe. To były już prawdziwe bóle porodowe.
- Wiem, że będę musiała sama wychować dziecko - powiedziałam nagle do Annie.
- Tego nie wiesz.
- Po tym, co Dillon zrobił, nawet jeżeli nie on pociągnął za spust... wiem, że nie będziemy już mogli być razem. Nie będzie go przy mnie i dziecku. Wróci do więzienia... może nawet skończy jak ci klienci Stuarta.
- To zależy - odrzekła Annie bardzo wolno, jakby raczej usiłowała mnie o coś zapytać, niż coś powiedzieć.

- Wiesz, że to nieprawda, Annie. Wiesz, że wszyscy uważają go za mordercę.
- Arley, zaraz masz urodzić dziecko... nie mówmy o tym.
- No... ale jeżeli mam teraz powiedzieć, że go nie Kocham... jeżeli przestałam go kochać... to znaczy, że nigdy tak naprawdę go nie kochałam.
- Po prostu nie wiedziałas o pewnych sprawach.
- Trzeba kochać drugą osobę na dobre i na złe. Tak to działa. Nie wolno kochać jej tylko za te cechy, które się nam podobają. - Usiłowałam znaleźć odpowiednie słowa.
- Razem stworzyliśmy nową osobę, Annie. A jeżeli nie Kocham chłopca, z którym ją stworzyłam, to naprawdę jestem taką idiotką, za jaką oni wszyscy mnie uważają. Więc muszę wierzyć, że tamtej nocy było w nim coś, czego teraz już nie ma... albo że wszyscy się mylą co do niego. - Dopiero teraz zaczęło mnie tak naprawdę boleć. - Muszę zacząć głęboko oddychać... powinnam się jak najdłużej obywać bez lekarstw...
- Arley - odezwała się Annie łagodnie. - Bóg wymyślił lekarstwa właśnie na takie okazje.
- Wdechchchch... i wyyyydech... - Nie chciałam brać żadnych środków przeciwbólowych. Doktor Carroll mówił mi, że osiemdziesiąt procent kobiet wcale nie musi ich zażywać.
Annie zeszła na dół na następną kawę. Zanim wyszła, odsłoniła żaluzje. Zobaczyłam, że zbiera się na burzę, a sinoszare chmury gromadzą się nisko nad horyzontem. Kiedy Annie wróciła i przyłożyła mi dłoń do czoła, wyczułam popcorn i strasznie się wściekłam.
- Jadłaś dobre rzeczy! - warknęłam oskarżycielsko. - A ja tu konam z głodu! Udała się do maleńkiej łazienki i usłyszałam, jak myje ręce. Shelley przyszła niedługo później i powiedziała, że połowę drogi mam już za sobą.
- Trochę mnie boli - przyznałam cicho. - Właściwie to boli mnie całkiem piekielnie.
- Chcesz może usiąść w jacuzzi?
- Czy to nie zaszkodzi dziecku?
- Gdyby miało zaszkodzić, nie zaproponowałabym ci tego - odparła Shelley. Jednak siedzenie w wannie ani trochę nie zmniejszyło bólu; muszę jednak przyznać, że było przyjemne. Przede wszystkim poczułam się lżejsza i wreszcie mogłam swobodnie oddychać. Wydaje mi się, że zdrzemnęłam się przez chwilę; przyśniło mi się pływające dziecko, taka mała syrenka. Kiedy się obudziłam, nie mogłam sobie przypomnieć, jak pisze się imię Annie, więc zapytałam.

- Z „e” na końcu! - odkrzyknęła mi z pokoju obok. - Tak jak się powinno. Shelley pomogła mi się wytrzeć i włożyła mi czepek na włosy.

- Teraz wszystko pójdzie już znacznie szybciej - powiedziała. Annie masowała mi plecy; uczyli nas na zajęciach, że tak mąż ponoć powinien robić. Chciałam się zgarbić, zacisnąć zęby i walczyć z bólem, lecz przypomniałam sobie, że nie wolno tego robić; trzeba poddać się bólowi i jechać na nim dokładnie tak samo, jak człowiek surfuje na fali. A jednak nie potrafiłam tego zrobić.

- Nie mogę, Annie. Jestem jeszcze za mała - jęknęłam.

- Możesz... dasz sobie radę. Spójrz na mnie: obiecuję, że nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Muszę oddychać wolno - powiedziałam, usiłując się odprężyć i nagle stało się coś strasznego. Przestałam czuć nogi, które jeszcze przed chwilą były napięte jak postronki. Nagle straciłam czucie.

- Annie, nie mam czucia w nogach!

Annie natychmiast nacisnęła czerwony przycisk przy łóżku i zaraz przybiegła Shelley; pocieszyła nas, że to nic groźnego, pewnie tylko ucisk na jakiś nerw.

- Nie ma nic gorszego od porodu - zaczęła mi cichutko śpiewać.

- Potrzebuję zastrzyku przeciwbólowego...

- Jeszcze nie teraz.

- Nie, teraz! - krzyknęła Annie. Wrzasnęłam, gdy schwycił mnie następny skurcz; tym razem poczułam się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w plecy. Poczulałam zapach własnego potu, lecz jakiś taki inny niż zwykle, jakby metaliczny, jak gdyby paliła się jakaś część maszynierii. Znowu zawyłam, wzywając Annie. Wydawało się, że od poprzedniego ataku bólu nie minęła jeszcze sekunda, a tu już dręczył mnie następny. Wiedziałam, że zaraz się rozerwę i wykrwawię na śmierć. Nic nigdy mnie tak nie bolało, ani głowa, ani brzuch podczas miesiączki, ani nawet złamana kostka u nogi, a podobno nie istnieje gorszy ból. Annie złapała mnie za głowę i usiłowała uspokoić, lecz rzucałam nią po łóżku jak dziki koń. Schwyciłam ją za nadgarstki i przyciągnęłam.

- Zawołaj tego cholernego doktora!

- Nie chcę cię zostawiać!

- Zawołaj go, albo tu zaraz umrę!

Pobiegła. Złapałam prześcieradło w obie ręce i usiłowałam rozedrzeć; nie miałam wystarczająco dużo siły. Ból w moich plecach był tak

straszliwy, że wydawało mi się, iż go nie przeżyję. Bardziej pragnęłam tylko wypchnąć dziecko - którego teraz szczerze nienawidziłam - na świat. Nic nie jest w stanie tego opisać, to najpotężniejsza siła, jaką w życiu poznałam. Więc zaczęłam przeć i jęczeć, i krzyczeć, aż poczułam ślinę ściekającą mi z kącika ust.

- Annie! Mamo! Mamo!

I Annie przybiegła, jakby ją goniły diabły z piekła rodem, a tuż za nią pojawił się doktor Carroll. Wyglądał prześcieradło.

- Dobrze, już dobrze, Arley... widać już główkę... jeszcze tylko trochę... nie marnuj sił...

- Wołałam cię... - powiedziałam do Annie, łapiąc ją za rękę.

- Słyszałam. Arley, kochanie, usiłowałam się do niej dodzwonić... ale chyba nie ma jej w domu.

- Nie ją wołałam! - odparłam; czułam, że znowu nadchodzi ból, gwałtowny i rozdzierający, który nie miał nic wspólnego z moim ciałem, a o którego istnieniu nawet nie wiedziałam.

- Słyszałam, jak wołasz...

- Ciebie wołałam, Annie! Anniiiiee! - wrzasnęłam. I wreszcie pojawiła się na świecie. Błękitno-czerwona, lśniąca i wyglądająca jak jakiś efekt specjalny z filmu science fiction: ogromna głowa z ramionkami i nóżkami wielkości palców mężczyzny, lecz zwiniętymi tak, jak zwija się koszulę do spakowania. Z jej brzuszka wyrastało coś przerażającego, jakby skrzydło smoka; zupełnie zapomniałam o istnieniu pępownicy. Pomyślałam, że coś jest nie w porządku i omal się nie rozpląkałam z przerażenia. Ale potem zobaczyłam, że Annie śmieje się i płacze jednocześnie, a zdawałam sobie sprawę, że poznałaby się, gdyby coś było nie w porządku. Usiłowałam sięgnąć do córki, lecz Shelley zabrała ją na chwilę i owinęła w ręcznik.

- To śliczna dziewczynka. Istny dar boży - powiedział doktor Carroll. - Poważnie mówię, Arley. Jest naprawdę śliczna. - Chciał przeciąć pępownicę, lecz go powstrzymałam.

- Annie - mruknęłam, bo pamiętałam z lekcji rodzenia, że to należy do ojca.

Chciałam, żeby ona to zrobiła. - Proszę, Annie, przetnij ją dla mnie.

Zaczęła gwałtownie ocierać oczy dłońmi.

- Arley, ręce mi się trzęsą... nie mogę.

- Nie - odparłam. - Musisz to zrobić.

Ból minął; skończył się cały wszechświat bólu, choć czułam się mocno naderwana, tam, niżej. Dziecko wcale nie było takie malutkie, jak mi wcześniej mówili. I nie miało żadnego wrodzonego defektu czy

niedorozwoju. Właściwie była całkiem duża, jak jedna z tych lalek naturalnej wielkości. Później dowiedziałam się, że przy badaniu ultrasonografem często popełniają błędy, a potem mówią tylko: „Taak? A to ciekawe”.

- Annie! Spójrz na dziecko. Spójrz! - Obracała główką na wszystkie strony, krew lśniła na jej czarnych włoskach jak gęsty dżem, i maleństwo eksperymentowało, co może zrobić z rączkami i nóżkami, podobnie jak robią to motyle, gdy suszą skrzydła zaraz po wykluciu się z kokonu. Shelley wycierała ją ręcznikiem, po tym, jak Annie przecięła pępowinę.

Przysięgam, że nawet nie pamiętam, kiedy wypchnęłam z siebie łożysko. Nie mogłam się nadziwić jej maleńkim stopkom i temu, że na maciupenkich dłoniach już widziałam wyraźnie zaznaczoną linię życia i linię serca. Gdzieś tam w środku miała żołądek i płuca wielkości orzechów, i jajniki z jajeczkami, z których kiedyś w przyszłości powstanie następna istota. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę sama stworzyłam drugiego człowieka. Czułam się jak jakaś królowa albo księżna; chciało mi się podskakiwać i śpiewać z radości.

Do czasu aż doktor skończył mnie zszywać, wytarli ją tak dokładnie, że wyglądała jak dziecko prosto z podręcznika o opiece nad niemowlęciem. Zobaczyłam, że jej włoski, które wcześniej wydawały się czarne pod całą tą mazią, są naprawdę jasnoblonde i przypominają małe kędziorki lukru na torcie; włosy Dillona.

- Ona jest piękna, Arley - powiedziała Annie, gdy Shelley podała jej małą zawiniętą w kocyk. - Wyniki w teście Apgar* są doskonałe. Nic jej nie jest! 1, och spójrz, ma nawet mały dołeczek w brodzie.

Oho, pomyślałam.

- Nie wydaje mi się, żeby to było zbyt ładne u dziewczynki - odezwałam się słabo. - Daj mi ją...

Teraz praktycznie nie było go widać; oczywiście, powiększy się z wiekiem, lecz wtedy będzie już stanowił nieodłączną część Desi, a ja dawno zapomnę wszystkie te nonsensy, że dołeczek w buzi dziewczynki brzydko wygląda.

W tym momencie dziecko otworzyło oczki i spojrzało na mnie; podobno noworodki nic nie widzą, ale jestem przekonana, że Desi mnie zobaczyła. Popatrzyła prosto na mnie, a ja ją rozpoznałam z mego snu; była tym dzieckiem, o którym śniłam tuż przed porodem, siedząc w ja-

*** Apgar - skaia i test służące do mierzenia prawidłowych odruchów u noworodków (przyp.tium.).**

cuzzi. Była osobą, którą znałam całe życie. Zapomniałam, że stoi przy mnie całe mnóstwo ludzi, i powiedziałam na głos:

- Nie wiedziałam, że to będziesz ty!

Później przynieśli mi jedzenie, a Patty, przyjaciółka Annie z pracy, przysłała z butelką szampana, i ja też napiłam się odrobinę.

A jeszcze później Jeanine przyniosła małą figurkę na łańcuszku, którą kupiła w Tienda de Carina, do powieszenia nad kołyską dziecka, i wyjaśniła mi, że 29 października to magiczny dzień, część ulubionego festiwalu Annie, Dia de los Muertos, oraz starożytne święto Persefony. Annie opowiedziała mi później tę legendę i teraz szalenie ją lubię. Persefona została porwana przez Hadesa, boga podziemnego świata, który nagle wyłonił się w czarnym rydwanie spod dzikich kwiatów. Hades wreszcie dobił targu z mamą Persefony, Demeter, i od tamtej pory Persefona pół roku spędza z nim, w podziemnym królestwie -wtedy na świecie zaczyna się zima.

Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że Persefona chyba wcale tak strasznie nie cierpi, gdy musi wracać co pół roku do swego małżonka; ta historia zawsze przypominała mi bajkę o Pięknej i Bestii. Bardzo się cieszyłam, że Desiree narodziła się w tak magicznym dniu. Nawet jeżeli część tej magii to czarna magia - wytknęła mi Jeanine - wcale nie oznacza to, że jest zła; a czarna magia jest wyjątkowo potężna. Powiedziałam Jeanine, że Desi jest moim własnym małym prezentem z okazji Halloween, a ona odparła, że na psikusy nadejdzie czas później -mogę jej zaufać, sama ma siedmioro rodzeństwa.* Annie cały czas kręciła się po pokoju, uśmiechając i nucąc coś pod nosem; zachowywała się tak, jakbyśmy wygrały los na loterii. Już od dawna nie widziałam, by była tak szczęśliwa. Prawie zapomniałam przez to o Dillonie; przypominałam sobie dopiero, gdy Shelley przyniosła mi formularze.

- Nie musisz tego od razu wypełniać - rzekła. - Właściwie wcale nie musisz teraz o nich myśleć.

- Annie - odparłam. - Jestem gotowa.

W milczeniu Annie wyciągnęła długopis z torebki i podała mi go. Jeanine przyglądała się z uwagą, jak wpisuję imię dziecka: *Desiree Anne LeGrande*.

Matka: Arlington Mowbray LeGrande.

Ojciec: Dillon Thomas LeGrande.

*** W Stanach Zjednoczonych z okazji Halloween dzieci przebierają się w kostiumy diabłów, duszków, czarownic i inne, a potem biegają od domu do domu w sąsiedztwie i wołając: „Prezent albo psikus!”, wyludzają od dorosłych słodycze (Czyp. tłum.).**

- To na twoją cześć - powiedziałam Annie; nie miałam pojęcia, że „Anne” jest najpopularniejszym drugim imieniem na świecie. - Sama zawsze chciałam mieć drugie imię... To właściwie nadrabia za wszystko.

Annie skinęła głową, lecz nie odezwała się ani słowem.

- Dlaczego nazwałaś ją Desiree? - spytała Jeanine. - Czy to Dillon wybrał to imię? Czy to jakaś postać z książki?

- To coś oznacza.

- Desiree? Jak tramwaj zwany pożądaniem*?

- No, nie do końca. To oznacza „chcę”. Na przykład: *Je désirée la plume* znaczy „chcę ten długopis”. To po francusku. A w połączeniu z LeGrande, znaczy „bardzo chciana” lub „upragniona”. Waśnie to do niej czuję. Nie chcę, by kiedykolwiek obawiała się, że jest inaczej. Mam rację, Annie?

Ale ona mi nie odpowiedziała; wyglądała przez okno odwrócona do nas plecami. I zaczął padać deszcz.

* *Desire* - **pożądanie (ang.) (przyp. tłum.)**.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ANNIE

Z chęcią przyjąłabym zaproszenie Jeanine na drinka, by uczcić narodziny dziecka, i zrobiłabym to, gdybym się tak strasznie nie bała. Byłam tak zdenerwowana i spięta, że aż nieprzyjemnie pachniałam.

Dwa razy podczas porodu Arley rozmawiałam z Carłą Merrill. Agentka FBI spędziła wyjątkowo pouczającą godzinę z Kate LeGrande w jej domu, kiedy to pani LeGrande wyraziła niebotyczne zdziwienie, że wymiar .sprawiedliwości chce wiedzieć o wszystkich tych razach, gdy Dillon do niej dzwonił lub pytał o żonę. Założyła, że skoro jej syn jest zbiegłym więźniem, policja już od dawna wie o jego telefonach.

- Nie namierzacie takich telefonów? A ta dziewczyna... nawet jej nie znam - rzekła Kate. - Nie sądzę... by naprawdę była do nas podobna.

Ani razu podczas godziny, jaką Carla Merrill spędziła w domu pani LeGrande, Kate nie podniosła się z sofy, nie wyłączyła telewizora ani nie zaproponowała agentce czegoś do picia. Wyjaśniła, że od paru lat niewiele je i jeszcze mniej sypia, a zapytana o pracę, odpowiedziała: „wykluczone, jestem zbyt nerwowa”. Czeka z opieki społecznej i renta po Tomie LeGrande ledwie starczały na życie, a odkąd jej chłopcy poszli do więzienia, sprawy tylko się pogorszyły. Kate powiedziała Car-li z oburzeniem, że państwo nie zrobiło nic, by po zamknięciu ich w więzieniu dać jej równowartość pieniędzy, jakie przynosili do domu. A Kevin i Dillon naprawdę nieźle zarabiali. Carla Merrill nie wiedziała, czy ma się rozplakać, czy roześmiać na sugestię, by stan Teksas płacił za uwięzienie przestępców. Najbardziej niepokoił ją jednak szkielet ogromnego ptaka - może jastrzębia - leżący w kurzu na podwórku z lekkim łańcuszkiem nadał przywiązany do szyi.

Nikt nie wiedział, gdzie podziewa się najmłodszy członek rodziny. Kate musiała zapytać średniego syna:

- Poszedł dziś do szkoły?

Ale nastolatek, Kier LeGrande, który sam najwyraźniej nie spieszył się ani do szkoły, ani do pracy i siedział tylko przy stole w kuchni, paląc papierosy, odpowiedział, że nie widział małego Philipa od... kilku dni.

Krwawy szlak, który Dillon zostawiał za sobą w całym południowym Teksasie, martwił LeGrandów znacznie mniej niż jego małżeństwo.

- Nie zostaliśmy wychowani, by żenić się z dziećmi, proszę pani - usłyszała Carla od Kiera LeGrande. - Moja mama ma rację. Ludzie, którzy tak postępują, nie należą do naszej grupy.

Carla Merrill nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

Zasugerowałam kilka możliwości: Episkopalia? Biedni, lecz dumni? Bliscy krewni zabójców? Lecz Carli wcale to nie rozbawiło. Istnieją rodziny, które zrobią wszystko, by tylko jak najszybciej oddalić się od swych zobowiązań i zostawić za sobą złe uczynki.

Ta dziwaczna rozmowa z Carłą miała w sobie coś ze stanu fugi - dopiero teraz zrozumiałam, co mają na myśli ludzie, kiedy mówią, zapożyczając termin medyczny, że „są w szoku”. Z jakiegoś powodu nie dostrzegałam destruktywności zachowań Dillona; spadły one na mnie ze zdwojoną siłą dopiero poprzedniego popołudnia. Może zbyt długo mieszkałam ze Stuartem? Zastrzelenie szeryfa federalnego podczas ucieczki z więzienia wydawało się najlogiczniejszym ze sposobów, mimo iż zdjęcie jego poszarpanej twarzy i otwartych oczu wpatrujących się z niebotycznym zdumieniem w przestrzeń strasznie mną wstrząsnęło. Jednak to, co stało się z siostrą Arley, było już niewytłumaczalne. Cóż za szalony zbiegły więzień będzie czuł się na tyle pewnie, by wdrapać się do pokoju swej ukochanej? A jednak Dillon postąpił jak jakiś szalony Romeo i znalazłszy zamiast Arley jej siostrę, zrobił z nią Bóg jeden wie co. Odnosiłam wrażenie, że uważa się za jakąś mityczną postać, a nie normalnego człowieka. Nie potrafiłam przestać myśleć o koszuli nocnej Lang i o tym, jak leżała pod oknem niczym monstrualny hibiskus. Czy zabrał jej ciało z sobą? Pogrzebał ją? Zachował przy życiu jako zakładniczkę? Dowiedziawszy się o nowym przestępstwie syna, Kate LeGrande powiedziała tylko: - Mój Boże. Nie przypuszczałam, że on w ogóle znał tę siostrę Arley.

Rita, której najstarsze dziecko zaginęło i uważane jest za martwe, a najmłodsze właśnie urodziło córeczkę psychopaty zbiegłego z więzienia, której dom na Jean-Marie Street został otoczony żółtą policyj-

ną taśmą i przez który ciągle przewijali się detektywi i agenci FBI, przekopujący grządki i robiący zdjęcia, poszła spokojnie do pracy.

Ponieważ miałam przy sobie broń, doszłam do wniosku, że będziemy z Jeanine bezpieczne w przyjaznym wnętrzu Amor Ausente. Ze szpitala nie było tam tak daleko i zgodziłyśmy się pójść na piechotę. Jednak gdy tylko znalazłyśmy się na ulicy, nerwy mnie zawiodły. Nie dotykałam broni od wielu tygodni, najwyżej przekładałam ją z torebki do nocnej szafki, i z powrotem; aż do wyjazdu na Florydę to Stuart rozkładał ją i czyścił, miłośnie oliwiąc i gładząc lufę specjalną szczoteczką. Pewnie wyobrażał sobie, że strzela z niej do złoczyńców niczym John Wayne. Nie miałam pojęcia, jak sama dam sobie z tym radę. Może Charley będzie mógł mi pomóc. Albo Tarik. Z pewnością Jack Becker mnie nauczy. Bycie rewolwerowcem wcale nie jest takie proste, jak pokazują na filmach. Przed rozstaniem na szpitalnym parkingu powiedziałam Jeanine, że Dillon miałby czas spokojnie porąbać i mnie i Arley na drobniutkie kawałeczki, zanim zdążyłabym chociaż załadować rewolwer. Potem Jeanine odjechała, a ja jeszcze raz spojrzałam w okna, za którymi spała Arley, nieświadoma losu siostry. Strażnik czuwał pod jej drzwiami, a na karcie napisany był zakaz włączania przy niej telewizora; mogła oglądać tylko filmy na wideo. Jednak wiedziałam, że bez względu na zabezpieczenia przyjdzie chwila, gdy jakiś idiota włączy telewizor akurat na wiadomości. Mimo to pragnęłam, by Arley miała jak najwięcej czasu, by nacieszyć się swym małym aniołkiem, jako pierwsza z kobiet noszących nazwisko Mowbray, która mimo lawiny przeciwności naprawdę chciała urodzić dziecko.

Nigdy nie widziałam noworodka śliczniejszego od Desiree; z drugiej strony, nigdy nie widziałam mężczyzny piękniejszego od Dilion. Gdzie ty teraz jesteś, Dillonie?, zastanawiałam się. Gdybyś miał przed sobą jakąś nadzieję na przyszłość, czy chciałbyś spędzić życie na zabawie ze swoją śliczną córeczką? Poczulałam ukłucie czegoś, co dziwnie przypominało żal. Czy w innym życiu mężczyzna, który pisał te piękne wiersze, mógłby wyjść na ludzi? Spójrzcie tylko na to, co osiągnęła Arley. Wytworzyła własny system wartości, z okruchów i resztek, któ-- , rych z całą pewnością nie znalazła w domu, i trzymała się go z rozpaczliwą zajadłością, nawet gdy rozum podpowiadał jej inaczej.

Nie powinno mnie zdziwić, że bezwiednie podjechałam pod dom na Azalea Road. Marzyłam o prysznicu i miękkim łóżku; wiedziałam, że następnego ranka będę musiała wrócić do szpitala i powiedzieć Arley o zaginięciu jej siostry.

Ale gdy już zaparkowałam samochód, czułam, że ta noc nie będzie nic warta, jeżeli nie opowiem Charleyowi o Desiree. Nie zastanawiałam się nawet nad tym, że mam rozczochrane włosy i wielkie plamy potu pod pachami. Widziałam ciężarówkę stojącą pod gankiem, lecz żeby go znaleźć, musiałam obejść prawie cały dom. W końcu natknęłam się na niego w sypialni; stał pochylony nad ogromnym łóżkiem, które najwyraźniej zostało zrobione na długo przed tym, jak komukolwiek przyszło do głowy nazywać ten rozmiar „królewskim”.

- Cześć - odezwał się Charley.

- Cześć.

- Ale stare to łóżko - mruknęłam.

- Naprawdę stare i naprawdę ogromne.

- Nie wiedziałam, że w ogóle robi się takie - dodałam, przesuwając palcami po plamach niebieskiej farby. Był to wyjątkowo piękny mebel, z czterema kolumnkami zwieńczonymi kulami wielkości piłek baseballowych.

- Musiało być przeznaczone dla wyjątkowo dużej osoby - rzekł Charley - Albo raczej dla dwóch bardzo dużych osób. - Odwrócił się do mnie. - Witaj, Annie. Wyglądasz, jakby ktoś cię zajeździł, a potem odstawił do stajni bez wody i siana.

- Nie zapytasz mnie, czy z Arley wszystko w porządku?

- Nie byłoby cię tutaj, gdyby coś poszło nie tak.

- A nie zapytasz o dziecko?

Uśmiechnął się szeroko i uniósł wzrok znad gwoździka, który ostrożnie wbijał w jedną z nóg łóżka.

- Opowiedz mi o dziecku - powiedział.

- Jest śliczna...

- Ach... więc to dziewczynka.

- Tak - odparłam. - A ja jestem straszliwie zmęczona... - Wyciągnął ramiona, więc podeszłam do niego i przytuliłam policzek do jego piersi. Oparł podbródek o moją głowę, dokładnie tak, jak sobie to wyobrażałam. - Nie spałam od trzydziestu godzin, Charley. Padam z nóg. Najprawdopodobniej śledzi mnie morderca, który uważa, że chowam przed nim jego żonę...

- Słyszałem o tym.

- I właśnie pomogłam piętnastoletniej dziewczynie urodzić dziecko ważące osiem funtów.

- A jak mała ma na imię?

- Desiree.

- Och... nie. Desiree Anne.
- Skąd wiedziałeś?
- Miałem przeczucie.
- Ona ci powiedziała.

- Arley bardzo cię kocha, Anne - powiedział Charley, ściągając bandanę z czoła. - Ma szczęście, że byłaś z nią.

Uniosłam głowę i pocałowaliśmy się; nasze usta zetknęły się ze sobą jak starzy przyjaciele, którzy upewniają się, że właściwie nic się nie zmieniło od czasu ich ostatniego spotkania.

- No i jeszcze jedno - szepnęłam, nadal tuląc się do niego.

- Czyli co?

- Czyli ty, Charley. Co ja mam z tobą zrobić?

- Masz ochotę na piwo?

-Jasne... Ale zaczekaj chwilę. Dopiero co cię pocałowałam. Myślisz, że to dobry pomysł?

- No, cóż... nie sędzę, byś powinna się martwić z tego powodu.

- Naprawdę? - wykrzyknęłam i cofnęłam się o krok. - Naprawdę?

- Ano naprawdę - odrzekł Charley, a potem nagle uklonił mi się i zrobił zamaszty gest młotkiem, który nadal trzymał w ręce. - A teraz historyczny moment! Anne, to fantastyczne łóżko nie będzie cię kosztować ani trochę więcej! Będzie cię kosztować odrobinę mniej! Będzie cię kosztować - i jest to jedyny raz, gdy słyszysz ode mnie coś podobnego - absolutnie zero!

- Charley, bądź poważny.

- Ależ jestem. To łóżko nie będzie cię kosztować ani grosza.

- Nie o tym mówię. - Znowu się do niego przytuliłam i poczułam, jak jego ręce zsuwają się po moich plecach. - No, dobra... wchodzę. Dlaczego to przepiękne łóżko nie będzie mnie kosztować ani grosza?

- Bo wydebiłem je na ulicy od rodziny, która właśnie je wyrzucała. Nie mogli znieść wspomnień matki, która w nim umierała...

- W nim?! A na co umierała? Na dzumę?

- Nie, na starość. Spokojnie. Poza tym materac nie ma jeszcze roku.

- Dzięki Bogu! A co z pościelą? ^

- To dodatkowy komplet. Prawdopodobnie jest równie stara, jak samo łóżko.

Ręcznie szyta. Podoba ci się?

- Jest śliczne.

- No, cóż... pomyślałem, że będzie tu pasować.

- Dziękuję, Charley.

Znowu mnie pocałował; tym razem dłużej, pewniej... Kołysaliśmy się oparci o siebie, i nieomal straciliśmy równowagę, obracając twarze

to w tę, to w tamtą stronę, żeby tylko pogłębić pocałunek. Poczułam, że Charley sięga w dół i wyciąga mi bluzkę ze spodni... a potem wsuwa pod nią dłonie i pieści moje piersi. Usiedliśmy na łóżku; kiedy rozpiął koszulę, zauważyłam coś, co przypominało splątane gniazdo wiewiórki zrobione z lśniących, zielonych liści.

- Czyżby dorzucili w prezencie wieniec żałobny za pół ceny? - spytałam.

- To jemioła.

- Praktykujesz czary?

- Nie... Wiesz, na Boże Narodzenie ludzie wieszają jemiołę w holu i kto pod nią stanie, dostaje buziaka.

- Charley, może i niewiele wiem na temat Bożego Narodzenia, ale przecież mamy do świąt jeszcze trochę czasu.

- Wiem.

- **1** jeżeli ktoś ma zostać pocałowany pod tajemiołą, to ten ktoś musiałby leżeć.

- Masz rację. Właśnie o to mi chodziło.

- Ale przecież nie mogłeś wiedzieć, że tu dziś przyjadę.

- Wiedziałem... to znaczy, miałem nadzieję... że kiedyś wreszcie się zjawisz. To wcale nie musiało być dziś w nocy.

Położyliśmy się i Charley znowu mnie pocałował; potem zdjął mi spodnie, stanik, a nawet skarpetki. Potem naciągnął na mnie chłodne, ręcznie szyte prześcieradło.

Sięgnęłam do paska u jego dżinsów.

- Charley - odezwałam się. - Nie powinniśmy tego robić.

- Okay - odparł.

- Okay?

- Wydawało mi się, że nasze uczucia są podobne; w przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłbym ci się pocałować.

- Pozwolił?! Przecież to ty mnie pocałowałaś! Nie chcę, żebyś odniósł wrażenie, że to wszystko mój pomysł...

- Nie masz na to ochoty?

- Mam... pewnie, że mam... Ale wychodzę za mąż... za Stuarta.

- Ach, tak - mruknął. - Taak?

- Tak. Tak mi się zdaje. On... zgodził się. Powiedział, że możemy mieć dziecko, jeżeli naprawdę tego tak strasznie chcę. - Charley znowu mnie pocałował, bardziej natarczywie; delikatnie gładził mój brzuch, a potem wsunął we mnie palce, jeden po drugim. Było to szalenie dekoncentrujące; nie mogłam się skupić. - Ale, Charley, on tak naprawdę wcale nie chce się ze mną żenić... On tylko nie chce mnie stracić.

- Ja też nie chciałbym cię stracić.
- Poza tym wcale nie chce dziecka. Po prostu zgodzi! się na nie.
- Nie trzeba chcieć, by być dobrym ojcem.
- Ale powiedziałaś... że trzeba chcieć tego bardziej niż czegokolwiek innego...
- Powiedziałem, że dla mnie tak musi być. Ale nie dla wszystkich.
- Chciałbyś mieć więcej dzieci?
- Bardziej niż czegokolwiek na świecie. Kiedy znajdę już kobietę, której pragnę bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.
- Masz na myśli mnie? Ależ, Charley, ja mam już czterdzieści lat. Nie wiem, czy mam czas, by urodzić więcej niż jedno dziecko.
- Nie musimy mieć całego stadka. Jedno lub dwoje w zupełności wystarczy.
- Charley, jestem od ciebie znacznie starsza...
- Czyli, według powszechnej opinii, taki związek powinien ci się podobać.
- Ale...
- To oznacza, że będę w stanie dotrzymać ci kroku.
- To szaleństwo.
- Chcesz usiąść i o tym pogadać, Anne?
- Niekoniecznie.

Na powrót ułożyliśmy się w pościeli. Przyglądałam się potężnemu, wyrobionemu przez ciężką pracę ciała Charleya, kiedy zdejmował spodnie. Podobały mi się nawet rudawe kłaczki na jego piersi. Kiedy był już nagi, położył się i zaczęłam ocierać się o niego, coraz bardziej podniecona.

- Posłuchaj - odezwałam się. Charley westchnął, - Poczekaj... Tylko mnie wysłuchaj. Arley urodziła dziś dziecko. Prawdopodobnie był to największy błąd w jej życiu... ale jednocześnie dzięki temu wszystko inne na świecie wydaje mi się możliwe. Rozumiesz?

Znowu się pocałowaliśmy.

- Rozumiem, Annie - szepnął. - Rozumiem.
- Poza tym nie mamy żadnego środka antykoncepcyjnego.
- Wątpię, by był nam potrzebny.
- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz po prostu...
- Aha... i mieć nadzieję na najlepsze.
- Ale ja nie jestem taka! Całe życie użeram się ze skutkami bezmyślnych zachowań innych ludzi. Nie jestem nieodpowiedzialna, Charley!
- Ja też nie jestem nieodpowiedzialny, Annie. Nie jestem lekkoduchem i nie jestem dzieckiem. Jeżeli dziś w nocy zajdziesz w ciążę, bę-

dę dobrym ojcem. A jeżeli mi na to pozwolisz, będę też dobrym mężem.

- Mężem? Mężem?!

Okazało się jednak, że nie zaszłam w ciążę, nie wtedy. Ale nie dlatego, że się nie staraliśmy.

Może to i dobrze: nigdy nie byłabym pewna, kto jest ojcem. Stuart wyjechał na Florydę zaledwie trzy dni wcześniej. W ciągu trzech dni i nocy wydarzyło się tak wiele, że nasze wspólne życie wydawało się strasznie odległe.

Mój Boże, nawet nie powiedziałam Stuartowi o Desi-

Charley wstał przede mną i pogwizdując, umył się, a potem zaczął myć zęby szczoteczką, którą przyniósł z łazienki na dole. Co jeszcze tu miał, czego wcześniej nie zauważyłam? W tym czasie siedziałam na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i zastanawiałam się, co też najlepszego zrobiłam. Przecież nawet nie widziałam wnętrza jego domu! A jeżeli było równie paskudne jak jego obdrapana ciężarówka?

A jeżeli w ogóle nie miał domu i przespał się ze mną, by zdobyć dach nad głową?

Wstałam, pocałowałam go na do widzenia, wróciłam do domu i wybuchnęłam płaczem. Zostawiłam Rachie wiadomość na automatycznej sekretarce, mówiąc jej w naszym kodzie - na wypadek gdyby któryś z moich siostrzeńców nacisnął przycisk - co zrobiłam. Całe szczęście, że nie było jej w domu - i nie chodzi o to, że nakrzyczałaby na mnie, lecz o to, że strasznie się wstydziłam. Nadal płacząc, zaczęłam czyścić kuchnię... i wtedy zadzwonił telefon. Z początku wcale nie chciałam go odbierać w obawie, że może dzwonić Charley albo Stuart. Okazało się jednak, że to tylko Jeanine, która powiedziała, że wszędzie już mnie szukała.

- Musisz przenieść gdzieś Arley - walnęła prosto z mostu.

- No, cóż... dom będzie gotowy dopiero za kilka miesięcy... może trochę szybciej.

Charley naprawdę ciężko nad nim pracuje i ma...

Charley.

Charley klęczący na łóżku i wchodzący we mnie rytmicznie i mocno.

- To musi nastąpić wcześniej.

- No, cóż... jeżeli przyłoży się do roboty...

- Musisz przenieść ją jeszcze dzisiaj.

- Jeanine!

- Musisz.

- Jeanine, przecież Arley urodziła dziecko osiem godzin temu!

- No, dobra, w takim razie jutro.

- O czym ty mówisz?
- O kilku sprawach. I żadna z nich nie ma nic wspólnego z faktem, że kocham ciebie i Arley, i nawet jej dziecko,
- Przestań mnie zwodzić, Jeanine. -Jack uważa i agencja także...
- No, teraz już do czegoś dochodzimy...
- Przestań, Annie. Po prostu mnie wysłuchaj.
- Dobra, przepraszam.

Okazało się, że Jack, Jeanine i jej agencja adopcyjna przemyśleli kilka rzeczy. Po pierwsze doszli do wniosku, że Arley może nie być bezpieczna w mieszkaniu, które jej dali, mimo iż nikt - praktycznie rzecz biorąc - nie powinien znać tego adresu, a przynajmniej, teoretycznie, Dillon go nie zna. Istniało jednak pewne ryzyko, które należało wziąć pod uwagę. Jak na przykład bezpieczeństwo innych matek i ich dzieci. A także to, że Jeanine nie miała już żadnego wytłumaczenia dla agencji, dlaczego pozwala Arley mieszkać w Tarasie, skoro Arley najwyraźniej nie zamierzała oddać dziecka do adopcji. Żeby nie wspominać -czego Jeanine nie powiedziała - że od samego początku nie powinna była umieszczać tam ciężarnej dziewczyny.

Rozumiałam to wszystko, jednak nie miałam pojęcia, gdzie się udać.

- Nie martw się - rzekła Jeanine na koniec. - Coś wymyślimy.
- Po prostu zamieszka u mnie - odparłam spokojnie.
- To nie jest dobry pomysł. Wiesz o tym. On z pewnością orientuje się, gdzie mieszkasz.
- Możemy ją zawieźć do jej matki, słyszałam, że zwolnił się jej pokój na strychu.
- Nieźle, Anne.
- W takim razie do hotelu. Jeżeli policja tak bardzo martwi się o nią, to co powiedzą na hotel? Na przykład w Vancouver?
- Coś wymyślimy.
- Powinam jak najszybciej do niej pojechać. Lada moment może włączyć telewizor albo przeczytać gazetę.
- Wątpię, by dzisiejszego ranka zaprzętała sobie głowę telewizją albo gazetami.
- Ktoś jej powie.
- No, cóż... w takim razie jedź do niej. Co ty w tej chwili robisz?
- Sprzątam w kuchni.
- Dlaczego?

Znowu się rozpląkałam; walczyłam z sobą, by opowiedzieć jej o wszystkim, lecz na szczęście Jeanine odezwała się, zanim ja miałam okazję.

- Przyjadę do ciebie za jakiś czas i wspólnie zastanowimy się, co robić.
Tamtego dnia zobaczyłam jednak wewnątrz domu Charleya Wildera; było czyste, schludne... i trochę prymitywne. Arley wraz z dzieckiem spała w sypialni, w której zazwyczaj sypiała mała Claude; myszki z dywanu wpatrywały się w sufit pełen żabich mam i ich dzieci siedzących na liściach nenufarów. Wraz z Charleyem spaliśmy na kołdrze w jego pokoju, na łóżku, które sam zrobił.
Jednak żadne z nas nie wyspało się tej nocy. Przeszkadzały nam płacze i wrzaski małej Desi, więź między mną a Charleyem oraz zagrożenie ze strony Dillona...
Wszyscy czuliśmy się jak przejezdni nocujący na dworcu autobusowym. Nie kochaliśmy się z Charleyem; nie wydawało się to nam na miejscu.
Nad ranem poprzedniego przyszła Jeanine z dobrymi wieściami. Jej ojciec, który był pastorem, pewnego razu pomógł sprowadzić na dobrą drogę syna bogacza mieszkającego w okolicy. W odruchu wdzięczności ów bogacz, ranczer nazwiskiem Mallory, dał ojcu Jeanine klucze do jednego z trzech swoich domków letniskowych - myśliwskiej chatki w głębi lasu. Pozwolił mu także na używanie jej, kiedy tylko dusza zapragnie. Ojciec Jeanine zadzwonił do niego i opowiedział o Arley; Mallory odrzekł, że nie ma nic przeciwko temu, by młoda matka zamieszkała w jego chacie.
- Tam jest wszystko, czego tylko będzie jej potrzeba; w okolicy mieszka też kilku sympatycznych sąsiadów - powiedziała Jeanine. - Poza tym chatkę trudno jest znaleźć; co drugi raz mój ojciec ma z tym problemy, mimo iż zabierał nas do niej co tydzień, gdy byliśmy dziećmi.
- Czy ona będzie tam bezpieczna, Jeanine? - spytałam.
- Oczywiście. To tylko jakieś pół godziny drogi samochodem stąd. Pod Uvalde. Rodzice Jacka mieszkają niedaleko, w lesie.
- A co z dzikimi zwierzętami? Kojotami i innymi takimi?
- Kojoty nie będą jej niepokoić, Annie. A jedynym dzikimi zwierzętami w okolicy są wiewiórki i ludzie mieszkający w tych śmiesznych szałasach.
- Co takiego? Jacy znowu ludzie?
- Hipisi, Anne. Faceci, którzy chcą żyć jak Thoreau, tylko nigdy nie odniosą takiego sukcesu.
- A jeżeli są niebezpieczni?
- Anne, spójrzmy prawdzie w oczy; największe niebezpieczeństwo grozi Arley z ręki męża.

Oczywiście miała rację. Chata okazała się istnym cudem i całkowicie odkupiła winę Jeanine za wyrzucenie Arley z Tarasu. Pojechaliśmy tam tego samego dnia z bagażnikiem wypełnionym rzeczami dla dziecka.

Potem musiałam wrócić do szpitala; nie mogłam już dłużej odkładać powiedzenia prawdy Arley.

Właśnie karmiła małą. Niezręcznie, lecz z radością podtrzymywała główkę dziecka, okrągłą i jasną niczym grejpfrut.

Uśmiechnęła się do mnie z dumą.

- Wie, o co chodzi, ale nie do końca gdzie. Tak jak ja, nie daje sobie rady z geografią.

- Arley.

Usłyszała to w moim głosie. Umilkła. Nagle przybrała minę absolutnego spokoju, którą potrafiła przywołać na zawołanie, kiedy tylko wyczuwała złe wieści wiszące w powietrzu.

- Dillon, tak?

- Kochanie, nie jesteśmy pewni.

- Czy obrabował kogoś albo coś w tym stylu?

- Arley, spójrz na mnie.

Podniosła wzrok. Mimo iż usta miała mocno zaciśnięte, w oczach zobaczyłam prośbę o zmiłowanie.

- O co chodzi?

- O twoją siostrę, Langtry. Zniknęła.

- Chcesz powiedzieć, że związała z domu? To nic poważnego... ona zawsze wyjeżdżała bez uprzedzenia...

- Nie wyjechała. Policja uważa, że ktoś ją porwał. Była w swoim pokoju...

- W moim pokoju.

- Arley.

- Okay.

- Spała w swoim pokoju i policja uważa, że ktoś włamał się do środka i... znaleźli krew na ścianie...

- Uważają, że ktoś jej zrobił krzywdę, tak?

- Tak.

- Zabił ją?

- Tego nie wiemy na pewno. Ale możliwe, że stało się coś złego. Z drugiej strony, możliwe, że to wcale nie jej krew... Właśnie testują próbki...

- Sądzą, że Dillon jest za to odpowiedzialny.

- To bardzo prawdopodobne.

- Przypuszczają, że mnie szukał, tak?

- Nie bój się - powiedziałam, pospiesznie przysuwając się do niej i obejmując ją.
- Wcale się nie boję! - zawołała i odepchnęła moje ręce; mocniej przytuliła Desi do piersi. - Ja się wcale nie boję! Po prostu strasznie mnie to wkurza! Nie chcę, żebym przez to znienawidziła moje dziecko! Kocham Desi! Nie...! - Ponownie odepchnęła moje ręce, gdy spróbowałam jej dotknąć.
- Wszystko będzie w porządku, Arley. Zabierzemy cię w bezpieczne miejsce...
- Mam własne mieszkanie.
- O to właśnie chodzi. Policja i Jeanine uważają, że nie będziesz tam bezpieczna, jeżeli sprawy naprawdę stoją tak marnie, jak wszystko na to wskazuje.
- Annie - rzekła cichutko, przez chwilę znowu sama tylko dzieckiem. - To moje własne mieszkanie... proszę... wytłumacz im...
- W lesie jest taka śliczna chatka, Arley. Będziesz w niej bezpieczna, dopóki Charley nie wykończy domu na Azalea Road. To już wkrótce... - Mówiłam do niej tak, jakby miała trzy latka, i strasznie nie podobał mi się ton własnego głosu. - Jest tam huśtawka na ganku i ogród do spacerowania z dzieckiem...
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Co takiego?
- To znaczy, jestem ci wdzięczna, ale to po prostu nie ma znaczenia.
- Więc musimy tam jechać. Gdy tylko ta pani z FBI z tobą porozmawia.
- Nic nie wiem. Nie ma o czym ze mną rozmawiać.
- A jednak musi to zrobić.
- Chcesz powiedzieć, że wyjeżdżamy jeszcze dziś?
- Tak, Arley.
- Ale ja dopiero co urodziłam dziecko! Cała jestem... obolała. A jeżeli Desi się rozchoruje?
- Doktor Carroll mówi, że nic jej nie będzie. Tobie też... jesteś młoda i silna...
- No, cóż... Nie wierzę, by Dillon zrobił coś złego. Nie wierzę w ani jedną rzecz, o którą go podejrzewają! Gdyby to zrobił... byłby zły do szpiku kości. Byłby draniem i kłamczuchem. Nigdy nie zobaczy naszego dziecka, nigdy. - Kiedy uniosła głowę, zobaczyłam kropelki potu lśniące na jej czole. - Annie, sądzisz, że wszystko jest z nią z porządku?
- Z Langtry?
- Nie, z Desiree. Z moim dzieckiem.

- Arley, kochanie, oczywiście, że wszystko z nią w porządku. Jest śliczna i doskonałą w każdym calu.

- Myślisz, że jest zła... tam w środku?

- Arley, nie! Oczywiście, że nie! To, jacy są rodzice, tak naprawdę nie ma znaczenia... Tym, kim jesteś... jesteś dzięki wychowaniu.

- No, to świetnie - mruknęła. - Teraz naprawdę mnie pocieszyłaś.

- Będiesz dobrą matką, Arley.

- A jak byś się czuła, gdybyś była na moim miejscu, Annie?

- Nie wiem - odrzekłam zgodnie z prawdą.

Kiedy pojawiła się Carla Merrill, słuchałam w milczeniu rutynowych pytań, jakie zadawała. Na wszystkie z nich Arley odpowiedziała po prostu „Nie, proszę pani”, nawet gdy Carla zapytała ją, czy chce zadzwonić do matki. Ten pokaz oszukał nawet mnie; nigdy nie przyszło mi do głowy, że Arley może coś zatajać przed nami, nigdy nie powiedziałabym, że ukrywa jakiś sekret.

Chatka w lesie bardzo się jej spodobała. Podziwiała jasną dębową podłogę, podobały się jej okna wychodzące na las i z nieukrywaną radością spojrzała na zacienione patio, na które w upalne dni będzie mogła wynosić kołyskę małej.

- Naprawdę to doceniam, Jeanine - powiedziała cicho.

Wraz z Charleyem i Jeanine pomogliśmy jej wnieść rzeczy do pokoju, lecz Arley odezwała się dopiero, gdy Jeanine pojechała na zakupy.

- Potrzebuję mojego płotka.

- Czego? - spytałam nie rozumiejąc.

- Mojej przeszkody, żeby ćwiczyć biegi. Zostawiłam ją u mamy.

- Możemy po nią pojechać - zaproponowałam niechętnie.

- Nie - odrzekła Arley pospiesznie. - Nie chcę tam wracać.

- Nie musiałybyś; jedno z nas mogłoby to zrobić za ciebie.

- Nie. Nie ma potrzeby. To znaczy, nie, dziękuję. Nie chcę, by ktokolwiek musiał tam jechać.

- Zrobię ci nową - zaproponował Charley. - Poza tym jeszcze przez jakiś czas i tak nie możesz biegać przez płotki. .

- Doktor powiedział, że za dwa tygodnie będę już mogła zacząć ćwiczyć.

- Moim zdaniem powinnaś znacznie dłużej odpoczywać... - zaczęłam, lecz Arley przerwała mi gwałtownie.

- Nie! Za dwa tygodnie! Chcę zachować kondycję! Nie chcę, żeby się okazało, że przez dziecko muszę porzucić... wszystko. Wszystko inne.

Uciszyłam ją; ponad jej głową spojrzałam na Charleya. A potem wróciła Jeanine z zakupami - mlekiem, chlebem, fasolą i innymi produktami.

- Tak na wszelki wypadek - mruknęła. - Zaczynam sobie przypominać, że w tym miejscu człowiek czuje się tak, jakby znajdował się na końcu świata.

- Właśnie tego nam teraz trzeba - zapewniłam ją; rozejrzałyśmy się dokoła. Chatka stała w samym środku cedrowego zagajnika i ze wszystkich stron otaczały ją pola porośnięte wysoką do pasa trawą, której nikt nigdy nie ścinał, ostrą i gorącą, mogącą nawet poranić nogi nieostrożnego wędrowca.

Kiedy Arley zaczęła zdradzać oznaki zmęczenia, Charley wstał, zamierzając iść. Ja miałam zostać na noc w chacie, lecz nie chciałam, by odchodził.

Poszłam za nim na ganek.

- Jeżeli chodzi o tamtą noc... - zaczęłam.

- Dajmy temu spokój na jakiś czas, Annie - odpowiedział. - Nie musimy się do tego ustosunkowywać już w tej chwili. Wydaje mi się, że z czasem to stanie się łatwiejsze. Jak na razie masz ważniejsze rzeczy na głowie.

I odjechał.

Usiłowałam dać temu spokój.

Z czasem było mi coraz łatwiej. Potrzeby dziecka nadawały całej dobie specyficzny rytm. Także w biurze nie czułam się zbyt oddalona od Arley i Desi, a wszystko inne w moim życiu usunęło się w cień; jakby zmalowało. Nawet gdy wzięłam prysznic, moje dłonie nadal pachniały dziecięcym talkiem Desi; po jakimś czasie wraz z Arley zaczęłyśmy używać jej dziecięcego mydła, szamponu i oliwki; w końcu cała chatka pachniała jak żłobek.

Okolica była spokojna w dzień i w nocy.

Pracowałam po osiem godzin dziennie; w weekendy przeważnie byłyśmy same.

Kiedy ujrzałyśmy wysoką trawę rozdzielającą się o jakieś sto stóp od nas, wiedziałyśmy, że to myśliwi przechodzą przez łąkę. Ale także to zdarzyło się zaledwie kilka razy. Raz na jakiś czas widziałyśmy maleńkie samochodziki w oddali, sunące po zboczu góry; oznaczało to, że właściciele luksusowych willi na szczycie zafundowali sobie wakacje. Kilka razy dostrzegłam starszego mężczyznę w zdartych butach i mocno pocerowanych dżinsach, z plecakiem na plecach sunącego drogą, przebiegającą jakąś milę od naszej chaty. Machałam do niego, a on kłaniał się, unosząc baseballową czapkę. Nie miałam pojęcia, czy to jakiś sąsiad, czy może tylko spacerowicz. Od czasu do czasu przyjeżdżał do nas Jack Becker i inni policjanci; niekiedy widziałam

nieoznakowane wozy policyjne przejeżdżające wolniutko w cieniu drzew. Co drugą noc zjawia! się Charley i spał w śpiworze rzuconym na podłogę; kilka razy w tygodniu, wymyśliwszy na użytek Arley jakieś ważne nocne odwiedziny u klientek, jechałam na Azalea Road i spotykałam się tam z nim.

Jego zapach, głos, a nawet odciski na dłoniach stały się nieodzownym fragmentem mego życia. Nasze bycie razem wydawało się czymś oczywistym; możliwe, że poczucie zagrożenia przyspieszyło sprawy między nami; jestem pewna, że ich nie wywołało.

Z biura dzwoniłam do Stuarta, równie często jak z nim, łącząc się z jego automatyczną sekretarką. Nowa praca szalenie go wciągała i zajmowała mu mnóstwo czasu; mimo iż wyczuwałam podniecenie w głosie Stuarta, nie zniknęło poczucie winy.

Każdego wieczora przed zamknięciem oczu obiecywałam sobie, że już jutro wszystko przemyślę.

Ale prawdę mówiąc, zawsze byłam zbyt zmęczona, by myśleć o czymkolwiek. Arley musiała nauczyć się mnóstwa rzeczy, na które nawet samotne dzieciństwo nie było w stanie jej przygotować. Z początku na zmianę wstawaliśmy do Desi, aż wreszcie umieściliśmy ją między sobą na szerokim łóżku, tak że gdy płakała w nocy, mogłam ją po prostu przetoczyć, niczym słodko pachnącą larwę, na drugą stronę i ułożyć przy piersi matki, nawet nie budząc przy tym Arley.

- Dlaczego ona musi się budzić co pięć minut? - narzekała nieraz Arley. Od czasu do czasu mówiła - irytująco - jak zwyczajna nastolatka, a ja zastanawiałam się, jak wiele moich uczuć do dziewczyny opierało się na jej niepewnej dojrzałości. Nieraz kładła się na brzuchu na podłodze i przyglądała się Desi leżącej i kwilącej na kocyku. - Czego ty jeszcze chcesz, moja mała? Przewinięłam cię, nakarmiłam, tuliłam, a ty nadal płaczesz, choć ja zaraz padnę trupem ze zmęczenia.

Dopiero kiedy myślę o tym z perspektywy czasu, rozumiem, jak bardzo byłam wtedy zmęczona. Gdy usiłowałam usiąść spokojnie z notesem i ołówkiem do obgryzania, by wreszcie przynajmniej pobieżnie rozpracować najtrudniejsze sprawy, Desi zaczynała swój conocny koncert nie do ukojenia i wszystkie inne ważne sprawy schodziły na dalszy plan. A potem nastąpiły dwa tygodnie, podczas których wydawało się, że Arley straciła mleko i tym razem to ona była niepokieszona. A może sprawy tak się zagmatwały, że nie poradziłabym sobie z nimi lepiej, nawet gdybym była w znacznie lepszej formie fizycznej? Czy mogłam zostawić tu Arley samą i pojechać do Stuarta? Ściągnąć go tutaj? Spakować rzeczy

nastolatki i dziecka i wyjechać na Florydę, cały czas oglądając się na boki, czy aby jej szalony małżonek nie podąża za nami? Zostać tutaj i bawić się w dom z facetem, którego nawet nie było na świecie w dniu, kiedy zginął prezydent Kennedy?

Wszystko to przypominało chorobę, z której spodziewałam się wyjść o własnych siłach. Gdybym była bardziej sobą - dobrą-starą-Annie-jaką-znałam-całe-życie - może szybciej rozgryzłabym małowówność Arley; może udałoby mi się zaoszczędzić jej piekła, przez jakie później przeszła. Po raz pierwszy w ciągu naszej znajomości nie chciała rozmawiać ze mną o Dillonie. Czy powinniśmy wtedy po prostu przeprowadzić się na Azalea Road? Nawet jeśli stały tam tylko dwa łóżka, kanapa i dwa stołki w kuchni, w której nie było bieżącej wody? Wydaje mi się, że tak należało zrobić; a jednak rozsądek podpowiadał mi, że Arley jest bezpieczniejsza w chacie.

Policja twierdziła, że Dillon zaszył się gdzieś w Meksyku. A jeżeli nie, powiedział mi Jack, to już wkrótce znajdzie się z powrotem w swej celi w Solamente River.

A potem zaczęły się napady.

Niektóre drobne, inne całkiem poważne.

Ze sklepu monopolowego zabrano dwieście dolarów - niesamowicie przystojny, jasnowłosy mężczyzna odwrócił uwagę sprzedawczynie, mówiąc jej, że ktoś usiłuje włamać się do sklepu tylnymi drzwiami. Dziewczyna ani przez chwilę nie czuła się zagrożona, zapamiętała jednak niezwykle zielone oczy napastnika i czapkę baseballową - sama miała podobną i rozmawiali o niej, kiedy już wsadził pieniądze z kasy do kieszeni.

- Nawet nie zamierzam ci pokazać spluwy, kochanie - rzekł młodzieniec do sprzedawczynie. - Wystarczy, że ją mam i ty o tym wiesz. Nie musimy robić tu draki. A potem zniknął.

Kobieta zapamiętała, że używał lawendowej wody po goleniu.

- Młodzi ludzie obecnie właściwie takiej nie używają - powiedziała. - Była taka trochę... staroświecka.

Arley zupełnie nie interesowała się artykułami w gazecie dotyczącymi tego napadu; nie chciała o tym nawet rozmawiać. Po prostu w pewnej chwili zabrała Desi na ganek i siedziała tam, kołysząc ją w ramionach i śpiewając.

Dwa tygodnie później, pewnej deszczowej, bezksiężycowej nocy, miał miejsce napad na opancerzony samochód odbierający gotówkę z baru Red Dance w Shadowland. Dwaj strażnicy, którzy zwinęli się w kabinie na godzinną drzemkę, nagle zostali obudzeni przez lekki stu-

kot o szybę - wzięli to za odgłos padającego gradu. Kiedy jeden z nich wychylił się, by sprawdzić, co to takiego, spojrzął prosto w lufę wycelowaną w siebie rewolweru, trzymanego przez niedużą, zamaskowaną postać, która powoli zeszła z dachu pojazdu. Inny uzbrojony mężczyzna, blondyn o jasnej cerze, który nawet nie usiłował ukryć przed nimi twarzy, uprzejmie pomógł im wysiąść z samochodu, po czym skuł ich kajdankami i zabrał jedną skórzaną torbę z pieniędzmi - dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów.

- Mógł wziąć dziesięć razy tyle - powiedział jeden ze strażników reporterce z wiadomości telewizyjnych. - Ale powiedział, że nie potrzebuje aż tyle. Dodał, że lubi podróżować bez zbędnego balastu i stale pozostawać w ruchu. Potem udał się w stronę autostrady. Właściwie był całkiem miły. A ten drugi, ten nieduży, w ogóle się nie odzywał, ani razu...

Jego partner nie był do końca przekonany, czy niezamaskowanym bandytą był Dillon LeGrande.

- Pogoda była kiepska - wyjaśniał. - Poza tym, kiedy wyrwie się mnie ze snu, zawsze jestem trochę otumaniony.

Władze powtarzały, że pojmanie sprawców wcale nie będzie trudne, lecz z tego, co udało się dowiedzieć Jackowi Beckerowi, oraz z tego, co wyciągnęłam od Carli Merrill podczas naszych kilku rozmów na ten temat wynikało, że schwytanie Dillona będzie równie łatwe, jak osiągnięcie pokoju na świecie.

Z pół tuzina razy w dzień i w nocy obok naszej chaty przejeżdżały samochody „wyglądające na policyjne”, jak prawidłowo określała je Ar-ley. Właściwie w pewnej chwili przestałyśmy zwracać na nie uwagę.

Pora była sucha i upalna, mimo okazjonalnych deszczowych nocy; zbrązowiała wysoka trawa kołysała się na wietrze w miejscach, gdzie było nie zdążyło wygryźć jej do samej ziemi lub gdzie rolnicy jeszcze nie zdążyli kosić. Skoszone i sprasowane bele siana leżały na polach, moknąc w nocy i schnąc w ciągu godziny, gdy wstawało słońce. Na szczęście wilgotność powietrza nie była zbyt wielka; wiedziałam, że potrwa tak do stycznia. Ziemia, zupełnie wyschnięta, wchłaniała każdą ilość deszczu i kilka godzin po ulewie była równie spękana i spalona, jak przed nią. Pożar mogło wywołać wszystko, od pioruna, po niedopałek papierosa. Na początku właśnie to wszyscy podejrzewali.

Pewnego późnego popołudnia, kiedy Desiree miała już z osiem tygodni, wszedłszy do chaty, zastałam Arley sprząającą brązowe jezioro, gwałtownie rozprzestrzeniając się wokół starego ekspresu do kawy.

- Nie potrafię tego zrobić - warknęła; jej twarz miała kolor dojrzałego pomidora. - Już drugi raz narobiłam takiego bałaganu.

- Może coś się zepsuło. - Otworzyłam pojemniczek na kawę i zobaczyłam, że Arley wsadziła do niego pełną garść ziarenek.

- Arley, ta kawa nie jest zmielona; do ekspresu wrzuca się tylko zmielone ziarenka.

- W domu zawsze używaliśmy rozpuszczalnej - odparła nadąsana. - Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

- Nawet w restauracji? - Dlaczego jej dogryzałam?

- W Taco Heaven po prostu mieli zmieloną kawę! Pomyślałam, że z tej ziarnistej też będzie kawa. Nie jestem niedorozwinięta, wiesz?!

- Tak czy inaczej, skąd ją wzięłaś? Znalazłaś w szafce? Należy do właściciela? W takim razie musi gdzieś mieć młynek do kawy.

Obróciła się do mnie, spocona, z przetłuszczonymi włosami, zaczerwienioną twarzą i dłońmi opartymi na biodrach; po raz pierwszy zobaczyłam u Arley tak wojowniczą pozę.

-No, cóż! Przecież sama przyniosłaś to cholerstwo! Wiem, że chciałaś mi zrobić niespodziankę, ale spójrz... udało mi się tylko rozlać to po podłodze!

- Jaką znowu niespodziankę?

- Jezu, Anne. Kawę.

- To nie ja ją przyniosłam.

Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę.

- Znalazłam ją na ganku.

- Pewnie Charley ją przyniósł.

- Była tam już, gdy poszłam wywiesić pranie do suszenia.

- Charley pewnie zapomniał i kupił ziarnistą. Kochanie, nie przejmuj się tym tak strasznie. W drodze do domu zawiozę ją do sklepu, każę zemleć, a potem przywiozę ci z powrotem. Nie miałam pojęcia, że ty w ogóle pijesz kawę.

- Piję! Wszystkie dzieciaki w Teksasie piją kawę! A teraz będę musiała jej pić dwa razy więcej, żebym mogła wstawać co noc do dziecka, aż do końca życia!

Zaproponowałam, żeby poszła się zdrzemnąć. No i, oczywiście, całkiem zapomniałam o ziarnistej kawie. Znalazłam ją w bagażniku samochodu następnej wiosny, kiedy spiesząc się do sądu, złapałam gumę i musiałam przetrząsnąć pół bagażnika w poszukiwaniu koła zapasowego. Nigdy nie zapytałam Charleya, czy to on ją przyniósł.

Kwiaty były jednak zupełnie odmienną historią. Tuż przed Bożym Narodzeniem na ganku chatki znalazłyśmy bukiet polnych kwiatków przewiązany czerwoną wstążką.

- Wyglądają jak te, które miałam na ślubie - szepnęła Arley; w jej głosie słychać było strach i coś, co podejrzenie przypominało radość.

- Arley, od kogo one są?

- Nie wiem. Może od Charleya? Może są przeznaczone dla ciebie?

- Może. Ale na pewno by mi powiedział...

- Taa, jestem pewna, że by ci powiedział.

- Co sugerujesz?

Odwróciła się ode mnie z lekkim prychnięciem; dopiero wtedy zrozumiałam, jaka byłam głupia, usiłując ukryć przed nią mój związek z Charleyem. A ponieważ zrobiło mi się głupio, wpadłam w złość.

- Posłuchaj mnie, Arley. Nie martwmy się teraz o mnie. Czy miałaś jakieś nowiny o Dillonie, albo od niego?

- Nie. - A jednak zawahała się; pewnie nikt inny by tego nie dosłyszał, lecz ja miałam wyczulone ucho.

- Naprawdę? -Tak.

- Przysięgnij.

- Daj mi spokój, Anne.

- To poważna sprawa, Arley.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Myślisz, że nie wiem, co zrobił, albo raczej o co go podejrzewają? Myślisz, że chcę, by tu do mnie przyszedł?

- Nie wiem, A chcesz? -Nie.

- Wiem, że niektóre uczucia są potężne... wiem, że namiętność może być silniejsza...

- Powiedziałam przecież, że nie! - wrzasnęła. - Co jeszcze chcesz usłyszeć?!

Myślisz, że jestem głupia i że zależy mi tylko na seksie? A co z tobą?

- Ze mną? A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

To była nasza pierwsza prawdziwa kłótnia. Od tamtej pory miałyśmy jeszcze kilka, ale żadnej tak poważnej ani tak ostrej. Arley krzyczała na mnie z poczerwieniałą twarzą: zamknij się! Zamknij się! Po prostu się zamknij; niedobrze robiło się jej od ciągłych pytań moich, policji czy Eleny. Była wykończona zajmowaniem się dzieckiem; jakże by chciała nigdy nie poznać Dillona i mnie; pragnęła tylko ciszy i spokoju i prowadzenia takiego życia, na jakie ma ochotę. Powiedziała też,

że nie potrzebuje ani mnie, ani moich pieniędzy... więc jako osoba wyjątkowo dojrzała zaczęłam krzyczeć na nią w odpowiedzi - przemiłe rzeczy o tym, gdzie by teraz była, gdyby nie moja pomoc, i co zrobiłam dla niej, czego nawet rodzona matka nie chciała zrobić - lecz zaraz De-si się obudziła i zaczęła płakać przerażona naszymi wrzaskami. Wypadłam z chatki i pojechałam do domu, łkając z bezsilnej złości.

Kiedy dotarłam na miejsce, na automatycznej sekretarce zastałam już trzy wiadomości:

- Annie, strasznie cię przepraszam, Annie... Wiem, że zawdzięczam ci mnóstwo rzeczy, i wiem, że zachowałam się jak podła dziwka; ale chodzi o to, że nie mogę znieść rozmowy o nim. To za bardzo mnie boli...

Bip.

- Annie, to znowu ja. Jak już powiedziałam, naprawdę strasznie cię przepraszam i wiem, że to wszystko moja wina. Annie, jesteś tam? Nie chcesz ze mną gadać, więc nie podnosisz słuchawki? Nie ma sprawy, rozumiem.

Bip.

- Annie, już mi lepiej, ale nadal strasznie mi przykro. Ale czy nigdy ci się nie zdarzyło zrobić nic głupiego, a potem gdy ktoś ci wypomniał, jak idiotycznie postępujesz, bronić swej głupoty za wszelką cenę? Tylko po to, by zachować własną dumę? Pewnie nie...

Oczywiście, poczułam się jak ostatnia łachudra i od razu z powrotem do niej pojechałam, powtarzając sobie przez całą drogę: nie, nigdy w życiu nie zrobiłam nic głupiego, tylko raz przespałam się ze stolarzem i nawet nie wspomniałam o tym mojemu lojalnemu i ufnemu towarzyszkowi, z którym spędziłam ostatnich jedenaście lat i którego pierścionek zaręczynowy nadal nosiłam na palcu.

W chacie zastałam Arley kąpiącą Desi w cynowej wanience na ganku; ciepła woda do tej pory działa kojąco na małą. Jednak tamtego wieczora Desi usnęła, podczas gdy Arley wyciskała z gąbki letnią wodę na jej jasne klaczki na główce. Nie chciałyśmy jej ruszać, żeby się nie obudziła; zachód słońca zabarwił wodę w wanience na różowo, a małe ciało dziecka na ciemnoróżowo; jej maleńki paluszki wydawały się płatkami kwiatków zanurzonymi w wodzie, Kiedy Arley założyła jej pieluchę, zaczęła popłakiwać przez sen, lecz uspokoiła się, gdy tylko wzięłam ją na rękę. Jej niewielki ciężar na ramieniu wywołał przypływ macierzyńskiej miłości i dumy.

Potem usiadłyśmy na długiej bujanej ławce, która zajmowała pół niedużego ganku, i opowiedziałam Arley wszystko, czego sama i tak się już domyśliła.

- Wiesz, że Charley... - zaczęłam. - Wiesz, że ja i Charley... jesteśmy ze sobą bardzo blisko...
- Wiem, że on cię kocha.
- No, cóż... ja jego też. Chyba.
- To też wiem.
- Okay. Ale byłam ze Stuartem przez jedenaście lat i bardzo go kocham. Chodzi mi o to, że tak naprawdę mieliśmy nadzieję o tej porze roku być już po ślubie. I nie wiem, czy nadal tego chcę... - Poczulałam łzy napływające mi do oczu. Siedziałyśmy w milczeniu, odpychając się od podłogi rytmicznymi ruchami.
- Nie chcę, żebyś uważała, że nie brałam pod uwagę uczuć Stuarta... albo że ta cała sprawa z Charleyem to tylko nieodpowiedzialny wybryk... Impuls, którego później będę żałować. Wydaje mi się, że to szansa dla mnie... na zmianę sposobu życia.
- Chcesz powiedzieć, że to przemyślałaś. - Tak.
- Ale jeszcze nie do końca.
- Właśnie. Ale bez względu na to, jak jest mi przykro z powodu niektórych... konsekwencji mego postępowania, nie żałuję tego, co zrobiłam.
- Ach. - Arley przyglądała się szkarłatnym promieniom słońca nad lasem. - Wiem, o co ci chodzi.
- Przecież jesteś tylko dzieckiem - odrzekłam. - Nawet nie opowiedziałam o wszystkim mojej siostrze.
- To co innego - mruknęła Arley.
- Ani Stuartowi.
- No, cóż... Jestem pewna, że on wie.
- Co takiego?
- Jeżeli nie wie, że to Charley, to z całą pewnością wie, że coś jest nie tak. Ludzie, którzy są ze sobą blisko, zawsze wiedzą, kiedy ta druga osoba zaczyna się zmieniać. Pochyliła się i zaczęła głaskać drobną stopkę Desi; przyglądałyśmy się, jak paluszki małej zwijają się niczym palce baletnicy. Nieznajomy samochód przejechał z łoskotem pobliską drogą i Arley drgnęła słysząc ten dźwięk. Czyżby myślała o Dillonie, usiłując odnaleźć to, co ich kiedyś połączyło? Może zastanawiała się, czy ta magia nadal istnieje?
- A co czujesz, gdy myślisz o zerwaniu ze Stuartem? - spytała.
- Jest mi smutno. Boję się.
- A co czujesz, gdy myślisz o wyjechaniu stąd? O zostawieniu Charleya? I... nas?

- Wcale o tym nie myślę.
- W takim razie uważam, że powinnaś pojechać zobaczyć się ze Stuartem - odparła.
- Nie sądzisz, że mam rację?

Wiedziałam, że ma rację; powiedziałam, że tak zrobię. Po Bożym Narodzeniu. Z powodu nowej pracy Stuart nie mógł przyjechać do domu na święta, a ponieważ ja odwiedziłam Nowy Jork zaledwie kilka miesięcy wcześniej, wymówiłam się tym, że Desiree jest jeszcze za mała na latanie samolotami, a Arley nie ma z kim zostać na Boże Narodzenie, i zostałam na gwiazdkę w San Antonio. Charley surowo zakazał mi pojawiać się w domu na Azalea Road przez dwa dni poprzedzające Wigilię Bożego Narodzenia, a ja przystałam na to, choć moje podejrzenia budziły przyciszone rozmowy, jakie Arley prowadziła przez telefon z chatki w lesie, pełne cichych wykrzykników i stłumionych śmiechów. Nie wierzyłam też w ani jedno tłumaczenie, Arley, że „to tylko jakiś akwizytor...”

W Wigilię Jeanine i Arley zjawiły się u mnie w biurze wraz z małą Desi usadzoną w swoim samochodowym foteliku, z czerwoną czapczką Świętego Mikołaja wielkości skarpetki nasadzoną na okrągłą główkę..

- Przyjechałyśmy cię zabrać - zaanonsowała Arley. - Nie przyjmujemy żadnych sprzeciwów.

- Ale mój samochód tu stoi - zaprotestowałam.

- Już nie - odparła Arley. - Zajęłyśmy się tym.

- Zdaj się na nas, Anne - dodała Jeanine; wyprowadziła mnie z biura i zamknęła za nami drzwi.

W domu przy Azalea Road 4040 jest dwadzieścia osiem okien i Charley zapalił świeczkę w każdym z nich; z ósmioramiennego kaktusa zrobił staroświecką menorę, i ozdobił małymi oliwnymi lam-peczkami. Na podłodze w bibliotece, na białym obrusie mającym trzy jardy, podano wspaniałą ucztę z chińskiego jedzenia - dar znajomych Charleya z Wrześniowego Ogrodu - oraz leżały pałeczki bambusowe dla dziesięciu osób. Dołączyła do nas Patty Flanagan i Tarik wraz z najnowszą dziewczyną - prześliczną Filipinką, która nie mogła ważyć więcej niż osiemdziesiąt pięć funtów. Jeanine zaprosiła swego pediatrę, który jednak bardzo szybko nas opuścił; kiedy jego szychta dobiegła końca, zjawił się Jack Becker z partnerem, słodkim czarnym chłopakiem o imieniu Pedro, który nie mógł oderwać ciemnych oczu od Arley i pomógł nam dojeść resztki uczy. Arley podarowała mi dziennik,

aby miała gdzie zapisywać swoje sny; na okładce tłusciutkie krowy skakały przez księżyc. Ode mnie dostała aparat fotograficzny, śpioszki dla Desi i koszyk pełen tomków, mydełek i olejków w jej ulubionym, lawendowym, zapachu. Po północy Arley i Desi zasnęły na podłodze w bibliotece, otulone indiańskim, mięciutkim pledem, który dostałam od Jeanine. Ponieważ po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku miesięcy trzeba było odłączyć wodę w łazience, wraz z Charleyem wymyliśmy zęby, po czym wypłukaliśmy je szampanem, zrobiliśmy siusiu w ogródku i poszliśmy na górę do sypialni, gdzie na parapetach nadal paliły się grube, białe świece.

- Muszę... pojechać do Miami za parę tygodni - powiedziałam spokojnie; dopiero przed momentem zrozumiałam, że nie mam innego wyjścia. - Muszę zobaczyć się ze Stuartem i wszystko z nim omówić,

- To będzie bolało - odrzekł Charley.

- Wiem. Ale dopóki tego nie zrobię... nic między nami nie może posunąć się naprzód.

- Mam dla ciebie prezent - rzekł wtedy.

- Coś jeszcze oprócz tego festiwalu świateł?

- Taak. Wiem, że to jest w złym guście... i nie chcę, żebyś pomyślała sobie... To znaczy, chcę żebyś wiedziała jedno, Anne. Kupiłem go dla ciebie już jakiś czas temu i chciałem ci go dać bez względu na to, czy zostaniesz, czy wyjedziesz. Jeżeli zostaniesz ze Stuartem i tak chcę, żebyś go zatrzymała. - Pierścionek był ze srebra, w kształcie szkieletowej syrenki splatającej dłoń na swym własnym ogonku. - To symbol płodności z Dnia Zmarłych - dodał po chwili. - Ale to... nic zobowiązującego. To nie żadna obietnica... Tylko podarunek miłości. Chcę, byś miała całą miłość, na jaką zasługujesz, Anne. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz ją tutaj.

Wsunął mi go na palec, a ja przytuliłam się do jego szerokiej, ciepłej piersi. Ależ ja mam szczęście, pomyślałam. Ileż przedziwnych rzeczy wydarzyło się zaledwie w ciągu roku od dnia, w którym wraz ze Stuartem rzucaliśmy kamieniami w stary dom na Azalea Road? Dziwniej jeszcze się o tym opowiada. No i gdzie podziała się twardo stąpająca po ziemi Annie Singer?

- Zaopiekujesz się Arley podczas mojej nieobecności? - spytałam Charley a.

- Wiesz, że tak. Może zamieszkać u mnie.

- Ona tego nie zrobi. Będzie uważała, że jest dla ciebie ciężarem.

- Więc będę do niej jeździł co dzień. A tu będę pracował w nocy, wiesz przecież, że najlepiej mi się wtedy myśli. Pamiętasz tę noc, kiedy wstawiałem znak przed dom...?

Serce omal mi nie pękło... lecz powiedziałam tylko:

- Pewnie, że pamiętam. Och, Charley, moje życzenie się ziściło...

- Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałas.

- Może wiedziałam? Może miałam to gdzieś zanotowane w podświadomości. Bo niby dlaczego kupiłam tę rudę?

- Faktycznie. Był to całkiem pewny sposób, by ściągnąć na siebie moją uwagę.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Wiedziałam, że Arley będzie bezpieczna, nawet jeśli miałyby to oznaczać ciągle zmęczenie Charleya. Ale gdy rezerwowałam bilet na samolot, targały mną sprzeczne uczucia. Nie mogłam sobie wybrać gorszego czasu na wyjazd: Desiree ciągle dostawała kolki, a Arley chodziła blada i wymizerowana. Jednak podjęłam decyzję o wyjeździe, gdyż Jeanine i Charley obiecali codziennie ją odwiedzać, a Jack Becker zapewnił mnie, że policja stanowa będzie przejeżdżała obok chatki dwa razy częściej podczas mej nieobecności.

W przeddzień mojego wyjazdu, Patty wpadła do mnie do biura z krótką wizytą.

- Zamierzasz rozejrzeć się za nową pracą na Florydzie, prawda? - zapytała.

- Nie jestem pewna.

- Nie musisz tego mówić, wiem, że tak jest.

- Naprawdę nie jestem pewna, Patty. Nie przepadam za Florydą.

- Ale ktoś mógłby znieść rozstanie ze Stuartem? - Uśmiechnęła się. Faktycznie,

kto?, pomyślałam. - Wiem, że zamierzasz się przeprowadzić - ciągnęła Patty,

spacerując po moim gabinecie i przekładając moje długopisy i akta. - Jak ja zniosę tu pracę bez ciebie? I kto będzie sporządzał doroczną listę dzieci urodzonych z nieprawego łoża?

Umówiłam się z Jeanine, że odwiezie mnie na lotnisko - nie chciałam, żeby robił to Charley. Noc przed wyjazdem spędziłam w chacie z Arley, stamtąd zadzwoniłam do siostry.

- Pamiętasz tego goja stolarza? - spytałam.

- Czyżby pozwał cię do sądu? - odparła.

- Nie. Znacznie gorzej.

- Dobierał się do Arley?

- Zimno.

- Do ciebie?

- Uh... coraz cieplej.

- Ty się do niego dobrałaś! - Triumf w jej głosie przez chwilę przyćmił niepokój, w końcu jesteśmy siostrami. Ale szybko się poprawiła, zadając odpowiednie pytania i wydając pocieszające chrząknięcia. -

Czy jesteś pewna, że on jest... dostatecznie stymulujący? - zapytała na koniec.

- Tak mi się zdaje.

- Wiesz, o co mi chodzi, Anne.

- On nie jest taki jak Stuart. A ja przy nim też staję się... inna. Po prostu wszystko wygląda inaczej. Nie rozmawiamy z sobą byle szybciej, prawdziwa głębia tkwi w milczeniu.

- Chcę, żebyś mi obiecała, że dasz sobie na wstrzymanie - usłyszałam wreszcie od Rachael. - Tu nie chodzi o napad na bank ani o morderstwo...

-Już to przerabialiśmy - odrzekłam. - Dlaczego Stuart nie mógł sobie znaleźć pracy w Utah? Tam też mają karę śmierci. I można mieć więcej niż jedno dziecko...

- Myślę, że Stuartowi to by nie odpowiadało.

- Ale Charley nie miałby nic przeciwko temu.

- Anne!

- Wiem, tylko żartuję. Chodzi mi tylko o to, że... on chce mnie uszczęśliwić. Wydaje się, jakby tylko na tym mu zależało.

Rachael milczała tak długo, że aż zaczęłam się obawiać, iż połączenie zostało przerwane.

- No, cóż... to może nie wszystko, ale z pewnością dużo - rzekła wreszcie. A potem dodała paskudnym tonem, jaki można usłyszeć tylko od własnej siostry: - Możliwe, że Stuart wyjechał na Florydę, by uciec od ciebie, Anne. Może nie musisz rezygnować z posady, bo on już cię zwolnił?

- Och, Rachael, ależ ty potrafisz pocieszyć.

- No, cóż... Annie. Kocham Stuarta, ale to ty jesteś moją siostrą. -Urwała na moment. - Najbardziej zależy mi na twoim szczęściu.

Kiedy skończyłam rozmowę, Arley czekała w drugim pokoju. Pogłaskała mnie po ramieniu i usiadłyśmy na schodkach, wdychając rześkie, suche powietrze - zalecane przez wszystkich lekarzy jako antidotum na wszelkie choroby płucne. A potem Desiree zaczęła płakać i obie weszłyśmy z powrotem do domu. Skierowałam się do pokoju Desi, lecz Arley mnie zatrzymała.

- Desi śpi teraz w mojej sypialni. Tak jest łatwiej.

Mała leżała tuż obok łóżka Arley w kołysce, której nigdy wcześniej nie widziałam. Właściwie nie była to nawet kołyska, lecz coś na kształt prymitywnego dziecięcego łóżeczka o płozowatych biegunach i wygiętym denku.

- Skąd to wytrzasnęłaś? - zapytałam, oglądając drewniane cudo z zachwytem.

- W sklepiku ze starzyzną... w Uvalde. Charley zawiózł mnie tam kilka dni temu.
- Było cię na to stać? Musiała kosztować...
- Wcale nie tak dużo.
- Wygląda na ręcznie robioną.
- Bo jest.
- Jaki to rodzaj drewna?
- Mesquite*, tak twierdzi Charley.

Trudno było mi to sobie wyobrazić. Mesquite to kolczaste, powykręcane czerwono-brązowe małe krzaczki, takie, jakie widuje się w starych filmach z Charltonem Hestonem, który gra biblijnych proroków. Nawet w porze kwitnienia mesquite zawsze wydaje mi się nagi i brzydki, dokładnie tak samo, jak klon zawsze jest piękny, bez względu na porę roku. Ale ta kołyska zrobiona była z drewna mesquite poddanego jakimś alchemicznym sztuczkom. Jej kolory wahały się od jasnego beżu, podobnego do piasku na prerii, aż po ciemnopomarańczowy podobny kolorem do spalonej na słońcu gliny na drodze do Ocatilla Creek.

- Jest prześliczna, Arley. Czy Desi też się podoba?
- Pewnie. Poza tym lepiej w niej sypia. To znaczy, trochę lepiej. -Arley zerknęła na mnie. - Jutro rano wyjeżdżasz, tak?
- Tylko na dwa dni.

Spojrzała ponad moim ramieniem, przez okno wychodzące na las.

- Nic mi nie będzie. Nie musisz się o nas martwić.
- Masz telefony na wszelki wypadek.
- Całe mnóstwo.
- Charley będzie przyjeżdżał do ciebie co dzień.
- Przez to, że tak się martwisz, zapowiedział, że będzie tu spać na podłodze.
- Wiem, że nieco przesadzam, ale naprawdę się o was martwię...
- Zmarnowałaś na mnie już tyle czasu, że teraz nie chcesz się poddać, co?
- Tak. - Przytuliłam ją i podniósłszy Desi z pościeli, pocałowałam dziecko w czubek główki. - Świetnie wytargowałaś tę kołyskę, Arley. Chyba namówię cię, być kupiła wszystkie meble do naszego domu.
- Hm... - odrzekła i też mnie uściskała. A potem dodała niespodziewanie: - Wiesz, Annie, kilka tygodni temu zadzwoniłam do mamy.
- Naprawdę.

*** Mesquite - krzew amerykański, spotykany na prerii, którego owoce obfitują w cukier i stanowią cenną paszę dla bydła (przyp. tłum.).**

- Aha. Pomyślałam, że może chciałaby się czegoś dowiedzieć... przynajmniej o dziecku. Chciałam jej też powiedzieć, że przykro mi z powodu Langtry... zapytać ją, czy może wie coś więcej niż ja. Nie sądziłam, że się na to zdobędę, a jednak... Czuję, że muszę to zrobić.

- To dobrze. Bez względu na to, co ci powiedziała, dobrze zrobiłaś, dzwoniąc do niej.

- Wcale mnie nie zaskoczyła.

- I wnoszę, że nie chodzi ci tylko o to, że nic nie wiedziała o Lang?

- Taak. Nie zaskoczyło mnie to, jak się do mnie odniosła.

- No, cóż... przecież wiesz, jaka ona jest.

- Zapytała tylko, gdzie jestem? Czy naprawdę mieszkam w ekskluzywnym hotelu, jak powiedziała jej to policja? Czy w ogóle jestem jeszcze w Teksasie? A potem dodała, że mamy kłopoty zakodowane w genach i dlatego musiałam zmieszać moją krew z jeszcze większymi kłopotami i przekazać je wszystkiemu niewinnemu dziecku. - Obie spojrzaliśmy na Desiree śpiącą w kciukiem wetkniętym do buzi. - Ona jest najgorszą osobą, jaką w życiu znałam, Annie.

- Nie masz racji, Arley. Jest całe mnóstwo zła, którego od niej mogłaś doświadczyć, a jednak nie doświadczyłaś. - Sama nie wiem, czy w to wierzyłam.

- Nie - odrzekła Arley. - Jest naprawdę najgorszą osobą, bo ma mnie w dupie tak głęboko, że nawet nie zależy jej na zranieniu mnie.

Rano zatrzymałam się na Azalea Road, by pożegnać się z Charle-yem. Nie chciałam rozmawiać o wyjeździe, więc gdy tylko skończyliśmy się całować, oskarżyłam go o słodkie kłamstwo.

- W sklepiku ze starzyzną, co? - mruknęłam. - Tę kołyskę zrobił jakiś geniusz, Charley. Pewnie winni ci byli przysługę, że sprzedali ją tak tanio.

- Jaką znowu kołyskę?

- Tę kołyskę. Kołyskę, którą Arley, jak twierdzi, kupiła w sklepie ze starzyzną.

- Tak ci powiedziała?

- Taak, w sklepiku ze starzyzną w Uvalde.

- A mówiłam jej, żeby ci tego nie mówiła.

- Co takiego?

- Nie chciałam, żebyś się martwiła, Anne.

- O co? O co niby mam się martwić, do jasnej cholery?!

- Sam się już tym zająłem.

- Ale czym?!

- Arley znalazła tę kołyskę pewnego ranka na schodkach. Nie wie, skąd się wzięła.

- Zupełnie tak jak kwiaty...
- Jakie kwiaty? Przygryzłam wargę.
- Nic. Zapomnij o tym. Mówisz mi, że Arley nikomu nie powiedziała o tej kołysce, tak? Ani detektywom, ani nikomu innemu?
- Ano nie.
- Nie? Nie?! I ty zgodziłeś się na to? Poszedłeś na rękę dzieciakowi, który zakochał się w psychopacie? Charley, zejź mi z drogi! Muszę zmienić rezerwację... - Podniosłam walizkę.
- Anne, chcę, żebyś poleciała na Florydę i spotkała się ze Stuartem. Musimy jakoś ułożyć sobie życie... Stuart także.
- Ale on tu jest, Charley. Dillon czeka, aż wyjadę.
- Annie, Dillon LeGrande jest tylko człowiekiem. Nie ma żadnego dowodu na to, że kryje się gdzieś w pobliżu...
- Zatem kto zostawił kołyskę na schodach domu, który miał być absolutnie bezpieczną kryjówką? O którym nikt nie miał wiedzieć, z wyjątkiem właściciela, Jeanine, jej ojca i policji...
- Nie wiem, Annie, ale zastanów się przez chwilę. Może i Dillon przez kilka lat pracował jako stolarz, lecz wątpię, by biedził się nad obróbką drewna w przerwach między napadami na sklepy.
- Więc może ją ukradł.
- Taak, facet znajdujący się na liście najbardziej poszukiwanych przestępców w Stanach Zjednoczonych traci czas na obrabianie sklepów z antykami, prowadzonych przez małe staruszki w niebieskich fartuszkach...
- No co? Może to niemożliwe? Może te małe staruszki już nie mogą opowiedzieć policji o napadzie na ich antykwariat? Może zostały pochowane w płytkich grobach w jednym z ogromnych sosnowych lasów, z których słynie stary dobry Teksas? Charley, pomyśl tylko, co się stało z siostrą Arley.
- Anne, zwolnij na minutkę. Wy tłumaczę ci, dlaczego Arley nie pisnęła słowa policji. - Niechętnie postawiłam walizkę na podłodze. - Nie chciała, by zabrali jej kołyskę. Nie chciała, by ją zamknęli w jakiejś przechowalni jako dowód rzeczowy. Chciała, by Desi w niej spała.
- A jeżeli to Dillon ją tam zostawił?
- No, cóż... rozmawialiśmy o tym. Jeżeli to on ją zostawił, to niby co miało go powstrzymać przed wejściem do środka i zamordowaniem lub porwaniem ich, jeżeli faktycznie na tym mu zależy. Arley powiedziała...
- Co?
- Powiedziała „Dillon wie, że gdyby mnie chciał, mógłby mnie mieć”.

- Och, Boże - szepnęłam. - O mój Boże.

- Anne...

- No, cóż... w takich warunkach nie mogę pojechać.

Jeanine stała na ganku i przyglądała się w milczeniu naszej kłótni.

- Anne, posłuchaj.

- Zawsze jesteś taki spokojny?

- Wcale nie jestem spokojny. Kiedy Arley mi o tym powiedziała, strasznie się zdenerwowałem... ale teraz wszystko już przemyślałem i...

- **1** teraz uważasz, że to ona ma rację?

- Tak. Wiem, że to trochę przerażające. Ale będę tam z nią mieszkał do twojego powrotu. I...

- Obiecuj mi to.

- Nie mów tak, Anne. To brzmi tak, jakbyś nie wierzyła, że naprawdę się o nią troszczę.

- Wiem, że się o nią troszczysz! Ale co ja mogę zrobić? Czy zamierzasz zabrać tam ze sobą karabin maszynowy? A jeżeli on po nią przyjdzie?

- Gdyby chciał ją porwać, nie zostawiałby tej kołyski. Poza tym zamierzam opowiedzieć o wszystkim policji i zmusić ich, by obserwowali chatę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Właśnie to zamierzałem ci powiedzieć, kiedy mi łaskawie przerwałaś.

- Naprawdę?

- Tak. Tak właśnie postanowiłem, kiedy już wszystko przemyślałem. Naprawdę nie musisz sama robić wszystkiego.

Nie musisz sama robić wszystkiego.

Przez całą drogę na lotnisko jechałam z czołem przyciśniętym do szyby od strony pasażera i przygryzała kłykcie.

- Masz romans z Charleyem, prawda? - zapytała nagle Jeanine. - To o to chodziło.

- Mam, ale wcale nie o to chodziło.

- Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś - odrzekła. - Nie mogę uwierzyć. To ja powinnam się z nim umawiać. W końcu ty już masz partnera...

- Chcesz się umawiać ze wszystkimi facetami, jakich spotkasz, co, Jeanine?

- Ze wszystkimi, którzy mają takie ciało jak Charley.

- Nie tylko ciało się liczy...

- Ale na pewno nie szkodzi... - Nawet nie miałam siły się roześmiać. Tak strasznie nie chciałam wsiąść do samolotu, że zostawiłam torebkę w samochodzie Jeanine i musiała biec po nią, by mi ją przy-

nieść. Nawet nie miałam siły jej za to podziękować. Na pokładzie od razu zamówiłam krwawą mary, choć była dopiero dziewiąta rano. Stuart odebrał mnie na lotnisku; nie miałam pojęcia, co zdarzyło się tej samej nocy. Dowiedziałam się o tym dopiero wiele godzin później, podobnie jak wszyscy inni. Nieopodal miasteczka Trinidad, w Teksasie znajduje się arroyo*, gdzie tysiące pełnych nadziei uciekinierów z Meksyku wykrobało tunel pod fragmentem ogrodzenia granicznego. Dziurę tę nieraz wypełniano kamieniami, a nawet cementem, lecz zawsze ktoś wydrążył w niej nowe przejście. Teren dokoła tego pustynnego zakątka jest rzadko uczęszczany i dopiero we wczesnych godzinach rannych członkowie patrolu Urzędu Imigracyjnego znaleźli dwóch żołnierzy ze straży granicznej, w tym jednego martwego. Dzięki natychmiastowemu przewiezieniu do szpitala mężczyzna ze strzaskanym barkiem przeżył. Bez wahania zidentyfikował Dillona LeGrande. Opowiedział, jak najwyraźniej nieuzbrojony Dillon podszedł niespiesznie do płotu i zachowywał się tak, jakby chciał przez niego przeleźć; wtedy zauważyli go żołnierze. Podjechali i oświetliwszy reflektorem parkan, jaki mieli na samochodzie, kazali się Dillonowi zatrzymać. Wówczas właśnie nieduży, zamaskowany kompan Dillona - najprawdopodobniej Spirito - otworzył ogień z pobliskich krzaków, natychmiast powalając strażników. Był to wyjątkowo tchórzliwy manewr, a ranny mężczyzna przypomniał sobie, że Dillon wołał do strzelca, by przestał strzelać.

- Ten przeżył - mruknął, pochylając się nad rannym. - Dajmy mu spokój. - Potem pochylił się nad strażnikiem i wyciągając rewolwer z kabury, dodał: - Gdzie dostałeś? W bark? Nie tak źle, wyjdiesz z tego. Zdaje się, że twoi kompani niedługo się tu zjawią. Czas na pomoc kawalerii. - A potem powiedział coś zagadkowego: - Powiedz im, że widziałeś Wędrowca, okay? Ze przyjechałem o blasku księżycy i zniknąłem jak sen, słyszysz?

Jak na ironię, właśnie tej nocy poszliśmy ze Stuartem na kolację do restauracji znajdującej się tuż obok ogromnej posiadłości, w której kilka lat temu słynny artysta zginął z ręki odraconego kochanka. Po kolacji Stuart miał ochotę na spacer po plaży, ale ja wołałam zadzwonić do Arley. Znaleźliśmy budkę telefoniczną i Stuart czekał cierpliwie, podczas gdy ja dzwoniłam do Charleya, do chaty, a wreszcie do Jeanine. Nigdzie nikt nie odebrał telefonu.

*** Arroyo - dolina strumienia o płaskim dnie i stromych ścianach, tworząca w przekroju kształt litery U, wypełniająca się wodą tylko podczas ulewnych deszczów {przyp. tłum.}.**

- Myślisz, że coś się stało? - zapytałam.

- Nie - odrzekł. - Pewnie wyszła na dwór.

Zadzwoiłam znowu o dziewiątej, według czasu na Florydzie, i znowu nikt nie odebrał.

Potem wróciliśmy do mieszkania Stuarta. Budynek stał na końcu pasa, gdzie kończyło się South Beach, a zaczynało prawdziwe Miami, i był różowy niczym lody truskawkowe.

- Teraz oboje mieszkamy w domach, do których nasze matki wstydziłyby się wejść - rzekł Stuart.

- Ale mój ma szansę wyglądać lepiej - odrzekłam.

Weszliśmy do środka i położyliśmy się w sypialni. Wyjęłam zdjęcia Desiree i pokazałam je Stuartowi, jednak on delikatnie odłożył je na nocny stolik i zaczął mnie całować, długo i w tak znajomy sposób. Chciałam, żeby kochał się ze mną, lecz nie dlatego, że pożałowałam go fizycznie, lecz dlatego, że czułam, iż dzięki temu zbliżymy się do siebie... było mi to potrzebne do spokojnego snu, dokładnie tak samo, jak chłodne prześcieradło i znajoma poduszka. Ale gdy zaczął rozpinać guziki mojej bluzki, usłyszałam całe mnóstwo obcych odgłosów - brzęczenie wentylatora, grzechot lodu w zamrażalniku, łoskot samochodów przejeżdżających ulicą - które mnie rozkojarzyły. Nie znajdowałam się w domu, lecz w obcym miejscu. Usiadłam wyprostowana na łóżku.

- A więc? - zapytał Stuart, nie ruszając się z miejsca.

- Musimy porozmawiać.

- Anne, hej, hej! Uspokój się, dziecinko. Wiem, że masz niedokończone sprawy w Teksasie...

- Nie tylko to.

- Okay.

- **1** wcale nie chodzi o to, że cię nie kocham,

- Och, Anne. O, cholera.

- Bo naprawdę cię kocham.

- Wiem.

- Musimy chyba spojrzeć prawdzie w oczy: jeśli chcielibyśmy się pobrać i mieć dzieci, już dawno byśmy to zrobili. Nikt nas nie powstrzymywał...

- Czas był nieodpowiedni, Anne. Po prostu czas był nieodpowiedni...

- Mnie się wydaje, Stuarcie, że dla nas zawsze ten czas będzie nieodpowiedni.

Gdybyś chciał wieść ze mną takie życie, zostałbyś w Teksasie.

- Mam pracę.

- Wiem o tym. I szanuję to. Ale chciałabym, żebyś pragnął mnie bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

- Przecież pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety na świecie.

- Wiem. Strasznie mi przykro to mówić... i strasznie żałuję, że nie wyjawiałam tego wcześniej... aleja pragnę czegoś innego. A najgorsze jest to, że aż do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy.

-Jakbym chciał wiedzieć o tym wcześniej. Nawet teraz nie chcę o tym słyszeć. - Westchnął. - Ta sprawa z Arley...

- To tylko symptom, Stuarcie. Ale faktycznie mi na niej zależy. Bardziej, niż kiedykolwiek się spodziewałam.

- Och, Anne - szepnął, przyciągając mnie do siebie. - Tak strasznie mi przykro. Wycieńczeni, bliscy łez, wiedzieliśmy, że nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia; wreszcie zasnęliśmy.

Brzęk telefonu stojącego tuż obok mojej głowy zabrzmiał jak krzyk. Usiadłam zdezorientowana na krawędzi łóżka; nie pamiętałam, gdzie jestem. Stuart stracił aparat ze stolika, ale po dłuższej chwili znalazł wreszcie słuchawkę i sapnął:

- Halo? Taak?... Anne, to Charley Wilder.

- Charley? ~ wykrzyknęłam; jak dobrze, że Stuart nie mógł zobaczyć mojej miny! - Co się stało?

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że przede wszystkim Arley jest bezpieczna. Jestem tu teraz z nią i z dzieckiem i wszystko jest w porządku. Przez całą noc nic się nie poruszyło w lesie.

- O czym ty mówisz? Co się stało? Dlaczego nikt nie odbierał telefonu?

- Bo byliśmy... zajęci. Jack do nas przyjechał...

Opowiedział, co się wydarzyło. Zapewniał, że wszystko jest w porządku i powtarzał to co jakiś czas. Tym razem Dillon zniknął na dobre; zniknął w Meksyku na południe od Laredo. Już dwa razy widziano go w tamtejszej okolicy. Żandarmi po obu stronach granicy mieli go wypatrywać i Jack zapewniał, że złapią go lada dzień.

- Anne, wiem, że zechcesz tu wrócić jak najszybciej - powiedział Charley - ale zanim to zrobisz, wysłuchaj mnie. Sam diabeł nic by im tu złego nie zrobił. Jeanine przyjedzie do chaty około południa, a ja wrócę przed piątą. Nie masz się o co martwić.

Nie odpowiedziałam. Po prostu odłożyłam słuchawkę i zadzwoniłam do linii lotniczych. Pojechaliśmy na lotnisko w milczeniu, nadal w ubraniach, w których spaliśmy pół nocy. Stuart kupił dwie kawy - dla mnie z mlekiem,

dla siebie czarną - i nalegał, że zaczeka ze mną aż do odlotu. Kiedy zaczęli wpuszczać na pokład pasażerów pierwszej klasy, rozplakałam się.

- Pierścionek - wyjąkałam, idiotycznie. - Może chcesz, żebym ci go oddała... Ja... odeślę ci go, dobrze?

Wiedziałam, że go ranię. Czy chciałam zranić go jeszcze bardziej? Czy może ukarać samą siebie?

- Zachowaj go, Anne - odparł Stuart lekko i zakołysał się na piętach. - Zatrzymaj go. Jesteś perłą wśród kobiet, wiesz? Oj, Anne. Ar-ley nic nie będzie. Wszystko się dobrze skończy. Ja... Jezu, nie mam pojęcia, co ci powiedzieć. Wszystko wydaje się takie nierealne. I może... przecież nie wiemy, co będzie za pół roku...

Ale ja wiedziałam; nie mogłam dać mu nawet tej nadziei.

- Stuart, jest jeszcze coś - odważyłam się powiedzieć. - Zmienawidzisz mnie za to. Odwrócił wzrok i zapatrzył się na lądujący samolot.

- Nie, nie zmienawidzę cię. Może i jest coś jeszcze, ale to wystarcza. Pamiętasz, co zwykła mawiać twoja matka? Nie musisz zawsze mówić wszystkiego, co wiesz. Podeszliśmy do rzędu budek telefonicznych i zadzwoniłam do Arley, by powiedzieć jej, że jestem już w drodze. Bezbarwnym głosem odparta, że się cieszy, ale że nie powinnam czuć się w obowiązku wracać ze względu na nią.

I nie zostało nam już nic do powiedzenia, oprócz pożegnania.

Pocałowałam Stuarta w policzek i poczułam, jak drga mu tam mały mięsień. Jakież z niego był zawsze mały nerwus.

- Stuarcie... uważaj na siebie...

- Ty też, dziecino - odparł. - Nigdy się nie zmieniaj.

Siedząc w samolocie, usiłowałam namówić te tony stali i aluminium, by jak najszybciej wróciły do miejsca, z którego zabrały mnie zaledwie poprzedniego dnia rano. Wszystkie instynkty macierzyńskie, jakie wzbudzała we mnie Arley, zostały postawione w stan gotowości bojowej i nie potrafiłam ich już uciszyć. Samolot miał trzy godziny opóźnienia w Atlancie, w czasie których zwiedziłam całe lotnisko i zjadłam funtową torbę orzeszków ziemnych. Powrót do domu zajął mi dwanaście godzin; kiedy wreszcie dotarłam do mieszkania i wskoczyłam do samochodu, popędziłam w stronę chaty z pedałem gazu wciśniętym do podłogi i rewolwerem w schowku, po drodze zdałam sobie sprawę, że nie zadzwoniłam do Charleya.

Żaden ze mnie wojownik.

Nawet gdybym mogła dostać się do niej na czas, nie wiem, co mogłabym zrobić.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ARLEY

W chacie nie było telewizora i poza tym, że przegapiałam „Ostry dyżur” właściwie mi to nie przeszkadzało. Tak czy inaczej Annie nagrywała dla mnie każdy odcinek i gdy przeprowadzimy się na Azalea Road, obejrzymy wszystko naraz, jak zwyczajny film w kinie i to bez przerw na reklamy. Kazałam jej obiecać, że nie zerknie na żaden z odcinków i, o ile wiem, dotrzymała słowa.

Dni mijały szybko, nawet bez telewizora. Zdziwilibyście się, gdybym wam powiedziała, jak wiele roboty może dostarczyć osóbką ważąca zaledwie dwanaście funtów, kiedy trzeba ją przewijać trzy, a nawet cztery razy dziennie (dzieci karmione piersią są naprawdę paskudne, jeżeli o to chodzi!) i myć, żeby nie wspominać już o utrzymywaniu dziecka w czystości, żeby nie doszło do infekcji albo podrażnień skóry. Aż trudno sobie wyobrazić, że małe dziecko, które jeszcze nawet nie potrafi chodzić i którego główka pachnie jak stoisko z kosmetykami w supermarkecie, potrafi się tak strasznie brudzić. Pewnego dnia, gdy kąpałam Desi, znalazłam u niej ogromny kawał brudu tuż za uchem i strasznie się przeraziłam; wyglądała jak jakieś zaniedbane dziecko, o które nikt się nie troszczy. A oprócz zajmowania się samą Desi, musiałam jeszcze prać ręcznie ubrania i uczyłam się do egzaminu do college'u, który zamierzałam zdać jeszcze przed szesnastymi urodzinami. Wiem, że jestem dość inteligentna, ale wiedzę mam raczej schematyczną i fragmentaryczną, choć udało mi się zdać maturę. Mimo to po pożarze w gazetach zaczęły się pojawiać artykuły pod tytułem: „Zona bandyty geniuszem”, co wcale nie jest prawdą.

Praca i nauka pozwalały przynajmniej nie myśleć o Dillonie, a ja bardzo nie chciałam o nim myśleć. Właśnie wtedy rozpoczął się proces, który zakończył się utraceniem go... bo jakże by inaczej?

Kiedy już o nim myślałam, usiłowałam odgadnąć, co czuje w danym momencie. Zawsze powtarzał, że dla takiego mężczyzny jak on najważniejsza jest wolność. Przecież dlatego uciekł z więzienia. Po tym, co powiedział temu strażnikowi granicznemu, zrozumiałam, że Dillon zginie. Prędzej umrze, niż pozwoli z powrotem zamknąć się do więzienia. Wolałby dostać karę śmierci niż kolejne lata odosobnienia. Ze sposobu, w jaki mówił o śmierci, jeszcze nawet przed „Wędrowcem”, jeszcze gdy był całkiem młody i chodził z tą dziewczyną, która później usiłowała się zabić, wydaje się, że przez całe życie balansował na krawędzi samobójstwa.

Nie sądzę, by nasza miłość popchnęła go za tę krawędź. Jeżeli już, to raczej sprawiła, iż poczuł się lepszy, szczęśliwszy, przynajmniej przez jakiś czas. Kiedy myślałam o Dillonie, usiłowałam wyobrazić go sobie patrzącego na żywą osobę i pociągającego za spust, a gdy docierało do mnie, że myślę o mężczyźnie, którego kocham i który był we mnie, robiło mi się niedobrze, a ręce i stopy lodowaciały mi mimo upału. Jednej nocy aż zmoczyłam łóżko. A jednak nie mogłam przestać o tym myśleć.

Byłam wiecznie zmęczona. Jadłam niesamowite ilości, a jednak cały czas traciłam na wadze. Choć zawsze byłam schludna, teraz zdarzało mi się nie myć włosów przez trzy dni z rzędu; doszłam do wniosku, że jeszcze trochę i wyhoduję sobie dredy, takie jakie ma Cully, kucharz w Taco Heaven. Codziennie po powrocie ze szkoły Elena dzwoniła i opowiadała mi, co wydarzyło się w poprzednich odcinkach seriali, które przegapiałam. Annie zabroniła Elenie przyjeżdżać do chatki - powiedziała, że to rozkaz policji - ale i tak podałam jej numer telefonu. Strasznie za nią tęskniłam. Nie widziała Desi od następnego dnia po jej urodzinach, gdy pani G. pozwoliła jej spóźnić się do szkoły i przyjść do mnie do szpitala, zanim jeszcze Annie mnie tu przywiozła. Ellie powiedziała mi kiedyś, że moje życie jest trudniejsze niż życie tych wszystkich dziewczyn w mydlanych operach razem wziętych. Nawet gdy karmiłam Desi, czasem myślałam o Dillonie. Wydawało mi się to chore; nie chciałam, by cokolwiek złego przeniknęło zakłęty krąg otaczający mnie i Desiree. Ludzie uważają, że małe dzieci są strasznie nudne, lecz to nieprawda; mogłam przyglądać się Desi godzinami. To było tak, jakbym obserwowała piękną roślinę, a nie żywą osobę. Kiedy już ją nakarmiłam, przed drzemką układała buzię w idealne „O” i ziewała szeroko, banieczka z mleka rozszerzała się na jej wargach i wreszcie pękała, a jej rączyny drgały na ten dźwięk. Nieczęsto płakała, lecz ja nie mogłam

znieść nawet najmniejszych oznak jej niezadowolenia. Nieraz, gdy leżała na swym kocyku, kładłam się na niej, ale bardzo ostrożnie, by ani ciut jej nie nacisnąć, jakbym była górą albo wierzwą, która osłania ją przed złem świata; chciałam, by wiedziała, że zawsze będą ją chronić i nie pozwolę jej skrzywdzić.

Kiedy Desiree spała, ja też wypoczywałam albo czytałam. Najczęściej były to zwyczajne, lekkie książki; jeszcze nie zdażyłam przeczytać nawet połowy z tych, które podarowała mi Annie. Kiedyś powiedziała, że pewnie muszą mi się wydawać mocno naiwne po tym, co sama przeszłam, ale nie mogę się z tym całkowicie zgodzić. Mimo iż byłam mężatką, miałam dziecko i dość nietypową rodzinę, w głębi serca nadal pozostałam dzieckiem. Przeczytałam wtedy między innymi sztukę „Nasze miasto” i odkryłam, że wyjątkowo pasują do mnie wszystkie słodkie ma-łomiasteczkowe uczucia: nieśmiałości, tęsknota za czymś większym i poczucie krzywdy, że jest się tylko małą dziewczynką, choć nigdy taka nie byłam. Doskonale potrafiłam wczuć się w sytuację zawstydzonej Emily, gdy chłopiec po raz pierwszy wyznał jej miłość. Potrafiłam dokładnie wyobrazić sobie to uczucie, mimo iż wiedziałam o miłości znacznie więcej. Tak więc czytałam i słuchałam muzyki z płyt CD - głównie dawał mi je Charley - z utworami ludzi, o których nigdy wcześniej nie słyszałam: Toma Paxtona, Ricka Danko i Joan Baez. Trochę to przypominało muzykę country, lecz było jeszcze smutniejsze. Obecnie muzykę folk lubię najbardziej, choć Annie często krzyczy na nas, byśmy „wyłączyli te cholerne, ckliwe smuty”. Mimo iż mój odtwarzacz CD miał też radio, nigdy go nie włączałam i dowiedziałam się o strażnikach granicznych znacznie później niż cały świat. To Charley mi o nich powiedział; Jack Becker przyjechał nieco później z tymi samymi wiadomościami.

Od razu poszłam do Desi i wyjęłam ją z tej pięknej kołyski, choć przed chwilą położyłam ją spać, a Annie powtarza, że nie powinno się budzić dzieci, jeśli już zasnęły. Podniosłam ją i podałam Charleyowi, a potem poszłam do łazienki i zwymiotowałam wszystko, co tego dnia zjadłam. Przedtem moje uczucia względem Dillona były mieszane; czasem po wizycie Jacka Beckera i słodkiego ciemnookiego Pedra, którzy przyjeżdżali w nocy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, leżałam na łóżku i powtarzałam na głos: nd, dalej, Dillon. Chodź tu do mnie, przy blasku księżyca, i porwij mnie na swego czarnego rumaka, choć tak naprawdę on wcale nie miał konia. Usiłowałam powstrzymać się od rozpamiętywania każdego słowa wypowiedzianego w dniu naszego ślubu, ale zawsze się w końcu załamywałam i w rezultacie tak strasz-

nie się podniecałam, że zdawało mi się, iż mój oddech można słyszeć po drugiej stronie pola ciągnącego się za domem. Nie żeby tam ktoś był i podsłuchiwał. A kiedy już się zaspokoiliam, z prześcieradłem zwiniętym i wciśniętym między uda, czułam się tak, jakbym zrobiła coś potwornego, zdeprawowanego; lecz przynajmniej mogłam zasnąć. Czasem, gdy się budziłam nad ranem, widziałam, jak Desi śmieje się w swym łóżeczku. Śmieje. Ta mała potrafiła obudzić się roześmiana w wieku trzech miesięcy, nawet jeżeli przez cztery godziny w nocy krzyczała, bo nękała ją kolka po kolacji.

Ostatniej nocy wiedziałam, że Annie wraca do mnie, mimo że powiedziałam jej, by tego nie robiła. Zadzwoiła do mnie z lotniska w Miami, a potem znowu z Atlanty, by zapewnić mnie, że zaraz po powrocie do domu wsiada w samochód i jedzie do mnie, czy tego chcę, czy nie. Jeanine przyjechała i przywiozła mi pizzę na lunch, lecz panował upał i nie chciało mi się jeść. Charley zadzwonił po południu i powiedział, że czeka na dostawę szkła, ale że przyjdzie najszybciej, jak to możliwe. Przespałam prawie całe popołudnie i kiedy się wreszcie obudziłam, ze zdziwieniem zobaczyłam, że za oknami jest już ciemno.

Wstałam; wkrótce Desi zaczęła się kręcić i marudzić. Doszłam do wniosku, że Charley zjawi się lada moment, a gdy przyjechał Jack Becker ze starym Pedro, właśnie to im powiedziałam. Obaj wysiedli z samochodu, weszli na ganek i zapytali, czy mogłabym im dać po coli. Cieszyłam się, że tego dnia wykrzesalam z siebie dość energii, by się umyć i włożyć czyste ubrania, choć było mi wstyd, że nie mam ich czym poczęstować, a Desi drze się wniebogłosy. Czasem Jack przyjeżdżał sam, a czasem przywoził ze sobą Pedra - wydaje mi się, że był nauczycielem Pedra albo kimś takim - ale ja najbardziej lubiłam, gdy Jack przyjeżdżał sam, bo wtedy opowiadał o Jeanine. Jeanine uważała, że Jack nic nie wie o jej pediatrze, ale to nieprawda; Jack wiedział o nim doskonale i opowiadał mi - zwykłemu dzieciakowi! - że strasznie go to rani, iż nie potrafi utrzymać Jeanine przy sobie.

- Ona ma jakąś dzikość w sercu, Arley - powtarzał, a ja zapamiętywałam, ile tylko mogłam, by później przekazać Elenie; nie mogłam zrozumieć, że ludzie po trzydziestce mogą jeszcze jęczeć o podobnych sprawach.

Tamtej nocy zerwał się lekki wietrzyk. Cała ta polana, na której stała chata, jakby nagle zaczęła oddychać. Gorąco można znieść, jeżeli wieje wiatr, lecz tamtej zimy nie wiało prawie nigdy. Czasem wydawało mi się, że skonam z gorąca w tej chacie bez klimatyzacji - całe szczęście, że wychowałam się w biednej rodzinie i w domu był jedynie wen-

tylator w pokoju mamy; poza tym siadywaliśmy tam z Camem tylko wtedy, gdy ona była w pracy. Przez pierwsze pół roku życia Desi ubierałam ją wyłącznie w pieluchę i podkoszulek.

- Masz wystarczająco dużo mleka i innych rzeczy w domu? - zapytał mnie Jack tamtej nocy, na krótko przed odjazdem. - Chcesz może, żebyśmy przywieźli ci lody następnym razem?

- Roztopiłyby się, zanim zdążylibyście tu przyjechać - odrzekłam.

- Tak czy inaczej, Annie już wraca i powiedziała, że będzie tu jeszcze dziś w nocy. Roześmialiśmy się; wszyscy troje doskonale wiedzieliśmy, że mimo trudnych warunków i później pory Annie przywiezie mi mnóstwo żywności, zupełnie jakby zaopatrywała pułk wojska. Ona nigdy nigdzie nie przyjeżdżała z pustymi rękoma; powtarzała, że to cecha dziedziczna. Jack właśnie miał odejść, a Pedro siedział na huśtawce z Desi w ramionach, gdy zaskrzeczało radio w ich samochodzie.

- Lecimy, synu! - zawołał Jack. - Płoną trawy... zagrożenie dla bogaczy mieszkających na górze. Trzymaj się, Arley! - Nagle stanął; nigdy nie zrozumiałam dlaczego, skoro tak bardzo spieszyli się na górę, gdzie mieszkańcy kilku domów stojących na zboczu będą w nie lada tarapatach, jeżeli strażacy od razu nie ugaszą ognia (choć zawsze jakoś im się to udawało - w końcu pożary łąk i lasów zdarzają się w Teksasie bardzo często). - Arley? - Jack odwrócił się do mnie na chwilę. -

Chcesz, żebym zadzwonił do Jeanine i poprosił, by tu do ciebie przyjechała?

- Nie. Dlaczego? - Nagle zadrżałam mimo upału, ale zignorowałam to.

- Po prostu... no, cóż... ogień i tak pójdzie w górę zbocza, jeśli w ogóle będzie miał czas się rozprzestrzenić. Nic ci nie będzie. - Obróciliśmy się i spojrzeliśmy za chatę; w oddali widać było pomarańczową poświatę, jakby światełka na choince, rozchodzącą się u stóp góry.

- Posłuchaj... umówmy się, że zadzwonię do ciebie za godzinę...

Radio znowu zazgrzytało, więc wskoczył do samochodu i machnął mi ręką, a Pedro uśmiechnął się mrugnął porozumiewawczo.

Cały czas, gdy kąpałam Desi, wyglądałam przez okno z tyłu chaty, to tuż nad moim łóżkiem, które jest stosunkowo nisko nad podłogą. Widziałam przez nie płomienie sunące po ziemi w górę zbocza, a od czasu do czasu słyszałam cichy huk, gdy waliło się drzewo. Podobno pożar wydaje dźwięki jak jadący autobus, lecz ja nic nie słyszałam oprócz wycia syren wozów strażackich - regularne, powolne, niczym syreny wozów policyjnych z „Dziennika Anny Frank” - a od czasu do czasu oblu-zowana rynna na dachu grzechotała na wietrze i obijała się o północną ścianę domu. Włączyłam odtwarzacz CD, żeby czymś wypełnić ciszę

i zastanawiałam się, dlaczego Jack nie zadzwonił. Kiedy usiłowałam połączyć się z Eleną, nie słyszałam nawet ciągłego sygnału; pewnie pożar przerwał gdzieś druty telefoniczne. Gdybym miała samochód, pewnie pojechałabym wtedy do domu Eleny, nawet jeśli nie znałam dobrze drogi. Lecz skoro Annie miała do mnie przyjechać, za bardzo się nie bałam. Charley jak zwykle się spóźniał, lecz wiedziałam, że kiedyś wreszcie się zjawi.

A potem, około dziewiątej wieczorem, wysiadł prąd.

Światła zamrugwały, potem zapaliły się na chwilę i zgasły na dobre, a głos Emmylou zamarł w połowie piosenki.

Pożar rozświetlał okolicę. Ogień doszedł już prawie do połowy zbocza, a powietrze zaczęło się wypełniać drobnymi popiołami, które krążyły niczym dym. Nie miałam pojęcia, jak ciężka jest sytuacja; nie wiedziałam, że od paru dni polewano wyschniętą trawę benzyną, nie wiedziałam, że strażacy musieli ściągnąć do pomocy jednostki asystujące przy pomniejszych pożarach w całym powiecie - tamtej nocy wybuchło około czterdziestu innych pożarów traw i lasów. Nie wiedziałam, że jeden z tych ogromnych domów na zboczu już nie istnieje, a trzy następne wkrótce znikną w płomieniach. Nie miałam pojęcia o blokadzie na autostradzie, która zatrzymała Annie i Charleya, ani że Jack zapewnił ich, że nic mi nie będzie i że wysłał po mnie któregoś ze swoich ludzi. Nie wiedziałam, że niektóre z ciężarówek straży pożarnej miały poprzecinane opony i że przez to ludzie bezradnie biegali w kółko.

A jednak nie bałam się pożaru. Wiatr wiał z przeciwnej strony, a zdawałam sobie sprawę, że choć ogień płonie zaledwie kilka mil od chaty, pójdzie w górę zbocza, jak każdy pożar traw, gdyż tak właśnie unosi się gorące powietrze. Chciałam spróbować przedostać się do autostrady znajdującej się jakąś milę dalej, ale bałam się iść przez las z dzieckiem na rękę. Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli po prostu położę się i zaczekam na Annie.

I tak zrobiłam; położyłam się i chyba zasnęłam. —

Kiedy usłyszałam okropny hałas, obudziłam się, lecz ani nie krzyknęłam z przerażenia, ani nie usiadłam na łóżku. W oknach zobaczyłam pomarańczową poświatę; pożar wprawdzie się nie zbliżył, lecz stawał się coraz większy. Widziałam płonące czubki drzew kołyszące się na wietrze za plecami i głową Dillona, który stał w drzwiach. Obudził mnie łoskot kopniętych drzwi.

Nie odezwałam się ani słowem.

Leżałam na łóżku z otwartymi oczyma, nie ruszając się ani o cal, i myślałam, że na pewno to mi się śni, choć nie mogłam zrozumieć,

dłaczego w tak dziwny sposób. Gorące powietrze wpłynęło do chaty, a Dillon wszedł szybko i stanął nad kołyską Desi. Potem odwrócił się i spojrzał na mnie, gdyż znajdowałam się niecałe sześć stóp od córeczki. Jak małe dziecko chciałam zamknąć oczy i udawać, że mnie nie ma. Ubrany był w dżinsową koszulę, całą upaakaną błotem, a włosy sięgały mu do ramion. Kiedy przyłożył policzek do mej twarzy, poczułam klucie zarostu. Klęknął obok i ująwszy moją twarz w obie dłonie, tak mocno przycisnął do niej policzek, że czerwony ślad utrzymywał się w tym miejscu przez kilka następnych dni. Zaczął mnie całować, powoli otwierając moje usta językiem, wsuwając go do środka po kawałeczku, jakby szukał w nich czegoś, co pozwoli mu przeżyć, jeśli tylko to odnajdzie. Wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, przytulić, poczuć jego skórę pod palcami, lecz wtedy odsunął się ode mnie i momentalnie znalazł się przy Desi, i wziął ją na ręce.

Podczas treningów biegania przez płotki trener uczył nas wstawać bez pomocy rąk; robiłam to tak wiele razy, że stało się to dla mnie naturalnym sposobem podnoszenia się. Wtedy zrobiłam dokładnie tak samo - zerwałam się i przeskoczyłam pół pokoju, jakby moje nogi były zwiniętymi sprężynami.

Stał na ganku, jeden krok za drzwiami, tuląc Desi w ramionach i przyglądając się jej śpiącej buzi. Nie dotykał jej ani nie pieścił. Scena była tak nierzeczywista, że miałam wrażenie, iż moje ciało nadal leży na łóżku, a tylko dusza obserwuje wszystko z pewnej odległości.

- Oddaj mi dziecko - powiedziałam do Dillona. Spojrzał na mnie - ogień tworzył jasną aurę dokoła jego głowy, a oczy w ciemnej twarzy płonęły. Zaczął się uśmiechać, jego wargi się poruszyły. Wzięłam Desi w obie dłonie i odebrałam mu ją tak gwałtownie, że omal nie zatoczyłam się do tyłu.

Już wtedy musiał zostać trafiony. Musiał.

Dostał, zanim usłyszałam drugi wystrzał. Kula rąbnęła w rynnę, ta zagrzechotała i spadła na ganek. Wszystko stało się ciągu ułamka sekundy. Nie zdążyłabym nawet strzelić palcami.

Nikt, ani panna Merrill, ani Annie nie wierzą, że Dillon żył jeszcze, gdy odrzuciło go na ścianę chaty. Jack Becker mówił - i powtarzał to wiele razy, jakby chciał, bym to zrozumiała i zapamiętała - że te kule o miękkim czubku „wchodzą w człowieka jak w masło, na wejściu powstaje otwór wielkości ziarna fasoli, a na wyjściu latającego talerza" i że Dillon nie żył już, zanim jego kolana dotknęły desek ganku. Na początku nawet nie zauważyłam - choć wydaje się to trudne do uwierzenia - że krew i tkanka rozprysnęły się po ścianie, jakby ktoś rzucił kubelkiem z czerwoną farbą. Zobaczyłam tylko, jak patrzy na mnie i nagle opada na zie-

mię, z jedną ręką sztywno wyprostowaną. Wyczułam zapach spalonego materiału i skóry, mimo iż w powietrzu dominował swąd dymu.

- Wróć! - zdążył jeszcze szepnąć. - Przy świetle księżyca...

I głowa mu opadła. Uklękłam na podłodze i z Desi nadal przytuloną do piersi, podpełzłam do niego. Chyba nawet nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, co się stało. Nie pojmowałam, że w mrokach czai się ktoś z bronią.

Oczy Dillona były na wpół otwarte, jakby usiłował zasnąć, lecz w połowie zapomniał o tym. Od przodu wyglądał tak jak zawsze, a gdy przyłożyłam policzek do jego piersi, tam gdzie nie krwawiła, pachniał też tak jak zawsze... jak czyste drewno i sól. Dotknęłam czubka jego nosa; był zimny niczym kostka lodu.

Desi całkiem się rozbudziła; leżała w moich ramionach i wpatrywała się we mnie, ale nawet nie pisnęła. Dopiero wtedy usłyszałam wycie syren, huk i jęki płonącego lasu... i wściekle wrzaski dziewczyny.

Odwrociłam się w tamtą stronę tylko dlatego, że rozpoznałam jej głos. Zobaczyłam dwoje ludzi oświetlonych pomarańczową luną, okrążających się na trawie, jakby tańczyli. Ale wyższa z postaci trzymała tę mniejszą za łokcie, gdyż tamta kopiała, rzucała się i targała głową tak mocno, że w końcu spadła jej baseballowa czapeczka i na wszystkie strony rozsypały się jasne włosy. Nawet z tak dużej odległości - dzieliło mnie od nich z trzydzieści jardów - rozpoznałam głos mojej siostry.

- Zostaw mnie w spokoju, ty pieprzony łachudro! - wrzeszczała. Nie mogłam zidentyfikować wyższej postaci, gdyż cały czas głowę skrywała w cieniu.

- Nic ci się nie stało? - zawołał ten mężczyzna, ale ja nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. - Dziewczyno? Nic ci nie jest?

- Nie... wszystko w porządku - wyjąkałam, lecz chyba za cicho, by mógł mnie usłyszeć.

W tej samej chwili na trawnik wjechał policyjny samochód, z którego wyskoczył ogromny mężczyzna w granatowym mundurze i natychmiast pobiegł na ganek.

Chwilę później podjechali Jack i Pedro. Jack objął mnie mocno i powtarzał:

- Już dobrze, kochanie... już nic ci nie grozi...

Podałam mu Desi i podeszłam do Dillona. Tamten policjant właśnie go odwrócił, i dłoń Dillona otarła się o moje udo, zostawiając na nim trochę krwi. Langtry nadal wrzeszczała i wyrywała się trzymającemu ją mężczyźnie.

- Oto twój mężulek, Arley! - krzyczała. - Twój idealny mąż! Tak strasznie cię kochał, że nie mógł utrzymać rąk z daleka ode mnie choćby przez jedną noc! Tylko spójrz na niego!

Policjant klęczący obok spojrzał mi w oczy

- On nie żyje, proszę pani. Nawet się nie zorientował, kiedy dostał.

- Wiem - odparłam.

A potem podszedł mężczyzna, który do tej pory trzymał Lang.

- Cześć, Arley - mruknął.

- Cześć - odrzekłam. - Dobry wieczór, panie Justis.

- Dziecku nic się nie stało?

- Nie... wszystko w porządku.

Jego twarz cała była umorusana i spocona, a niebieskie oczy zwięzły się, gdy powiedział:

- Z początku bałem się, że trafiła też dziecko. Ta twoja siostra.

- Skąd pan wie, że to moja siostra?

- Wiem, co to za jedna.

- Czy pan widział, jak oni się zbliżają do chaty?

- No, cóż... ja zawsze kręcę się w okolicy. Znalazłem sobie taką fajną przyczepę w głębi lasu. Wcześniej zamieszkiwały ją tylko wiewiórki... Zobaczyłem tych dwoje, jak idą w stronę pożaru i wydało mi się to podejrzane. Pomyślałem, że może chcą czegoś od ciebie.

- Więc wiedział pan, że ja tu mieszkam?

- Tak - odrzekł.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki nie poczułam gorących łez na policzkach i szyi. Potem Desi zaczęła jęczeć i popłakiwać, więc uniosłam koszulkę i przystawiłam ją do piersi. Siedziałam na schodkach ganku, a pan Justis przykucnął kilka stopni niżej. Jack odszedł, by pomóc umundurowanemu policjantowi wsadzić Lang do radiowozu; usiłowała ich pogryźć, więc ją zakneblowali.

A wtedy niespodziewanie z ciemności wynurzył się Charley. Wyjaśnił, że zatrzymali go na autostradzie. Uklęknął obok mnie i przytulił mocno.

- Arley - dyszał ciężko. - Arley. Mój Boże. Dzięki Bogu... O mój Boże...

Dwóch policjantów rozpostarło koc i nakryło nim Dillona. Zerknęłam nad ramieniem Charleya, by po raz ostatni zobaczyć jego twarz, lecz widziałam tylko jasne kłaczki włosów sterczące spod koca. Charley spróbował odwrócić mnie w drugą stronę, jakby nie chciał, bym zobaczyła to, co i tak miałam już na zawsze wyryte w pamięci.

- Kto to jest, Arley? - spytał bardzo cicho.

- To pan Justis - odparłam.

- Miło mi pana poznać - mruknął pan Justis, wyciągając rękę do Charleya. Dopiero gdy się uśmiechnął, zobaczyłam dołek w jego brodzie.

EPILOG

ARLEY

Desi jest strasznie wygadana jak na dwuletniego malucha. Wszyscy tak mówią, więc wcale się nie przechwalam. Przez wiele miesięcy nie mówiła nic, poza „mama” - co, o ile wiem, jest u dzieci odruchowe - i „światło”.

Miała już półtora roku i zaczęłam się strasznie bać, że coś jest z nią nie tak albo że pamięta noc pożaru i słowo „światło” znaczy dla niej coś koszmarnego. Nie wiem, czy dzieci mają wspomnienia z życia płodowego, ale jestem przekonana, że wiedzą, co się o nich myśli i co się względem nich czuje. Jeżeli Desi ma napad złości - Annie nazywa to „emanacją wściekłości” - a ja jestem zniecierpliwiona i biorę ją na ręce, żeby uspokoić, odnosi to wręcz przeciwny skutek.

Pierwszy raz wypowiedziała słowo „światło” w Dniu Niepodległości. Wszyscy siedzieliśmy na balkonie domu Annie na Azalea Road i oglądaliśmy pokaz fajerwerków nad miastem. Kiedy pierwszy wybuchnął na niebie, Desi krzyknęła przerażona. Wiem, że wszystkie dzieci boją się hałasu, ale ja siedziałam wtedy odprężona, więc mała wiedziała, że nie ma się czego bać. A jednak podskoczyła i ukryła twarz na moich piersiach, mimo iż wszyscy powtarzali: „Patrz, Desi, jakie śliczne”, a córeczka Charleya, Claude, zabawiała Desi, pytając: „Gdzie się chowasz, maleńka?”

Do tej pory nie mam pewności.

Wydaje mi się, że gdy Desi dorośnie, sama będzie musiała dojść do ładu z uczuciami względem tatusia. Może wtedy ja już pogodzę się ze swoimi?

Dwa lata to naprawdę nie jest długo, zwłaszcza gdy podzielisz je na pory roku, semestry i fragmenty życia. Ale z drugiej strony to kawał czasu. Wystarczająco długi, by niemowlę wyrosło na małą dziewczynkę, której można spiąć włoski w dwa miniaturowe kucyki, oraz by war-

czalo na ciebie, gdy nie pozwalasz mu wsypać całej butelki piekącego sosu tabasco do zupy, i by odpowiadało ci: „Właśnie, że stety, mamó!”, kiedy mówisz, że niestety nie możesz jej na coś pozwolić.

To dostatecznie długi czas, by pragnąć śmierci, a potem otrząsnąć się z tego. Ale zrozumienie pewnych spraw może mi zająć całe życie. Naprawdę przeżyłam je od końca - zostałam staruszką, zanim miałam okazję być młoda, wiedziałam sporo o narodzinach i śmierci, lecz niewiele o samym życiu.

Nadal tak jest.

Nie chodziłam do szkoły średniej, lecz teraz jestem w college'u; dwa razy w tygodniu chodzę na zajęcia na uniwersytet Stanu Teksas, w Austin; mój program obejmuje tylko sześć godzin tygodniowo - jest specjalnie przystosowany dla młodych matek. Udało mi się też dostać stypendium, co jest naprawdę wspaniałe, gdyż Annie tonie w długach po uszy i staje na głowie, by otworzyć prywatną praktykę. Chodzę na zajęcia z dziewiętnastowiecznej brytyjskiej i amerykańskiej poezji oraz z dwudziestowiecznej literatury amerykańskiej. Zaczynając studia, powiedziałam sobie, że nie mam się dokąd spieszyć. Powinnam robić wszystko stopniowo, i może wtedy mi się uda.

Uczęszczam także na ćwiczenia z kreatywnego pisania i te najbardziej mi się podobają. Profesor powtarza mi, że powinnam sama sobie ufać, gdyż „mam naturalny dar”. Czasem odnoszę wrażenie, że chodzi mu o to, iż mówię i myślę jak dziewczynka wychowana na prerii. A czasem wydaje mi się, że po prostu mu się podobam. Jednak nie zamierzam w to wnikać.

Przypuszczam, że Desi zaczęła mówić, gdyż przygotowując się do zajęć, czytałam jej te wszystkie opowiadania i wiersze. Wszystko wydarzyło się w ciągu jednej nocy. Miałyśmy drobny problem z jej przednimi zębami; wyglądały dziwnie, jakby szarawo. Okazało się, że zbyt długo używam starej butelki, i emalia zaczyna z niej schodzić, barwiąc zębki małej. Wyjaśniałam to wszystkim, powtarzając Jeanine, Klenie i wszystkim dokoła: „Patrzcie, to paskudztwo czepia się jej biednych małych ząbków”, nie podejrzewając nawet, że mała to zrozumie. A potem, pewnego wieczora. Desi powiedziała: „Patrz, jak papużka czepia się mojej buzi”. Ani jednego słowa prawie przez dwa lata i naraz sześciowyrzowe zdanie. Usłyszała „paskudztwo”, zrozumiała „papużka” i od następnego dnia wymyślała już różne wariacje na ten temat. „Mama, tygrys czepia się mojej buzi!” Wszyscy śmieliśmy się z tego tak bardzo, że chyba polubiła mówienie i teraz nas nie oszczędza. Nie-

raz słyszę, jak wchodząc na balkon, mówi: „Uważaj, moja mała”, jakby sama siebie upominała. Elena twierdzi, że istnieje siedem oznak zdolności intelektualnych u dziecka i że Desi ma je wszystkie; to chyba prawda, bo przecież w końcu Elena studiuje na uniwerku, by zostać przedszkolanką.

- Mała zostanie prawnikiem, jak jej babcia - powtarza Charley, na co Annie obdarza go paskudnym spojrzeniem. Nie lubi być nazywana babcią. Ale ja sędzę, że Desi zostanie poetką; w końcu wiersze Dillo-na były wcale niezłe. Niektóre z nich opublikowano w tomiku więziennej poezji i w kilku czasopismach; pieniądze z tego włożyłam na specjalne konto na nazwisko Desi. Kiedy powiedziałam Annie, że Desi odziedziczyła dar wystawiania się po nas obojgu, wyszła z pokoju cała wściekła. Wiem, że to tylko oznacza, że ona mnie kocha; wiem, że jeżeli wspomnę o Dillonie choćby dopiero za sto lat, to i tak będzie dla niej za wcześnie. Tamtej nocy w chacie, kiedy przybiegła na podwórko, zatrzymali ją agenci FBI. Słyszeliśmy, jak jeden z nich powiedział:

- Przykro nam, proszę pani, ale tu nie wolno teraz wchodzić. Jesteśmy z Federalnego Biura...

A potem głos Annie:

- Gówno mnie obchodzi, skąd jesteście! Zejdźcie mi z drogi... albo odstrzelę wam te puste łby!

Omam nie wybuchnęłam śmiechem; ale bardzo nie lubię, gdy żartują sobie z tego. W końcu tamtej nocy zginął człowiek, który był moim mężem. Nie można o tym tak po prostu zapomnieć. Annie chce, bym wymazała to z pamięci, jakby nigdy się nie wydarzyło... aleja nie chcę. Moim zdaniem w ciągu siedemnastu lat mojego życia zbyt często się ukrywałam, zbyt wiele razy odwracałam się od prawdy i uciekałam do ludzi, którzy wcale nie byli tacy, jacy się wydawali. y

Muszę pamiętać o wszystkim, rozumieć to i nauczyć się z tym żyć. W jednej gazecie napisali, że mama wiedziała, iż Lang wcale nie umarła, tylko rozcięła sobie nogę, schodząc z Dillonem po tej drabinie. Mama powiedziała też dziennikarzowi, że nic by jej nie obeszło, gdyby Lang wyszła z nim frontowymi drzwiami albo gdyby Dillon mnie znalazł. „Co mam być, to będzie” - rzekła na zakończenie.

Tak czy inaczej, w tym artykule zamieścili też kilka moich wierszy. Kiedy Erie Doreyje przeczytał, natychmiast do mnie zadzwonił.

- Arley twojej mamy nie godzi się nazwać człowiekiem. Mam nadzieję, że zazdrości ci, bo wyszłaś na ludzi - powiedział, a potem dodał: - Nigdy ci nie wybaczę, jeżeli nie pójdziesz na studia. Powinnaś się-

gnąc do gwiazd, dziewczyno, a jeżeli ci się nie uda ich dostać, wtedy trudno. Wierzę w ciebie.

Kiedy to usłyszałam, coś we mnie zaskoczyło; powiedziałam sobie, że skoro on we mnie wierzy, naprawdę mogę to zrobić. Zdaje mi się, że dopiero w tamtej chwili porzuciłam na dobre myśl o pójściu do szkoły makijażu korekcyjnego. Niegdyś nawet kariera kosmetyczki wydawała mi się fascynująca, lecz od tamtej pory sporo czasu upłynęło. Nie jestem już tamtą dziewczyną. Nawet jeżeli kiedyś pokrywanie farbami brzydkich czy bolących miejsc wydawało mi się fascynujące, teraz uważam to po prostu za idiotyczne. Wydaje mi się, że właśnie dlatego ludzie chcą pisać - by podzielić się bolącymi ich przeżyciami. Może właśnie dlatego pisałam wiersze? Te potężne słowa po prostu łapią cię za gardło i nie pozwalają odwrócić wzroku.

Erie ma rację. Teraz tak jakby chodzimy ze sobą i często powtarza, że człowiek zawsze żałuje wszystkiego, czego w życiu nie zrobił. Annie uważa, że idę w jej ślady, specjalizując się w angielskim, i ma rację. Ale też dlatego, że cześć genów, tych dobrych i odważnych, odziedziczyłam nie po mamie, lecz po panu Justisie. Oczywiście, prędzej czy później, dowiedziałabym się, że jest moim tatą; w końcu sporo osób o tym wiedziało. Avalon to mała miejscina, a nawet w San Antonio i miasteczkach w górach mieszka sporo osób, które pamiętają, jak mama włóczyła się po całym Teksasie i jeszcze dalej za Szalonymi Kowbojami - zespołem pana Justisa - kiedy była jeszcze całkiem smarkata. A jeżeli chodzi o to, że zaszła wtedy w ciążę, nadal nie rozumiem, dlaczego nie stosowała żadnych środków antykoncepcyjnych. Jakże często ignorancja i namiętność idą w parze. Ale może miała w tym jakiś cel, bo trudno jest mi sobie wyobrazić, by trzy razy z rzędu popełniła ten sam błąd.

Wraz z Erikiem poszliśmy pewnego dnia do miejskiej biblioteki, wygrzebaliśmy stare artykuły o Szalonych Kowbojach; było tam też zdjęcia pana Justisa - miał wtedy pewnie ze trzydzieści lat; mniej więcej wtedy poznał mamę, która nie była starsza niż ja teraz. W tamtych czasach jeszcze alkohol i ciężkie życie nie starło jego urody; był naprawdę przystojny. Przystojniejszy nawet od Cama, który chyba najbardziej z nas wszystkich jest do niego podobny.

Chciałabym móc zapytać mamę o to wszystko, ale nie mam szans. Na dobre wyniosła się z mojego życia i choć wiem, że tak jest lepiej, jakoś nie potrafię się z tego cieszyć. Mogę jednak zawsze spekulować; mama pewnie kochała jego twarz, pewnie lubiła jego głos i ręce, które jej dotykały. Może urodziwszy nas, wcale nie chciała zakładać rodziny?

Może sama chciała być dzieckiem, które wszyscy kochają, bo jej własna mama niezbyt się nią przejmowała? Może chciała posłużyć się nami, dziećmi, by przywiązać do siebie pana Justisa. Wystarczy popatrzeć na imiona, które nam nadała - moje pochodzi od tego starego miasteczka, w którym mają park Six Flags. Cama jest od miasteczka Cameron w Teksasie; ale na drugie imię ma Jeremy - tak samo jak pan Justis, choć wszyscy zawsze wołają na niego „Remy”. Langtry ma na drugie imię Justine, od Justisa.

A jednak jej nie wyszło. Może brakowało im wspólnej płaszczyzny, na której mogliby zbudować wspólny dom? Myślę, że do czasu gdy mnie urodziła, już wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie i po prostu straciła cały zapał. Może właśnie dlatego nie nadała mi drugiego imienia. Została przy nazwie miasta, w którym nocowali, kiedy po raz pierwszy obudziła się ze mną w brzuchu, jak ja obudziłam się z Desi, tamtego ranka w więzieniu Solamente River.

Założę się, że cały czas myślała, aż do samego końca, że może gdyby dostatecznie długo jeździła za panem Justisem, wreszcie by ją wyzwolił. Wreszcie sprawiłby, że stałaby się kimś. Prawdopodobnie wtedy ostatni raz w życiu okazała komukolwiek choć odrobinę miłości.

Zdaje mi się, że Lang zależało na tym samym, choć nigdy nie będę mogła jej o to spytać. Nie będzie wiecznie siedzieć w kobiecym więzieniu w Taggart, ale prędzej w piekle spadnie śnieg, niż się do niej odezwę. Jeżeli o mnie chodzi, nic nie jest w stanie jej zrehabilitować. Zdaje mi się, że jej kochankowie zrzucili się i załatwili wcale niezłego obrońcę z Dallas, który usiłował przekonać ławę przysięgłych, że zrobiła to, co zrobiła, dlatego że Dillon omotał zbyt młodą dziewczynę; jednak sędziowie przysięgli nie kupili tego i skazali Lang na dożywocie za zabicie strażnika przy granicy z Meksykiem i dwadzieścia pięć lat za zastrzelenie Dillona. Szczerze mówiąc, pewnie Dillon ją omotał -wiem, jaki potrafił być czarujący, a Lang po prostu nie potrafiła mu się oprzeć. Prawdopodobnie wmówił jej jakąś bajeczkę o tropikalnym raj, do którego zmierzają, i w ten sposób zmusił do współpracy. Zawsze brała to, co chciała, nawet jeżeli do niej nie należało; odziedziczyła tę cechę po mamie.

Tamtej nocy, kiedy palił się las, Lang musiała przejrzeć na oczy; pewnie dopiero wtedy dotarło do niej, że na próżno się starała. Ze wszystko, co łączyło ją z Dillonem, jest kłamstwem.

Jej adwokat wyjaśnił Annie, że Dillon powiedział Lang, iż zabierze tylko dziecko. Lang wmówiła sobie, że to oznacza, iż jednocześnie chce mnie zabić. Naprawdę w to uwierzyła, podczas gdy prawda wyglądała

tak, że Dillon po prostu posłużył się nią, by mnie odnaleźć. Langtry pomagała mu śledzić Annie i zaproszyć ogień, by pożar odwrócił uwagę wszystkich ode mnie i dziecka.

Zdaje się, że jej zazdrość i nienawiść wybuchły dopiero w chwili, gdy zobaczyła nas na ganku; kiedy zobaczyła, że odbieram Desi Dillonowi. Oparła tę starą strzelbę myśliwską, którą znaleźli w lesie, o konar drzewa, i wycelowała w Dillona, mając w nosie to, czy trafi przypadkiem dziecko lub mnie.

Zabiłaby mnie. Jej chciwość i złość odziedziczone po mamie omal nie kosztowały mnie życia. Lang wypaliłaby po raz kolejny, gdyby pan Justis nie złapał jej od tyłu. Ocalił mi życie.

Uratował nie tylko mnie, ale i Desi; podarował nam życie zupełnie tak samo, jak dał mi wstążki do włosów, gdy pracowałam w Taco Heaven, i ten płótek do ćwiczenia skoków. Może zawsze nas kochał, tylko nie bardzo wiedział, jak to okazać? Może musiał poczekać, aż odsunę się od mamy, by zwrócić na mnie uwagę? Pewnie dlatego nigdy w życiu nie widziałam go, dopóki nie zaczęłam pracować w Taco Heaven. Ale założę się, że zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu; jak sam kiedyś powiedział, takich ludzi jak on nikt nie zauważa.

Wystarczyła mi ta odrobina czułości, jaką mi okazał, bym zrozumiała, jaki musiał być dawniej.

Chciałabym móc zapytać go o czasy przed moim urodzeniem; może kiedyś to zrobię, ale wątpię, by potrafił mi wszystko opowiedzieć. Niekiedy po prostu brak słów. Nadal go widuję, ale wcale nie jest jak w filmach czy książkach - nie było żadnego wielkiego płaczu ani nie zamieszkał z nami; nie udaje swojego od dawna zaginionego ojca ani dziadka Desi. Wciąż mieszka w tej swojej maleńkiej przyczepie w lasach pod Uvalde i ma nie po kolei w głowie; podejrzewam, że to przez lata picia i zamartwiania się stracił rozum. Czasem jednak przychodzi do nas i przynosi śliczne rzeczy dla Desi, tak jak wcześniej przyniósł mi kawę i kwiatki, i tę prześliczną kołyskę. Zostawia jej małe koniki rzeźbione z drewna, lecz rzadko zostaje wystarczająco długo, bym zdążyła mu podziękować. Cam także widuje się z nim od czasu do czasu; wiem, że chciałby go lepiej poznać i że chciałby zaprzyjaźnić się ze mną. Może mu się kiedyś uda...

Gdybym mogła wybierać, chciałabym, żeby pan Justis zachowywał się jak prawdziwy ojciec i żeby nauczył mnie i Desi grać na skrzypcach, bo to nadal wychodzi mu bardzo pięknie. Ale pan Justis zrobił już dla mnie tyle, ile mógł, a ponieważ znalazł się na miejscu w krytycznej

chwili, jestem mu za to wdzięczna i nie mam prawa wymagać nic więcej. Wydaje mi się, że powinno się akceptować w życiu to, co się dostaje, i wybierać z tego, z czego można. Uważam, że istnieją w życiu każdego człowieka związki, które mogą je zmienić na zawsze, mimo iż nie trwają zbyt długo.

Charley coś podobnego powiedział kiedyś o drzewie - że jest zarazem jednostką i rodziną. Wszystko, co przydarza się drzewu, jest w nim przechowywane - każda pora roku, każdy kataklizm - ale tylko to, co znajduje się na zewnątrz, tak naprawdę żyje. Pan Justis i mama są fragmentami drzewa, które wydały na świat mnie. Teraz mam dwa nazwiska - Mowbray, które noszę, choć nie jest piękne ani nie kojarzy mi się z niczym dobrym, oraz LeGrande, które także zachowałam, bo stanowi część mnie. Jednak nie jest to część żyjąca - raczej jak wewnętrzny fragment drzewa. Musiałam obciąć kilka gałęzi, dokładnie tak samo, jak Charley na jesieni obcina gałęzie drzewom w ogrodzie, by na wiosnę lepiej rosły; ale to wcale nie oznacza, że mogę odciąć fragmenty, które są schowane wewnątrz mnie, nawet te, o których nie chcę pamiętać.

Dillon także stanowi część tego drewnianego serca. Muszę schować go za kratami, które odgradzają mnie od wszystkiego, co ponure, zawstydzające i okrutne. Muszę zaakceptować fakt i nie rozpaczać nad nim, że w ciągu krótkiego czasu, jaki wspólnie spędziliśmy, był dla mnie wszystkim. Muszę wierzyć, że te historie o Wędrowcu, które czytałam w gazetach, dotyczą chłopca, którego nie znałam, albo raczej, którego znałam od drugiej, lepszej strony. Dla całego świata Dillon był złoczyńcą, rabusiem i mordercą. Ale ja także byłam rabusiem, tamtej nocy w przyczepie, za murami więzienia; obrabowałam go z całego złota i dobra, jakie posiadał, połączyłam je z własną dobrocią i stworzyłam najpiękniejszy klejnot mego życia - Desiree. Tamtej nocy, kiedy chciał mi ją odebrać, znowu go obrabowałam - i gdybym musiała, zabiłabym go. Nie kierowałabym się wściekłością czy zawiścią jak moja siostra, lecz nic nie powstrzymałoby mnie przed obronieniem dziecka. Może jednak jestem taka sama jak Lang i mama; może chciałam, by Dillon był dla mnie tą jedną jedyną osobą zastępującą cały świat? Okazało się, że zmienił moje życie, tak jak tego chciałam, lecz w sposób, którego zupełnie się nie spodziewałam. Bez niego nigdy nie miałabym Desi; dopóki jej nie urodziłam, wydawało mi się, że wiem, co to miłość i rodzina, lecz tak naprawdę o niczym nie miałam pojęcia. Jej dźwięczny głosik, gdy przychodzi do mnie, wyciąga rączki i powtarza: „moja córeczka, moja córeczka”, jak-

bym to ja była dzieckiem, a ona matką, jest tak słodki i cudowny, że czasem zupełnie nie rozumiem, dlaczego wszyscy ci muzycy piszą piosenki o miłości kobiety i mężczyzny, zamiast układać poematy o miłości dziecka i jego rodziców. Wreszcie mam rodzinę, choć nie wydaje się ona zwyczajna. Ale jedną z pozytywnych stron życia na odwrót jest to, że większość dzieciaków otacza miłość, z której muszą wyrosnąć, by zacząć samodzielne życie; ja musiałam do niej dorosnąć. Wraz z Annie, Charleyem i Desi mieszkamy w tym ogromnym domu przy Azalea Road, a Claude, która ma już sześć lat, często nas odwiedza. Uwielbia Desi, rozpuszczają niemiłosiernie i nazywa „cukiereczkiem”. Lada dzień Claude dostanie następnego cukiereczka. Annie powtarza Charleyowi, żeby pozakrywał wszystkie lustra w domu, bo nie chce widzieć swego odbicia, dopóki nie schudnie dwadzieścia pięć funtów. Dlatego też chcą poczekać z ślubem jeszcze parę miesięcy po narodzeniu dziecka; Annie jest tak straszliwie próżna, że nie chce - jak mówi - wyglądać na ślubnych zdjęciach jak Moby Dick. Charley odpowiada, że są jak para gwiazdorów filmowych, którzy nie pobiorą się, dopóki nie dochowają się gromadki dzieci.

Ich maluch okazał się chłopcem. Robili całe mnóstwo testów genetycznych, bo Annie przekroczyła już czterdziestkę, ale z dzieckiem wszystko jest w porządku. Proponowałam, by nazwali go Thornton Wilder, skoro mają już w rodzinie Claude Monet. W końcu Charley jest raczej hipisem, a nie poważnym prawnikiem, jak Stuart. Na pierwszy rzut oka zupełnie nie pasuje do Annie, ale wystarczy przyjrzeć im się bliżej, by zobaczyć, że naprawdę się kochają i jest im z sobą dobrze. Czasem w nocy słyszę, jak się kochają... Wiem, że tego nie chcą, lecz te odgłosy mnie prześladowają.

W takie noce myślę o Dillonie.

W takie noce śnię dziwne sny.

Czasem śni mi się pożar, a czasem Dillon całujący mnie w chacie; budzę się ze szlochem, choć właściwie nie wydaję żadnego dźwięku.

Wiem, czym są sny; to odbicia myśli człowieka, świadome lub podświadome; te fragmenty życia, o których nikt głośno nie mówi albo które usiłuje ignorować.

Ale nie jestem pewna, czy te sny można tak łatwo wyjaśnić.

Czasem mam wrażenie, że są jak duchy. Że przychodzą do mnie, jak jakaś pozostałość umarłej osoby. Ale niby co by to mogło być? Dusza? I z czego byłoby zrobione? Z tego, co źli ludzie uczynili na ziemi? Czy może z ich miłości?

Zastanawiam się nad tym tak często, gdyż śni mi się jeszcze jeden sen, choć bardzo rzadko. Nie tak często jak tamte; właściwie śnił mi się może ze trzy, cztery razy. W tym śnie moje nogi splecione są z nogami Dillona, a włosy, które od tylu lat noszę krótko obcięte, okrywają nas jak grzywa mustanga; nasze ruchy i emocje zlewają się w jedno; poruszamy się, ale ja wcale się nie boję, mimo iż jestem naga i bezbronna. Patrzę prosto w jego zielone oczy i myślę, że chcę tak pozostać już na zawsze... a potem mrugam i nagle nie zostaje z nas nic oprócz cichego szeptu.

Jestem pewna, że kiedyś przestanę miewać te dziwaczne sny.

Kiedy dorosnę, chcę być taka jak Annie i jej siostra, Rachael, bo to dwie kobiety, które podziwiam najbardziej na świecie. Jeżeli mi się poszczęści, będę zadowolona z życia jak one i będę podejmować decyzje, które nie będą oparte na pożądanym i apetycie, gdyż tych nie interesuje nic poza własną przyjemnością. Postaram się także nauczyć Desiree żyć w ten sposób.

Dopiero wtedy będę naprawdę dorosła.

I tamten sen straci znaczenie.

A jeżeli nadal będzie do mnie wracać, nawet gdy będę stara i pomarszczona, to po śmierci przekonam się, czym były owe duchy.

Kołysanka

Kładąc cię do snu malutka, czuję główkę twą jaśniutką; i modłę się o sen spokojny, jasny, dobry i bez wojny.

Niech aniołki cię kołyszą moja mała Desiree; będę czekać i pilnować i do rana cię kołysać; I nie porwie nikt twej duszki, nie zabierze od mamusi. Czuwać będę aż do rana.

Arlington Mowbray LeGrande